

Collins Wilkie

Kamień Księżycowy

Tajemnicza historia żółtego diamentu zdobiącego od wieków czoło hinduskiego Boga Księżyca splata się z dziejami angielskiej rodziny i komplikuje jej losy; kładzie się cieniem na uczuciach młodej właścicielki diamentu - Racheli do jej kuzyna, staje się przekleństwem dla służącej Rosanny, zaprzęta myśli kochającego różę, genialnego sierżanta Cuffa.

CZEŚĆ I

PROLOG

Szturm na Seringapatam (rok 1799)

(Dokument z archiwum rodzinnego)

I

Słowa te, pisane w Indiach, przeznaczam dla moich krewnych w Anglii.

Pragnę wyjaśnić pobudki, które skłoniły mnie, abym odmówił ręki przyjaźni memu kuzynowi, Johnowi Herncastle. Rezerwa, jaką dotychczas w tej sprawie zachowywałem, została niewłaściwie zrozumiana przez członków mojej rodziny, z której dobrego mniemania nie mogę wszakże rezygnować. Proszę więc, aby zechcieli wstrzymać się z wydaniem wyroku, dopóki nie przeczytają niniejszej relacji. Stwierdzam też pod słowem honoru, że wszystko, co tu opisuję, odpowiada ściśle prawdzie.

Zatarg osobisty między moim kuzynem a mną wziął swe źródło z doniosłego wydarzenia publicznego, w którym obaj uczestniczyliśmy— mianowicie ze szturm na Seringapatam pod dowództwem generała Bairda, czwartego maja 1799 roku.

Aby okoliczności zajścia mogły być dokładnie zrozumiane, muszę powrócić na chwilę do okresu sprzed szturm i do krążących po naszym obozie opowieści o bezcennym skarbie w złocie i klejnotach ukrytym w pałacu Seringapatam.

II

Jedna z najbardziej fantastycznych opowieści dotyczyła złotego diamentu — najsłynniejszego klejnotu spośród opisywanych w kronikach hinduskich.

Jak głoszą dawne podania, diament osadzony był pośrodku czoła czwororękiego bóstwa hinduskiego uosabiającego księżyc. Ze względu na szczególną barwę, a także na wierzenie przypisujące mu właściwości bóstwa, które zdołał (miał on rzekomo tracić blask lub nabierać go zależnie od faz księżyca), diament uzyskał nazwę, pod którą znany jest w Indiach po dzień dzisiejszy — nazwę „Kamienia Księżycowego”. Podobne wierzenia istniały niegdyś, jak słyszałem, w starożytnej Grecji i Rzymie, nie dotyczyły

jednak (tak jak w Indiach) diamentu poświęconego służbie bóstwa, lecz kamienia półszlachetnego, ulegającego pono wpływom lunarnym. Kamień ów również nazwany został na cześć księżycy i pod tym mianem znany jest zbieraczom w naszych czasach.

Perypetie żółtego diamentu mają swój początek w jedenastym wieku ery chrześcijańskiej. W owym czasie wódz mahometański, Mahmoud z Ghizni, przebył w zwycięskim pochodzie Indie, zagarnął święte miasto Somnauth i ogołocił ze skarbów słynną świątynię stojącą tu od wieków — cel pielgrzymek Hindusów i przedmiot podziwu całego Wschodu.

Spośród wszystkich bóstw wielbionych w świątyni jedynie bóstwo księżycy ostało się łupiestwu zwycięskich mahometan. Ukryty przez trzech braminów, nietknięty posąg z żółtym diamentem pośrodku czoła wyniesiono pod osłoną nocy i przewieziono do Benares, drugiego świętego miasta hinduskiego.

Tutaj umieszczono go w nowej świątyni, w sali wykładanej drogimi kamieniami, pod dachem wspartym na kolumnach ze szczerego złota i oddawano mu należną cześć. Tutaj też, w noc po ukończeniu świątyni, wspomnianym trzem braminom ukazał się we śnie Wielki Wisznu Zachowca.

Bóstwo tchnęło swą boskość w diament jaśniejący na czole posągu, a bramini padli na kolana i ukryli twarze w swych szatach. Bóstwo nakazało, aby odtąd i aż do wygaśnięcia rodzaju ludzkiego trzech braminów strzegło na zmianę we dnie i w nocy Kamienia Księżycowego, a bramini usłyszeli słowa bóstwa i ukorzyli się przed jego wolą. Bóstwo przepowiedziało niechybną zagładę każdemu zuchwałemu śmiertelnikowi, który by sięgnął po święty klejnot, jak również całemu jego domowi i potomstwu, które by ów klejnot po nim otrzymało w spadku, a bramini kazali wypisać to proroctwo złotymi literami nad bramą świątyni.

Stulecie płynęło za stuleciem i wciąż — pokolenie za pokoleniem — następcy trzech braminów strzegli we dnie i w nocy bezcennego diamentu. Stulecie płynęło za stuleciem, aż wreszcie w pierwszych latach osiemnastego wieku ery chrześcijańskiej zapanował Aurungzebe, cesarz Mongołów. Na jego rozkaz śmierć i zniszczenie znów poczęły szaleć wśród świątyń czcicieli Brahmy. Świątynię czwororękiego bóstwa skalala krew zarzynanych świętych zwierząt, posągi bogów rozbito w kawałki, Kamień zaś Księżycowy porwany został przez wyższego oficera wojsk Aurungzebe.

Trzej kapłani-strażnicy, nie mogąc odzyskać utraconego skarbu otwarcie i za pomocą siły, poszli za nim i strzegli go w przebraniu. Pokolenia następowały jedno po drugim, wojownik, który popełnił świętokradztwo, zginął marnie. Kamień Księżycowy niosąc za sobą kłatwę przechodził z jednej świętokradczej ręki mahometańskiej do drugiej, a wciąż, poprzez wszystkie te zmiany i koleje losu, następcy trzech kapłanów-strazników pełnili swą wartę czekając dnia, gdy z woli Wisznu Zachowcy odzyskają święty klejnot. Nadeszły ostatnie lata osiemnastego stulecia ery chrześcijańskiej. Diament dostał się w posiadanie Trippoo, sułtana Seringapatamu,

który kazał ozdobić nim rękojeść sztyletu i przechowywać ten sztylet wśród najcenniejszych skarbów swej zbrojowni. I nawet wówczas — w pałacu samego sułtana — trzech kapłani-straznicy nadal pełnili tajemną wartę. Na dworze sułtana było trzech oficerów nie znanych pozostałym dworzanom. Oficerowie ci pozyskali zaufanie swego pana przyjmując lub też udając, że przyjmują wiarę muzułmańską, i na tych właśnie trzech mężczyzn plotka wskazywała jako na przebranych kapłanów.

III

Tak brzmiała dziwna historia Kamienia Księżycowego, jak ją opowiadano u nas w obozie. Nie wywarła ona szczególniejszego wrażenia na nikim prócz mego kuzyna, któremu upodobanie do rzeczy niezwykłych kazało w nią uwierzyć. W wigilię natarcia na Seringapatam rozgniewał się ogromnie na mnie i na innych kolegów o to, że traktowaliśmy całą sprawę jak bajkę. Wywiązała się niemądra sprzeczka i Herncastle dał się ponieść swemu nieszczęśliwemu usposobieniu. Oświadczył z właściwą sobie chępliwością, że jeśli wojsko angielskie zajmie Seringapatam, ujrzymy diament na jego palcu. Przechwałkę tę powitał głośny wybuch śmiechu i na tym, jak sądziliśmy owego wieczoru, rzecz się skończyła.

Przejdźmy teraz do dnia szturm.

Rozdzielono nas z kuzynem na początku natarcia. Nie widziałem go, gdyśmy forsowali rzekę, gdyśmy zatykali flagę angielską w pierwszym wyłomie, gdy przebywaliśmy znajdujący się za nim rów ani też, gdy zdobywając z bronią w rękę każdą piędź ziemi wkroczyliśmy do miasta. Dopiero o zmierzchu, kiedy miasto było już w naszym ręku i kiedy generał Baird osobiście znalazł zwłoki Tnppoo pod stosem zabitych, spotkałem się z kuzynem Herncastle'em.

Każdy z nas szedł na czele jednego z oddziałów z rozkazu generała, aby położyć kres grabieży i zamieszaniu, które wybuchły po naszym zwycięstwie. Szumowiny ciągnące za wojskiem dopuszczały się pożałowania godnych zbrodni, a co gorsza, żołnierze poprzez nie strzeżone drzwi dostali się do skarbcza i napychali sobie kieszenie złotem i klejnotami. Właśnie na dziedzińcu przed skarbcem spotkaliśmy się z kuzynem, by poskromić własnych żołnierzy i przywrócić dyscyplinę. Dostrzegłem od razu, że Herncastle, ognisty z natury, pod wpływem straszliwej rzezi, która zakończyła się przed chwilą, znajduje się w stanie podniecenia graniczącego z szałem. Nie nadawał się moim zdaniem do wypełnienia powierzonego mu obowiązku.

W skarbcu panował straszliwy zamęt i zgielk, nie widziałem jednak gwałtów ani rozlewu krwi. Żołnierze (jeśli wolno mi użyć takiego określenia) rabowali dobrodusznie i z humorem. Sypali wciąż rubasznymi żartami i dowcipami, przy czym legenda o złotym diamencie stała się niespodzianie tematem kpin. Ilekroć padł okrzyk: „Kto ma Kamień Księżycowy?” pładrowa-

nie, poniechane już w jednym miejscu, wybuchalo ponownie w innym. Gdy starałem się, bez większego zresztą skutku, zaprowadzić ład i porządek, usłyszałem naraz przeraźliwy krzyk po drugiej stronie dziedzińca. Pobiegłem tam natychmiast w obawie, iż rabunek rozpoczął się na nowo.

W otwartych drzwiach ujrzałem leżące na progu ciała dwóch Hindusów, sądząc ze stroju — oficerów pałacowych.

Krzyk rozległ się znowu. Wpadłem do jakiejś sali, która widocznie służyła za zbrojownię. Trzeci Hinduś, ranny śmiertelnie, osuwał się na podłogę u stóp mężczyzny, który stał plecami do mnie. Mężczyzna odwrócił się i ujrzałem Johna Herncastle'a z pochodnią w jednej ręce i ociekającym krwią sztyletem w drugiej. Gdy się do mnie odwrócił, kamień osadzony niby głowica na końcu rękojeści sztyletu błysnął w świetle pochodni żywym ogniem. Umierający Hinduś padł na kolana, wskazał na sztylet w ręku Herncastle'a i wyrzeźił w swym ojczystym języku: — Kamień Księżycowy zemści się na tobie i na twoim rodzice!

Wypowiedziawszy te słowa runął martwy na podłogę.

Zanim zdążyłem się odezwać, do zbrojowni wpadli żołnierze, którzy przybiegli za mną z tamtej strony dziedzińca. Kuzyn skoczył na ich spotkanie,

jak gdyby jęty szalem.....- Każ im wyjść — krzyknął do mnie — i postaw wartę przed drzwiami!

Żołnierze cofnęli się, gdyż nacierał na nich potrząsając pochodnią i sztyletem. Postawiłem przed drzwiami dwóch wartowników ze swojej kompanii, na których mogłem polegać. Przez resztę nocy nie widziałem już kuzyna.

Wczesnym rankiem, gdy plądrowanie trwało nadal, generał Baird ogłosił publicznie przy biciu w bębny, że każdy złodziej schwytyany na miejscu przestępstwa zostanie powieszony bez względu na rangę. W tłumie, który zgromadził się na to obwieszczenie, spotkałem znów Herncastle'a.

Wyciągnął do mnie rękę, jak zwykle na powitanie.

— Dzień dobry — rzekł. Zwlekałem z podaniem mu ręki.

— Powiedz mi przedtem — rzekłem — w jaki sposób poniósł śmierć Hinduś w zbrojowni i co oznaczały jego ostatnie słowa, gdy wskazywał sztylet w twojej dłoni.

— Hinduś, jak sądzę, poniósł śmierć na skutek rany — odparł Herncastle — a o znaczeniu jego ostatnich słów wiem nie więcej od ciebie.

Spojrzałem na niego bacznie. Widać było, że szal, który władał nim ubiegłej nocy, już ustąpił. Postanowiłem dać mu jeszcze jedną sposobność do wyjaśnień.

— Czy to wszystko, co mi masz do powiedzenia? — spytałem. Odpowiedział:

— To wszystko.

Odwróciłem się do niego plecami i nie zamieniliśmy odtąd ani słowa.

IV

Podkreślałam raz jeszcze, że wszystko, co piszę tu o moim kuzynie, przeznaczone jest wyłącznie do wiadomości rodziny (chyba że zajdzie jakaś konieczność opublikowania znanych mi faktów). Herncastle nie powiedział nic, co dałoby mi podstawy do złożenia meldunku naszemu dowódcy. Ci, którzy pamiętają jego gniewny wybuch przed natarciem, nagabują go niejednokrotnie o diament, ale, jak to łatwo sobie wyobrazić, wspomnienie okoliczności, w jakich zastałem go w zbrojowni, każe mu zachowywać milczenie. Zamierza podobno przenieść się do innego pułku, zapewne w tym celu, aby odseparować się ode mnie.

Bez względu na prawdziwość tych pogłosek nie mogę się zdobyć na to, by wystąpić w roli oskarżyciela. Sądzę zresztą, że postawa moja jest słuszna. Gdybym podał rzecz całą do wiadomości ogółu, nie miałbym na poparcie swych oskarżeń żadnych dowodów prócz moralnego przekonania. Nie tylko nie posiadam dowodów na to, że Herncastle zabił dwóch mężczyzn, których znalazłem przed drzwiami, lecz nie mogę nawet stwierdzić, że to z jego ręki padł trzeci Hindus w zbrojowni — nie widziałem bowiem na własne oczy, jak go zasztyletował. Słyszałem wprawdzie słowa umierającego Hindusa, gdyby jednak ktoś utrzymywał, że było to majaczenie konającego, jak mógłbym temu zaprzeczyć? Niechże więc nasi krewni z obu stron wyrobią sobie własne zdanie na podstawie tego, co napisałem, i orzekną, czy odraza, którą czuję teraz do tego człowieka, jest uzasadniona, czy też nie.

Aczkolwiek nie daję wcale wiary fantastycznej legendzie hinduskiej o złotym diamencie, muszę wyznać, nim skończę, że kieruję się w tej sprawie pewnym własnym zabobonem. Jest bowiem moim przeświadczeniem lub też moim urojeniem, mniejsza o nazwę, że zbrodnia pociąga za sobą karę. Jestem nie tylko przekonany o winie Herncastle'a, lecz mam nawet dość bujną wyobraźnię, by wierzyć, że jeśli zachowa diament, to doczeka chwili, gdy będzie tego żałował. Jeśli zaś go odda, inni pożałują kiedyś, że od niego ten klejnot przyjęli.

OPOWIEŚĆ

ZAGINIĘCIE DIAMENTU (ROK 1848)

Wypadki opowiedziane przez Gabriela Betteredge'a,
ochmistrza w służbie lady Julii Verinder

ROZDZIAŁ I

W pierwszej części „Robinsona Kruzoe”, na stronie dwudziestej dziewiątej, znajdują państwo następujące słowa:

„Przekonałem się teraz, acz nazbyt późno, jakim szaleństwem jest rozpoczynanie jakiegoś przedsięwzięcia, zanim obliczyliśmy koszty i zanim oszacowaliśmy należycie własne siły niezbędne do jego wykonania”.

Dopiero wczoraj otworzyłem swojego „Robinsona Kruzoe” na tym właśnie miejscu, i nie dalej jak dziś rano (dwudziestego pierwszego maja 1850 roku) przyszedł do mnie siostrzeniec mojej pani, pan Franklin Blake, i odbył ze mną następującą rozmowę:

— Betteredge — powiedział pan Franklin — byłem u adwokata w pewnych sprawach rodzinnych. Rozmawialiśmy między innymi o zaginięciu hinduskiego diamentu w domu mojej ciotki w Yorkshire przed dwoma laty. Adwokat sądził, podobnie zresztą jak i ja, że w imię prawdy należałoby utrwalić całą tę historię na piśmie — i to im prędzej, tym lepiej.

Nie wiedząc jeszcze, do czego to zmierza, a będąc zawsze zdania, iż dla świętego spokoju lepiej być zawsze w zgodzie z adwokatem, odrzekłem, że ja też tak sądzę. Pan Franklin ciągnął dalej:

— W owej sprawie z diamentem dobre imię niewinnych osób — jak ci zresztą wiadomo — zostało narażone na szwank wskutek niesłychanych podejrzeń. W przyszłości zaś dobra pamięć o tych niewinnych osobach może być narażona na szwank z braku kroniki wypadków, do której mogliby sięgnąć nasi potomkowie. Nie ulega tedy wątpliwości, że trzeba spisać tę naszą dziwną historię rodzinną! wydaje mi się, Betteredge, że obmyśliliśmy — adwokat i ja — właściwy sposób, w jaki należy tego dokonać.

Bez wątpienia mogli się obaj z tego cieszyć, ale jak dotychczas nie rozumiałem, co ja z tym mam wspólnego.

— Mamy do opisanie pewne wypadki — mówił dalej pan Franklin — imamy pewne osoby, co brały udział w tych wypadkach i mogą je opisać. Otóż adwokat uważa, że powinniśmy wszyscy po kolei opisać tylko te wydarzenia, związane z Kamieniem Księżycowym, które obejmuje nasze osobiste doświadczenie. Najpierw musimy opowiedzieć, jak diament dostał się w posiadanie mojego wuja Herncastle'a, kiedy wuj służył w Indiach pięćdziesiąt lat temu. Ten wstęp mam już przy sobie w postaci starego

dokumentu rodzinnego podającego istotne szczegóły w relacji naocznego świadka. Następnie trzeba opowiedzieć, jak diament trafił przed dwoma laty do domu mojej ciotki w Yorkshire i jak zginął w niespełna dwanaście godzin potem. Nikt nie wie lepiej od ciebie, Betteredge, co działo się wtedy w domu. Musisz więc wziąć pióro do ręki i rozpocząć kronikę.

W tych oto słowach zostałem poinformowany o tym, co mam wspólnego ze sprawą diamentu. Jeżeli ciekawi są państwo, jaką linię postępowania obrałem w tych warunkach, mam zaszczyt poinformować, że zrobiłem to samo, co prawdopodobnie zrobiliby państwo na moim miejscu. Zapewniłem skromnie, że w żadnym razie nie podołam takiemu zadaniu — czując jednocześnie w duszy, że sprostam mu znakomicie, jeżeli tylko puszcę wodze wrodzonym zdolnościom. Pan Franklin musiał widocznie wyczytać z mojej twarzy owe skryte uczucia, nie dał bowiem wiary mojej skromności i nalegał, żebym nie stawiał tam swoim niewątpliwym uzdolnieniom.

Upłynęły już dwie godziny, odkąd pan Franklin mnie pożegnał. Ledwie odszedł, zasiadłem od razu do biurka, żeby rozpocząć pisanie. I od tej chwili (mimo niewątpliwych zdolności) siedzę tu bezradnie, przekonując się o tym,

o czym przekonał się już niegdyś Robinson Kruzo — mianowicie, jakim szaleństwem jest rozpoczynanie przedsięwzięcia, zanim obliczyliśmy jego koszty i zanim oszacowaliśmy należycie własne siły. Proszę pamiętać, że otworzyłem przypadkiem książkę na tym ustępie i nie dalej jak na dzień przedtem, nim przystąpiłem do niniejszego zadania, niechże mi więc kto powie, czy to nie jest prorocstwo!

Nie jestem zabobonny, przeczytałem w życiu kupę książek i mam się za człowieka na swój sposób światłego. Chociaż przekroczyłem już siedemdziesiątkę, mam żwawą pamięć i także nogi, proszę więc nie uważać tego za zdanie ignoranta, kiedy stwierdzę, że drugiej takiej książki jak „Robinson Kruzo” nikt nigdy nie napisał i z pewnością nie napisze. Przez długie lata poddawałem tę książkę próbom (zazwyczaj przy fajce mocnego tytoniu)

i przekonałem się, że była mi wiernym przyjacielem we wszystkich okazjach naszego ziemskiego żywota. Kiedy jest mi markotno — „Robinson Kruzo”. Kiedy potrzeba mi rady — „Robinson Kruzo”. Dawniej, kiedy żona wierceła mi dziury w brzuchu, teraz, kiedy wypiję kropelkę ponad miarę — „Robinson Kruzo”. Zniszczyłem już sześć grubych „Robinsonów Kruzo”, bo tak ciężko musiały u mnie pracować. Teraz moja pani na ostatnie swoje urodziny dała mi siódmego. Wypiłem z tej okazji kropelkę za dużo, ale „Robinson Kruzo” zaraz mnie wyleczył. Cena cztery szylingi sześć pensów, w niebieskiej oprawie, z obrazkiem na okładce.

Ale to wszystko jakoś nie przypomina wcale początku opowiadania

o diamencie, prawda? Odbiegam wciąż od tematu, szukając Bóg wie czego

i Bóg wie gdzie. A więc za łaskawym pozwoleniem państwa weźmiemy teraz czystą kartkę papieru i zaczniemy od nowa.

ROZDZIAŁ II

Kilka wierszy wyżej wspomniałem o mojej pani. Otóż diament nie znalazłby się nigdy w naszym domu, w którym potem zaginął, gdyby nie dostała go w prezencie córka mojej pani, a córka mojej pani nie mogłaby nigdy dostać takiego prezentu, gdyby nie moja pani, która (w bólach i męce) wydała ją na świat. Wobec tego, jeżeli zaczniemy od mojej pani, będzie to całkiem właściwy początek, a to, pozwolę sobie nadmienić, gdy się ma przed sobą takie zadanie, jakie ja mam w tej chwili, jest naprawdę wielką pociechą.

Jeżeli mają państwo jakąś styczność z eleganckim światem, słyszeli państwo niezawodnie o trzech pięknych pannach Herncastfe, pannie Adelajdzie, pannie Karolinie i pannie Julii. Ta ostatnia, najmłodsza z trzech siostr, jest, moim zdaniem, obdarzona najlepszym sercem, a jak się państwo za chwilę przekonają, nie brakło mi sposobności, żebym sobie takie zdanie wyrobił. Wstąpiłem na służbę do starego lorda, ich ojca (dzięki Bogu, że ta historia z diamentem wcale go nie dotyczy, bo stary pan miał najbardziej cięty język i najbardziej porywcze usposobienie ze wszystkich ludzi wszystkich stanów, jakich znałem w życiu) — więc, jak powiadam, wstąpiłem w wieku lat piętnastu na służbę do starego lorda, jako paź na usługi trzech szlachetnie urodzonych panien. Przebywałem tam aż do czasu, kiedy panna Julia poślubiła nieboszczyka pana Johna Verindera. Przeważnie to był człowiek, któremu brakowało tylko kogoś, kto by nim pokierował, no i mówiąc między nami, trafił na odpowiednią osobę, a co więcej, tak mu to posłużyło, że rozkwitł, roztył się i żył szczęśliwie od dnia, gdy moja pani zaprowadziła go do ołtarza, aż do dnia swej lekkiej śmierci, gdy moja pani czuwała przy jego łożu i zamknęła mu oczy.

Nie nadmieniłem jeszcze, że przenieśliśmy się wraz z panną młodą tutaj, do domu i majątności jej małżonka.

— Sir Johnie - rzekła moja pani — nie mogę się obejść bez Gabriela Betteredge'a.

— Milady— odparł sir John — w takim razie ja też nie mogę się bez niego obejść.

Taki zawsze był dla niej — i w taki oto sposób przeszedłem do niego na służbę. Było mi obojętne, dokąd pójdę, byleśmy się nie rozstawali z moją panią.

Widząc, że moja pani interesuje się pracą w ogrodzie, rolnictwem i tak dalej, ja również zainteresowałem się tym wszystkim — zwłaszcza że byłem siódmym synem drobnego farmera. Moja pani postarała się, abym został pomocnikiem rządcy, a ja ze swej strony nie szczędziłem starań, wywiązywałem się z obowiązków ku ogólnemu zadowoleniu i odpowiednio do tego awansowałem. W kilka lat później, w poniedziałek, jak dziś pamiętam, moja pani powiedziała:

— Sir Johnie, pański rządcą to stary głupiec. Spensjonuj go hojnie i niechaj Gabriel Betteredge zajmie jego miejsce.

We wtorek, jak dziś pamiętam, sir John powiada:

— Milady, spensjonowatem hojnie rządcę i Gabriel Eetteredge zajął jego miejsce.

Słyszysz się nieraz o złym pożyciu różnych małżeństw — tu mamy przykład czegoś wręcz przeciwnego. Niechże to będzie ostrzeżeniem dla jednych, a zachętą dla innych, ja zaś tymczasem będę kontynuował swoje opowiadanie.

Było mi więc jak u Pana Boga za piecem, powiedzą państwo zapewne. Piastowałem zaszczytne stanowisko, mieszkałem we własnym domku, rano obchodziłem dobra, po południu robiłem rachunki, wieczorem paliłem fajkę i rozkoszowałem się „Robinsonem Kruzoe”. Czegóż mogło mi brakować do szczęścia? Ale proszę sobie przypomnieć, czego brakowało Adamowi, gdy był sam w rajskim ogrodzie, i jeżeli nie mają państwo tego za złe Adamowi, to niech nie biorą za złe i mnie.

Okno moje padło tedy na kobietę, która prowadziła mi gospodarstwo. Nazywała się Selina Goby. Jeśli chodzi o wybór żony, zgadzam się z nieboszczykiem Williamem Cobbettem. „Niech twoja niewiasta dobrze przeżuwa pożywienie i chodząc mocno stawia stopy, a możesz być spokojny”. Selina Goby spełniała obydwa te warunki i był to jeden z powodów, dla których się z nią ożeniłem. Miałem też inny jeszcze powód, na który wpadłem już sam bez niczyjej pomocy. Selina jako kobieta niezamężna kazała mi płacić sobie określoną sumę za swoje utrzymanie i usługi. Selina jako moja żona nie mogłaby już żądać ode mnie pieniędzy za[^] swoje utrzymanie i musiałaby usługiwać mi za darmo. Taki był mój punkt widzenia na tę sprawę — oszczędność z dodatkiem odrobiny miłości. Przedstawiłem wszystko mojej pani dokładnie tak, jakem to sobie wykalku-łował.

— Zastanowiłem się dobrze nad Seliną Goby, wielmożna pani — rzekłem — i wydaje mi się, że taniej będzie ożenić się z nią, niż ją utrzymywać.

Moja pani wybuchnęła śmiechem i powiedziała, że nie wie, czym się bardziej gorszyć — moim sposobem mówienia czy moimi zasadami. Rozśmieszyło ją widocznie coś z tych rzeczy, których człowiek nie rozumie, jeśli nie jest osobą wysoko urodzoną. Ale zrozumiałem w każdym razie, że wolno mi teraz przedstawić sprawę Selinie, poszedłem więc do niej i wszystko jej wyłożyłem. I co Selina powiedziała? Boże! Chyba nie znają państwo wcale kobiet, skoro o to pytają! Oczywiście ze powiedziała: „tak”.

Kiedy czas ślubu już się zbliżał i zaczęło się mówić, że muszę kupić sobie na tę uroczystość nowy surdut, poczułem, że opuszcza mnie odwaga. Popytałem innych mężczyzn, co czuli znajdując się w mojej interesującej sytuacji - wszyscy wyznał i, że na jaki tydzień przed wielkim wydarzeniem w skrytości ducha chętnie by się z całego przedsięwzięcia wykręcili. Ja posunąłem się nieco dalej od nich, zdobyłem się na odwagę i spróbowałem się naprawdę wykręcić. Nie za darmo, o nie! Byłem zbyt sprawiedliwym człowiekiem, żeby się spodziewać, że Selina zwolni mnie za darmo. Rekompensata dla kobiety, kiedy mężczyzna zrywa narzeczeństwo, jest jednym z punktów prawa angielskiego. Przez szacunek więc dla prawa i po dokładnym namyśle

zapropnowałem Selmie Goby pierzynę i pięćdziesiąt szylingów za unieważnienie zaręczyn. Nie uwierzą państwo zapewne, ale to jednak jest szczerą prawdą — Selina była tak głupia, że się nie zgodziła.

Potem wszystko już oczywiście było dla mnie skończone. Kupiłem możliwie jak najtaniej nowy surdut i postarałem się, żeby i resztą jak najtaniej mnie kosztowała. Nie byliśmy małżeństwem ani szczęśliwym, ani nieszczęśliwym — ot tak, pół na pół. Sam nie wiem, jak to się działo, ale zawsze jakoś mimo najlepszych intencji wchodziliśmy sobie w drogę. Kiedy chciałem wejść po schodach na górę, to moja żona akurat schodziła w dół, a znów kiedy moja żona chciała zejść na dół, ja właśnie wchodziłem na górę. Według mojego doświadczenia na tym polega istota pożycia małżeńskiego.

Po pięciu latach nieporozumień na schodach podobało się Opatrzności uwolnić nas od siebie poprzez zabranie z tego padołu mojej żony. Zostałem z moją małą córeczką, Penelopą, nie mając innych dzieci. Wkrótce potem zmarł sir John i moja pani została ze swoją małą córeczką, panną Rachelą, nie mając innych dzieci. Musiałem chyba opisać bardzo nieudolnie zalety serca mojej pani, jeśli trzeba jeszcze państwu nadmieniać, że moja mała Penelopa wychowywała się pod okiem mojej przedobrej chlebodawczyni, że posyłano ją do szkoły, uczono i wykształcono na bystrą dziewczeczkę, a kiedy doszła do właściwego wieku, awansowała na osobistą pokojówkę panny Racheli.

Co do mnie, robiłem swoje jako rządcą rok po roku aż do Bożego Narodzenia 1847 roku, kiedy w życiu moim nastąpiła zmiana. Tego dnia moja pani zaprosiła się do mojego domku na filiżankę herbaty. Byliśmy sami. Moja pani powiedziała, że licząc od chwili, kiedy przyszedłem jako paż do domu jej ojca, służę jej już przeszło pięćdziesiąt lat, i wręczyła mi piękną wełnianą kamizelkę, którą zrobiła własnoręcznie, aby mi było ciepło w mroźne dni zimowe.

Brakło mi po prostu słów, żeby podziękować mojej pani za wielki zaszczyt, który mi wyświadczyła. Ku mojemu zdumieniu okazało się jednak, że kamizelka nie jest wcale zaszczytem, lecz łapówką. Moja pani dostrzegła, że się starzeję, zanim jeszcze ja sam to zauważyłem, i przyszła do mojego domku chcąc namówić mnie (jeśli wolno użyć mi takiego zwrotu),-bym wyrzekł się ciężkiej pracy rządcy i spędził resztę dni swoich w spokoju jako ochmistrz w jej domu. Opierałem się, póki mogłem; sądziłem, iż zażywając niezasłużonego spoczynku okryję się wstydem. Moja pani jednak знаła moje słabe strony i umiała do mnie trafić, w końcu więc ocierając oczy nową wełnianą kamizelką powiedziałem, że się nad tym zastanowię.

Ponieważ po odejściu mojej pani byłem w okropnej rozterce ducha, uciekłem się do lekarstwa, które nigdy jeszcze nie zawiodło mnie w chwilach zwątpienia. Zapaliłem fajkę i zajrzałem do „Robinsona Kruzo”. Nie upłynęło jeszcze pięć minut, gdy natrafiłem w tej niezwykłej księdze na taki krzepiący ustęp (strona 158): „Kochamy dziś to, czego jutro nienawidzimy”. I od razu ujrzałem przed sobą wytkniętą drogę. Dziś z całego serca chcę być nadal rządcą majątku, jutro zaś, zgodnie z zapewnieniem Robinsona Kruzo,

wszystko się może odmienić. Uspokojony tym zasnąłem jako rządcą majątku lady Verinder, obudziłem się zaś nazajutrz rano jako ochmistrz lady Verinder. Wszystko odbyło się pomyślnie, a zawdzięczam to jedynie „Robinsonowi Kruzo”!

Moja córka Penelopa zajrzała mi właśnie przez ramię, żeby zobaczyć, co już napisałem. Powiada, że napisałem bardzo pięknie i wszystko jest prawdą co do słowa. Wysuwa jednak jeden zarzut. Powiada, że to, co dotychczas napisałem, nie ma nic wspólnego z tym, co zamierzałem napisać. Mam opowiedzieć dzieje diamentu, a zamiast tego opowiadam własny życiorys. Szczególne to zjawisko, którego najzupełniej nie mogę zrozumieć. Ciekaw jestem, czy panom, którzy zarabiają na życie pisaniem książek, też przeszkadza ciągle ich własna osoba, jak to się dzieje ze mną? Jeżeli tak, to im serdecznie współczuję. Tymczasem znowu źle zacząłem i zmarnowałem sporo dobrego papieru. Cóż więc teraz na to poradzić? Nic chyba, poza tym, że państwo muszą zdobyć się na cierpliwość, a ja rozpocznę historię po raz trzeci.

ROZDZIAŁ III

Sprawę tego, jak rozpocząć należycie opowiadanie, próbowałem rozstrzygnąć w sposób dwojaki. Po pierwsze poskrobałem się w głowę, co nie dało żadnych wyników. Po drugie poradziłem się mojej córki Penelopy, która podsunęła mi zupełnie nowy pomysł.

Penelopa sądzi, że powinienem opisać dokładnie wszystko, co zaszło, dzień po dniu, poczynając od chwili, kiedyśmy się dowiedzieli, że pan Franklin Blake ma nam złożyć wizytę. Kiedy się skupi uwagę na określonej dacie, az dziw bierze, ile szczegółów odslania pobudzona w ten sposób pamięć. Główna trudność polega na ustaleniu dat. Ale Penelopa przyrzekła, że zrobi to za mnie przy pomocy swego dzienniczka, bo nauczono ją prowadzić dziennik jeszcze w szkole i prowadzi go po dziś dzień. Zaproponowałem dalsze ulepszenie tego pomysłu, mianowicie, żeby Penelopa spisała zamiast mnie tę historię na podstawie swego dzienniczka, odpowiedziała jednak, zarumieniona i gniewna, że dziennik przeznaczony jest tylko dla niej samej i nikt z żyjących nie dowie się nigdy, co w nim jest napisane. Na pytanie, co to znaczy, odparła: — Nic!

Ja jednak wiem, co to znaczy — sprawy sercowe.

Rozpoczynając więc niniejszą opowieść zgodnie z planem Penelopy, pozwalam sobie stwierdzić, że wezwano mnie pilnie pewnego wtorku do salonu mojej pani. Było to 24 maja 1848 roku.

— Gabrieli — rzekła moja pani mam nowiny, które cię zadziwią. Franklin Blake wrócił zza granicy. Zatrzymał się u swego ojca w Londynie i przyjeżdża do nas jutro z dłuższą wizytą. Zabawi aż do urodzin Racheli.

Gdybym miał kapelusz w ręku, tylko chyba szacunek dla mojej pani powstrzymałby mnie od podrzucenia go pod sufit. Nie widziałem pana

Franklina od czasów, kiedy jako maty chłopiec mieszkał wraz z nami w tym domu. Był, o ile pamiętałem, najmilszym chłopcem, jaki kiedykolwiek strzelał z procy i wybijał od czasu do czasu szyby. Panna Rachel, która była obecna przy tej scenie i do której zwróciłem się z powyższą uwagą, odrzekła, że o ile ją pamięć nie myli, był to najstraszliwszy despota, jaki kiedykolwiek maltretował lalki i doprowadzał małe dziewczynki do stanu całkowitego wyczerpania, zmuszając je do zabawy w koniki. — Ilekroć pomyślę o Franklinie Blake'u, płonę z gniewu i umieram ze zmęczenia — zakonkludowała.

Zapytają państwo naturalnie, jak to się stało, że pan Franklin spędził za granicą wszystkie te lata od czasu, kiedy był dzieckiem, aż do chwili, kiedy osiągnął wiek dojrzały. Odpowiadam więc: jego ojciec miał nieszczęście być najbliższym dziedzicem tytułu książęcego, ale nie mógł tego dowieść. Oto jak się ta sprawa przedstawia w krótkich słowach: Najstarsza siostra mojej pani poślubiła znanego powszechnie pana Blake'a — równie słynnego ze swej wielkiej fortuny, jak i z wielkiego procesu, który prowadził. Przez wiele lat zadręczał trybunały naszej ojczyzny, żądając, aby aktualnemu księciu odebrano tytuł i władzę, wprowadzając na miejsce tego księcia jego, pana Blake'a. Nie potrafiłbym wyliczyć, ilu adwokatom nabił przy tym kabzę i ile spokojnych skądinąd obywateli pokłóciło się śmiertelnie o to, czy pretensje pana Blake'a są słuszne, czy też nie. W każdym razie żona jego i troje spośród dzieci zmarło, zanim trybunały postanowiły wreszcie wskazać mu drzwi i nie odbierać mu więcej pieniędzy. Kiedy się wszystko skończyło i aktualny książę pozostał przy swym tytule, pan Blake doszedł do wniosku, że ma tylko jedną drogę wyrównania rachunków z ojczyzną za sposób, w jaki go potraktowała — postanowił mianowicie pozbawić ją zaszczytu wychowania swego syna. „Jak mogę ufać rodzimym instytucjom — mówił — po tym, jak te instytucje obeszyły się ze mną?” Dodajmy jeszcze, że pan Blake nie znosił w ogóle chłopców, nie wyłączając własnego syna, a przyznają państwo, że rzecz cała mogła mieć tylko jeden wynik. Odebrano nam panicza Franklina i wysłano go do jednej z instytucji, którym jego ojciec ufał; mianowicie do zakładu wychowawczego w Niemczech. Należy jednak nadmienić, iż sam pan Blake pozostał sobie wygodnie w Anglii, aby uszlachetniać umysły swych rodaków w parlamencie i pisać traktat o aktualnym księciu, którego to traktatu po dziś dzień nie zakończył.

Proszę! Dzięki Bogu, tę część wreszcie opowiedziałem! Ani państwo, ani ja nie potrzebujemy się już troszczyć o pana Blake'a-seniora, Pozostawmy go jego tytułowi książęcemu i zajmijmy się diamentem.

Diament zaś każe nam wrócić do pana Franklina, który (będąc zresztą w tej sprawie tylko niewinnym narzędziem losu) przywiózł ów fatalny klejnot do naszego domu.

Kochany chłopiec nie zapominał o nas przebywając za granicą. Pisywał od czasu do czasu — niekiedy do mojej pani, niekiedy do panny Racheli, a niekiedy i do mnie, Przed jego wyjazdem zawarliśmy pewną transakcję polegającą na tym, że pożyczył ode mnie kłębek sznurka, scyzoryk o czterech

ostrzach oraz siedem szylingów i sześć pensów w gotówce, których to pieniędzy dotychczas nie zobaczyłem i nigdy już pewnie nie zobaczę. Listy jego do mnie dotyczyły dalszych pożyczek. Wiedziałem jednak od mojej pani, że powodzi mu się za granicą dobrze i że dorasta pomyślnie. Kiedy nauczył się już wszystkiego, czego mogły go nauczyć zakłady niemieckie, udał się w poszukiwaniu wiedzy do Francji, a następnie do Włoch. W wyniku tych wędrówek stał się, o ile się orientuję, uniwersalnym geniuszem. Trochę pisał, trochę malował, trochę śpiewał, grał i komponował, pożyczając, jak podejrzewam, od kogo się da, podobnie jak pożyczał ode mnie. Kiedy osiągnął pełnoletność, odziedziczył fortunę matki (siedemset funtów rocznie), która przeciekła przez jego ręce jak przez sito. Im więcej miał pieniędzy, tym więcej byto mu potrzeba. Pan Franklin bowiem miał w kieszeni dziurę, której nic w świecie nie zdołało zaszyć. Gdziekolwiek się znajdował, był powszechnie lubiany za żywe usposobienie i miły sposób bycia. Mieszkał tu, ówdzie i wszędzie, adres jego (jak sam powiadał) brzmiał: „Europa, poste restante — przechować do chwili zgłoszenia się adresata”. Dwukrotnie postanawiał już wrócić do Anglii, by nas odwiedzić, i dwukrotnie (darują mi państwo frywolność) jakaś anonimowa kobieta stawiała mu na drodze i go zatrzymywała. Trzecia próba jednak uwieńczyła się powodzeniem, jak wiedzą już państwo z tego, co powiedziała mi moja pani. W czwartek, dwudziestego piątego maja, mieliśmy przekonać się po raz pierwszy, na jakiego mężczyznę wyrósł nasz mały chłopiec. Miał dobrą krew w żyłach, odznaczał się wielką odwagą i skończył właśnie dwadzieścia pięć lat. Teraz wiedzą państwo o panu Franklinie Blake'u dokładnie tyle, co wiedziałem ja, zanim pan Franklin zjechał do naszego domu.

We czwartek była prześliczna pogoda i moja pani wraz z panną Rachelą (nie spodziewając się pana Franklina przed wieczorem) pojechały na lunch do pewnych przyjaciół w sąsiedztwie.

Po ich odjeździe poszedłem obejrzeć pokój przygotowany dla naszego gościa i przekonałem się, że wszystko jest w porządku. Następnie, będąc w domu mojej pani nie tylko ochmistrem, ale i podczaszym (na swoje własne żądanie, zaznaczam, nie mogłem bowiem znieść, żeby ktokolwiek inny miał klucze od piwnicy nieboszczyka sir Johna) — następnie więc przyniosłem z piwnicy parę butelek naszego stawnego wina latour i postawiłem je w ciepłym miejscu, żeby się trochę ogrzało przed obiadem. A że to, co dobre jest dla starego wina, dobre jest również dla starych gości, postanowiłem wziąć swój wyplatany fotel i usiąść w słońcu na kuchennym podwórku, gdy naraz z tarasu przed rezydencją mojej pani dobiegł mnie odgłos przypominający ciche bicie w bębny.

Udałem się tedy na taras i ujrzałem trzech mahoniowych Hindusów w białych płóciennych szatach i pantalonach, którzy wpatrywali się w okna domu.

Hindusi, jak dostrzegłem po przyjrzeniu się, mieli zawieszane przed sobą na temblakach małe ręczne bębny. Za nimi stał mały, wątyły, jasnowłosy chłopiec angielski, trzymając w ręku worek. Pomyślałem sobie, że Hindusi są wędrownymi kuglarzami, a chłopiec z workiem nosi pewnie ich narzędzia

pracy. Jeden z nich, który mówił po angielsku i odznaczał się, muszę przyznać, nieskazitelnymi manierami, poinformował mnie za chwilę, że przypuszczenie moje było słuszne. Poprosił o pozwolenie zademonstrowania swoich sztuczek w obecności pani domu.

Muszę tu zaznaczyć, że nie jestem bynajmniej zgorzkniałym i zrzędnym starcem. Na ogół biorąc przepadam za wszelką zabawą i nie czuję nigdy nieufności do innych tylko dlatego, że mają skórę trochę ciemniejszą ode mnie. Ale najlepsi spośród nas mają swoje słabostki, moja zaś polega na tym, że kiedy koszyk ze srebrem rodzinnym stoi na stole w otwartym kredensie, widok obcego przybysza odznaczającego się manierami znacznie gładzszymi od moich natychmiast mi o tym koszyku przypomina. Wobec powyższego oznajmiłem Hindusowi, że pani nie ma w domu i wyprosiłem go wraz z towarzyszami. Ukłonił mi się pięknie w odpowiedzi, po czym oddalił się natychmiast. Ja ze swej strony powróciłem do wyplatanego fotela, usadowiłem się po słonecznej stronie podwórza i zapadłem (skoro mam wyznać prawdę), jeśli nie w sen, to w każdym razie w drzemkę.

Obudziła mnie moja córka Penelopa, która przybiegła z takim krzykiem, jakby się paliło. I jak państwo myślą, czego chciała? Chciała, żeby zatrzymać natychmiast trzech kuglarzy hinduskich, bo wiedzą, kto ma przyjechać do nas z Londynu i mają złe zamiary w stosunku do pana Franklina Blake'a.

Imię pana Franklina sprawiło, że ocknąłem się od razu. Otworzyłem oczy i kazałem dziewczynie wytłumaczyć spokojnie, o co chodzi.

Okazało się, że Penelopa wróciła właśnie z domku odźwiernego przy bramie, gdzie gawędziła z córką odźwiernego. Obydwie dziewczyny widziały, jak Hindusi odeszli po rozmowie ze mną. Dziewczęta wbiły sobie natychmiast do głowy, że Hindusi źle traktują chłopca — tylko zresztą dlatego, że był ładny i *wyglądać* na słabowitego. Przekradły się więc wzdłuż wewnętrznej strony żywopłotu, aby obserwować dalsze poczynania cudzoziemców. I oto jak niezwykle rzeczy ujrzały:

Cudzoziemcy zatrzymali się na drodze i rozejrzeli się wokoło, jak by chcąc się upewnić, że są sami. Potem wszyscy trzej zwrócili się twarzami w stronę naszego domu i przez chwilę patrzyli uważnie w tym kierunku. Następnie pogadali w ojczystym języku i spojrzeli po sobie jakby niepewni, co dalej robić. Wreszcie wszyscy trzej zwrócili się do małego Anglika, jak gdyby spodziewając się od niego pomocy. I wówczas główny Hindus, ten co mówił po angielsku, rzekł do chłopca: — Wyciągnij rękę.

Na te groźne słowa mojej córce Penelopie serce, jak powiada, omal nie wyskoczyło z piersi. Ja wprawdzie pomyślałem sobie w duchu, że miała pewnie po prostu zbyt mocno zasznurowany gorset, ale na głos powiedziałem tylko: — Ciarki mnie przechodzą. — (Notabene: kobiety lubią takie dowody uwagi).

A więc kiedy Hindus powiedział: —wyciągnij rękę — chłopiec cofnął się, potrząsnął głową i powiedział, że nie chce, bo mu się to nie podoba. Na co Hindus zapytał go (całkiem zresztą łagodnie), czy będzie mu się podobało, jeżeli go odeślą z powrotem do Londynu i zostawią tam, gdzie go znaleźli —

wygłodzonego, obdartego, opuszczonego chłopca, śpiącego w pustym koszu na rynku. To rozstrzygnęło sprawę. Mały, acz niechętnie, wyciągnął rękę, Hindus zaś wyjął z zanadru butelkę i nalał z niej chłopcu na dłoń trochę czarnego płynu przypominającego atrament. Potem dotknął głowy chłopca, uczynił nad nią w powietrzu jakieś dwa znaki i rzekł:

— Patrz.

Chłopiec zeszywniał i stał jak posąg, wpatrując się w atrament na swej dłoni.

(Jak dotąd uważałem to wszystko za zwykłe kuglarskie sztuczki połączone z lekkomyślnym marnowaniem atramentu. Zaczęła mnie już nawet ogarniać senność, gdy nagle słowa Penelopy zupełnie mnie otrzeźwiły).

Hindusi rozejrzeli się znów po drodze, a potem główny Hindus odezwał się do chłopca w te słowa:

— Czy widzisz angielskiego pana z dalekich krajów?

— Widzę go — odparł chłopiec. Hindus pytał dalej:

— Czy to właśnie na drodze do tego domu, nie na żadnej innej, angielski pan minie nas dzisiaj?

— Tak — odparł chłopiec — angielski pan minie was dzisiaj na drodze do tego domu, na żadnej innej.

Hindus poczekał chwilę, po czym zadał następne pytanie.

— Czy angielski pan ma coś przy sobie? Chłopiec również zawahał się chwilę, po czym *rzeki*:

— Tak.

Hindus zadał trzecie i ostatnie pytanie:

— Czy angielski pan przyjedzie tutaj, jak obiecał, u schyłku dnia?

— Nie wiem — odrzekł chłopiec. Hindus zapytał, dlaczego nie wie.

— Jestem zmęczony — odrzekł chłopiec. — Mgła podnosi mi się w głowie i mąci wzrok. Nic już dzisiaj nie mogę zobaczyć.

Na tym indagacja się zakończyła. Główny Hindus powiedział coś w swoim języku do pozostałych dwóch towarzyszy, wskazując najpierw na chłopca, a potem w kierunku miasta, w którym, jak stwierdziliśmy później, kwaterowali. Następnie uczynił znów jakieś znaki nad głową chłopca, dmuchnął mu w czoło i w ten sposób obudził go z odrętwienia. Ruszyli wówczas wszyscy w kierunku miasta i dziewczęta więcej już ich nie widziały.

Większość spraw ludzkich ma swój morał, jeżeli tylko zadamy sobie trud, aby go znaleźć. Jakież tedy był morał tego wydarzenia?

Morał, moim zdaniem, był taki: po pierwsze główny kuglarz usłyszał, jak służba rozmawiała przed domem o przyjeździe pana Franklina, i wpadł na pomysł zarobienia przy tej sposobności paru groszy. Po drugie on, jego towarzysze i chłopiec (w celu zarobienia wspomnianych paru groszy) zamierzają wałęsać się w pobliżu, dopóki nie zobaczą, że moja pani jedzie. Wówczas wrócą i czarodziejskim rzekomo sposobem przepowiedzą przyjazd pana Franklina. Po trzecie to, co Penelopa słyszała, było próbą tej ich

sztuczki, podobnie jak aktorzy urządzają próby sztuk teatralnych. Po czwarte powinienem tego wieczora mieć na oku koszyk ze srebrem. Po piąte Penelopa najlepiej zrobi, jeżeli się uspokoi i pozwoli mi, jej ojcu, zdrzemnąć się jeszcze chwilę na słoneczku.

Był to, jak mi się zdaje, rozsądny pogląd na sprawę. Ale jeżeli znają państwo choć trochę młode dziewczęta, nie zdziwią się zapewne, że Penelopa za nic nie chciała się z tym poglądem zgodzić. Twierdziła, że morał wydarzenia jest poważny, a nawet groźny i kładła szczególny nacisk na trzecie pytanie Hindusa: „Czy angielski pan ma coś przy sobie?”

— Och, ojcze! — wołała Penelopa załamując ręce — nie żartuj z tym! Co to znaczy: „Czy ma coś przy sobie?” O co tu chodzi?

— Kochanie — odparłem — jeżeli poczekasz, aż pan Franklin przyjedzie, to go zapytamy.

Mrugnąłem przy tym, aby dać do zrozumienia, że żartuję, Penelopa jednak wzięła moje słowa całkiem serio. Jej poważna mina ubawiła mnie.

— Skądże pan Franklin ma o tym wiedzieć? — zapytałem.

— Zapytaj go — odparła Penelopa — a przekonasz się, czy on też będzie uważał, że to coś śmiesznego.

Wypuściwszy w moim kierunku tę ostatnią strzałę, odeszła zagniewana.

Po jej odejściu postanowiłem sobie, że zapytam rzeczywiście pana Franklina — przede wszystkim po to, żeby rozproszyc obawy Penelopy. Opis mojej *rozmowy* z panem Franklinem, która miała miejsce jeszcze tego samego dnia, znajdą państwo we właściwym miejscu. Ale ponieważ nie chcę rozbudzać w państwu nadziei, a potem sprawić im rozczarowania, zaznaczę od razu — zanim posuniemy się dalej — że rozmowa nasza na temat kuglarzy nie była wcale utrzymana w tonie żartobliwym. Ku memu wielkiemu zdziwieniu pan Franklin podobnie jak Penelopa potraktował sprawę poważnie. Jak poważnie, rozumieją państwo sami, gdy wyjaśnię, że jego zdaniem Hindus pytając chłopca, czy pan Franklin „ma coś przy sobie”, miał na myśli Kamień Księżycowy.

ROZDZIAŁ IV

Przykro mi ogromnie, że zaprzątam uwagę państwa moją własną osobą i moim wyplatany fotel. Zdaję sobie dobrze sprawę, że senny stary człowiek na zalanym słońcem podwórzu kuchennym nie jest tematem interesującym. Ale muszę spisać po kolei wszystko, jak było, proszę więc, aby zechcieli państwo zabawić jeszcze przez jakiś czas ze mną w oczekiwaniu przyjazdu pana Franklina Blake'a.

Zanim zdołałem znowu zapaść w drzemkę po odejściu mojej córki Penelopy, usłyszałem brzęk naczyń i talerzy w kuchni, oznaczający, że obiad już gotów. Ponieważ spożywałem posiłki we własnej bawialni, obiad służby mnie nie obchodził, powiedziałem więc tylko im wszystkim „smacznego” i usadowiłem się wygodniej w krześle, aby drzemać dalej. Wyciągnąłem

właśnie nogi, gdy znów jakaś kobieca postać wypadła na podwórze jak bomba. Nie była to tym razem moja córka, lecz podkuchenna Nancy. Siedziałem akurat na jej drodze i gdy poprosiła, bym ją przepuścił, dostrzegłem, że jest zachmurzona i nadąsana, a jako kierownik służby w zasadzie nie pomijam nigdy milczeniem takich niepokojących oznak.

— Dlaczego nie jesz obiadu, Nancy? — zapytałem. — Co się stało? Nancy próbowała precyzyjnie się obok mnie bez odpowiedzi, wobec czego

wstałem i ująłem ją za ucho. Nancy jest miłą, pulchną dziewczuszką, ja zaś mam zwyczaj w ten sposób okazywać dziewczętom swoją sympatię.

— No, co się stało? — zapytałem raz jeszcze.

— Rosanna znów się spóźniła na obiad — odparła Nancy. — Kazano mi po nią iść. W tym domu zwala się na mnie całą robotę. Niech mnie pan puści, panie Betteredge!

Osoba wymieniona tu jako Rosanna była w owym czasie naszą drugą pokojówką. Żywiąc niejakiem współczuciem dla drugiej pokojówki (dlaczego, dowiedzą się państwo za chwilę) i orientując się z wyrazu twarzy Nancy, że wołając koleżankę użyje zapewne ostrzejszych słów, niż okazja tego wymaga, pomyślałem sobie, że przecież nie mam nic specjalnego do roboty, mogę więc sam pójść po Rosannę i napomnieć ją łagodnie, aby na przyszłość była punktualna, wiedziałem bowiem, że ode mnie przyjmie taką uwagę bez gniewu.

— A gdzie jest Rosanna? — zapytałem.

— Na piaskach, oczywiście — rzekła gniewnie Nancy. — Dziś rano znowu zemdląła i prosiła, żeby jej pozwolono wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem. Nie mam już do niej cierpliwości.

— Wracaj na obiad, moje dziecko — rzekłem. — Ja mam do niej cierpliwość i sam po nią pójde.

Nancy (która odznacza się doskonałym apetytem) rozpromieniła się od razu. Kiedy się uśmiecha, wygląda bardzo mile, a kiedy wygląda mile, biorę ją pod brodę. Nie wypływa to bynajmniej z pobudek niemoralnych, lecz po prostu z przyzwyczajenia.

Otóż więc wziąłem swoją laskę i ruszyłem na piaski.

Nie! Nie mogę jeszcze wyruszyć. Przykro mi, że znowu państwa zatrzymuję, ale doprawdy muszą państwo usłyszeć historię piasków oraz historię Rosanny — a to dlatego, że sprawa diamentu ściśle się z nimi wiąże. Jakże usilnie się staram ciągnąć swoją opowieść nie zatrzymując się po drodze i jak mi się to wciąż nie udaje! Ale cóż począć! Osoby i rzeczy wciąż wdzierają się do naszego życia w sposób nieoczekiwany a irytujący i domagają się natarczywie, aby zwrócono na nie uwagę. Nie dajmy się więc wytrącić z równowagi i postarajmy się załatwić z nimi jak najzwieźle, a znajdziemy się wkrótce w nurcie akcji, przyrzekam to państwu solennie!

Rosanna (że udzielimy pierwszeństwa osobie, co nakazuje chyba zwykła grzeczność) była jedyną nową służącą w naszym domu. Na cztery miesiące przed opisywanym przeze mnie okresem moja pani była w Londynie i udała się tam do zakładu poprawczego, w którym gromadzi się zwolnione

z więzienia kobiety, aby ratować je przed powrotem na złą drogę. Przełożona widząc, że moja pani interesuje się szczerze zakładem, wskazała pewną dziewczynę nazwiskiem Rosanna Spearman i opowiedziała jej niezmiernie tragiczną historię, której nie chciałbym przytaczać, nie lubię bowiem smucić się bez potrzeby, podobnie zapewne jak i państwo. Sens historii był taki: Rosanna Spearman była ongiś złodziejką, a że nie należała do tego rodzaju złodziei, którzy zakładają spółki akcyjne w City i zamiast jednej osoby okradają tysiące ludzi, dosięgła ją karząca dłoń sprawiedliwości. Dziewczyna znalazła się w więzieniu, a następnie w zakładzie poprawczym. Przełożona twierdziła jednak, że Rosanna (mimo swej przeszłości) jest dziewczyną o wyjątkowych zaletach charakteru, czego dowiodłaby niewątpliwie, gdyby jakaś dobra chrześcijanka zechciała się nią zaopiekować. Słyszając to moja pani (od której lepszej chrześcijanki nie ma chyba w świecie) ozwała się do przełożonej w te słowa: — Rosanna Spearman będzie miała sposobność dowieść tego w służbie u mnie. — W tydzień potem Rosanna Spearman weszła do naszego domu w charakterze drugiej pokojówki.

Poza panną Rachelą i mną nie zapoznano z historią dziewczyny żywej duszy. Moja pani, która czyni mi ten zaszczyt, że radzi się mnie w większości spraw, zasięgnęła też mojej rady w sprawie Rosanny, ja zaś zgodziłem się całkowicie z moją dobrodziejką, jako że w ostatnich czasach wzorem nieboszczyka sir Johna nabrałem zwyczaju przyznawania jej we wszystkim racji.

Trudno by rzeczywiście dać dziewczynie lepszą sposobność do wykazania swych zalet i dobrych chęci. Nikt ze służby nie mógł wypominać jej dawnego życia, gdyż nikt ze służby o tym nie wiedział. Miała na równi z innymi swoją pensję i swoje przywileje, ponadto zaś moja pani raz po raz na osobności dodawała jej otuchy życzliwym słowem. Rosanna ze swej strony okazała się, muszę przyznać, całkowicie godna tej życzliwości. Aczkolwiek nie była zbyt silna i miewała od czasu do czasu wspomniane już omdlenia, jednak pełniła swe obowiązki gorliwie i bez słowa skargi, nie gardząc żadną pracą, wykonując ją z reguły bardzo dobrze i zachowując się przy tym z wielką skromnością. Z niewiadomego powodu wszakże nie zjednała sobie sympatii innych służących, wyjąwszy moją córkę Penelope, która była zawsze serdeczna dla Rosanny, choć nie nawiązała z nią bardziej zażyłych stosunków.

Nie wiem doprawdy, czym się dziewczyna naraziła koleżankom. Nie odznaczała się z pewnością urodą, której mogłyby jej zazdrościć, była bowiem najbrzydszą kobietą w domu i na domiar złego miała jedną łopatkę wyższą od drugiej. Sądzę, że służące irytowała jej małowówność i samotnicze usposobienie. W wolnych chwilach, gdy inne kobiety plotkowały, ona zazwyczaj czytała lub szyła. Ilekroć zaś miała wychodne, w dziewięciu wypadkach na dziesięć wkładała bez słowa kapelusz i oddalała się samotnie. Nigdy się z nikim nie kłóciła, nigdy się nie obrażała, zachowywała jedynie pewien dystans między resztą służby a sobą, czyniąc to w sposób uprzejmy, lecz stanowczy. Dodajmy do tego, «e mimo brzydoty miała w sobie coś nieuchwytnego, co sprawiało, iż wyglądała raczej na damę niż na pokojówkę. Czy to coś kryło się w głosie, czy też w twarzy, nie umiem powiedzieć,

w każdym razie wszystkie kobiety od pierwszego dnia to zauważyły i twierdziły (zupełnie zresztą niesłusznie), że Rosanna Spearman zadziera nosa.

Opowiedziałem tedy historię Rosanny; pozostaje mi więc jeszcze opowiedzieć o jednym z dziwnych zwyczajów tej niezwyklej dziewczyny, abym mógł przejść następnie do historii piasków.

Dom nasz stoi wysoko na wybrzeżu yorkshirskim, w pobliżu morza. Mamy dokoła piękne spacerowe we wszystkich kierunkach oprócz jednego. Spacer w tym kierunku nazwałbym spacerem szkaradnym. Droga biegnie na przestrzeni ćwierć mili przez melancholijny zagajnik jodłowy i wyprowadza państwa pomiędzy niskich skał nad najbrzydszą i najbardziej bezludną zatoczkę na całym naszym wybrzeżu.

Wzgórza piaszczyste sięgają tu w dół aż do morza i kończą się dwoma skalistymi cyplami, które ciągną się równolegle do siebie i giną z oczu daleko w falach. Między tymi cyplami, przesuając się o pewnych porach roku naprzód i w tył, leżą najokropniejsze ruchome piaski na wybrzeżu yorkshirskim. Podczas przyływu i odpływu w niezbadanych głębinach podziemnych dzieje się coś, co sprawia, że cała powierzchnia zaczyna drgać i falować w sposób niesamowity, i co zyskało jej wśród okolicznej ludności nazwę Drżących Piasków. O pół mili dalej, w pobliżu ujścia zatoki, wielki wał łamie napór grzywaczy nadbiegających od strony oceanu. W zimie i w lecie podczas przyływu morze jak gdyby pozostawia bałwany poza wałem i gładko toczy swe wody, przykrywając plażę w zupełnej ciszy. Bezludne i przerażające ustronie, powiadam państwu! Żadna łódź nie zawija nigdy do tej zatoczki. Dzieci z naszej osady rybackiej, Cobb's Hole, nie przychodzą nigdy tu się bawić. Nawet ptaki, jak mi się zdaje, omijają Drżące Piaski z daleka. Trudno więc uwierzyć, aby młoda kobieta, mając do wyboru tyle ślicznych spacerów i mogąc mieć zawsze towarzystwo na zawołanie, wołała właśnie to miejsce i w każde wychodne siadywała tu z robotą lub z książką sama jedna. Ale właśnie to miejsce było celem wycieczek Rosanny Spearman, z wyjątkiem jednego czy dwóch wypadków, gdy udała się do Cobb's Hole w odwiedziny do jedynej przyjaciółki, jaką miała w okolicy, o czym będzie mowa później. Ruszyłem więc do owego ustronia, żeby zawołać dziewczynę na obiad, co sprowadza nas pomyślnie do punktu wyjścia i toruje nam drogę do historii piasków.

W zagajniku jodłowym nie znalazłem Rosanny. Ale gdy poprzez piaszczyste wzgórza wyszedłem na plażę, ujrzałem ją od razu. Siedziała w swoim słomkowym kapelusiku i skromnej szarej pelerynie, którą zawsze nosiła, aby w miarę możliwości ukryć niekształtne ramię — siedziała zupełnie sama i patrzyła na ruchome piaski i na morze.

Gdy się do niej zbliżyłem, drgnęła i odwróciła ode mnie głowę. Jeśli ktoś nie patrzy mi w oczy, stanowi to jeszcze jedną niepokojącą oznakę, której jako kierownik służby nie pomijam nigdy milczeniem, obróciłem więc jej głowę ku sobie i zobaczyłem, że dziewczyna płacze. Miałem w kieszeni na podorędziu płócienną chusteczkę — jedną z sześciu pięknych chusteczek ofiarowanych mi

przez moją panią. Wyjąłem tedy chusteczkę i rzekłem do Rosanny:

— Chodź, moja droga, usiądziemy razem na stoku. Wytrę ci najpierw oczka, a potem pozwolę sobie zapytać, czemu płaczesz.

Kiedy dojdą państwo do mojego wieku, przekonają się, że przybranie pozycji siedzącej na stoku plaży jest przedsięwzięciem znacznie trudniejszym, niż to się państwu teraz zdaje. Zanim się usadowiłem, Rosanna otarła już oczy chustką znacznie skromniejszą od mojej — z taniego muślinu. Była bardzo smutna i zgnębiona, ale na moje wezwanie usiadła przy mnie posłuszenie. Kiedy się chce szybko pocieszyć kobietę, należy ją przede wszystkim wziąć na kolana. Pomyślałem o tej żelaznej zasadzie, ale cóż — trudna rada — Rosanna to nie była Nancy!

— A teraz powiedz mi, kochanie, czemu płaczesz — rzekłem.

— Oplakuję minione lata, panie Betteredge - odparła cicho Rosanna. — Dawne życie dotychczas przypomina mi się niekiedy.

— Ależ, moje dziecko, dawne życie zostało już przekreślone i wymazane. Powinnaś o nim zapomnieć.

Rosanna ujęła mnie za klapę surduta. Nieporządny ze mnie staruch i to, co jem i piję, pozostawia często ślady na moim ubraniu. To ta, to owa spośród niewiast zajmuje się zwykle czyszczeniem mojego przyodziewku. Rosanna dopiero poprzedniego dnia wywabiła plamę z klapy mojego surduta jakimś nowym gwarantowanym środkiem. Tłusta plama znikła, ale na suknie widniał po niej ślad. Dziewczyna wskazała to miejsce i potrząsnęła głową.

— Plamy nie ma — rzekła — ale ślad został, panie Betteredge, ślad został. Niełatwo mężczyźnie odpowiedzieć na tak nieoczekiwane słowa, gdy

w dodatku zaskoczy się go znienacka uwagą dotyczącą jego własnego surduta. Poza tym na widok twarzy dziewczyny serce ścisnęło mi się z żalu i współczucia. Choć na ogół biorąc była nieładna, miała śliczne ciemne oczy, a w tej chwili malował się w nich saki szacunek dla mojej szczęśliwej starości i nieposzlakowanej reputacji — rzeczy dla niej nieosiągalnych — że zrobiło mi się ciężko na duszy. Ponieważ nie byłem w stanie jej pocieszyć, pozostało mi do zrobienia tylko jedno, a mianowicie zaprowadzić ją na obiad.

— Pomóż mi wstać — powiedziałem. — Spóźniłaś się na obiad, Rosanno, i przyszedłem po ciebie.

— Pan sam przyszedł po mnie, panie Betteredge!

— Kazali Nancy ciebie poszukać, ale pomyślałem sobie, że może przyjemniej ci będzie, jeżeli ja cię zbesztam, niż gdyby miał cię zbesztać kto inny.

Zamiast pomóc mi wstać, biedactwo ujęło mnie ukradkiem za rękę i uściśniło ją lekko. Widziałem, że z wielkim wysiłkiem powstrzymuje łzy, i szanowałem ją za to.

— Jest pan bardzo dobry, panie betteredge — powiedziała — ale nie chce mi się dzisiaj jeść. Niech mi pan pozwoli jeszcze tu zostać.

— Dlaczego tak lubisz tu przesiadywać? Co cię sprowadza do tego ponurego zakątka?

Coś mnie tu ciągnie — rzekła dziewczyna kreśląc jakieś rysunki na piasku. — Staram się trzymać z daleka od tego miejsca, ale nie mogę.

Czasami — dodała prawie szeptem, jak gdyby lękała się własnej myśli — czasami, panie Betteredge, zdaje mi się, że tu mnie czeka grób.

— Czeka na ciebie pieczeń barania i pudding! — oświadczyłem. — Idź natychmiast na obiad. Oto jakie *sq* skutki rozmyślań o pustym żołądku, Rosanno!

Mówiłem surowym tonem, gdyż zgorzony byłem (rzecz naturalna w moim wieku), że młoda, dwudziestopięcioletnia kobieta myśli o swoim rychłym zgonie!

Rosanna jak gdyby nie słyszała mnie wcale. Położyła tylko rękę na moim ramieniu, abym się nie oddalał.

— Zdaje mi się, że to miejsce rzuciło na mnie urok — powiedziała. — Śnię

o nim co noc, myślę o nim, kiedy siedzę zajęta szyciem. Wie pan, jak jestem wdzięczna, panie Betteredge, wie pan, jak staram się zasłużyć na pańską dobroć i na zaufanie milady. Ale zastanawiam się czasem, czy życie tutaj nie jest zbyt spokojne i beztrudne dla takiej kobiety jak ja, po tym wszystkim, co przeszłam, panie Betteredge — po tym wszystkim, co przeszłam. Wiedząc, że nie jestem taka jak inne służące, czuję się wśród nich bardziej osamotniona, niż kiedy jestem tutaj. Milady nie domyśla się wcale i przełożona zakładu poprawczego także się nie domyśla, jakim okropnym wyrzutem są wszyscy uczciwi ludzie dla takiej kobiety jak ja. Niech się pan na mnie nie gniewa, mój kochany, dobry panie Betteredge. Spełniam swoje obowiązki, prawda? Proszę, niech pan nie mówi milady, że jestem niezadowolona, bo tak nie jest. Czasem tylko odczuwam niepokój i zamęt w myślach, to wszystko. — Zdjęła rękę z mojego ramienia i wskazała nagle na ruchome piaski. — Niech pan spojrzy! — zawołała. — Jakie to wspaniałe, prawda? I jakie straszne! Widziałam to już dziesiątki razy, ale widok ten jest wciąż dla mnie tak nowy, jak gdybym oglądała go po raz pierwszy.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Przyływ właśnie się zaczynał i okropne piaski zaczęły drzeć. Szeroka, brązowa powierzchnia zafalowała lekko, a potem zmarszczyła się i zadrgała.

— Wie pan, jak to wygląda dla mnie? — spytała Rosanna, chwytając mnie znów za ramię. — Jak gdyby tam pod spodem były setki ludzi, którzy się duszą. Wszyscy usiłują wydostać się na powierzchnię i wszyscy zapadają się coraz głębiej w to potworne grzęzawisko! Niech pan rzuci tam kamień, panie Betteredge! Niech pan rzuci kamień, a zobaczy pan, jak piasek go wciągnie!

To już było całkiem niezdrowe gadanie! Oto jak pusty żołądek wpływa na wzburzony umysł! Miałem już na końcu języka ostrą odprawę — wyłącznie dla dobra dziewczyny, zapewniam państwa — gdy naraz od strony wzgórza odezwał się jakiś głos:

— Betteredge! Gdzie jesteś?

— Tutaj! — krzyknąłem w odpowiedzi, nie mając pojęcia, - kto to może być. Rosanna zerwała się i znieruchomiła wpatrzona w kierunku, z którego dobiegał głos. Miałem już dźwignąć się na nogi, gdy uderzyła mnie nagła zmiana w twarzy dziewczyny.

Policzki jej zalał delikatny, śliczny rumieniec, jakiego nigdy u niej

dotychczas nie oglądałem. Rozpromieniła się cała, jakby olśniona przedziwnym, a niezwykłym widokiem.

— Kto to jest? — spytałem.

Ale Rosanna powtórzyła tylko moje pytanie.

— Kto to jest? — wyszeptała raczej do siebie niż do mnie. Obróciłem się z wysiłkiem na piasku i obejrzałem za siebie. Od strony

pagórka zbliżał się ku nam młodzieniec o wesołym wejrzeniu, ubrany w piękny jasny frak, takiż kapelusz i rękawiczki, z różą w butonierce i uśmiechem na ustach, który winien by chyba pobudzić nawet Drżące Piaski do wzajemnego uśmiechu. Zanim zdążyłem wstać, młody człowiek rzucił się na piasek obok mnie, na sposób cudzoziemski objął mnie za szyję i uścisnął z taką siłą, że mi dech zaparło w piersiach.

— Kochany stary Betteredge! — zawołał. — Jestem ci winien siedem szylingów i sześć pensów. Teraz wiesz już chyba, kim jestem?

Boże, zmiłuj się nad nami! Był to — o dobre cztery godziny wcześniej, niż się go spodziewaliśmy — pan Franklin Blake!

Nim zdążyłem odpowiedzieć, spostrzegłem, że pan Franklin z pewnym zdziwieniem przenosi spojrzenie ze mnie na Rosannę. Spojrzałem także na dziewczynę. Rosanna zapewne pod wpływem wzroku pana Franklina oblała się ciemniejszym rumieńcem, poczym wykręciła się na pięcie i odeszła nagle, niezwykle wprost zmieniona. Nie dygnęła nawet przed młodym panem ani nie odezwała się do mnie jednym słowem, co było u niej tym bardziej niezwykle, że nie spotkali państwo z pewnością grzeczniejszej i lepiej wychowanej służącej.

— Dziwna dziewczyna! — zauważył pan Franklin. — Ciekaw jestem, co ją we mnie tak zadziwiło?

— Sądzę, sir — odrzekłem, pokpiwając z cudzoziemskiej edukacji naszego panicza — że to zagraniczny polor zrobi! na niej takie wrażenie.

Podaję tutaj niedbałe pytanie pana Franklina i swoją lekkomyślną odpowiedź na pociechę wszystkim głupcom, zauważyłem bowiem, że nasi mniej rozgarnięci bliźni cieszą się ogromnie, gdy się przekonają, że ci, co stoją od nich wyżej pod względem umysłowym, niekiedy nie postępują wcale mądrzej od nich. Ani pan Franklin mimo swej zagranicznej edukacji, ani ja mimo wieku, doświadczenia i wrodzonej bystrości nie domyślaliśmy się ani przez chwilę, co oznaczało w rzeczywistości niezwykle zachowanie Rosanny Spearman. Zapomnieliśmy zresztą o biedacze, zanim jeszcze szara jej peleryna znikła za wzgórzami. Cóż z tego? — zapytają państwo. Czytajcie dalej, drodzy przyjaciele, czytajcie cierpliwie, a być może pożałujecie Rosanny Spearman równie mocno jak ja, kiedy dowiedziałem się w końcu prawdy.

ROZDZIAŁ V

Gdyśmy zostali sami, przede wszystkim uczyniłem po raz trzeci wysiłek, aby wstać. Ale pan Franklin mnie powstrzymał.

— To posępne miejsce ma jedną zaletę — rzekł — mamy je wyłącznie dla siebie. Nie wstawaj, Betteredge. Mam ci coś do powiedzenia.

Pan Franklin mówił, a ja tymczasem starałem się odszukać w tym dorosłym mężczyźnie rysy małego chłopca, którego znałem w swoim czasie. Daremnie jednak — rumiane policzki chłopca znikły bez śladu, podobnie jak jego dziecinne ubranko. Mężczyzna, który siedział obok mnie, miał bladą cerę, dolną zaś część jego twarzy przesłaniała ku memu zdumieniu i rozczarowaniu kędzierzawa broda i wąsy. Miał żywy sposób bycia, bardzo miły i ujmujący, nie miało to jednak nic wspólnego z jego dawną niesformą wesołością. Co gorsza, zapowiadał się kiedyś na człowieka wysokiego, lecz zapowiedź ta się nie ziściła. Chociaż zgrabny, smukły i dobrze zbudowany, był jednak co najwyżej średniego wzrostu. Krótko mówiąc, wprowadził mnie w okropne zakłopotanie. Minione lata nie zostawiły nic z jego dawnych cech prócz szczerego, męznego spojrzenia ciemnych oczu. W nich tylko odnalazłem naszego kochanego chłopca, postanowiłem więc zakończyć na tym badania.

— Witam pana w starym gnieździe, panie Franklinie — powiedziałem. — Witam tym goręcej, że przyjechał pan o kilka godzin wcześniej, niż się pana spodziewaliśmy.

— Miałem do tego powody — odparł Franklin. — Podejrzewam, Betteredge, że przez ostatnie kilka dni w Londynie byłem śledzony, zamiast więc pociągiem popołudniowym, wyjechałem pociągiem porannym, żeby się wymknąć pewnemu smagłemu nieznajomemu.

Słowa te wprowadziły mnie w osłupienie. Przypomniałem sobie natychmiast trzech kuglarzy i twierdzenie Penelopy, że knują oni coś złego przeciwko panu Franklinowi.

— Któż to pana śledził, sir, i dlaczego? — zapytałem.

— Opowiedz mi o trzech Hindusach, którzy byli tu dzisiaj — rzeki pan Franklin nie zważając na moje pytanie. - Nie jest wykluczone, Betteredge, że mój nieznajomy i wasi trzej kuglarze stanowią części składowe tej samej łamigłówki.

— Ale skądże pan wie o kuglarzach, sir? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie, co, jak sam muszę przyznać, jest w bardzo złym tonie. Ale trudno wymagać zbyt wiele od mizernej natury ludzkiej, proszę więc ode mnie także nie wymagać zbyt wiele.

— Widziałem się już w domu z Penelopą i opowiedziała mi o nich — wyjaśnił pan Franklin. — Twoja córka zapowiadała się na ładną dziewczynę, Betteredge, i nie zawiodła oczekiwań. Penelopa ma małe uszy i drobną stopę. Czy nieboszczka pani Betteredge odznaczała się tymi zaletami?

— Nieboszczka pani Betteredge odznaczała się niezliczoną ilością wad, sir — odparłem. — Jedną z nich, za pozwoleniem pańskim, było to, że zawsze przeskakiwała z tematu na temat. Przypominała raczej muchę niż kobietę — nie potrafiła się na niczym zatrzymać dłużej.

— W takim razie pasowałyby do mnie doskonale — oznajmił pan Franklin. — Ja też nie potrafię się na niczym dłużej zatrzymać. Ale ty.

Betteredge, wciąż masz umysł ostry jak brzytwa. Twoja córka wspominała mi już o tym, kiedy ją pytałem o kuglarzy. „Ojciec panu opowie, sir. Jak na swoje lata trzyma się wprost cudownie i nikt nie umie tak pięknie mówić jak on”. Oto co mi powiedziała Penelopa, rumieniąc się przy tym prześlicznie. Nawet cały mój szacunek dla ciebie nie zdołał mnie powstrzymać od tego, żeby... ale mniejsza o to, znałem ją, kiedy była jeszcze dzieckiem, i nic jej się złego nie stało. Mówmy więc poważnie. Co robili ci kuglarze?

Byłem trochę niekontent z mojej córki — nie dlatego, że pozwoliła się pocałować panu Franklinowi, nie miałem nic przeciwko temu — lecz dlatego, że zmusiła mnie, abym to ja powtarzał z drugiej ręki jej niemądre opowiadanie. Nie miałem jednak innej rady, jak opisać popołudniowe zdarzenie. W miarę mojego opowiadania wesołość pana Franklina gasła. Siedział marszcząc brwi i targając ręką brodę. Kiedy skończyłem, powtórzył za mną dwa pytania, które kuglarz zadał chłopcu — zapewne chciał je utrwalić dobrze w pamięci.

— Czy to właśnie na drodze do tego domu, nie na żadnej innej, angielski pan minie nas dzisiaj? Czy angielski pan ma coś przy sobie? Podejrzewam — dodał pan Franklin wyjmując z kieszeni małą, zapieczętowaną paczuszkę — że „coś” oznacza to. A to, Betteredge, jest słynny diament mojego wuja Herncastle'a.

— Wielki Boże, sir! — wybuchnąłem. — Jakże się to stało, że ma pan w swojej pieczy diament strasznego pułkownika?

— Straszny pułkownik zapisał diament w testamencie kuzynce Racheli jako prezent urodzinowy — odparł pan Franklin. — A mój ojciec, wykonawca ostatniej woli strasznego pułkownika, dał mi klejnot, żebym go tu przywiózł.

Gdyby morze zamieniło się nagle w pustynię, nie zdziwiłoby mnie to chyba bardziej niż słowa pana Franklina,

— Pułkownik zapisał diament pannie Racheli! A pański ojciec, sir, jest wykonawcą testamentu pułkownika! Ależ założyłbym się o każdą sumę, że pański ojciec nie zechce dotknąć pułkownika nawet parą szczyptic!

— Ostre słowa, Betteredge! Cóż właściwie zarzucano pułkownikowi? Należał do twojej epoki, nie do mojej. Opowiedz mi, co wiesz o nim, a ja ci opowiem, w jaki sposób ojciec został wykonawcą jego testamentu i jeszcze kilka ciekawych rzeczy. Poczyniłem w Londynie pewne odkrycia dotyczące wuja Herncastle'a i jego diamentu, które wyglądają dla mnie dość brzydko i chciałbym, żebyś je potwierdził. Poszperaj w pamięci, drogi przyjacielu, i opowiedz mi, co wiesz.

Widziałem, że mówi poważnie, opowiedziałem mu więc wszystko.

Podaję teraz w streszczeniu swoje słowa, spisane specjalnie dla informacji państwa. Proszę przeczytać je uważnie, w przeciwnym bowiem razie nie będą się państwo orientowali w dalszym ciągu opowieści. Niech panie zapomną na chwilę o dzieciach, o obiedzie, o nowym kapeluszu i tak dalej, a panowie o polityce, o cenach na giełdzie i o przykrościach w klubie. Proszę nie brać mi za złe tego zuchwalstwa, jest to tylko pewna forma apelu do

moich czcigodnych czytelników. Mój Boże, czyż nie widywałem państwa nad utworami większych ode mnie pisarzy i czyż nie wiem, jak skłonni jesteście do roztargnienia, gdy uwagi waszej domaga się nie jakaś dostojna osoba, lecz skromna książka?

Wspominałem już przedtem o ojcu mojej pani, starym lordzie, który odznaczał się porywczym usposobieniem i ostrym językiem. Miał on pięcioro dzieci. Najpierw dwóch synów, potem, po długiej przerwie, trzy córki, które przyszły na świat jedna po drugiej w odstępach czasu tak krótkich, jak tylko pozwoliła na to natura. Moja pani, jak już nadmieniałem, była najmłodszą z trójki i odznaczała się najlepszym sercem. Z dwóch synów starszy, Artur, odziedziczył tytuł i dobra, młodszy zaś, szlachetnie urodzony John, dostał w spadku po jednym z krewnych piękną fortunę i wstąpił do wojska.

Zły to ptak, powiadają, co własne gniazdo kała. Uważam szlachetną rodzinę Herncastle'ów za swoje gniazdo, proszę więc nie mieć mi za złe, jeśli nie będę wdawał się w szczegóły dotyczące osoby szlachetnie urodzonego Johna. Był on w moim przeświadczeniu jednym z największych łotrów, jacy kiedykolwiek stąpali po ziemi. To wszystko, co mogę o nim powiedzieć. Znalazł się z początku w Gwardii Królewskiej, ale musiał ją opuścić w wieku lat dwudziestu dwóch — mniejsza o to, dlaczego. W wojsku panuje surowy regulamin, który okazał się zbyt surowy dla szlachetnie urodzonego Johna. Wyjechał tedy do Indii, aby się przekonać, czy regulamin jest tam równie surowy, i aby pokosztować wojaczki. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że jeśli chodzi o odwagę, stanowił połączenie buldoga z kogutem — z dodatkiem pewnych cech pierwotnego dzikusa. Brał udział w zdobywaniu Seringapatamu. Wkrótce potem przeniósł się do innego pułku, a z biegiem czasu jeszcze do innego. W tym trzecim dostał ostatni swój stopień — pułkownika; wraz z tym jednak dostał też udurowienie i wrócił do Anglii.

Wrócił z opinią, która zamknęła przed nim drzwi całej rodziny. Moja pani (będąca wówczas świeżo po ślubie) objęła przewodnictwo w tej sprawie i oświadczyła (za aprobatą sir Johna, oczywiście), że brat jej nie przekroczy nigdy progu żadnego z jej domów. Pułkownik miał różne plamy na honorze, które kazały ludziom go unikać, ale nas obchodzi tutaj jedynie hańbiące piętno diamentu.

Powiadano, że zdobył indyjski klejnot za pomocą środków, do których mimo właściwego mu zuchwalstwa sam nie śmiał się przyznać. Nie próbował nigdy sprzedać diamentu, nie potrzebował bowiem pieniędzy; ponadto zaś (tu znowu należy mu oddać sprawiedliwość) nigdy się za pieniędzmi nie uganiał. Nie oddał klejnotu, nigdy go nawet nikomu nie pokazał. Niektórzy mówili, że boi się przykrości ze strony czynników wojskowych, inni znów (nie znający jego prawdziwego charakteru), twierdzili, że boi się pokazywać diament, boby go to mogło kosztować życie.

W tej ostatniej plotce zresztą zawierało się być może ziarenko prawdy. Niepodobna powiedzieć, że pułkownik się bał; faktem jest jednak, że życiu

jego dwukrotnie groziło w Indiach niebezpieczeństwo i panowało przekonanie, że przyczyną tych wypadków był diament. W każdym razie tajemnica pułkownika zaciążyła nad nim i uczyniła go, że tak powiem, banitą w jego środowisku. Mężczyźni nie przyjmowali go do swoich klubów, kobiety— i to niejedna — z którymi chciał się żenić, odmawiały mu swej ręki, przyjaciele i krewni ślepli nagle, gdy go spotykali na ulicy.

Są ludzie, którzy w takiej opresji okazaliby skruchę i staraliby się odzyskać swą pozycję towarzyską. Ale szlachetnie urodzony John nie miał zwyczaju poddawać się nawet wówczas, gdy słuszność nie była po jego stronie i gdy miał przeciw sobie cały świat. Zachował diament, narażając się tym w Indiach w każdej chwili na utratę życia. Mają więc państwo portret pułkownika — brawura nie cofająca się przed niczym i piękna, choć niesamowita twarz człowieka opętanego przez diabła.

Od czasu do czasu dobiegały nas różne pogłoski o pułkowniku. Powiadano, że przestał palić opium i zbiera stare druki; potem znów, że robi jakieś dziwne eksperymenty z dziedziny chemii, niekiedy też widywano go, jak zabawiał się w towarzystwie mętów społecznych w najbardziej zakazanych dzielnicach Londynu. W każdym razie pułkownik pędził żywot samotny i zdrotny. Co się mnie tyczy, to po jego powrocie do Anglii widziałem go osobiście tylko raz jeden.

Na jakie dwa lata przed okresem, który opisuję, i na jakie pół roku przed śmiercią, pułkownik zjawił się niespodziewanie w domu mojej pani w Londynie. Był to dzień urodzin panny Racheli, dwudziestego pierwszego czerwca, odbywało się więc jak zwykle wielkie przyjęcie. Jeden z lokali zameldował mi, że jakiś pan chce się ze mną widzieć. Wyszedłem do hallu i zastałem tam pułkownika. Był stary, zniszczony i zaniedbany, ale równie porywczy i zły jak zawsze.

— Idź do mojej siostry — rozkazał — i powiedz, że chcę złożyć życzenia mojej siostrzenicy.

Niejednokrotnie próbował już listownie pojednać się z moją panią, choć jestem przekonany, że chodziło mu tylko o to, żeby jej dokuczyć. Tym razem jednak przyszedł osobiście do domu. Miałem już na końcu języka, że moja pani ma dziś gości, ale jego diabelskie spojrzenie odebrało mi odwagę. Poszedłem na górę powtórzyć polecenie, zostawiając pułkownika na jego życzenie w hallu. Lokaje stali w oddaleniu, gapiąc się na niego, jak gdyby był machiną piekielną, naładowaną prochem i śrutem, i gotową wybuchnąć lada chwila.

Moja pani miała też w sobie odrobinę — nie więcej — porywczosci rodzinnej.

— Powiedz pułkownikowi Herncastle'owi — rzekła, gdy powtórzyłem jej polecenie brata — że panna Verinder jest zajęta, ja zaś nie życzę sobie go widzieć.

Próbowałem prosić o uprzejmiejszą odpowiedź, znając dobrze niepohamowaną naturę pułkownika. Daremnie! Temperament rodzinny skrupił się tym razem na mnie.

— Kiedy potrzeba mi twojej rady — oświadczyła moja pani — to cię zawsze o nią proszę. W tej chwili nie pytam cię o radę.

Zszedłem więc na dół i pozwoliłem sobie powtórzyć słowa mojej pani w nowej, poprawionej przeze mnie wersji, brzmiącej jak następuje:

— Milady i panna Rachelą żałują bardzo, ale są zajęte, panie pułkownika, i proszą żeby darował im pan, że nie będą mieć zaszczytu oglądania pana.

Mimo tej grzecznej formy spodziewałem się wybuchu z jego strony; ku mojemu zdumieniu jednak nic podobnego nie nastąpiło. Pułkownik przeraził mnie nawet, przyjmując oświadczenie z nienaturalnym wręcz spokojem. Oczy jego, jasnoszare i błyszczące, spoczęły na mnie przez chwilę; potem roześmiał się cichym, złośliwym śmiechem, jak gdyby śmiał się tylko do siebie.

— Dziękuję ci, Betteredge — powiedział. — Będę pamiętał o urodzinach mojej siostrzenicy. Z tymi słowy obrócił się na pięcie i opuścił nasz dom.

Kiedy nadeszły następne urodziny panny Racheli, dowiedzieliśmy się, że pułkownik jest obłożnie chory. W pół roku później — to znaczy na pół roku przed okresem, o którym piszę — moja pani otrzymała list od pewnego ogólnie szanowanego pastora, który komunikował jej wielkie nowiny. Po pierwsze pułkownik na łożu śmierci przebaczył swojej siostrze. Po drugie przebaczył wszystkim w ogóle i zakończył życie w sposób niezmiernie budujący. Żywię wielki szacunek dla kościoła (mimo biskupów i kleru), ale jednocześnie jestem niezłomnie przekonany, że diabeł ani na chwilę nie przestał władać duszą szlachetnie urodzonego Johna i że ostatnim grzesznym uczynkiem tego okropnego człowieka było wyprowadzenie w pole zacnego pastora!

Oto co z grubsza biorąc opowiedziałem panu Franklinowi. Zauważyłem, że w miarę opowiadania pan Franklin słucha mnie z coraz żywszym zainteresowaniem. Zwłaszcza historia o tym, jak siostra odprawiła pułkownika z kwitkiem od drzwi swego domu, poraziła go niby celny strzał. Nie powiedział nic, ale widziałem wyraźnie, że na twarzy jego odbił się silny niepokój.

— Powiedziałeś swoje, Betteredge — rzeki w końcu. — Teraz na mnie kolej. Zanim ci jednak wyłuszczę, jakie odkrycia poczyniłem w Londynie i w jaki sposób zostałem zamieszany w sprawę diamentu, chcę cię o coś zapytać. Masz taką minę, przyjacielu, jak gdybyś nie rozumiał celu naszej narady. Czy mina ta kłamie twoim uczuciom?

— Nie, sir — odparłem. — Moja mina tym razem odbija rzeczywisty stan mego ducha.

— W takim razie, zanim posuniemy się dalej, wyjaśnię ci swój punkt widzenia. Moim zdaniem, w związku z prezentem urodzinowym pułkownika dla kuzynki Racheli, powstają trzy zasadnicze pytania. Słuchaj mnie uważnie, Betteredge, i licz na palcach, jeżeli ci to pomoże — dodał pan Franklin zdradzając niejaki zadowolenie, że może się popisać trzeźwością i rozsądkiem, co przypomniało mi nagle dawne czasy, kiedy był małym chłop-

cem. — Pytanie pierwsze: czy diament pułkownika był przedmiotem jakiegoś sprzysiężenia w Indiach? Pytanie drugie: czy sprzysiężenie to ścigało diament pułkownika aż do Anglii? Pytanie trzecie: czy pułkownik wiedział o sprzysiężeniu dotyczącym diamentu i czy umyślnie zrobił ten zapis, wiedząc, że narazi on jego siostrę na troski i niebezpieczeństwa za niewinnym pośrednictwem jej córki? Do tego właśnie zmierzam, Betteredge. Niech cię tylko to nie przeraża.

Łatwo mu było mówić, ale mnie z przerażenia włosy stanęły dęba.

Jeżeli miał rację, oznaczało to, że do naszego spokojnego angielskiego domu wtargnął jakiś piekielny hinduski diament, ciągnąc za sobą gromadę sprzysiężonych rzezimieszków, których poszczuła na nas zemsta nieżyjącego człowieka. Tak wyglądała nasza sytuacja w świetle ostatnich słów pana Franklina! Czy słyszał kto o czymś podobnym — w dziewiętnastym wieku, proszę zważyć, w wieku postępu, na dodatek w kraju zażywającym dobrodziejstw konstytucji brytyjskiej? Nikt o niczym podobnym nie słyszał, trudno się więc spodziewać, aby ktokolwiek zechciał w to uwierzyć. Mimo to jednak będę ciągnął dalej swoją opowieść.

Kiedy się człowiek nagle przerazi, jak ja w owej chwili, to organem, na którym się przerażenie odbija, jest w dziewięciu wypadkach na dziesięć żołądek. A gdy żołądek zaczyna człowiekowi dokuczać, trudno mu skupić uwagę i zaczyna się zwykle wiercić. Poruszyłem się więc niespokojnie. Pan Franklin zauważył moją rozterkę mającą swe źródło w żołądku czy też w duszy — jak państwo wolą — zatrzymał się w chwili, gdy miał już rozpocząć swoje opowiadanie, i zapytał ostro:

— Czego chcesz?

Czego chciałem? Nie powiedziałem mu, ale zwierzę się państwu w zaufaniu. Chciałem zapalić fajkę i zajrzeć do „Robinsona Kruzoa”.

ROZDZIAŁ VI

Nie zdradzając się ze swymi pragnieniami poprosiłem uprzejmie pana Franklina, aby zechciał mówić dalej. Pan Franklin rzucił tylko: — Ale nie wierć się, Betteredge — i zaczął swą opowieść.

Poinformował mnie przede wszystkim, że odkrycia dotyczące straszego pułkownika i diamentu poczynił w czasie wizyty, którą złożył przed wyjazdem do nas radcy prawnemu swego ojca, mieszkającemu w Hampstead. Jakieś przypadkowe słowa wypowiedziane przez pana Franklina, gdy pewnego dnia po obiedzie byli sami, zdradziły, że ojciec powierzył mu pewien upominek, który ma zawieźć pannie Racheli. Wywiązała się na ten temat dłuższa rozmowa, w trakcie której adwokat wyjaśnił panu Franklinowi, co to jest za prezent i w jaki sposób pułkownik i starszy pan Blake nawiązali ze sobą mniej lub bardziej przyjazne stosunki. Są to fakty tak niezwykle, że nie zdołam ich chyba opisać swoim niedołęznym językiem, postaram się więc przytoczyć opowiadanie pana Franklina możliwie dosłownie.

— Pamiętasz ten okres, Betteredge, kiedy mój ojciec starał się dowieść swych praw do owego niefortunego tytułu książęcego? Otóż w tym samym czasie także wrócił z Indii wuj Herncastle. Ojciec dowiedział się skądś, że szwagier ma pewne dokumenty, które mogą mu się przydać jako dowody w procesie, złożył więc wizytę pułkownikowi pod pretekstem, że chce powitać go po powrocie do Anglii. Pułkownik nie dał się jednak zwieść. „Widocznie potrzeba ci czegoś ode mnie - powiedział — w przeciwnym razie nie narażałbyś się na kompromitację składając mi wizytę”. Ojciec rozumiał, że może osiągnąć swój cel jedynie wykładając karty na stół, i przyznał się od razu, że chodzi mu o dokumenty. Pułkownik poprosił o dzień do namysłu, zanim da odpowiedź. Odpowiedź nadeszła w postaci zgoła niezwykłego listu, który mój przyjaciel adwokat mi pokazał. Pułkownik zaznaczał na wstępie, że ma również prośbę do mojego ojca, i proponował wymianę przyjacielskich usług. Losy wojenne (takiego wyrażenia użył) zrzuciły, że jeden z największych diamentów świata dostał się w jego posiadanie, ale ma podstawy do przypuszczeń, że ani on, ani jego bezcenny klejnot nie jest bezpieczny w żadnym domu i w żadnej części świata, dopóki znajdując się razem. W tych warunkach pragnie powierzyć diament komuś na przechowanie. Osoba ta nie będzie narażona na żadne niebezpieczeństwo. Może ona umieścić drogocenny kamień w jakimkolwiek miejscu specjalnie strzeżonym i przeznaczonym do przechowywania kosztowności, jak na przykład kasa pancerna w banku lub u jubilera. Odpowiedzialność tej osoby ma nosić charakter bierny. Ma ona podjąć się — osobiście lub za pośrednictwem godnego zaufania reprezentanta — odbierania co roku pod umówionym adresem w pewne umówione dni listu od pułkownika, stwierdzającego po prostu fakt, że pułkownik tego dnia znajduje się jeszcze wśród żyjących. Gdyby data owa minęła, a list nie nadszedł, milczenie pułkownika można uznać za dowód, że poniósł on śmierć z ręki morderców. W tym i jedynie w tym wypadku należy otworzyć, zdeponowaną wraz z diamentem, zapieczętowaną kopertę zawierającą pisemne instrukcje co do tego, jak postąpić z diamentem, i ściśle te instrukcje wykonać. Jeżeli ojciec zechce podjąć się tego dziwnego obowiązku, dokumenty pułkownika są do jego dyspozycji. Taka była treść listu.

— Co zrobił pański ojciec, sir? — zapytałem.

— Co zrobił? Powiem ci, co zrobił. Przywołał na pomoc nieoczekiwanego doradcę zwanego zdrowym rozsądkiem i pospołu z nim rozważył list pułkownika. Doszedł do wniosku, że cała rzecz jest zupełnie absurdalna. Pułkownik — twierdził mój ojciec — podczas swoich wędrówek po Indiach natrafił gdzieś na jakiś nędzny kryształ, który wziął za diament. Co się tyczy śmierci grożącej mu z ręki morderców i środków ostrożności, jakie obmyślił dla *zachowania życia i owego kryształu*, to żyjemy przecież w dziewiętnastym wieku i każdy człowiek przy zdrowych zmysłach wie, że wystarczy zwrócić się do policji. Pułkownik od lat jest palaczem opium, jeżeli więc jedynym sposobem na uzyskanie posiadanych przez niego cennych dokumentów jest przyjęcie halucynacji narkomana za prawdę, ojciec mój spełni

chętnie jego warunki i podejmie się związanego z tym śmiesznego obowiązku — tym chętniej, że nie przysporzy mu to najmniejszych kłopotów Diament wraz z zapieczętowanymi instrukcjami umieszczono w kasie pancерnej bankiera, listy zaś pułkownika, donoszące regularnie o jego przebywaniu na tym padole, otrzymywał i otwierał prawnik, pełnomocnik mojego ojca. Żadna zresztą rozsądna osoba w podobnych warunkach nie zapatrywałaby się na sprawę inaczej. Nic na tym świecie nie wydaje nam się prawdopodobne, Betteredge, jeżeli nie znajduje potwierdzenia w naszym zwodniczym doświadczeniu, i wierzymy w romantyczne zjawiska tylko wtedy, gdy czytamy o nich w gazetach.

Było dla mnie rzeczą jasną, że zdaniem pana Franklina sąd wydany przez jego ojca o pułkowniku był zbyt pochopny i niesłuszny.

— A co pan osobiście sądzi o tej sprawie? — zapytałem.

— Skończmy najpierw z historią pułkownika — odrzekł pan Franklin. — Anglicy odznaczają się zadziwiającym brakiem systematyczności, Betteredge, i twoje pytanie, przyjacielu, jest tego przykładem. Gdy nie chodzi

o budowę maszyn, jesteśmy (pod względem umysłowym) najbardziej chaotycznym narodem we wszechświecie.

Proszę bardzo, pomyślałem sobie, oto skutki zagranicznej edukacji! To pewnie we Francji nauczono go z nas szydzić.

Pan Franklin podjął przerwany wątek i ciągnął dalej:

— Mój ojciec — rzeki — otrzymał upragnione dokumenty i nigdy już więcej nie spotkał się ze szwagrem. Rokrocznie w umówione dni nadchodził umówiony list od pułkownika. Otwierał go adwokat. Widziałem te listy, całą ich paczkę. Wszystkie zawierały tę samą treść sformułowaną zwięzłym, urzędowym stylem: „Szanowny Panie! Niniejszym stwierdzam, że wciąż jeszcze żyję. Proszę, aby diament pozostał w dotychczasowym miejscu. 2 poważaniem John Herculastle”. Listy nadchodziły regularnie co do dnia

i brzmiały zawsze identycznie. List odmiennej treści nadszedł po raz pierwszy sześć czy osiem miesięcy temu. Brzmiał on tak. „Szanowny Panie! Jak twierdzą lekarze, jestem umierając[^]. Proszę przybyć do mnie w celu sporządzenia testamentu”. Adwokat pojechał i zastał pułkownika w małej willi podmiejskiej otoczonej ogrodem, w której mieszkał samotnie od czasu powrotu z Indii. Towarzystwa dotrzymywały mu psy, koty i ptaki, nie miał jednak przy sobie żadnej ludzkiej istoty, jeśli nie liczyć kobiety, która przychodziła codziennie do gotowania i sprzątanania, oraz lekarza siedzącego przy jego łozu. Testament był bardzo prosty, gdyż pułkownik roztrwonil większość swej fortuny na badania chemiczne. Składał się z trzech paragrafów, które chory podyktował nie wstając wprawdzie z łozka, lecz będąc w pełni władz umysłowych. Pierwszym paragrafem pozostawiał pewną sumę na utrzymywanie i żywienie swoich zwierząt domowych. Drugim fundował katedrę chemii eksperymentalnej w jednym z północnych uniwersytetów. Trzecim zapisywał Kamień Księżycowy swej siostrzenicy w charakterze prezentu urodzinowego, pod tym warunkiem, że mój ojciec będzie wykonawcą testamentu. Ojciec z początku odmówił. Po namyśle jednak

ustąpił z dwóch powodów: po pierwsze zapewniono go, iż obowiązek ten nie przysporzy mu żadnych kłopotów, po drugie zaś adwokat działając w interesach Racheli wyraził przypuszczenie, iż diament może mimo wszystko przedstawiać jakąś wartość.

— Czy pułkownik podał jakiś powód, dla którego zapisuje diament panie Racheli?

— Nie tylko podał powód, ale kazał umieścić w testamencie dokładne wyjaśnienie. Mam tu wyciąg z testamentu, który za chwilę zobaczysz. Nie bądź taki chaotyczny, Betteredge! Nie wszystko naraz. Opowiedziałem ci o testamencie pułkownika, teraz musisz usłyszeć, co się stało po śmierci wuja Herncastle'a. Zgodnie z przepisami diament należało oszacować, aby testament mógł zyskać moc prawną. Jubilerzy, do których się zwrócono, potwierdzili od razu słuszność zdania pułkownika, że jest to jeden z największych diamentów na świecie. Sprawa dokładnego szacunku nastęrczała poważne trudności. Wielkość klejnotu czyniła go fenomenem na rynku diamentów, ze względu na niezwykłą barwę nie można go było zakwalifikować do żadnej znanej kategorii, a ponadto, jakby dla pogłębienia tych wątpliwości, diament posiadał skazę w samym środku. Mimo to jednak najniższy przybliżony szacunek określał jego wartość na dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów. Możesz sobie wyobrazić zdumienie mojego ojca! Przecież o mały włos, a byłby odmówił podjęcia się obowiązków wykonawcy i dopuściłby do tego, aby ten wspaniały klejnot został stracony dla naszej rodziny! Zainteresowanie, jakiego nabrał do sprawy, skłoniło go do otwarcia zapieczętowanej koperty z instrukcjami, zdeponowanej przez pułkownika wraz z diamentem. Adwokat pokazał mi te instrukcje wraz z innymi dokumentami. Stanowią one, moim zdaniem, klucz do istoty tajemniczego sprzysiężenia zagrażającego życiu pułkownika.

— A więc wierzy pan, że sprzysiężenie takie rzeczywiście istniało?

— Ponieważ nie posiadam zdrowego rozsądku mojego ojca—odparł pan Franklin—wierzę, że w twierdzeniu pułkownika o wielkim niebezpieczeństwie grożącym jego życiu nie było ani odrobiny przesady. Zapieczętowane instrukcje wyjaśniają, jak to się stało, że umarł w końcu spokojnie we własnym łóżku. W wypadku gwałtownej śmierci pułkownika (to znaczy, gdyby w umówionym dniu nie nadszedł od niego zwykły list), instrukcje nakazywały mojemu ojcu przesłać potajemnie diament do Amsterdamu, do słynnego szlifierza diamentów, aby ten pociął go na cztery do sześciu mniejszych kamieni. Kamienie miano następnie sprzedać za taką cenę, jaką uda się za nie osiągnąć, wpływy zaś zużyć na ufundowanie owej katedry chemii eksperymentalnej, którą pułkownik sam ufundował legatem. No, Betteredge, wyteż teraz swój wnikliwy umysł i powiedz mi, jakie wnioski nasuwają ci się w związku z instrukcjami pułkownika!

Wyteżyłem niezwłocznie swoje władze umysłowe, ale że należały one do chaotycznego angielskiego gatunku, zaprowadziły mnie na manowce i pan Franklin musiał wreszcie ująć mnie za rękę i wskazać mi to, co powinienem był sam dostrzec.

— Zauważ — rzekł pan Franklin — że całość diamentu jako samoistnego klejnotu staje się dzięki przemyślnym instrukcjom zależna od uchronienia pułkownika przed gwałtowną śmiercią. Nie mówi on swym wrogom: „Zabijcie mnie, a nie zbliżycie się przez to ani o cal do diamentu, gdyż znajduje się on w miejscu dla was niedostępnym — w dobrze strzeżonym skarbcu pancernym pewnego banku”. Nie, to mu nie wystarcza. Mówi on natomiast: „Zabijcie mnie, a diament przestanie być Kamieniem Księżycowym — tożsamość jego zostanie zniweczona”. Co to znaczy?

Tutaj, jak mi się zdawało, miałem przeblysk wspaniałej zagranicznej bystrości.

— Wiem — powiedziałem. — To znaczy, że kamień straci na wartości i niecnych zbirów spotka zawód!

— Nic podobnego — odparł pan Franklin. — Dowiadywałem się o to. Diament ze skazą pocięty na mniejsze kamienie przedstawiałby większą wartość pieniężną niż w obecnej swej postaci. A to z tego prostego powodu, że można by z niego wykrajać cztery do sześciu nieskazitelnych brylantów, które łącznie przyniosłyby więcej niż wielki, ale niedoskonały pojedynczy kamień. Jeśli u źródeł sprzysiężenia tkwił rabunek w celach zysku, instrukcje pułkownika czyniłyby diament zdobyczą jeszcze bardziej ponętną. Gdyby przeszedł przez ręce szlifierzy amsterdamskich, można by za niego dostać więcej pieniędzy i ulokowanie go na rynku diamentów byłoby sprawą nieporównanie łatwiejszą.

— Niech nas Pan Bóg ma w swojej opiece, sir! — zawołałem. — Cóż więc to był za spisek?

— Spisek uknuty przez Hindusów, do których klejnot pierwotnie należał — odparł pan Franklin — spisek mający swe źródło w jakimś dawnym wierzeniu bramińskim. Takie jest moje zdanie, a potwierdza je pewien dokument rodzinny, który mam w tej chwili przy sobie.

Zrozumiałem teraz, czemu zjawienie się w naszym domu trzech kuglarzy hinduskich wydało się panu Franklinowi okolicznością godną uwagi.

— Nie chcę zresztą narzucać ci swego zdania — ciągnął dalej pan Franklin. — Przypuszczenie, że kilku wybranych fanatyków dawnego wierzenia bramińskiego może, nie zważając na niezliczone przeszkody i niebezpieczeństwa, czekać na sposobność odzyskania świętego klejnotu, pokrywa się z tym wszystkim, co wiemy o cierpliwości ludzi Wschodu i o przemożnym wpływie, jaki wschodnie religie wywierają na swych wyznawców. Ale jestem człowiekiem o bujnej wyobraźni i masarz, piekarz oraz poborca podatkowy nie stanowią dla mnie jedynej rzeczywistości, w którą zdolny jestem uwierzyć. Odłóżmy więc tymczasem na bok moje domysły w tej sprawie i zajmijmy się jedynym praktycznym pytaniem, które nas obchodzi. Czy sprzysiężenie dotyczące Kamienia Księżycowego trwa nadal po śmierci pułkownika? I czy pułkownik wiedział o tym ofiarowując zza grobu prezent urodzinowy swej siostrzenicy?

Zacząłem rozumieć, w jaki sposób cała ta sprawa może dotyczyć mojej pani i panny Racheli. Chłonałem teraz chciwie każde słowo pana Franklina.

— Kiedy się zapoznałem z historią Kamienia Księżycowego, nie miałem wielkiej chęci być tym, kto przywiezie go tutaj. Ale mój przyjaciel adwokat przypomniał mi, że ktoś musi przecież doręczyć legat mojej kuzynce i że tym kimś mogę równie dobrze być ja. Po odebraniu diamentu z banku miałem wrażenie, że jakiś nędznie ubrany mężczyzna o ciemnej cerze idzie za mną ulicą, jak gdyby mnie śledził. Udałem się do domu po bagaż i zastałem tam list, który niespodziewanie zatrzymał mnie w Londynie. Wróciłem z diamentem do banku i zdawało mi się, że znów widziałem owego nędznie ubranego mężczyznę. Dziś rano, odbierając ponownie diament z banku, dostrzegłem tego mężczyznę po raz trzeci, wymknąłem mu się więc i zanim zdołał mnie odnaleźć, wyjechałem z Londynu nie popołudniowym pociągami, jak to uprzednio zamierzałem, lecz pociągami porannymi. Przybywam tu z diamentem zdrów i cały — i czego się zaraz na wstępie dowiaduję? Dowiaduję się, że trzech wędrownych kuglarzy indyjskich było tu w domu i że mój przyjazd z Londynu oraz coś, co mam mieć przy sobie, było przedmiotem ich narady, gdy sądzili, że są sami. Pomijam już atrament wylany na dłoń chłopca i rozkaz, aby ujrzał w tym atramencie człowieka oddalonego o wiele mil oraz przedmiot znajdujący się w jego kieszeni. Szkoda na to czasu i słów. Sztuczka ta (którą często widywałem na Wschodzie) jest zarówno dla mnie, jak i dla ciebie zwykłym oszustwem i kuglarstwem. W tej chwili chodzi o to, abyśmy ustalili, czy niesłusznie przywiązuję wagę do nic nie znaczącego przypadku, czy też mamy rzeczywiste dowody na to, że Hindusi bezpośrednio po odebraniu Kamienia Księżycowego ze skarbcza banku są już na jego tropie?

Ale ani on, ani ja nie mieliśmy ochoty odpowiadać na to pytanie. Spojrzeliśmy po sobie, a potem zwróciliśmy oczy na przypyły wpelzający cicho coraz wyżej na Drżące Piaski.

— O czym myślisz? — odezwał się nagle pan Franklin.

— Myślę, sir — odrzekłem — że najchętniej cisnąłbym diament w ruchome piaski i w ten sposób skończyłbym z tą sprawą.

— Jeżeli masz przy sobie równowartość klejnotu — zawołał pan Franklin — to powiedz tylko słówko, a już go nie ma!

Szczególna to rzecz, jak wielką ulgę może przynieść drobny żarcik, kiedy się jest w rozterce. W owej chwili pobudziła nas do ogromnej wesołości myśl, że załatwimy się z legalną własnością panny Racheli i narobimy tym okropnego kłopotu panu Blake'owi jako wykonawcy testamentu - chociaż dzisiaj doprawdy nie mogą zrozumieć, co w tym było wesołego.

Pan Franklin pierwszy powrócił do właściwego tematu naszej rozmowy. Wyjął z kieszeni kopertę, otworzył ją i podał mi jakiś papier.

— Betteredge — rzekł — przez wzgląd na ciotkę musimy się zastanowić nad pytaniem, jakie pobudki kierowały pułkownikiem, kiedy sporządzał ten zapis na rzecz siostrzenicy. Pamiętaj, jak lady Verinder traktowała brata przez cały czas od jego powrotu do Anglii aż do chwili, kiedy powiedział ci, że będzie pamiętał o urodzinach siostrzenicy. I przeczytaj to sobie.

Podał mi wyciąg z testamentu pułkownika. Pisząc te słowa mam go przy sobie, przepisuję więc dosłownie:

„Po trzeciej siostrzenicy mojej, Racheli Verinder, jedynej córce mojej siostry, Julii Verinder, wdowy, zapisuję żółty diament należący do mnie, a znany na Wschodzie pod nazwą Kamienia Księżycowego — pod tym warunkiem, że matka jej, wymieniona Julia Verinder, będzie w tym czasie jeszcze żyła. W takim wypadku zobowiązuję wykonawcę mojej ostatniej weli, aby osobiście albo też za pośrednictwem zaufanego pełnomocnika, którego sam wyznaczy, wręczył diament wspomnianej siostrzenicy mojej, Racheli, w pierwszym dniu jej urodzin wypadającym po mojej śmierci oraz w obecności mojej siostry, wymienionej Julii Verinder. Ponadto życzę sobie, aby siostrze mojej dostarczono notarialny odpis niniejszej trzeciej i ostatniej klauzuli mojego testamentu, informując ją w ten sposób, że zapisuję diament jej córce Racheli na dowód, iż przebaczam krzywdy, które moja siostra wyrządzi/a mi swoim postępowaniem za mojego życia, a zwłaszcza na dowód tego, że darowuję zniewagę zadaną mi przez nią jako oficerowi i dżentelmenowi w dniu urodzin jej córki, gdy służący na rozkaz mojej siostry zamknął przede mną drzwi jej domu”.

Potem następował dalszy warunek, a mianowicie, gdyby moja pani lub panna Rachela już nie żyły, diament miał być wysłany do Holandii zgodnie z instrukcjami w zapieczętowanej kopercie, zdeponowanymi w swoim czasie wraz z klejnotem. Wpływy ze sprzedaży miały być w takim wypadku dodane do pieniędzy zapisanych już w testamencie na ufundowanie katedry chemii przy uniwersytecie na północy kraju.

Oddałem dokument panu Franklinowi nie wiedząc wcale, co powiedzieć. Aż do tej chwili żywiłem przekonanie (jak państwu wiadomo), że pułkownik w chwili zgonu był równie okrutny i grzeszny jak przez całe swoje życie. Nie powiem, aby wyciąg z testamentu wpłynął na zmianę tego przekonania, mogę tylko powiedzieć, że mną wstrząsnął.

— No i cóż sądzisz teraz — zapytał pan Franklin — po przeczytaniu wypowiedzi pułkownika? Czy przywożąc diament do domu ciotki występuję w roli ślepego narzędzia jego zemsty, czy też przyczyniam się do rehabilitacji skruszonego grzesznika i dobrego chrześcijanina?

— Trudno chyba przypuszczać, że umarł z potwornym uczuciem zemsty w duszy i ohydny kłamstwem na ustach — odparłem. — Tylko Pan Bóg zna prawdę. Mnie niech pan o nią nie pyta.

Pan Franklin obracał i miętosił w palcach wyciąg z testamentu, jak gdyby chciał w ten sposób wycisnąć z niego prawdę. Jednocześnie zmienił się wyraźnie. Przed chwilą jeszcze tak energiczny i wesoły, stał się teraz nagle powolny, uroczyście i ociężały.

— Sprawa ta ma dwa aspekty — rzekł. — Aspekt obiektywny i aspekt subiektywny. Który mamy rozpatrzyć?

Młody pan Blake poza francuską edukacją otrzymał także edukację niemiecką. Do tej chwili (tak to sobie tłumaczyłem) znajdował się pod niepodzielnym wpływem tej pierwszej. Obecnie zaś (o ile się mogłem zorientować) zaczęła ją wypierać ta druga. Jedną z moich zasad życiowych jest nie dostrzegać niczego, czego nie rozumiem. Wybrałem więc drogę pośrednią między aspektem obiektywnym a subiektywnym. Innymi słowy, przybrałem skupiony wyraz twarzy i zachowywałem milczenie.

— Postarajmy się dotrzeć do sedna sprawy — powiedział pan Franklin. — Czemu wuj zapisał diament Racheli? Dlaczego nie zapisał go mojej ciotce?

— Tego się nietrudno domyślić — odparłem. — Pułkownik Herncastle dość dobrze znał moją panią, aby wiedzieć, że nie przyjmie od niego żadnego legatu.

— A skąd wiedział, że Racheli go przyjmie?

— Czy istnieje na świecie młoda panna, która oprze się pokusie przyjęcia takiego prezentu urodzinowego jak Kamień Księżycowy?

— Jest to pogląd subiektywny — stwierdził pan Franklin. — Bardzo to dobrze o tobie świadczy, Betteredge, że potrafisz zajmować subiektywne stanowisko. Ale testament pułkownika cechuje jeszcze jedna tajemnica, którejśmy dotychczas nie rozważyli. Jak to sobie tłumaczyć, że zapisał Racheli diament jedynie pod warunkiem, iż jej matka będzie w tym czasie żyła?

— Nie chcę szkalować nieboszczyka, sir, ale jeżeli rozmyślnie pozostawił w spadku siostrze za pośrednictwem jej dziecka ładunek trosk i niebezpieczeństw, to oczywiście warunkiem musiało być, aby siostra żyła i mogła odczuwać wszystkie związane z tym przykrości.

— O, więc tak interpretujesz jego pobudki? Znowu subiektywna interpretacja! Czyś był kiedykolwiek w Niemczech, Betteredge?

— Nie. A jaka jest pańska interpretacja, jeśli wolno zapytać?

— Wydaje mi się, że pułkownikowi mogło chodzić nie o to, aby obdarować siostrzenicę, której nigdy w życiu nie widział, lecz o to, by dowieść siostrze, że przebaczył jej przed śmiercią; dowieść tego w sposób wspaniałomyślny, ofiarowując piękny upominek jej córce. Jest to wytłumaczenie krańcowo różne od twojego, Betteredge, i wynika ono z subiektywno-obiektywnego punktu widzenia. O ile się orientuję, jedna interpretacja może być równie słuszna jak druga.

Doszedłszy do tego miłego i pocieszającego wniosku pan Franklin najwidoczniej uznał, że dokonał wszystkiego, czego można było odeń wymagać. Wyciągnął się na piasku jak długi i zapytał, co teraz mamy robić.

Był taki mądry i rozsądny do tej chwili (nim zaczął pleść cudzoziemskie głupstwa) i tak całkowicie panował nad sytuacją, że ta nagła zmiana i zwrócenie się do mnie o radę zaskoczyły mnie zupełnie. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałem się — dzięki pannie Racheli, która pierwsza dokonała tego odkrycia — że zagadkowe przemiany pana Franklina są wynikiem cudzoziemskiej edukacji. W wieku, w którym większość z nas przybiera określone zabarwienie będące odbiciem zabarwienia innych ludzi.

pana Franklina wysłano za granicę i przekazywano go z jednego państwa do drugiego, nim zdołał to zabarwienie utrwalić. Skutkiem tego miał tyle różnorodnych cech charakteru, mniej lub bardziej chwiejnych i mniej lub bardziej sprzecznych, że życie upływało mu na nieustannych utarczkach z sobą samym. Potrafił być człowiekiem na przemian energicznym i leniwym, roztargnionym i trzeźwym, wzorem stanowczości i uosobieniem niemocy. Miał swoją stronę francuską, stronę niemiecką i stronę włoską, przy czym pierwotny grunt angielski przebijał od czasu do czasu przez te nawarstwienia, jak gdyby mówiąc: „Oto jestem, mocno zniekształcony, jak widzicie, ale coś przecie ze mnie pozostało”. Panna Rachela mawiała, że strona włoska brała w nim górę w tych wypadkach, gdy rezygnował nagle i z wrodzonym wdziękiem prosił kogoś, żeby wziął jego kłopoty na swoje barki. Nie omylą się więc państwo, jak sądzę, jeśli dojdą do wniosku, że w tej chwili właśnie ta włoska strona charakteru wzięła w nim górę.

— Czyż nie pan powinien rozstrzygać, co mamy teraz robić? — spytałem. — Trudno przecież wymagać tego ode mnie!

Argumentacja moja nie przemówiła jednak do przekonania panu Franklinowi, być może dlatego, że nie widział w tej chwili nic prócz nieba nad głową.

— Nie chciałbym straszyć ciotki bez powodu — rzekł. — Ale nie chciałbym też pozostawić jej w nieświadomości i bez ostrzeżenia, jeśli jest ono wskazane. Betteredge, powiedz mi krótko, co byś zrobił na moim miejscu?

— Czekałbym — stwierdziłem krótko.

— Zgadzam się z tobą bez zastrzeżeń — oświadczył pan Franklin. — Ale jak długo?

— O ile rozumiem, sir — wyjaśniłem — ktoś musi doręczyć panie Racheli ten nieszczęsny diament, może więc pan to zrobić równie dobrze jak ktokolwiek inny. Doskonale. Dziś jest dwudziesty piąty maja, a urodziny wypadają dwudziestego pierwszego czerwca. Mamy więc przed sobą blisko cztery tygodnie. Poczekajmy i zobaczymy, co zajdzie przez ten czas, a wtedy zależnie od okoliczności ostrzeżemy moją panią albo też nie będziemy jej ostrzegać.

— Jak dotychczas rozumiesz idealnie, Betteredge! — zawołał pan Franklin. — Ale co mamy tymczasem zrobić z diamentem?

— To samo, co z nim zrobił pański ojciec, sir! Ojciec pański umieścił go w kasie pancерnej banku londyńskiego. Pan umieści go w kasie pancерnej banku we Frizinghall.

Frizinghall to nasze najbliższe miasto i Bank Angielski na pewno nie jest bezpieczniejszym miejscem od tamtejszego banku.

— Na pańskim miejscu — dodałem — pojechałbym z nim od razu do Frizinghall, zanim panie wrócą do domu.

Myśl, że może coś zrobić, a w dodatku przejechać się konno, sprawiła, że pan Franklin natychmiast zerwał się na równe nogi i bez żadnych ceremonii pociągnął mnie za sobą.

— Betteredge, wart jesteś, żeby cię ozłocić! — zawołał. — Chodź i osiodłaj mi najlepszego konia!

Oto nareszcie (dzięki Bogu!) angielski grunt wyrzwał spod pokładów cudzoziemszczyzny! To był pan Franklin, jakiego ongi znałem, uradowany perspektywą, przejażdżki. Dawne, dobre czasy stanęły mi przed oczami. Osiodłać mu konia! Ależ osiodłałbym mu tuzin koni, gdyby mógł dosiąść ich wszystkich narazi

Wróciliśmy czym prędzej do domu, osiodłaliśmy spiesznie najbardziej ręcznego konia i pan Franklin pogalopował do miasta, żeby umieścić feralny diament w kasie pancерnej banku. Kiedy tętent kopyt zamarł na drodze i kiedy rozejrzawszy się po dziedzińcu stwierdziłem, że znów jestem sam, miałem wątpliwości, czy się przypadkiem nie obudziłem ze snu.

ROZDZIAŁ VII

Kiedy tak stałem oszołomiony, czując gwałtowną potrzebę kilku chwil spokoju dla odzyskania równowagi, moja córka Penelopa zastąpiła mi drogę (zupełnie tak samo, jak jej nieboszczka matka zawsze zastępowała mi drogę na schodach) i zażądała, żebym niezwłocznie opowiedział wszystko, co zaszło podczas konferencji między panem Franklinem a mną. W obecnych okolicznościach pozostawało mi więc tylko jedno — mianowicie, stłumić w zarodku ciekawość Penelopy. Odpowiedziałem przeto, że rozmawialiśmy z panem Franklinem o polityce zagranicznej, aż wyczerpaliśmy temat i zasnęliśmy obaj na słoneczku. Spróbujcie tej odpowiedzi, ilekroć wasza żona lub córka zacznie was nękać kłopotliwymi pytaniami, a możecie być pewni, że niewiasta przy najbliższej sposobności z wrodzoną słodyczą charakteru, pocałuje was czule na zgodę i ponowi pytania.

Wieczór zapadł i moja pani wraz z panną Rachelą wróciły wreszcie do domu.

Nie potrzeba chyba nadmieniać, jak były zdziwione, gdy się dowiedziały, że pan Franklin Blake przyjechał i znowu odjechał gdzieś konno. Nie potrzeba również nadmieniać, że one również zasypały mnie kłopotliwymi pytaniami i że tego rodzaju wykręty jak „polityka zagraniczna” i „drzemka w słońcu” na nic by się wobec nich nie zdały. Nie wiedząc już, co tu wymyślić, oświadczyłem, że przyjazd wcześniejszym pociągiem należy złożyć wyłącznie na karb kaprysu pana Franklina. Gdy mnie na to zapytano, czy pośpieszny odjazd konno także należy złożyć na karb kaprysu pana Franklina, odparłem: „tak jest” i w ten, moim zdaniem, bardzo sprytny sposób wywikłałem się z niezręcznej sytuacji.

Wyszedłem jakoś obronną ręką z tych kłopotów, ale gdy wróciłem do domu, czekały mnie nowe trudności. Penelopa z wrodzoną kobietom słodyczą charakteru przybiegła, by mnie ucałować na zgodę — i zadać nowe pytanie. Tym razem chciała tylko, żebyrn jej wytłumaczył, co się stało naszej drugiej pokojówce, Rosannie Sperrman.

Pozostawiwszy pana Franklina i mnie na Drżących Piaskach, Rosanna, jak się okazało, wróciła do domu w bardzo dziwnym stanie ducha. Jeśli wierzyć *Penelocie, co chwila czerwieniła się i bladła*. Bez najmniejszego powodu była na przemian niezwykle wesoła, to znów okropnie smutna. Zadawała jednym tchem setki pytań na temat pana Franklina Blake'a i zarazem potem gniewała się na Penelopę o podejrzenie, iż przybysz może ją w jakimkolwiek stopniu interesować. Przyłapano ją na tym, jak uśmiechając się do siebie, wypisywała imię pana Franklina na wewnętrznej stronie pokrywki swego pudełka do robót i jak płakała, oglądając w lustrze swe zniekształcone ramię. Czy znała już przedtem pana Franklina? Było to niepodobieństwem! Czy słyszeli coś o sobie? Również niepodobieństwo! Ręczyłbym, że pan Franklin z zupełnie szczerym zdziwieniem pytał mnie, czemu dziewczyna tak mu się przyglądała. Penelopa również twierdziła, że Rosanna z całą szczerością wypytywała ją o pana Franklina. Rozmowa nasza stała się już dość uciążliwa, gdy moja córka zakończyła ją nagle, wypowiadając przypuszczenie, które w owej chwili wydało mi się najniedorzeczniejsze w świecie.

— Ojczy! — oświadczyła z powagą. — Jest tylko jedno wytłumaczenie — Rosanna zakochała się w panu Franklinie od pierwszego wejrzenia!

Słyszeli państwo zapewne nieraz o pięknych młodych damach, które zakochały się od pierwszego wejrzenia, i uważali to państwo za rzecz dość naturalną. Ale żeby brzydka pokojówka z krzywą łopatką, wypuszczona z zakładu poprawczego, zakochała się od pierwszego wejrzenia w dżentelmenie, który przyjechał z wizytą do domu jej pani — takiej bajeczki nie znajdziecie chyba w żadnej książce pod słońcem! Śmiałem się więc tak bardzo, że łzy mi spływały po policzkach. Penelopa zareagowała na moją wesołość w sposób dość nieoczekiwany.

— Nie wiedziałam, że jesteś okrutny, ojczy — powiedziała bardzo cicho i wyszła z pokoju.

Słowa córki podziałały na mnie jak kubeł zimnej wody. Wściekły byłem na siebie, że wprawiły mnie w takie zakłopotanie, nic jednak nie mogłem na to poradzić. A teraz, za pozwoleniem państwa, zmienimy na razie temat. Przykro mi, że w ogóle o tym wspomniałem, zresztą nie bez powodu, jak się państwo przekonają w dalszym ciągu niniejszej opowieści.

Gong na przebieranie się do obiadu zadzwonił już, zanim pan Franklin powrócił z Frizinghall. Zniosłem mu sam do pokoju gorącą wodę, wnosząc z tego spóźnienia, że coś się musiało stać. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu (państwa chyba również) nic jednak nie zaszło. Ani jadąc w tamtą stronę, ani w drodze powrotnej pan Franklin nie spotkał Hindusów. Zdeponował Kamień Księżycowy w banku — określając go jedynie, jako klejnot wielkiej wartości — i miał przy sobie kwit. Zszedłem na dół nieco zawiedziony po wszystkich niepokojach o diament, jakie przeżyliśmy przedtem.

Jak się odbyło spotkanie pana Franklina z ciotką i kuzynką, nie potrafię niestety opowiedzieć.

Dałbym wiele, aby usługiwać tego wieczora przy stole, ale zważywszy moje stanowisko w domu, usługiwanie (z wyjątkiem jakichś wielkich uroczystości rodzinnych) poniżyłoby mnie w oczach pozostałej służby — a zdaniem mojej pani i tak już za mało dbam o swoją godność. Toteż musiałem poprzestać na wiadomościach przyniesionych mi z górnych regionów przez Penelopę i przez lokaja. Penelopa wspomniała, że panna Rachela nigdy jeszcze nie ubierała się i nie czesała tak starannie i nigdy jeszcze nie była tak śliczna i wesoła jak w owej chwili, gdy schodziła na dół, aby spotkać się w salonie z panem Franklinem. Lokaj twierdził, że zachowanie właściwej powagi i usługiwanie panu Franklinowi przy obiedzie, są to sprawy tak trudne do pogodzenia, że nie miał jeszcze tak ciężkiego zadania, odkąd wstąpił na służbę. Nieco później pan Franklin i panna Rachela śpiewali duety, a moja pani towarzyszyła im na fortepianie, biorąc dzielnie wszystkie przeszkody. W rezultacie więc bardzo miło było słuchać z tarasu tej ślicznej muzyki, płynącej przez otwarte okna. Jeszcze później zaniósłem panu Franklinowi do palarni wodę sodową i koniak i przekonałem się, że panna Rachela wyparła mu z głowy wszelkie myśli o diamencie.

— To najczarowniejsza dziewczyna, jaką poznałem od czasu powrotu do Anglii! — oto było wszystko, co zdołałem z niego wydobyć, kiedy usiłowałem skierować rozmowę na poważniejszą tory.

Około północy w towarzystwie swego pomocnika, lokaja Samuela, obszedłem dom, aby pozamykać drzwi i okna. Gdy już zaryglowaliśmy wszystkie wyjścia z wyjątkiem drzwi wiodących na taras, kazałem Samuelowi iść spać, sam zaś wyszedłem na zewnątrz, aby odetchnąć świeżym powietrzem przed udaniem się na spoczynek.

Noc była spokojna i duszna, po niebie płynął księżyc w pełni. Panowała taka cisza, że co pewien czas słyszałem szum fal morskich, uderzających

o plażę przy ujściu naszej zatoczki. Dom stał w taki sposób, że teraz znajdował się w mroku, ale promienie księżyca oświetlały szeroką, żwirowaną ścieżkę, biegnącą z boku. Rozejrzałem się po niebie, a potem spoglądając w tym kierunku, dostrzegłem w świetle księżyca cień postaci ludzkiej padający zza rogu domu.

Jako człowiek stary i przebiegły powstrzymałem się od okrzyku, ale jestem też niestety człowiekiem starym i ociężałym, zdradziły mnie więc zbyt głośne kroki po żwirze. Zanim zdołałem przekraść się za róg, usłyszałem odgłos lżejszych kroków — i to jak mi się zdawało nie jednej pary nóg uciekających śpiesznie. Kiedy dotarłem do rogu, intruzi ukryli się w gęstwinie drzew

i krzewów rosnących za ścieżką, z ogrodu zaś mogli bez trudu przedostać się przez żywopłot na szosę. Gdybym był o czterdzieści lat młodszy, udałoby mi się może pochwycić ich, zanim opuściliby nasze grunty. W tych wszakże warunkach wróciłem po młodszą parę nóg. Nie alarmując nikogo, wzięliśmy z Samuelem strzelby i okrążając dom ruszyliśmy do ogrodu. Upewniwszy się, że na naszych gruntach nie ma już nikogo, zawróciliśmy. Przechodząc przez ścieżkę, na której widziałem cień, zauważyłem teraz po raz pierwszy mały, błyszczący przedmiot leżący na żwirze w świetle księżyca. Podniosłem go

i stwierdziłem, że jest to buteleczka zawierająca gęsty, wonny płyn, czarny jak atrament.

Nie powiedziałem nic Samuelowi. Ale pamiętając, co opowiadała mi Penelopa o kuglarzach i o wylaniu atramentu na dłoń chłopca, powziąłem natychmiast podejrzenie, że spłoszyłem trzech Hindusów myszkujących wokół domu i usiłujących na swój pogański sposób wykryć miejsce, w którym schowany jest diament.

ROZDZIAŁ VIII

Tutaj muszę zrobić krótką przerwę.

Odświeżając własne wspomnienia i przywołując na pomoc Penelopę i jej dziennik, widzę, że możemy prześliznąć się bardzo szybko nad okresem, dzielącym przybycie pana Franklina od urodzin panny Racheli. Dni mijały nie przynosząc nic godnego zapisania. Za pozwoleniem więc państwa i z pomocą Penelopy wynotuję tylko pewne daty, powrócę zaś do opisywania wydarzeń dzień po dniu, kiedy dojdziemy do chwili, gdy Kamień Księżycowy stał się główną troską wszystkich osób przebywających w naszym domu.

Możemy tedy ruszyć dalej, poczynając oczywiście od buteleczki wonnego atramentu, którą znalazłem w nocy na ścieżce.

Następnego ranka dwudziestego szóstego maja, pokazałem panu Franklinowi owo kuglarskie akcesorium i opowiedziałem mu to wszystko, co opowiedziałem już państwu. Wyraził pogląd, że Hindusi nie tylko czyhają na diament, lecz są też widocznie dość głupi, aby wierzyć we własną magię. Robią znaki nad głową chłopca, nalewając mu na dłoń atramentu, i spodziewają się, że zobaczy osoby i rzeczy znajdujące się poza zasięgiem wzroku ludzkiego. U nas w Anglii, jak również na Wschodzie — poinformował mnie pan Franklin — są ludzie, którzy uprawiają te dziwaczne sztuczki (wszakże bez atramentu) i nazywają je francuskim słowem, które znaczy coś jakby „jasność widzenia”.

— Nie ma dwóch zdań — powiedział pan Franklin — Hindusi byli pewni, że zatrzymamy diament tutaj, przyprowadzili więc swojego jasnowidzącego chłopca, żeby wskazał im do niego drogę, jeżeli uda im się dostać do domu.

— Czy sądzi pan, że będą ponawiali te próby?

— To zależy od tego, czy chłopiec naprawdę jest zdolny — odrzekł pan Franklin. — Jeżeli potrafi dojrzeć diament poprzez pancierz skarbcza banku we Frizinghall, to Hindusi na razie przestaną nas niepokoić wizytami. Jeżeli nie, to będziemy mieli niebawem sposobność przyłapać ich w ogrodzie.

Wyczekiwałem niecierpliwie tej sposobności, ale — rzecz dziwna — nie nadarzyła się więcej.

Czy kuglarze dowiedzieli się w mieście, że pan Franklin był w banku, czy chłopiec rzeczywiście zobaczył, gdzie jest diament (w co zresztą absolutnie nie wierzę), czy też tak się po prostu złożyło, w każdym razie faktem jest, że w ciągu tygodni dzielących nas od urodzin panny Racheli, żaden Hindus nie

pokazał się w pobliżu domu. Kuglarze pozostawiali w mieście i jego okolicach uprawiając swój proceder, a pan Franklin i ja czekaliśmy, co będzie, postanowiliśmy bowiem, że nie zdradzimy się ze swoimi podejrzeniami, aby nie ostrzec tym przedwcześnie rzezimieszków. Tym opisem powyższych zdarzeń wyczerpałem wszystko, co mam na razie do powiedzenia o Hindusach.

Dwudziestego dziewiątego maja panna Rachel i pan Franklin wynaleźli nowy sposób zabijania czasu, który mógłby im się dłużyć. Mam specjalne powody, aby poświęcić kilka słów owemu zajęciu, które stanowiło dla nich rozrywkę. Przekonają się państwo, że ma ono pewien związek ze sprawami, o których będzie mowa później.

Bogaci i dobrze urodzeni państwo dźwigają zazwyczaj ciężki krzyż — jest to krzyż ich własnego próżniactwa. Ponieważ życie upływa im przeważnie na szukaniu jakiegoś zajęcia, to rzecz ciekawa, jak często wpadają na oślep w takie czy owe obrzydliwe praktyki. W dziewięciu wypadkach na dziesięć zaczynają dręczyć żywe stworzenia albo psuć martwe przedmioty i przekonani są, że kształcą swój umysł, gdy w rzeczywistości robią tylko nieład w domu. Widywałem już nieraz (panie, muszę stwierdzić z przykrością, na równi z panami), jak wychodzą na ten przykład codziennie z pustymi pudełkami od proszków, łapią robaki, żuki, pająki i żaby, a potem wracają do domu i wbijają nieszczęsne stworzenia na szpilki albo bez cienia litości krają je na drobne kawałki. Widzimy młodego panicza albo młodą panią ślęczącą ze szkłem powiększającym nad wnętrzościami pająka, albo spotykamy jedną z przyniesionych przez nich żab schodzącą bez głowy ze schodów, a kiedy człowiek zapyta, co oznacza to okrucieństwo, otrzymuje odpowiedź, że młody panicz lub młoda pani mają zamiłowanie do historii naturalnej. Czasami znów spędzają długie godziny na rozdzieraniu ostrymi narzędziami pięknego kwiatu, bo przez niemądrą ciekawość chcą się przekonać, z czego ten kwiat jest zrobiony. Czy barwa jego staje się piękniejsza albo zapach słodszy, kiedy się to wie? Ale cóż począć! Biedacy, muszą jakoś zabijać czas — muszą zabijać czas. Jako dzieci grzebali się w błocie i robili z niego babki, teraz jako dorośli grzebią się w ohydnych naukach, krają pająki i niszczą kwiaty. Zarówno w jednym wypadku, jak i w drugim tajemnica polega na tym, że nie mają oni żadnej myśli w pustych głowach i nic, czym mogliby zająć próżniacze ręce. Kończy się więc na tym, że psują płótno farbami, rozpuszczają po całym domu ohydne odory, trzymają kijanki w słoju brudnej wody, aż wszystkim domownikom zbiera się na mdłości, odłupują kawałki kamieni tu, tam i ówdzie, w wyniku czego piasek dostaje się do wszystkich potraw, albo też zajmują się fotografią, plamią sobie palce kwasami i nie okazując miłosierdzia żadnemu z domowników robią im zdjęcia, na których nieszczęśnicy wyglądają jak maskary. Ludziom, którzy naprawdę zarabiają na życie, bywa częstokroć bardzo ciężko, bo w pocie czoła zdobywają środki niezbędne na ubranie, dach nad głową i choćby najskromniejsze poży-

wienie, takie żeby utrzymać duszę w ciele. Ale porównajmy najcięższą pracę, jaką kiedykolwiek wykonywaliśmy, z próżniactwem, które niszczy kwiaty i dłubie w żołądkach pajaków, a będziemy wdzięczni gwiazdom za to, że nasze głowy muszą o czymś myśleć, a nasze ręce muszą coś robić.

Co się tyczy pana Franklina i panny Racheli, to mogę stwierdzić z zadowoleniem, że nie dręczyli oni żadnych żywych stworzeń. Poprzestawali na robieniu nieporządku w domu i niszczyli — trzeba im oddać sprawiedliwość — tylko jedne drzwi.

Wszechstronnie uzdolniony pan Franklin, który próbował wszystkiego po trochu, parął się też czymś, co nazywał „malarstwem dekoracyjnym”. Wynalazł, jak nas powiadomił, nową mieszankę do rozprowadzania farb. Z czego się składała ta mieszanka, nie umiem państwu powiedzieć, mogę natomiast określić w dwóch słowach, co było jej główną cechą — śmierdziała potwornie. Panna Rachela zapaliła się do spróbowania tego nowego wynalazku, pan Franklin więc posłał do Londynu po materiały, zmieszał je rozsiewając zapach, od którego zaczynały kichać nawet psy, gdy wbiegły przypadkiem do pokoju, ubrał pannę Rachelę w fartuch i kazał jej zdobić własny salonik, zwany z braku angielskiego słowa buduaem. Zaczęli od wewnętrznej strony drzwi. Pan Franklin zeszkrobał pumeksem piękną politurę, żeby powierzchnia lepiej przyjmowała farbę, jak mówił. Panna Rachela następnie pod jego kierownictwem i z jego pomocą pokryła tę powierzchnię różnymi wzorami i malowidłami przedstawiającymi gryfy, ptaki, kwiaty, kupidyny i tym podobne, skopiiowane z rysunków słynnego malarza włoskiego, którego nazwisko wyleciało mi z pamięci. Mam na myśli tego, co to zaludnił świat Madonnami i kochał się w córce piekarza. Jeśli chodzi

o robotę nad tą dekoracją, to była ona bez wątpienia bardzo powolna

i bardzo brudna, ale nasza panienka i panicz z pewnością się przy niej nie nudzili. Ilekroć nie byli zajęci konną jazdą albo przyjmowaniem gości, albo spożywaniem posiłków, albo śpiewaniem duetów, można ich by/o zobaczyć głowa przy głowie, pracowicie i z zapalem psujących drzwi. Co to za poeta powiedział, że szatan zawsze znajduje jakieś grzeszne zajęcie dla próżnych rąk? Gdyby ten poeta był na moim miejscu i widział pannę Rachelę / pędzlem, a pana Franklina z jego mieszanką, nie mógłby napisać o nich trafniejszych słów.

Następnym dniem godnym odnotowania jest niedziela czwartego czerwca.

Wieczorem tego dnia omawialiśmy po rar pierwszy w jadalni dla służby pewną sprawę, która podobnie jak malowanie drzwi ma związek z czymś, co nastąpi później.

Widząc, z jaką przyjemnością pan Franklin i panna Rachela przebywają ze sobą i jak dobraną są parą pod każdym względem, poczęliśmy się naturalnie zastanawiać, czy nie zbliżą się do siebie w celu nieco odmiennym od wspólnego zdobienia drzwi. Niektórzy twierdzili, że będziemy mieli w domu wesele jeszcze przed końcem lata. inni zaś (którym ja przewodziłem) przyznawali, że owszem, zamążpójście panny Racheli jest rzeczą bardzo

prawdopodobną, wątpili jednak (z powodów, które zostaną za chwilę wyjaśnione), czy małżonkiem jej będzie pan Franklin Blake.

Nikt, kto widział i słyszał pana Franklina, nie mógł wątpić o tym, że jest on zakochany. Trudność polegała na zgłębieniu uczuć panny Racheli. Pozwolą więc państwo, że ich z nią zapoznam, po czym będziecie mogli zgłębic stan jej uczuć sami — jeżeli tylko zdołacie.

Panna Rachela miała skończyć dwudziestego pierwszego czerwca lat osiemnaście. Jeżeli lubią państwo ciemnowłose kobiety (które, jak słyszę, wyszły ostatnio z mody na szerokim świecie) i jeżeli nie mają państwo specjalnych upodobań, gdy chodzi o wysoki wzrost, to mogę ręczyć, że panna Rachela była jedną z najładniejszych panien, jakie dane było państwu spotkać. Była drobna i smukła, ale niezwykle foremna od stóp do głów. Widząc, jak siada, jak wstaje, a zwłaszcza jak chodzi, każdy mężczyzna przy zdrowych zmysłach mógł mieć pewność, że powaby swej postaci (darują mi państwo to wyrażenie) zawdzięcza ona nie sukniom, lecz naturze. Włosy miała najczarniejsze, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć, oczy zaś odpowiadały włosom. Nosek może odrobinę za mały, muszę to przyznać, za to usta i podbródek (cytując słowa pana Franklina) mogłyby skusić bogów, a cera (zgodnie z tym samym autorytetem) przypominała swą ciepłą barwą samo słońce, z tą wielką przewagą nad słońcem, że można było zawsze patrzeć na nią bez przykrych skutków. Dodajmy do tego, że panna Rachela nosiła wysoko swą rasową główkę, że miała jasny głos, dźwięczący jak szlachetny metal, i uśmiech, który zaczynał się w oczach, zanim docierał do ust — a będziemy mieli jej portret naturalnej wielkości, namalowany najwierniej, jak potrafię!

Pytają państwo o jej usposobienie? Czyżby ta urocza istota nie miała wad? Owszem, miała akurat tyle wad co i pani, szanowna czytelniczko — ani mniej, ani więcej.

Mówiąc serio, moja kochana, śliczna panna Rachela przy całym bogactwie wdzięków i powabów posiadała pewien defekt, który bezstronność każe mi państwu wyjawic. W przeciwieństwie do większości dziewcząt w jej wieku miała o wszystkim własne zdanie i była dość uparta, aby rzucić wyzwanie nawet modzie, jeżeli ta moda jej nie odpowiadała. W drobiazgach ta jej niezależność sądów nie była jeszcze niczym szkodliwym, w sprawach jednak istotnych panna Rachela (zdaniem zarówno mojej pani, jak i moim) posuwała ją za daleko. Rozstrzygała zawsze o wszystkim na własną rękę (co się rzadko zdarza nawet dwukrotnie starszym od niej niewiastom), nigdy nie pytała nikogo o radę, nie mówiła nikomu z góry, co zamierza zrobić, i nie zwierzała się nigdy ze swych sekretów nawet własnej matce.

W rzeczach drobnych i wielkich, czy chodziło o ludzi, których kochała, czy o tych, których nienawidziła (a kochała i nienawidziła równie żywiołowo), panna Rachela zawsze kroczyła własną drogą, nie dzieląc z nikim swoich trosk ani radości. Nieraz słyszałem, jak moja pani mówiła: „Najlepszym przyjacielem i najgorszym wrogiem Racheli jest ona sama”.

Dodajmy do tego coś jeszcze, a skończymy z charakterystyką panny Racheli.

Mimo całej skrytości i uporu nie miała ona w sobie ani krztyny fałszu. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek złamała raz dane słowo, nie pamiętam, żeby powiedziała kiedykolwiek: „nie”, myśląc „tak”. Przypominam sobie wiele wypadków z jej dzieciństwa, kiedy szlachetna dziewczeczka brała na siebie winę i ponosiła karę za wykroczenie popełnione przez jakąś towarzyszkę zabaw, którą kochała. Nigdy się nie przyznawała do tego, jeśli rzecz cała wyszła na jaw i wytknięto jej to później. Ale nigdy też w takim wypadku nie kłamała. Patrzała człowiekowi prosto w oczy, potrząsała zuchwałą główką i mówiła bez obłonek; „Nie powiem!” Ukarana za to ponownie, przyznawała ze skruchą, że była niegrzeczna, ale choćby ją trzymano o chlebie i wodzie, nie zdradziła swej tajemnicy. Uparta — czasami diabelnie uparta, przyznając, nie jednocześnie była to najszlachetniejsza istota, jaka kiedykolwiek chodziła po tym padole. Zdaje się panu, drogi czytelniku, że dopatrzył się pan tu pewnej sprzeczności? W takim razie szepnę panu coś do ucha. Proszę przez następne dwadzieścia cztery godziny obserwować uważnie własną żonę. Jeżeli czcigodna małżonku pańska nie zdradzi się w tym czasie niczym, co by nazwać można było sprzecznością, to niech Pan Bóg ma pana w swojej opiece — poślubił pan potwora.

Zapoznałem więc już państwa z panną Rachelą, wobec czego wracamy do sprawy planów *matrymonialnych* tej młodej damy.

Dwunastego czerwca moja pani wysłała zaproszenie do pewnego pana w Londynie, aby przyjechał i wziął udział w uroczystym obchodzie urodzin panny Racheli. Był to właśnie ów szczęśliwy osobnik, którego miałem za potajemnego wybrańca jej serca! Podobnie jak pan Franklin był jej kuzynem. Nazywał się pan Godfrey Ablewhite.

Druga z kolei siostra mojej pani (proszę się nie lękać, nie będziemy tym razem roztrząsać zbyt szczegółowo spraw rodzinnych) — więc jak powiadam, druga z kolei siostra mojej pani doznała niegdyś zawodu miłosnego, ii pragnąc zemścić się na niewiernym poślubiła pierwszego z brzegu konkurenta, popełniając tak zwany mezalians. Okropne było poruszenie w rodzinie, kiedy szlachetnie urodzona Karolina uparła się, że wyjdzie za mąż *m* zwykłego, nie noszącego żadnego tytułu pana Abtewhite'a, bankiera z Frizinghall. Był on bardzo zamożny, odznaczał się niezwykle łagodnym usposobieniem i spłodził niezwykle liczne potomstwo — co przemawia oczywiście na jego korzyść. Ale przy tym postanowił wspiąć się wyżej po drabinie społecznej — co znowu niewątpliwie przemawia na jego niekorzyść. W każdym razie, czas i nowoczesny postęp naprawiły jakoś wszystko i mezalians wytrzymał doskonale próbę. Wszyscy stajemy się teraz po trosze liberałami i co mnie obchodzi — w parlamencie albo nawet poza jego obrębem — czy ktoś jest śmieciarzem, czy też księciem? Taki jest nowoczesny pogląd, a ja staram się dotrzymywać kroku nowoczesności. Państwo Ablewhite mieszkali w pięknym domu z pięknym parkiem tuż za granicami miasta Frizinghall. Byli rodziną zacną i ogólnie szanowaną. Nie będziemy

zresztą poświęcali im na tych kartach zbyt wiele uwagi, wyjąwszy pana Godfreys, który był drugim synem pana Ablewhite'a i który musi zająć tu właściwe miejsce przez wzgląd na pannę Rachelę.

Pan Franklin mimo całej bystrości, rozumu i wszelkich zalet nie miał, moim zdaniem, wielkich szans na to, by zakasować pana Godfreya w oczach naszej panienki.

Pan Godfrey przede wszystkim brał nad nim górę, gdy chodzi o postawę. Wzrostu przeszło sześć stóp, miał piękną, białą cerę, śliczne kolory, gładką, krągłą twarz czyściutko wygoloną i wspaniałe, długie, płowe włosy opadające niedbale na kark. Ale po cóż silę się na te opisy? Jeżeli kiedykolwiek byli państwo na jakiejś kweście dobroczynnej w Londynie, zarządzanej przez panie z towarzystwa, to muszą państwo znać pana Godfreya Ablewhite'a równie dobrze, jak ja go znam. Był adwokatem z zawodu, bawidamkiem z temperamentu i samarytaninem z upodobania. Zarówno filantropia, jak i nędza nie mogły się wprost bez niego obejść. Był wiceprezesem, kierownikiem i referentem wszelkiego rodzaju towarzystw — stowarzyszeń organizujących zakłady położnicze dla ubogich kobiet, stowarzyszeń pod wezwaniem Św. Magdaleny do ratowania moralności ubogich kobiet, stowarzyszeń do umieszczania ubogich kobiet na miejscu ubogich mężczyzn, a pozostawiania tych mężczyzn własnemu losowi, i tak dalej, i tak dalej. Gdziekolwiek zebrał się przy stoie na naradę komitetu kobiecego, tam również można było znaleźć pana Godfreya, który z kapeluszem w ręku trzymał w karchach rozigrane temperamenty dam i prowadził te kochane istoty po ciernistych ścieżkach spraw finansowych. Był on, jak sądzę, najwytrawniejszym filantropem, jakiego wydała kiedykolwiek Anglia. Jako mówca na zebraniach dobroczynnych nie miał sobie równego, gdy chodziło o pobudzenie słuchaczy do łez i do otwarcia sakiewek. Był osobistością powszechnie znaną. Kiedy byłem ostatni raz w Londynie, moja pani uraczyła mnie w dwojaki sposób: posłała mnie do teatru, żebym zobaczył tancerkę, za którą szalało całe miasto, i posłała mnie do Exeter Hall, żebym posłuchał przemówienia pana Godfreya. Tancerka występowała z towarzyszeniem całej orkiestry. Pan Godfrey produkował się mając jedynie chusteczkę do nosa i szklankę wody. Popis nóg zgromadził tłumy, popis języka również. A przy tym był to (mam na myśli pana Godfreya) człowiek o najłagodniejszym usposobieniu w świecie, miły, pełen prostoty i życzliwości. Kochał wszystkich i wszyscy go kochali. Jakież szanse mógł mieć pan Franklin — jakie szanse mógł mieć ktokolwiek o przeciętnej reputacji i zdolnościach — w zestawieniu z takim ideałem?

Czternastego czerwca nadeszła odpowiedź pana Godfreya.

Przyjmował zaproszenie mojej pani na czas od środy, czyli dnia urodzin, do piątku wieczorem, kiedy to obowiązki dobroczynne zmuszą go do powrotu do Londynu. Załączał również wiersze okolicznościowe, poświęcone, jak się wykwiłtnie wyrażał, „uroczej solenizantce”. Panna Rachelę, jak mnie

poinformowano, wraz z panem Franklinem wyśmiewała się z tych wierszy przy obiedzie i Penelopa, która była całkowicie po stronie pana Franklina, zapytała mnie z wielkim tryumfem, co o tym myślę.

— Panna Rachela wprowadziła cię na fałszywy trop — odparłem — ale mojego nosa tak łatwo nie zmyli. Poczekaj, aż pan Ablewhite tu się zjawi.

Moja córka odrzekła, że pan Franklin być może spróbuje szczęścia, zanim jeszcze poeta zjedzie tu osobiście. W związku z tym muszę przyznać, że pan Franklin korzystał z każdej sposobności, aby wkraść się w łaski panny Racheli.

Chociaż był jednym z najbardziej zajadłych palaczy, jakich kiedykolwiek widziałem, wyrzekł się cygar, gdy panna Rachela powiedziała pewnego dnia, że nie znosi zapachu dymu, którym przesiąknięte są jego ubrania. Po tym akcie samozaparcia sypiał tak źle i tak mocno odczuwał brak kojącego działania tytoniu, do którego był przyzwyczajony, że schodził na dół co rano z twarzą okropnie bladą i wreszcie sama panna Rachela prosiła go, żeby znów zaczął palić. Nie! Nigdy już nie zrobi nic, co by mogło przyprawić ją choćby o chwilę przykrości, uzbroi się w cierpliwość, zwalczy w końcu nałóg i prędzej czy później odzyska sen. Takie poświęcenie musi zrobić swoje, powiedzą państwo zapewne (jak mówili też niektórzy w jadalni dla służby), zwłaszcza gdy towarzyszy mu wspólne a codzienne malowanie drzwi. Wszystko to bardzo pięknie, ale panna Rachela miała u siebie w pokoju fotografię pana Godfreya. Przedstawiony był na niej w chwili publicznego przemówienia, z rozwianym włosom i ślicznymi oczami, które wyczarowywały pieniądze z kieszeni słuchaczy. Co państwo na to? Co rano — jak sama Penelopa musiała przyznać — podobizna tego mężczyzny, bez którego nie mogły się obejść kobiety, spoglądała na pannę Rachelę, gdy rozczesywano jej włosy. Miał też wkrótce patrzeć na to osobiście — takie było moje zdanie.

Szesnastego czerwca zdarzyło się coś, co sprawiło, że na mój rozum szanse pana Franklina spadły prawie do zera.

Jakiś nieznany dżentelmen, mówiący po angielsku z cudzoziemskim akcentem, przyjechał tego ranka do naszego domu i oświadczył, że pragnie się widzieć z panem Franklinem Blake'em w sprawie oficjalnej. Nie mogła to być sprawa związana z diamentem, a to z dwóch powodów: po pierwsze pan Franklin nic mi o tym nie powiedział, po drugie zakomunikował treść rozmowy z nieznajomym dżentelmenem (po jego odjeździe) mojej pani. Ta / kolei przypuszczalnie wspomniała coś o tym córce. W każdym razie panna Rachela wieczorem przy fortepianie podobno bardzo surowo strofowała pana Franklina, ganiąc towarzystwo, w którym się obracał, i zwyczaj, jakich nabrał w obcych krajach. Nazajutrz po raz pierwszy nie kontynuowano malowania drzwi. Podejrzewam, że pan Franklin musiał popełnić na kontynencie jakiś nierozważny krok — chodziło zapewne o kobietę albo może o jakiś dług — którego skutki ścigały go teraz w Anglii. Ale wszystko to są czcze domysły. W tym wypadku bowiem nie tylko pan Franklin, ale także i moja pani — rzecz niezwykła — nie raczyła mnie oświecić.

Siedemnastego czerwca zdawało się, że burza minęła. Pan Franklin i panna Rachelą podjęli na nowo swoje malarstwo dekoracyjne i znów zapanowała przyjaźń. Jeżeli wierzyć Penelopie, pan Franklin skorzystał z pojednania i oświadczył się przy tej sposobności o rękę panny Racheli. Nie został ani przyjęty, ani też odtrącony. Córka moja była pewna (wnosząc z różnych oznak i wrażeń, którymi nie potrzebuję państwa nudzić), że jej młoda pani zbyła pana Franklina niczym, nie chcąc rzekomo wierzyć, iż mówi poważnie, a potem w skrytości ducha żałowała, że potraktowała go w ten sposób. Penelopa wprawdzie dopuszczona była przez swą panią do większej konfidencji niż zazwyczaj pokojówki — dziewczęta bowiem wychowały się niemal razem — ja wszakże zbyt dobrze znałem skryty charakter panny Racheli, aby uwierzyć, że mogła przed kimkolwiek tak wyraźnie się zdradzić z prawdziwym stanem swych uczuć. Podejrzewałem więc, iż to, co opowiedziała mi moja córka, należy raczej zaliczyć do pobożnych życzeń aniżeli do ścisłych informacji.

Dziewiętnastego czerwca mieliśmy jeszcze jedno zdarzenie — wizytę doktora (w charakterze zawodowym). Wezwano go do osoby, którą miałem już sposobność przedstawić państwu na tych kartach — do naszej drugiej pokojówki, Rosanny Spearman.

Biedna ta dziewczyna — której zachowanie tak mnie zdziwiło, jak państwo pamiętają, na Drżących Piaskach — nieraz jeszcze w tym czasie wprawiała mnie w zdumienie. Pomysł Penelopy, że jej koleżanka kocha się w panu Franklinie (co zresztą moja córka, na mój rozkaz, zachowywała w ścisłej tajemnicy), wydawał mi się równie niedorzeczny jak przedtem. Jednakże na podstawie tego, co sam widziałem i co widziała moja córka, muszę przyznać, że zachowanie się naszej drugiej pokojówki stało się w ostatnim czasie co najmniej zagadkowe.

Dziewczyna na przykład starała się wciąż przebywać w pobliżu pana Franklina — w sposób bardzo dyskretny i zręczny, ale starała się o to bez wątpienia. On zwracał na nią tyle uwagi co na kota i nie przyszło mu nigdy do głowy choćby spojrzeć na nieładną twarz Rosanny. Biedaczka nie odznaczała się nigdy dobrym apetytem, ale teraz straciła go zupełnie, a oczy jej z rana nosiły wyraźne ślady bezsennej i przeplakanej nocy. Penelopa pewnego dnia dokonała przykrego odkrycia, które zresztą zatuszowaliśmy od razu. Przyłapała mianowicie Rosannę przy toalecie w pokoju pana Franklina. Pokojówka wyjęła mu z butonierki surduta różę, którą dała mu panna Rachelą, i wsadziła na jej miejsce inną różę, którą zerwała sama. Potem była kilkakrotnie niegrzeczna dla mnie, kiedy zwracałem jej życzliwie uwagę, żeby postępowała rozważniej, a co gorsza, raz i drugi nie okazała należącego szacunku pannie Racheli, gdy ta przypadkiem się do niej zwróciła.

Moja pani zauważyła tę zmianę i pytała mnie, co o niej sędzę. Usiłowałem osłonić dziewczynę mówiąc, że jest chyba chora, w końcu więc, jak już wspomniałem, dziewiętnastego posłano po lekarza. Doktor orzekł, że to

nerwy i że wątpi, czy Rosanna jest dość silna, by pracować. Moja pani zaproponowała, że dla zmiany powietrza przeniesie ją na jedną z naszych farm położonych z dala od morza. Rosanna jednak błagała ze łzami w oczach, aby pozwolono jej zostać, i w złą godzinę doradziłem mojej pani, żeby wysłuchała jej prośby. Jak dowiodły dalsze wypadki i jak się państwo wkrótce przekonają, była to najgorsza rada, jakiej mogłem udzielić. Gdybym tylko mógł wówczas zajrzeć w przyszłość, zabrałbym Rosannę Spearman z naszego domu, choćbym miał ją wynieść na rękę.

Dwudziestego czerwca przyszedł krótki liścik od pana Godfreya. Pan Godfrey zamierzał zatrzymać się tego dnia na noc we Frizinghall, ponieważ miał pewne sprawy do omówienia ze swoim ojcem. Zawiadamiał przy tym, że nazajutrz po południu przyjedzie konno w towarzystwie dwóch starszych siostr. Do listu załączona była elegancka porcelanowa bombonierka, prezent dla panny Racheli, wraz z najlepszymi życzeniami od kuzyna. Pan Franklin natomiast podarował jej tylko skromny medalion wart z pewnością o połowę mniej. Mimo to moja córka Penelopa z właściwym kobietom uporem twierdziła, że to on właśnie będzie zwycięzcą.

Bogu niechaj będą dzięki — oto dotarliśmy wreszcie do wigilii urodzin! Przyznają państwo zapewne, że tym razem nie zbałamucilem zbyt w drodze. Otuchy! Za chwilę nastąpi nowy rozdział, który wprowadzi państwa w sam gąszcz niezwykłych przygód.

ROZDZIAŁ IX

Dwudziestego pierwszego czerwca, w dniu urodzin, ranek był pochmurny i niepewny, koło południa jednak wypogodziło się pięknie.

U nas, w jadalni dla służby, uroczystość rozpoczęła się jak zwykle od wręczenia pannie Racheli naszych skromnych upominków, przy czym jako szef wygłosiłem swe doroczne przemówienie. Postępuję podług planu stosowanego przez królową przy otwieraniu posiedzenia parlamentu, mianowicie mówię rokrocznie to samo. Wszyscy czekają zwykle na moje przemówienie (podobnie jak na przemówienie królowej), jak gdyby nic podobnego nigdy jeszcze nie słyszeli, a gdy już je wygłoszę i okazuje się, że nie zawiera ono nic nowego, zrzędzą trochę, lecz mimo to pełni otuchy spodziewają się usłyszeć coś nowego w roku przyszłym. Wynika stąd morał, /u łatwo jest rządzić ludem zarówno w parlamencie, jak i w kuchni.

Po śniadaniu pan Franklin i ja odbyliśmy poufną naradę w sprawie Kamienia Księżycowego, nadszedł bowiem czas, gdy należało odebrać klejnot z banku we Frizinghall i wręczyć go pannie Racheli.

Czy pan Franklin próbował znów zalecać się do kuzynki i dostał odkosza, c/y też długotrwała bezsenność potęgowała dziwne sprzeczności jego charakteru, nie wiem, ale muszę stwierdzić, żętego ranka młodzieniec nie był

w najlepszej formie. Nie mógł się zdecydować, jak postąpić z diamentem, i zmieniał zdanie dwadzieścia razy na minutę. Ja natomiast trzymałem się kurczowo znanych nam faktów. Nie zdarzyło się nic, co by kazało nam zaalarmować moją panią opowiedzeniem historii diamentu, nic też nie mogło zwolnić pana Franklina z obowiązku wręczenia klejnotu kuzynce. Taki był mój pogląd na sprawę i chociaż pan Franklin wykrecał i obracał moje słowa na wszelkie sposoby, musiał mi jednak w końcu przyznać rację. Postanowiliśmy, że pojedzie po obiedzie do Frizinghall i przywiezie diament, a pan Godfrey i dwie młode damy będą mu przypuszczalnie dotrzymywali towarzystwa w drodze do domu.

Gdyśmy w ten sposób rozstrzygnęli sprawę, młody dżentelmen udał się znów do panny Racheli.

Cały ranek i część popołudnia poświęcili na nie kończące się malowanie drzwi. Penelopa pod ich kierownictwem mieszała farby, a moja pani w miarę zbliżania się pory lunchu wchodziła kilkakrotnie do pokoju z chustką przy nosie (korzystali bowiem tego dnia hojnie z wynalazku pana Franklina) i usiłowała oderwać artystów malarzy od ich dzieła. Była jednak już trzecia, gdy zdjęli wreszcie fartuchy, zwolnili Penelopę (półprzytomną od działania owej mieszanki) i doprowadzili do porządku swój wygląd. Ale zrobili to, co sobie zamierzili — skończyli malowanie drzwi w dniu urodzin panny Racheli i byli z tego niesłychanie dumni. Gryfy, kupidyny i tym podobne stwory prezentowały się, muszę przyznać, bardzo pięknie, było ich jednak tak dużo, oplatało je tyle kwiecica i ornamentów i odmalowane były w tak dziwacznych pozach, że gdy się miało przyjemność je oglądać, czuło się potem jeszcze przez długie godziny zamęt w głowie. Jeżeli dodam, że Penelupa po zakończeniu swej rannej pracy pochorowała się w pokoiku za kuchnią, nie będzie to wcale znaczyło, iż jestem wrogo usposobiony do mieszanki pana Franklina. Bynajmniej! (Mieszanka po wyschnięciu przestawała cuchnąć, jeśli więc sztuka wymaga tego rodzaju ofiar, to aczkolwiek dziewczyna jest moją własną córką, przyznaję sztuce do nich prawo!

Pan Franklin ledwie przełknął coś niecoś przy lunchu i pojechał zaraz do Frizinghall, aby eskortować kuzynki, jak powiedział mojej pani. Naprawdę jednak, aby przywieźć Kamień Księżycowy, jak wiadomo było jemu i mnie.

Ponieważ była to jedna z wielkich uroczystości, w czasie których zajmuję zawsze stanowisko przy kredensie i kieruję służbą usługującą przy stole, miałem o czym myśleć pod nieobecność pana Franklina. Przygotowałem wina, zrobiłem przegląd lokai i pokojówek, którzy mieli usługiwać przy stole, po czym udałem się do siebie, aby odpocząć chwilę przed przybyciem gości. Kilka pociągnięć, wiedzą już państwo z czego, i odczytanie kilku ustępów z książki, o której miałem już sposobność wspominać na tych kartach, pokrzepiły mnie na ciele i na duszy. Dopiero tętent kopyt przed domem zbudził mnie nie tyle chyba z drzemki, co z rozmarzenia. Podeszedłem do drzwi i ujrzałem całą kawalkadę. Nadjechał pan Franklin i jego troje kuzynów, którym towarzyszył jeden z masztalerzy pana Ablewhite'a.

Uderzyło mnie, że pan Godfrey, podobnie jak pan Franklin, nie jest tego

dnia w zwykłym sobie doskonałym humorze. Uścisnął mi jak zawsze serdecznie dłoń na powitanie i wyraził uprzejmie swą radość z tego, że jego przyjaciel Betteredge tak się świetnie trzyma, ale dostrzegłem na czole jego chmurę, a gdy spytałem, jak zdrowie jego ojca, odparł dość krótko: — Mniej więcej tak jak zwykle. — Natomiast obie panny Ablewhite były tak wesołe, że można by ich wesołością obdzielić dwadzieścia osób, równowaga więc została zachowana z nawiązką. Panny dorównywały niemal wzrostem bratu — jasnowłose, rumiane, krzepkie dziewczęta, tryskające zdrowiem i humorem. Gdy siedziały w siodle, wierzchowcom ich nogi drżały z wysiłku, a gdy zeskoczyły na ziemię (nie czekając, aż im ktoś pomoże), dalibóg, odbiły się od gruntu jakby zrobione z gumy. Wszystko, co panny Ablewhite mówiły, zaczynało się od głośnego „Ooo!”, cokolwiek robiły, robiły z hałasem; u ponadto chichotały i piszczały o każdej porze roku i przy lada sposobności. Terkotki — tak ja je zwykle nazywam.

Pod osłoną zgiełku czynionego przez te młode damy zamieniłem w hallu tłówko na osobności z panem Franklinem.

— Czy przywiózł pan diament bez przeszkód?

Skinał twierdząco głową i poklepał się po górnej kieszeni surduta.

— Czy nie widział pan po drodze Hindusów?

— Ani przez sekundę.

Po tej odpowiedzi pan Franklin zapytał o moją panią i dowiedziawszy się, że jest ona w małym salonie, udał się wprost tam. Nie spędził jeszcze minuty w tym pokoju, gdy rozległ się dzwonek i Penelopie kazano zawiadomić pannę Rachelę, że pan Franklin Blake pragnie z nią mówić.

Przechodząc mniej więcej w półgodziny później przez hall, stanąłem nagle jak wryty, gdyż dobiegły mnie okropne wrzaski z małego saloniku. Nie powiem, żebym się mocno przestraszył, poznałem bowiem w tych wrzaskach ulubione „Ooo!” panien Ablewhite. Mimo to wszedłem do środka (pod pretekstem uzyskania instrukcji w sprawie obiadu), aby przekonać się, czy nie zaszło nic poważnego.

Panna Rachelę niby urzeczona stała przy stole trzymając w dłoni feralny diament pułkownika. Po obu jej stronach klęczały obie Terkotki, pożerając klejnot oczami i piszcząc w ekstazie za każdym nowym błyskiem diamentu. Po przeciwległej stronie stołu stał pan Godfrey klaszcząc w dłonie jak dziecko i powtarzając cicho: — Prześliczne! Prześliczne! — Pan Franklin siedział w fotelu przy półce z książkami, szarpiąc bródkę i spoglądając / niepokojem ku oknu. We framudze okna zaś stał przedmiot jego obserwacji — moja pani, odwrócona plecami do reszty towarzystwa i trzymająca w dłoni wyciąg z testamentu pułkownika.

Kiedy zapytałem o instrukcje, spojrzała na mnie i dostrzegłem rodzinną zmarszczkę na jej *czole oraz rodzinny gniew drgający w kąciakach ust.*

— Przyjdź za pół godziny do mojego pokoju - - rzekła. — Będę ci miała coś do powiedzenia.

Z tymi słowy wyszła z saloniku. Jasne było, że zмага się z tym samym pytaniem, nad którym głowiliśmy się z panem Franklinem podczas narady na Drżących Piaskach. Czy zapisując siostrzenicy Kamień Księżycowy brat chciał dać do poznania, jak okrutnie i niesprawiedliwie traktowała go siostra, czy też jest to jeszcze jeden dowód, że był on człowiekiem gorszym nawet, niż ona kiedykolwiek sądziła? Niełatwo było mojej pani znaleźć odpowiedź na to pytanie, a tymczasem jej córka, nie wiedząc nic o charakterze pułkownika, stałą tam z jego prezentem w dłoni.

Zanim zdążyłem opuścić pokój, panna Rachela, zawsze pełna względów dla starego sługi, którego pamiętała od najwcześniejszego dzieciństwa, zatrzymała mnie mówiąc:

— Spójrz, Gabrielu!

I obróciła kilka razy diament w promieniu słońca wpadającym przez okno.

Panie, miej nas w swojej opiece! To ci był diament! Taki wielki albo prawie tak wielki jak jajko siewki! Płonął światłem przypominającym światło księżyca w pełni. Kiedy się zajrzało wewnątrz kamienia, patrzyło się w żółtą przepaść, która tak przyciągała wzrok, iż nie widziało się już nic poza tym. Wydawał się niezgłębiony - tak, ten klejnot, który można było ująć w dwa palce, wydawał się niezgłębiony jak samo niebo. Umieściliśmy go w słońcu, a potem zasłoniliśmy wszystkie okna, ale diament mimo to świecił własnym księżycowym blaskiem, Nic dziwnego, że panna Rachela była oczarowana, nic dziwnego, że kuzynki jej piszczały z zachwytu. Diament nawet mnie urzekł do tego stopnia, iż wybuchnąłem głośnym: „Ooo!”, którego nie powstydzilyby się obydwie Terkotki. Jeden tylko pan Godfrey zachował równowagę ducha. Objął siostry i z politowaniem przenosząc spojrzenie z diamentu na mnie i znów na diament rzekł:

— Węgiel, Betteredge, ostatecznie to tylko zwykły węgiel, przyjacielu. Chciał mnie zapewne oświecić, uwagą tą wszakże przypomniał mi tylko

o obiedzie. Pokużykałem do swej armii lokai czekającej na dole. Kiedy wychodziłem, pan Godfrey rzucił:

— Kochany Betteredge, szczerze go lubię!

Dając wyraz swym uczuciom dla mnie obejmował jednocześnie siostry i zerkał na pannę Rachelę, jak gdyby słowa te były pośrednio skierowane do niej. O, pan Franklin w porównaniu z nim był istnym dzikusem!

Po upływie pół godziny stawilem się zgodnie z rozkazem w pokoju mojej pani.

Rozmowa z moją panią była właściwie z grubsza biorąc powtórzeniem mojej rozmowy z panem Franklinem na Drżących Piaskach — z tą różnicą jednak, że tym razem wstrzymałem się z wypowiedaniem swego zdania o kuglarzach, zważywszy, iż nie stało się nic takiego, abym miał budzić niepokój mojej pani w tym względzie. Kiedy pozwoliła mi odejść, widziałem, że powzięła jak najgorsze mniemanie o pobudkach pułkownika i postanowiła przy pierwszej sposobności odebrać córce Księżycowy Diament.

Wracając do swojej części domu, spotkałem pana Franklina. Zapytał, czy nie widziałem nigdzie panny Racheli. Nie, nie widziałem jej. Czy mogę mu

powiedzieć, gdzie jest kuzyn Godfrey? Nie wiedziałem tego, zacząłem wszakże podejrzewać, iż kuzyn Godfrey znajduje się zapewne niezbyt daleko od panny Racheli. Podejrzenia pana Franklina przybrały zapewne ten sam kierunek. Szarpnął nerwowo brodę, po czym poszedł do biblioteki i zatrzasnął za sobą drzwi w sposób niezmiernie wymowny.

Nic już nie zakłóciło mi przygotowań do uroczystego obiadu aż do chwili, gdy powinienem już był wystroić się na przyjęcie gości. Włożyłem właśnie białą kamizelkę, gdy zjawiała się Penelopa pod pozorem tego, że chce otrzepać mi kołnierz i piękniej zawiązać białą krawatę. Córka moja była w doskonałym humorze i spostrzegłem od razu, że ma mi coś do powiedzenia. Ucałowała mnie w czubek łysej głowy i szepnęła:

— Mam dla ojca nowiny! Panna Rachela dała mu kosza.

— Komuż to? — spytałem.

— Temu bawidamkowi, ojczu. Co to za przebiegły, podstępny człek! Nienawidzę go za to, że próbował zająć miejsce pana Franklina!

Gdybym mógł złapać oddech, bez wątpienia zaprotestowałbym przeciwko sposobowi, w jaki mówiła o wybitnym filantropie. Ale córka moja w tej właśnie chwili zawiązywała mi krawat, przelewając w palce całą siłę swych uczuć. Nigdy w życiu nie byłem bliższy śmierci przez uduszenie.

— Widziałam, jak wywabił ją do ogrodu różanego — mówiła Penelopa. — Czekałam za krzakiem ostrokrzewu, żeby zobaczyć, jak będą wracali. Poszli łam pod rękę, śmiejąc się wesoło. Wrócili idąc osobno, miny mieli okropnie poważne i unikali patrzenia na siebie w sposób, który nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. Nigdy w życiu tak się nie cieszyłam, tatku! Na świecie istnieje przynajmniej jedna kobieta, która potrafi oprzeć się panu Godfreyowi, a gdybym była damą, byłabym niezawodnie drugą!

W tym miejscu powinienem był znowu zaprotestować. Ale córka moja chwyciła tymczasem szczotkę do włosów i z kolei przelała całą siłę swoich uczuć w szczotkowanie mojej głowy. Jeżeli jesteś łysy, drogi czytelniku, /rozumiesz, jak mnie torturowała. Jeżeli nie, opuść ten kawałek i dziękuj Bogu, że masz na głowie jakąś obronę przed szczotką do włosów.

— Tuż przy ostrokrzewie pan Godfrey zatrzymał się — ciągnęła dalej Penelopa. — „Wolisz — powiada — żebym został tutaj, jak gdyby nic nie zaszło?” Panna Rachela zwróciła się do niego błyskawicznie. „Przyjąłeś zaproszenie mojej matki i masz tutaj spotkać jej gości — rzekła. — Jeżeli nie chcesz zrobić skandalu, to oczywiście zostaniesz!” Uszła kilka kroków i jak gdyby nieco złagodniała. „Zapomnijmy o tym, co się stało, Godfreyu — powiedziała — i zostanmy jak dawniej kuzynostwem”. Następnie podała mu rękę. Ucałował ją, co ja poczytywałabym oczywiście za czelność, i panna Rachela odeszła. Pan Godfrey stał przez chwilę ze spuszczoną głową, wierząc obcasem dziurę w żwirze. Nigdy chyba nie oglądano człowieka bardziej zdetonowanego. „Niezręcznie! — rzucił wreszcie przez zęby. — Bardzo niezręcznie!” Po czym podniósł głowę i ruszył do domu. Jeżeli był takiego zdania o sobie samym, miał zupełną słuszość. Postąpił bardzo niezręcznie. A z tego wszystkiego wynika to, co przez cały czas twierdziłam,

ojcze — zawołała Penelopa, zadając mi ostatnie tortury, najboleśniej ze wszystkich — wybranem jest pan Franklin!

Zawładnąłem wreszcie szczotką do włosów i otworzyłem usta, aby udzielić córce napomnienia, na które, sami państwo przyznają, zasłużyła w zupełności swoim tonem i zachowaniem.

Zanim jednak zdołałem wymówić słowo, powstrzymał mnie łoskot kół dolatujący z zewnątrz. Pierwsi goście przybyli. Penelopa natychmiast wybiegła. Włożyłem surdut i spojrzałem w lustro. Głowa moja była czerwona jak rak, poza tym jednak wyglądałem bardzo przyzwoicie. Wyszedłem do hallu w sam czas, aby zaanonsować pierwszą parę gości. Byli to rodzice filantropa, państwo Ablewhite'owie.

ROZDZIAŁ X

Reszta towarzystwa nadjechała w krótkim czasie, aż wreszcie wszyscy byli w komplecie. Wliczając w to domowników, zebrało się dwadzieścia cztery osoby. Piękny to był widok, gdy zasiedli wokół stołu i proboszcz z Frizinghall (obdarzony wspaniałą wymową) wstał i zmówił modlitwę dziękczynną.

Nie będę trudził państwa przytaczaniem listy gości. Z wyjątkiem dwóch osób, nie spotykają już ich państwo więcej — przynajmniej w mojej części opowiadania.

Dwie te osoby siedziały po obu stronach panny Racheli, która jako królowa dnia ściągała oczywiście na siebie wszystkie spojrzenia. Przyczyniała się do tego walenie okoliczność, iż panna Racheli (ku wyraźnej, choć tajonej irytacji mojej pani) włożyła swój prezent urodzinowy, który zaćmiewał wszystkie inne upominki — Kamień Księżycowy. Pan Franklin przy pomocy swoich zręcznych palców i kawałka srebrnego drutu zdołał przypiąć go na kształt broszy do stanika jej białej sukni. Wszyscy podziwiali naturalnie niezwykle rozmiary i piękność diamentu, jedynie wszakże owe dwie osoby siedzące po prawicy i po lewicy panny Racheli powiedziały na ten temat coś godnego uwagi.

Gościem po lewicy był pan Candy, nasz doktor praktykujący we Frizinghall.

Był to miły, towarzyski osobnik, mający jednak, muszę wyznać, pewną wadę. Lubił on dowcipkować i czynił to zarówno w porę, jak i nie w porę, poza tym wdawał się w długie rozmowy z osobami obcymi, nie badając uprzednio gruntu. W towarzystwie popełniał tedy nieustannie gafy i zrażał sobie ludzi, nie mając wcale tego zamiaru. W praktyce lekarskiej wszakże był rozważniejszy — stawiał diagnozy posługując się (jak twierdzili jego wrogowie) jakimś instynktem i miał zazwyczaj słuszość w wypadkach, gdy inni lekarze się mylili. Słowa jego skierowane do panny Racheli na temat diamentu pomyślane były jako dowcip. Mianowicie prosił ją z wielką powagą, aby (w imię wiedzy) pozwoliła mu zabrać diament do domu i tam go spalić. — Ogrzejemy go najpierw, panno Rachelo — mówił doktor — do

takiego a takiego stopnia, następnie wystawimy go na prąd powietrza i diament stopniowo — puff! — wyparuje, co oszczędzi pani moc kłopotu z przechowywaniem tak drogiego kamienia! — Moja pani, słuchając tego z wyrazem troski, pragnęłaby zapewne, aby doktor mówił serio oraz aby panna Rachelą okazała dość zapału dla spraw wiedzy i poświęciła swój prezent urodzinowy.

Drugim gościem, który siedział po prawicy panny Racheli, był nie kto inny jak słynny podróżnik po Indiach, pan Murthwaite, ten, co z narażeniem życia przedostawał się w przebraniu tam, gdzie nie postąpiła dotąd noga Europejczyka.

Był to mężczyzna wysoki, szczupły, muskularny, opalony i milczący. Oczy jego miały wyraz znużenia, lecz mimo to spoglądały wokoło bardzo uważnie. Opowiadano, że ma już dość hałaśliwego życia w naszych stronach i pragnie wrócić na Wschód, aby w przebraniu włóczęgi przemierzać znów najdziksze jego zakątki. Poza tym, co powiedział pannie Racheli na temat klejnotu, wątpię, czy w ciągu całego obiadu wypowiedział choćby sześć słów i czy wypił choć jeden kieliszek wina. Kamień Księżycowy był jedynym przedmiotem, który odrobinę go zainteresował. Sława klejnotu dotarła do niego zapewne w owych niebezpiecznych zakątkach Indii, po których wędrował. Przyglądał mu się w milczeniu tak długo, że panna Rachelą poczuła się nieswojo, i wreszcie powiedział spokojnym, obojętnym tonem:

— Jeżeli pojedzie pani kiedykolwiek do Indii, panno Verinder, niech pani nie zabiera ze sobą upominku wuja. Diament bramiński bywa czasem przedmiotem kultu. Znam pewne miasto, a w tym mieście pewną świątynię, gdzie w obecnym swoim stroju nie pożyłaby pani dłużej niż pięć minut.

Panna Rachelą, znajdująca się bezpiecznie w Anglii, zachwycona była na wieść o niebezpieczeństwie grożącym jej w Indiach. Terkotki były jeszcze bardziej zachwycone. Upuściły z trzaskiem noże i widelce i wybuchnęły głośnymi okrzykami: — Och, jakie to ciekawe! — Moja pani natomiast poruszyła się niespokojnie na krześle i zmieniła temat rozmowy.

W miarę upływu czasu zauważyłem, że przyjęcie nie idzie tak gładko jak inne przyjęcia wydawane dotychczas.

Wspominając teraz ów dzień urodzin w świetle tego, co zdarzyło się następnie, skłonny jestem przypuszczać, że to przeklęty diament musiał rzucić urok na całe towarzystwo. Dolewałem gościom hojnie wina i będąc osobą poniekąd uprzywilejowaną obnosiłem sam półmiski z potrawami, które nie miały powodzenia, szepcząc poufnie: — Proszę mimo wszystko skosztować, wiem, że dobrze to panu (albo pani) zrobi. — W dziewięciu wypadkach na dziesięć, goście nabierali na talerz — przez wzgląd na kochanego Betteredge'a, jak mówili — ale wszystko to nie odnosiło skutku. Rozmowa rwała się, zapadały coraz dłuższe chwile milczenia i w końcu poczułem się mocno zakłopotany. Gdy podejmowano znów rozmowę, zawsze ktoś powiedział coś niezręcznego i nie na czasie. Pan Candy, doktor, na przykład, popełnił więcej gaf niż kiedykolwiek przedtem. Przytoczę jedną próbkę jego wypowiedzi, aby mogli państwo zrozumieć, co

przeżywałem stojąc przy kredensie. Powodzenie uczytę leżało mi przecież na sercu.

Wśród dam obecnych na przyjęciu była czcigodna pani Threadgall, wdowa po profesorze. Zaczynała owa dama, która nieustannie mówiła o swoim mężu, nie wyjaśniała nigdy osobom obcym, że profesor nie żyje. Sądziła zapewne, że każda dorosła osoba w Anglii powinna wiedzieć o tym fakcie. Po jednej z przeciągających się chwil milczenia ktoś z obecnych zwrócił o raczej niemiły temat anatomii ludzkiej. Zaczynała pani Threadgall powołała się natychmiast na swego nieboszczyka męża, nie wspominając jak zwykle, że on już nie żyje. Określiła mianowicie anatomię, jako ulubioną rozrywkę profesora w chwilach wolnych od zajęć zawodowych. Pech chciał, że siedzący naprzeciwko pan Candy (który nic nie wiedział o zmarłym dzentelmenie) posłyszał jej słowa. Jako najuprzejmiejszy z ludzi skorzystał od razu ze sposobności, aby przyjść z pomocą profesorowi w jego anatomicznych rozrywkach.

— Na wydziale chirurgicznym uniwersytetu nabyto ostatnio kilka wyjątkowo pięknych szkieletów — oświadczył przez stół głośno i wesoło. — Szczerze polecam panu profesorowi, aby w następnej wolnej chwili obejrzał te zbiory.

Zapadła taka cisza, że słyszałbyś, jak pada szpilka. Całe towarzystwo (przez szacunek dla pamięci profesora) siedziało oniemiale. Byłem właśnie za krzesłem pani Threadgall, podsuwając jej poufnie kieliszek czerwonego wina. Pani Threadgall opuściła głowę i rzekła bardzo cicho:

— Mojego ukochanego męża nie ma już wśród żywych.

Pechowy pan Candy, który tego nie usłyszał i nie podejrzewał wcale prawdy, ciągnął jeszcze głośniejszym głosem i uprzejmiej niż przedtem:

— Profesor nie wie być może, iż bilet członka kolegium może posłużyć mu za kartę wstępu codziennie prócz niedziel, między godziną dziesiątą a czwartą.

Pani Threadgall opuściła głowę jeszcze niżej i jeszcze ciszej powtórzyła uroczyste słowa:

— Mojego ukochanego męża nie ma już wśród żywych.

Mrugałem na pana Candy'ego poprzez stół. Panna Rachelą dotknęła jego ramienia. Moja pani patrzyła na niego wzrokiem wymowniejszym niż głośne krzyki. Wszystko na nic! Ciągnął dalej z serdecznością, która zrywała już teraz wszystkie tamy.

— Będę szczęśliwy mogąc przesłać profesorowi swój bilet, jeżeli zechce mi pani wymienić jego obecny adres.

— Jego obecnym adresem, mój panie, jest g r ó b — oświadczyła pani Threadgall tracąc nagle panowanie i mówiąc z naciskiem i furją, od której zadrżały kieliszki. — Profesor nie żyje od dziesięciu lat!

— O Boże! — jęknął pan Candy.

Z wyjątkiem Terkotek, które wybuchnęły śmiechem, całe towarzystwo znieruchomiała teraz w takim milczeniu, jak gdyby wszyscy poszli w ślady profesora.

Tyle o panu Candym. Reszta gości była na swój sposób równie niemal niezręczna jak on. Kiedy powinni byli się odezwać, milczeli, a gdy się odzywali, wynikały stąd tylko nieporozumienia. Pan Godfrey, tak zazwyczaj wymowny publicznie, nie chciał wysilać się na prywatnym zebraniu. Czy się dąsał, czy też czuł się skrępowany po niepowodzeniu w ogrodzie różanym, tego nie wiem. W każdym razie rozmawiał tylko cichutko z damą, która siedziała obok niego. Była to jedna z członkiń jego komitetu, uduchowiona osoba o przeraźliwie chudych obojczykach i wyraźnym upodobaniu do szampana — lubiła mianowicie, żeby był wytrawny i żeby go było bardzo dużo. Ponieważ stojąc przy kredensie znajdowałem się tuż za krzesłami tych dwojga, mogę zaświadczyć z tego, co słyszałem, że towarzystwo straciło wiele nie słysząc ich budującej konwersacji, której strzępki dolatywały do mnie, gdy otwierałem butelki, krajałem baranię i tak dalej. Co mówili

o dobroczynności, tego nie słyszałem. Gdy mogłem wreszcie poświęcić się słuchaniu, przeszli już od nieszczęśliwych kobiet, które należy ratować, do spraw poważniejszych. Religia, mówili (o ile się mogłem zorientować wśród korków i krajania) oznacza miłość. A miłość oznacza religię. Ziemia jest niebem, nieco tylko zniszczonym przez użycie. Niebo zaś jest odnowioną

i upiększoną ziemią. Ziemia nosi na sobie wielu przykrych osobników, aby jednak to wynagrodzić, wszystkie kobiety w niebie zostaną członkiniami olbrzymiego komitetu, w którego łonie nigdy nie wybuchają kłótnie, mężczyźni zaś będą im służyli w charakterze aniołów stróżów. Piękne! Wspaniałe! Ale czemu pan Godfrey mówił o tym wszystkim tak cicho, żeby słyszała go tylko sąsiadka?

Pan Franklin z kolei... Przypuszczają państwo zapewne, że pan Franklin *rozruszał* towarzystwo i postarał się w końcu, aby wieczór upłynął w miłej atmosferze?

Nic podobnego! Pan Franklin odzyskał w pełni humor i był w najlepszej formie, Penelopa bowiem, jak podejrzewam, poinformowała go zapewne o tym, co spotkało pana Godfreya w ogrodzie różanym. Ale mimo iż rozmawiał bez przerwy, w dziewięciu wypadkach na dziesięć wybierał niewłaściwy temat albo zwracał się do niewłaściwej osoby. W końcu więc niektórzy się na niego obrazili, wszyscy zaś byli mocno jego zachowaniem zdziwieni i zaskoczeni. Owo zagraniczne wychowanie — te jego strony charakteru, francuska, niemiecka i włoska, o których już wspominałem, zaprezentowały się przy stole mojej pajni w sposób jak najbardziej dziwaczny.

Co sądzą państwo na przykład o tym, że rozpoczął dyskusję na temat tego, jak daleko może się posunąć zamężna kobieta w swych uczuciach do mężczyzny, który nie jest jej mężem, i że ujmując to wszystko w dowcipną francuską formę, poprowadził tę dyskusję akurat z pewną czcigodną starą panną, ciotką wikarego z Frizinghall? Co sądzą państwo o tym, że odsłaniając naraz niemiecką stronę swego charakteru, oznajmił pewnemu właścicielowi majątku ziemskiego, gdy ów autorytet w sprawach bydła cytował swe doświadczenia z zakresu hodowli byków, iż doświadczenie w pewnym sensie nie ma znaczenia i chcąc hodować byki należy zajrzeć

w głąb własnego umysłu, wyłonić z niego ideę byka doskonałego i wyprodukować go? Co powiedzą państwo o tym, że gdy jeden z członków naszej rady hrabstwa, rozprawiając z ożywieniem przy serze i sałatce na temat szerzenia się demokracji w Anglii, zawołał: — Jeżeli utracimy nasze starodawne przywileje, panie Blake, pytam pana, co nam zostanie? — pan Franklin odpowiedział mu przyjmując tym razem włoski punkt widzenia: — Zostaną nam trzy rzeczy, proszę pana: miłość, muzyka i sałatka! — Niestety, pan Franklin nie tylko przeraził towarzystwo tego rodzaju wybrykami, lecz kiedy we właściwym czasie odezwała się w nim angielska strona charakteru, zabrał głos w sprawie zawodu lekarskiego i wyszydził doktorów w sposób tak brutalny, że wprawił we wściekłość dobrodusznego skądinąd pana Candy'ego.

Dyskusja między nimi zaczęła się od wyznania pana Franklina — nie pamiętam, jak do tego doszło — że źle sypia w nocy. Pan Candy powiedział mu na to, że widocznie coś jest nie w porządku z jego nerwami i powinien niezwłocznie poddać się kuracji. Pan Franklin odparł, że kuracja i błędzenie po omacku są jego zdaniem jednoznaczne. Pan Candy parując cios stwierdził, że pan Franklin sam, mówiąc z punktu widzenia lekarskiego, błędzi po omacku w poszukiwaniach snu i tylko medycyna może mu dopomóc w jego znalezieniu. Pan Franklin oznajmił, że słyszał często o tym, jak ślepiec prowadzi ślepcę, lecz po raz pierwszy rozumie, co to właściwie znaczy. Potyczka toczyła się w ten sposób, cioszą ciosem, aż wreszcie zgrzali się obydwaj, a zwłaszcza pan Candy broniąc swego zawodu tak dalece stracił panowanie nad sobą, że moja pani musiała zainterweniować i przerwać dyskusję. Niezbędny ten akt zwarzył doszczętnie humory towarzystwa. Tu i ówdzie próbowano jeszcze nawiązywać rozmowę, lecz brakło jej już całkowicie polotu. Diabeł (czy też diament) zapanował nad przyjęciem i wszyscy poczuli ulgę, kiedy moja pani wstała i dała znak damom, aby zostawiły panów przy winie.

Ustawiłem właśnie karafki przed starszym panem Ablewhite'em (reprezentującym pana domu), gdy z tarasu dobiegi dźwięk, który usłyszawszy zapomniałem zupełnie o dobrych manierach. Pan Franklin i ja spojrzeliśmy na siebie — był to odgłos bębna hinduskiego. Jak mi Bóg miły, kuglarze znów się u nas pojawili wraz z powrotem Kamienia Księżycowego.

Gdy ominęli róg tarasu i ukazali się naszym oczom, pokuśtykałem czym prędzej, żeby ich przepędzić. Ale na nieszczęście obie Terkotki mnie uprzedziły. Wypadły na taras niby rakiety, chcąc na gwałt zobaczyć hinduskie sztuczki. Inne panie wyszły za nimi, panowie podążyli na taras ze swojej strony. Zanim by się zdążyło zawołać; „Boże, zmiłuj się!”, łotry pochylały się już w salaamach, a Terkotki całowały ślicznego chłopczyka.

Pan Franklin stanął przy boku panny Racheli, ja uplasowałem się tuż za nią. Jeżeli nasze podejrzenia były słuszne, oto niewinna ta i nieświadoma prawdy istota stała tu, ukazując Hindusom diament przyszpilony do stanika swej sukni!

Nie potrafię opisać państwu, jakie sztuczki pokazywali kuglarze ani jak je robili. Po przykrościach przy obiedzie, zdenerwowany w dodatku powrotem łotrów akurat w takiej chwili, gdy mogli zobaczyć na własne oczy diament, straciłem zupełnie głowę. Pierwsze co pamiętam, to nagle zjawienie się na scenie podróżnika po Indiach, pana Murthwaite'a. Okrążywszy półkole, w którym siedzieli lub stali goście i domownicy, zaszedł cicho kuglarzy od tyłu i przemówił do nich nagle w ich ojczystym języku.

Gdyby uklął Hindusów bagnetem, wątpię, czy drgnęliby mocniej i zwrócili się ku niemu z tygrysią zwinnością prędzej, niż to się stało na pierwsze słowa, które padły z jego ust. Już w następnej chwili kłaniali mu się i przykładali rękę do piersi i czoła w swój najbardziej ugrzeczniejszy i obłudny sposób. Po wymianie kilku słów w nieznanym języku pan Murthwaite wycofał się równie spokojnie i cicho, jak się zbliżył. Przywódca Hindusów, który pełnił funkcję tłumacza, zwrócił się wówczas znowu do państwa zebranych na tarasie. Dostrzegłem, że kawowa jego twarz po tym, jak pan Murthwaite do niego przemówił, stała się popielata. Złożył ukłon mojej pani i poinformował ją, że przedstawienie skończone. Terkotki ogromnie rozczarowane wybuchnęły głośnym; „Ooo!”, wyrażając swe oburzenie na pana Murthwaite'a o to, przerwał pokaz sztuczek. Przywódca Hindusów położył pokornie rękę na piersi i powtórzył po raz drugi, że sztuczki już się skończyły. Chłopiec obszedł wszystkich z kapeluszem w ręce. Panie odeszły do salonu, panowie (/ wyjątkiem pana Franklina i pana Murthwaite'a) powrócili do trunków. Ja, w asyście jednego z lokai, udałem się za Hindusami i odprowadziłem ich aż do bramy posiadłości.

Wracając przez ogród poczułem zapach tytoniu i znalazłem pana Franklina i pana Murthwaite'a (który palił cygaro). Spacerowali wolno pod drzewami. Pan Franklin dał mi znak, abym się do nich przyłączył.

— Przedstawiam panu — rzekł pan Franklin zwracając się do wielkiego podróżnika — Gabriela Betteredge'a, starego sługę i przyjaciela naszej rodziny, o którym panu właśnie wspominałem. Proszę, może zechce pan powtórzyć mu to, co mówił mi pan przed chwilą.

Pan Murthwaite wyjął cygaro z ust i ruchem znużenia oparł się o pień drzewa.

— Panie Betteredge — zaczął — ci trzej Hindusi są akurat takimi samymi kuglarzami jak pan i ja.

Nowa niespodzianka! Zapytałem oczywiście podróżnika, czy spotykał już przedtem tych Hindusów.

- Nie — odrzekł pan Murthwaite — ale znam się na prawdziwych sztukach hinduskich. To, co państwo widzieli dzisiaj, jest tylko bardzo marnym i nieporadnym naśladownictwem. O ile się bardzo nie mylę — (i mam przecież za sobą wieloletnie doświadczenie — Hindusi ci są braminami wysokiej kasty. Zarzuciłem im, że chodzą w przebraniu, i widzieliście, jak na to zareagowali, choć Hindusi potrafią doskonale ukrywać swoje uczucia. W postępowaniu ich jest jakaś tajemnica, której nie umiem wytłumaczyć. Złożyli w ofierze kastę podwójnie — po pierwsze przebywając

morze, po drugie przebijając się za kuglarzy. W ich ojczystym kraju jest to poświęcenie olbrzymie. Muszą mieć do tego jakiś bardzo poważny powód i jakieś niezwykle usprawiedliwienie, aby po powrocie do kraju móc kastę odzyskać.

Oslupiałem. Pan Murthwaite palił dalej swoje cygaro. Pan Franklin po krótkiej chwili zastanowienia (jak mi się zdawało, oscylował przez ten czas między różnymi stronami swego charakteru) przerwał wreszcie milczenie mówiąc grzecznym włoskim tonem, spod którego wyzierały jednak solidne podwaliny angielskie:

— Waham się, panie Murthwaite, czy mam zaprzętać pańską uwagę sprawami rodzinnymi, które pana bez wątpienia nie obchodzą i o których niechętnie wspominam poza naszym ścisłym kółkiem rodzinnym. Ale po tym, co pan powiedział, czuję się obowiązany opowiedzieć panu w interesie lady Verinder i jej córki o czymś, co być może da panu klucz do tej zagadki. Mówię to panu w zaufaniu i zobowiąże mnie pan bardzo, jeśli zechce o tym nie zapominać.

Po tym wstępie opowiedział podróżnikowi (tym razem trzeźwo i zwięźle, na sposób francuski) wszystko, co mówił mi na Drżących Piaskach. Nawet niewzruszony pan Murthwaite tak się zainteresował opowieścią, że dopuścił do tego, aby zgasło mu cygaro.

— Cóż teraz mówi o tym pańskie doświadczenie? — zapytał na zakończenie pan Franklin.

— Moje doświadczenie mówi — odparł podróżnik — że uszedł pan przed niebezpieczeństwem groźniejszym i bliższym, niż to się mnie kiedykolwiek zdarzyło, a oznacza to niemało, mogę pana zapewnić.

Teraz z kolei pan Franklin nie posiadał się ze zdumienia.

— Czyżby sprawa była aż tak poważna? — zapytał.

— Moim zdaniem tak — potwierdził pan Murthwaite. — Po tym, co od pana usłyszałem, nie wątpię, że Hindusi pragną odzyskać Kamień Księżycowy, aby umieścić go na jego właściwym miejscu w czole bóstwa hinduskiego, i to jest powodem i usprawiedliwieniem owego poświęcenia kasty, o którym przed chwilą wspominałem. Hindusi będą czekali na odpowiednią sposobność z cierpliwością kotów, a skorzystają z niej z zaciekłością tygrysów. Jak się pan im wymknął, nie mam pojęcia — dodał wybitny podróżnik zapalając znów cygaro i wpatrując się pilnie w pana Franklina. — Woził pan diament tam i z powrotem, tutaj i w Londynie, a mimo to dotąd pan żyje! Zbadajmy sprawę. W obydwóch wypadkach był biały dzień, kiedy zabierał pan klejnot z banku londyńskiego?

— Biały dzień — odparł pan Franklin.

— Na ulicach było dużo ludzi?

— Mnóstwo.

— Miał pan zapewne przybyć do domu lady Verinder o określonej godzinie? Między tą posiadłością a stacją kolejową okolica jest bezludna. Czy przybył pan o umówionej godzinie?

— Nie. Przybyłem o cztery godziny przed umówionym czasem.

— Mogę panu tego tylko pogratulować! Kiedy zawiózł pan diament do miejscowego banku?
— W godzinę potem jak przywiozłem go do tego domu i na trzy godziny przedtem, nim ktokolwiek spodziewał się ujrzeć mnie w tych stronach.

— Znów muszę panu pogratulować! Czy przywiozł go pan z powrotem sam jeden?

— Nie. Jechałem przypadkiem w towarzystwie kuzyna, kuzynek i masztalerza.

— Gratuluję panu po raz trzeci! Jeżeli będzie miał pan kiedyś ochotę spróbować podróży poza granicami cywilizacji, proszę mnie zawiadomić, ti pojedę z panem. Ma pan wyjątkowe szczęście!

Wtrąciłem się do rozmowy. Tego rodzaju rzeczy nie mieściły się w mojej angielskiej głowie.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, sir — rzekłem — że gdyby Hindusi mieli do tego sposobność, pozbawiliby życia pana Franklina, byleby odzyskać swój diament?

— Czy pan pali, panie Betteredge? — zapytał podróżnik.

— Tak jest, sir.

— Czy obchodzi pana, co się stanie z popiołem z pańskiej fajki, kiedy ją pan opróżni?

— Nie, sir,

— W kraju, z którego pochodzą ci ludzie, dba się tyle o życie człowieka, co pan dba o popiół z fajki. Gdyby tysiąc istnień ludzkich stało na drodze do odzyskania diamentu i gdyby Hindusi sądzili, że mogą zniszczyć te istnienia w taki sposób, aby ich samych nie wykryto, uczyniliby to bez wahania. Poświęcenie kasty jest w Indiach sprawą bardzo poważną. Poświęcenie /ycia jest fraszką.

Wyraziłem pogląd, że jest to wobec powyższego banda złodziei i morderców. Pan Murthwaite zaoponował twierdząc, że Hindusi są cudownym narodem. Pan Franklin nie wyrażając żadnego poglądu, skierował rozmowę na sprawy aktualne.

— Hindusi widzieli Kamień Księżycowy na sukni panny Verinder — rzekł. — Co teraz mamy począć?

— To, czym zagroził im pański wuj — odparł Murthwaite. — Pułkownik Herncastle znał dobrze ludzi, z którymi miał do czynienia. Niech pan najdalej jutro wyśle diament (pod opieką kilku osób) do Amsterdamu, aby go tam pocięto na drobniejsze kamienie. Niech z niego zrobią sześć brylantów. W ten sposób położy się kres świętości diamentu jako Kamienia Księżycowego, a tym samym położy się kres sprzysiężeniu.

Pan Franklin zwrócił się do mnie:

— Nie ma rady, musimy jutro pomówić z lady Verinder.

— A może by jeszcze dziś, sir? Hindusi mogą przecież wrócić. Pan Murthwaite odpowiedział mi, uprzedzając pana Franklina.

— Hindusi nie zdecydują się na takie ryzyko — rzekł. — W ogóle rzadko

uciekają, działają otwarcie i wprost, nie mówiąc już o sprawie tak ważnej, w której najmniejszy błąd może być fatalny dla osiągnięcia celu.

— Ale może łotry są czelniejsze, niż pan sądzi, sir? — nalegałem.

— W takim razie proszę spuścić psy — poradził pan Murthwaite. — Czy macie duże psy?

— Dwa, proszę pana. Brytana i gończego.

— To wystarczy. W tej sytuacji, panie Betteredge, brytan i gończy mają jedną wielką zaletę — nie będą żywiły pańskich skrupułów co do świętości życia ludzkiego.

W tej chwili dobiegły nas dźwięki fortepianu. Pan Murthwaite odrzucił cygaro i ujął pod ramię pana Franklina, aby powrócić do pań. Idąc za nimi do domu zauważyłem, że niebo chmurzy się szybko. Pan Murthwaite zauważył to również. Obejrzał się na mnie i powiedział swoim oschłym, ironicznym tonem:

— Hindusom potrzebne będą dziś w nocy parasole, panie Betteredge. Łatwo mu było żartować. Ja jednakże nie byłem wybitnym podróżnikiem

i moje koleje losu nie nauczyły mnie grać w kości o własne życie ze złodziejami i zbirami na zakazanych krańcach świata. Udałem się do swego pokoiku, usiadłem spocony w fotelu i zastanawiałem się bezradnie, co teraz przedsięwziąć. W tej rozterce dusznej kto inny rozchorowałby się może w końcu ze zmartwienia, ja przecież wyszedłem z opresji inaczej. Zapaliłem fajkę i sięgnąłem do „Robinsona Kruzoe”.

Nie upłynęło pięć minut, gdy natrafiłem na ten zdumiewający ustęp — strona sto sześćdziesiąta pierwsza — który brzmi:

„Strach przed niebezpieczeństwem gorszy jest po tysiącokroć od samego niebezpieczeństwa, gdy je naocznie oglądamy. Przekonujemy się także, iż ciężar niepokoju znacznie jest większy i trudniejszy do zniesienia aniżeli zło, którego się lękamy”.

Człowiek, który po tym nie wierzy jeszcze w „Robinsona Kruzoe”, jest chyba człowiekiem obłąkanym albo też beznadziejnym zarozumiałcem! Nie warto marnować na niego dowodzeń, litość zaś lepiej zachować dla osób bardziej jej godnych.

Pałiłem właśnie drugą fajkę, wciąż pogrążony w podziwie dla tej cudownej książki, gdy Penelopa (która podawała herbatę) przyszła z meldunkiem z salonu. Wyszła, kiedy Terkotki zaczęły śpiewać duet (ze słowami zaczynającymi się na duże „O” oraz odpowiednią muzyką). Zauważyła, że moja pani popełniła błąd przy wiście, co zdarzyło jej się po raz pierwszy za naszej pamięci. Widziała wielkiego podróżnika uśpionego w kącie. Słyszała, jak pan Franklin ostrzył sobie dowcip na panu Godfreyu, rozprawiając o dobroczynności damskiej w ogóle, i zauważyła, że pan Godfrey odcinał się kuzynowi zjadliwiej, niżby przystało na dżentelmena tak wielkiej dobroćliwości. Wypatrzyła, jak panna Rachel, na pozór zajęta ugłaskiwaniem pani Threadgall, pokazując zacnej damie fotografie, w rzeczywistości rzucała panu Franklinowi spojrzenia, których znaczenie musiało być dla każdej inteligentnej pokojówki zupełnie jasne. Wreszcie dostrzegła nieobecność

doktora Candy'ego, który w pewnej chwili znikł tajemniczo z salonu, po czym równie tajemniczo powrócił! i wdał się w rozmowę z panem Godfreyem. Na ogół biorąc, rzeczy przedstawiały się więc lepiej, niż się mogliśmy spodziewać po niepowodzeniach przy obiedzie. Oby udało nam się wytrwać loszcie przez godzinę, a stary Ojciec Czas przyprowadzi przed ganek powozy przybyłych i uwolni nas od ich obecności.

Wszystko na tym świecie ma swój kres i po odejściu Penelopy nawet dobroczynne działanie „Robinsona Kruzoa” zaczęło słabnąć. Poczulem znowu niepokój i postanowiłem obejść dom i park, nim zacznie padać. Zamiast lokaja, który miał ludzki nos i wobec tego był dla mnie w tej opresji zupełnie nieprzydatny, wziąłem ze sobą psa gończego. Na jego nosie mogłem polegać. Obeszliśmy całą posiadłość, wyszliśmy na drogę — i wróciliśmy tacy sami mądrzy jak przedtem, nie wykrywszy nigdzie zaczajonej istoty ludzkiej. Wziąłem na razie psa na łańcuch i wracając przez ogród spotkałem dwóch panów nadchodzących od strony salonu. Byli to pan *Candy* i pan *Godfrey*, wciąż (jak meldowała Penelopa) pogrążeni w rozmowie. Śmieli się z jakiegoś miłego żartu. Zdziwiło mnie to nieco, że ci dwaj są w takiej komitywie, minąłem ich jednak udając, iż ich nie dostrzegam.

Przybycie powozów zbiegło się z początkiem ulewy. Rozpadało się tak, jak lldyby miało padać przez całą noc. Z wyjątkiem doktora, którego dwukołowy powozik czekał na niego, reszta gości pojechała do domu wygodnie w zamkniętych karetach. Wyraziłem obawę, iż pan Candy bardzo zmoknie. Odrzekł, że dziwi go, jak dożyłem tak podeszłego wieku nie wiedząc, że skóra doktora jest nieprzemakalna. Odjechał więc pod strugami deszczu śmiejąc się ze swego dowcipu i w ten sposób pozbyliśmy się wreszcie gości.

Teraz muszę opowiedzieć dzieje tej nocy.

ROZDZIAŁ XI

Kiedy ostatni goście odjechali, wróciłem do hallu i zastałem Samuela przy bocznym stole, ustawiającego koniak i wodę sodową. Moja pani i panna Rachela wyszły z salonu, za nimi postępowali dwaj panowie. Pan Godfrey poprosił o koniak z wodą sodową, pan Franklin nie pił nic. Usiadł jak człowiek śmiertelnie *znużony* — rozmowy podczas uroczystości widocznie wyczerpały go do cna.

Moja pani odwracając się, aby życzyć im dobrej nocy, rzuciła uważne spojrzenie na feralny upominek pułkownika lśniący na sukni córki.

— Rachelo — spytała — gdzie schowasz diament na noc?

Panna Rachela była w świetnym humorze, w takim właśnie, kiedy to mówi się głupstwa, twierdząc przewrotnie, że to rzeczy bardzo mądre. Można to czasem zaobserwować u młodych dziewcząt, kiedy są podniecone nerwowo po wesoło spędzonym dniu. Przede wszystkim więc oświadczyła, że nie wie, gdzie ma schować diament. Następnie powiedziała: — Położę go oczywiście na toalecie razem z innymi rzeczami. — Potem przypomniała sobie, że

diament być może zacznie w nocy świecić właściwym mu niesamowitym księżycowym blaskiem i gotów przerazić ją w ciemnościach. Przyszła jej wtedy na myśl hinduska szafeczka stojąca w jej saloniku i zdecydowała natychmiast, że schowa hinduski diament do hinduskiej szafki, ażeby te dwa piękne przedmioty tego samego pochodzenia mogły podziwiać się nawzajem. W tym miejscu matka przerwała ten potok nonsensów.

— Moja droga! Twoja indyjska szafka nie ma zamka.

— Ależ mammo! —zawołała panna Rachela. — Czy jesteśmy w hotelu? Czy w domu są złodzieje?

Nie zwracając uwagi na gadaninę córki, moja pani życzyła panom dobrej nocy. Następnie zwróciła się do panny Racheli i ucałowała ją.

— Czemu nie miałybyś oddać mi diamentu na przechowanie? — zapytała. Panna Rachela zareagowała na tę propozycję w podobny sposób, w jaki przed dziesięciu laty odpowiedziałyby na propozycję rozstania się z nową lalką. Moja pani zrozumiała, że dziś wieczorem nie da się z nią dojść do ładu.

— Jutro, skoro tylko obudzisz się, Rachelo — rzekła — przyjdź do mojego pokoju. Mam ci coś do powiedzenia.

Z tymi słowy opuściła nas wolnym krokiem, pogrążona w rozmyślaniach i sądząc z pozorów, niezbyt kontenta z wniosków, do których ją te rozmyślenia prowadziły.

Po niej udała się na spoczynek panna Rachela. Uścisnęła najpierw dłoń panu Godfreyowi, który stał na drugim końcu hallu wpatrując się pilnie w jakiś obraz. Potem wróciła do pana Franklina, który wciąż znużony i milczący siedział w kącie.

Co sobie powiedzieli, tego nie wiem. Jednakże stojąc w pobliżu wielkiego trema w dębowej ramie widziałem w nim odbicie panny Racheli. Wyciągnęła ona ukradkiem zza dekoltu sukni medalion, który dostała od pana Franklina w prezencie i zanim poszła na górę, pokazała mu go z uśmiechem niewątpliwie bardzo znaczącym. Incydent ten zachwiał nieco moją ufnością w słuszność własnego sądu. Zacząłem podejrzewać, że mimo wszystko Penelopa być może ma rację, jeśli chodzi o stan uczuć jej młodej pani.

Po odejściu panny Racheli pan Franklin odzyskał zdolność widzenia innych osób i zauważył mnie wreszcie. Z właściwą sobie zmiennością usposobienia doszedł już do nowych wniosków na temat Hindusów.

— Betteredge — rzekł — skłonny jestem sądzić, że podczas naszej rozmowy w ogrodzie potraktowałem słowa pana Murthwaite'a zbyt poważnie. Zastanawiam się, czy nie uraczył nas zwykłą podróżniczą bajdą? Czy rzeczywiście masz zamiar spuścić psy?

— Jeżeli zauważę, że coś węższą, sir.....odparłem — spuszczyć je ze smyczy i pozwolę, aby biegały wolno.

— Dobrze — zgodził się pan Franklin. — Jutro zastanowimy się, co robić dalej. Nie mam ochoty niepokoić ciotki bez koniecznej potrzeby. Dobranoc, Betteredge.

Był tak błady i wyczerpany, gdy skinął mi głową i wziął świecę, by iść na górę, że pozwoliłem sobie doradzić mu, aby wypił przed *snem* kropelkę

koniaku z wodą sodową. Pan Godfrey, który zbliżył się w tej chwili do nas / drugiego końca hallu, poparł mnie w tym względzie. W sposób jak n.ijzyczliwszy *nalegał*, aby pan Franklin napił się czegoś przed pójściem do łóżka.

Przytaczam te mało znaczące szczegóły, gdyż po wszystkim, co tego dnia widziałem i słyszałem, miło mi było stwierdzić, iż nasi młodzi panowie są nadal w najlepszej komitywie. Utarczka słowna (którą Penelopa słyszała w salonie) oraz rywalizacja o pierwsze miejsce w sercu panny Racheli najwidoczniej nie poróżniła ich wcale. Cóż dziwnego zresztą! Obaj odznaczyli się przecież łagodnym usposobieniem i byli ludźmi obytymi w świecie. A wypada to przyznać osobom wyższego stanu, że kłócą się między sobą bez porównania rzadziej niż ludzie z gminu.

Pan Franklin nie chciał koniaku i poszedł na górę razem z panem Godfreyem, gdyż pokoje ich sąsiadowały ze sobą. Na półpiętrze wszakże uległ widocznie namowom kuzyna albo też sam zmienił, jak zwykle, zdanie.

- Może będę chciał napić się czegoś w nocy — zawołał do mnie z góry. — Przyślij mi trochę koniaku do pokoju.

Posłałem do niego Samuela z koniakiem i wodą, a następnie wyszedłem i spuściłem psy. Nie posiadały się ze zdumienia, że się je puszcza wolno o tej porze, i zaczęły skakać i łasić się do mnie niby para szczeniąt! Deszcz zresztą ostudził szybko ich zapasy — pochleptały trochę wody deszczowej i schowały się do swoich bud. Wracając do domu dostrzegłem na niebie znaki, że pogoda wkrótce zmieni się znów na lepsze. Na razie jednak lało bez przerwy i grunt rozmiękł zupełnie.

W towarzystwie Samuela obszedłem cały dom i pozamykałem jak zwykle wszystkie drzwi i okna. Zbadałem osobiście każdy zamek, nie ufając tym nurem pomocnikowi. Kiedy po północy ułożyłem w końcu stare kości do łóżka, wszystko było w idealnym porządku.

Miałem widocznie w ciągu dnia za dużo wzruszeń, bo i mnie również dotknęła tej nocy choroba pana Franklina. Świtało już, kiedy zapadłem nareszcie w sen. Przez cały czas, gdy przewracałem się bezsenne na pościeli, w domu cicho było jak w grobie. Uszu moich nie dobiegł żaden dźwięk oprócz plusku deszczu i westchnień wiatru, który zerwał się nad ranem i szumiał wśród drzew.

Okolo pół do ósmej obudziłem się i otworzyłem okno. Był piękny, słoneczny dzień. Zegar wybił już ósmą i miałem właśnie wyjść, aby wziąć psy rui łańcuch, gdy usłyszałem za sobą na schodach szelest spódnic.

Odwróciłem się i ujrzałem Penelopę. Biegła ku mnie jak szalona.

Ojczy! — krzyknęła. — Proszę natychmiast przyjść na górę! Diament znikł!

Czyś ty zwariowała? — spytałem.

Znikł! — powtórzyła Penelopa. — Nie ma go i nikt nie wie, gdzie się podział! Chodź na górę i zobacz.

Pociągnęła mnie ze sobą do saloniku swej młodej pani, który łączył się z jej sypialnią. Na progu sypialni stała panna Rachela z twarzą równie białą jak jej szlafroczek. Drzwi indyjskiej szafeczki otwarte były na oścież. Jedną z wewnętrznych szufladek wyciągnięto tak daleko, jak się tylko dało.

— Spójrz! — rzekła Penelopa. — Na własne oczy widziałam, jak panna Rachela włożyła wczoraj wieczorem diament do tej szufladki.

Podszedłem do szafki. Szufladka była pustą.

— Czy to prawda, panienko? — zapytałem.

Panna Rachela z błędnym spojrzeniem odpowiedziała jakimś obcym, zdławionym głosem, podobnie jak przedtem moja córka:

— Diament znikł.

Po tych słowach wycofała się do sypialni i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Zanim zdążyliśmy się zastanowić, co robić dalej, do saloniku weszła moja pani. Usłyszała mój głos w pokoju córki i chciała dowiedzieć się, o co chodzi. Wiadomość o zniknięciu diamentu poraziła ją jak piorun. Milady podeszła do drzwi sypialni panny Racheli i domagała się, aby ją wpuszczono. Panna Rachela otworzyła wreszcie drzwi i wpuściła matkę.

Przerażająca wieść, szerząc się po domu niby pożar, dotarła po chwili do obu młodzieńców.

Pan Godfrey pierwszy wyszedł ze swego pokoju. Kiedy usłyszał, co się stało, podniósł tylko w oszołomieniu ręce ku niebu, nie dając tym zbyt pochlebnego świadectwa wrodzonej bystrości. Pan Franklin, na którego przytomność umysłu i trzeźwą radę liczyłem, okazał się równie bezradny jak jego kuzyn. Dziwnym trafem spał wreszcie tej nocy doskonale i niezwykle to szczęście, jak sam twierdził, ogłupiło go zupełnie. Gdy jednak przelknął naprędce filiżankę kawy — którą pijał zawsze na modłę cudzoziemską parę godzin przed śniadaniem — myśli mu się przejaśniły, odzyskał trzeźwość i z właściwym w takich chwilach rozsądkiem i stanowczością ujął sprawę w swoje ręce.

Przede wszystkim zwołał całą służbę i kazał jej zostawić wszystkie drzwi i okna na dole (z wyjątkiem drzwi frontowych, które ja już otworzyłem) dokładnie w tym samym stanie, w jakim były, kiedy pozamykaliśmy je na noc. Następnie zaproponował swemu kuzynowi i mnie, abyśmy — zanim poczynimy dalsze kroki — upewnili się, czy diament nie zawieruszył się gdzieś przypadkiem — czy nie wpadł gdzieś w głąb szafki lub pod stół, na którym szafka stała. Po bezowocnym przeszukaniu wymienionych miejsc oraz po zbadaniu Penelopy, od której nie dowiedzieliśmy się nic ponad to, co już mi przedtem powiedziała, pan Franklin uznał, że należy rozciągnąć indagacje na pannę Rachelę i poprosił Penelopę, aby zapukała do drzwi sypialni.

Na pukanie z sypialni wyszła moja pani zamykając za sobą drzwi. Jednocześnie usłyszeliśmy, że panna Rachela przekręca klucz w zamku. Na twarzy mojej pani malowało się strapienie.

— Zniknięcie diamentu podziałało na Rachelę druzgocąco — rzekła

w odpowiedzi na pytanie pana Franklina. — Rzec to zagadkowa, ale nie chce mówić o tym nawet ze mną. Na razie nikt nie może jej widzieć.

Zwiększywszy jeszcze naszą rozterkę tym opisem stanu ducha panny Racheli, moja pani wszakże opanowała się z wysiłkiem i odzyskała zwykły spokój i stanowczość.

— Sądzę, że nie ma innej rady? — spytała cicho. — Nie pozostaje mi chyba nic innego, jak wezwać policję?

— A policja — podjął żywo pan Franklin — powinna przede wszystkim odnaleźć hinduskich kuglarzy, którzy popisywali się tu wczoraj wieczorem.

Moja pani i pan Godfrey (którzy nie wiedzieli tego, co wiedział pan Franklin i ja) zdumieli się na te słowa.

— Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia — ciągnął dalej pan Franklin. — Mogę tylko powiedzieć państwu, że to niewątpliwie Hindusi skradli diament. Zechce ciocia dać mi list polecający do któregoś z wyższych urzędników policji we Frizinghall — nadmieniając w nim tylko, że reprezentuję interesy i życzenia cioci — a udam się tam niezwłocznie. Nie wolno nam tracić ani chwili, gdyż od tego, być może, zależy schwytnie złodziei.

(Notabene: nie wiem, która strona charakteru, francuska czy angielska, wzięła teraz górę w duszy pana Franklina, w każdym jednak razie była to strona właściwa. Pytanie tylko, jak to długo potrwa?)

Przyniósł papier, pióro, atrament i położył to wszystko przed ciotką, która (jak mi się zdawało) napisała żądany list niezbyt chętnie. Gdyby można było pominąć milczeniem takie zdarzenie jak zaginięcie klejnotu wartości dwudziestu tysięcy funtów, to sądzę — znając opinię mojej pani o nieżyjącym bracie i nieufność, jaką żywiła do jego prezentu — że w głębi duszy poczułaby wielką ulgę na wiadomość, iż złodzieje uszli z Kamieniem Księżycowym bezkarnie.

Poszedłem z panem Franklinem do stajni i skorzystałem ze sposobności, aby zapytać go, w jaki sposób Hindusom (których podejrzewałem oczywiście tak samo jak on) udało się dostać do domu.

— Jeden z nich mógł wśliznąć się do hallu podczas zamieszania przy odjeździe gości — odparł pan Franklin. — Leżał może pod kanapą, kiedy moja ciotka i Racheli rozmawiały o tym, gdzie schować diament na noc. Musiał tylko poczekać, aż wszyscy pójdą spać, i potem najspokojniej zabrał sobie diament z szafki.

Po tych słowach zawołał na stajennego, żeby ten otworzył bramę, i odjechał galopem.

Wydawało się rzeczywiście, że jest to jedyne rozsądne wytłumaczenie. Ale w jaki sposób złodziejowi udało się wymknąć potem z domu? Kiedy rano poszedłem otworzyć drzwi frontowe, były zamknięte i zaryglowane, jak je zostawiłem wieczorem. Co do innych drzwi i okien, wszystkie pozostawały nadal zamknięte i świadczyły same o sobie. A psy? Przypuśćmy, że złodziej wyskoczył przez jedno z górnych okien, w jaki sposób wymknął się psom? Może zaopatrzył się z góry w zatrute mięso? Gdy ta wątpliwość przeszła mi przez myśl, psy nadbiegły właśnie pędem i zaczęły koziołkować i przewracać

się na wilgotnej trawie tak żwawo i wesoło, że dopiero po znacznych wysiłkach udało mi się je uspokoić i wziąć na łańcuch. Im dłużej się zastanawiałem nad wytłumaczeniem pana Franklina, tym mniej ono mnie zadowalało.

Zjedliśmy śniadanie — cokolwiek zdarzy się w domu, kradzież czy morderstwo, nie ma to znaczenia, śniadanie trzeba zjeść. Po śniadaniu moja pani wezwała mnie do siebie, no i musiałem opowiedzieć jej wszystko, co dotychczas ukrywałem, a mianowicie o Hindusach i o sprzysiężeniu. Jako niewiasta męznego serca opanowała szybko zdumienie i strach, wywołane moimi informacjami. Widać było, że bardziej niepokoi ją stan córki aniżeli niegodziwi poganie i ich spiski.

— Wiesz, jaka jest Rachela i jak się czasem odmiennie zachowuje od ogółu dziewcząt — rzekła. — Nie pamiętam jednak, żeby kiedykolwiek była taka dziwna i zamknięta w sobie jak teraz. Zniknięcie diamentu przyprawiło ją niemal o utratę zmysłów. Kto by pomyślał, że ten potworny kamień mógł w tak krótkim czasie uzyskać nad nią tak potężną władzę!

Było to bez wątpienia dziwne. Panna Rachela bowiem na ogół biorąc nie przepadała za klejnotami i błyskotkami jak inne dziewczęta. A jednak zamknęła się teraz w swoim pokoju i nadal przebywała w nim niepokieszona. Sprawiedliwość każe zresztą dodać, że wśród domowników nie było nikogo, kogo by fatalne zdarzenie nie wytrąciło z równowagi. Pan Godfrey na przykład — pełniący przecież zawsze funkcje zawodowego pocieszyciela — w tym wypadku stracił zupełnie głowę. W braku towarzystwa, które by go zabawiało, i w braku sposobności do tego, by skorzystać ze swego wielkiego doświadczenia ze strapionymi kobietami i spróbować pocieszyć pannę Rachelę, wałęsał się smętnie po domu i ogrodzie. Był w rozterce, jak ma postąpić w związku z przykrością, która nas spotkała. Czy powinien w tej sytuacji uwolnić domowników od swej obecności, czy też zostać w nadziei, że jego skromne usługi mogą się w końcu na coś przydać? Doszedł wreszcie do wniosku, że w tak szczególnym wypadku obyczajność i względy należne krewnym nakazują mu obrać tę drugą drogę. Okoliczności stanowią próbę kruszcu, z którego człowiek jest odlany. Obecna próba wykazała, iż pan Godfrey odlany jest ze słabszego stopu, niż sądziłem. Co się tyczy służących płci żeńskiej, to — z wyjątkiem Rosanny Spearman, która trzymała się na uboczu — zaczęły one szeptać po kątach i rzucać wokoło podejrzliwe spojrzenia, jak ta słabsza połowa rodu ludzkiego ma we zwyczaju, ilekroć w domu zdarzy się coś niezwykłego. Przyznam się, że sam byłem nieswój i podrażniony. Przeklęty Kamień Księżycowy wyrócił nas wszystkich na nice.

Na krótko przed jedenastą powrócił pan Franklin. Sądząc z pozorów stanowcza strona jego charakteru od chwili wyjazdu musiała się ugiąć pod zbyt wielkim ciężarem, jakim ją obarczono. Pan Franklin opuścił nas galopem, wracał natomiast stępa. Odjeżdżając odlany był ze spizu i pełen energii, wrócił zaś miękki jak wata i najzupełniej apatyczny.

— Czy policja przyjedzie? — spytała moja pani.

— Tak — odrzekł pan Franklin. — Przyrzekli, że przyjadą tu za mną w mgnieniu oka. Inspektor Seegrave z miejscowej policji oraz dwóch jego ludzi. Ale to tylko formalność! Sprawa jest beznadziejna.

— Co?! Czyżby Hindusi uciekli, sir? — zapytałem.

— Biednych, skrzywdzonych Hindusów wsadzono do więzienia najniesprawiedliwiej w świecie — oświadczył pan Franklin. — Są niewinni jak nowo narodzone dzieci. Pomysł mój, że jeden z nich ukrył się w domu, rozwiął się jak dym wraz z resztą moich pomysłów. Stwierdzono — ciągnął dalej pan Franklin, z wyraźną satysfakcją podkreślając swoją pomyłkę — że było to po prostu niemożliwe.

Zadziwiwszy nas tym całkiem nowym obrotem sprawy, nasz młodzieniec na zaproszenie ciotki usiadł i przystąpił do szczegółowych wyjaśnień.

Jak się okazało, wystarczyło mu stanowczości aż do Frizinghall. Zreferował sprawę sędziemu pokoju w sposób jasny i zwięzły, sędzia pokoju więc od razu zawezwał policję. Pierwsze informacje zebrane o Hindusach wykazały, że nie próbowali oni wcale opuszczać miasteczka. Dalsze pytania skierowane do policji ustaliły, że widziano, jak wszyscy trzej kuglarze wraz z chłopcem powrócili poprzedniego wieczoru do Frizinghall między dziesiątą a jedenastą, co (zważywszy czas i odległość) dowodziło również, iż po popisie na naszym tarasie musieli powrócić prosto do miasta. Później jeszcze, o północy, policjanci przy sposobności rewizji przeprowadzonej w podrzędnym domu noclegowym, w którym Hindusi się zatrzymali, widzieli znów ich wszystkich trzech. Chłopiec był jak zwykle z nimi. Wkrótce po północy ja osobiście zamknąłem i zaryglowałem wszystkie drzwi domu. Trudno o bardziej niezbite dowody niewinności Hindusów. Sędzia pokoju oświadczył, że jak dotychczas nie może być mowy nawet o podejrzeniach w tym kierunku. Ponieważ jednak istnieje możliwość, że policja, przeprowadzając badania na miejscu przestępstwa, poczyni jakieś nowe odkrycia dotyczące kuglarzy, postara się on zamknąć ich do aresztu za szalbierstwo i włóczęgostwo i będzie przez tydzień trzymał ich pod kluczem do naszej dyspozycji. W ignorancji swej bowiem popełnili coś, co da się podciągnąć pod przekroczenie przepisów kodeksu karnego, a każdy przepis prawny da się nieco rozciągnąć, jeśli się tylko właściwie do tego zabrać. Zaczynał sędzia był starym przyjacielem mojej pani, toteż ledwie otworzono tego ranka salę sądową. Hindusi zostali „skazani” na tydzień aresztu.

Tak brzmiała relacja pana Franklina o wydarzeniach we Frizinghall. Hinduski klucz do zagadki zaginionego klejnotu, jak się okazało, złamał nam się w rękę. Jeżeli kuglarze są niewinni, to któż, na miłość boską, zabrał Kamień Księżycowy z szuflady panny Racheli?

Po dziesięciu minutach, ku wielkiej naszej uldze, nadjechał inspektor Seegrave. Opowiedział, że widział w przejściu pana Franklina, który wygrzewał się w słońcu na tarasie (włoska strona charakteru musiała teraz, jak sądzę, wziąć w nim górę). Zanim jeszcze rozpoczęto dochodzenie, pan Franklin uprzedził policjantów, że wszelkie badania są daremne.

W naszej trudnej sytuacji nie mogliśmy życzyć sobie miłszego gościa niż

inspektor Seegrave z Frizinghall. Pan Seegrave był wysokim, postawnym mężczyzną o manierach wojskowego. Miał dźwięczny, władczy głos, stanowcze, mocne spojrzenie i wspaniały mundur pięknie zapięty pod szyję. „Jestem tym, kogo wam potrzeba” — czytało się z jego twarzy, ponadto wydawał swoim podwładnym rozkazy bardzo surowym tonem, który przekonał nas wszystkich, że z człowiekiem tym bez wątpienia nie ma żartów.

Przede wszystkim obszedł dom z zewnątrz i od wewnątrz, po czym stwierdził, że złodziej z pewnością nie włamał się do domu z zewnątrz i wobec tego kradzież musiał popełnić ktoś z domowników. Mogą państwo sobie wyobrazić, w jaki stan oficjalne to oświadczenie wprawiło służbę. Inspektor postanowił rozpocząć od obejrzenia buduaru, następnie zaś przystąpić do badania służby. Jednocześnie postawił jednego ze swoich ludzi na schodach wiodących do pokoi służbowych i polecił mu, aby do otrzymania dalszych rozkazów nie wpuszczał tam nikogo.

Na to ostatnie zarządzenie słabszą połowę rodzaju ludzkiego ogarnęła gwałtowna rozpacz. Służące powyskakiwały ze swych kątów, pobiegły wszystkie razem do pokoju panny Racheli (zagarniając tym razem ze sobą także i Rosannę Spearman), wpadły do inspektora Seegrave'a i błagały go, żeby powiedział od razu, którą z nich podejrzewa.

Inspektor znalazł się na wysokości zadania — spojrzał groźnie na niewiasty i poskromił je swym władczym głosem.

— Marsz na dół, moje panie — rozkazał — wszystkie co do jednej. Nie pozwolę, żebyście się tutaj kręciły. Patrzcie! — dodał wskazując palcem smugę na malowidłach zdobiących drzwi panny Racheli, smugę na brzegu, tuż pod zamkiem. — Patrzcie, jaką szkodę już zrobiły spódnice którejs z was. Jazda, jazda stąd zaraz!

Rosanna Spearman, która stała najbliżej inspektora i najbliżej smugi na drzwiach, dała przykład posłuszeństwa i niezwłocznie wymknęła się z pokoju. Pozostałe podążyły za nią. Inspektor zakończył oględziny pokoju, które nic mu nie dały, po czym zapytał mnie, kto pierwszy zauważył kradzież. Kradzież zauważyła moja córka. Posłano więc po moją córkę.

Pan inspektor w pierwszej chwili obszedł się z Penelopą nieco zbyt szorstko.

— Słuchaj mnie uważnie, moja panno, i pamiętaj, że masz mówić prawdę. Penelopa od razu wybuchnęła.

— Nie uczono mnie nigdy kłamstwa, panie policjancie! — oświadczyła. — A jeżeli ojciec może stać tutaj i słuchać, jak się mnie oskarża o fałsz i złodziejstwo, i na dodatek pozwala, żeby zamykano przede mną mój własny pokój i szkalowano moje dobre imię — jedyny skarb ubogiej dziewczyny — to nie jest dobrym ojcem, za jakiego go miałam!

Wtrąciłem tedy pojednawcze słówko, dzięki czemu stosunki między Sprawiedliwością a Penelopą przybrały łagodniejszą formę. Pytania i odpowiedzi płynęły gładko i szybko, ale nie wynikało z nich nic godnego wzmianki. Moja córka widziała, jak panna Racheli tuż przed pójściem spać schowała diament do szuflady. Nazajutrz, kiedy o ósmej rano weszła do

saloniku z filiżanką herbaty dla panny Racheli, zobaczyła, że szuflada jest otwarta i pusta. Zaalarmowała wówczas domowników— i na tym był koniec zeznań Penelopy.

Pan inspektor poprosił następnie o widzenie się z samą panną Rachelą. Penelopa powtórzyła jego prośbę przez drzwi. Odpowiedź dotarła do nas tą samą drogą:

— Nie mam nic policjantowi do powiedzenia — nie widziałam nikogo. Niespodziewana ta replika zdumiała i jednocześnie dotknęła boleśnie

naszego doświadczonego urzędnika policji. Wyjaśniłem mu, że panienka jest niezdrowa, i prosiłem, aby zechciał poczekać trochę, a zobaczy się z nią później. Zeszliśmy tedy znów na dół i spotkaliśmy w hallu pana Godfreya i pana Franklina.

Obu panów zapytano jako mieszkańców domu, czy nie mogą rzucić światła na sprawę. Żaden z nich jednak nic o niej nie wiedział. Czy nie słyszeli ubiegłej nocy jakichś podejrzanym hałasów? Nie słyszeli nic prócz plusku deszczu. Czy ja, czuwając dłużej od nich, również nic nie słyszałem! Nic! Pan Franklin zwolniony z przesłuchania (podczas którego wciąż zajmował stanowisko osoby zupełnie bezradnej w tej trudnej sytuacji) szepnął mi do ucha:

— Ten człowiek na nic się nam nie przyda. Inspektor jest patentowanym osłem!

Zwolniony z kolei pan Godfrey szepnął do mnie:

— Inspektor robi na mnie wrażenie człowieka niezmiernie kompetentnego. Pokładam w nim wielkie nadzieje, Betteredge!

Ilu ludzi, tyle opinii, jak powiedział już przede mną ktoś ze starożytnych.

Następne kroki pana inspektora zaprowadziły go z powrotem do buduaru. Moja córka i ja poszliśmy za nim. Inspektor pragnął ustalić, czy w ciągu ubiegłej nocy nie przesunięto jakichś mebli z ich zwykłych miejsc. Widocznie poprzednie oględziny pokoju nie wystarczyły mu w tym względzie.

Gdyśmy wciąż jeszcze szperali wśród foteli i stołów, drzwi sypialni otworzyły się nagle. Panna Racheli, która dotychczas broniła się uparcie przed rozmową z kimkolwiek, teraz ku naszemu zdumieniu wyszła do nas z własnej woli. Wzięła z krzesła swój kapelusz ogrodowy i zwróciła się wprost do Penelopy z następującym pytaniem:

— Pan Franklin Blake przysłał cię dziś rano do mnie z jakimś poleceniem?

— Tak jest, proszę panienki.

— Chciał się ze mną widzieć?

— Tak jest.

— Gdzie jest teraz?

Słyszac głosy dobiegające z tarasu, wyjrzałem przez okno i stwierdziłem, że obaj młodzi panowie przechadzają się razem, odpowiedziałem więc za córkę:

— Pan Franklin jest na tarasie, panienko.

Nie wypowiadając już ani słowa i nie zwracając najmniejszej uwagi na inspektora, który próbował zacząć z nią rozmowę, panna Racheli, śmiertel-

nie błada, pogrążona w dziwnej zadumie, opuściła pokój i zeszła na dół, aby przyłączyć się do swych kuzynów.

Był to bez wątpienia z mojej strony brak należytego szacunku i dobrych manier, nie mogłem się jednak powstrzymać i wyjrzałem przez okno, aby obserwować spotkanie panny Racheli z młodymi panami. Panna Rachela podeszła do pana Franklina, jak gdyby nie dostrzegając wcale pana Godfrey'a, który wobec tego wycofał się i zostawił ich samych. Panna Rachela wówczas zwróciła się do pana Franklina i powiedziała coś tonem wielkiego wzburzenia. Rozmowa trwała krótko, lecz (sądząc z wyrazu twarzy pana Franklina) wprawiła go w niewymowne zdumienie. Gdy wciąż jeszcze stali razem, na tarasie ukazała się moja pani. Panna Rachela ujrzała ją, powiedziała jeszcze kilka słów do pana Franklina i zanim matka jej zdążyła się zbliżyć, wróciła szybko do domu. Moja pani, sama zdziwiona, a także widząc zdumienie pana Franklina, zaczęła z nim rozmowę. Przyłączył się do nich pan Godfrey i również coś powiedział. Pan Franklin ruszył wraz z nimi naprzód, opowiadając im widocznie, co zaszło, gdyż po kilku krokach zarówno moja pani, jak i pan Godfrey stanęli jak wryci, najwyraźniej oszołomieni tym, co usłyszeli. Co było dalej, tego nie wiem, bo w tej chwili drzwi saloniku otworzyły się gwałtownie i panna Rachela w najwyższej furii, z pałającymi oczami i policzkami, przeszła szybko do swego pokoju. Pan inspektor znów próbował zadać jej jakieś pytanie, na co odwróciła się ku niemu sprzed drzwi sypialni i zawołała gniewnie:

— Nie wzywałam pana! Nie jest mi pan potrzebny. Mój diament zginął. Ani pan, ani nikt inny nigdy go nie znajdzie!

Z tymi słowy weszła do sypialni i zatrzasnęła nam drzwi przed nosem. Penelopa, która stała najbliżej, usłyszała, że panna Rachela znalazłszy się sama wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

To gniew, to znów zaraz potem łzy! Co to mogło znaczyć?

Wytłumaczyłem inspektorowi, że panna Rachela po prostu przejęła się bardzo utratą klejnotu. Ponieważ dbałem o honor rodziny, przykro mi było niezmiernie, że moja młoda pani może się do tego stopnia zapomnieć — choćby tylko w obecności urzędnika policji—toteż starałem się ją za wszelką cenę usprawiedliwić. W głębi duszy jednak nie mogłem zrozumieć niezwykłego zachowania panny Racheli. Ze słów jej, wypowiedzianych przed drzwiami sypialni, mogłem jedynie wywnioskować, że oburzona jest na nas o to, iż wezwaliśmy policję, zdumienie zaś pana Franklina spowodowały wyrzuty, jakie czyniła mu w tym względzie (jako osobie, która policję sprowadziła). Jeżeli domysł ten był słuszny, to czemu straciwszy diament miałyby protestować przeciw obecności osób powołanych do tego, aby pomóc jej w odzyskaniu klejnotu? I skąd, na miłość boską, mogła wiedzieć, że Kamień Księżycowy nigdy się już nie znajdzie?

W takim stanie rzeczy nie mogłem spodziewać się odpowiedzi na te pytania od nikogo z domowników. Pan Franklin zapewne poczytywał sobie za punkt honoru nie powtarzać nikomu ze służby — nawet tak staremu słudze jak ja — tego, co panna Rachela powiedziała mu na

tarasie. Pan Godfrey, którego pan Franklin prawdopodobnie dopuścił do zaufania jako dżentelmena i swego krewnego, nie mógł oczywiście tego zaufania zdradzić. Moja pani, która również była niewątpliwie dopuszczona do tajemnicy i która jedna jedyna miała dostęp do panny Racheli, przyznawała się otwarcie, że nic z tego wszystkiego nie rozumie. Panna Rachelę powtarzała tylko: „Doprowadzasz mnie do szału tym ciągłym mówieniem

o diamencie!" — i matka nic więcej nie mogła z niej wydobyć. Stanęliśmy więc w martwym punkcie, jeśli chodzi o pannę Rachelę,

i w takim samym martwym punkcie, jeśli chodzi o Kamień Księżycowy. W pierwszym wypadku moja pani nie mogła nam w niczym dopomóc. W drugim (jak się państwo wkrótce sami przekonają) pan Seegrave zbliżał się szybko do stanu inspektora policji bliskiego obłądu.

Doświadczony nasz urzędnik szperał długo w buduarze, nie dokonawszy jednak żadnych odkryć wśród mebli, zwrócił się do mnie z pytaniem, czy ktoś ze służby wiedział, gdzie schowano na noc diament.

— Przede wszystkim ja o tym wiedziałem, sir — odparłem. — Samuel, lokaj, wiedział również, gdyż był obecny przy rozmowie lady Verinder i panny Racheli o tym, gdzie się ma umieścić diament na noc. Wiedziała także moja córka, jak panu już mówiła. Ona albo Samuel mogli wspomnieć o tym komuś spośród służby lub też ktoś inny ze służby mógł sam słyszeć rozmowę przez boczne drzwi hallu, które mogły być otwarte na kuchenne schody. O ile się orientuję, każdy z domowników mógł wiedzieć, gdzie diament miał się znajdować zeszłej nocy.

Ponieważ odpowiedź moja otworzyła przed panem inspektorem niezmiernie szerokie pole do podejrzeń, spróbował zawęzić je pytając z kolei o charakterystykę poszczególnych służących.

Pomyślałem od razu o Rosannie Spearman. Jednakże nie uważałem za stosowne ani nie pragnąłem wcale kierować podejrzeń na biedną dziewczynę, której uczciwość, odkąd ją znałem, była bez najmniejszej skazy. Przełożona domu poprawczego poleciła ją mojej pani jako dziewczynę szczerze skruszoną i bezwzględnie godną zaufania. Niechże inspektor sam wykryje powody do tego, aby ją w pierwszym rzędzie podejrzewać, a wówczas dopiero — i nie wcześniej — obowiązkiem moim będzie poinformować go, jaką drogą Rosanna dostała się na służbę do mojej pani.

— Wszyscy nasi pracownicy mają doskonale świadectwa — oświadczyłem. — Żaden też z nich nie zawiódł zaufania pokładanego w nim przez lady Verinder.

Wobec tego panu Seegrave'owi pozostało do zrobienia tylko jedno: mianowicie zabrać się do roboty i przesłuchać osobiście całą służbę.

Badał więc jednego po drugim. Okazało się, że jeden po drugim nie ma nic do powiedzenia i stwierdza to (zwłaszcza gdy chodziło o kobiety) z wielką elokwencją, a także z wielką urazą o embargo nałożone na ich pokoje. Wreszcie ostatnia pomywaczka wróciła na swoje miejsce w suterenie. Wezwano wówczas Penelopę, aby przesłuchać ją oddzielnie po raz drugi.

Gniewny wybuch mojej córki w buduarze i gotowość, z jaką uznała, że się ją podejrzewa, wywarły widocznie niekorzystne wrażenie na inspektorze Seegravie. Wryło mu się też zapewne w pamięć, że Penelopa była ostatnią osobą, która widziała wieczorem diament. Po zakończeniu drugiego badania moja dziewczyna przybiegła do mnie ogarnięta furią. Nie ma już najmniejszych wątpliwości: urzędnik policji dał jej niemal do zrozumienia, że jest złodziejką! Trudno mi było uwierzyć (biorąc pod uwagę zdanie pana Franklina), aby inspektor był aż tak wielkim osłem. Ale choć nic nie mówił, spojrzenie, którym mierzył moją córkę, nie było zbyt życzliwe. Udałem wobec biednej Penelopy, że śmieję się z całej sprawy, gdyż nie sposób jej traktować poważnie. W głębi duszy jednak rozgniewałem się, i to mocno. Cała rzecz była doprawdy trochę irytująca. Moja dziewczynka usiadła zgnębiona w kącie i zarzuciła fartuszek na głowę. Powiedzą państwo, że było to niemądre z jej strony — należało zaczekać, aż inspektor wyraźnie ją oskarży. Cóż, jako człowiek sprawiedliwy i zrównoważony przyznaję państwu rację. Z drugiej strony jednak pan inspektor mógłby pamiętać... mniejsza zresztą,

o czym mógłby pamiętać. Niech go licho porwie!

Następne i ostatnie posunięcie inspektora doprowadziło sytuację, jak to się mówi, do punktu krytycznego. Inspektor odbył rozmowę (byłem przy tym obecny) z moją panią. Poinformował ją najpierw, że diament musiał ukraść ktoś z domowników, po czym poprosił o zezwolenie na rewizję w pokojach

i kufrach służby. Moja dobra pani, jak przystało na szlachetną i wykwinną osobę, nie pozwoliła potraktować nas jak złodziei.

— Nie zgodzę się nigdy — rzekła — aby ludzi pracujących wiernie w moim domu spotkała taka nagroda za wszystko, co jestem im winna.

Pan inspektor uklonił się, ze spojrzeniem w moją stronę, które mówiło wyraźnie: „Po cóż było mnie wzywać, skoro krępuje mi pani ręce?” Jako szef służby poczułem od razu, że gwoli sprawiedliwości nie możemy korzystać ze szlachetnej natury naszej pani.

— Jesteśmy milady niezmiernie wdzięczni — powiedziałem — prosimy jednak, aby jej lordowska mość pozwoliła nam spełnić powinność i wręczyć panu inspektorowi klucze od swoich pokoi. Jeżeli Gabriel Betteredge da przykład — dodałem zatrzymując inspektora Seegrave'a przy drzwiach — ręczę panu, że reszta służby pójdzie za nim. Oto na początek moje klucze!

Moja pani ujęła mnie za rękę i dziękowała mi ze łzami w oczach. Mój Boże! Ileż bym dal w tej chwili, żeby mi wolno było zręcznym ciosem w szczękę obalić inspektora na ziemię!

Jak zapowiedziałem, cała służba poszła za moim przykładem, bez entuzjazmu naturalnie, uznając wszakże mój punkt widzenia za słuszny. Trzeba było widzieć twarze kobiet, kiedy policjanci grzebali w ich rzeczach. Kucharka miała taką minę, jak gdyby chętnie upiekła inspektora żywcem na rożnie, pozostałe zaś niewiasty patrzyły na niego tak, jak gdyby chętnie zjadły go po upieczeniu.

Po zakończeniu rewizji, w czasie której nie znaleziono oczywiście ani nigdzie śladu diamentu, inspektor Seegrave wycofał się do mojego pokoiku.

aby rozważyć w samotności, co ma robić dalej. Od kilku godzin już przebywał ze swoimi ludźmi w naszym domu, a nie był ani o cal bliższy stwierdzenia, w jaki sposób skradziono Kamień Księżycowy, ani też kogo mamy o kradzież podejrzewać.

Inspektor bił się jeszcze w samotności z myślami, gdy pan Franklin wezwał mnie na rozmowę do biblioteki. Miałem już rękę na klamce, gdy drzwi otworzyły się nagle od wewnątrz i ku memu nieopisanemu zdumieniu wyszła z nich Rosanna Spearman!

Bibliotekę sprzątano i okurzano w godzinach rannych, w późniejszych zaś ani pierwsza, ani druga pokojówka nie miała już tam nic do roboty. Zatrzymałem tedy Rosannę i zganilem ją od razu za przekroczenie domowego regulaminu.

— Czegoś chciała w bibliotece o tej porze? — zapytałem.

— Pan Franklin Blake zgubił na górze jeden ze swoich pierścieni — odparta Rosanna — i przyszłam do biblioteki, aby mu go zwrócić.

Twarz Rosanny, gdy wypowiadała te słowa, pałała rumieńcem. Dziewczyna spojrzała na mnie wyniośle, podniosła dumnie głowę i odeszła z miną tak godną, że wręcz osłupiałem. Wypadki rozgrywające się w domu bez wątpienia wytrąciły mniej lub bardziej z równowagi wszystkie służące, żadna z nich jednak nie zmieniła się tak raptownie i całkowicie jak Rosanna.

Pan Franklin pisał coś przy biurku w bibliotece. Gdy wszedłem, zażądał od razu jakiegoś środka lokomocji na stację kolei. Z brzmienia jego głosu poznałem, że stanowczość znów wzięła w nim górę nad niezdecydowaniem. Człowiek z waty znikł i miałem przed sobą znów człowieka ze spiżu.

— Jedzie pan do Londynu? — zapytałem.

— Chcę zadeszować do Londynu — odparł pan Franklin. — Przekonałem moją ciotkę, że potrzeba nam tu tęższej głowy od inspektora Seegrave'a. Pozwoliła mi wysłać depeszę do mojego ojca. Ojciec zna naczelnego komisarza policji, a komisarz skieruje tu właściwego człowieka, który rozwiąże zagadkę diamentu. Ale, ale, jeżeli już mówimy o zagadkach — dodał pan Franklin zniżając głos do szeptu chcę ci jeszcze coś powiedzieć, zanim pójdziesz do stajni. Nie piśnij o tym na razie nikomu, ale Rosanna Spearman albo ma niezupełnie dobrze w głowie, albo też, jak się obawiam, wie o Kamieniu Księżycowym więcej, niż powinna.

Nie potrafię określić, czy słowa jego bardziej mnie przeraziły, czy zmartwiły. Gdybym był młodszy, zwierzyłbym się może z tego panu Franklinowi Ale wraz z wiekiem nabywa się pewnego doskonałego przyzwyczajenia — jeżeli się nie jest pewnym, co powiedzieć, trzyma się język za zębami.

— Przyszła tutaj z pierścionkiem, który zgubiłem w swoim pokoju — ciągnął dalej pan Franklin. — Podziękowałem jej i oczywiście spodziewałem się, że zaraz odejdzie. Zamiast tego jednak stanęła naprzeciw mnie przy stole i patrzała na mnie bardzo osobliwie — na pół nieśmiało, na pół poufale- nie umiem tego dokładnie określić. „Dziwne to zdarzenie z diamentem, sir” — powiedziała nagle szczególnym tonem. „Tak — odrzekłem — bardzo dziwne” i zastanawiałem się, co będzie dalej. Na honor, Betteredge,

dziewczyna ma chyba źle w głowie! Powiedziała: „Nigdy nie znajdą diamentu, prawda? Nie znajdą diamentu ani osoby, która go zabrała, ręczę za to”. Kiwała przy tym znacząco głową i uśmiechała się do mnie! Zanim zdążyłem zapytać, co chce przez to powiedzieć, usłyszeliśmy twoje kroki. Dziewczyna złąkała się pewnie, żebyś jej tu nie przyłapał. W każdym razie zacerwieniła się gwałtownie i wyszła z pokoju. Co to, u licha, może znaczyć?

Mimo wszystko nie mogłem się zdobyć na to, aby opowiedzieć mu dzieje Rosanny. Byłoby to przecież niemal to samo, co powiedzieć mu wręcz, że dziewczyna jest złodziejką. Ponadto, gdybym nawet szczerze mu wszystko opowiedział i gdybyśmy nawet założyli, że jest ona złodziejką, nie wyjaśniloby to wcale, dlaczego miałyby zwierzać się ze swej tajemnicy akurat panu Franklinowi.

— Wstrętna mi jest myśl, że mógłbym wpędzić biedaczkę w tarapaty dlatego tylko, że się osobliwie zachowuje i mówi dziwne rzeczy — ciągnął dalej pan Franklin. —A jednak, gdyby powiedziała inspektorowi to, co mnie, to chociaż głupiec z niego, obawiam się, że...

Pan Franklin urwał i pozostawił resztę nie dopowiedzianą.

— Najlepiej będzie, sir — rzekłem — jeśli przy pierwszej okazji szepnę o tym słówko mojej pani. Lady Verinder ma dla Rosanny dużo życzliwości, a koniec końców dziewczyna jest być może tylko zuchwała i niezrównoważona. Kiedy w domu powstaje jakieś zamieszanie, sir, służące zazwyczaj widzą wszystko w czarnych kolorach — biedaczki urastają przez to we własnych oczach. Jeżeli na przykład ktoś zachoruje, kobiety zawsze przepowiadają, że ta osoba umrze. Jeżeli zginie jakiś klejnot, przepowiadają zawsze, że już się nigdy nie znajdzie.

Pogląd ten (który, muszę zaznaczyć, wydał mi się po zastanowieniu wcale prawdopodobny) najwidoczniej sprawił ulgę panu Franklinowi. Schował do kieszeni napisaną depezę i zmienił temat rozmowy. Idąc do stajni, by wydać rozporządzenia w sprawie bryczki, zajrzałem do jadalni służbowej, w której podawano właśnie obiad. Rosanny Spearman nie było przy stole. Zapytałem o nią i dowiedziałem się, że poczuła się nagle słaba i poszła na górę, żeby się położyć.

— Ciekawe! Kiedym ją niedawno widział, wyglądała zupełnie dobrze — zauważyłem.

Penelopa wyszła ze mną na dziedziniec.

— Nie mów tak w obecności ich wszystkich, ojczy — rzekła. —Traktują ją potem jeszcze gorzej. Biedaczka zamartwia się o pana Franklina Blake'a.

Oto był inny znów pogląd na postępowanie Rosanny. Jeżeli Penelopa miała rację, tu mogło właśnie tkwić wyjaśnienie dziwnych słów i zachowania dziewczyny. Rosanna mianowicie nie dbała o to, co robi i mówi, byleby udało jej się wciągnąć pana Franklina do rozmowy. Gdyby takie rozwiązanie zagadki było słuszne, tłumaczyłoby ono także jej wyniosłą, dumną minę, kiedy mijala mnie w hallu. Osiągnęła przecież swój cel i pan Franklin rozmawiał z nią rzeczywiście, chociaż wyrzekł w trakcie tej rozmowy tylko trzy słowa.

Sam zaprząłem kuca do bryczki. W otaczającej nas diabelskiej sieci zagadek i domysłów sprawiło mi to prawdziwą ulgę, gdy patrzyłem, jak dobrze i gładko dają się połączyć poszczególne części upręży! Widok kuca zaprzęzonego do bryczki nie miał w sobie nic zagadkowego, nie nastroczał żadnych wątpliwości. A to, pozwólcie państwo sobie powiedzieć, zaczęło być w naszej powikłanej sytuacji prawdziwą gratką.

Kiedy podprowadziłem bryczkę przed drzwi frontowe, zastałem tam nie tylko pana Franklina, lecz również pana Godfreya i inspektora, którzy na mnie czekali na stopniach.

Po bezowocnych poszukiwaniach diamentu w pokojach i w kuferkach służby, a następnie po długich rozmyślaniach inspektor doszedł najwidoczniej do zgoła nowego wniosku. Obstawiając wciąż przy swej pierwszej hipotezie — mianowicie, że to ktoś z domowników skradł klejnot — nasz doświadczony urzędnik skłaniał się teraz ku zdaniu, iż złodziej (inspektor miał dość rozsądku, aby nie wymienić wprost biednej Penelopy, cokolwiek myślał o niej w głębi ducha) działał w porozumieniu z Hindusami. Pan Seegrave postanowił tedy przenieść teren badań do więzienia we Frizinghall, w którym znajdowali się kuglarze. Na wieść o tym nowym planie pan Franklin ofiarował się, że odwiezie inspektora do miasta, skąd mógł zatelegrafować do Londynu równie wygodnie jak z naszej stacji kolejowej. Pan Godfrey, wciąż wierząc bez zastrzeżeń w potęgę umysłu pana Seegrave'a i pragnąc być obecnym przy badaniu Hindusów, postanowił towarzyszyć inspektorowi do Frizinghall. W domu miał pozostać na wszelki wypadek tylko jeden z podwładnych inspektora, drugi miał powrócić z nim do miasta. Wszystkie cztery miejsca w bryczce zostały więc zajęte.

Przed odjazdem pan Franklin odciągnął mnie na bok.

— Poczekam z telegrafowaniem do Londynu na wynik przesłuchania Hindusów — rzekł półgłosem. — Przekonany jestem, że ten tępy policjant prowincjonalny nic dotychczas nie wskórał i stara się tylko zyskać na czasie. Pomysł, że ktoś ze służby jest w spisku z Hindusami, jest moim zdaniem wierutnym głupstwem. Uważaj tu na wszystko w domu aż do mojego powrotu, Betteredge, i postaraj się wy badać dyskretnie Rosannę Spearman. Nie proszę cię, abyś się uciekał do poniżających podstępów lub stosował jakieś okrutne metody. Proszę tylko, żebyś wyteżył zmysł obserwacji. Wobec ciotki przedstawimy sprawę w jak najbardziej optymistycznym świetle, ale rzecz jest poważniejsza, niż przypuszczasz.

— Chodzi o dwadzieścia tysięcy funtów, sir— rzekłem, myśląc o wartości diamentu.

— Chodzi o uspokojenie Racheli — odparł smutno pan Franklin. — Jestem o nią bardzo niespokojny.

Odszedł nagle, jak gdyby chcąc zapobiec dalszej wymianie zdań. Domyślałem się przyczyny tego pośpiechu. W dalszej rozmowie pan Franklin musiałby zwierzyć mi się z tego, co powiedziała mu na tarasie panna Rachel.

Panowie odjechali więc do Frizinghall. W interesie Rosanny gotów byłem odbyć z nią pogawędkę na osobności, nie udało mi się jednak znaleźć na to

sposobnej chwili. Rosanna zeszła z góry dopiero na podwieczorek. Była wszakże ogromnie podniecona, dostała zaraz tak zwanego ataku histerycznego, po czym zaaplikowano jej z rozkazu mojej pani dawkę soli trzeźwiących i odesłano ją z powrotem do łóżka.

Mogę państwu powiedzieć, że dzień włókł się nieznośnie. Panna Rachela nadal nie opuszczała swego pokoju, twierdząc, że czuje się zbyt chora, aby zejść na obiad. Moja pani tak była zgnębiona zachowaniem się córki, że nie mogłem przyczyniać jej dodatkowych zmartwień opowiadając o tym, co Rosanna powiedziała panu Franklinowi. Penelopa wciąż nie dawała sobie wybić z głowy przeświadczenia, że ją lada chwila aresztują, skazą i ześlą za kradzież. Inne kobiety wetknęły nosy w Biblię i książki do nabożeństwa i siedziały nad nimi z bardzo kwaśnymi minami — co, jak zdołałem zaobserwować, bywa zwykle rezultatem dokonywania pobożnych aktów o niezwykłych porach dnia. Codo mnie, to nie miałem nawet chęci otworzyć mojego ukochanego „Robinsona Kruzoe”. Wyszedłem na dziedziniec i będąc spragniony życzliwego towarzystwa, ustawiłem swoje krzesło przy psiarni i gawędziłem z psami.

Na pół godziny przed obiadem obaj panowie powrócili z Frizinghall umówiwszy się z inspektorem Seegrave'em, że przyjedzie do nas nazajutrz. Po drodze odwiedzili pana Murthwaite'a, podróżnika, w jego obecnej rezydencji podmiejskiej. Na prośbę pana Franklina pan Murthwaite zgodził się służyć im swoją znajomością narzeczy hinduskich i obecny był przy przesłuchaniu owych dwóch Hindusów, którzy nie znali angielskiego. Jednakże długie i bardzo szczegółowe badanie nie przyniosło nic nowego. Nie wykryto ani cienia dowodu na to, by kuglarze usiłowali wejść w porozumienie z kimkolwiek z naszej służby. Po przesłuchaniu tedy pan Franklin wysłał depezę do Londynu i na tym sprawa stanęła aż do jutrzejszego ranka.

Tak minął następny dzień po urodzinach panny Racheli. Jak dotychczas nie widzieliśmy ani promyczka światła. W kilka dni później wszakże mrok zaczął się stopniowo rozpraszać. Jak to się stało i co z tego wynikło, przekonają się państwo za chwilę.

ROZDZIAŁ XII

Noc z czwartku na piątek minęła bez żadnych wydarzeń. W piątek rano natomiast otrzymaliśmy dwie wiadomości.

Wiadomość pierwsza: syn piekarza oświadczył, że poprzedniego dnia po południu spotkał Rosannę Spearman. Miała gęstą woalkę i szła ścieżką nad bagniskami w kierunku Frizinghall. Bardzo dziwne było, że ktoś mógł pomylić się co do osoby Rosanny, bo krzywe ramię biedaczki stanowiło przecież znak wyróżniający, chłopak musiał się jednak pomylić, gdyż, jak państwo wiedzą, Rosanna przez całe czwartkowe popołudnie leżała chora w swoim pokoju.

Drugą wiadomość przyniósł listonosz. Zacny pan Candy znów miał pecha

i odjeżdżając podczas deszczu po przyjęciu urodzinowym wypowiedział w złą godzinę owo zdanie o nieprzemakalnej skórze lekarzy. Mimo tej nieprzemakalnej skóry przeziębził się owej nocy i teraz leżał chory. Jak opowiadał listonosz, doktor zaczął nawet majaczyć, przy czym bredził w gorączce z nie mniejszą swadą, niż to czynił częstokroć będąc przy zdrowych zmysłach. Współczuliśmy wszyscy naszemu doktorowi, lecz pan Franklin zmartwił się jego chorobą zapewne głównie ze względu na pannę Rachelę. Ze słów jego, wypowiedzianych przy śniadaniu do mojej pani (w mojej obecności), wywnioskowałem, iż zdaniem jego, jeśli dręcząca zagadka Kamienia Księżycowego nie zostanie rychło rozwiązana, pannie Racheli potrzeba będzie koniecznie opieki lekarskiej.

Śniadanie ledwo się skończyło, gdy nadeszła depesza od pana Blake'a starszego, wysłana w odpowiedzi na depeszę syna. Pan Blake zawiadamiał nas, że z pomocą swego przyjaciela, komisarza policji, udało mu się pozyskać dla nas właściwego człowieka. Człowiek ów nazywa się sierżant Cuff i możemy spodziewać się jego rychłego przybycia, gdyż wyjedzie z Londynu pociągiem porannym.

Odczytując nazwisko nowego urzędnika policji pan Franklin drgnął. Jak się okazało, podczas pobytu w Londynie słyszał wiele ciekawych anegdot o sierżancie od doradcy prawnego swego ojca.

— Zaczynam wierzyć, że zbliżamy się do kresu naszych kłopotów — rzekł. — Jeżeli połowa historii, które słyszałem jest prawdziwa, w całej Anglii nie masz człowieka, co by potrafił tak nieomylnie rozwiązywać najbardziej zawikłane zagadki kryminalne jak sierżant Cuff!

Wszyscyśmy byli tym bardzo podnieceni i z niecierpliwością wyczekiwaliśmy chwili, gdy ten słynny a uzdolniony osobnik zjawi się wreszcie. Inspektor Seegrave powrócił o oznaczonej godzinie, a dowiedziawszy się o spodziewanym przyjeździe sierżanta zamknął się natychmiast w jednym z pokoi, zaopatrzonego w papier, pióro i atrament, aby sporządzić sprawozdanie, które, jak sądził, będzie musiał złożyć. Miałem wielką ochotę pojechać osobiście na stację po sierżanta. Ale o wzięciu powozu i koni mojej pani, nawet dla słynnego Cuffa, nie było co marzyć, bryczkę natomiast zamówił sobie na później pan Godfrey Żałował ogromnie, iż musi opuścić ciotkę w tak krytycznej chwili, i z właściwą sobie troskliwością odłożył odjazd aż do ostatniego pociągu, aby zdążyć jeszcze usłyszeć, co przemądry londyńczyk myśli o sprawie. Musiał jednak w piątek wieczorem być w stolicy, w sobotę bowiem rano pewien Komitet Dobroczytny Pań, znajdujący się w krytycznej sytuacji, miał zebrać się, by zasięgnąć jego porady.

O właściwej porze poszedłem do bramy, aby wyglądać przybycia sierżanta.

Dotarłem do domku odźwiernego, gdy przed bramę zajęchała dorożka dworcowa i wysiadł z niej szpakowaty, starszy mężczyzna, tak straszliwie chudy, że zdawało się, iż ani uncja ciała nie okrywa nigdzie jego kości. Ubrany był w bardzo przyzwoity czarny garnitur z białym plastronem na szyi.

Twarz miał pociągłą, nos ostry, skórę zaś żółtą, suchą i zwiędłą jak liść jesienny. Stalowszare oczy niejednego wprawiły chyba w zmieszanie, gdy bowiem napotkały czyjeś inne oczy, spoglądały tak badawczo, jak gdyby spodziewały się wydobyć z ich właściciela jakieś informacje, z których on sam nie zdaje sobie nawet sprawy. Chód miał cichy, głos melancholijny; długie, smukłe palce zakrzywione jak szpony. Można by go wziąć za pastora lub za przedsiębiorcę pogrzebowego — za kogokolwiek, byle nie za tego, kim był w istocie. Doprawdy trudno sobie wyobrazić człowieka będącego większym przeciwieństwem inspektora Seegrave'a, a zarazem funkcjonariusza policji, którego wygląd mógłby sprawić większy zawód stroskanej rodzinie oczekującej pomocy i pociechy.

— Czy to dobra lady Verinder? — zapytał.

— Tak jest, sir.

— Jestem sierżant Cuff.

— Pozwoli pan z łaski swojej tędy.

W drodze do domu wymieniłem swoje nazwisko i pozycję w domu, aby upewnić go, że może mówić ze mną swobodnie o sprawie, do której rozwikłania moja pani pragnęła go zaangażować. Sierżant Cuff wszakże nie powiedział o sprawie ani słowa. Podziwiał okolicę i zauważył, że powietrze morskie jest bardzo krzepiące i ożywcze. Zastanawiałem się w duchu, w jaki sposób słynny Cuff pozyskał sobie taki rozgłos. Doszliśmy do domu czując się jak dwa obce sobie psy skute po raz pierwszy w życiu jednym łańcuchem.

Zapytałem o moją panią, a dowiedziawszy się, że jest w jednej z oranżerii, poprowadziłem sierżanta do ogrodu za domem i posłałem służącego, aby jej poszukał. Gdyśmy tam czekali, sierżant Cuff wyrzwał przez łuk z wiecznie zielonych drzew po lewicy, dostrzegł naszą różankę i ruszył tam prosto, po raz pierwszy od chwili przybycia zdradzając jakieś oznaki zainteresowania. Ku zdumieniu ogrodnika i ku mojemu rozczarowaniu słynny detektyw okazał się być istną kopalnią wiedzy o mało poważnej materii ogrodów różanych.

— O, macie tu właściwe położenie; południe i południowy zachód — mówił sierżant kiwając szpakowatą głową, a w melancholijnym jego głosie brzmiały nutki ukontentowania. — I właściwy kształt dla ogrodu różanego, nie ma nic lepszego jak kolo wpisane w kwadrat. Tak, tak, i ścieżki między rabatami. Ale ścieżki nie powinny być zwirowane. Trawa, panie ogrodniku, między różami powinny być ścieżki porośnięte trawą, żwir jest dla nich za twardy. Tu jest śliczna grządka białych i czerwonych róż. Te dwa gatunki zawsze ładnie wyglądają razem, prawda? A tu jest biała róża piżmowa, panie Betteredge, nasza stara angielska róża, którą można śmiało umieścić obok najpiękniejszych i najnowszych gatunków. Ślicznotko ty moja! — zachwycał się sierżant, głaszcząc różę swoimi długimi palcami i przemawiając do niej jak do dziecka.

Ładna historia! To ten człowiek ma odzyskać diament panny Racheli i znaleźć złodzieja, który go ukradł!

— Pan widocznie bardzo lubi róże, panie sierżancie? — zauważyłem.

— Nie mam zbyt wiele czasu na to, by cokolwiek lubić — odparł sierżant Cuff. — Ale gdy zdarzy mi się wolna chwila na sentymencie, poświęcam ją przeważnie różom, panie Betteredge. Rozpocząłem wśród nich życie w szkółce różanej mojego ojca i jeżeli tylko zdołam, wśród nich też życie zakończę. Tak. Nadejdzie dzień —co daj Boże — kiedy przestanę łapać złodziei, przejdę na emeryturę i spróbuję szczęścia w hodowli róż. Ale u mnie w ogrodzie będą ścieżki porośnięte trawą, panie ogrodniku — dodał sierżant, który widocznie wciąż nie mógł zapomnieć o zwirowanych ścieżkach w różance.

— Dziwne to upodobanie — zaryzykowałem uwagę — jak na człowieka pańskiego zawodu, sir.

— Jeżeli rozejrzy się pan uważnie wokoło (czego większość ludzi nigdy nie robi) — rzekł sierżant Cuff— przekona się pan, że zamiłowania człowieka stanowią zazwyczaj biegunowe przeciwieństwo jego spraw zawodowych. Proszę mi pokazać dwie rzeczy bardziej odmienne niż złodziej i róża, a skoryguję swoje gusta, jeśli w moim wieku nie jest na to jeszcze za późno. Jest pan również zdania, że róża damasceńska stanowi dobrą podstawę do większości delikatniejszych gatunków, nieprawdaż, panie ogrodniku? Tak też sądziłem. Ale oto nadchodzi jakaś pani. Czy to lady Verinder?

Dostrzegł ją, zanim ogrodnik lub ja zdołaliśmy ją zauważyć, chociaż myśmy wiedzieli, z której strony nasza pani nadejdzie, on zaś nie. Zacząłem podejrzewać, że jest bardziej bystry, niż mi się to zdawało na pierwszy rzut oka.

Wygląd sierżanta czy też cel jego przybycia - nie wiem zresztą, być może oba te powody — wprawiły moją panią w niejaki zakłopotanie. Po raz pierwszy od czasu, gdy ją znałem, nie była pewna, co ma mówić przy spotkaniu z osobą nowo poznaną. Sierżant Cuff wszakże od razu wybawił ją z nieміłej sytuacji. Zapytał, czy ktoś inny przed nim badał już sprawę kradzieży, a dowiedziawszy się, że wezwany uprzednio wywiadowca znajduje się w tej chwili w domu, prosił, aby wolno mu było z nim pomówić, zanim poczyni dalsze kroki.

Moja pani zaprowadziła go tedy do domu. Na odchodnym sierżant jeszcze raz nawrócił do tematu zwirowanych ścieżek, który leżał mu widocznie na sercu. Zwrócił się mianowicie do ogrodnika:

— Namówcie lady Verinder, żeby spróbowała trawy — rzekł patrząc niechętnym okiem na ścieżki. — Byle nie żwir! Nie żwir!

Nie potrafię wytłumaczyć, czemu inspektor Seegrave wydał mi się dziwnie mały w chwili, gdy witał się z sierżantem Cuffem. Mogę jedynie stwierdzić ten dziwny fakt. Zamknęli się obaj w jednym z pokoi i przez długi czas nie dopuszczali do siebie nikogo ze zwykłych śmiertelników. Kiedy się wreszcie stamtąd wyłonili, inspektor był bardzo wzburzony, pan sierżant natomiast poziewał dyskretnie.

— Pan sierżant pragnie obejrzeć salonik panny Verinder — oznajmił pan Seegrave zwracając się do mnie wielce uroczystym tonem. — Być może, zechce też zadać kilka pytań. Proszę nam towarzyszyć!

Na ten kategoryczny rozkaz zerknąłem na wielkiego Cuffa. Wielki Cuff ze swej strony patrzył na inspektora Seegrave'a z owym wyrazem wyczekiwa-

nia, który już u niego zauważyłem. Nie mogę twierdzić z całą pewnością, że czekał na chwilę, w której jego kolega zdemaskuje się jako patentowany osioł, mogę jedynie powiedzieć, iż miałem w tym kierunku bardzo mocne podejrzenia.

Poszedłem na górę, wskazując drogę. Sierżant obejrzał dokładnie hinduską szafeczkę i ruszył cicho wokół buduaru, zadając pytania (przeważnie mnie, a z rzadka tytko inspektorowi), których cel, jak sędzę, był równie nieprzenikniony dla nas obu. We właściwym czasie dotarł do drzwi, stając twarzą w twarz ze znanym już państwu malarstwem dekoracyjnym. Z pytającą miną dotknął palcem niewielkiej smugi tuż pod zamkiem, tej samej, na którą zwrócił uwagę inspektor Seegrave, kiedy łąła służące za to, że robią ścisk w pokoju.

— Przykre — rzekł sierżant Cuff. — Jak to się stało?

Pytanie zwrócone było do mnie. Odpowiedziałem, że poprzedniego ranka służące stłoczyły się w pokoju i któraś z nich zamazała farbę spódnicami.

— Pan inspektor kazał im wyjść — dodałem — zanim narobiły większych szkód.

— Tak jest! — potwierdził inspektor po wojskowemu. — Kazałem im wyjść. To spódnice winne, sierżancie, spódnice.

— Czy zauważył pan, czyja spódnica to zrobiła? — zapytał sierżant Cuff, wciąż zwracając się nie do kolegi, lecz do mnie.

— Nie, proszę pana.

Sierżant zwrócił się wówczas do inspektora Seegrave'a:

— Ale pan chyba zauważył?

Inspektor spieszył się nieco, zrobił jednak dobrą minę do złej gry.

— Nie mogę obciążać pamięci takimi drobiazgami — odparł. — To przecież zupełna drobnostka.

Sierżant Cuff spojrział na inspektora z takim samym wyrazem, z jakim patrzył na zwirowane ścieżki w ogrodzie różanym, i właściwym sobie melancholijnym tonem dał nam pierwszą próbkę przenikliwości swego umysłu.

— Prowadziłem w zeszłym tygodniu pewne dochodzenie, panie inspektorze — rzekł. — Jako dane miałem z jednej strony fakt popełnienia zabójstwa, z drugiej zaś atramentową plamę na obrusie, której pochodzenia nikt nie umiał wytłumaczyć. Na przestrzeni wszystkich moich doświadczeń na brudnych ścieżkach tego brudnego, mizernego świata, nie spotkałem dotychczas nic, co można by nazwać drobnostką. Zanim posuniemy się w niniejszej sprawie dalej, musimy zobaczyć spódnicę, która zrobiła tę smugę, i musimy wiedzieć na pewno, kiedy farba na tych drzwiach była jeszcze wilgotna.

Inspektor przełknął tę uwagę z miną dość kwaśną i zapytał, czy ma wezwać służące. Sierżant Cuff zastanowił się chwilę, westchnął i potrząsnął przecząco głową.

— Nie — powiedział — najpierw zajmijmy się farbą. Jeżeli chodzi o farbę, odpowiedź może brzmieć tylko: „tak” albo „nie” — czyli sprawa krótka.

Natomiast jeżeli chodzi o spódnice, trzeba by przesłuchiwać wszystkie służące, a to potrwa długo. Która była godzina, kiedy służące wczoraj rano były w tym pokoju? Jedenasta, tak? Czy jest w domu ktoś, kto wie, czy wczoraj o jedenastej farba na drzwiach była sucha, czy też wilgotna?

— Siostrzeniec lady Verinder, pan Franklin Blake, powinien wiedzieć — odpowiedziałem.

— Czy ten pan jest w domu?

Pan Franklin był tuż, czekał bowiem tylko na sposobność, aby zostać przedstawiony wielkiemu Cuffowi. Za pół minuty znajdował się w pokoju i składał zeznania, jak następuje:

Drzwi te, panie sierżancie — mówił — malowała panna Verinder pod moim kierownictwem, z moją pomocą oraz przy użyciu wynalezionego przeze mnie płynu. Płyn ten sprawia, że wszelkie farby z jego dodatkiem wysychają w ciągu dwunastu godzin.

— Czy pan pamięta, kiedy malowano tę część, na której jest smuga? — zapytał sierżant.

— Pamiętam doskonale — odparł pan Franklin. — Był to ostatni kawałek. Chcieliśmy skończyć robotę w środę i ja sam zakończyłem malowanie tej części o trzeciej po południu albo niewiele później.

— Dzisiaj jest piątek — rzekł sierżant Cuff zwracając się do inspektora. — Odtwórzmy fakty, sir. W środę o trzeciej po południu malowanie tej części drzwi było zakończone. Miejsce to powinno było wyschnąć w ciągu dwunastu godzin — to znaczy do trzeciej rano w czwartek. W czwartek o jedenastej rano odbywał pan tutaj przesłuchiwanie świadków. Odejmijmy trzy od jedenastu, a zostaje osiem. Czyli farba była już od ośmiu godzin sucha, panie inspektorze, kiedy pan przypuszczał, że spódnice służących ją starły.

Pierwszy cios zadany inspektorowi Seegrave'owi! Gdyby nie był podejrzewał biednej Penelopy, współczułbym mu w tej chwili.

Rozstrzygnąwszy sprawę farby, sierżant Cuff niczego się już po swoim koledze nie spodziewając dał mu spokój i zajął się panem Franklinem jako pomocnikiem bardziej obiecującym.

— Nie ulega wątpliwości, proszę pana — rzekł — iż dostarczył nam pan bardzo istotnej poszlaki.

W chwili, gdy wypowiadał te słowa, drzwi się otworzyły i wyszła z nich panna Rachela.

Zwróciła się bez wstępów do sierżanta, nie zważając wcale na to, że był dla niej człowiekiem najzupełniej obcym.

— Czy powiedział pan — spytała wskazując pana Franklina — że ten oto pan dostarczył panu istotnej poszlaki?

— To panna Verinder — szepnąłem sierżantowi.

— Ten dżentelmen, proszę pani — odpad sierżant, a jego stalowoszare oczy wpatrywały się badawczo w oblicze mojej młodej pani — przypuszczalnie dostarczył nam istotnej poszlaki.

Panna Rachela odwróciła się na chwilę, jak gdyby chciała spojrzeć na

pana Franklina. Powiadam: „jak gdyby-chciała spojrzeć”, bo zanim oczy ich się spotkały, panna Verinder znów odwróciła raptownie głowę. Zdawało się, że w duszy jej szaleje rozterka. Panna Rachela zaczerwieniła się gwałtownie, potem równie gwałtownie zbladła. Wraz z bledością twarz jej przybrała nowy wyraz, wyraz, który napelnił mnie przerażeniem.

— Odpowiedziałem na pani pytanie— rzekł sierżant — teraz więc pozwoli pani, abym ja z kolei panią o coś zapytał. Na tych drzwiach widnieje smuga startej farby. Czy nie wie pani przypadkiem, w jaki sposób powstała ta smuga albo też kto to zrobił?

Zamiast odpowiedzi panna Rachela poczęła pytać dalej, jak gdyby sierżant nie odzywał się wcale albo jak gdyby wcale go nie słyszała.

— Czy pan jest następnym z kolei urzędnikiem policji?

— Jestem sierżant Cuff, proszę pani, z policji wywiadowczej.

— Czy sądzi pan, że rada młodej osoby może mieć jakąś wartość? - Z przyjemnością wysłucham tej rady, proszę pani.

— Niech pan sam spełnia swoje obowiązki i nie pozwala, żeby pan Franklin Blake panu pomagał!

Wyrzekła te słowa tak zjadliwie, z taką zaciekłością i tak jawną niechęcią do pana Franklina, że — aczkolwiek znałem ją od dziecka, a kochałem i szanowałem prawie tak jak moją panią — po raz pierwszy w życiu poczułem wstyd za pannę Rachelę.

Nieprzeniknione oczy sierżanta Cuffa nie oderwały się ani na chwilę od twarzy panny Verinder.

— Bardzo pani dziękuję — odparł. — Ale czy nie wiadomo pani nic o tej smudze? Czy nie mogła pani sama zrobić jej przypadkiem?

— Nic nie wiem o smudze.

Po tej odpowiedzi panna Rachela wróciła do swego pokoju i znów zamknęła za sobą drzwi na klucz. Tym razem — podobnie jak przedtem Penelopa — usłyszałem na własne uszy, że zostawszy sama wybuchnęła gwałtownym szlochaniem.

Nie mogłem zdobyć się na to, by spojrzeć na sierżanta. Patrzałem na pana Franklina, który stał najbliżej mnie. Wydawało się, że jest bardziej jeszcze niż ja wstrząśnięty tym, co zaszło.

— Mówiłem ci, że jestem o nią niespokojny - rzekł. Rozumiesz teraz dlaczego.

— Panna Verinder jest, zdaje się, trochę wytracona z równowagi utratą diamentu — zauważył sierżant. — To cenny klejnot. Rzecz więc naturalna, całkiem naturalna!

W ten sam sposób usprawiedliwiałem ją wobec inspektora Seegrave'a, kiedy poprzedniego dnia zapomniiała się w jego obecności, tym razem jednak usprawiedliwienie to powtórzył człowiek, którego rzecz cała nie mogła obchodzić tak blisko jak mnie, był bowiem pannie Racheli zupełnie obcy! Przebiegł mnie zimny dreszcz, którego przyczyny na razie nie mogłem sobie uświadomić. Wiem teraz, że powziąłem wówczas po raz pierwszy podejrzenie, iż sierżant Cuff ujrzał sprawę w nowym i to okropnym świetle

wyłącznie wskutek tego, co wyczytał z twarzy panny Racheli i co usłyszał od niej podczas tej pierwszej rozmowy.

— Młodym pannom wolno mówić, co chcą— powiedział sierżant Cuff do pana Franklina —to ich przywilej. Zapomnijmy o tym, co tu zaszło, i zajmijmy się bliżej sprawą. Dzięki panu wiemy, kiedy farba wyschła. Musimy teraz ustalić, kiedy ostatni raz widziano drzwi bez tej smugi. Pan ma głowę na karku i rozumie, o co mi chodzi.

Pan Franklin zapanował nad sobą i od myśli o pannie Racheli powrócił z wysiłkiem do spraw bieżących.

— Chyba rozumiem. Im bardziej zacieśnimy kwestię czasu, tym bardziej też zacieśnimy pole badań.

— Otóż właśnie — potwierdził sierżant. — Czy oglądał pan swoje dzieło we środę po południu po jego ukończeniu?

— Pan Franklin potrząsnął głową.

— Nie potrafię na to odpowiedzieć.

— A pan?

— Ja również nie potrafię odpowiedzieć.

— Kto ostatni był w tym pokoju w środę wieczorem?

— Przypuszczam, że panna Rachela, proszę pana. Tu wtrącił się do rozmowy pan Franklin.

— Albo też twoja córka, Betteredge — po czym wyjaśnił sierżantowi, że moja córka jest pokojówką panny Verinder.

— Panie Betteredge, proszę poprosić tu swoją córkę. Ale chwileczkę! — dodał odciągając mnie pod okno, aby nas nie słyszano. — Wasz inspektor — mówił dalej szeptem — złożył mi dokładne sprawozdanie ze sposobu, w jaki prowadził dotychczas śledztwo. Między innymi, jak sam się przyznał, naraził się wszystkim służącym. Jest rzeczą bardzo istotną, aby wszystkie te damy udobruchać. Zechce pan powiedzieć w moim imieniu swojej córce oraz wszystkim pozostałym niewiastom następujące dwie rzeczy: po pierwsze nie mam jeszcze żadnych dowodów na to, że diament skradziono, wiem tylko, że diament zginął. Po drugie plany moje w stosunku do panien służących polegają tylko na tym, iż chcę je prosić, aby połączyły swe wysiłki i pomogły mi klejnot odnaleźć.

Tu nadarzyła się sposobność, aby wspomnieć o embargo, które inspektor Seegrave nałożył na pokoje naszych niewiast.

— Czy wolno mi będzie powiedzieć im coś jeszcze, panie sierżancie? — zapytałem. — Czy mogą one (za pozwoleniem pana) biegać do woli w górę i w dół po schodach i wchodzić, i wychodzić ze swoich pokoi, ile razy przyjdzie im na to ochota?

— Ależ oczywiście — rzeki sierżant.

— To je na pewno udobrucha — stwierdziłem - począwszy od kucharki, a skończywszy na pomywaczce.

— Niechże więc pan idzie do nich zaraz, panie Betteredge. Załatwiłem polecenie w niecałe pięć minut. Kiedy już wyłuszczyłem

sprawę wchodzenia i wychodzenia z pokoi, nastęczyła się jedna tylko

trudność. Musiałem użyć całego swego autorytetu, aby personel żeński nie ruszył *in corpore* wraz ze mną i z Penelopą na górę w charakterze dobrowolnych świadków, wszystkie bowiem pragnęły natychmiast zacząć pomagać sierżantowi Cuffowi.

Penelopa najwyraźniej uzyskała aprobatę sierżanta. Ożywił się odrobinę, a w oku jego ukazał się błysk jak wówczas, kiedy dostrzegł w ogrodzie białą, różę. Przytaczam tu zeznania Penelopy złożone w odpowiedzi na pytania sierżanta. Opowiedziała wszystko, jak sędzę, bardzo dorzecznie, ale cóż — to moja nieodrodna córka. Dziewczyna nie ma w sobie nic z matki, niech jej Bóg błogosławi, nic a nic nie ma w sobie z matki!

Zeznanie Penelopy: interesowała się żywo malowaniem drzwi, pomagała mieszać farby. Zapamiętała sobie dobrze, co było namalowane pod zamkiem, bo ten kawałek malowano na samym końcu. Widziała go w kilka godzin później — smugi nie było. Kiedy opuszczała pokój o północy, smugi również jeszcze nie było. Powiedziała dobranoć swej pani będącej wówczas w sypialni, słyszała, jak zegar wybił północ w buduarze; trzymała w owej chwili rękę na klamce malowanych drzwi, wiedziała, że farba jest wilgotna (pomagała przy mieszaniu kolorów, jak wspomniano wyżej), uważała, aby drzwi nie dotknąć, może przysiąc, że zebrała ręką fałdy spódnicy i że farba była wtedy nie tknięta, nie może przysiąc, czy wychodząc nie dotknęła przypadkiem spódnicą świeżej farby, pamięta suknię, którą miała na sobie, bo była nowa — prezent od panny Racheli. Jej ojciec również pamięta tę suknię i może zaświadczyć. Na prośbę sierżanta przyniosła wymienioną sukienkę, ojciec rozpoznał w niej tę, którą córka nosiła owego wieczora, zbadano dokładnie spódnicę (zadanie to wymagało sporo czasu), lecz nie wykryto nigdzie ani śladu farby. Koniec zeznania Penelopy wypowiedzianego w sposób bardzo rzeczowy i przekonywający. Za zgodność: Gabriel Betteredge.

Sierżant następnie zapytał mnie, czy w domu są jakieś duże psy, które mogły dostać się do pokoju i zmasać malowidło ogonem. Dowiedziawszy się, że jest to niemożliwe, posłał po szkło powiększające i obejrzał przez nie smugę bardzo dokładnie. Na farbie nie było znać żadnych śladów ludzkiej ręki. Znaki wskazywały na to, że farbę starła tkanina ubrania należącego do kogoś, kto otarł się o drzwi w przejściu, ów ktoś (opierając się na zeznaniach Penelopy i pana Franklina) musiał wejść do pokoju pomiędzy dwunastą a trzecią w nocy ze środy na czwartek.

Doprowadziwszy dochodzenie do tego punktu sierżant Cuff przypomniał sobie, że inspektor Seegrave wciąż jeszcze istnieje, a nawet znajduje się w pokoju, toteż na jego benefit podsumował wyniki dochodzenia, jak następuje:

— Pańska drobnostka, panie inspektorze — rzekł wskazując smugę na drzwiach — nabrała, jak pan widzi, znaczenia. W obecnym stadium badań musimy moim zdaniem ustalić trzy rzeczy, przyjmując tę smugę za punkt wyjścia. Po pierwsze przekonać się, czy w domu znajduje się jakaś część ubrania mająca na sobie ślady farby. Po drugie ustalić, czyją własnością jest

owo ubranie. Po trzeciej dowiedzieć się, czym osoba ta usprawiedliwia fakt, że była w tym pokoju między dwunastą a trzecią nad ranem i starła farbę. Jeżeli osoba ta nie będzie miała zadowalającego wytłumaczenia, nie potrzeba będzie daleko szukać ręki, która zabrała diament. Zajmę się już tym wszystkim sam, panie inspektorze, nie chcę bowiem odrywać pana dłużej od pańskich zajęć w mieście. Ma pan tu, jak widzę, jednego ze swoich ludzi. Niech mi go pan zostawi na wypadek, gdyby był mi potrzebny. A teraz pozwoli pan, że go pożegnam.

Inspektor Seegrave żywił wielki szacunek do sierżanta, ale bardziej jeszcze szanował samego siebie. Dotknięty do żywego przez sławnego Cuffa, odciął się na odchodnym, jak umiał najzłośliwiej.

— Wstrzymywałem się dotychczas z wypowiedaniem swego zdania — oświadczył grzmiącym głosem wojskowego. — Teraz więc przekazując sprawę w pańskie ręce zrobię jedną tylko uwagę — zdarza się niekiedy, panie sierzancie, że się robi z igły widły. Żegnam pana.

— Bywa też czasem, że się nie dostrzega wcale igły, bo się za wysoko zadziera nosa.

Odparowawszy w ten sposób atak kolegi sierżant Cuff obrócił się na pięcie i odszedł do okna.

Pan Franklin i ja czekaliśmy, co teraz nastąpi. Sierżant stał przy oknie, trzymając ręce w kieszeniach i pogwizdując „Ostatnią różę lata”. Z biegiem czasu odkryłem, że sierżant pozwala sobie na ten grzech przeciwko dobrym manierom, jakim jest gwizdanie, tylko wówczas, kiedy myśl jego pracuje z wytężeniem, torując sobie drogę ku upragnionemu celowi, i że „Ostatnia róża lata” w tych wypadkach najwidoczniej pomaga mu i dodaje otuchy. Pozostaje to zresztą w zgodzie z jego usposobieniem. Melodia owa przypomina mu widocznie jego ukochane róże, aczkolwiek w jego wykonaniu jest najbardziej tęskną melodią w świecie.

Po chwili sierżant odwrócił się od okna, wyszedł na środek pokoju i pogrążony w głębokich rozmyślaniach stanął wpatrując się w drzwi sypialni panny Racheli. Po pewnym czasie ocknął się z odrętwienia, skinął głową, jak gdyby mówiąc: „To wystarczy!” i zwracając się do mnie oznajmił, iż pragnąłby odbyć z moją panią dziesięciminutową rozmowę i to możliwie jak najprędzej.

Wychodząc z pokoju, aby wykonać jego polecenie, słyszałem, że pan Franklin zadał sierżantowi pytanie, i zatrzymałem się w progu, by usłyszeć odpowiedź.

— Czy domyśla się pan już, kto skradł diament? — spytał pan Franklin.

— N i k t n i e s k r a d ł d i a m e n t u — odparł sierżant Cuff.

Obaj drgnęliśmy ze zdumienia na to niespodziewane oświadczenie i obaj prosiliśmy gorąco, żeby wytłumaczył nam, co chce przez to powiedzieć.

— Trochę cierpliwości — rzekł sierżant. — Części łamigłówek niezupełnie jeszcze do siebie pasują.

ROZDZIAŁ XIII

Zastąłem moją panią w salonie. Skrzywiła się z niezadowoleniem, kiedy zawiadomiłem ją, że sierżant Cuff pragnie z nią mówić.

— Czy muszę z nim rozmawiać? — spytała. — Czy nie możesz występować jako mój przedstawiciel, Gabrielu?

Zdziwiło mnie to ogromnie i zdziwienie musiało zapewne odbić się na mojej twarzy, gdyż moja kochana pani raczyła wyjaśnić mi powody swej niechęci.

— Mam rozstrojone nerwy — rzekła. — A poza tym ten londyński policjant ma w sobie coś, przed czym się wzdrygam, sama nie wiem czemu. Gnębi mnie przecucie, że sprowadzi on na nasz dom kłopoty i przykrości. Bardzo to niemądre i zupełnie niepodobne do mnie, ale tak jest i nie ma na to rady.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, jeśli bowiem chodziło o mnie, to im dłużej przypatrywałem się sierżantowi, tym bardziej mi się podobał. Moja pani zresztą, zwierzywszy mi się ze swej troski, wzięła się zaraz w karby — była przecież, jak już państwu mówiłem, kobietą męznego serca.

— Cóż, jeżeli muszę go przyjąć, to trudno — rzekła. — Nie mogę jednak zdobyć się na rozmowę sam na sam. Wprowadź go, Gabrielu, i pozostań tu tak długo, dopóki nie wyjdzie.

Był to pierwszy napad humorów, jaki zaobserwowałem u mojej pani od czasu, gdy była młodą panną. Wróciłem do buduaru. Pan Franklin wyszedł do ogrodu i przyłączył się do pana Godfrey'a, który niebawem miał już odjeżdżać, sierżant zaś i ja udaliśmy się do pokoju mojej pani.

Zapewniam państwa, że moja pani zbladła na widok sierżanta! Poza tym zresztą nie straciła ani na chwilę panowania nad sobą i zapytała detektywa, czy nie sprzeciwia się mojej obecności. Raczyła jeszcze dodać, że jestem nie tylko jej starym sługą, lecz także zaufanym powiernikiem, i że we wszystkich sprawach związanych z naszym domem rady moje mogą być tylko bardzo korzystne. Sierżant odparł uprzejmie, iż uzna obecność moją za zaszczyt, ponieważ mogę mu udzielić informacji o wszystkich służących i ponieważ doświadczenie moje w tym względzie oddało mu już pewne usługi. Moja pani wskazała nam fotele i zasiedliśmy od razu do konferencji.

— Ukształtowałem sobie już pewną opinię o sprawie — zaczął sierżant Cuff — ale proszę jej lordowską mość, aby pozwoliła mi zachować ją na razie dla siebie, Pragnę teraz zameldować, co odkryłem na górze w saloniku panny Verinder i co postanowiłem (oczywiście za pozwoleniem milady) następnie przedsięwziąć.

Opowiedział o smudze startej farby i wyłuszczył wysnute stąd wnioski — tak samo jak wyłuszczył je przedtem inspektorowi Seegrave'owi.

— Jedno jest pewne — zakonkludował — diament znikł z szuflady szafki. I jeszcze jedno jest niemal pewne — ślady farby z drzwi muszą być na jakiejś części ubrania należącej do kogoś z domowników. Musimy znaleźć tę część ubrania, zanim posuniemy się dalej.

— A to odkrycie — wtrąciła moja pani — zbiegnie się, jak sądzę, z wykryciem złodzieja?
— Najmocniej przeproszam jej lordowską mość — nie powiedziałem, że diament skradziono. Mówię tylko na razie, że diament znikł. Znalezienie splamionej części ubrania może doprowadzić do znalezienia klejnotu.

Moja pani spojrzała na mnie.

— Czy to rozumiesz? — spytała.

— Sierżant Cuff to rozumie, milady — odparłem.

— W jaki sposób zamierza pan znaleźć splamioną część ubrania? — znów zwróciła się moja pani do sierżanta. — Wstyd mi o tym mówić, ale pokoje i kufry moich zacnych służących, którzy przebywają u mnie od wielu lat, zostały już zrewidowane przez innego urzędnika policji. Nie mogę pozwolić i nie pozwolę, aby znieważono ich w podobny sposób po raz drugi.

(Oto mi pani, której służyć jest rozkoszą! Oto jedna kobieta na dziesięć tysięcy, proszę państwa!)

— O tym właśnie chciałem mówić z jej lordowską mością — rzekł sierżant. — Ów urzędnik wyrządził dochodzeniu wielką szkodę dając służącym poznać, że ich podejrzewa. Jeżeli i ja teraz dam im powód, aby przypuszczali, że się ich podejrzewa, będą piętrzyć przeszkody na mojej drodze. Zwłaszcza kobiety. Jednocześnie wszakże kufry ich muszą być ponownie zrewidowane z tego prostego powodu, że przy pierwszej rewizji szukano tylko diamentu, obecnie zaś trzeba szukać splamionej sukni. Zgadzam się najzupełniej z panią, że należy liczyć się z uczuciami służących, ale też nie ulega dla mnie wątpliwości, że garderoby służby powinny zostać zrewidowane.

Wyglądało na to, że jesteśmy w kropce. Moja pani powiedziała to samo, oczywiście w bardziej wyszukanej formie, niż ja to uczyniłem.

— Mam pewien plan pokonania trudności — rzekł sierżant Cuff — jeżeli tylko milady się zgodzi. Proponuję wyjaśnić całą sprawę służbie.

— Kobiety pomyślą od razu, że się je podejrzewa — przerwałem sierżantowi.

— Nie pomyślą, panie Betteredge — odparł sierżant — jeżeli powiem im, że zbadam garderobę k a z d e g o — poczynając od jej lordowskiej mości — ktokolwiek spędził w tym domu noc ze środy na czwartek. Jest to zwykła formalność — dodał zerkając spod oka na moją panią — ale służące uznają to za sprawiedliwe postawienie sprawy i zamiast przeszkadzać nam w rewizji, postarają się z nami współdziałać.

Musiałem przyznać sierżantowi słusność. Moja pani po pierwszym zdziwieniu również mu ją przyznała.

— Jest pan pewien, że rewizja jest niezbędna? — spytała.

— To najkrótsza droga do upragnionego przez nas celu, proszę łaskawej pani.

Lady Verinder wstała, żeby zadzwonić na pokojówkę.

— Będzie pan rozmawiał ze służbą trzymając w ręku klucze od moich szaf — rzekła.

Sierżant Cuff powstrzymał ją całkiem nieoczekiwanym pytaniem:

— Czy nie powinniśmy się najpierw upewnić, że inne panie i panowie przebywający w domu zgodzą się także?

— Jedyną inną panią przebywającą w domu jest moja córka — odparta lady Verinder spoglądając na sierżanta ze zdumieniem. — Z panów zaś są tylko moi siostrzeńcy, pan Blake i pan Ablewhite. Nie ma najmniejszej obawy, aby ktokolwiek z tych trojga odmówił zgody.

W tym miejscu przypomniałem mojej pani, że pan Godfrey za chwilę odjeżdża. Ledwie wypowiedziałem te słowa, gdy pan Godfrey zapukał do drzwi, żeby się pożegnać. Za nim wszedł pan Franklin, który zamierzał odprowadzić go na stację. Moja pani wyjaśniła im, w jakim jesteśmy kłopotcie. Pan Godfrey z miejsca rozstrzygnął sprawę. Zawołał przez okno do Samuela, żeby wniósł jego walizę z powrotem na górę, po czym wręczył sierżantowi klucz.

— Bagaż można przesłać mi do Londynu po zakończeniu rewizji — oświadczył.

Sierżant przyjął klucz ze stosownymi wyrazami usprawiedliwienia.

— Przykro mi sprawiać panu subiekcję dla czczej formalności, ale przykład państwa może podzielać zbawiennie na służbę.

Pan Godfrey tonem najgłębszego współczucia pożegnał się z moją panią, po czym prosił pozdrowić pannę Rachelę w słowach, z których wywnioskowałem wyraźnie, że nie uważa jej rekuzy za ostateczną i przy najbliższej sposobności ma zamiar ponowić oświadczenia. Pan Franklin wychodząc za kuzynem poinformował sierżanta, że garderoba jest w każdej chwili do obejrzenia i że w pokoju jego nic nie jest zamknięte na klucz. Sierżant Cuff podziękował najuprzejmiej. Jak państwo zauważyli, propozycja jego spotkała się z najwyższą aprobatą mojej pani, pana Godfrefa i pana Franklina. Pozostawało nam teraz tylko uzyskać zgodę panny Racheli, aby móc zebrać służbę i rozpocząć poszukiwania splamionej sukni.

Niewytłumaczone uprzedzenie mojej pani do sierżanta Cuffa nie rozwiało się bynajmniej i gdyśmy zostali sami, konferencja ta poczęła sprawiać jej coraz wyraźniejszą przykrość.

— Przypuszczam, że jeśli przyślę panu na dół klucze od szaf mojej córki — powiedziała zwracając się do wywiadowcy— będzie to wszystko, czego pan sobie na razie może ode mnie życzyć.

— Najmocniej panią przepraszam, milady — rzekł sierżant Cuff — ale zanim zaczniemy, chciałbym, jeśli to możliwe, dostać książkę prania. Splamiona część ubrania może być zrobiona z płótna. Jeżeli rewizja nic nie da, chciałbym następnie sprawdzić całą bieliznę znajdującą się w domu, a także bieliznę oddaną do prania. Gdy się okaże, że czegoś brak, będziemy mogli przypuszczać, że brakująca sztuka splamiona jest farbą i została rozmyślnie zniszczona przez tego, do kogo należała. Inspektor Seegr; *je* — dodał sierżant zwracając się do mnie — pokazał smugę wszystkim służącym, kiedy zebrały się w czwartek rano w saloniku. Może się okazać, panie Betteredge, że była to jeszcze jedna z wielu jego omyłek.

Moja pani prosiła, abym zadzwonił i kazał przynieść książkę prania. Aż do chwili gdy ją przyniesiono, lady Verinder pozostała z nami na wypadek, gdyby po obejrzeniu książki sierżant Cuff miał dalsze jakieś prośby.

Książkę przyniosła Rosanna Spearman. Dziewczyna zeszła tego ranka na śniadanie blada i mizerna, powróciła jednak po wczorajszej słabości do równowagi i mogła pełnić zwykle swe obowiązki. Sierżant- Cuff spojrział uważnie na naszą drugą pokojówkę — ogarnął wzrokiem jej twarz, gdy weszła, i jej krzywe ramię, kiedy wychodziła.

— Czy ma pan mi jeszcze coś do powiedzenia? — zapytała moja pani, która wciąż pragnęła pozbyć się towarzystwa sierżanta.

Wielki Cuff otworzył książkę, zorientował się w niej dokładnie w ciągu pół minuty i zamknął ją spokojnie.

— Pozwolę sobie na jeszcze jedno pytanie — rzekł. — Czyta młoda osoba, która przyniosła książkę, jest na służbie u pani równie długo jak inne służące?

— Czemu pan pyta? — odpowiedziała pytaniem moja pani.

— Bo kiedy ją ostatni raz widziałem, znajdowała się w więzieniu za kradzież — odparł sierżant.

Nie było tedy innej rady, jak opowiedzieć mu prawdę. Moja pani położyła szczególny nacisk na dobre sprawowanie Rosanny w naszym domu oraz na doskonałą opinię, jaką miała o niej przełożona domu poprawczego.

— Nie podejrzewa jej pan, mam nadzieję? — zakończyła z przejęciem.

— Powiedziałem już pani, milady, że jak dotychczas nie podejrzewam nikogo z domowników o kradzież.

Po tej odpowiedzi moja pani wstała, aby pójść na górę i poprosić pannę Rachelę o jej klucze. Sierżant, uprzedzając mnie, otworzył przed nią drzwi i pochylił się w niskim ukłonie. Moja pani wzdrygnęła się mijając go.

Czekaliśmy i czekaliśmy, ale kluczy wciąż nie było. Sierżant Cuff nie odzywał się do mnie. Zwrócił melancholijną twarz ku oknu, wsunął wąskie dłonie do kieszeni i pogwizdywał smętnie „Ostatnią różę lata”.

Wreszcie wszedł Samuel, nie z kluczami jednak, lecz z kartką do mnie. Z pewnym trudem, drżącymi rękami szukałem okularów, wciąż bowiem czułem na sobie onieśmielający wzrok sierżanta. Na kartce widniało zaledwie kilka wierszy napisanych ołówkiem przez moją panią. Informowała mnie ona, że panna Rachelę stanowczo odmawia zgody na rewizję jej garderoby. Zapytana o powody wybuchnęła płaczem. Zapytana ponownie, odpowiedziała: „Nie chcę i koniec. Będę musiała ulec wobec przemocy, jeżeli jej użyjecie, nie ulegnę jednak wobec żadnych innych środków”. Rozumiałem dobrze, iż moja pani nie ma ochoty powtórzyć osobiście sierżantowi tego rodzaju odpowiedzi córki. Gdybym nie był za stary na miłe słabostki młodości, sądzę, że sam zacerwieniłbym się na myśl, iż muszę mu taką wiadomość powtórzyć.

— Czy coś już wiadomo o kluczach panny Verinder? — spytał sierżant.

— Panna Verinder nie zgadza się na rewizję jej garderoby.

— Aa! — rzucił sierżant.

Gtosjego nie był tak zdyscyplinowany jak twarz. To,, Aa!" było powiedziane tonem człowieka, który usłyszał coś, co spodziewał się usłyszeć. Na pół mnie tym rozgniewał, a na pół przeraził, choć sam nie umiem powiedzieć czemu.

— Czy wobec tego wypadnie zrezygnować z rewizji? — zapytałem.

— Tak — odrzekł sierżant — wypadnie zrezygnować z rewizji, bo panna Verinder nie chce poddać się jej na równi z resztą domowników. Albo musimy zbadać wszystkie garderoby w domu, albo też nie możemy zbadać żadnej. Proszę następnym pociągiem odesłać do Londynu walizkę pana Ablewhite a i zwrócić książkę prania z moim podziękowaniem młodej osobie, która ją przyniosła.

Położył książkę prania na stole, wyjął scyzoryk i zaczął przycinać sobie paznokcie.

— Pan nie jest, zdaje się, zbyt tym zawiedziony — zauważyłem.

— Nie — rzekł sierżant Cuff — nie jestem specjalnie zawiedziony. Starłem się zmusić go do wyjaśnień.

— Czemu właśnie panna Rachel miała by stawiać panu przeszkody? — spytałem. — Przecież pomaganie panu leży w jej interesach.

— Trochę cierpliwości, panie Betteredge, trochę cierpliwości.

Ktoś mądrzejszy ode mnie domyśliłby się może, do czego sierżant zmierza. Ktoś mniej ode mnie przywiązany do panny Racheli też domyśliłby się może, do czego sierżant zmierza. Zgroza, jaką budził w mojej pani, oznaczała zapewne (jak sobie potem uprzytomniłem), że przejrzała ona bieg jego myśli. Ja wszakże na razie nie dostrzegałem nic — tyle tylko mogę powiedzieć.

— Cóż teraz zrobimy? — spytałem.

Sierżant Cuff skończył paznokcie, nad którym właśnie pracował, przyglądał mu się chwilę z melancholijnym zainteresowaniem, po czym schował scyzoryk.

— Pójdziemy do ogrodu — powiedział — i popatrzymy na róże.

ROZDZIAŁ XIV

Najbliższą drogą do ogrodu z salonu mojej pani była owa opisana już przeze mnie ścieżka przez zagajnik. Aby państwo lepiej się zorientowali w tym, co teraz nastąpi, mogę dodać jeszcze, że ścieżka ta była ulubionym miejscem spacerów pana Franklina. Kiedy wychodził do parku i nie udawało się znaleźć go gdzie indziej, zazwyczaj tam właśnie go znajdowano.

Muszę się niestety przyznać, że jestem upartym starym człowiekiem. Im gorliwiej sierżant Cuff ukrywał przede mną bieg swoich myśli, tym gorliwiej starałem się do nich zajrzeć. Kiedyśmy więc skręcili na ścieżkę, spróbowałem podejść go z innej strony.

— W obecnym stanie rzeczy — powiedziałem — byłbym na pańskim miejscu kompletnie zdezorientowany.

— Gdyby pan był na moim miejscu — odpowiedział sierżant — wyrobiłby pan sobie o sprawie pewne określone zdanie i w obecnym stanie rzeczy wszelkie wątpliwości, jakie mógłby pan dotychczas mieć co do swoich wniosków, znikłyby całkowicie. Mniejsza na razie o to, co to są za wnioski, panie Betteredge. Nie przyprowadziłem pana tutaj, żeby mnie pan wyciągał na słówka, lecz po to, aby poprosić pana o pewne informacje. Mógłby mi ich pan oczywiście udzielić w domu, ale drzwi i ci, co podsłuchują, zazwyczaj przyciągają się wzajemnie, toteż w moim zawodzie częstokroć nabiera się zdrowego zamięłowania do świeżego powietrza.

Któż zdołałby podejść tego człowieka? Dałem za wygraną i uzbroiwszy się jako tako w cierpliwość, czekałem, co będzie dalej.

— Nie będziemy wnikać w pobudki postępowania panny Verinder — ciągnął dalej sierżant — powiemy tylko, że to szkoda, iż nie chce mi dopomóc, utrudnia mi bowiem niepotrzebnie śledztwo. Musimy teraz postarać się rozwiązać zagadkę smugi na drzwiach, a tym samym, niech mi pan wierzy, zagadkę zniknięcia diamentu w jakiś inny sposób. Postanowiłem porozmawiać ze służącymi i zbadać ich myśli i uczynki, panie Betteredge, zamiast rewidować ich kuferki. Zanim jednak do tego przystąpię, pragnę zadać panu kilka pytań. Jest pan człowiekiem spostrzegawczym: czy po tym, kiedy przekonano się, że diament zginął, nie zauważył pan nic dziwnego w zachowaniu się kogokolwiek ze służby (pomijając zwykle w takich wypadkach przerażenie i podniecenie?) Czy nie było jakichś kłótni? Czy nikt z nich nie zdradzał oznak przygnębienia lub zdenerwowania? Czy nikt nie rozgniewał się niespodzianie albo nagle nie zachorował?

Zdażyłem tylko pomyśleć o nagłym zasłabnięciu Rosanny Spearman podczas wczorajszego obiadu; nie zdażyłem jednak nic jeszcze odpowiedzieć, kiedy sierżant Cuff spojrział naraz w kierunku zagajnika i zawołał cicho:

— Halo!

— Co się stało? — zapytałem.

— Zaczyna mnie łątać w kościach — powiedział sierżant głośno, jak gdyby chciał, żeby jakaś trzecia osoba słyszała, co mówimy. — Będzie wkrótce zmiana pogdy.

Po kilku krokach dotarliśmy do rogu domu. Skręcając na prawo wstąpiliśmy na taras i schodami pośrodku zesliśmy na dół do ogrodu. Sierżant Cuff zatrzymał się na otwartej przestrzeni, skąd mogliśmy widzieć wszystko wokoło.

— Wracając do tej młodej osoby, Rosanny Spearman — rzekł. — Przy jej wyglądzie zewnętrznym jest rzeczą mało prawdopodobną, aby miała adoratora. Ale przez wzgląd na jej dobro muszę zapytać pana od razu, czy biedaczka zdobyła sobie jakiegoś amanta podobnie jak inne dziewczęta?

Co też strzeliło mu do głowy, żeby zadawać mi nagle takie pytanie? Otworzyłem szeroko oczy i zamiast odpowiedzi gapiłem się na niego.

— Kiedyśmy mijali zagajnik, zauważyłem w nim Rosannę Spearman. Ukrywała się tam — rzekł sierżant.

— Wtedy, kiedy zawołał pan: „Halo“?

— Tak, wtedy kiedy zawołałem: „Halo”. Jeżeli dziewczyna ma amanta, fakt ukrywania się niewiele znaczy. Ale jeżeli go nie ma, to przy obecnym stanie spraw ukrywanie się jest okolicznością wielce podejrzaną i wysnucie z tego odpowiednich wniosków będzie moim przykrym obowiązkiem.

Na miłość boską, co miałem mu powiedzieć? Wiedziałem, że zagajnik jest ulubionym miejscem spacerów pana Franklina, wiedziałem, że najpewniej pójdzie on tą drogą po powrocie ze stacji, wiedziałem, że Penelopa niejednokrotnie zastawała w zagajniku Rosannę i mówiła mi zawsze, że biednej dziewczynie chodzi tylko o to, żeby zwrócić na siebie uwagę pana Franklina. Jeżeli moja córka miała słuszność, to w chwili kiedy sierżant zauważył Rosannę, czekała ona zapewne na powrót pana Franklina. Byłem w rozterce, czy mam podać niedorzeczne przypuszczenie Penelopy za swoje, czy też pozwolić, aby biedna Rosanna poniosła konsekwencje i to bardzo poważne konsekwencje tego, że ściągnęła na siebie podejrzania sierżanta Cuffa. W końcu z litości dla dziewczyny — przysięgam na mą duszę i na moją nieskazitelną opinię, że tylko z litości — udzieliłem sierżantowi niezbędnych wyjaśnień i powiedziałem mu, że Rosanna jest tak szalona, iż zakochała się w panu Franklinie Blake'u.

Sierżant Cuff nie śmiał się nigdy. W rzadkich wypadkach, kiedy go coś bawiło, podnosił leciutko kąciki warg, nic ponadto. Podniósł je w tej chwili.

— Czy nie powinien pan raczej powiedzieć: dość szalona, aby być brzydką dziewczyną i ubogą służącą? — spytał. — Fakt zakochania się w dżentelmenie o urodzie i manierach pana Franklina Blake'a nie wydaje mi się wcale najbardziej ważkim dowodem jej szaleństwa. Ale cieszę się, że się sprawa wyjaśniła — uwalnia to mój umysł od zbędnego ciężaru. Dobrze, zachowam to w tajemnicy, panie Betteredge. Chętnie bywam wyrozumiały dla słabości ludzkich, chociaż w moim zawodzie niewiele mam sposobności do praktykowania tej cnoty. Sądzi pan, że pan Franklin Blake nie domyśla się, jakie uczucia żywi do niego ta dziewczyna? Hm, domyśliłby się tego w mgnieniu oka, gdyby była przystojna. Brzydkie kobiety mają ciężki los na tym świecie, miejmy nadzieję, że będzie im to wynagrodzone na tamtym. Macie tu ładny ogród i dobrze utrzymany trawnik. Niechże pan sam spojrzy, o ile lepiej wyglądają kwiaty na tle trawy niż na tle żwiru. Nie, dziękuję panu, nie wezmę róży. Serce mi się kraje, kiedy muszę zerwać różę z krzaka. Tak samo jak panu serce się kraje, kiedy coś źle się dzieje wśród służby. Czy zauważył pan coś dziwnego w zachowaniu kogoś ze służących, kiedy rozeszła się wieść o zaginięciu diamentu?

Do tej chwili bytem z sierżantem w doskonałych stosunkach, ale przebiegłość, z jaką zaskoczył mnie tym ostatnim pytaniem, kazała mi mieć się na ostrożności. Mówiąc wyraźnie, nie odpowiadała mi wcale rola jego pomocnika w śledztwie, jeżeli śledztwo to prowadziło go (w charakterze podstępного węża) pomiędzy moich braci-służących.

— Nie zauważyłem nic — odoarłem — ponad to, że wszyscy, nie wyłączając mnie, potraciliśmy głowy.

— Oo! — rzekł sierżant. — To wszystko, co mi pan ma do powiedzenia?

— Wszystko — stwierdziłem z niewzruszoną miną (jak sobie pochlebiam).

Uważne, onieśmielające spojrzenie sierżanta ogarnęło moją twarz.

— Panie Betteredge — rzekł — czy nie ma pan nic przeciwko temu, aby uczynić mi ten honor i uściśnąć moją dłoń? Powziąłem do pana niezwykłą sympatię.

Dlaczego wybrał na okazanie mi swojej życzliwości akurat tę chwilę, kiedy nie powiedziałem mu prawdy, to przechodzi moje pojęcie! Poczulem się rzeczywiście dumny, że udało mi się wyprowadzić w pole słynnego Cuffa!

Wróciliśmy do domu. Sierżant zażądał, abym oddał mu do dyspozycji jakiś pokój, a następnie przysłał do niego służących {tylko ze służby domowej} jednego po drugim, w kolejności zajmowanych stanowisk, od pierwszego do ostatniego.

Zaprowadziłem sierżanta Cuffa do swojego własnego pokoju, po czym zebrałem całą służbę w sali. Rosanna Spearman przysłała wraz z innymi. Wyglądała zupełnie tak jak zwykle. Była na swój sposób równie bystra jak sierżant i podejrzewam, że musiała posłyszeć, co urzędnik policji mówił do mnie o służbie w ogóle, na chwilę zanim ją zauważył. W każdym razie zjawiała się w sali z taką miną, jak gdyby nigdy w życiu nie słyszała nawet o istnieniu zagajnika.

Posyłałem ich do sierżanta po jednym, jak mi polecił. Kucharka pierwsza weszła do sali sądowej, czyli do mojego pokoju. Zabawiła tam bardzo krótko. Po wyjściu zameldowała:

— Sierżant Cuff jest bardzo smutny, ale to prawdziwy dzentelmjn. Następna była pokojówka lady Verinder. Zabawiła znacznie dłużej.

Zameldowała po wyjściu:

— Jeżeli sierżant Cuff nie wierzy przyzwoitej kobiecie, to powinien przynajmniej zachować swój sąd dla siebie!

Po niej poszła Penelopa. Nie pozostała w moim pokoju dłużej niż kilka chwil. Meldunek po wyjściu:

— Sierżant Cuff jest człowiekiem godnym współczucia. Musiał za młodu przeżyć zawód miłosny, ojczy.

Pierwsza pokojówka poszła po Penelopie. Zabawiła podobnie jak pokojówka mojej pani dość długo. Meldunek po wyjściu:

— Nie po to wstąpiłam na służbę do jej lordowskiej mości, panie Betteredge, żeby jakiś marny urzędnik policji mówił mi w oczy, że mi nie wierzy!

Następnie poszła Rosanna Spearman. Pozostała dłużej niż którakolwiek z jej poprzedniczek. Po wyjściu nie powiedziała nic. Milczała jak grób, a wargi miała popielate. Lokaj Samuel poszedł następny. Po wyjściu orzekł:

— Ten, kto czyści sierżantowi buty, powinien spalić się ze wstydu. Ostatnia była Nancy, pomywaczka. Zabawiła u sierżanta zaledwie kilka minut. Zameldowała:

— Sierżant Cuff to dobry człowiek, panie Betteredge. Nie robi sobie kpinek z biednej, ciężko pracującej dziewczyny.

Kiedy procedura się skończyła, wszedłem sam na salę sądową, żeby się dowiedzieć, czy nie ma dla mnie dalszych poleceń. Zastałem sierżanta w ulubionej pozie — wyglądał przez okno i pogwizdywał „Ostatnią różę lała”.

— Wykrył pan coś, sir? — spytałem.

— Jeżeli Rosanna Spearman zechce wydalic się z domu — rzekł sierżant — niech pan pozwoli biedaczce wyjść, ale przedtem niech mnie pan o tym zawiadomi.

Mogłem równie dobrze trzymać język za zębami i nie mówić nic o Rosannie i panu Franklinie! Sprawa była jasna: sierżant Cuff podejrzewał nieszczęsną dziewczynę mimo moich starań, aby temu zapobiec.

— Nie sądzi pan chyba, że Rosanna ma coś wspólnego z zaginięciem diamentu? — zaryzykowałem.

Kąciki melancholijnych ust sierżanta podniosły się w górę. Spojrzał na mnie bacznie, tak samo jak przedtem w ogrodzie.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli panu nie odpowiem, panie Betteredge — rzekł. — Mógłby pan stracić głowę po raz drugi.

Zacząłem wątpić, czy koniec końców wyprowadziłem w pole słynnego Cuffa! Z dużą ulgą usłyszałem pukanie do drzwi. Weszła jedna ze służących z poleceniem od kucharki. Rosanna Spearman rzeczywiście prosiła o pozwolenie wyjścia z domu, podając zwykły powód, a mianowicie, że boli ją głowa i chciałaby odetchnąć świeżym powietrzem. Na znak sierżanta powiedziałem: „Dobrze”.

— Gdzie jest wyjście dla służby? — zapytał sierżant, kiedy dziewczyna wyszła.

Pokazałem mu.

— Niech pan zamknie na klucz drzwi swego pokoju — polecił — a jeżeli ktoś będzie o mnie pytał, proszę powiedzieć, że siedzę tutaj i zastanawiam się nad sprawą.

Podniósł znowu kąciki ust i zniknął jak kamfora.

Pozostawiony w ten sposób samemu sobie zacząłem pod wpływem przemożnej ciekawości dokonywać pewnych odkryć na własną rękę.

Nie ulegało wątpiwości, że podejrzenia sierżanta w stosunku do Rosanny opierały się na czymś, czego dowiedział się przesłuchując służbę w moim pokoju. Otóż poza samą Rosanną w moim pokoju zabawiły najdłużej pokojówka mojej pani oraz pierwsza pokojówka, a trzeba zaznaczyć, że obydwie te niewiasty od pierwszej chwili najdotkliwiej prześladowały swoją nieszczęśliwą koleżankę. Doszedłszy do tego wniosku zajrzałem niby to mimochodem do sali służbowej i widząc, że jedzą tam właśnie podwieczorek, zaprosiłem się zaraz na ten posiłek. (Albowiem, nawiasem mówiąc, kropla herbaty jest dla języka kobiecego tym samym, czym kropla nafty dla gasnącej lampy).

Ufność, jaką pokładałem w herbacie jako w sprzymierzeńcu, została sownie wynagrodzona. Nie minęło i pół godziny, a wiedziałem już co najmniej tyle samo, co sierżant.

Ani pokojówka lady Verinder, ani pierwsza pokojówka, jak się okazało, nie uwierzyły w chorobę Rosanny poprzedniego dnia. Dwie te jędze — najmocniej państwa przepraszam, ale jak inaczej nazwać dwie jadowite kobiety? — w ciągu czwartkowego popołudnia kilkakrotnie zakradały się na górę, próbowały drzwi Rosanny i zastawały je zamknięte. Pukały i nie otrzymywały odpowiedzi, podsłuchiwały i nie słyszały najłżejszego szmeru wewnątrz. Kiedy dziewczyna zeszła na podwieczorek i jako wciąż jeszcze słaba została odesłana z powrotem do łóżka, wspomniane dwie jędze jeszcze raz próbowały jej drzwi i przekonały się, że są zamknięte na klucz, zaglądały do dziurki od klucza i przekonały się, że jest zatkana, widziały o północy światło pod drzwiami i słyszały trzask ognia (ogień w pokoju służącej w miesiącu czerwcu!) o czwartej rano. Wszystko to opowiedziały sierżantowi, który w zamian za ich gorliwość w udzieleniu mu pomocy patrzył na nie tylko niechętnym, podejrzliwym okiem i dał wyraźnie do zrozumienia, że im nie wierzy. Stąd też ujemne wrażenie, jakie obydwie niewiasty wyniosły z badania. Stąd też (nie wspominając o działaniu herbaty) gotowość, z jaką rozwodziły się bez końca na temat nieuprzejmego zachowania sierżanta.

Ponieważ poznałem już w pewnym stopniu kręte sposoby wielkiego Cuffa i zorientowałem się ponad wszelką wątpliwość, że zamierza on śledzić osobiście Rosannę podczas jej spaceru, było dla mnie rzeczą jasną, iż nie uważał on za stosowne dać obu pokojówkom do poznania, jak wydatnie mu dopomogły. Jako kobiety próżne wbiłyby się od razu w dumę, gdyby okazał im, że traktuje ich zeznania poważnie, i Rosanna z ich słów lub zachowania mogłaby wywnioskować, iż powinna mieć się na baczności.

Wyszedłem z domu pełen współczucia dla biednej dziewczyny i mocno zaniepokojony ogólnym obrotem sprawy. Było piękne letnie popołudnie. Ruszyłem wolno ku zagajnikowi i znalazłem tam pana Franklina, który spacerował po swej ulubionej ścieżce. Wrócił już dość dawno ze stacji i odbył dłuższą rozmowę z moją panią. Opowiedziała mu ona o dziwnym stanowisku, jakie zajęła panna Rachela wobec rewizji jej garderoby, co wprawiło pana Franklina w takie przygnębienie, iż nie wzdragał się już mówić na ten temat. Po raz pierwszy, odkąd powrócił zza granicy, dostrzegłem na jego twarzy oznaki porywczosci cechującej całą rodzinę.

— No, Betteredge — spytał — jak ci służy atmosfera tajemnicy i podejrzeń, która wciąż nas teraz otacza? Czy pamiętasz ten ranek, kiedy pierwszy raz przyjechałem tutaj z Kamieniem Księżycowym? Nie mogę teraz odżałować, że nie wrzuciliśmy go do ruchomych piasków!

Po tym wybuchu nie odzywał się już więcej, dopóki nad sobą nie zapanował. Szliśmy tak przez dłuższą chwilę w milczeniu. Odzyskawszy równowagę pan Franklin zapytał mnie, gdzie się podział sierżant Cuff. Nie mogłem zbyć pana Franklina bajeczką o tym, że sierżant siedzi w moim pokoju i zastanawia się nad sprawą. Powiedziałem mu szczerze, co się stało, powtarzając dokładnie wszystko, co pokojówka mojej pani i pierwsza pokojówka mówiły o Rosannie Spearman.

Pan Franklin z właściwą sobie bystrością w mgnieniu oka domyślił się, w jakim kierunku biegną podejrzenia sierżanta.

— Czy nie mówiłeś mi dziś rano, że jeden z dostawców twierdzi, iż spotkał wczoraj Rosannę na drodze do Frizinghall w czasie gdy, jak sądziliśmy, leżała chora w swoim pokoju?

— Tak jest, sir.

— Jeżeli pokojówka mojej ciotki i inne kobiety mówią prawdę, możesz być pewien, że dostawca spotkał ją rzeczywiście. Dziewczyna udawała tylko chorobę, żeby nas zwieść. Miała widać jakieś powody, żeby wymknąć się po kryjomu do miasta. Na pewno jedna z jej sukien nosiła ślady farby, Rosanna rozpałała więc ogień — którego trzask słyszano o czwartej rano — chcąc tę suknię spalić. Zaraz pójde i powiem ciotce bez ogródek, jaki obrót przybrały sprawy.

— Niech pan się jeszcze wstrzyma z łaski swojej — rozległ się tuż za nami melancholijny głos.

Odwróciliśmy się obaj i znaleźliśmy się twarzą w twarz z sierżantem Cuffem.

— Czemu? — zapytał pan Franklin.

— Bo jeżeli pan powie lady Verinder, lady Verinder powie o tym córce.

— A jeżeli nawet? — Pan Franklin wypowiedział te słowa zapalczywie i gniewnie, jak gdyby sierżant śmiertelnie go obraził.

— Sądzi pan, że to rozsądne — odparł spokojnie sierżant Cuff — zadawać mi takie pytanie w takiej chwili?

Zapadła chwila milczenia. Pan Franklin podszedł bliżej do sierżanta i spojrzeli sobie w oczy. Pan Franklin przemówił pierwszy, ścisząc głos równie nagle, jak go przedtem podniósł.

— Wie pan chyba, panie Cuff — powiedział — że stąpa pan po bardzo śliskim gruncie?

— Setki razy już zdarzało mi się stąpać po śliskim gruncie — odrzekł sierżant niewzruszony.

— Czy mam przez to rozumieć, że zabrania mi pan powiedzieć ciotce o tym, co zaszło?

— Ma pan przez to rozumieć, sir, że zrzekam się prowadzenia sprawy, jeśli powie pan lady Verinder lub też komukolwiek innemu o tym, co zaszło, zanim ja na to udzielię zezwolenia.

To rozstrzygnęło kwestię. Pan Franklin nie miał innego wyboru, jak się poddać. Zagniewany odwrócił się na pięcie i odszedł.

Stałem rozdygotany słuchając tego wszystkiego, nie wiedziałem bowiem wcale, co mam myśleć i kogo podejrzewać. Mimo konsternacji wszakże dwie rzeczy były dla mnie jasne. Po pierwsze przyczyną ostrej wymiany zdań między panem Franklinem a sierżantem była w jakiś niewytłumaczony sposób panna Rachel. Po drugie sierżant i pan Franklin rozumieli się doskonale, mimo że przedtem nie zamienili na ten temat ani słowa.

— Panie Betteredge — rzekł sierżant — postąpił pan w mojej nieobecności bardzo niemądrze. Zaczął pan prowadzić dochodzenie na własną

rękę. Na przyszłość zechce pan łaskawie bawić się w detektywa tylko w porozumieniu ze mną.

Ujął mnie pod ramię i pociągnął na drogę, którą nadszedł. Wyznam, że zasłużyłem sobie na te wymówki, mimo wszystko jednak nie miałem zamiaru pomagać mu w zastawianiu pułapek na Rosannę Spearman. Nic mnie nie obchodziło, czy jest złodziejką czy nie, czy pozostaje w zgodzie z prawem czy też je gwałci, żal mi było dziewczyny i na tym koniec.

— Czego pan sobie ode mnie życzy? — spytałem wyrywając mu się i zatrzymując w miejscu.

— Jedynie pewnych informacji dotyczących okolicy — odparł sierżant. Nie mogłem oczywiście odmówić, skoro sierżant pragnął rozszerzyć swój zasób wiadomości z zakresu geografii.

— Czy jest tu jakaś ścieżka, która prowadzi z plaży do domu? — zapytał sierżant. Mówiąc to wskazał na zagajnik jodłowy biegnący w kierunku Drżących Piasków.

— Owszem — powiedziałem — jest taka ścieżka.

Ramię przy ramieniu sierżant Cuff i ja ruszyliśmy w zapadającym zmierzchu letnim ku Drżącym Piaskom.

ROZDZIAŁ XV

Sierżant milczał, snując rozmyślania o czymś sobie tylko wiadomym, dopóki nie weszliśmy między jodły. Tam otrząsnął się z zadumy niby człowiek, który powziął jakąś decyzję i zwrócił się do mnie znowu.

— Panie Betteredge — rzekł — ponieważ uczynił mi pan zaszczyt zajmując, że się tak wyrażę, miejsce w mojej łodzi i ponieważ, jak sądzę, będzie pan miał sposobność, nim północ wybije, okazać mi pewną pomoc, nie widzę celu, abyśmy się dłużej bawili w ciuciubabkę, i ze swej strony zamierzam dać panu przykład całkowitej szczerości. Postanowił pan sobie, że nie udzieli mi żadnych informacji, które mogą obciążyć Rosannę Spearman, gdyż według pana jest ona złą dziewczyną i lituje się pan nad nią z całego serca. Ludzkie te względy świadczą niezmiernie korzystnie o pańskiej szlachetności, tak się jednak w tym wypadku składa, że są one zupełnie zbędne. Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, aby Rosanna Spearman znalazła się w kłopotliwej sytuacji. Nic jej nie grozi, zapewniam pana, jeśli nawet na podstawie dowodów jasnych jak słońce ustalę, że jest ona zamieszana w sprawę zniknięcia diamentu.

— Sądzi pan, że lady Verinder nie zechce skierować sprawy do sądu?

— Wiem, że lady Verinder nie będzie mogła skierować sprawy do sądu — odparł sierżant. — Rosanna Spearman jest tylko narzędziem w ręku innej osoby, toteż Rosanna Spearman uniknie kary ze względu na tę inną osobę.

Mówił z całą powagą, niepodobna było temu zaprzeczyć. Mimo to gdzieś w głębi duszy poczułem nieufność do tego człowieka.

— Czy nie może pan wymienić nazwiska tej osoby? — zapytałem.

— A czy pan nie może go wymienić, panie Betteredge?

— Nie.

Sierżant Cuff stanął jak wryty i wpatrywał się we mnie z wyrazem melancholijnego zainteresowania.

— Miło mi jest zawsze, ilekroć ogarnia mnie rozrzewnienie na widok słabości ludzkiej — rzekł. — Odczuwam w tej chwili wielką tkliwość dla pana, panie Betteredge. Pan zaś z tych samych szlachetnych pobudek odczuwa tkliwość dla Rosanny Spearman, prawda? A czy nie wie pan przypadkiem, gdzie zdobyła niedawno nowy komplet bielizny?

Nie miałem pojęcia, do czego sierżant zmierza zadając mi zniechęcające to przedziwne pytanie. Powiedzenie prawdy, jak sądziłem, nie mogło w tym wypadku zaszkodzić Rosannie, odparłem więc, że dziewczyna przybyła do nas z bardzo skromnym zapasem bielizny, toteż moja pani w nagrodę za jej dobre sprawowanie (położyłem nacisk na te słowa) podarowała jej niecałe dwa tygodnie temu nowy komplet bielizny.

— Jakież nędzny jest nasz świat! — stwierdził sierżant. — Życie ludzkie, panie Betteredge, jest niby tarcza strzelnicza — nieszczęście stale je ostrzeliwuje i zawsze trafia w sam środek. Gdyby nie ten komplet bielizny, znaleźlibyśmy w rzeczach Rosanny nową koszulę nocną lub halkę i przyparlibyśmy ją w ten sposób do muru. Czy śledzi pan bez trudu tok mego rozumowania. Wypytywał pan sam służące i wie pan, jakie odkrycia poczyniły dwie spośród nich pod drzwiami Rosanny. Wie pan chyba, co dziewczyna robiła wczoraj po rzekomym zasłabnięciu? Nie domyśla się pan? Mój Boże, to jasne jak ów skrawek nieba tam za drzewami. We czwartek o jedenastej rano inspektor Seegrave (który sam jest wielkim kłębkim słabości ludzkich) pokazuje wszystkim służącym smugę na drzwiach. Rosanna ma swoje powody, aby przejrzeć własną garderobę. Korzystając z pierwszej sposobności biegnie do swego pokoju i znajduje plamy farby na koszuli nocnej, halce lub na czymś tam innym. Udaje wówczas chorą, wymyka się do miasta, kupuje materiał na nową halkę lub koszulę nocną, szyje ją w samotności swego pokoju we czwartek nocą, rozpala potem ogień na kominku (nie po to, żeby spalić splamioną sztukę bielizny — jej dwie koleżanki myszkują pod drzwiami, za mądra więc jest, żeby zdradzić się zapachem spalenizny i mieć potem kłopot z usunięciem popiołu) — jak powiadam, rozpala ogień na kominku, żeby po upraniu wysuszyć i odprasować nową część ubrania, ukrywa splamioną halkę (zapewne ma ją po prostu na sobie) i w tej chwili właśnie pozbywa się jej w jakimś dogodnym miejscu na bezludnej plaży, na którą zdążamy. Śledziłem Rosannę dziś po południu. Udała się do pobliskiej osady rybackiej, a tam do pewnego domku, który być może wypadnie i nam odwiedzić, zanim wrócimy. Pozostawała w tym domku przez pewien czas i jeśli się nie mylę, wyszła stamtąd niosąc coś pod peleryną. Peleryna na ramionach niewiasty jest rzeczą dobroczynną — pokrywa moc grzechów. Widziałem potem, jak Rosanna ruszyła wzdłuż wybrzeża na północ. Czy wybrzeże tutejsze uchodzi za piękny przykład krajobrazu nadmorskiego?

— Tak — odparłem krótko i oschle.

— Różne są gusty — stwierdził sierżant Cuff. — Jeśli chodzi o mój punkt widzenia, to nie widziałem nigdy krajobrazu nadmorskiego, który mniej by do mnie przemawiał. Gdy śledzi się kogoś na waszym wybrzeżu i osoba śledzona obejrzy się nagle, wokół nie ma dosłownie nic, za czym można by się ukryć. Miałem do wyboru: aresztować Rosannę jako osobę podejrzaną albo też pozwolić jej na razie prowadzić dalej swoją grę. Z powodów, których wyłuszczeniem nie będę pana nudził, postanowiłem zdobyć się raczej na wszelkie ofiary, aniżeli już dziś spłoszyć pewną osobę, której nazwiska nie będziemy wymieniać. Wróciłem do domu, aby prosić pana, żeby zaprowadził mnie na północny koniec plaży inną drogą. Piasek, jeżeli idzie o ślady ludzkich stóp, jest jednym z najlepszych detektywów, jakich znam. Jeśli nie spotkamy Rosanny Spearman zachodząc jej drogę od tej strony, piasek być może opowie nam, co tu robiła. Byleby nie ściemniło się za prędko. O, widać już piasek. Daruje mi pan tę prośbę, ale może zachowałby pan milczenie i pozwolił mi pójść naprzód?

Jeżeli w lekarskim spisie chorób istnieje pozycja zwana „gorączką detektywistyczną”, niedomaganie to zaatakowało w tej chwili waszego pokornego sługę. Sierżant Cuff ruszył między piaskowymi wzgórzami w kierunku plaży, a ja z bijącym sercem poszedłem za nim i zatrzymałem się w pewnej odległości, czekając, co będzie dalej.

Jak się okazało, przystanąłem prawie w tym samym miejscu, gdzie rozmawiałem z Rosanną Spearman, kiedy pan Franklin zjawił się nagle przed nami po przyjeździe z Londynu. Oczy moje obserwowały sierżanta, myśli zaś pobiegły wbrew mej woli ku temu, co zaszło wówczas między Rosanną a mną. Czuję niemal, jak biedactwo ujmuję mnie za rękę i ściska ją z wdzięcznością za życziwe słowa. Słyszałem niemal jej głos, gdy mi mówiła, że Drżące Piaski pociągają ją z nieprzepartą siłą, ilekroć wychodzi z domu. Potem widziałem niemal, jak twarz jej rozjaśnia się na widok pana Franklina wyłaniającego się energicznym krokiem spomiędzy wzgórz. W miarę jak myślałem o tym wszystkim, robiło mi się coraz smutniej, a gdy rozejrzałem się wokoło, żeby się otrząsnąć z przygnębienia, widok bezludnej zatoki wtrącił mnie tylko w gorszą jeszcze depresję.

Światło dzienne już dogasało i na dzikiej, opuszczonej plaży panowała jakaś groźna cisza. Ocean omywający wielką piaszczystą ławicę oddychał nie wydając żadnego szmeru. Woda w zatoce spoczywała w bezruchu, nie marszczona najlżejszym powiewem wiatru. Na martwej powierzchni wody unosiły się strzępy białóżółtej piany. Tu i ówdzie połyskiwało błoto i szlam, gdy ostatnie promienie światła padały na dwa wielkie cyple skalne wrzynające się w morze na północ i na południe. Zbliżał się czas przyływu i właśnie kiedy tam stałem, szeroka brunatna powierzchnia piasków zaczęła falować i drżeć stanowiąc jedyną poruszającą się płaszczyznę w całej tej niesamowitej okolicy.

Widziałem, jak sierżant wzdrygnął się na widok ruchu piasków. Patrzył na to zjawisko przez dłuższą chwilę, po czym wolnym krokiem wrócił do mnie.

— Zdradliwe miejsce, panie Betteredge — rzekł — a na plaży nigdzie nie widać śladów Rosanny Spearman.

Zaprowadził mnie niżej i przekonałem się na własne oczy, że na piasku widnieją odbicia tylko jego i moich stóp.

— W jakim kierunku leży osada rybacka? — spytał sierżant Cuff.

— Cobb's Hole — odparłem (bo tak nazywała się osada) — leży stąd mniej więcej na południe.

— Widziałem, że Rosanna poszła dziś po południu z Cobb's Hole na północ — rzekł sierżant. — Musiała więc iść w kierunku tego miejsca. Czy Cobb's Hole znajduje się po drugiej stronie tamtego skrawka ziemi? I czy możemy dostać się tam, dopóki poziom wody jest niski, przez plażę?

Odpowiedziałem na obydwa te pytania twierdząco.

— Daruje pan, ale radziłbym iść szybko — powiedział sierżant. — Chciałbym, zanim się jeszcze ściemni, odnaleźć miejsce, w którym Rosanna opuściła plażę.

Uszliśmy jakiejś dwieście jardów w kierunku Cobb's Hole, gdy sierżant Cuff ukląkł nagle na plaży, jak gdyby w nagłym przypływie pobożności zapragnął zmówić pacierz.

— Coś niecoś da się jednak powiedzieć na korzyść waszego krajobrazu nadmorskiego — zauważył. — Oto ślady kobiecych stóp, panie Betteredge! Nazwijmy je śladami Rosanny, dopóki nie znajdziemy niezbitych dowodów na to, że tak nie jest. Bardzo niewyraźne ślady, zechce pan zauważyć; powiedziałbym, że zatarte umyślnie. Ach, biedaczka, poznała się równie dobrze jak ja na detektywistycznych zaletach piasku! Ale czy nie zanadto się śpieszyła, aby zatrzeć dokładnie ślady? Myślę, że tak. Tu jeden ślad prowadzi w przeciwnym kierunku niż Cobb's Hole, a tu znów inny prowadzi z powrotem. A czyż tu czubek buta nie wskazuje prosto na brzeg morza? I czyż nie widzę tam dalej, bliżej wody, dwóch odcisków obcasów? Nie chcę ranić pańskich uczuć, ale muszę stwierdzić, że Rosanna jest przebiegła. Najwidoczniej postanowiła dostać się do tego miejsca, z którego właśnie przyszliśmy, nie zostawiając śladów, które by ją zdradziły. Czy możemy powiedzieć, że od tego punktu brnęła przez wodę aż do tamtego występu skalnego za nami, wróciła tą samą drogą, a potem wyszła znów na plażę tam, gdzie pozostały te dwa odciski obcasów? Owszem, możemy to powiedzieć. Pokrywa się to z moim przypuszczeniem, że wychodząc z domku rybaka chowała coś pod peleryną. Nie! Nic, co by chciała zniszczyć, po cóż bowiem starałaby się, abym nie odnalazł miejsca, które stanowiło cel jej wyprawy? Sądzę, że było to raczej coś, co chciała ukryć. Jeśli pójdziemy teraz do domku rybaka, dowiemy się może, co to było!

Na tę propozycję moja gorączka detektywistyczna nagle opadła.

— Nie jestem chyba panu potrzebny — powiedziałem. — Na co się mogę przydać?

— Im dłużej pana znam, panie Betteredge — rzekł sierżant — tym więcej cnót w panu odkrywam. Skromność — mój Boże, jakże rzadka to cnota na tym świecie, a jak wielkie zasoby tej rzadkiej cnoty pan posiada! Jeżeli pójdę

do domku rybaka sam, ludzie po pierwszym moim pytaniu zatną się w milczeniu. Jeżeli pójdę z panem, to zostanę wprowadzony przez szanowanego (i słusznego) sąsiada, w wyniku czego rozpocznie się swobodna i nieskrępowana rozmowa. Tak mnie się przynajmniej wydaje. A jakie jest pańskie zdanie?

Nie mając w pogotowiu dość zręcznej odpowiedzi, próbowałem zyskać na czasie pytając go, do którego domku chce iść.

Gdy sierżant opisał mi ów dom, zorientowałem się, że chodzi o domek rybaka nazwiskiem Yolland. Mieszkał on tam z żoną i dwojgiem dorosłych dzieci, synem i córką. Jeżeli zajrzą państwo na początek mojej opowieści, przekonają się, że prezentując Rosannę Spearman nadmieniałem, iż od czasu do czasu zamiast na Drżące Piaski udawała się do Cobb's Hole, aby odwiedzić mieszkających tam znajomych. Byli to właśnie Yollandowie — zaci, porządni ludzie, chluba okolicy. Rosanna nawiązała z nimi znajomość poprzez ich córkę, dziewczynę o zniekształconej stopie, znaną na skutek tego w naszych stronach pod mianem Kulawej Lucy. Kalectwo zbliżyło widocznie dziewczęta. W każdym razie Yollandowie i Rosanna pozostawali ze sobą w bardzo życzliwych i przyjaznych stosunkach. Fakt, że sierżant Cuff chciał iść właśnie do domu Yollandów, ukazał mi sprawę mojej pomocy przy indagacjach w zupełnie innym świetle. Rosanna poszła tylko tam, dokąd często chodziła, stwierdzenie więc, że była w towarzystwie rybaka i jego rodziny, równało się w gruncie rzeczy stwierdzeniu, że nie robiła w tym czasie nic złego. Przeto dając się przekonać wywodom sierżanta Cuffa, mogłem oddać dziewczynie przysługę. Oświadczyłem tedy sierżantowi, że mnie przekonał.

Ruszyliśmy do Cobb's Hole i dopóki było jeszcze choć trochę światła, widzieliśmy wciąż ślady na piasku.

Gdyśmy dotarli do celu, okazało się, że rybak i jego syn wypłynęli na morze, a Kulawa Lucy, zawsze słaba i znużona, leży w łóżku na górze. Zaczyna pani Yolland przyjąć nas w kuchni sama jedna. Kiedy dowiedziała się, że sierżant Cuff jest w Londynie znakomitością, postawiła zaraz na stół butelkę holenderskiego dżinu, położyła parę czystych fajek i gapiła się na sierżanta, jak gdyby nie mogła mu się napatrzeć.

Siedziałem spokojnie w kącie, ciekaw, jak też sierżant naprowadzi rozmowę na Rosannę Spearman. Otóż okólne metody, jakie zwykle stosował w pracy, okazały się tym razem bardziej okólne niż kiedykolwiek. Jak osiągnął swój cel, nie umiałem powiedzieć wtedy i nie potrafię powiedzieć teraz. Pewne jest jednak, że zaczął od rodziny królewskiej, od metodystów i od cen na ryby, a od tego przeszedł niepostrzeżenie do zaginięcia Kamienia Księżycowego, do złośliwego usposobienia naszej pierwszej pokojówki i do nieżyczliwego stosunku naszych sługących do Rosanny. Poruszywszy takim sposobem pożądaną tematykę, dał do zrozumienia, że prowadzi dochodzenie w sprawie zaginionego diamentu częściowo po to, by go odnaleźć, częściowo zaś po to, aby oczyścić biedną Rosannę z krzywdzących podejrzeń rzucanych na nią przez jej nieprzyjaciółki. Po upływie kwadransa

od chwili, gdy weszliśmy do kuchni, poczciwa pani Yolland przekonana była, że rozmawia z najlepszym przyjacielem Rosanny, i gorąco zapraszała sierżanta, aby pokrzepił się zawartością holenderskiej butelki.

Niezlomnie przekonany, że sierżant marnuje tylko czas na rozmowę z panią Yolland, siedziałem bawiąc się tą konwersacją tak, jak w swoim czasie bawiłem się na spektaklach teatralnych. Wielki Cuff dawał dowody niewyczerpanej cierpliwości, próbował wytrwale szczęścia tak i owak, oddając na ślepo jeden strzał po drugim w nadziei, że trafi wreszcie do celu. Ale mimo jego wysiłków wszystko, co mówiła pani Yolland, przemawiało na korzyść Rosanny, nic zaś na jej niekorzyść. Przy tym pani Yolland puściła wodzę elokwencji i traktowała gościa z całkowitym zaufaniem. Gdyśmy spojrzeli na zegarki i wstali, aby się pożegnać, sierżant spróbował szczęścia po raz ostatni.

— Życzę pani dobrej nocy — rzekł. — I dodam tylko na pożegnanie, że Rosanna Spearman ma w pani pokornym słudze człowieka szczerze życzliwego. Ale niestety! Na obecnym miejscu nie będzie się nigdy dobrze czuła, toteż ja bym jej radził, żeby stąd odeszła.

— A mój panie kochany, ona właśnie ma zamiar odejść! — zawołała pani Yolland.

Rosanna Spearman chce nas opuścić! To mnie zaskoczyło. Wydawało mi się co najmniej dziwne, że nie uprzedziła o swym zamiarze przede wszystkim mojej pani albo mnie. Przyszło mi do głowy, że ostatni pocisk sierżanta, wypuszczony na los szczęścia, trafił jednak do celu. Powziąłem wątpliwości, czy mój udział w tej zabawie jest rzeczywiście tak nieszkodliwy, jak to sobie wyobrażałem. Wolno było sierżantowi dla dobra dochodzenia omotać zacną niewiastę siecią zręcznych kłamstw, ja wszakże jako dobry protestant winienem był pamiętać, że ojcem kłamstwa jest szatan, a szatan i zło zawsze idą w parze. Węsząc tedy w powietrzu coś niedobrego usiłowałem przynaglić sierżanta do wyjścia. Sierżant nie zważając na mnie usiadł natychmiast znowu i poprosił o ostatnią kropelkę pokrzepiającego trunku-z holenderskiej butelki. Pani Yolland usiadła naprzeciw niego i nalala mu kieliszek. Ruszyłem w najwyższym zakłopotaniu do drzwi, mówiąc, że muszę ich niestety pożegnać — a przecież nie wyszedłem.

— A więc Rosanna chce odejść? — powiedział sierżant. — Cóż pocznie, kiedy stąd odejdzie? Smutne, bardzo smutne. Biedaczka nie ma na świecie przyjaciół prócz państwa i mnie.

— Alez owszem, ma! — zaprzeczyła z ożywieniem pani Yolland. — Przyszła tutaj dziś po południu, jak już panu mówiłam, posiedziała chwilę, porozmawiała z moją Lucy i ze mną, a potem zapytała, czy może pójść na górę do pokoiku Lucy. To w naszym domku jedyny pokój, w którym jest pióro i atrament. „Chcę napisać list do przyjaciółki — powiedziała — a nie mogę zrobić tego u nas w domu, bo te przebrzydłe służące wciąż mnie szpiegują i podglądają”. Nie wiem, do kogo pisała, ale list musiał być bardzo długi sądząc z czasu, który spędziła samotnie na górze. Kiedy zesłała wreszcie na dół, chciałam jej dać znaczek pocztowy, ale go nie przyjęła. Nie miała

zresztą listu w ręce. Biedaczka trochę jest skryta, jak panu wiadomo, nie lubi opowiadać o sobie i o swoich planach. Ale ma jakąś przyjaciółkę, za to mogę panu ręczyć, i do tej właśnie przyjaciółki z pewnością pojedzie.

— Czy prędko? — spyta) sierżant.

— *Możliwie sak na/prędzej — odparła pani Yolland.*

Tu wróciłem się znów od drzwi. Jako szef służby w domu lady Verinder nie mogłem pozwolić, aby obcy ludzie w mojej obecności dyskutowali beztrąsko o tym, czy któraś z naszych służących ma odejść, czy też nie. Musiałem zareagować.

— Myli się pani chyba co do Rosanny Spearman — oświadczyłem. — Gdyby miała porzucić swoje obecne stanowisko, zawiadomiłaby o tym przede wszystkim mnie.

— Ja się myślę?! — zawołała pani Yolland. — Ależ dopiero przed pół godziną kupiła kilka rzeczy potrzebnych jej do podróży, kupiła ode mnie, panie Betteredge, tutaj, w tym pokoju! I to mi przypomina — powiedziała ta uprzykrzona kobieta macając się nagle po kieszeni — że miałam właśnie coś panom powiedzieć o Rosannie i o jej pieniądzach. Czy któryś z panów zobaczy się z nią po powrocie do domu?

— Z największą przyjemnością powtórzę biedaczce pani polecenie — za ofiarował się sierżant Cuff, zanim zdążyłem wtrącić choć słówko.

Pani Yolland wyjęła z kieszeni kilka szylingów i sześciopensówek i z wielką a irytującą dokładnością przeliczyła je na dłoni. Potem podała pieniądze sierżantowi, aczkolwiek widać było, że bardzo jej ciężko z nimi się rozstać.

— Może będzie pan łaskaw oddać to Rosannie wraz z moimi najserdeczniejszymi pozdrowieniami — rzekła. — Uparła się, żeby zapłacić mi za te kilka drobiazgów, które przypadły jej do gustu, a pieniądze — nie mogę zaprzeczyć — zawsze się u nas w domu przydają. Jakoś mi jednak przykro zabierać dziewczynie jej zaoszczędzony grosz. I mówiąc prawdę, boję się, czy mój mąż, jak wróci jutro z połowu, nie będzie zły, że wzięła zapłatę od Rosanny Spearman. Niech więc przyjmie ode mnie te rzeczy w prezencie, proszę jej to powiedzieć. I proszę nie zostawiać pieniędzy na stole — dodała pani Yolland, kładąc nagle przed sierżantem monety, jak gdyby parzyły jej rękę — proszę je zabrać, z łaski swojej! Bo czasy są ciężkie, a natura ludzka słaba i mogłaby mnie wziąć pokusa, żeby schować je z powrotem do kieszeni.

— Chodźmy! - powiedziałem. — Nie mogę dłużej czekać, muszę wracać do domu.

— Zaraz wyjdę za panem — zapewnił mnie sierżant Cuff.

Po raz drugi podszedłem do drzwi i po raz drugi mimo największych wysiłków nie mogłem zdobyć się na to, by przestąpić próg.

— Zwrot pieniędzy to drażliwa sprawa — dobiegły mnie słowa sierżanta. — Przecież policzyła jej pani chyba tanio za te rzeczy?

— Tanio! — zawołała pani Yolland. — Niech pan sam osądzi. Wzięła świecę i zaprowadziła sierżanta w kąt kuchni. Choćby mnie miano

zabić, nie powstrzymałbym się od tego, żeby pójść za nimi. W kącie leżał stos

rozmaitych rupieci (przeważnie metalowych, zebranych przez pana Yollanda z rozbitych statków — starzyzna, której rybak nie zdołał jeszcze sprzedać). Pani Yolland zanurzyła rękę w tym stosie i wydobyła z niego lakierowaną puszkę blaszaną z pokrywką i wieszakiem — tego rodzaju puszkę, jakich używa się na statkach do przechowywania map i chronienia ich przed wilgocią.

— Proszę! — oświadczyła. — Rosanna kupiła dzisiaj takusienką puszkę. „Będę mogła włożyć do niej kołnierzyki i mankiety, żeby mi się nie pogniosły w kufunku”, powiedziała. Policzyłam jej szylinga i dziewięć pensów, panie Cuff. Jak tu przed panem stoję: ani pensa więcej!

— Póldarmo — orzekł sierżant z ciężkim westchnieniem.

Zważył puszkę w ręce. Gdy jej się przyglądał, miałem wrażenie, że słyszę urywek melodii „Ostatnia róża lata”. Nie miałem już wątpliwości! Dokonał nowego odkrycia obciążającego Rosannę, tutaj, w tym domu, w którym, jak sądziłem, mógł dowiedzieć się o niej tylko rzeczy korzystnych! A w dodatku wszystko to stało się za moim pośrednictwem! Mogą państwo sobie wyobrazić, jak się czułem i jak *szczerze* żałowałem, że to ja właśnie przedstawiłem sierżanta pani Yolland.

— No, dość już — powiedziałem. — Doprawdy musimy iść.

Nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi pani Yolland znów zanurzyła rękę w stosie rupieci i tym razem wyłowiła z niego łańcuch do przywiązywania psa.

— Proszę go zważyć w rękę — zwróciła się do sierżanta. — Mieliśmy trzy takie łańcuchy i Rosanna wzięła z nich dwa. „Po co ci dwa psie łańcuchy, kochanie?”, spytałam. „Połączę je i nadadzą się doskonale do przewiązania mojego kufunku”, powiada. „Sznurek jest najtańszy”, mówię. „Ale łańcuch jest pewniejszy”, mówi Rosanna. „A któż słyszał, żeby przewiązywać kufunek łańcuchem?”, powiadam. „Ojej, pani Yolland — powiada Rosanna — proszę mi się nie sprzeciwiać! Niech mi pani sprzeda te łańcuchy!” Dziwna dziewczyna, panie Cuff — złote serce i dobra jest dla mojej Lucy jak rodzona siostra, ale zawsze trochę dziwna. No więc już się z nią nie sprzeczałam. Trzy szylingi sześć pensów. Słowo uczciwości, panie Cuff, trzy szylingi sześć pensów!

— Za jeden? — spytał sierżant.

— Za obydwa! odparła pani Yolland. — Trzy szylingi sześć pensów za obydwa łańcuchy.

— Darmo — stwierdził sierżant kiwając głową. Po prostu darmo.

— Oto pieniądze — rzekła pani Yolland przysuwając się bokiem do garstki srebra leżącego na stole, jak gdyby przyciągało ją ono wbrew jej woli. — Puszka i łańcuchy to było wszystko, co Rosanna kupiła i zabrała ze sobą. Szyling dziewięć pensów i trzy szylingi sześć pensów — razem pięć szylingów trzy pensy. Proszę oddać jej to wraz z moimi pozdrowieniami, bo sumienie mi nie pozwala zabierać biednej dziewczynie oszczędności, które mogą jej być potrzebne.

— A mnie znów moje sumienie nie pozwala zwrócić tych pieniędzy —

oznajmił sierżant Cuff. — Pani przecież podarowała jej właściwie te *rzeczy*, zapewniam panią.

— Czy naprawdę takie jest pańskie zdanie, sir? — zawołała pani Yolland ozywiając się od razu.

— Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości — odparł sierżant. — Proszę zapytać pana Betteredge'a.

Ale nie warto było mnie pytać. Ode mnie mogli usłyszeć jedno tylko słowo: „Dobranoc”.

— A bodaj te pieniądze! — zawołała pani Yolland. Straciła już widać wszelkie panowanie nad sobą, bo z powyższymi słowy chwyciła naraz monety ze stołu i wrzuciła je szybko do kieszeni. — Nie mogę patrzeć, jak leżą i nikt ich nie bierze — dodała siadając ciężko na krześle i patrząc na sierżanta z taką miną, jakby chciała powiedzieć: „Mam je znów w kieszeni, spróbuj mi je pan odebrać!”

Tym razem nie tylko skierowałem się do drzwi, lecz nawet wyszedłem na drogę. Nie wiem, czym to wytłumaczyć, ale czułem się tak, jak gdyby któreś z nich lub też oboje razem obrazili mnie śmiertelnie. Nie uszedłem jeszcze trzech kroków w stronę domu, gdy usłyszałem za sobą sierżanta.

— Dziękuję panu za pomoc, panie Betteredge — powiedział. — Zawdzięczam żonie rybaka poznanie zgoła nowego uczucia. Pani Yolland wprawiła mnie w zakłopotanie, nie wiem, co mam myśleć.

Miałem już na końcu języka ostrą odpowiedź, chociażby tylko dlatego, że byłem na niego zły, a to znów wynikało stąd, że byłem zły na siebie. Ale gdy przyznał się, że nie wie, co ma myśleć, przyszło mi do głowy, że może nie stało się w końcu nic złego. Czekałem dyskretnie na dalsze jego słowa.

— Tak — rzekł sierżant, jak gdyby czytał w moich myślach. — Dowie się pan przypuszczalnie z radością (bo przecież interesuje się pan żywo Rosanną), że zamiast naprowadzić mnie na trop, za pańskim pośrednictwem zbito mnie zupełnie z tropu. Co dziewczyna zrobiła dzisiaj, to jest oczywiście jasne. Połączyła obydwie łańcuchy i przymocowała jeden koniec do wieszaka puszek. Wrzuciła puszkę do wody albo też do ruchomych piasków. Umocowała drugi koniec łańcucha w jakimś sobie tylko znanym miejscu pod skałami. Zostawi teraz puszkę w tym bezpiecznym schowku, dopóki nie zakończy się śledztwo, i wydobędzie ją, kiedy uzna za stosowne. Wszystko więc na razie jest zupełnie oczywiste. Ale — dodał sierżant tonem zniecierpliwienia, który po raz pierwszy u niego zauważyłem — co, u diabła, schowała w tej puszcze?

Pomyślałem sobie: Kamień Księżycowy! Na głos wszakże spytałem tylko:

— Nie domyśla się pan?

— To nie może być diament — powiedział sierżant. — Doświadczenie całego mojego życia zostałyby przekreślone gdyby diament miał znajdować się w posiadaniu Rosanny Spearman.

Na dźwięk tych słów znów chyba poczęła mnie palić przekłeta gorączka detektywistyczna. W każdym razie, urzeczony tą nową zagadką, zapomniałem się zupełnie i powiedziałem nierozważnie:

— Splamiona suknia!

Sierżant Cuff przystanął i położył mi rękę na ramieniu.

— Czy coś, co wpadnie do tych waszych ruchomych piasków, powraca z czasem na powierzchnię?

— Nigdy — odparłem. — Czy będzie to przedmiot lekki, czy ciężki, ruchome piaski wessą go w głąb i nikt go już nie zobaczy.

— Czy Rosanna Spearman wie o tym?

— Wie o tym równie dobrze jak ja.

— W takim razie — zastanawiał się sierżant — czemuż, u licha, nie przywiązała jakiegoś kamienia do splamionej części ubrania i nie wrzuciła jej do ruchomych piasków? Nie ma najmniejszego powodu, dla którego miałaby ją przechowywać, a jednak wszystko wskazuje na to, że ją schowała. Nasuwa się pytanie — mówił sierżant ruszając dalej — czy ta splamiona część ubrania to halka albo koszula nocna? Czy może jest to coś innego i Rosanna ma jakiś powód, aby za wszelką cenę starać się ten przedmiot zachować? Panie Betteredge, jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, muszę jutro pojechać do Frizinghall i ustalić, co Rosanna kupiła w mieście, kiedy wymknęła się ukradkiem po materiał na zastępczą część ubrania. W obecnym stanie rzeczy mój wyjazd z domu lady Verinder stanowi pewne ryzyko; większym jeszcze ryzykiem wszakże jest posuwanie się dalej w ciemnościach. Daruję pan, zem nieco zirytowany, ale upadłem nisko we własnych oczach, bo dopuściłem do tego, żeby Rosanna Spearman wywołała zamęt w moich myślach.

Kiedyśmy wrócili, służba jadła właśnie kolację. Pierwszą osobą, jaką ujrzeliśmy na dziedzińcu, był policjant, którego inspektor Seegrave zostawił do dyspozycji sierżanta. Sierżant zapytał, czy Rosanna Spearman wróciła. Tak. Kiedy? Blisko godzinę temu. Co robiła przez ten czas? Poszła na górę zdjąć pelerynę i kapelusz, a teraz je spokojnie kolację wraz z resztą służby.

Nie wypowiadając więcej ani słowa sierżant Cuff — coraz niżej spadając we własnych oczach — ruszył na tyły domu. Minał w ciemnościach wejście i mimo moich nawoływań szedł dalej, aż zatrzymał się przy furtce wiodącej do ogrodu. Kiedy dopędziłem go wreszcie, żeby pokazać mu właściwą drogę, zauważyłem, że wpatruje się uważnie w pewne okno na pierwszym piętrze.

Podniosłem głowę i stwierdziłem, że przedmiotem jego kontemplacji jest okno pokoju panny Racheli i że w pokoju tym światło porusza się z miejsca na miejsce, jakby działo się tam coś niezwykłego.

— Czy to pokój panny Verinder? — zapytał sierżant. Odpowiedziałem twierdząco i prosiłem, żeby poszedł ze mną na kolację.

Sierżant jednak nie ruszył się z miejsca, bąknął tylko, że lubi zapach ogrodu wieczorem. Pozostawiłem go więc, aby rozkoszował się do woli tym zapachem. Wchodząc już w drzwi usłyszałem melodię „Ostatniej róży lata”. Sierżant Cuff dokonał nowego odkrycia! A tym razem związane było ono z pokojem panny Racheli!

Na tę myśl wróciłem do sierżanta i oświadczyłem grzecznie, że przykro mi jednak zostawiać go samego.

— Czy pana coś zastanawia? — dodałem wskazując okno panny Racheli. Sądząc z tonu sierżanta, musiał on odzyskać znów szacunek do samego siebie.

— Wy tu w Yorkshire lubicie zakłady, prawda? — spytał.

— A jeżeli nawet tak, to co? — odpowiedziałem pytaniem.

— Gdybym był pańskim krajanem — ciągnął dalej sierżant ujmując mnie za ramię — założyłbym się z panem o całego suwerena, panie Betteredge, że panna Verinder postanowiła nagle opuścić ten dom. Gdybym wygrał ten zakład, postawiłbym drugiego suwerena, że pomysł ten przyszedł jej do głowy w ciągu ostatniej godziny.

Pierwsza hipoteza sierżanta wprawiła mnie w zdumienie. Druga natomiast skojarzyła mi się od razu z meldunkiem policjanta, który stwierdził, że Rosanna Spearman wróciła do domu przed godziną. Obydwie hipotezy razem podziałały na mnie w sposób osobliwy. Odtrąciłem rękę sierżanta i zapominając o dobrym wychowaniu przepchnąłem się pierwszy przez drzwi, żeby zbadać sprawę na własną rękę.

Pierwszą osobą, którą spotkałem na korytarzu, był lokaj Samuel.

— Milady czeka na pana i na pana sierżanta — oznajmił, zanim zdążyłem go o cokolwiek zapytać.

— Jak długo czeka? - rozległ się za moimi plecami głos sierżanta.

— Od godziny, sir.

Znów to samo! Rosanna przed godziną wróciła, panna Rachela przed godziną powzięła jakieś niezwykle postanowienie, a moja pani czeka od godziny na sierżanta! Nie byłem zachwycony, że wszystko to tak się ze sobą kojarzy. Ruszyłem na górę nie patrząc na sierżanta ani nie odzywając się do niego. Ręka zadrżała mi nagle, kiedy podniosłem ją, żeby zapukać do drzwi mojej pani.

— Nie dziwiłbym się wcale — szepnął tuż za mną sierżant — gdyby w domu jeszcze dziś wieczorem wybuchnął skandal. Niech się pan nie lęka! Dawałem już sobie radę z gorszymi powikłaniami w innych rodzinach.

W tej chwili usłyszałem głos mojej pani zapraszający nas do środka.

ROZDZIAŁ XVI

W pokoju lady Verinder paliła się tylko lampa stojąca. Abażur przechylony był tak, że cień pada! na twarz mojej pani siedzącej przy stole. Zamiast spojrzeć na nas w zwykły, szczerzy, bezpośredni sposób, moja pani nie podnosiła oczu znad otwartej książki.

— Panie sierżancie — rzekła — czy dla dobra dochodzenia, które pan prowadzi, jest rzeczą istotną, aby wiedział pan z góry, że któraś z osób znajdujących się obecnie w domu pragnie stąd wyjechać?

— Jest to rzecz bardzo ważna, milady.

— Wobec tego muszę pana zawiadomić, że moja córka zamierza udać się na jakiś czas do swojej ciotki, pani Ablewhite, do Frizinghall. Postanowiła wyjechać jutro z samego rana.

Sierżant Cuff spojrział na mnie. Zrobiłem krok naprzód, chcąc powiedzieć coś lady Verinder, ale (muszę wyznać ze skruchą) opuściła mnie odwaga, cofnąłem się więc i nic nie powiedziałem.

— Czy wolno zapytać, kiedy panna Verinder powzięła zamiar wyjazdu do ciotki? — zapytał sierżant.

— Mniej więcej godzinę temu — odparła moja pani.

Sierżant Cuff znów spojrział na mnie. Powiadają, że starzy ludzie nie wzruszają się zbyt łatwo, ale moje serce w tej chwili nie mogłoby walić mocniej, gdybym nawet miał znów dwadzieścia pięć lat!

— Nie mam prawa ograniczać swobody ruchów panny Verinder — powiedział sierżant. — Mogę tylko prosić panią, aby, jeśli to możliwe, przesunęła pani jej wyjazd na późniejszą porę. Sam muszę pojechać jutro rano do Frizinghall i powrócę najpóźniej o drugiej po południu. Gdyby udało się zatrzymać pannę Verinder do tego czasu, chciałbym, zanim wyjedzie, powiedzieć jej bez uprzedzenia dwa słowa.

Moja pani poleciła mi przekazać stangretowi rozkaz, aby powóz nie zajeżdżał po pannę Rachelę przed drugą.

— Czy ma pan mi coś jeszcze do powiedzenia? — zwróciła się następnie do sierżanta.

— Tylko jedno, milady. Jeżeli pannę Verinder zdziwi ta zmiana, zechce pani nie mówić jej, że to ja jestem przyczyną opóźnienia.

Moja pani podniosła nagle głowę znad książki, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się z najwyższym wysiłkiem i wpatrując się znów w książkę odprawiła nas ruchem ręki.

— Wspaniała kobieta — rzekł sierżant Cuff, gdy znaleźliśmy się znów w hallu. — Gdyby nie jej opanowanie, zagadka, która tak pana dręczy, panie Betteredge, została by dziś jeszcze rozwiązana.

Na te słowa prawda zaświtała nareszcie w mojej tępej mózgowicy. Musiałem chyba postradać na chwilę zmysły. Chwyciłem sierżanta za kłapy i przyparłem go do ściany.

— Niech pana wszyscy diabli! — krzyknąłem. — Z panną Rachelą dzieje się coś złego, a pan to przede mną przez cały czas ukrywa!

Sierżant Cuff patrzył tylko na mnie, lecz nie poruszył nawet ręką i ani jeden mięsień nie drgnął w jego smutnej twarzy.

— Ach — powiedział — domyślił się pan wreszcie!

Puściłem jego kłapy, głowa opadła mi na piersi. Proszę pamiętać na usprawiedliwienie mojego wybuchu, że służyłem w tej rodzinie od pięćdziesięciu lat. Panna Rachelę jako dziecko setki razy wdrapywała mi się na kolana i ciągnęła mnie za bokobrody. Przy wszystkich wadach była ona dla mnie najmilszą, najładniejszą i najlepszą panią, jaką pieścił i kochał kiedykolwiek stary sługa. Przeprosiłem sierżanta, obawiam się wszakże, iż nie zrobiłem tego z należytą godnością, bo głos mi drżał, a oczy przesłaniała mgła.

— Niech się pan tak nie przejmuje, panie Betteredge — odparł sierżant tonem niezmiernie łagodnym, którego wcale nie miałem prawa od niego oczekiwać. — W moim zawodzie człowiek obraźliwy niewart jest złamanego szeląga. Proszę mnie jeszcze raz złapać za klapy, jeśli sprawia to panu ulgę. Oczywiście nie ma pan najmniejszego pojęcia, jak to należy robić, daruję panu wszakże niezręczność przez wzgląd na pańskie wzburzenie.

Podniósł kąciki warg, przekonany najwidoczniej, że powiedział doskonały dowcip.

— Niech mi pan powie prawdę — rzekłem. — Co pan podejrzewa? Proszę dłużej nic przede mną nie ukrywać, bo to okrutne!

— Nic nie podejrzewam — odparł sierżant Cuff. — Ja wiem na pewno. Nieszczęsna porywczosć znów zaczęła brać nade mną górę.

— Czy chce mi pan powiedzieć, że panna Rachela ukradła własny diament?

— Tak — odrzekł sierżant — to właśnie chciałem panu powiedzieć. Panna Verinder od pierwszej chwili ma diament w swoim posiadaniu i zwierzyła się z tego Rosannie Spearman, bo liczyła na to, że podejrzenie o kradzież padnie na Rosannę. Oto w kilku słowach cała sprawa. Niech mnie pan znów chwyci za klapy, panie Betteredge. Jeżeli da pan w ten sposób upust wzburzeniu, niech mnie pan chwyci za klapy.

Wielki Boże! Wzburzenia mojego niepodobna było ukoić tą drogą.

— Niech mi pan to wyjaśni! — zdołałem tylko wyjąkać.

— Wyjaśnienie usłyszysz pan jutro — odparł sierżant. — Jeżeli panna Verinder nie zechce odłożyć wyjazdu do ciotki (a przekona się pan, że nie zechce), będę musiał przedstawić jutro całą sprawę lady Verinder. A że nie wiem, co z tego może wyniknąć, poproszę, żeby był pan przy tym obecny i słyszał wypowiedzi obu stron. Na razie odłożmy więc wszystko do jutra. Nie, panie Betteredge, dziś już nie wydobędzie pan ze mnie ani słowa na temat Kamienia Księżycowego. Stół nakryty do kolacji. Oto jeszcze jedna z wielu słabostek ludzkich, dla których jestem ogromnie wyrozumiały. Jeżeli zechce pan zadzwonić, ja zmówię modlitwę dziękczynną. „Dzięki Ci Boże za dary, które mamy spożywać...”

— Życzę panu dobrego apetytu — oświadczyłem. — Bo ja straciłem apetyt doszczętnie. Zaczekam i dopilnuję, żeby pana dobrze obsłużono, a potem poproszę o wybaczenie, chcę bowiem oddalić się i rozważyć rzecz całą w samotności.

Dopilnowałem, aby podano mu wszystko, co najlepsze, choć nie smuciłbym się wcale, gdyby udławił się tymi smakołykami. Tymczasem nadszedł starszy ogrodnik (pan Begbie) z cotygodniowym sprawozdaniem. Sierżant niezwłocznie rozpoczął perorę na temat róż i przewagi ścieżek zasianych trawą nad ścieżkami zwirowanymi. Zostawiłem ich przy tej rozmowie i z ciężkim sercem wyszedłem. Była to pierwsza troska od wielu lat, której nie udało się rozwiązać za pomocą dobrej fajki i na którą nie znalazłby rady nawet Robinson Kruzo.

Zgnębiony, nieszczęśliwy, nie mając nawet osobnego pokoju, do którego

mógłbym się schronić, wyszedłem na taras i tam w ciszy i spokoju rozważyłem całą sprawę. Ówczesne moje myśli nie mają zresztą w tej chwili znaczenia. Czułem, że jestem stary, znużony i nie nadaję się już na swoje stanowisko, zapragnąłem tedy po raz pierwszy w życiu, aby Pan Bóg zechciał zabrać mnie do siebie. Przy tym nie traciłem ani na chwilę wiary w pannę Rachelę. Gdyby nawet sierżant Cuff był królem Salomonem w całej jego chwale i powiedziałby mi, że moja panienska wmieszana jest w jakieś niegodziwe, zbrodnicze przedsięwzięcie, odpowiedziałbym najmędrszemu Salomonowi tylko jedno: „Nie zna pan jej tak jak ja”.

Rozmyślenia moje przerwał Samuel. Przyniósł mi kartkę od mojej pani.

Zawróciłem do domu, żeby przeczytać kartkę przy świetle, kiedy Samuel powiedział, że zanoszą się na zmianę pogody. Niepokój i przygnębienie sprawiły, że sam tego dotychczas nie spostrzegłem. Teraz jednak, gdy Samuel pobudził moją uwagę, usłyszałem, że psy się niepokoją, a wiatr zawodzi nisko nad ziemią. Spojrzałem w niebo i zobaczyłem kłęby chmur, które z każdą chwilą stawały się coraz ciemniejsze i mknęły coraz szybciej, to przesłaniając, to znów odsłaniając błądy, wodnisty księżyc. Nadciągała burza. Samuel miał rację, nadciągała burza.

Moja pani pisała mi w kartce, że otrzymała z Frizinghall list od sędziego z przypomnieniem o trzech Hindusach. Na początku następnego tygodnia należy zwolnić łotrzyków i pozwolić im udać się, dokąd zechcą. Jeżeli mamy do nich jeszcze jakieś pytania, to czas nagli. Moja pani podczas ostatniej rozmowy z sierżantem zapomniała o tym nadmienić, prosiła więc teraz, abym mu o liście powiedział. Przyznam się, że Hindusi wylecieli mi zupełnie z głowy (zapewne czytelnikom również), a poza tym nie widziałem celu w odgrzebywaniu tej sprawy. Mimo to oczywiście spełniłem natychmiast polecenie.

Zastałem sierżanta Cuffa i ogrodnika przy butelce whisky. Dyskutowali zajadłe o hodowli róż. Sierżant tak był pochłonięty dyskusją, że dał mi znak ręką, żebym nie przerywał. O ile się zdołałem zorientować, chodziło o to, czy białą różę omszoną powinno się szczepić na dzikiej róży, żeby dobrze rosła. Pan Begbie twierdził, że tak, sierżant Cuff, że nie. Zwrócili się do mnie o rozstrzygnięcie sporu, zaperzeni jak para smarkaczy. Nie mając pojęcia o hodowli róż, zająłem stanowisko umiarkowane, podobnie jak to czynią sędziowie królewscy, kiedy szale sprawiedliwości w sposób niezmiernie irytujący zatrzymują się na równym poziomie.

— Panowie — rzekłem — wiele da się powiedzieć na rzecz zarówno jednego, jak i drugiego zdania.

Wśród chwilowej ciszy, jaka zapadła po tym bezstronnym wyroku, położyłem na stole przed sierżantem Cuffem kartkę od mojej pani. :

Po ostatnich wydarzeniach byłem bliski nienawiści do sierżanta, poczucie prawdy każe mi jednak przyznać, że jeśli chodzi o bystrość umysłu, był on człowiekiem wręcz wyjątkowym.

W ciągu pół minuty od przeczytania kartki poszperał w pamięci, odszukał w niej sprawozdanie inspektora Seegrave'a, wybrał z niego ustęp dotyczący

Hindusów i miał już gotową odpowiedź. W sprawozdaniu inspektora figurował pewien wielki podróżnik znający dobrze Hindusów i ich język, nieprawdaż? Bardzo dobrze. Czy znam nazwisko i adres tego dżentelmena? Jeszcze lepiej. Czy zechcę wypisać je na odwrocie kartki od lady Verinder? Serdeczne dzięki. Sierżant Cuff wstąpi do owego dżentelmena, kiedy pojedzie rankiem do Frizinghall.

— Sądzi pan, że coś panu z tego przyjdzie? — zapytałem. — Inspektor Seegrave ustalił, że Hindusi są niewinni jak nowo narodzone dzieci.

— Jak dotychczas, wszystkie wnioski inspektora Seegrave'a okazały się mylne — odparł sierżant. — Warto sprawdzić jutro, czy inspektor Seegrave pomylił się także i w sprawie Hindusów.

Po tym oświadczeniu zwrócił się do pana Begbie'ego i podjął dyskusję dokładnie w tym samym punkcie, w którym ją przerwał.

— Chodzi tu przede wszystkim o sprawę gleby i pory roku, a także o cierpliwość i wytrwałość, panie ogrodniku. Możemy spojrzeć na to z innego punktu widzenia. Weźmy tę pańską białą różę omszoną.

Ale ja tymczasem zamknąłem już za sobą drzwi i nie słyszałem reszty sporu.

Na korytarzu zobaczyłem Penelopę i zapytałem, na co tu czeka.

Czekała na dzwonek swojej młodej pani, która miała ją wezwać do pakowania na jutrzejszy wyjazd. Po dalszej indagacji dowiedziałem się wreszcie, jakie powody wyjazdu podaje panna Rachel. Oświadczyła mianowicie, że nie może wytrzymać w domu i nie może znieść dłużej obecności wstrętnego policjanta pod tym samym dachem. Dowiedziawszy się przed pół godziną, że musi przełożyć odjazd na drugą po południu, wpadła w istną furję. Obecna przy tym moja pani napomniała ją surowo, a następnie (chcąc widocznie powiedzieć coś córce w sekrecie) odesłała Penelopę z pokoju. Biedna moja dziewczynka była okropnie przygnębiona niepojętą zmianą w naszym domu.

— Wszystko idzie na opak, ojczy, nic nie jest tak jak dawniej. Mam wrażenie, że zawisło nad nami jakieś straszne nieszczęście.

Ja też miałem takie uczucie, postarałem się jednak wobec córki przybrać dobrą minę. Gdyśmy tak rozmawiali, rozległ się dzwonek z pokoju panny Racheli. Penelopa pobiegła na górę, żeby zająć się pakowaniem, ja zaś poszedłem do hallu zobaczyć, co mówi barometr o zmianie pogody.

Zbliżałem się właśnie do drzwi wahadłowych prowadzących z części służbowej do hallu, gdy ktoś pchnął je gwałtownie z drugiej strony i Rosanna Spearman przebiegła obok mnie. Na twarzy jej malowało się cierpienie, jedną rękę przyciskała mocno do serca, jak gdyby tam właśnie znajdowało się siedlisko bólu.

— Co się stało, moje dziecko? — spytałem zatrzymując ją. — Czy jesteś chora?

— Na miłość boską, niech pan do mnie nie mówi — odparła i wywinąwszy się z moich rąk pobiegła w kierunku schodów służbowych. Zawołałem do kucharki (która znajdowała się nie opodal), żeby zajęła się biedną dziewczyną. Wołanie to usłyszały wszakże jeszcze dwie nieprzewidziane osoby.

Sierżant Cuff wysunął się cicho z mojego pokoju i zapytał, co się stało. „Nic” — odpowiedziałem. Jednocześnie pan Franklin uchylił drzwi wahadłowe, wezwał mnie skinieniem do hallu i zapytał, czy nie widziałem Rosanny Spearman.

— Minęła mnie przed chwilą, sir. Była mocno wzburzona i zachowywała się bardzo dziwnie.

— Obawiam się, że jestem mimowolną przyczyną jej wzburzenia. Betteredge.

— Pan, sir?!

— Nie umiem tego wytłumaczyć — rzeki pan Franklin — ale jeśli dziewczyna jest rzeczywiście zamieszana w sprawę diamentu, to mam nieodparte wrażenie, że przed dwiema minutami chciała wszystko wyznać mnie, właśnie mnie!

Gdy pan Franklin wypowiadał ostatnie słowa, zerknąłem na drzwi wahadłowe i zdawało mi się, że ktoś z tamtej strony uchylił je leciutko.

Czyżby ktoś podsłuchiwał? Drzwi zamknęły się, nim zdążyłem do nich podejść. Wyjrzałem na korytarz i znów zdawało mi się, że dostrzegłem poły czarnego surduta sierżanta znikającego za rogiem. Sierżant rozumiał doskonale, że teraz, kiedy wiem już, w jakim kierunku zmierza prowadzone przez niego dochodzenie, nie może spodziewać się ode mnie pomocy. W tych warunkach byłoby zupełnie zgodne z jego charakterem, gdyby zaczął działać na własną rękę. i to w sposób podstępny i sprzeczny z przyzwoitością.

Nie byłem pewien, czy rzeczywiście widziałem sierżanta, a nie chciałem robić zbędnego zamieszania w sytuacji, która, Bóg widzi, i tak już była dość powikłana. Powiedziałem więc panu Franklinowi, że to chyba jeden z psów dostał się do domu, po czym prosiłem go, aby mi opowiedział, co zaszło między nim a Rosanną.

— Czy przechodził pan przez hall, sir? — spytałem. — Czy spotkał ją pan przypadkowo?

Pan Franklin wskazał stół bilardowy.

— Z braku zajęcia ćwiczyłem się w karambolu — odparł chcąc zapomnieć na chwilę o tej nieszczęsnej awanturze z diamentem. Naraz podniosłem głowę i ujrzałem obok siebie Rosannę Spearman. Podeszła cicho jak widmo. Tak mnie to zaskoczyło, że z początku nie wiedziałem wprost, co mówić. Dostrzegając jednak jej niepokój, zapytałem, czy chce ze mną o czymś pomówić. Odpowiedziała: „Tak, nie wiem tylko, czy starczy mi odwagi”. Wiedząc, jakie ciąży na niej podejrzenie, mogłem nadać tym słowom jeden tylko sens. Przyznam się, że było mi nieswojo. Nie chciałem wcale zachęcać dziewczyny do zwierzeń. Jednocześnie wobec kłopotów, które nas teraz nękają, nie czułem się w prawie odmówić jej chwili rozmowy, jeżeli rzeczywiście tego pragnęła. Sytuacja była bardzo niezręczna i muszę stwierdzić, że nie wybrnąłem z niej najszcześliwiej. Powiedziałem do Rosanny: „Niezupełnie panią rozumiem. Czy chce pani, żebym coś dla niej zrobił?” Zważ, Betteredge, że nie byłem bynajmniej szorstki lub oziębły! Biedna dziewczyna nie jest winna temu, że jest taka brzydka, mówiłem sobie

w myśli. Miałem wciąż w rękę kij bilardowy i od niechcienia trącałem nim bile, żeby rozładować nastrój. Jak się okazało, pogorszyłem tylko sprawę. Musiałem, nie mając wcale tego zamiaru, śmiertelnie ją obrazić! Odwróciła się ode mnie raptownie. „Patrzy na kule bilardowe”, powiedziała. „Woli robić cokolwiek, byle nie patrzeć na mnie!” Zanim zdołałem ją zatrzymać, wybiegła z hallu. Jest mi bardzo przykro, Betteredge. Czy nie zechciałbyś wytłumaczyć Rosannie, że wcale nie miałem zamiaru być nieuprzejmy? W myślach co prawda byłem może dla niej trochę okrutny. Uważasz, miałem niemal nadzieję, że to ona skradła diament i że fakt ten będzie w końcu ustalony. Nie dlatego, bym źle biedaczce życzył, tylko...

Pan Franklin urwał, wrócił do stołu bilardowego i zaczął znów ćwiczyć się w karambolu.

Po tym, co zaszło między sierżantem a mną, wiedziałem już, czego pan Franklin nie dopowiedział.

Jedynie udowadniając kradzież diamentu naszej drugiej pokojówce, można było teraz oczyścić pannę Rachelę z hańbiących podejrzeń, jakie żywił w stosunku do niej sierżant Cuff. Nie chodziło już o ukojenie roztrzęsionych nerwów mojej panienki, chodziło o stwierdzenie jej niewinności. Gdyby Rosanna nie skompromitowała się osobliwym postępowaniem, nadzieja, do której przyznał się pan Franklin, stanowiłaby istotnie dowód okrucieństwa. Sprawa jednak wyglądała inaczej. Rosanna symulowała chorobę, a tymczasem udała się po kryjomu do Frizinghall. Czuwała przez całą noc, coś tam ukradkiem szyjąc lub też niszcząc. Ponadto była tego popołudni;) na Drżących Piaskach w okolicznościach co najmniej podejrzanych. Z tych wszystkich powodów (mimo szczerego współczucia dla Rosanny) musiałem uznać, że stosunek pana Franklina do sprawy nie jest niczym niezrozumiałym czy nieludzkim, i powiedziałem mu to.

— To wszystko prawda! zawołał w odpowiedzi. — Ale istnieje pewna możliwość, bardzo nikła, co prawda, że zachowanie Rosanny ma jakieś wytłumaczenie, którego na razie nie znamy. Nie chciałbym za nic ranić uczuć kobiety, Betteredge! Powtórz biedaczce to, o co cię prosiłem. I jeżeli chce ze mną pomówić — a nie dbam, czy będę miał z tego powodu kłopoty i przykrości — przyślij ją do biblioteki.

Z tymi szlachetnymi słowami odłożył kij bilardowy i wyszedł z hallu.

Zapytałem w sali dla służby i dowiedziałem się, że Rosanna poszła do swego pokoju. Podziękowała grzecznie, ale stanowczo za ofiarowaną jej pomoc i prosiła tylko, aby pozwolono jej odpocząć w spokoju. Tego wieczora więc nie mogło już być mowy o jakichkolwiek wyznaniach z jej strony (jeśli nawet założymy, że chciała rzeczywiście coś wyznać). Zameldowałem tedy o wyniku moich indagacji panu Franklinowi, który wobec powyższego opuścił bibliotekę i poszedł spać.

Gasilem już światła i ryglowałem okna, kiedy Samuel przyniósł mi wiadomość o gościach, których zostawiłem w swoim pokoju. Spór o białą różę omszoną skończył się wreszcie, bo ogrodnik poszedł do domu, sierżanta Cuffa zaś nigdzie na dole nie było widać.

Zajrzałem do swojego pokoju. Rzeczywiście nie dało się w nim wykryć nic prócz dwóch pustych kieliszków i zapachu gorącego grogu. Czy sierżant udał się do pokoju wyznaczonego mu na sypialnię? Poszedłem na górę, żeby to sprawdzić.

Dotarwszy na drugie piętro usłyszałem cichy, regularny oddech dobiegający z lewa. Z lewej strony miałem korytarz prowadzący do pokoju panny Racheli. Zajrzałem tam i oto na trzech krzesłach ustawionych w poprzek korytarza, w czerwonej chusteczce na szpakowatej głowie i z czarnym surdudem zwiniętym pod głową zamiast poduszki, spał sierżant Cuff!

Ledwie do niego podszedłem, obudził się jak czujny pies — natychmiast i nie wydając dźwięku.

— Dobranoc, panie Betteredge — powiedział. — I jeżeli zajmie się pan kiedykolwiek hodowlą róż, proszę pamiętać, że białej róży omszonej lepiej nie szczepić na dzikiej róży bez względu na to, co mówi ogrodnik!

— Co pan tu robi? — zapytałem. — Czemu nie śpi pan w swoim łóżku?

— Nie śpię w swoim łóżku — odparł sierżant — gdyż należę do owego liczego na tym nędznym świecie odłamu ludzi, który nie potrafi zarabiać pieniędzy uczciwie a zarazem lekko. Dziś wieczorem zaobserwowałem szczególną zbieżność godziny powrotu Rosanny z godziną, o której panna Verinder postanowiła wyjechać z domu. Nie wiem, co Rosanna ukryła tam nad zatoką, ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że panna Verinder nie mogła wyjechać, dopóki nie dowiedziała się, że to coś zostało już ukryte. Musiały one więc dziś wieczorem porozumieć się ze sobą po kryjomu. Na wypadek gdyby próbowały porozumieć się raz jeszcze, kiedy wszyscy pójdą spać, chcę temu przeszkodzić. Niech pan tedy nie ma mi za złe, że zakłócam panu porządek domowy, panie Betteredge — niech pan ma o to pretensję do diamentu.

— Chciałbym, żeby ten diament nigdy nie trafił do tego domu! — wybuchnąłem.

Sierżant Cuff spojrział ze smutkiem na trzy krzesła, na których z własnej woli miał spędzić noc.

— Ja też — powiedział z powagą.

ROZDZIAŁ XVII

Nic nie zdarzyło się tej nocy i (dodaję to z radością) czujność sierżanta nie została nagrodzona żadną próbą porozumienia między panną Rachelą a Rosanną.

Spodziewałem się, że sierżant wyruszy do Frizinghall wczesnym rankiem. Zwlekał wszakże z wyjazdem, jak gdyby miał przedtem coś jeszcze do załatwienia. Zostawiłem go tedy samego i wyszedłszy wkrótce potem do parku spotkałem pana Franklina w jego ulubionym miejscu spacerów.

Nie zdążyliśmy jeszcze zamienić dwóch słów, gdy przy nas jak spod ziemi

wyrósł sierżant. Podeszedł do pana Franklina, który przywitał go, muszę przyznać, dość oziębłe.

— Czy ma pan mi coś do powiedzenia? — zapytał tylko w odpowiedzi na uprzejme pozdrowienie sierżanta.

— Mam panu coś do powiedzenia w związku z dochodzeniem, które tu prowadzę — rzekł sierżant. — Domyślił się pan wczoraj, jaki obrót dochodzenie to przybiera. Rzecz zrozumiała, że jest pan tym wstrząśnięty i zmartwiony. Rzecz również zrozumiała, że przelewa pan na moją osobę gniew spowodowany skandalem w pańskiej rodzinie.

— Czego pan chce? — przerwał mu szorstko pan Franklin.

— Chcę przypomnieć panu, że jak dotychczas nie stwierdzono jeszcze, że się mylę. Mając to na uwadze zechce pan też łaskawie pamiętać, iż jestem tutaj oficjalnym przedstawicielem prawa i działam z upoważnienia pani domu. W tych warunkach czy nie jest obowiązkiem pana jako dobrego obywatela służyć mi wszelkimi informacjami, jakie może pan posiadać?

— Nie posiadam żadnych informacji — oświadczył pan Franklin. Sierżant Cuff puścił tę odpowiedź mimo uszu.

— Może pan oszczędzić mi czasu, który musiałbym stracić na przeprowadzenie badań w pewnej stąd odległości — ciągnął dalej — jeżeli zechce pan mnie zrozumieć i mówić ze mną szczerze.

— Nie rozumiem pana — odparł pan Franklin — i nie mam panu nic do powiedzenia.

— Jedna ze służących (nie będę wymieniał jej imienia) rozmawiała z panem poufnie wczoraj wieczorem, sir.

Pan Franklin jeszcze raz przerwał mu, stwierdzając stanowczo:

— Nie mam nic do powiedzenia.

Słuchając w milczeniu tej rozmowy pomyślałem o ruchu drzwi wahadłowych wczoraj wieczorem i o połach surduta, które mignęły mi na korytarzu. Zanim spłoszyłem sierżanta Cuffa, usłyszał on bez wątpienia dość, aby nabrać podejrzeń, że Rosanna Spearman wyznała coś panu Franklinowi Blake'owi.

Zaledwie wpadłem na tę myśl, gdy ktoś ukazał się na końcu ścieżki, jak nie Rosanna Spearman we własnej osobie! Za nią szła Penelopa, która widocznie usiłowała nakłonić ją do powrotu. Dostrzegłszy, że pan Franklin nie jest sam, Rosanna stanęła stropiona, nie wiedząc, co robić. Penelopa przystanęła za nią. Pan Franklin dostrzegł dziewczęta w tej samej chwili, co ja. Sierżant z właściwą sobie szatańską przebiegłością udał, że wcale ich nie zauważył. Zanim pan Franklin lub ja zdążyliśmy się odezwać, uprzedził nas, niby to kontynuując zaczęłą rozmowę.

— Może się pan nie lękać, że zaszkodzi pan dziewczynie — zwrócił się do pana Franklina, mówiąc głośno, aby Rosanna go słyszała. — Przeciwnie, jeżeli Rosanna Spearman choć trochę pana obchodzi, radzę panu zaszczyścić mnie swoim zaufaniem.

Pan Franklin natychmiast udał także, iż nie dostrzega dziewcząt. Odpowiedział również głośno:

— Rosanna Spearman nic mnie nie obchodzi.

Zerknąłem na koniec ścieżki. Z dzielącej nas odległości widziałem tylko, że Rosanna po słowach pana Franklina zawróciła nagle. Nie opierała się już, jak to miało miejsce przed chwilą, lecz pozwoliła mojej córce ująć się pod ramię i zaprowadzić do domu.

Gdy dziewczęta znikły, rozległ się dzwon na śniadanie i nawet sierżant Cuff musiał dać za wygraną! Powiedział mi półgłosem;

— Jadę do Frizinghall, panie Betteredge, i wrócę przed drugą. Potem odszedł uwalniając nas wreszcie od swej osoby przynajmniej na kilka godzin.

— Musisz to załagodzić — powiedział pan Franklin, gdy zostaliśmy sami. — Jakieś fatum sprawia, że wciąż popełniam nietakty w stosunku do Rosanny. Ale sam chyba widziałeś, że sierżant Cuff zastawił pułapkę na nas oboje. Gdyby udało mu się doprowadzić mnie lub ją do wybuchu, któreś z nas mogłoby powiedzieć coś, na co on tylko czekał. Przyparty do muru nie znalazłem innego wyjścia, jak to, które obrałem. Dzięki temu dziewczyna nic nie powiedziała, a sierżant zrozumiał, że przejrzałem go na wylot. Podśluchiwał widocznie, kiedy rozmawiałem z tobą wczoraj wieczorem, Betteredge.

Sierżant nie tylko podśluchiwał, pomyślałem sobie w duchu. Przebiegły ten człowiek zapamiętał sobie, co mu mówiłem o miłości Rosanny do pana Franklina, i na to właśnie liczył apelując do uczuć młodzieńca — w obecności Rosanny.

— Co do podśluchiwania, sir — powiedziałem na głos (zachowując inne spostrzeżenia dla siebie) — choroba ta zaatakuje wkrótce nas wszystkich, jeżeli cała sprawa dłużej potrwa. Szpiegowanie, podglądanie i podśluchiwanie jest naturalnym zajęciem ludzi w naszej sytuacji. Za parę dni, panie Franklinie, wszyscy zaniemówimy, bo każdy będzie się tylko starał zaskoczyć drugiego i podsłuchać jego sekrety. Daruje mi pan mój wybuch, sir. Ta potworna tajemnica, która zawisała nad naszym domem, uderza mi do głowy jak trunek i doprowadza mnie do obłędu. Nie zapomnę o tym, co mi pan polecił. Przy pierwszej sposobności wytłumaczę wszystko Rosannie.

— Nie powiedziałeś jej nic jeszcze o wczorajszym wieczorze? — spytał pan Franklin.

— Nie, sir.

— To już nic nie mów. Wolę nie zachęcać dziewczyny do wyznań, gdy sierżant Cuff czyha tylko na to, by zaskoczyć nas razem. Postępowanie moje nie jest zbyt konsekwentne, nieprawdaż, Betteredge? Nie widzę z tej sprawy żadnego wyjścia, o którym mógłbym pomyśleć bez zgrozy, chyba że diament odnajdzie się u Rosanny. A jednak nie mogę i nie chcę pomagać sierżantowi w udowodnieniu dziewczynie kradzieży.

Bez wątpienia stanowisko to nie było rozsądne. Aleja również odczuwałem podobną rozterkę i rozumiałem pana Franklina doskonale. Jeżeli państwo przypomną sobie na chwilę, że są tylko zwykłymi śmiertelnikami, może również go zrozumieją.

Sytuacja w domu i wokół domu — gdy sierżant Cuff znajdował się w drodze do Frizinghall — przedstawiała się pokrótce, jak następuje:

Panna Rachel czekała na chwilę, gdy powóz zawiezie ją do ciotki, tymczasem wszakże pozostawała uparcie w swoim pokoju. Moja pani i pan Franklin zjedli razem śniadanie. Po śniadaniu pan Franklin powziął jak zwykle nagłą decyzję i wyszedł z domu, aby ukończyć wzburzenie długą przechadzką. Tylko ja widziałem, jak wychodził. Powiedział mi, że wróci przed powrotem sierżanta. Zmiana pogody, na którą zanosilo się poprzedniego wieczora, nastąpiła. Po ulewnym deszczu zerwał się o świcie mocny wiatr. Dął on nadal, nie ustając. Chmury gromadziły się kilkakrotnie, ale deszcz jak dotychczas nie spadł. Słowem dzień był odpowiedni do długiego marszu, jeśli się było młodym, silnym i potrafiło się stawiać opór gwałtownym podmuchom wiatru od morza.

Po śniadaniu udałem się do mojej pani, aby pomóc jej w rachunkach domowych. Milady wspomniała raz o sprawie Kamienia Księżycowego, ale tylko po to, by zapobiec dalszym o nim wzmiankom.

— Poczekajmy, aż ten człowiek wróci — rzekła mając na myśli sierżanta. — Wtedy nie będziemy mogli uniknąć rozmowy na ten temat. Na razie nic nas do tego nie zmusza.

Po powrocie od mojej pani zastałem u siebie Penelopę, która na mnie czekała.

— Chciałabym, żebyś poszedł do Rosanny i pomówił z nią, ojcze — powiedziała. — Jestem o nią bardzo niespokojna.

Domyślałem się, o co chodzi. Mam jednak tę zasadę, że mężczyźni (jako istoty wyższego rzędu) winni wychowywać kobiety, ilekroć nadarzy się po temu sposobność. Kiedy kobieta chce, żebym coś zrobił (bez względu na to, czy jest to moja córka, czy też kto inny), chcę zawsze wiedzieć dlaczego. Im częściej zmusza się je do szukania w myśli jakiegoś powodu, tym łatwiejsze się stają do prowadzenia we wszystkich okolicznościach życiowych. Biedaczki nie są temu winne, że najpierw coś robią, a potem dopiero myślą; winni są głupcy, którzy im we wszystkim ustępują.

Powód podany mi tym razem przez Penelopę mogę przytoczyć tu dosłownie:

— Obawiam się, ojcze — powiedziała — że pan Franklin, nie mając tego zamiaru, zranił okrutnie uczucia Rosanny.

— Co skłoniło Rosannę do przyjścia dziś rano na ścieżkę? — zapytałem.

— Własne jej szaleństwo — odparła Penelopa. — Nie mogę tego inaczej nazwać. Uparła się, że musi za wszelką cenę pomówić z panem Franklinem. Staralam się ją powstrzymać, sam widziałeś. Gdyby udało mi się zabrać ją stamtąd, zanim usłyszała te okropne słowa..

— No, no, nie przesadzaj — powstrzymałem córkę. — Nie przypominam sobie nic, co by mogło tak znów bardzo przerazić Rosannę.

— Nic jej nie przeraziło, ale pan Franklin powiedział, że ona wcale go nie obchodzi, i w dodatku powiedział to takim okrutnym tonem!

— Powiedział tak, żeby zamknąć usta sierżantowi — odrzekłem.

— Mówiłam jej to — wyjaśniła Penelopa. — Ale widzisz, ojcze, chociaż nie można panu Franklinowi mieć tego za złe, od kilku tygodni Rosannę spotykają od niego same upokorzenia i zawody, a teraz na dobitkę takie słowa! Rosanna nie ma oczywiście prawa wymagać od niego, żeby się nią interesował. To potworne, że tak się zapomina. Ale dziewczyna zatraciła widocznie dumę, poczucie przyzwoitości, wszystko. Przeraziłam się jej twarzą, kiedy pan Franklin wypowiedział te słowa. Zdawało mi się, że Rosanna zamieniła się w kamień. Zmartwiła nagle i od tej chwili, choć pracuje, robi wszystko jak w transie.

Teraz i ja poczułem niepokój. Coś w tonie Penelopy sprawiło, że straciłem naraz poczucie własnej wyższości. Odtworzyłem w pamięci to, co zaszło między panem Franklinem a Rosanną poprzedniego wieczoru. Dziewczyna wyglądała tak, jak gdyby ją zraniono w samo serce, a teraz na domiar złego otrzymała znów bolesny cios. Smutna, bardzo smutna historia — tym smutniejsza, że nic nie usprawiedliwiło postępowania Rosanny i nie miała ona najmniejszego prawa do rozpacz.

Przyrzekłem panu Franklinowi, że pomówię z Rosanną, i chwila wydawała się do tego najodpowiedniejsza.

Zastaliśmy dziewczynę przy zmiataniu korytarza na pierwszym piętrze. Była blada, ale opanowana, i wyglądała jak zwykle bardzo schludnie w swej perkalikowej sukience. Oczy jej, znużone i bez blasku, nie wyglądały tak, jak gdyby płakała, lecz jak gdyby za długo wpatrywała się w coś z natężeniem. Być może był to jakiś mglisty obraz, który sama stworzyła sobie w myśli. Bez wątpienia bowiem nie miała wokół siebie żadnego obiektu, którego nie oglądałaby już setki i tysiące razy.

— Głowa do góry, Rosanno! — powiedziałem. — Nie powinnaś zamartwiać się przez jakieś urojone historie. Mam ci coś do powiedzenia od pana Franklina.

Przedstawiłem jej sprawę we właściwym świetle, używając najżyczliwszego tonu i starając się ją pocieszyć. Gdy chodzi o słabą pleć, zasady mam, jak mogli państwo zauważyć, bardzo surowe. Czasem jednak, kiedy stykam się z kobietami oko w oko, postępowanie moje — przynaję — odbiega nieco od zasad.

— Pan Franklin jest bardzo dobry i troskliwy. Zechce mu pan łaskawie podziękować.

Oto była cała odpowiedź Rosanny.

Penelopa zauważyła już, że Rosanna pełni swoje obowiązki jakby w transie. Ja dodałem teraz do tego nową obserwację: że słucha i mówi również jak w transie. Nie byłem pewien, czy zrozumiała dobrze moje słowa.

— Czy mnie na pewno rozumiesz, Rosanno? — spytałem.

— Na pewno.

Powtórzyła to nie jak żywa kobieta, lecz jak istota poruszana jakąś maszyną. Ruchem jak najłagodniejszym odebrałem jej z rąk szczotkę do zmiatania.

— No, no, daj pokój, dziewczyno! — rzekłem. — To wcale do ciebie

niepodobne. Widzę, że coś cię gnębi. Jestem twoim przyjacielem i zostanę nadal twoim przyjacielem, nawet jeżeliś zrobiła coś niewłaściwego. Wyznaj wszystko, Rosanno, wyznaj wszystko!

Dawniej, gdybym przemówił do niej takim tonem, tyzby napłynęłyby jej do oczu. Teraz jednak nie dostrzegłem w nich żadnej zmiany.

— Dobrze — powiedziała — wyznam wszystko.

— Lady Verinder? — zapytałem.

— Nie.

— Panu Franklinowi?

— Tak, panu Franklinowi.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. W tym stanie ducha dziewczyna nie zrozumiałaby ostrzeżenia przed rozmową na osobności, którego pan Franklin polecił mi jej udzielić. Bardzo więc ostrożnie, dbając o to, by jej nie urazić, wyjaśniłem tylko, że pan Franklin poszedł na przechadzkę.

— To nie ma znaczenia — odparła. — Nie będę dzisiaj niepokoiła pana Franklina.

— Czemu nie pójdziesz do milady? — zapytałem. — Odzyskasz spokój, gdy pomówisz z mądrą i wyrozumiałą panią, która zawsze jest dla ciebie taka dobra.

Rosanna patrzyła na mnie przez chwilę z wielką uwagą, jak gdyby chciała utrwalić moje słowa w pamięci. Potem wyjęła mi szczotkę z ręki i poszła z nią powoli korytarzem.

— Nie — powiedziała półgłosem, zabierając się znów do zamykania. — Znam lepszy sposób na to, by odzyskać spokój.

— Mianowicie?

— Proszę, niech mi pan pozwoli skończyć pracę. Penelopa zaproponowała, że jej pomoże.

— Nie — odparła Rosanna. — Chcę zrobić, co do mnie należy. Dziękuję ci Penelopo. — Potem obejrzała się na mnie. — Dziękuję panu, panie Betteredge.

Nie sposób było na nią wpłynąć i nie pozostawało nic więcej do powiedzenia. Dałem znak Penelopie, żeby poszła ze mną. Zostawiliśmy Rosannę tak, jak ją zastaliśmy — zamykała korytarz niby w transie.

— To sprawa dla doktora — powiedziałem. — Ja tu nic nie poradzę.

Penelopa przypomniała mi, że pan Candy jest jeszcze chory po przeziębieniu, którego nabawił się (jak państwo pamiętają) w wieczór przyjęcia urodzinowego. Jego pomocnik, niejaki pan Ezra Jennings, był oczywiście do dyspozycji, ale w naszych stronach nikt go dobrze nie znał. Doktor Candy zaangażował go w dość osobliwych okolicznościach i — słusznie czy niesłusznie — nie lubiliśmy go i nadarzyliśmy zaufaniem. We Frizinghall byli także inni lekarze, ale żadnego z nich nie wzywano jeszcze nigdy do naszego domu, a zdaniem Penelopy w obecnym stanie Rosanny obcy lekarz mógł jej raczej zaszkodzić niż pomóc.

Chciałem w pierwszej chwili udać się do mojej pani. Przypomniawszy sobie jednak, jaki ciężar trosk dźwiga ona już na swoich barkach, zawahałem

się, czy wolno mi powiększać go o to nowe zmartwienie. Należało wszakże koniecznie coś przedsięwziąć. Stan dziewczyny był, według mnie, wręcz groźny i moją panią trzeba było o tym zawiadomić. Mimo oporów tedy poszedłem do salonu. Nie zastałem tam nikogo. Moja pani była u panny Racheli. Nie pozostawało mi nic innego jak czekać, aż stamtąd wyjdzie.

Czekałem na próżno, dopóki zegar na frontowych schodach nie wybił trzech kwadransów na drugą. Po upływie pięciu minut usłyszałem, że ktoś zajechał przed dom i woła mnie po imieniu. Poznałem od razu ten głos. Sierżant Cuff powrócił z Frizinghall.

ROZDZIAŁ XVIII

Zszedłszy na dół do drzwi frontowych spotkałem sierżanta na stopniach.

Po tym, co między nami zaszło, pragnąłem nie dać po sobie poznać, że interesuje mnie wynik jego wyprawy. Mimo największych wysiłków wszakże nie zdołałem stłumić zaciekawienia. Poczucie własnej godności opuściło mnie nagle, a z ust wybiegły słowa:

— Jakie nowiny przywozi pan z Frizinghall?

— Widziałem Hindusów — odpowiedział sierżant Cuff. — I wiem już, co Rosanna kupiła we czwartek. Hindusi będą wolni w najbliższą środę. Ani dla mnie, ani dla pana Murthwaite'a nie ulega wątpliwości, że przybyli oni tutaj, żeby skraść Kamień Księżycowy. Ale to, co zdarzyło się tu w środę w nocy, pokrzyżowało im plany i mają nie więcej wspólnego z zaginięciem klejnotu aniżeli pan. Mogę panu wszakże powiedzieć jedno, panie Betteredge: jeżeli my nie znajdziemy Kamienia Księżycowego, oni znajdą go na pewno. Usłyszymy jeszcze o tych trzech kuglarzach.

W chwili gdy sierżant wypowiadał te słowa, nadszedł pan Franklin, który wrócił właśnie ze spaceru. Panując nad ciekawością lepiej niż ja, minął nas bez słowa i wszedł do domu.

Co do mnie, to zrezygnowawszy z godności osobistej, postanowiłem przynajmniej wyciągnąć z tej rezygnacji wszystkie możliwe korzyści.

— Tyle o Hindusach — powiedziałem. — A co z Rosanną? Sierżant Cuff potrząsnął głową.

— Mrok tajemnicy, która ją otacza, jest gęstszy niż kiedykolwiek — rzekł. — Ustaliłem, że Rosanna odwiedziła sklep z materiałami należący do niejakiego pana Maltby. Nie kupiła nic w żadnym innym sklepie, u pana Maltby zaś nabyła tylko kawał płótna. Szukała pewnego określonego gatunku. Co do ilości, kupiła dość płótna, aby uszyć nocną koszulę.

— Dla kogo?

— Dla siebie, rozumie się. We czwartek nad ranem, między dwunastą a trzecią, kiedy reszta domowników leżała w łóżkach, Rosanna musiała zakraść się do pokoju panny Verinder, żeby zabrać Kamień Księżycowy. Wracając do swego pokoju, starła koszulą świeżą farbę na drzwiach. Nie mogła usunąć plamy, nie mogła też zniszczyć koszuli, zanim nie zro-

biła drugiej takiej samej, żeby w jej inwentarzu bielizny nic nie brakowało.

— Skąd pan wie, że to była koszula nocna Rosanny? — zaoponowałem.

— Wnoszę z materiału, który kupiła — odparł sierżant. — Gdyby chodziło

O koszulę nocną panny Verinder, Rosanna musiałaby kupić koronki, wstążki

I Bóg wie co jeszcze. Poza tym nie zdążyłaby uszyć jej przez jedną noc. Zwykle płótno świadczy o tym, że chodziło o skromną koszulę służącej. Nie, nie, panie Betteredge, ta sprawa jest zupełnie jasna. Sęk w tym, dlaczego po uszyciu zastępczej koszuli nie zniszczyła tej splamionej, lecz ją ukryła? Jeżeli dziewczyna nie powie prawdy, pozostaje jeden tylko sposób uzyskania odpowiedzi na to *pytanie*. Trzeba będzie odnaleźć schowek na Drżących Piaskach i zbadać jego zawartość.

— Jak pan tam trafi?

— Przykro mi, że sprawiam panu zawód — rzekł sierżant — ale jest to sekret, który mam zamiar zachować dla siebie.

(Żeby nie drażnić ciekawości państwa tak, jak sierżant podrażnił moją, mogę od razu wyjaśnić, że przywiózł on z Frizinghall nakaz rewizji. Na podstawie wieloletniego doświadczenia przypuszczał, że Rosanna ma zapewne przy sobie kartkę, na której wynotowała znaki rozpoznawcze kryjówek, aby móc odnaleźć ją nawet po upływie długiego czasu i w zmienionych okolicznościach. Zdobywszy tę notatkę sierżant miałby wszystko,

O co mu chodziło).

— A teraz, panie Betteredge — ciągnął dalej sierżant Cuff — porzućmy czcze domysły i przystąpmy do rzeczy. Powiedziałem Joyce'owi, żeby miał Rosannę na oku. Gdzie jest Joyce?

Joyce był to policjant z Frizinghall, którego inspektor Seegrave zostawił do dyspozycji sierżanta Cuffa. Gdy sierżant zadał to pytanie, zegar wybił drugą i powóz, punktualnie co do minuty, zajechał, aby zawieźć pannę Rachelę do ciotki.

— Nie wszystko naraz — powstrzymał mnie sierżant, chciałem bowiem posłać po Joyce'a. — Muszę najpierw zająć się panną Verinder.

Ponieważ wciąż zanosilo się na deszcz, panna Rachelę miała jechać do Frizinghall zamkniętym powozem. Sierżant Cuff skinął na Samuela, żeby zszedł ze swej ławeczki z tyłu powozu.

— Po tej stronie bramy, przy domku odzwiernego, będzie czekał wśród drzew pewien mój przyjaciel — rzekł. — Nie zatrzymując powozu wskoczy on na stopień i usiądzie obok pana. Ma pan tylko trzymać język za zębami

I przymknąć na wszystko oczy. W przeciwnym razie będzie pan miał poważne przykrości.

Z tymi słowy odesłał lokaja z powrotem na jego miejsce. Co sobie pomyślał Samuel, tego nie wiem. Dla mnie jasne było, że panna Rachelę ma być śledzona od chwili wyjazdu z domu, jeżeli w ogóle z niego wyjedzie. Moja panienska pod obserwacją policji! Szpieg na ławeczce powozu należącego do jej rodzonej matki! Gotów byłem uciąć sobie język za to, że mogłem się tak dalece zapomnieć, aby rozmawiać z sierżantem Cuffem.

Pierwsza wyszła z domu moja pani. Stała z boku na najwyższym stopniu, żeby patrzeć, co się będzie działo. Nie odezwała się słowem ani do sierżanta, ani do mnie. Z zaciśniętymi wargami, z rękami złożonymi pod lekką peleryną ogrodową, którą zarzuciła wychodząc na powietrze, stała nieruchoma jak posąg, czekając na ukazanie się córki.

Po chwili na dół zeszła panna Rachela w bardzo ładnej sukni z miękkiego, żółtego materiału, który stanowił korzystne tło dla jej ciemnej cery. Na głowie miała elegancki kapelusik słomkowy z białą woalką. Liliowe rękawiczki pasowały do smukłych rączek jak druga skóra. Piękne czarne włosy połyskiwały pod kapeluszem. Małe uszki przypominały różowe muszelki, a z każdego zwisała pojedyncza perła. Panna Rachela podeszła do nas szybko, prosta jak lilia na łądździe, a przy tym lekka i zwinna w ruchu jak młoda kotka. W twarzy jej nie dostrzegłem zmian poza oczami i ustami. Oczy były bardziej błyszczące i spoglądały gniewniej, niżbym sobie życzył, usta zaś tak doszczętnie straciły barwę i choćby pozór uśmiechu, że je ledwie poznałem. Pośpiesznie i porywczo ucałowała matkę w policzek.

— Postaraj się mi przebaczyć, mamó — powiedziała, a potem ściągnęła woalkę na twarz ruchem tak gwałtownym, że ją rozdarła.

Następnie zbiegła po stopniach i wsiadła szybko do powozu, jak gdyby to była upragniona kryjówka.

Sierżant Cuff był równie prędki. Odsunął Samuela i przytrzymując ręką otwarte drzwi stanął przed panną Rachelą w tej samej chwili, gdy usadowiła się na siedzeniu.

— Czego pan chce? — zapytała panna Rachela spod woalki.

— Chcę, zanim pani pojedzie, powiedzieć jedno słowo — odparł sierżant. — Nie śmiem powstrzymać pani od złożenia wizyty ciotce. Mogę tylko stwierdzić, że wyjazd pani w obecnej sytuacji przeszkodzi mi poważnie w odzyskaniu pani diamentu. Proszę, aby pani to zrozumiała i zdecydowała sama, czy ma jechać, czy też zostać.

Panna Rachela nie raczyła nawet odpowiedzieć.

— Ruszaj, James! — zawołała do stangreta.

Sierżant bez słowa zamknął drzwiczki powozu. W tej chwili ze schodów zbiegł w pośpiechu pan Franklin.

— Do widzenia, Rachelo — powiedział wyciągając do niej rękę.

— Ruszaj! — zawołała panna Rachela jeszcze głośniejszym głosem, nie zwracając uwagi na pana Franklina, podobnie jak przedtem na sierżanta.

Pan Franklin cofnął się jak gromem rażony, w czym nie było nic dziwnego. Stangret, nie wiedząc, co robić, spojrzął na moją panią stojącą wciąż nieruchomo na górnym stopniu. Na twarzy jej gniew zmagął się z bólem i wstydem. Dała stangretowi znak, by ruszył, po czym odwróciła się i poszła szybko do domu. Pan Franklin odzyskując mowę zawołał za nią, gdy powóz odjeżdżał:

— Miała ciocia zupełną słuszność! Dziękuję cioci stokrotnie za jej dobroć i proszę pozwolić mi stąd wyjechać.

Moja pani odwróciła się, jak gdyby chcąc coś odpowiedzieć. Potem, nie ufając sobie widocznie, skinęła tylko ręką.

— Wstąp do mnie przed odjazdem, Franklinie — rzekła stłumionym głosem i poszła do swego pokoju.

— Wyświadczyć mi ostatnią przysługę, Betteredge — zwrócił się do mnie pan Franklin ze łzami w oczach. — Wypraw mnie na stację możliwie jak najprędzej.

On również udał się do domu. Panna Rachelę odebrała mu na chwilę wszelki hart ducha. Osądźcie państwo sami, jak bardzo musiał ją kochać!

Przed domem zostaliśmy tylko we dwóch z sierżantem. Sierżant stał wpatrując się w prześwit między drzewami. Widać było przezeń zakręt drogi wiodącej ku bramie. Ręce trzymał w kieszeniach i pogwizdywał cicho „Ostatnią różę lata”.

— Na wszystko jest swój czas — powiedziałem dość gwałtownie. — Teraz nie czas na gwizdanie.

W tej chwili na wspomnianym zakręcie ukazał się powóz zbliżający się do bramy. Na ławeczce z tyłu, obok Samuela, widać było wyraźnie jeszcze jakiegoś mężczyznę.

— W porządku — mruknął sierżant, po czym zwrócił się do mnie: — Nie czas teraz na gwizdanie, jak pan powiada, panie Betteredge. Czas przystąpić do rzeczy, nikogo nie oszczędzając. Zaczniemy od Rosanny Spearman. Gdzie jest Joyce?

Zawołaliśmy obaj na Joyce'a, lecz nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Pchnąłem jednego z chłopców stajennych, żeby go poszukał.

— Słyszał pan, co powiedziałem panie Verinder? — spytał sierżant. — I widział pan, jak to przyjęła? Powiedziałem wyraźnie, że wyjazd jej przeszkodzi mi w odzyskaniu diamentu — a ona mimo to wyjeżdża! Pańska ukochana panienska ma w powozie towarzysza podróży — a imię jego Kamień Księżycowy.

Nie odpowiedziałem nic. Trzymałem się tylko kurczowo swej wiary w pannę Rachelę.

Chłopiec stajenny wrócił w towarzystwie Joyce'a, który, jak mi się zdawało, szedł z nim bardzo niechętnie.

— Gdzie jest Rosanna Spearman? — spytał sierżant Cuff,

— Nie umiem powiedzieć, sir — zaczął Joyce — i jest mi ogromnie przykro. Ale tak się jakoś złożyło...

— Przed wyjazdem do Frizinghall — przerwał mu sierżant — poleciłem panu mieć na oku Rosannę Spearman, tak jednak, by się nie zorientowała, że ją ktoś obserwuje. Czy chce mi pan powiedzieć, że pozwolił jej pan się wymknąć?

— Obawiam się, sir — odparł Joyce drżąc na całym ciele — że nazbyt może dbałem o to, żeby Rosanna Spearman mnie nie zauważyła. W dolnej części tego domu tyle jest korytarzy i przejść...

— Jak dawno stracił ją pan z oczu?

— Blisko godzinę temu, sir.

— Może pan wrócić do swoich zwykłych obowiązków we Frizinghall — rzekł spokojnie sierżant zwykłym swym cichym, monotonnym głosem.— Nie sędzę, aby talenty pańskie biegły w tym kierunku, jakiego nam potrzeba, panie Joyce. Pańskie obecne funkcje są dla pana nieco zbyt skomplikowane. Żegnam.

Policjant odszedł jak zmyty. Trudno mi bardzo opisać, jak podziałała na mnie wiadomość o zniknięciu Rosanny. Sto różnych myśli przebiegało mi naraz przez głowę. Stałem więc gapiąc się na sierżanta Cuffa, niezdolny wymówić słowa.

— Nie, panie Betteredge — rzekł sierżant takim tonem, jak gdyby wykrył moją naczelną myśl i chciał odpowiedzieć na nią przed innymi. — Pańska młoda przyjaciółka nie wymknie mi się tak łatwo, jak się panu zdaje. Dopóki wiem, gdzie jest panna Verinder, dopóty rozporządzam środkami, które, pozwolą mi wytropić jej współpraczkę. Dziś w nocy nie dopuściłem do tego, by się porozumiały. Pięknie. Teraz więc spotkają się we Frizinghall zamiast tutaj. Wobec tego należy po prostu przenieść stąd dochodzenie (nieco wcześniej, niż przypuszczałem) do domu, w którym przebywa panna Verinder. Tymczasem zaś muszę niestety prosić pana, aby znów zgromadził całą służbę.

Poszedłem razem z nim do jadalni dla służby. Rzecz to haniebna, niemniej jednak prawdziwa, że gdy sierżant wypowiedział ostatnie słowa, znów dostałem napadu gorączki detektywistycznej. Zapomniałem nawet o nienawiści do sierżanta. Chwyciłem go konfidencjonalnie za ramię.

— Na litość boską, niechże mi pan powie, co pan chce zrobić teraz ze służbą?

Sierżant Cuff stanął jak wryty i z wyrazem melancholijnego zachwyty zwrócił się w przestrzeń.

— Gdyby ten człowiek — rzekł, mając widocznie mnie na myśli — znał się jeszcze na hodowli róż, byłby najbardziejjiskończoną doskonałością na kuli ziemskiej. — Dawszy w ten sposób wyraz swym uczuciom, westchnął i ujął mnie pod ramię. — Oto jak się przedstawia sprawa — powiedział wracając znów do rzeczy. — Rosanna musiała obrać jedną z dwóch dróg: albo pojechała prosto do Frizinghall (aby znaleźć się tam przede mną), albo też poszła najpierw zajrzeć do swojej skrytki na Drżących Piaskach. Przede wszystkim więc trzeba się dowiedzieć, kto ze służby widział ją ostatni, zanim wyszła z domu.

Po przeprowadzeniu indagacji na ten temat okazało się, że ostatnią osobą, która widziała Rosannę, była Nancy, pomywaczka.

Nancy widziała, jak Rosanna wymknęła się z domu z listem w rękę i zatrzymała masarza, który przywiózł właśnie jakieś mięso pod drzwi kuchenne. Nancy słyszała, że Rosanna prosiła masarza, aby po powrocie do Frizinghall nadał jej list na pocztę. Masarz spojrział na adres i powiedział, że list pójdzie bardzo okólną drogą — do Cobb s Hole przez Frizinghall — a na dobitkę dotrze do celu nie wcześniej niż w poniedziałek, bo jest akurat sobota. Rosanna odparła, że to nie ma znaczenia, chciałaby tylko mieć

pewność, że masarz spełni jej prośbę. Masarz przyrzekł jej to i odjechał, Nancy zaś odwołano z powrotem do kuchni. Nikt inny nie widział już więcej Rosanny Spearman. — Cóż? — spytałem sierżanta, kiedy znów zostaliśmy sami.

— Cóż — powiedział sierżant — muszę jechać do Frizinghall.

— W sprawie listu, sir?

— Tak. List zawiera notatkę dotyczącą kryjówki. Muszę zobaczyć na poczcie adres. Jeżeli jest to ten adres, co przypuszczam, w poniedziałek złożę znów wizytę naszej przyjaciółce, pani Yolland.

Poszedłem z sierżantem do stajni zamówić bryczkę. Tymczasem stajenni niespodzianie rzucili nowe światło na zniknięcie Rosanny.

ROZDZIAŁ XIX

Jak się okazało, wiadomość o zniknięciu Rosanny rozeszła się błyskawicznie wśród służby dworskiej. Stajenni również zainteresowali się sprawą i właśnie trafili na małego, sprytnego urwisa zwanego Okpisz, którego zatrudniano niekiedy przy pielieniu ogrodu, a który widział Rosannę Spearman zaledwie przed półgodziną. Okpisz zapewniał, że dziewczyna minęła go w zagajniku jodłowym, nie idąc, lecz biegnąc w kierunku wybrzeża.

— Czy ten chłopiec zna tutejsze wybrzeże? — zapytał sierżant Cuff.

— Urodził się na nim i wychował — odrzekłem.

— Chłopcze — zwrócił się sierżant do Okpisza — czy chcesz zarobić szylinga? Jeżeli tak, to chodź ze mną. Panie Betteredge, niech pan trzyma bryczkę w pogotowiu, dopóki nie wrócę.

Ruszył ku Drżącym Piaskom w tempie, któremu moje nogi (choć jak na mój wiek wcale nieźle działające) nie miały nadziei sprostać. Okpisz — jak to zwykle male dzikusy w naszych stronach, kiedy im wesoło — wrzasnął z radości i pobiegł kłusa za sierżantem.

I znowu niepodobieństwem jest opisać dokładnie stan mego ducha po odejściu sierżanta. Ogarnął mnie dziwny, oszalamiający niepokój. Robiłem dziesiątki jakichś niepotrzebnych zgół rzeczy w domu i poza domem, choć żadnej z nich nie mogę sobie przypomnieć. Nie wiem nawet, ile czasu minęło od chwili odejścia sierżanta, kiedy Okpisz przybiegł do mnie z poleceniem. Sierżant Cuff dał chłopcu kartkę wyrwaną z notesu, na której napisał ołówkiem: „Niech pan przyśle mi jeden z bucików Rosanny, i to szybko”.

Pchnąłem pierwszą napotkaną służącą do pokoju Rosanny i odesłałem chłopca mówiąc, że sam zaraz przyjdę na Piaski z bucikiem.

Nie był to najszybszy sposób wykonania otrzymanych instrukcji i zdaję sobie z tego sprawę. Postanowiłem wszakże przekonać się na własne oczy, co to za nowa zagadka, a potem dopiero powierzyć sierżantowi bucik Rosanny. W ostatniej bowiem chwili poczułem znowu, że powinienem bronić przed nim dziewczynę. Uczucie to (nie mówiąc już o gorączce detektywistycznej) kazało mi natychmiast po otrzymaniu bucika wyruszyć na

Piaski w tempie o tyle zbliżonym do biegu, o ile może się na to zdobyć człowiek mający siedem krzyżyków na karku.

Zbliżałem się już do brzegu, gdy na niebie zebrały się czarne chmury i lunął deszcz. Gwałtowny wiatr pędził przed sobą wielkie, białe płachty płynącej z nieba wody. Usłyszałem loskot morza przy wejściu do zatoki. Nieco dalej minąłem Okpisza skulonego pod osłoną piaszczystych wzgórz. Potem ujrzałem rozszalałe morze, wielkie bałwany, które rozbijały się o brzeg, ścianę deszczu chwiejącą się nad powierzchnią wód, żółte pustkowie plaży, a na nim samotną czarną postać sierżanta Cuffa.

Na mój widok wskazał ręką na północ.

— Niech pan się trzyma tamtej strony! - krzyknął. — I niech pan tu do mnie przyjdzie!

Dobrnąłem do niego, z trudem chwytając oddech. Serce waliło mi, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Nie mogłem wymówić słowa. Miałem do niego setki pytań, lecz żadne nie chciało mi przejść przez usta. Twarz sierżanta napełniła mnie przerażeniem — z jego oczu wyczierała zgroza. Wyrwał mi bucik z ręki i przyłożył go do śladu na piasku, skierowanego na południe od nas, a wskazującego prosto na występ skalny, zwany Południowym Cyplem. Deszcz nie zdążył jeszcze zmyć śladu i bucik Rosanny pasował do niego idealnie.

Sierżant bez słowa wskazał na bucik i na ślad.

Chwyciłem go za ramię i chciałem coś powiedzieć, ale głos odmówił mi posłuszeństwa jak przedtem. Sierżant ruszył naprzód, idąc w dół za śladami aż do miejsca, gdzie kończył się piasek i zaczynał skalisty brzeg. Przyplływ dosięgnął już Południowego Cypla, fale jburzyły się nad niewidoczną powierzchnią Drżących Piasków. To tu, to ówdzie, w upartym milczeniu ciężkim jak ołów, z zawziętą, budzącą grozę cierpliwością sierżant Cuff przykładał bucik do śladów i stwierdzał niezmiennie, że wskazują one wciąż w tym samym kierunku ku skałom. Mimo wysiłków nie zdołał znaleźć ani jednego śladu wskazującego w kierunku przeciwnym.

Wreszcie dał za wygraną. Spojrzał znów na mnie, potem na fale przed nami, wznoszące się coraz wyżej nad niewidoczną powierzchnią Drżących Piasków. Spojrzałem tam, gdzie on patrzył — i wyczytałem z jego twarzy, co myśli. Chwyciło mnie naraz potworne, obezwładniające drżenie. Nogi ugięły się pod mną i padłem na kolana.

— Wróciła do swej skrytki — mruknął sierżant do siebie. - Jakiś tragiczny wypadek musiał spotkać ją na skałach.

Zmieniona twarz Rosanny, jej słowa i zachowanie, martwota, z jaką słuchała mnie i mówiła do mnie, kiedy zaledwie przed kilkoma godzinami zastałem ją przy sprzątaniu korytarza — wszystko to stanęło mi przed oczyma, zadając kłam domysłom sierżanta. Chciałem powiedzieć mu o lęku, który przeszył mnie mrozem aż do szpiku kości. Chciałem zawołać: „Sierżancie, to nie wypadek, Rosanna sama szukała śmierci!” Ale nie mogłem dobrać z siebie głosu — obezwładniające drżenie odebrało mi mowę. Nie czułem ulewnego deszczu. Nie widziałem narastającego przyplwywu. Nieszczęsna

istota stała mi przed oczami niby senne widziadło. Ujrzałem ją znowu, jak owego ranka, kiedy przyszedłem po nią tutaj, żeby ją zabrać do domu. Usłyszałem znów jej głos mówiący, że Drżące Piaski przyciągają ją z nieodpartą siłą i że kto wie, czy tu właśnie nie czeka na nią grób. W jakiś niewytłumaczony sposób myśl o własnym dziecku uwydatniła mi całą potworność sprawy. Moja córka była dokładnie w wieku Rosanny. Być może wystawiona na takie próby, na jakie wystawiona była Rosanna, pędziłaby równie nędzne życie i zmarłaby taką samą śmiercią.

Sierżant podniósł mnie troskliwie i obrócił plecami do miejsca, w którym zginęła Rosanna.

Poczułem pewną ulgę, zacząłem równiej oddychać i widzieć otaczający mnie świat taki, jaki był rzeczywiście. Spojrzałem w kierunku wzgórz i zobaczyłem parobków dworskich i rybaka Yollanda. Wszyscy oni biegli ku nam zaniepokojeni, z daleka już pytając, czy dziewczyna się znalazła. Sierżant pokazał im ślady i wyjaśnił w najkrótszych słowach, że musiało ją spotkać nieszczęście. Potem odciągnął na bok rybaka i zwracając się znów twarzą do morza zadał mu następujące pytanie:

— Niech mi pan powie, czy jakaś łódź mogła zabrać ją z występu skalnego, przy którym urywają się jej ślady?

Rybak wskazał bałwany rozbijające się o piaszczysty brzeg i spienione grzywacze walące z łoskotem w skalne cyple po obu stronach wejścia do zatoki.

— Nie zbudowano jeszcze łodzi, która by się przedostała przez tę zaporę — rzekł.

Sierżant Cuff po raz ostatni ogarnął spojrzeniem ślady na piasku, rozplywające się szybko pod strugami deszczu.

— Ślady dowodzą, że nie mogła opuścić tego miejsca drogą lądową — powiedział. — Pan zaś twierdzi, że nie mogła wydostać się stąd drogą morską. — Urwał i zastanawiał się chwilę. — Na pół godziny, zanim wyruszyłem tu z domu, widziano, jak biegła w tym kierunku — zwrócił się do Yollanda. — Od tej chwili upłynął już pewien czas. Powiedzmy, że ogółem biorąc było to godzinę temu. Jak wysoko mogła o tej porze sięgnąć woda po tej stronie skał? — Wskazał stronę południową, czyli tę, gdzie nie było ruchomych piasków.

— Przyływ zaczął się niedawno — odparł rybak — więc przed godziną woda byłaby jeszcze tak nisko, że kota by nie utopił po tej stronie cypla.

Sierżant Cuff zwrócił się na północ, ku ruchomym piaskom.

— A po tamtej? — zapytał.

— Jeszcze niżej. Fale omywałyby dopiero Drżące Piaski.

Sierżant obrócił się do mnie i powiedział, że wypadek musiał się zdarzyć po stronie ruchomych piasków. Wówczas odzyskałem wreszcie mowę.

— To nie był wypadek! — zawołałem. — Przyszła znużona życiem, aby je tu zakończyć.

Sierżant drgnął i cofnął się o krok.

— Skąd pan wie? — zapytał.

Reszta obecnych stłoczyła się natychmiast wokół mnie. Sierżant szybko odzyskał równowagę. Odsunął ode mnie parobków, powiedział im, że jestem starym człowiekiem i straszne odkrycie mną wstrząsnęło; prosił, żeby zostawili mnie na chwilę w spokoju. Potem spytał Yollanda:

— Czy istnieje jakaś możliwość, że znajdziemy ją, kiedy zacznie się odpływ?

— Nie ma najmniejszej możliwości — odrzekł Yolland. — Piaski nigdy nic nie zwracają.

Powiedziawszy to, rybak postąpił krok naprzód i zwrócił się do mnie:

— Panie Betteredge, chcę panu coś powiedzieć o śmierci dziewczyny. Wzdłuż tej strony cypla, o pół sążnia w głąb pod piaskiem biegnie półka skalna szerokości czterech stóp. Czemuż Rosanna nie trafiła na nią, pytam? Gdyby ześliznęła się przypadkiem z cypla, zatrzymałaby się na tej półce zanurzona najwyżej po pas. Nie. Rosanna musiała wydostać się w bród albo skoczyć na głębinę — bobyśmy jej w tej chwili nie szukali. Nie, to nie był wypadek, sir! Drżące Piaski pochłoneły ją i stało się to z jej woli.

Po tym oświadczeniu człowieka, na którego znajomości rzeczy można było polegać, sierżant nie odezwał się już słowem. Reszta zebranych również milczała. Po chwili jak na komendę ruszyliśmy wszyscy w górę po pochyłości plaży.

Przy piaszczystych wzgórzach spotkaliśmy chłopca stajennego, który biegł do nas od *strony domu*. Dobry to chłopak i bardzo mnie szanuje. Podał mi niewielki arkusik papieru, a na uczciwej jego twarzy malował się szczerzy żal.

— Penelopa kazała zanieść panu ten list — powiedział. — Znalazła go w pokoju Rosanny.

Było to ostatnie pożegnanie Rosanny ze starym człowiekiem, który robił, co mógł — dzięki Bogu, zawsze robił, co mógł — żeby okazać jej życzliwość. *Panie Betteredge, dotychczas często mi pan przebacza/. Kiedy następnym razem zobaczy pan Drżące Piaski, niech się pan postara przebaczyć mi jeszcze raz. Znajdę śmierć tam, gdzie od dawna czekał na mnie grób. Żyłam i umieram, sir, wdzięczna za pańską dobroć.* To było wszystko. Ale kiedy przeczytałem te krótkie słowa, opuściły mnie resztki męstwa. Łzy przychodzą łatwo, kiedy jesteśmy młodzi i zaczynamy poznawać świat. Łzy przychodzą łatwo, kiedy jesteśmy starzy i mamy się wkrótce z tym światem rozstać. Wybuchnąłem niepohamowanym łkaniem.

Sierżant Cuff, wiedziony bez wątpienia współczuciem, zrobił ku mnie krok. Cofnąłem się przed nim gwałtownie.

— Niech mnie pan nie dotyka — powiedziałem. — To strach przed panem doprowadził ją do tego.

— Myli się pan, panie Betteredge — odparł cicho sierżant. — Ale dość będzie czasu porozmawiać o tym w domu.

Podążyłem za resztą mężczyzn wspierając się na ramieniu chłopca stajennego. Szliśmy pod ulewnym deszczem ku troskom i nieszczęściom, które czekały na nas w domu.

ROZDZIAŁ XX

Ci, co szli przed nami, rozgłosili już okropną nowinę. Zastaliśmy służbę w panice. Gdy mijaliśmy drzwi pokoju mojej pani, otworzyły się one, pchnięte gwałtownie od wewnątrz. Wyszła z nich moja pani (w towarzystwie pana Franklina, który daremnie starał się ją uspokoić), do ostatecznych granic wzburzona tym, co się zdarzyło.

— Pan za to odpowiada! — wybuchnęła grożąc sierżantowi ręką. — Gabrielu! Zapłać temu nędznikowi i uwolnij mnie od jego widoku!

Spośród nas wszystkich jedynie sierżant mógł stawić czoło podnieconej lady Verinder, gdyż tylko on zachował opanowanie.

— Jestem odpowiedzialny za to straszne nieszczęście nie bardziej niż pani, milady — odrzekł. — Jeżeli za pół godziny będzie pani jeszcze obstawała przy moim odjeździe, przyjmę dymisję, ale nie wezmę pieniędzy.

Powiedziane to było tonem pełnym szacunku, lecz zarazem bardzo stanowczym, który podziałał natychmiast zarówno na moją panią, jak i na mnie. Lady Verinder pozwoliła panu Franklinowi odprowadzić się z powrotem do pokoju. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, sierżant zwykłym swym badawczym spojrzeniem ogarnął służące i dostrzegł, że wszystkie są przerażone, ale tylko Penelopa zalana jest łzami.

— Kiedy ojciec pani przebierze się w suche ubranie — zwrócił się do niej — niech pani przyjdzie do jego pokoju na rozmowę z nami.

Nim upłynęło pół godziny, sam byłem już przebrany i pożyczyłem sierżantowi odpowiednie części garderoby. Nigdy chyba tak silnie jak w tej chwili nie odczuwałem, jak dobrą mam córkę. Posadziłem ją sobie na kolanach i modliłem się w duchu, aby Bóg jej pobłogosławił. Penelopa ukryła twarz na mojej piersi, objęła mnie za szyję i milczeliśmy przez chwilę. Oboje myśleliśmy pewnie o Rosannie. Sierżant podszedł do okna i stanął przy nim wyglądając na zewnątrz. Pomyślałem sobie, że powinienem podziękować mu za to, iż tyle ma dla nas względów — i wprowadziłem tę myśl w czyn.

Ludzie wysokiego stanu mają prawo do wszelakiego zbytku — między innymi do zbytku okazywania uczuć. Ludzie niższej kondycji nie korzystają z takich przywilejów. Konieczność, która oszczędza tych, co stoją wyżej od nas, nie ma dla nas litości. Uczymy się chować uczucia głęboko w sercu i pełnić cierpliwie swoje obowiązki. Nie skarzę się, stwierdzam jedynie fakt. Penelopa i ja gotowi byliśmy do rozmowy z sierżantem, gdy tylko on był do niej gotów. Zapytana, co popchnęło jej koleżankę do targnięcia się na swoje życie, córka moja odpowiedziała (jak się państwo domyślają), że Rosanna popełniła samobójstwo z miłości do pana Franklina Blake'a. Zapytana następnie, czy wspominała komukolwiek o tym swoim mniemaniu, Penelopa odparła: — Nie wspominałam o tym przez wzgląd na Rosannę. — W tym miejscu uważałem za stosowne wtrącić słówko. Powiedziałem: — A także przez wzgląd na pana Franklina, kochanie. Jeżeli Rosanna rzeczywiście zginęła z miłości do mego, nie stało się to z jego winy ani za jego wiedzą.

Niechże pan Franklin opuści dzisiaj ten dom — skoro i tak ma wyjechać — nieświadom prawdy, która sprawiłaby mu niepotrzebny ból. — Sierżant Cuff odrzekł: — Bardzo słusznie — i zapadł znów w milczenie, porównując, jak mi się zdawało, mniemanie Penelopy z jakimś innym, własnym mniemaniem, którego nam wszakże nie wyjawiał.

Gdy pół godziny upłynęło, rozległ się dzwonek z pokoju mojej pani.

Poszedłem na to wezwanie i przed drzwiami salonu milady spotkałem pana Franklina, który stamtąd wychodził. Oznajmił, że jej lordowska mość gotowa jest przyjąć sierżanta Cuffa — w mojej obecności, jak poprzednio — i dodał, że on sam pragnie przedtem powiedzieć sierżantowi kilka słów. Gdyśmy razem udali się do mojego pokoju, pan Franklin po drodze zatrzymał się w hallu, aby zajrzeć do rozkładu jazdy.

— Czy pan rzeczywiście wyjeżdża? — zapytałem. — Panna Rachela na pewno powróci do równowagi, jeśli tylko da jej pan trochę czasu.

— Powróci do równowagi, kiedy dowie się, że wyjechałem i nigdy już mnie nie zobaczy — odrzekł pan Franklin.

Zdawało mi się, że ze słów jego przebija żal do mojej panienki, tak jednak nie było. Moja pani zauważyła, że od chwili Wkroczenia policji do naszego domu wystarczyła najmniejsza wzmianka o panu Franklinie, aby panna Rachela wybuchnęła gniewem. Młodzieniec zbyt kochał kuzynkę, by sam przed sobą do tego się przyznać, aż wreszcie, w chwili odjazdu panny Verinder do ciotki, musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Gdy potraktowano go w opisany już przeze mnie, okrutny sposób, pan Franklin powziął postanowienie (jedyne, jakie człowiek ambitny mógł powziąć), że niezwłocznie opuści nasz dom.

To, co miał do powiedzenia sierżantowi, powiedział w mojej obecności. Oświadczył, że jej lordowska mość skłonna jest przyznać, iż słowa jej były zbyt pochopne. Następnie zapytał, czy po takim oświadczeniu sierżant Cuff zgodzi się przyjąć honorarium i pozostawić sprawę diamentu w tym stanie, w jakim się ona obecnie znajduje.

— Nie, sir — odpowiedział sierżant. — Otrzymuję honorarium za spełniony obowiązek. Odmawiam przyjęcia wynagrodzenia, dopóki obowiązku nie spełnię.

— Nie rozumiem pana — rzekł pan Franklin.

— Udzielę zaraz wyjaśnień — odparł sierżant. — Kiedy tu przyjechałem, podjąłem się wyświecić sprawę zaginionego diamentu. Jestem już gotów wykonać zobowiązanie i czekam tylko, by mi na to pozwolono. Kiedy przedstawię lady Verinder wyniki dochodzenia i powiem jej, co należy przedsięwziąć, aby odzyskać Kamień Księżycowy, zdejmę tym samym odpowiedzialność ze swoich barków. Jej lordowska mość sama wówczas zadecyduje, czy ma zezwolić mi na dalsze prowadzenie śledztwa, czy też nie. Jeśli tak, wykonam to, czego się podjąłem — i przyjmę honorarium,

Tymi słowy sierżant Cuff przypomniał nam, że nawet w policji śledczej człowiek może mieć opinię do stracenia.

Stanowisko, jakie zajął, było tak niezaprzeczenie słuszne, że nie pozostawało nic do powiedzenia. Gdy wstałem, aby zaprowadzić go do pokoju mojej pani, sierżant zapytał, czy pan Franklin pragnie być obecny przy rozmowie.

— Nie — odrzekł pan Franklin — chyba że lady Verinder będzie sobie tego życzyła. — Gdy zaś wychodziłem za sierżantem, szepnął mi do ucha: — Wiem, co ten człowiek będzie mówił o Racheli, a zbyt ją kocham, bym mógł spokojnie tego słuchać. Zostaw mnie samego,

Zostawiłem go więc. Oparł się zgnębiony o parapet okna i ukrył twarz w dłoniach. Penelopa zaglądała przez drzwi, gorąco pragnąc go pocieszyć. Na miejscu pana Franklina zawołałbym ją niechybnie. Gdy nas skrzywdziła jedna kobieta, wielka to pociecha, jeśli możemy opowiedzieć o tym drugiej, bo w dziewięciu wypadkach na dziesięć ta druga weźmie naszą stronę. Może zresztą, kiedy wyszedłem, pan Franklin ją zawołał? W takim wypadku muszę oddać sprawiedliwość mojej córce, stwierdzając, że nie zawahałaby się przed niczym, byleby pocieszyć pana Franklina Blake'a.

Tymczasem sierżant Cuff i ja udaliśmy się do pokoju mojej pani.

Podczas ostatniej konferencji, którąśmy z nią odbyli, moja pani nie raczyła podnieść oczu znad książki leżącej przed nią na stole. Tym razem dostrzegłem zmianę na lepsze. Odpowiedziała na spojrzenie sierżanta spojrzeniem równie spokojnym i stanowczym. Z twarzy jej bilo męstwo cechujące cały jej ród i poczułem, że sierżant Cuff napotka godną siebie przeciwniczkę, skoro moja pani nastawiła się na to, aby usłyszeć od niego najgorszą choćby prawdę.

Kiedyśmy usiedli, pierwsza odezwała się moja pani.

— Panie sierżancie — rzekła — przed pół godziną potraktowałam pana bardzo nieuprzejmie. Być może dałoby się to wytłumaczyć pewnymi okolicznościami, nie chcę jednak korzystać z wymówek. Oświadczam z całą szczerością, że żałuję ogromnie, jeśli pana skrzywdziłam.

Urok osobisty mojej pani i wdzięczny sposób, w jaki go przeprosiła, wywarł odpowiednie wrażenie na sierżancie. Prosił, aby wolno mu było się usprawiedliwić, i uczynił z tego usprawiedliwienia akt szacunku wobec mojej pani. Niepodobieństwem jest, rzekł, aby mógł być choćby w najmniejszej mierze odpowiedzialny za dzisiejszy wstrząsający wypadek, dla tego prostego powodu, że pomyślnie zakończenie prowadzonego przezeń śledztwa zależało od tego, by nie robić ani też nie mówić nic, co mogłoby zaniepokoić Rosannę Spearman. Odwołał się do mnie, żebym stwierdził, czy mu się to udało. Zaświadczyłem, że udało mu się to w zupełności. Na tym, moim zdaniem, najrozsądniej byłoby sprawę zakończyć.

Sierżant Cuff wszakże posunął się o krok dalej, pragnąc najwidoczniej (jak państwo za chwilę sami ocenią), zmusić moją panią do wysłuchania wyjaśnień w sprawie niezmiernie dla niej bolesnej i przykrej.

— Jak słyszałem, samobójstwo młodej kobiety przypisuje się pewnej okoliczności — rzekł sierżant — która, być może, stanowi istotny powód jej rozpaczliwego kroku. Jest to okoliczność nie mająca nic wspólnego

z prowadzoną przeze mnie sprawą. Muszę jednak dodać, że jestem w tej materii innego zdania. Jakiś ogromny lęk i niepokój, pozostający w związku z zaginionym diamentem, popchnął nieszczęsną istotę do targnięcia się na własne życie. Nie będę udawał, że wiem, co było przyczyną owego lęku. Sądzę jednak, iż (za pozwoleniem jej lordowskiej mości) potrafię wskazać osobę, która może stwierdzić, czy mam słuszność, czy też nie.

— Czy ta osoba przebywa obecnie tu w domu? — zapytała moja pani po chwili oczekiwania.

— Osoba ta wyjechała, milady.

Słowa te wskazywały wyraźnie na pannę Rachełę. Zapadło milczenie tak długie, iż zdawało mi się, że się nigdy nie skończył Boże! Jak okropnie wył wiatr i jak głośno deszcz siekł o szyby okienne, gdy siedziałem tam czekając, aż któraś z nich znów się odezwie!

— Zechce pan wyrażać się jasno — powiedziała moja pani. — Czy ma pan na myśli moją córkę?

— Tak jest — odparł sierżant.

Gdyśmy weszli do pokoju, na biurku leżała książeczka czekowa lady Verinder — moja pani niewątpliwie zamierzała wypłacić sierżantowi honorarium. Teraz wzięła książeczkę i schowała ją na powrót do szuflady. Serce mi się ścisnęło, kiedy dostrzegłem, jak drży jej biedna ręka — ręka, która obsypywała zawsze swego starego sługę dobrodziejstwami!

— Miałam nadzieję — rzekła wolno i cicho moja pani — że wynagrodzę pana za usługi i rozstaniemy się nie wspominając wcale o osobie panny Verinder. Mój siostrzeniec powiedział panu zapewne o tym, nim wszedł pan do mojego pokoju?

— Pan Blake przekazał mi pani polecenie, milady. Ja zaś podałem panu Blake'owi powód...

— Podawanie powodów, jakie panem kierowały, jest zbędne. Po tym, co pan przed chwilą powiedział, wie pan równie dobrze jak ja, że zaszedł pan za daleko, aby móc się cofnąć. Obowiązek wobec siebie samej i wobec mojej córki każe mi obstawać przy tym, aby pozostał pan tutaj i aby powiedział wszystko bez obłonek.

Sierżant spojrział na zegarek.

— Gdyby czas pozwolił, milady — odparł — wolałbym złożyć sprawozdanie na piśmie zamiast wygłaszać je ustnie. Jeżeli jednak śledztwo ma potoczyć się dalej, czas zbyt jest cenny, aby marnować go na pisanie. Gotów jestem tedy od razu przystąpić do rzeczy. Sprawa jest bardzo bolesna i będzie mi niezmiernie przykro mówić o niej, pani zaś o niej słuchać...

Moja pani przerwała mu jeszcze raz.

— Być może uczynię sprawę mniej bolesną dla pana i dla mojego zacnego sługi i przyjaciela — rzekła — jeśli dam przykład mówienia bez ogródek. Podejrzewa pan moją córkę, pannę Verinder, że w jakimś sobie tylko wiadomym celu ukryła diament? Czy tak?

— Tak jest, milady.

— Dobrze. Otóż, zanim pan zacznie, muszę jako matka panny Verinder

oświadczyć panu, że jest ona całkowicie niezdolna do podobnego uczynku. Pan zna ją od kilku dni, ja znam ją od zarania jej życia. Może pan formułować swe podejrzenia w słowach jak najdosadniejszych; mnie pan tym nie dotknie. Jestem z góry przekonana, że przy całym swym doświadczeniu dał się pan tym razem wprowadzić w błąd fatalnemu splotowi okoliczności. Zważ pan, że nie posiadam żadnych poufnych informacji. Moja córka nie dopuszcza mnie do konfidencji zupełnie tak samo, jak i pana. Mówię z taką pewnością dla jednego tylko powodu, który już wymieniałam: znam swoje dziecko.

Zwróciła się do mnie i podała mi rękę. Ucałowałem tę rękę w milczeniu.

— Może pan kontynuować — rzekła spoglądając na sierżanta równie mężnie jak przedtem.

Sierżant Cuff złożył ukłon. Surowa jego twarz złagodniała na chwilę, jak gdyby zadrgało w nim współczucie dla mojej pani, widać jednak było, że nie zmienił bynajmniej zdania co do meritum sprawy. Poprawił się w fotelu i przystąpił do niegodziwego ataku na pannę Rachelę.

— Muszę prosić jej lordowską mość — zaczął — aby spojrzała na sprawę nie tylko ze swego, lecz także i z mojego punktu widzenia. Czy zechce pani postawić się na moim miejscu i wyobrazić sobie, że przyjeżdża tutaj mając mój zasób doświadczenia? I czy pozwoli pani opowiedzieć sobie w wielkim skrócie, jakiego rodzaju jest to doświadczenie?

Moja pani skinęła głową na znak zgody. Sierżant mówił dalej:

— Przez ostatnie dwadzieścia lat miałem częstokroć do czynienia ze sprawami mającymi posmak skandalu rodzinnego, przy czym występowałem zawsze jako człowiek zaufany i dyskretny. Pewien rezultat mojej praktyki w tej dziedzinie, pozostający w związku z obchodzącą nas sprawą, da się ująć w kilku słowach. Przekonałem się, że młode panny z najlepszych domów mają niekiedy osobiste długi, do których nie wazą się przyznać najbliższej rodzinie i przyjaciom. Czasem kryje się za tym modystka i jubiler, czasami pieniądze potrzebne są do celów, których istnienia w tym wypadku nie podejrzewam i których wymienianiem nie będę pani gorszył. Zechce pani mieć w pamięci, co powiedziałem, milady, i spójrzmy teraz, jak wydarzenia, które rozegrały się w tym domu, zmusiły mnie — niezależnie od mojej woli i chęci — abym oparł się na swoim dotychczasowym doświadczeniu!

Zastanowił się chwilę, po czym kontynuował swe wywody zimno, bezstronnie, nie oszczędzając nikogo, a zarazem w sposób tak przerażająco klarowny, iż niepodobna było czegokolwiek nie zrozumieć.

— Pierwszych informacji dotyczących zaginięcia Kamienia Księżycowego udzielił mi inspektor Seegrave. Wynikało z nich niezbicie, że nie potrafi on zupełnie poradzić sobie z tego rodzaju sprawą. Ze wszystkiego, co mówił, jedna tylko wiadomość wydała mi się godna uwagi: ta mianowicie, że panna Verinder nie chciała poddać się przesłuchaniu i bez żadnego widocznego powodu odzywała się do inspektora w sposób niesłychanie niegrzeczny i pogardliwy. Fakt ten zdziwił mnie, przypisywałem jednak winę inspektorowi, który zapewne zraził sobie młodą damę nietaktownym postępowaniem.

Zapamiętałem jednak sobie owo zdarzenie i przystąpiłem na własną rękę do zbadania sprawy. Badanie to zakończyło się, jak pani wiadomo, wykryciem smugi na drzwiach oraz oświadczeniem pana Franklina, które upewniło mnie, że owa smuga i zaginięcie diamentu, stanowią części składowe tej samej łamigłówki. Do tej chwili podejrzewałem tylko, że diament skradziono i że sprawcą kradzieży jest zapewne ktoś ze służby. Pięknie. Ale cóż się oto dzieje? Panna Verinder wychodzi nagle ze swego pokoju i zwraca się do mnie. Obserwuję przy tej okazji trzy podejrzane okoliczności. Po pierwsze panna Verinder jest wciąż jeszcze niezmiernie wzburzona, mimo że od chwili zaginięcia diamentu upłynęła już cała doba. Po drugie panna Verinder traktuje mnie równie niegrzecznie, jak traktowała przedtem inspektora Seegrave'a. Po trzecie jest śmiertelnie rozgniewana na pana Franklina Blake'a. Mówię sobie: oto młoda panna, która straciła cenny klejnot, a która przy tym odznacza się — jeśli mam wierzyć własnym oczom i uszom — bardzo porywczym usposobieniem. W tych warunkach i z tym usposobieniem jakże się owa młoda panna zachowuje? Otóż zdradza ona gwałtowną niechęć do pana Blake'a, do pana inspektora i do mnie — czyli właśnie do owych trzech ludzi, którzy, każdy na swój sposób, usiłują dopomóc jej w odzyskaniu utraconego klejnotu. Doprowadziwszy badanie do tego punktu — dopiero wówczas, milady, nie wcześniej — sięgam w myśli do swego doświadczenia. Doświadczenie moje dostarcza wyjaśnień na przyczynę pozornie niezrozumiałego postępowania panny Verinder. Kojarzy mi ono w pamięci osobę panny Verinder z innymi znanymi mi pannami. Nasuwa mi przypuszczenie, że panna Verinder ma długi, których nie chce ujawnić, a które musi spłacić. Każe mi następnie zadać sobie pytanie, czy zniknięcie diamentu nie oznacza przypadkiem, że diament ukryto, aby go zastawić i otrzymaną sumę obrócić na spłatę owych długów. Taki wniosek wyciąga moje doświadczenie z nagich faktów. Co przeciwstawia temu doświadczenie jej lordowskiej mości?

— To, co już powiedziałam — odparła moja pani. — Dał się pan zwiść okolicznościom.

Nie zabierałem głosu. Zmęczone moje myśli wybiegały — Bóg jeden wie czemu — ku Robinsonowi Kruzoe. Gdyby sierżant Cuff znajdował się w tej chwili na wyspie bezludnej, nie mając do towarzystwa nawet Piętaszka i nie widząc na horyzoncie żadnego statku, co by go z tej wyspy mógł zabrać, byłby właśnie tam, gdzie mu być życzyłem! (Notabene: jestem człowiekiem przeciętnym i wcale dobrym chrześcijaninem, jeżeli się tylko nie wystawia mojego chrystianizmu na zbyt ciężkie próby. A jest dla mnie znaczną pociechą, że wy wszyscy, moi kochani czytelnicy, jesteście w tym względzie bardzo do mnie podobni).

Sierżant Cuff mówił dalej:

— Doszedłszy do tego wniosku, milady, musiałem sprawdzić, czy jest on słuszny. Zaproponowałem pani rewizję wszystkich szaf w domu. Rewizja taka mogła przyczynić się do znalezienia owej części ubrania, która zostawiła smugę na drzwiach, ścierając z nich świeżą farbę, i mogła tym samym stać się

sprawdzianem słuszności mojego wniosku. Cóż wynikło? Milady wyraziła zgodę, pan Blake wyraził zgodę, pan Ablewhite wyraził zgodę. Jedyne panna Verinder udaremniła całe przedsięwzięcie, odmawiając wręcz zezwolenia na przeprowadzenie rewizji w jej pokoju. Wynik ten upewnił mnie, że mój pogląd był słuszny. Jeżeli milady i pan Betteredge nadal nie chcą się ze mną zgodzić, musieli chyba nie widzieć tego, co nie dalej jak dzisiaj zdarzyło się przed ich oczami. W przytomności państwa oświadczyłem pani Verinder, że odjazd jej (tak jak się sprawy w owej chwili przedstawiały) utrudni mi odnalezienie diamentu. Sami państwo byli świadkami, że odjechała nie zważając na moje oświadczenie. Byli państwo świadkami, że nie tylko nie przebaczyła panu Blake owi, który bardziej niż ktokolwiek inny starał się o dostarczenie mi cennych wskazówek i poszlak, lecz na dobitkę znieważyla go publicznie na stopniach domu swej matki. Cóż to wszystko oznacza? Jeżeli pani Verinder nic nie wiadomo o ukryciu diamentu, co to wszystko może oznaczać?

Tym razem sierżant spojrział wprost na mnie. To było dla mnie okropne: słuchałem, jak wywiadowca gromadzi dowody przeciwko pani Racheli, i pragnąc jej bronić za wszelką cenę, zdawałem sobie równocześnie sprawę, że nie sposób kwestionować prawdziwości jego słów. Ale jestem, chwała Bogu, z natury odporny na logikę i traktuję ją zawsze z należną pogardą. Dzięki temu mogłem stać twardo przy zdaniu mojej pani, które zresztą podzielałem w zupełności. Dodało mi to otuchy i wytrzymałem spojrzenie sierżanta bez zmrużenia powiek. Drodzy przyjaciele, radzę wam brać ze mnie przykład, a oszczędzicie sobie wiele przykrości i irytacji. Traktujcie logikę z pogardą, a przekonacie się, jak skutecznie postawa taka stępi pazury wszystkim osobom rozsądnym, ilekroć zechcą one drasnąć was dla waszego własnego dobra!

Nie doczekawszy się odpowiedzi ani ode mnie, ani od mojej pani (Boże, z jakąż złością zauważyłem, że nasze milczenie nie wytrąciło go bynajmniej z równowagi!) sierżant Cuff ciągnął dalej:

— Tak wyglądają zarzuty przeciwko samej pani Verinder, milady. Muszę teraz wyłuszczyć zarzuty przeciwko pani Verinder łącznie ze zmarłą Rosanną Spearman. Wróćmy za pozwoleniem jej lordowskiej mości do chwili, gdy córka milady nie zgodziła się na rewizję jej garderoby. Otóż wyrobiwszy sobie po owym zdarzeniu określone zdanie o sprawie, musiałem następnie rozważyć dwa zagadnienia. Po pierwsze, jaka będzie najwłaściwsza metoda prowadzenia dalszych badań. Po drugie, czy panna Verinder ma współliczkę wśród znajdujących się w domu służby. Po gruntownym namyśle postanowiłem prowadzić dochodzenie w sposób, który by w naszym urzędzie uznano za całkowicie niezgodny z przyjętą procedurą. Powziąłem tę decyzję z następującego powodu: miałem do czynienia ze skandalem w rodzinie, obowiązkiem więc moim było zadbać, aby sprawa poza obręb rodziny nie wyszła. Im mniej rozgłosu i pomocy obcych ludzi, tym lepiej. Co do zwykłego trybu postępowania — wzięcia osób podejrzanych pod straż, wystąpienia na drogę sądową i tak dalej — nie mogło być o nim mowy, skoro

(jak sądziłem) u źródeł sprawy tkwiła córka jej lordowskiej mości. W tym wypadku uznałem, że najlepiej zrobię wybierając sobie na pomocnika zamiast kogoś obcego — pana Betteredge'a, który zajmuje w tym domu poczesne stanowisko, cieszy się ogólnym szacunkiem, a przy tym zna doskonale wszystkich służących i bierze sobie do serca honor domu. Byłbym próbował zaskarbić też sobie pomoc pana Blake'a, gdyby nie pewien szkopał. Pan Blake zorientował się bardzo szybko, w jakim kierunku dąży prowadzone przeze mnie dochodzenie, toteż przy jego zainteresowaniu osobą panny Verinder wszelkie porozumienie między nami było niemożliwe. Przytaczam te nużące szczegóły, aby dowieść jej lordowskiej mości, że tajemnica nie wyszła poza krąg rodzinny. Jestem jedynym obcym, który ją zna, a mój zawód wymaga, bym trzymał język za zębami.

W tym miejscu poczułem, że mój zawód wymaga, abym nie trzymał dłużej języka za zębami. Żeby mnie na stare lata obmalowano przed moją panią jako dobrowolnego szpicla! — tego już mój chrystianizm nie mógł spokojnie znieść!

— Pragnę poinformować jej lordowską mość — powiedziałem — że od początku do końca ani przez chwilę nie brałem świadomego i czynnego udziału w tym ohydny śledztwie, i wzywam sierżanta Cuffa, żeby mi zaprzeczył, jeśli się ośmieli!

Dawszy w ten sposób upust wzburzeniu, poczułem znaczną ulgę. Moja pani uczyniła mi ten zaszczyt, że poklepała mnie przyjaźnie po ramieniu. Spojrzałem groźnie na sierżanta, aby przekonać się, co sądzi o tego rodzaju oświadczeniu, sierżant wszakże wytrzymał mój wzrok z miną potulnego jagnięcia i miałem na dodatek wrażenie, że podobam mu się w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek.

— Proszę mówić dalej — zwróciła się do niego moja pani. — Wierzę, iż robił pan uczciwie wszystko, co w jego mocy, i przekonany był, że broni moich interesów. Gotowa jestem wysłuchać, co pan ma jeszcze do powiedzenia.

— To, co mam jeszcze do powiedzenia — odparł sierżant Cuff — dotyczy Rosanny Spearman. Jak milady być może pamięta, rozpoznałem tę młodą kobietę, kiedy przyniosła do tego pokoju rejestr bielizny. Aż do owej chwili skłonny byłem wątpić, czy panna Verinder zwierzyła się komukolwiek ze swojej tajemnicy. Kiedy jednak ujrzałem Rosannę, zmieniłem zdanie. Powziąłem od razu podejrzenie, że wie ona o ukryciu diamentu. Biedaczka zakończyła życie w sposób okropny i nie chciałbym, aby teraz, kiedy jej zabrakło, milady sądziła, że byłem dla niej okrutny. Gdyby chodziło o pospolitą kradzież, nie posądzałbym o nią Rosanny pochopniej niż którąkolwiek inną służącą. Wiem z doświadczenia, że gdy się kobiety z domów poprawczych traktuje na służbie wyrozumiale i delikatnie, okazują one zazwyczaj szczerą skruchę i odpłacają z nawiązką za okazaną im dobroć. Tu jednak nie mieliśmy do czynienia z pospolitą kradzieżą. Mieliśmy do czynienia ze sprytnie i dokładnie obmyślanym oszustwem, którego inicjatorką była sama właścicielka diamentu. Ponieważ byłem o tym przeświadczony, nasunęło mi

się w związku z Rosanną przede wszystkim następujące pytanie: czy pannie Verinder (w tym miejscu proszę jej lordowską mość o przebaczenie) wystarczy, jeśli uznamy, że diament zginął? Czy też posunie się ona o krok dalej i zechce narzucić nam przekonanie, że diament skradziono? W tym ostatnim wypadku miała na podorędziu Rosannę Spearman — kobietę noszącą piętno złodziejki, osobę, która nadawała się doskonale do tego, by odwrócić uwagę jej lordowskiej mości oraz moją i skierować ją na fałszywy trop.

Czy potworniejsze oskarżenie pod adresem panny Racheli i Rosanny jest w ogóle możliwe? — zadałem sobie w duchu pytanie. Owszem, jak się państwo za chwilę przekonają, było możliwe.

— Podejrzałem zmarłą kobietę z innego też powodu — mówił dalej sierżant — który wydaje mi się jeszcze bardziej ważki. Kto najprędzej mógł pomóc pannie Verinder w otrzymaniu pieniędzy pod zastaw diamentu? Rosanna Spearman. Młoda panna w sytuacji panny Verinder nie poradziłaby sobie bez czyjejś pomocy z tak ryzykownym przedsięwzięciem. Musiała mieć pośredniczkę, a któż, pytam znowu, nadawał się do tej roli lepiej od Rosanny Spearman? Niezjąca pokojówka jej lordowskiej mości ongiś jako złodziejka zajmowała w swojej profesji najwyższy szczebel. Jak mi wiadomo, utrzymywała stosunki z jednym z niewielu lichwiarzy londyńskich, którzy gotowi byłiby dać pieniądze pod zastaw tak znanego obiektu jak Kamień Księżycowy nie zadając kłopotliwych pytań i nie stawiając kłopotliwych warunków. Proszę to mieć na uwadze, milady, a wyjaśnię za chwilę, jak moje podejrzenia znalazły potwierdzenie w postępkach Rosanny i we wnioskach, które z tych postępków musiałem wysnuć.

Sierżant przytoczył następnie znaną już państwu historię dziwnego zachowania się Rosanny. Sami państwo rozumieją, że historia ta rzucała cień na pamięć nieszczęśliwej dziewczyny i dowodziła niezbitcie jej udziału w zaginięciu Kamienia Księżycowego. Nic też dziwnego, że ta część sprawozdania sierżanta podziałała przygnębiająco nawet na moją panią i kiedy sierżant tę część zakończył, nie usłyszał w odpowiedzi ani słowa. Ale niewzruszony detektyw (bodaj z piekła nie wyrzwał!) najwyraźniej nie dbał wcale o to, by mu odpowiadano. Ciągnął dalej z niezmałym spokojem:

— Przedstawiłem całą sprawę tak, jak ją rozumiem, teraz więc pozostaje mi tylko zakomunikować jej lordowskiej mości, co zamierzam robić dalej. Widzę dwa sposoby na to, aby pomyślnie doprowadzić dochodzenie do końca. Jeden z tych sposobów jest moim zdaniem niezawodny, drugi, przyznaję, byłby tylko śmiałym eksperymentem. Decyzja należy do jej lordowskiej mości. Czy zajmiemy się najpierw sposobem niezawodnym?

Moja pani dała mu znak, aby postąpił według swego uznania i sam dokonał wyboru.

— Bardzo dziękuję — odparł sierżant. — Skoro jej lordowską mość pozostawia decyzję mnie, zacznierfly od niezawodnego sposobu. Bez względu na to, czy panna Verinder pozostanie we Frizinghall, czy też powróci tutaj, proponowałbym wziąć ją pod nieustanną obserwację, aby

wiedzieć, z kim się spotyka, dokąd udaje się podczas przejazdów lub przechadzek oraz jakie listy pisze i otrzymuje.

— Co dalej? — spytała moja pani.

— Dalej — rzeki sierżant — będę prosił jej lordowską mość, aby zezwoliła mi wprowadzić do domu pewną kobietę obeznaną z prywatnym dochodzeniem tego rodzaju, za której dyskrecję ręczę. Występowałaby ona jako służąca przyjęta rzekomo na miejsce Rosanny Spearman.

— Co dalej? — powtórzyła moja pani.

— Wreszcie — mówił sierżant — proponowałbym delegować jednego z moich kolegów, aby wszedł w układy z owym lichwiarzem, który, jak wspominałem, znalazł niegdyś Rosannę Spearman i którego nazwisko i adres Rosanna bez wątpienia podała pani Verinder. Nie przeczę, że proponowany przeze mnie tryb postępowania będzie dość kosztowny i pochłonie sporo czasu, ale wynik jest murowany. Zakreślmy krąg wokół Kamienia Księżycowego i będziemy go stopniowo zacieśniać, aż wreszcie znajdziemy diament w posiadaniu panny Verinder, jeżeli postanowi go ona zatrzymać. Jeżeli natomiast, przynaglana przez wierzących, postanowi go wyeksponować do Londynu, będziemy na to przygotowani i Kamień Księżycowy natychmiast po przybyciu do Londynu wpadnie w nasze ręce.

Już sam fakt, że jej córka jest przedmiotem tego rodzaju planu, oburzył moją panią tak bardzo, że po raz pierwszy odezwała się gniewnie:

— Odrzucam ten plan zarówno w całości, jak i we wszystkich szczegółach. Proszę wymienić drugi sposób doprowadzenia sprawy do końca.

— Drugi sposób — rzekł wcale tym nie zmieszany sierżant — polega na owym śmiałym eksperymencie, o którym już wspominałem. Sądzę, że wyrobiłem sobie dość dokładne pojęcie o charakterze panny Verinder. Jest ona w moim przekonaniu najzupełniej zdolna do zuchwałego oszustwa, równocześnie jednak zbyt porywcza i zapalczywa, i zbyt nie przyzwyczajona do kłamstwa, aby zachowywać obłudną maskę w sprawach drobnych i hamować wybuchy temperamentu, gdy ją ktoś sprowokuje. Widzieliśmy kilkakrotnie, że nie potrafiła się opanować właśnie w takich chwilach, kiedy ukrywanie uczuć wyraźnie leżało w jej interesach. Mam więc zamiar wyzyskać tę osobliwość jej charakteru. Chcę sprawić, aby doznała nagle wstrząsu, i zniecka zadać jej ból. Mówiąc po prostu, chcę bez żadnych wstępów i przygotowań zawiadomić ją o śmierci Rosanny w nadziei, że szlachetne uczucia wezmą w niej wówczas górę i skłonią ją do szczerzego wyznania. Czy jej lordowską mość zgadza się na tę alternatywę?

Moja pani wprawiła mnie w nieopisane zdumienie. Odpowiedziała bez chwili wahania:

— Zgadza się.

— Bryczka zaprzężona — oświadczył sierżant. — Żegnam jej lordowską mość.

Moja pani podniosła rękę i zatrzymała go, nim zdążył ruszyć ku drzwiom.

— Tak jest, należy zaapelować do szlachetnych uczuć mojej córki, jak pan

to zaplanował — rzekła. — Ale prawem matki poddam ją tej próbie sama. Zechce pan pozostać tutaj, ja pojedę do Frizinghall.

Sierżant Cuff po raz pierwszy chyba w swym życiu osłupiał ze zdumienia jak zwykły śmiertelnik.

Moja pani zadzwoniła i kazała sobie przynieść płaszcz nieprzemakalny. Lało wciąż jak z cebra, a zamknięty powóz, jak państwo pamiętają, odjechał z panną Rachelą do Frizinghall. Próbowałem odwieść jej lordowską mość od wyjazdu w tak okrutną niepogodę, ale perswazje moje na nic się nie zdały. Prosiłem, aby pozwoliła mi przynajmniej towarzyszyć sobie i trzymać nad sobą parasol — nie chciała o tym słyszeć. Stajenny przyprowadził przed ganek bryczkę.

— Może pan być pewien dwóch rzeczy — rzekła w hallu moja pani zwracając się do sierżanta. — Dokonam eksperymentu na pannie Verinder równie bezlitośnie, jak pan by to *zrobU*. I zawiadomię pana o wynikach osobiście lub listownie, zanim ostatni pociąg odjedzie dziś wieczorem do Londynu.

Po tych słowach wsiadła do bryczki, ujęła sama lejce i odjechała w kierunku Frizinghall.

ROZDZIAŁ XXI

Po odjeździe mojej pani miałem dość wolnego czasu, aby zająć się sierżantem. Zostałem go w hallu — siedział w przytulnym kącie i przeglądał swój notatnik, przy czym kąciki ust podnosiły mu się raz po raz w górę, nadając twarzy wyraz niezmiernie zjadliwy.

— Robi pan notatki ze sprawy? — zapytałem.

— Nie — odrzekł sierżant. — Sprawdzam w notatniku, jaką mam sprawę następną.

— Ach tak! Sądzi więc pan, że tu już wszystko jest skończone?

— Sądzę — odparł sierżant Cuff — że lady Verinder jest jedną z najmądrzejszych kobiet w Anglii. Sądzę też, że znacznie przyjemniej jest patrzeć na różę niż na diament. Gdzie jest ogrodnik, panie Betteredge?

Na temat Kamienia Księżycowego nie sposób już było wydobyć z niego ani słowa. Sprawa ta najzupełniej przestała go obchodzić, powtarzał tylko, że musi znaleźć ogrodnika. W godzinę później słyszałem, jak spierali się zajadle w cieplarni, a przedmiotem tej ożywionej dyskusji była znowu dzika róża.

Tymczasem postarałem się dowiedzieć, czy pan Franklin obstaje nadal przy swym postanowieniu i zamierza wyjechać popołudniowym pociągiem. Gdy go poinformowałem o przebiegu i zakończeniu konferencji w pokoju mojej pani, oświadczył od razu, że zaczeka na nowiny z Frizinghall. Ta zupełnie zrozumiała zmiana planów — która dla przeciętnego człowieka nie miałaby szczególniejszego znaczenia — odbiła się na panu Franklinie bardzo

ujemnie. Zostawiła mu mianowicie mnóstwo wolnego czasu, z którym nie miał co robić, dzięki czemu wszystkie jego cudzoziemskie cechy charakteru wydobywały się na zewnątrz niby szczury, co wyskakują hurmem z worka.

To jako Italo-Anglik, to jako Germano-Anglik, to znów jako Franko-Anglik wędrował po wszystkich pokojach i salonach domu, rozprawiając tylko i wyłącznie o tym, jak go potraktowała panna Rachel, i zwracając się w braku innych słuchaczy tylko i wyłącznie do mnie. Zostałem go na ten przykład w bibliotece. Siedział pod mapą współczesnych Włoch, gotów mówić bez końca o swoich troskach i zmartwieniach, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy, że można uporać się z nimi w inny sposób.

— Mam tak szlachetne aspiracje, Betteredge, ale jak je teraz zrealizuję? Drzemie we mnie tyle dodatnich cech, ale bez pomocy Racheli czyż zdołam wydobyć je na jaw?

Tak wymownie malował obraz swych zaniedbanych możliwości, a potem tak je wzruszająco opłakiwał, że od zmysłów niemal odchodziłem pragnąc go jakoś pocieszyć. Naraz wszakże zaświtała mi myśl, że to klasyczny wypadek, kiedy należy zasięgnąć mądrej rady u „Robinsona Kruzo”. Pokuśtykałem do swego pokoju i wróciłem z owym nieśmiertelnym dziełem. Ale w bibliotece nie było już nikogo! Jedynie mapa współczesnych Włoch patrzyła na mnie, a ja na nią.

Zajrzałem do salonu. Na podłodze leżała upuszczona chusteczka, co dowodziło, że pan Franklin tu wstępował. Pokój jednak był pusty, co dowodziło, że znowu stąd wyszedł.

Zajrzałem do jadalni i zastałem tam Samuela, który z biszkoptem i kieliszkiem sherry w rękę rozglądał się bezradnie wokoło. Jak się okazało, pan Franklin przed minutą zadzwonił energicznie i zażądał czegoś lekkiego a pokrzepiającego. Samuel z najwyższym pośpiechem przyniósł żądane wiktuały, ale pan Franklin znikł, zanim jeszcze dzwonek szarpnięty jego ręką zdążył przestać dzwonić.

Zajrzałem do bawialni i tu go wreszcie znalazłem. Stał przy oknie kreśląc palcem hieroglify na wilgotnej szybie.

— Pańskie sherry czeka na pana — powiedziałem. Ale mogłem z równym skutkiem przemawiać do jednej z czterech ścian pokoju, pan Franklin bowiem pogrążony był w bezdennej otchłani rozmyślań i nie dał się stamtąd wyciągnąć.

— Jak sobie tłumaczysz postępowanie Racheli, Betteredge? — spytał tylko.

Nie mając w pogotowiu odpowiedzi, otworzyłem „Robinsona Kruzo”, w którym —jestem tego pewien — można było znaleźć jakieś wyjaśnienie, gdybyśmy tylko dobrze poszukali. Ale pan Franklin zamknął „Robinsona Kruzo” i zaczął od razu swoje germano-angielskie bajdurzenia.

— Dlaczego nie mielibyśmy się nad tym zastanowić? — spytał, jak gdybym to ja osobiście protestował przeciwko zastanowieniu się nad tym.— Czemu, u diabła, tracisz cierpliwość, Betteredge, kiedy potrzeba tylko cierpliwości, aby dojść prawdy? Nie przerywaj mi. Postępowanie Racheli

jest zupełnie zrozumiałe, jeżeli tylko oddamy jej sprawiedliwość i spojrzymy na sprawę najpierw obiektywnie, potem subiektywnie, a wreszcie obiektywno-subiektywnie. Co wiemy? Wiemy, że we czwartek rano utrata diamentu wprawiła Rachelę w stan nerwowego podniecenia, po którym nie odzyskała dotychczas równowagi. Czy jak dotąd możesz zaprzeczyć słuszności tego obiektywnego punktu widzenia? A więc bardzo pięknie, tylko mi nie przerywaj. Dalej, skoro Rachelę jest tak bardzo podnieconą, jak możemy się spodziewać, że będzie normalnie traktowała otaczające ją osoby? Rozumując zaś w ten sposób, do czego dochodzimy? Dochodzimy do subiektywnego punktu widzenia. Proszę cię, obal ten subiektywny punkt widzenia, jeśli zdołasz! Doskonale, cóż więc z tego wynika? Mój Boże! Wynika z tego oczywiście obiektywno-subiektywne wytłumaczenie! Rachelę, ściśle biorąc, nie jest Rachelą, lecz osobą obcą. Czy mogę się przejmować tym, że jakaś obca osoba źle mnie traktuje? Logika nie jest twoją najmocniejszą stroną, Betteredge, ale nawet ty nie posądzisz mnie chyba o nic podobnego. Jaki więc tego koniec? Koniec jest taki, że mimo waszych nieznośnych angielskich przesądów i ciasnoty, czuję się najzupełniej szczęśliwy i zadowolony. Gdzie moje sherry?

Miałem już w głowie taki zamęt, że nie byłem pewien, czy to moja głowa, czy pana Franklina. Jednakże mimo tego opłakanego stanu zdołałem dokonać - jak mniemam — trzech rzeczy obiektywnych. Przyniosłem panu Franklinowi sherry, wycofałem się do swojego pokoju i ukołem rozterkę najbardziej chyba pokrępiającą fajkę w całym moim życiu.

Proszę jednak nie sądzić, że pozbyłem się tak łatwo pana Franklina. Powędrował on znów z bawialni do hallu, zabłądził do kancelarii, poczuł zapach mojej fajki i natychmiast przypomniał sobie, że zrobił wielkie głupstwo przestając palić na życzenie panny Racheli. W mgnieniu oka wtargnął do mnie z cygarnicą w rękę i począł znów rozprawiać na swój jedyny i niewyczerpany temat, tym razem jednak z francuska - - dowcipnie, zręcznie i sceptycznie.

— Daj ognia, Betteredge. Czy to do pomyślenia, żeby człowiek palił tak długo jak ja i nie odkrył tej prostej prawdy, że własna jego cygarnicą podsuwa mu idealny system postępowania z kobietami? Wybierasz cygaro, próbujesz go, doznajesz zawodu. Co wtedy robisz? Odrzucasz je i próbujesz innego. Zważ tylko, jak to się znakomicie da zastosować do kobiet! Wybierasz kobietę, próbujesz jej, a ona łamie ci serce. Głupcze! Pomyśl

o cygarnicy! Rzuć tę złą kobietę i spróbuj szczęścia z inną! Potrząsnąłem głową. Był to wywód niezmiernie pomysłowy, nie pokrywał

się jednak wcale z tym, co wiedziałem z doświadczenia.

— Za życia nieboszczki pani Betteredge — powiedziałem — nieraz miałem chętkę popróbować pańskiej filozofii, sir. Ale prawo każe nam wypalić do końca cygaro, któreśmy sobie raz wybrali.

Podkreśliłem tę uwagę mrugnięciem. Pan Franklin wybuchnął śmiechem

i przez dłuższą chwilę weseliliśmy się jak dzieci, dopóki nowa strona jego charakteru nie zabrała z kolei głosu. Tak więc szły sprawy między moim

młodym panem a mną (gdy tymczasem sierżant i ogrodnik spierali się zaciekle o różę) i w ten sposób spędziliśmy czas aż do chwili nadejścia wiadomości z Frizinghall.

Bryczka powróciła o dobre pół godziny wcześniej, niż się spodziewałem. Moja pani postanowiła zostać na razie u siostry. Stajenny przywiózł dwa listy od lady Verinder, jeden adresowany do pana Franklina, drugi do mnie. List do pana Franklina posłałem mu do biblioteki, gdzie wałęsając się po domu ponownie zawędrował. List do mnie natomiast przeczytałem w swoim pokoju. Czek, który po odpieczętowaniu wypadł z koperty, poinformował mnie — zanim jeszcze zapoznałem się z treścią listu — że dymisja sierżanta jest sprawą dokonaną.

Posiałem do oranżerii po sierżanta i kazałem zawiadomić go, że pragnę niezwłocznie z nim mówić. Sierżant zjawił się wciąż jeszcze pochłonięty sporem z ogrodnikiem o dziką różę. Twierdził, że równie upartego człowieka jak pan Begbie nigdy chyba nie było i nie będzie. Poprosiłem go, żeby wyłączył z naszej rozmowy te błahostki i poświęcił całą uwagę sprawom rzeczywiście poważnym. Sierżant wówczas zadał sobie wreszcie tyle trudu, by dostrzec list, który trzymałem w ręce.

— Aa! — rzucił tonem znużenia — ma pan wiadomości od lady Verinder. Czy dotyczą mnie one w jakiś sposób, panie Betteredge?

— Sam to pan sierżant oceni — rzekłem, po czym wyraziście acz bez emfazy odczytałem mu list.

Mój zacny Gabrielu! Zechciej powiadomić sierżanta Cuffa, że spełniłam daną mu obietnicę. Wynik, jeśli chodzi o Rosannę Spearman, jest następujący: panna Verinder przysięga, że odkąd nieszczęśliwa ta kobieta przybyła do mojego domu, nie zamieniła z nią na osobności ani słowa. W noc zniknięcia diamentu nie widziały się ani przez chwilę, choćby nawet przypadkiem, i nie porozumiewały się ze sobą wcale od czwartku rano, gdy wybuchł pierwszy alarm, aż do soboty, czyli dzisiaj, kiedy panna Verinder odjechała. Zawiadomiłam córkę bez wstępów i owijania w bawełnę o samobójstwie Rosanny i usłyszałam w odpowiedzi to, co powyżej przytoczyłam.

Doszedłszy do tego miejsca spojrzałem na sierżanta i zapytałem, co sądzi jak dotychczas o tym liście.

— Gdybym wypowiedział swoje zdanie, uraziłbym pana tylko — odparł sierżant. — Niech pan czyta dalej, panie Betteredge — dodał z drażniącą rezygnacją — niech pan czyta dalej.

Przypomniałem sobie, że człowiek ten miał czelność narzekać na upór naszego ogrodnika i język mnie zaświerzbiał, żeby powiedzieć mu, co o nim myślę, tym razem jednak szczerzy chrześcijanin wziął we mnie górę. Powróciłem do czytania listu.

...Kiedy już zaapelowałam do panny Verinder w sposób, który pan sierżant uznał za najbardziej pożądanym, zwróciłam się do niej następnie w sposób, który moim zdaniem powinien był wywrzeć na niej największe wrażenie. Zanim córka moja opuści/a dom, dwukrotnie ostrzegałam ją na osobności, że wystawia się na uwłaczające podejrzenia. Teraz więc oświadczyłam jej bez ogródek, że obawy moje potwierdziły się w całej rozciągłości.

Odpowiedź jej poparta solennymi zapewnieniami, nie pozostawia żadnych wątpliwości. Po pierwsze moja córka nie jest winna nikomu ani pensa. Po drugie od środy wieczór, gdy włożyła diament do szafki, nie znajdował się on ani przez chwilę w jej ręku.

Na tym jednak wyczerpują się zwierzenia mojej córki. Zachowuje ona uparte milczenie, gdy pytam, czy potrafi wytłumaczyć fakt zniknięcia diamentu. Zalewa się łzami, ale odmawia, gdy błagam ją, by przemówiła przez wzgląd na mnie. „Nadejdzie dzień, kiedy dowiesz się, czemu nie zważam na hańbiące podejrzenia i czemu nie zwieram się nawet tobie. Moja matka może współczuć mi z racji tego, co uczyniłam, ale nie ma najmniejszego powodu, aby się za mnie rumienić”. To są jej słowa.

Po tym, co zaszło między panem sierżantem a mną, sądzę, że — aczkolwiek jest on człowiekiem obcym — powinien podobnie jak i ty, Betteredge, znać odpowiedź panny Verinder. Przeczytaj mu ten Ust, a następnie wręcz czek, który załączam. Rezygnuję z jego dalszych usług. Dodam, że jestem przekonana o jego uczciwości i inteligencji, lecz zarazem jestem bardziej niż kiedykolwiek pewna, że w tym wypadku fatalny splot okoliczności wprowadził go w błąd.

Na tym list się kończył. Przed wręczeniem czeku zapytałem sierżanta Cuffa, czy nie ma jakichś uwag.

— Robienie uwag na temat sprawy, z którą skończyłem, nie należy do moich obowiązków, panie Betteredge — odparł.

Rzuciłem mu na stół czek.

— Czy wierzy pan przynajmniej w tę część listu lady Verinder? — spytałem z oburzeniem.

Sierżant spojrział na czek i podniósł brwi w dowód uznania dla hojności mojej pani.

— Czas mój został oszacowany tak wysoko, że będę się musiał za to jakoś odwdzięczyć — rzekł. — Będę pamiętał o sumie, na którą opiewa czek, panie Betteredge, kiedy przyjdzie czas, aby do tego powrócić.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Jej lordowska mość na razie bardzo zręcznie zatuszowała sprawę — rzekł sierżant. — Ale mamy tu do czynienia ze skandalem rodzinnym, który może wybuchnąć znowu w chwili najmniej spodziewanej. Nie minie kilka miesięcy, a będziemy musieli znowu prowadzić dochodzenie, drogi panie.

Słowa te i ton, jakim je wypowiedziano, mogły znaczyć tylko jedno: list mojej pani stanowił zdaniem sierżanta dowód, że panna Rachela ma już tak zatwardziałe serce, iż nie zdołają jej wzruszyć najgorętsze nawet zaklęcia i błagania oraz że omamiła własną matkę (i to w jakich okolicznościach, dobry Boże!) szeregiem ohydnych kłamstw. Nie wiem, co by odpowiedział sierżantowi kto inny będąc na moim miejscu. Ja w każdym razie przemówiłem do niego bez ogródek:

— Panie sierżancie Cuff, uważam ostatnie pańskie słowa za zniewagę wobec lady Verinder i jej córki!

— Panie Betteredge, niech je pan uważa za ostrzeżenie pod pańskim adresem, a będzie pan bliższy prawdy.

Wrzałem gniewem, lecz piekielna pewność siebie, z jaką sierżant udzielił mi powyższej odpowiedzi, zamknęła mi usta.

Podszedłem do okna, żeby trochę ochłonać. Deszcz już ustał i kogóż ujrzałem na podwórzu jak nie pana Begbie'ego, ogrodnika! Czekał on przed domem, żeby kontynuować z sierżantem Cuffem spór na temat dzikiej róży.

— Zechce pan pozdrowić ode mnie pana sierżanta — odezwał się na mój widok Begbie. — Jeżeli ma ochotę pójść pieszo na stację, chętnie będę mu towarzyszył.

— Co? — zawołał zza moich pleców sierżant. — Jeszcze pana nie przekonałem?

— Ani trochę! — odparł pan Begbie.

— W takim razie pójdę pieszo na stację! — oświadczył sierżant.

— A ja będę czekał na pana przy bramie! — oznajmił pan Begbie. Byłem, jak państwu wiadomo, mocno zirytowany — ale czyż można długo

wytrwać w gniewie słysząc tak zabawny dialog? Sierżant Cuff *zauważył od* razu zmianę mojego nastroju i udobruchał mnie jeszcze bardziej wtrąconą zręcznie uwagą:

— Niechże się pan rozpogodzi! Czemu nie zapatruje się pan na moje zdanie o sprawie tak samo, jak zapatruje się na nie lady Verinder? Czemu nie powie pan sobie, że fatalny spłot okoliczności wprowadził mnie w błąd?

Zapatrywać się na coś tak samo jak lady Verinder — stanowiło zaszczyt, o który warto się było ubiegać — choćby nawet sugestia wyszła z ust sierżanta Cuffa. Ochłonałem więc szybko i odzyskałem zwykły spokój. Poczulem, że wszelkie opinie o pannie Racheli, odmienne od opinii mojej pani i mojej, winny budzić we mnie jedynie pogardę. Nie mogłem jednak zdobyć się na to, aby nie poruszać już sprawy Kamienia Księżycowego! Rozsądek — wiem o tym — powinien był ostrzec mnie, żebym omijał ten temat, ale niestety, za czasów mojej młodości nie wynaleziono jeszcze cnót, zdobiących obecne pokolenie! Sierżant Cuff zranił mnie w najczulsze miejsce i aczkolwiek spoglądałem na niego pogardliwie i z góry, rana ta wciąż bardzo mi dolegała. Skończyło się tym, że okrężną drogą naprowadziłem go znów na temat listu jej lordowskiej mości.

— Ja nie mam żadnych już wątpliwości — rzekłem — ale mniejsza o to! Niech pan mówi tak, jak gdyby można mnie jeszcze było przekonać. Twierdzi

pan, że pannie Racheli nie należy wierzyć i że usłyszymy jeszcze o Kamieniu Księżycowym. Niechże pan uzasadni swoje zdanie, panie sierżancie — zakonkludowałem z nonszalancką miną. — Niech je pan uzasadni!

Sierżant nie obraził się wcale — przeciwnie, chwycił moją dłoń i uściśnął ją tak mocno, że aż mnie palce zabołały.

— Słowo honoru — oznajmił uroczyście ten dziwny urzędnik policji — przeniósłbym się choćby jutro do służby domowej, gdybym miał pewność, że będę pracował razem z panem, panie Betteredge! Jeżeli się powie, że jest pan naiwny jak dziecko, będzie to dla dzieci komplement, na który dziewięcioro spośród dziesięciorga nie zasługuje. No, no, nie zaczynajmy dyskusji od początku. Nie powiem już słowa o jej lordowskiej mości ani o pannie Verinder — raz jeden tylko przez wzgląd na pana zabawię się w proroka. Ostrzegłem już pana, że sprawa Kamienia Księżycowego nie jest jeszcze zakończona. Pięknie. Teraz na pożegnanie powiem panu o trzech rzeczach, które zdarzą się w przyszłości, a które narzucą się pańskiej uwadze niezależnie od pańskiej woli i chęci.

— Niech pan mówi — odrzekłem z miną równie niedbałą jak przedtem.

— Po pierwsze — rzekł sierżant — będzie pan miał jakieś wiadomości od Yollandów, kiedy listonosz doręczy im w poniedziałek list od Rosanny.

Gdyby oblał mnie kubłem zimnej wody, wątpię, czy doznałbym bardziej niemiłego wstrząsu. Rzeczywiście, wobec zapewnień panny Racheli, że jest niewinna, postępowanie Rosanny — uszycie nowej koszuli nocnej, ukrycie starej splamionej i tak dalej - było zupełnie niewytłumaczone. Nie przyszło mi to wcale do głowy, dopóki sierżant Cuff mi tej myśli nie podsunął!

— Po drugie — ciągnął dalej sierżant — usłyszysz pan jeszcze o trzech Hindusach. Jeżeli panna Rachela zostanie tu w okolicy, dowie się pan, że oni też znajdują się tu w okolicy. Jeżeli panna Rachela wyjedzie do Londynu, dowie się pan, że Hindusi są w Londynie.

Ponieważ trzech kuglarze przestali mnie interesować, a nie wątpiłem dłużej o niewinności mojej panienki, potraktowałem to drugie prorocstwo dość lekko.

— No to już mamy dwie spośród trzech rzeczy, które mają się zdarzyć — rzuciłem. — Posłuchajmy teraz trzeciej.

— Po trzecie — oznajmił sierżant Cuff — prędzej lub później usłyszysz pan coś niecoś o tym lichwiarzu londyńskim, o którym pozwoliłem sobie już dwukrotnie wspomnieć. Proszę mi dać swój notes, a zapiszę panu jego nazwisko i adres, żeby kiedy się to trzecie prorocstwo spełni, nie miał pan żadnych wątpliwości.

Następnie wypisał na czystej kartce: „P. Septimus Luker, Middlesex Place, Lambeth, Londyn”.

— Oto na razie ostatnie słowa na temat Kamienia Księżycowego — dodał wskazując adres. — Czas pokaże, czy mam słuszość, czy też nie. Tymczasem, sir, odjeżdżam z uczuciem szczerzej sympatii do pana, która, jak sądzę, przynosi zaszczyt nam obu. Jeżeli nie spotkamy się, zanim wycofam się ze służby śledczej, tuszę, iż odwiedzi mnie pan w małym domku pod Londynem;

mam właśnie taki domek na oku. Może pan być pewien, że w moim ogrodzie ścieżki będą zasiane trawą, panie Betteredge. A co się tyczy białej róży...

— Akurat panu wyrośnie biała róża, jeżeli pan jej nie zaszczepi na dzikiej róży — rozległ się głos zza okna.

Odwróciliśmy się obaj. Pod oknem stał niezmordowany pan Begbie, zbyt spragniony dalszej dyskusji, aby czekać dłużej przy bramie. Sierżant ścisnął mi boleśnie rękę i wybiegł na podwórze, bardziej jeszcze zaciętrzewiony od ogrodnika.

— Kiedy wróci, niech go pan zapyta o białą różę, a przekonana się pan, czy został mu Choć jeden argument! — zawołał wielki Cuff pozdrawiając mnie jeszcze raz przez okno.

— Panowie — odparłem starając się ich uspokoić, jak już mi się to raz udało — jeśli chodzi o białą różę, to wiele da się powiedzieć na rzecz obu stron.

Mogłem równie dobrze ciskać grochem o ścianę. Sierżant i ogrodnik ruszyli w drogę tocząc bitwę o różę zawzięcie i bez pardonu. Kiedy ostatni raz spojrzałem na nich, nim znikli za zakrętem, pan Begbie potrząsał uparcie głową, sierżant Cuff zaś trzymał go za ramię niby schwytanego przestępcę. Ach, mój Boże! Przyznam się, że polubiłem szczerze sierżanta, choć jednocześnie nienawidziłem go z całej duszy.

Proszę, niech się państwo rozeznają w moim stanie ducha — jeśli tylko potrafią. Zresztą pozbędą się już państwo wkrótce zarówno mnie, jak i moich zmiennych nastrojów. Pozostało mi jedynie opowiedzieć o odjeździe pana Franklina, a kronika sobotnich wypadków będzie zamknięta. Gdy zaś opiszę jeszcze pewne dziwne sprawy, które zdarzyły się w następnym tygodniu, udział mój w niniejszej opowieści na tym się wyczerpie i przekażę pióro osobie, która ma zabrać głos po mnie. Jeżeli czytanie mojego sprawozdania znużyło państwa w równym stopniu co mnie pisanie, to jeszcze kilka kartek, a — Boże! — z jakąż ulgą odetchną obie strony!

ROZDZIAŁ XXII

Trzymałem bryczkę w pogotowiu na wypadek, gdyby pan Franklin mimo wszystko chciał wyjechać jeszcze tegoż wieczora. Po pewnym czasie na widok znoszonego na dół bagażu, za którym postępował również pan Franklin, zrozumiałem bez słów, że nasz młody gość po raz pierwszy chyba w życiu nie zmienił zamiaru.

— A więc zdecydował się pan rzeczywiście, sir? — spytałem, kiedyśmy się spotkali w hallu. — Może jednak poczeka pan jeszcze kilka dni, żeby dać pannie Racheli czas do namysłu?

Teraz, gdy nadeszła chwila pożegnania, wszystkie cudzoziemskie naleciałości opadły z pana Franklina niby łuska. Zamiast odpowiedzi podał mi list, który dostał od mojej pani. Treść jego w zasadzie stanowiła powtórzenie wiadomości zawartych w liście do mnie, na końcu wszakże dodany był ustęp

dotyczący panny Racheli. Przytaczam go, gdyż jeśli nie rzuci on nowego światła na sprawę, to w każdym razie wyjaśni, czemu pan Franklin trwał tak niezłomnie w swym postanowieniu.

Zdziwisz się zapewne — pisa/a moja pani — że pozwalam, aby własna córka trzymała mnie w całkowitej niewiedzy względem tego, co się właściwie stało. Zginął diament wartości dwudziestu tysięcy funtów, a ja mogę się tylko domyślać, że tajemnica jego zniknięcia nie jest wcale dla Racheli tajemnicą i że jakaś nie znana mi osoba (czy może osoby) zobowiązała ją do milczenia, którego celu nie potrafię zupełnie przeniknąć. Czy to możliwe, abym pozwoliła się tak traktować? Owszem, a przyczyną jest obecny stan nerwów Racheli. Tak jest wzburzona i zrozpaczona, że serce mi się ściska, kiedy na nią patrzę. Nie odważę się poruszyć z nią tematu diamentu, dopóki się z czasem choć trochę nie uspokoi. Ze względu też na jej stan nie waham się odprawić sierżanta Cuffa. Wobec nękającej nas zagadki jest on równie bezradny jak i my, a poza tym nie jest to sprawa, w której zdoła nam pomóc ktoś obcy. Obecność sierżanta przysparza mi tylko cierpień, Rachelę zaś sam dźwięk jego nazwiska doprowadza do szalu.

Ułożyłam już możliwie jak najdokładniej plany na przyszłość. Chcę zawieźć teraz Rachelę do Londynu; mam nadzieję, że całkowita zmiana otoczenia dobrze na nią wpłynie, a ponadto będę się starała zrobić wszystko, co w mojej mocy, zasięgając porady najlepszych lekarzy. Czy mogę Cię prosić, abyś spotkał się z nami w Londynie? Kochany mój chłopcze, musisz iść za moim przykładem i równie cierpliwie jak ja czekać na sposobniejszą chwilę. Racheli w obecnym swoim okropnym stanie ducha nie może Ci wciąż przebaczyć, żeś po zaginięciu diamentu pomagał przy dochodzeniu w tej sprawie. Działając w najlepszej wierze, przysporzyłeś nieświadomie niepokoju Racheli, która lękała się, że zabiegi Twoje mogą doprowadzić do ujawnienia jej sekretu. Nie mogę oczywiście usprawiedliwiać przewrotności, z jaką moja córka czyni Cię odpowiedzialnym za skutki, których ani Ty, ani ja nie mogliśmy, rzecz prosta, przewidzieć. W tej chwili wszakże niepodobna jej nic wyperswadować — można jej tylko współczuć. Przykro mi niezmiernie, ale sądzę, że na razie lepiej będzie, abyś się z Rachelą nie widywał. Mogę Ci udzielić jednej tylko rady — daj jej czas do opamiętania.

Zwróciłem list współczując szczerze panu Franklinowi, wiedziałem bowiem, jak gorące uczucia żywi do mojej pani, i zrozumiałem, że list jej matki musiał zranić go w samo serce.

— Zna pan przysłówie — powiedziałem tylko — „najczarniej jest przed świtem”. A nie może już być dużo czarniej niż teraz.

Pan Franklin złożył list ciotki, niezbyt pocieszony moją uwagą.

— Kiedym tu przyjechał z Londynu z tym szatańskim diamentem —

rzeki — nie było chyba szczęśliwszego domu w całej Anglii. A cóż się z nim stało teraz! Rodzina rozproszona, skłócona, nawet powietrze zatrute jest podejrzeniami i zagadkami! Czy pamiętasz ów ranek na Drżących Piaskach, kiedyśmy rozmawiali o wuju Herncastle'u i jego upominku? Kamień Księżycowy stał się narzędziem zemsty pułkownika, Betteredge, i to w takim stopniu, o jakim pułkownik nawet nie marzył! Z tymi słowy uściskał mi dłoń i ruszył do bryczki.

Zszedłem za nim po stopniach. Serce mi się ścisnęło z żalu, że w takich okolicznościach opuszcza stare gniazdo, w którym spędził swe najszcześniejsze lata. Penelopa (głęboko zasmucona wszystkim, co zdarzyło się w domu) przyszła z płaczem, aby go pożegnać. Pan Franklin ucałował ją serdecznie. Skinąłem tylko ręką, jakby mówiąc: „Proszę bardzo, niech się pan nie kępuje, sir”. Inne służące wyglądały zza rogu domu. Pan Franklin należał do mężczyzn, których lubią wszystkie kobiety. Zatrzymałem w ostatniej chwili bryczkę i prosiłem, aby zechciał łaskawie napisać do nas z miasta. Zdawał się nie słyszeć wcale, co mówię — rozglądał się dokoła, jakby się żegnał ze starym domem i parkiem.

— Niech pan powie przynajmniej, dokąd się pan udaje! — prosiłem trzymając się bryczki.

Pan Franklin nasunął nagle kapelusz na oczy.

— Dokąd? — powtórzył jak echo. — Do diabła! Kuc drgnął na to słowo, jakby zdjęty przerażeniem.

— A niechże panu Bóg błogosławi, gdziekolwiek się pan znajdzie! — zdążyłem tylko zawołać, zanim pan Franklin zniknął mi z oczu. Zaczny, uroczy młodzieniec! Mimo wszystkich wad i dziwactw zaczny, uroczy młodzieniec! Wraz z jego wyjazdem dom mojej pani zupełnie opustoszał.

Kiedy wreszcie zmierzch zapadł po owym długim letnim dniu sobotnim, było nam wszystkim bardzo markotno. Starłem się walczyć z przygnębieniem za pomocą fajki i „Robinsona Kruzoa”. Kobiety (zwyczajnie Penelopy) skracaly sobie czas rozmową o samobójstwie Rosanny. Obstawały wszystkie przy zdaniu, że nieszczęśliwa dziewczyna skradła Kamień Księżycowy i zabiła się ze strachu przed wykryciem. Moja córka oczywiście w skrytości ducha żywiła wciąż to samo przeświadczenie, o którym mówiła mi od początku. Ale rzecz szczególna; hipoteza Penelopy miała tę samą słabą stronę, co zapewnienia panny Racheli o jej niewinności — w takim razie bowiem potajemna wyprawa Rosanny do Frizinghall i jej postępowanie w związku z koszulą nocną było całkiem niewytłumaczone. Nie warto było jednak spierać się o to z Penelopą — wszelkie argumenty spływały po niej bez najmniejszego śladu, niby deszcz po ceratowym płaszczu nieprzemakalnym. Córka moja odziedziczyła po mnie pogardę dla logiki i muszę przyznać, że w tej dziedzinie zakasowała nawet własnego ojca.

Nazajutrz (w niedzielę) zamknięty powóz, który znajdował się przez ten czas u państwa Ablewhite'ów, wrócił do nas próżny. Stangret przywiózł

dla mnie ustną wiadomość, ponadto zaś pisemne instrukcje dla pokojówki mojej pani i dla Penelopy.

Stangret oświadczył mi, że moja pani postanowiła zawieźć w poniedziałek pannę Rachelę do swego domu londyńskiego. Instrukcje pisemne informowały obydwie pokojowe o tym, co mają zabrać z ubrania swoich pań, i nakazywały im oczekiwać z tymi *bagażami* w Londynie o określonej porze. Większość służby miała pojechać tam nieco później. *Panna* Rachelę zdradzała taką niechęć do powrotu do domu po tym, co w nim zaszło, że moja pani postanowiła udać się do Londynu wprost z Frizinghall. Ja miałem aż do dalszych rozkazów pozostać na wsi, aby dopilnować porządku w domu i w całej posiadłości. Służba pozostająca ze mną miała otrzymywać strawne.

Przypomniałem sobie, co pan Franklin powiedział o rozproszonej i skłóconej rodzinie, następnie zaś naturalną rzeczą kolejną zacząłem rozmyślać o panu Franklinie. Im dłużej o nim myślałem, tym większy czułem niepokój

o jego dalsze losy. Skończyło się na tym, że napisałem do kamerdynera jego ojca, pana Jeffco (którego znałem z dawnych lat), z prośbą, aby powiadomił mnie, co pan Franklin po powrocie do Londynu postanowił robić. List ten wysiałem niedzielną pocztą.

Wieczór niedzielny był, o ile to możliwe, jeszcze smutniejszy od sobotniego. Zakończyliśmy ten dzień odpoczynku, podobnie jak kończą go regularnie co tydzień setki tysięcy mieszkańców naszych wysp — drzemając w fotelach

i czekając z utęsknieniem chwili, kiedy będzie wreszcie wypadało pójść spać.

Jakie wrażenie wywarł poniedziałek na reszcie domowników, tego nie wiem. Jeśli zaś chodzi o mnie, doznałem wielkiego wstrząsu. Tego dnia bowiem sprawdziła się pierwsza przepowiednia sierżanta Cuffa — ta mianowicie, że usłyszę jeszcze o Yollandach.

Odwiozłem na kolej Penelopę i pokojówkę mojej pani z bagażami i obchodziłem właśnie posiadłość, kiedy usłyszałem, że ktoś mnie woła. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z córką rybaka. Kulawą Lucy. Gdy się pominęło jej zniekształconą nogę i jej chudość (którą poczytuję u kobiety za wielką wadę), dziewczyna mogłaby się nawet podobać mężczyznom. Miała smagłą, żywą, mądrą twarzyczkę, ładny, dźwięczny głos i piękne, gęste, ciemne włosy — to były jej zalety. Kula, na której musiała się opierać przy chodzeniu, należała do jej nieszczęść. Jedną zaś z najgorszych jej wad był popędliwy temperament.

— Słucham cię, moja droga — powiedziałem. — Czy życzysz sobie czegoś ode mnie?

— Gdzie jest ten człowiek, ten Franklin Blake, jak go nazywacie? — spytała dziewczyna wspierając się na kuli i świdrując mnie gniewnym spojrzeniem.

— W ten sposób nie mówi się o dżentelmenie — napomniałem ją. — Jeżeli pragniesz zapytać o siostrzeńca mojej pani, zechciej mówić o nim: pan Franklin Blake.

Pokuśtykała bliżej z taką miną, jakby chciała zjeść mnie żywcem.

— Pan Franklin Blake? — powtórzyła. — Morderca Franklin Blake byłoby stosowniejszym tytułem.

Praktyka, której nabyłem w czasie pożycia z nieboszczką panią Betteredge, przyszła mi w tej chwili z pomocą. Ilekroć kobieta stara się wyprowadzić cię z równowagi, przejdź do ataku i postaraj się sam ją wyprowadzić z równowagi. Przygotowane są zwykle na każdy twój manewr we własnej obronie oprócz właśnie tego. Jedno słowo działa tu równie skutecznie jak sto, w wypadku zaś Kulawej Lucy wystarczył nawet nieartykułowany dźwięk. Spojrzałem na nią dobrotliwie i rzuciłem:

— Phi!

Dziewczyna z punktu wpadła w furię. Przeniosła ciężar ciała na zdrową nogę, chwyciła kulę i z wściekłością uderzyła nią trzy razy o ziemię.

— To morderca! Morderca! Morderca! Przez niego umarła Rosanna Spearman! — wrzeszczała co sił w płucach.

Kilka osób pracujących nie opodal w parku obejrzało się. Widząc jednak, że to Kulawa Lucy, i wiedząc, czego można się po niej spodziewać, odwrócili się znowu.

— Przez niego zginęła Rosanna Spearman? — powtórzyłem. — Skąd ten pomysł. Lucy?

— Co to pana obchodzi? Co to w ogóle może obchodzi jakiegokolwiek mężczyznę? O! Gdyby Rosanna była o mężczyznach tego zdania co ja, może by żyła jeszcze!

— W każdym razie była zawsze nie najgorszego zdania o mnie — odparłem — a ja w miarę sił i możliwości starałem się zawsze być dla niej dobry.

Wypowiedziałem te słowa tonem jak najbardziej łagodnym i uspokajającym. Nie miałm już serca irytować dziewczyny ironiczną odpowiedzią. Z początku widziałem tylko jej gniew — teraz dostrzegłem także cierpienie malujące się w jej oczach, a u ludzi prostych cierpienie, jak się państwo może przekonają, idzie często w parze z gniewnym tonem. Odpowiedź moja stopiła złość Lucy. Pochyliła głowę i oparła ją na kuli.

— Kochałam ją — powiedziała cicho. — Ona miała okropne życie, panie Betteredge. Żli ludzie maltretowali ją i krzywdzili, ale to nie spaczyło jej szlachetnego usposobienia. Była aniołem. Mogła być ze mną szczęśliwa. Planowałam, że pojedziemy razem do Londynu, jak dwie siostry, i będziemy się utrzymywały z szycia. Potem zjawił się mężczyzna i wszystko zepsuł. Rzucił na nią urok. Proszę mi nie mówić, że tego nie chciał, że o tym nie wiedział. Powinien był wiedzieć. Powinien był ulitować się nad nią. „Nie mogę bez niego żyć, a on — och, Lucy! — on nigdy nawet na mnie nie spojrzy!” Tak mówiła. Okrutny, okrutny, okrutny! Powiedziałam jej: „Żaden mężczyzna niewart jest tego, żeby się o niego tak zamartwiać”. A ona na to: „Są mężczyźni, dla których warto umrzeć. Lucy, i on do nich należy”. Zaoszczędziłam trochę pieniędzy. Omówiłam wszystko z ojcem i z matką. Chciałam zabrać ją stąd, żeby nie znosiła dłużej takich upokorzeń. Wynajęłybyśmy w Londynie malutkie mieszkanko i żyłybyśmy jak dwie siostry.

Rosanna była edukowana, jak pan wie, i miała piękny charakter pisma. Umiała ślicznie szyć. Ja też otrzymałam jaką taką edukację i mam dobry charakter pisma. Nie umiem szyć tak pięknie jak ona, ale też szyję nieźle. Mogłybyśmy doskonale zarobić na sobie. Ale cóż się dzieje dzisiaj rano? Cóż się dzieje dzisiaj rano? Dostaję od niej list, w którym Rosanna pisze, że uwalnia się od ciężaru życia. Dostaję od niej list, w którym żegna mnie na wieki. Gdzie on jest? — zawołała dziewczyna podnosząc głowę; oczy jej ciskały iskry poprzez łzy. — Gdzie ten pan, o którym każą mi mówić z szacunkiem? Ha, panie Betteredge, niedaleki już ten dzień, kiedy biedni powstaną przeciw bogatym. Modłę się do Boga, żeby zaczęli od niego.

Oto miałem przed sobą jeszcze jedną wcale dobrą chrześcijankę, której chrześcijańskie uczucia zawiodły, bo wystawiono je na zbyt ciężką próbę! Sam pastor chyba (choć przyznam, że wypowiadam bardzo śmiało przypuszczenie) nie zdobyłby się na to, żeby napomnieć w tej chwili nieszczęśliwą, szalejącą z rozpaczy dziewczynę. Ja zaś postarałem się tylko naprowadzić ją z powrotem na główny temat w nadziei, że usłyszę coś godnego uwagi.

— Czego chcesz od pana Franklina Blake'a? — zapytałem.

— Chcę się z nim widzieć.

— Czy w jakimś określonym celu?

— Mam mu oddać list.

— Od Rosanny Spearman?

— Tak.

— Przysłany w liście do ciebie?

— Tak.

Czyżby mrok miał się rozproszyć? Czyżby wszystkie odkrycia, których tak okrutnie pragnąłem dokonać, same szły mi teraz w ręce? Musiałem przeczekać chwilę. Sierżant Cuff pozostawił po sobie niebezpieczne zarazki. Pewne objawy, znane tylko mnie samemu, ostrzegły mnie w tej chwili, że gorączka detektywistyczna atakuje mnie znowu.

— Nie możesz się widzieć z panem Franklinem — rzekłem.

— Muszę się z nim widzieć i zobaczę się z nim.

— Wyjechał wczoraj do Londynu.

Kulawa Lucy spojrzała mi przenikliwie w oczy i wyczytała z nich, że mówię prawdę. Bez słowa odwróciła się i ruszyła w stronę Cobb's Hole.

— Zaczekaj! — powiedziałem. — Spodziewam się jutro wiadomości od pana Franklina. Daj ten list, wyślę mu go pocztą.

Kulawa Lucy wsparła się na kuli i obejrzała się na mnie przez ramię.

— Mam mu go oddać tylko i wyłącznie do rąk własnych — odparła.

— Czy mam napisać mu o tym, coś mi mówiła?

— Niech mu pan napisze, że go nienawidzę, a napisze mu pan szczerą prawdę.

— Dobrze, dobrze. Ale w sprawie tego listu?...

— Jeżeli chce dostać list, musi wrócić tutaj i odebrać go ode mnie.

Z tymi słowy pokuśtykała w kierunku Cobb's Hole. Gorączka detektywistyczna od razu spaliła do cna całą moją godność osobistą. Poszedłem za nią

i usiłowałem nakłonić ją, by zdradziła mi swój sekret. Wysiłki moje były daremne. Pech chciał, że jestem mężczyzną, toteż Kulawa Lucy cieszyła się tylko, że może mi sprawić zawód. Nieco później tego samego dnia próbowałem szczęścia z jej matką, ale zacna pani Yolland płakała tylko i częstowała mnie na pocieszenie kropelkami z holenderskiej flaszki. Znalazłem potem rybaka na brzegu morza. Powiedział, że to paskudna historia, i dalej reperował sieci. Zarówno matka, jak i ojciec wiedzieli nie więcej ode mnie. Pozostało mi tylko jedno wyjście — napisać rano do pana Franklina Blake'a.

Kochani czytelnicy mogą sobie wyobrazić, jak wyglądałem listonosza we wtorek rano. Listonosz przyniósł mi dwa listy. Jeden od Penelopy (który w niecierpliwości swej ledwie zdołałem doczytać do końca) donoszący, że moja pani i panna Rachela dojechały szczęśliwie do Londynu. Drugi od pana Jeffco z wiadomością, że syn jego pana opuścił już Anglię.

Po przyjeździe do stolicy pan Franklin, jak wynikało z listu, udał się prosto do rezydencji swego ojca. Przybył w niezbyt pomyślnej chwili. Starszy pan Blake, pochłonięty sprawami Izby Gmin, zabawiał się właśnie tego wieczora w domu ulubioną zabawką parlamentarną zwaną „priyate bill”*. Pan Jeffco sam zaprowadził pana Franklina do gabinetu ojca.

— Drogi Franklinie, co za niespodzianka! Czyżby się stało coś złego?

— Tak, chodzi o Rachelę, jestem straszliwie zaniepokojony.

— Bardzo mi przykro, bardzo. Ale nie mogę cię teraz wysłuchać.

— A kiedy ojciec będzie mógł?

— Kochany chłopcze! Nie będę cię zwodził — mogę cię wysłuchać po zakończeniu sesji i ani chwili wcześniej. Dobranoc.

— Dziękuję ojcu. Dobranoc.

Tak się przedstawiała w relacji pana Jeffco rozmowa w gabinecie. Rozmowa po wyjściu z gabinetu była jeszcze krótsza.

— Jeffco. zobacz, o której odchodzi jutro rano pociąg do portu.

— O szóstej czterdzieści, panie Franklinie.

— Każ mnie obudzić o piątej.

— Wyjeżdża pan za granicę, sir?

— Pojadę tam, dokąd mnie kolej zawiezie, Jeffco.

— Czy mam zawiadomić o tym pańskiego ojca, sir?

— Tak, zawiadom go o tym po zakończeniu sesji.

Nazajutrz rano pan Franklin wyruszył do obcych krajów. Dokąd zmierzał, o tym nikt (nie wyłączając jego samego) nie miał pojęcia. Mogliśmy łącznie dostać od niego następną wiadomość z Europy, Azji, Afryki albo Ameryki. Zdaniem pana Jeffco szanse były równo podzielone między wszystkie cztery strony świata.

Nowiny te — niweczając wszelkie nadzieje na spotkanie Kulawej Lucy

i pana Franklina—zahamowały jednocześnie moje dalsze postępy na drodze ku rozwiązaniu zagadki. Przekonanie Penelopy, że koleżanka jej odebrała

* Projekt ustawy wniesiony przez osobę prywatną.

sobie życie z nieodwzajemnionej miłości do pana Franklina Blake'a, potwierdziło się — i na tym koniec. Czy list, który Rosanna nakazała oddać panu Franklinowi po swej śmierci, zawierał wyznanie, którego, jak podejrzewał pan Franklin, chciała w swoim czasie wobec niego dokonać — nie sposób było stwierdzić. Być może zawiera! on jedynie słowa pożegnania i zdradzał tylko tajemnicę jej nieszczęśliwej miłości do osoby zbyt wysoko dla niej postawionej. Ale z drugiej strony być może opowiadał też, jak się naprawdę rzecz miała z jej dziwnym postępowaniem zaobserwowanym przez sierżanta Cuffa od chwili zaginięcia Kamienia Księżycowego do chwili, gdy pobiegła szukać śmierci w Drżących Piaskach. Kulawa Lucy dostała zapieczętowany list i pozostał on zapieczętowany dla mnie i dla całego otoczenia dziewczyny, nie wyłączając jej rodziców. Wszyscyśmy podejrzewali, że zna ona dokładnie tajemnice zmarłej, wszyscy próbowaliśmy nakłonić ją do ich wyjawienia i nikomu z nas się to nie udało. To ta, to owa spośród służących — przeświadczona nadal, że Rosanna skradła diament i gdzieś go ukryła — krążyła i szperała wśród skał, do których prowadziły ostatnie ślady biednej dziewczyny, ale wszelkie poszukiwania były bezowocne. Odpływy następowały po przyptywach, minęło lato, nadeszła jesień. A ruchome piaski, które ukryły ciało dziewczyny, kryły także i jej tajemnicę.

Wiadomości o wyjeździe pana Franklina z Anglii w niedzielę rano oraz wiadomości o przybyciu mojej pani do Londynu z panną Rachetą w poniedziałek po południu dotarły do mnie, jak sobie czytelnicy przypominają, z pocztą wtorkową. Nadeszła środa, która nie przyniosła nic ciekawego. We czwartek dostałem drugą serię nowin od Penelopy.

Moja córka pisała, że pewien wielki doktor londyński, do którego zwrócono się o poradę w sprawie jej panienki, zarobił gwineę orzekając, że pannie Racheli potrzeba rozrywek. Zaplanowano więc moc zabaw — wystawy kwiatów, opery, bale — a panna Rachel, ku zdumieniu matki, chętnie na to wszystko przystała. Pan Godfrey był z wizytą, najwyraźniej po dawnemu zakochany w kuzynce mimo odkosza, którego dostał próbując u niej szczęścia w dniu jej urodzin. Ku wielkiemu żalowi Penelopy doznał bardzo łaskawego przyjęcia i z miejsca wciągnął nazwisko panny Racheli na listę uczestniczek w jednej ze swych imprez dobroczynnych. Moja pani była pono dość zgaszona i odbyła dwie długie narady ze swoim radcą prawnym. Potem następowały rozważania na temat pewnej ubogiej krewnej lady Verinder, niejakiej panny Clack, o której opisując przyjęcie urodzinowe wspominałem, że siedziała obok pana Godfreya i wykazała duże znanstwo w zakresie szampana. Penelopa dziwiła się, że panna Clack nie złożyła jeszcze mojej pani wizyty. Ale chyba długo nie potrwa, a znów przyczepi się do milady jak pijawka — i tak dalej, i tak dalej, zwykle złośliwostki, jakich kobiety nie skąpią sobie nawzajem na papierze i nie na papierze. Nie wspominałbym o tym wszystkim, gdyby nie pewien powód — otóż, jak słyszę, zawrą państwo być może znajomość z panną Clack. Jeżeli tak, to proszę nie wierzyć temu, co będzie o mnie opowiadała.

W piątek nic nie zaszło — poza tym, że jeden z psów dostał jakiejś wysypki za uszami. Dałem mu na przeczyszczenie i kazałem wziąć go na dietę, to znaczy dawać mu tylko kaszę i jarzyny aż do odwołania. Przepraszam, że

o tym wspomniałem. Jakoś mi się to napisało. Proszę łaskawie wykreślić z pamięci ten ustęp. Wkrótce już przestanę uchybiać wybrednemu poczuciu dobrego smaku drogiego państwa. A zresztą pies był pocziwym stworzeniem

i zasługiwał na troskliwą kurację, dając na to słowo.

Sobota, ostatni dzień tygodnia, stanowi również ostatni dzień mojego opowiadania.

Poczta poranna przyniosła mi niespodziankę w postaci gazety londyńskiej. Pismo, którym nakreślono adres, zastanowiło mnie. Porównałem je z nazwiskiem i adresem lichwiarza zapisanym w moim notesie i zidentyfikowałem je od razu jako pismo sierżanta *Cuffa*.

Po tym odkryciu, przeglądając ze zrozumiałym zainteresowaniem gazetę, ujrzałem zakreślony atramentem ustęp z kroniki policyjnej. Oto on, do usług państwa. Gdy go państwo przeczytają, ocenią bez wątpienia uprzejmość sierżanta, który zadał sobie trud przesłania mi najświeższych nowin:

LAMBETH. — Tuż przed zamknięciem sądu pan *Septimus Luker*, znany kolekcjoner i antykwariusz zajmujący się kupnem i sprzedażą starych klejnotów, rzeźb, dzieł sztuki itd., zgłosił się do urzędującego sędziego pokoju prosząc o radę. Petent stwierdził, że przez cały prawie dzień jego spokój zakłócało trzech wędrownych Hindusów, z gatunku tych, od których roi się na ulicach Londynu. Przepędzeni przez policję powracali raz po raz i usiłowali dostać się do domu pod pretekstem żebraniny. Odprawieni sprzed drzwi frontowych zjawia/i się wciąż na tyłach posesji. Poza wspomnianym zakłóceniem spokoju pan *Luker* oświadczył, iż lęka się, czy włóczędzy nie planują rabunku. Kolekcja jego zawiera wiele rzadkich klejnotów, zarówno starożytnych jak wschodnich, przedstawiających olbrzymią wartość. Pan *Luker* właśnie poprzedniego dnia musiał odprawić pracownika (jak się zdaje *Hindusa*) wyspecjalizowanego w rzeźbie w kości słoniowej, a podejrzanego o usiłowanie kradzieży, toteż nie ma pewności, czy ten pracownik oraz owi kuglarze uliczni, na których się. uskarża, nie działają w porozumieniu. Być może pragną swoim zachowaniem wywołać zbiegowisko, wytworzyć zamieszanie i w zamieszaniu tym uzyskać dostęp do domu. W odpowiedzi na pytanie sędziego pokoju pan *Luker* odparł, że nie ma żadnych dowodów na to, by ktoś planował napad rabunkowy na jego dom. Może tylko stwierdzić, że trzech *Hindusów* niepokoiło go i zakłócało mu spokój, lecz nic poza tym. Sędzia pokoju oświadczył, że gdyby podobne fakty miały się powtórzyć, petent może sprowadzić *Hindusów* do sądu, w którym zostaną oni ukarani zgodnie z prawem. Co się tyczy kosztowności znajdująca-

cych się w posiadaniu pana Lukera, pan Luker sam powinien postarać się o jak najtroskliwsze zabezpieczenie ich przed kradzieżą. Uczyni dobrze, jeśli porozumie się z policją i zastosuje dodatkowe środki ostrożności, jakie doświadczeni urzędnicy policji mu zalecą. Petent podziękował panu sędziemu i oddalił się.

Podobno jeden ze starożytnych mędrców (nie pamiętam już, przy jakiej sposobności) zalecał bliźnim, aby „patrzali końca”. Otóż od kilku dni zastanawiałem się wciąż, jak poradzę sobie z napisaniem niniejszej relacji, a tu nagle widzę, że moja skromna kronika wydarzeń dobiegła pomyślnie końca sama przez się. W sprawie Kamienia Księżycowego mieliśmy wciąż do czynienia z jednym przedziwnym zjawiskiem po drugim, obecnie zaś kończymy na najdziwniejszym zjawisku ze wszystkich — mianowicie na spełnieniu się wszystkich trzech przepowiedni sierżanta Cuffa w ciągu niecałego tygodnia od chwili, gdy je wyrzekł.

Po nowinach od Yollandów w poniedziałek miałem teraz nowiny o Hindusach i o lichwiarzu w gazecie londyńskiej — a pamiętajmy przy tym, że panna Rachelą również była już w tym czasie w Londynie. Jak państwo widzą, przedstawiam sprawy bezstronnie nawet wówczas, gdy podważa to moje zdanie. Jeżeli na skutek przedłożonych tu dowodów opuszczą mnie państwo i przejdą na stronę sierżanta Cuffa — jeżeli za jedyne logiczne wytłumaczenie powyższego uznacie hipotezę, iż panna Rachelą musiała porozumieć się z panem Lukerem, a diament znajduje się widocznie jako zastaw w domu lichwiarza — nie będę miał wam za złe podobnego wniosku. Doprowadziłem was w ciemnościach aż do tego punktu, a teraz, żegnając się z uszanowaniem, muszę was w tych ciemnościach zostawić.

Dlaczego muszę? — zapyta ktoś może. Dlaczego osób, które zaszły ze mną tak daleko, nie prowadzę teraz w górne regiony światła, w których sam już przebywam?

W odpowiedzi na to mogę tylko stwierdzić, że działałem zgodnie z instrukcjami i że instrukcji tych udzielono mi (jak sądzę) w interesie prawdy. Nie wolno mi opowiadać w tej relacji nic ponad to, co sam w owym czasie wiedziałem. Mówiąc wyraźniej, muszę trzymać się ściśle granic własnych doświadczeń i nie powtarzać państwu tego, co opowiedziały mi inne osoby — z tego prostego powodu, że macie państwo otrzymać od tych osób informacje z pierwszej ręki. Plan polega na tym, aby nie składać ogólnych sprawozdań, lecz po kolei przedstawić świadków. Wyobrażam sobie, jak któryś z przyszłych członków rodziny będzie czytał te strony za pięćdziesiąt lat. Mój Boże, jakże mu to pochlebi, że ma dostęp do wszystkich materiałów tej sprawy i że traktuje się go jak pełnoprawnego sędziego mającego wydać sprawiedliwy wyrok!

Tu się więc rozstajemy, przynajmniej na razie — po długiej wspólnej wędrówce, żegnając się, mam nadzieję, z wzajemną życzliwością. Szatański taniec indyjskiego diamentu przeniósł się do Londynu i państwo muszą podążyć za nim, pozostawiając mnie w zaciszu wiejskim. Proszę darować mi

błędy kompozycji oraz to, że tyle mówiłem o sobie i że byłem, jak się obawiam, zbyt z państwem poufały. Ale nie miałem złych zamiarów i teraz z prawdziwym szacunkiem wznoszę toast za zdrowie i pomyślność państwa (jako że jestem akurat po obiedzie) kuflem doskonałego piwa lady Verinder. Oby zależli państwo w tym moim pisaniu to, co Robinson znalazł w swych przeżyciach na bezludnej wyspie — mianowicie „coś, z czego można czerpać pewną pociechę i co można zapisać w księdze rachunkowej Złego i Dobrego po dodatniej stronie konta”. — Szczęśliwie; drogi!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

CZEŚĆ II

WYKRYCIE PRAWDY
(1848 — 1849)

Wydarzenia opisane w kilku relacjach

RELACJA PIERWSZA

**pióra panny Clack,
siostrzenicy nieboszczyka sir Johna Verindera**

ROZDZIAŁ I

Ukochanym moim rodzicom, którzy oboje są już teraz w niebie, zawdzięczam nawyki ładu i porządku, wpojone mi we wczesnym dzieciństwie.

W owych szczęśliwych, lecz minionych już czasach nauczono mnie dbać o to, aby być porządnie uczesaną o każdej godzinie dnia czy nocy i składać starannie przed udaniem się na spoczynek każdą część ubrania w tej samej kolejności, na tym samym krześle, na tym samym miejscu w nogach łóżka. Wpisanie do dzienniczka wydarzeń dnia odbywało się niezmiennie przed złożeniem ubrania. Hymn wieczorny (powtórzony w łóżku) następował niezmiennie po złożeniu ubrania. Słodki zaś sen dzieciństwa następował niezmiennie po hymnie wieczornym.

W późniejszym życiu — niestety — po hymnie następowały smutne i gorzkie rozmyślenia, spokojny zaś sen zamieniłam z jakże wielką stratą na dręczące zmy, które nawiedzają twardą poduszkę troski. Nadal wszakże składałam zawsze starannie ubranie i prowadzę dziennik. Pierwsze przyzwyczajenie stanowi ogniwo łączące mnie ze szczęśliwym dzieciństwem — z okresem, zanim papa stracił majątek. Drugie przyzwyczajenie — dotychczas przydatne mi tylko do trzymania w ryzach ułomnej natury, którąśmy wszyscy odziedziczyli po Adamie — okazało się niespodziewanie korzystne dla mnie w inny zgoła sposób. Dzięki niemu ja, uboga krewna, mogę spełnić zachciankę bogatego członka naszej rodziny. Mianowicie mam to szczęście, że mogę być użyteczna (w świeckim znaczeniu tego słowa) panu Franklinowi Blake'owi.

Od dość długiego czasu nie miałam żadnych wiadomości o zamożnej gałęzi naszej rodziny. Kiedy mieszkamy w oddaleniu, a jesteśmy ubodzy, ludzie często o nas zapominają. Ja zaś teraz gwoli oszczędności mieszkam wraz ze ścisłym kółkiem przyjaciół-Anglików, ludzi poważnych i myślących, w małym miasteczku bretońskim, posiadającym dwie zalety: duchownego protestanckiego oraz tani rynek.

W ustroniu tym, stanowiącym wyspę wśród rozszalałego oceanu papizmu, który nas otacza, dotarł do mnie ostatnio list z Anglii. Jak się okazuje, pan Franklin Blake przypomniał sobie nagle o moim mizernym istnieniu. Mój bogaty krewny — ach, gdybym mogła dodać: mój bogaty duchowo krewny! — pisze do mnie nie starając się nawet zamaskować faktu, że czegoś ode mnie chce. Taki ma kaprys, by odgrzebać haniebny skandal dotyczący Kamienia Księżycowego i ja mam dopomóc mu opisując wszystko, czego byłam świadkiem podczas pobytu w domu ciotki Verinder w Londynie. Ponadto z brakiem delikatności cechującym bogaczy proponuje mi wynagrodzenie pieniężne. Mam rozdrapać rany, które czas ledwie zagoił, mam odświeżyć w pamięci najboleśniejsze wspomnienia — a kiedy tego dokonam, spotka mnie w nagrodę nowy, bolesny sztych w postaci czeku pana Blake'a. Natura ludzka jest słaba. Musiałam stoczyć ze sobą ciężką walkę, zanim pokora chrześcijańska pokonała grzeszną pychę, a samozaparcie przyjęło czek.

Gdyby nie mój dziennik, wątpię — że użyję tu najwulgarniejszych terminów! — czy zarobiłabym uczciwie te pieniądze. Ale dzięki dziennikowi biedna wyrobница (która przebacza panu Blake'owi uchybienie) zasłuży w pełni na zapłatę, nic bowiem nie uszło mojej uwagi w owym czasie, gdy bywałam u drogiej ciotki Verinder. Dzień po dniu notowałam dokładnie każde zdarzenie (wprawa nabyta w dzieciństwie) i teraz opowiem tu wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Święte umiłowanie prawdy góruje we mnie. Bogu dzięki, nad moim szacunkiem dla tych czy owych osób. Pan Blake będzie mógł bez trudu usunąć to, co uzna za nie dość pochlebne dla osoby zainteresowanej. Kupił mój czas, ale nawet jego bogactwo nie zdoła kupić mojego sumienia*.

Mój dziennik informuje mnie, że w poniedziałek, 3 lipca 1848 roku przechodziłam przypadkiem koło domu ciotki Verinder przy Montagu Square.

Widząc otwarte okiennice i podniesione story uznałam, że uprzejmość nakazuje mi zapukać i zapytać o zdrowie ciotki. Osoba, która otworzyła drzwi, poinformowała mnie, że moja ciotka i jej córka (doprawdy nie mogę nazywać jej kuzynką!) przyjechały przed tygodniem ze wsi i zamierzają

" Uwaga dodana przez Franklina Blake'a: - Panna Clack może być w tej materii najzupełniej spokojna. Nic w jej rękopisie nie zostanie złagodzone, uzupełnione czy też skreślone. To samo dotyczy innych rękopisów, które przejdą przez moje ręce. Bez względu na to, jakie zdania będą wygłaszali autorzy, bez względu na to, jakie osobliwości stylu mogą cechować lub nawet w sensie literackim zniekształcać relacje, które teraz gromadzę, nie zostanie w nich zmienione ani jedno słowo. Autorzy przysyłają mi je jako autentyczne dokumenty i jako takie zachowam je, autentyczność ich zaś stwierdzą podpisami świadkowie znający dobrze fakty. Pozostaje tylko dodać, że „osoba zainteresowana” z opowiadania panny Clack jest obecnie w sytuacji dość szczęśliwej, by móc nie tylko kwitować uśmiechem najzłośliwsze ukłucia piór? panny Clack, lecz nawet uznawać bezsprzeczną wartość tego pióra jako narzędzia odsłaniającego prawdziwy charakter autorki.

pozostać przez jakiś czas w Londynie. Kazałam natychmiast donieść im, że nie chcę ich niepokoić, lecz pragnę się dowiedzieć, czy mogę się na coś przydać.

Osoba, która otworzyła drzwi, z miną zuchwałą zostawiła mnie bez słowa w hallu i udała się z moim poleceniem na górę. Jest to córka starego poganina nazwiskiem Betteredge, od dawna, od nazbyt dawna tolerowanego w rodzinie ciotki. Usiadłam w hallu, by czekać na odpowiedź, a że mam zawsze kilka broszur religijnych w torebce, wybrałam jedną, co jak się okazało, dała się w proroczy wprost sposób zastosować do osoby, która otworzyła mi drzwi. W hallu było brudno i krzesło było twarde, ale błoga świadomość, że płacę dobrem za złe, wyniosła mnie znacznie ponad znikome względy tego rodzaju. Broszura stanowiła jedną z serii rozprawek na temat grzechu strojenia się adresowanych do młodych kobiet. Napisana była stylem pobożnym, a zarazem poufałym. Tytuł brzmiał: „Kilka słów o twoich wstążkach do kapeluszy”.

— Pani bardzo dziękuje i prosi, żeby pani przyszła na lunch jutro o drugiej. Nie zwróciłam uwagi na ton, jakim wypowiedziała te słowa, ani na jej

bezczelne spojrzenie. Podziękowałam młodej grzesznicy i spytałam tonem chrześcijańskiego zainteresowania:

— Czy zrobi mi pani łaskę i przyjmie ode mnie tę oto broszurę? Spojrzała na tytuł.

— Czy to pisał mężczyzna, czy kobieta, proszę pani? Jeżeli kobieta, to już przez to samo wolę nie czytać, a jeżeli mężczyzna, mogę powiedzieć z góry, że nie ma on o tym pojęcia.

Zwróciła mi broszurę i otworzyła drzwi. Ale musimy rozsiewać ziarna dobrego na wszelkie sposoby. Poczekałam więc, aż drzwi się za mną zamkną, po czym wsunęłam broszurę do skrzynki na listy. Kiedy wsunęłam inną broszurę przez ogrodzenie do sutereny, poczułam, że zmniejszyłam nieco swą wielką odpowiedzialność wobec bliźnich.

Mieliśmy tego wieczora zebranie Komitetu Towarzystwa Przerabiania Ubrań. Celem tego zasłużonego towarzystwa — jak to wiadomo wszystkim ludziom poważnym — jest odbieranie z lombardów nie wykupionych spodni ojców i przerabianie ich natychmiast na rozmiary niewinnego syna, aby lekkomyślny i nieodpowiedzialny rodzic nie mógł już ich odzyskać. Byłam w owym czasie członkinią tego Komitetu, a wspominam tu o nim dlatego, że mój nieoceniony i znakomity przyjaciel, pan Godfrey Ablewhite, brał udział w naszych pożytecznych moralnie i materialnie pracach. Spodziewałam się więc, że spotkam się z nim w ów wieczór poniedziałkowy, o którym teraz piszę, i opowiem mu o przyjeździe do Londynu kochanej ciotki Verinder. Ku mojemu rozczarowaniu pan Ablewhite wcale się nie stawił. Gdy wyraziłam zdziwienie z powodu jego nieobecności, moje siostry z Komitetu podniosły oczy znad spodni (miałyśmy tego wieczora moc roboty) i zapytały ze zdumieniem, czy nie wiem, co się stało. Odparłam, że nie wiem, a wówczas siostry opowiedziały mi o zdarzeniu, które tworzy, że tak powiem, początek niniejszego opowiadania. Otóż ubiegłego piątku dwaj panowie biegunowo

odmiennej pozycji społecznej padli ofiarą napaści, która wstrząsnęła całym Londynem. Jednym z nich był pan Septimus Luker z Lambeth, drugim pan Godfrey Ablewhite.

Ponieważ mieszkam teraz z dala od Londynu, nie mogę przytoczyć opisu napaści, zamieszczonego w swoim czasie w gazetach. Nie miałam też niestety sposobności usłyszeć opowiadania o wypadku z wymownych ust pana Godfreya Ablewhitea. Mogę jedynie — zgodnie z planem, jaki nauczono mnie od dziecka stosować przy składaniu ubrania, to znaczy starannie i po kolei — powtórzyć fakty, jak mi je opowiedziano owego poniedziałku. Słowa te pisze biedna, słaba niewiasta, a któż będzie tak okrutny, aby oczekiwać od biednej, słabej niewiasty czegoś więcej?

Data — dzięki moim droгим rodzicom żadna z istniejących encyklopedii nie jest bardziej dokładna ode mnie, gdy chodzi o daty — była: piątek, 30 czerwca, 1848 r.

Rankiem owego pamiętnego dnia nasz wybitny pan Godfrey realizował właśnie czek w pewnym domu bankowym przy Lombard Street. Nazwa firmy zamazała mi się przypadkiem w dzienniku, a święte umiłowanie prawdy nie pozwala mi na rejestrowanie w tego rodzaju sprawie nie ugruntowanych domysłów. Na szczęście nazwa firmy nie ma znaczenia. Istotna jest natomiast pewna okoliczność, która miała miejsce w czasie, kiedy pan Godfrey załatwił już interes. Otóż idąc ku drzwiom spotkał się z jakimś zupełnie mu nie znanym dżentelmenem, który przypadkiem opuszczał dom bankowy w tej samej chwili co on. Nastąpiła krótka licytacja grzeczności co do tego, kto ma wyjść pierwszy. Obcy nalegał, aby pan Godfrey skorzystał z pierwszeństwa, pan Godfrey odpowiedział kilkoma uprzejmymi słowami, po czym panowie uklonili się i rozstali już na ulicy.

Ludzie niepoważni i powierzchowni mogliby powiedzieć: „Oto błahe zdarzenie opowiedziane w sposób nadmiernie rozwlekły i dokładny”. O, moi młodzi przyjaciele, bracia i siostry w grzechu! Strzeżcie się ulegania waszemu przyziemnemu rozsądkowi. O, bądźcie schludni i porządni moralnie! Niechaj wiara wasza będzie jako wasze pończochy, a pończochy wasze jako wasza wiara! I jedno, i drugie zawsze bez skazy, i jedno, i drugie zawsze gotowe do użytku!

Przepraszam tysiąckrotnie. Wpadłam mimo woli w styl, którego używam w szkółce niedzielnej, w niniejszym opowiadaniu najzupełniej niestosowny. Powrócę do stylu świeckiego i powiem, że drobiazgi — w tej sprawie jak w wielu innych — prowadzą częstokroć do straszliwych rezultatów. Zaznaczając tylko, że uprzejmym nieznajomym był pan Luker z Lambeth, podążymy teraz za panem Godfreyem do jego rezydencji w Kilburn.

W hallu czekał na niego nędznie ubrany, ale delikatny chłopczyk o interesującym wyglądzie. Chłopczyk wręczył mu list mówiąc tylko, że powierzyła mu go pewna starsza dama, której nie zna i która nie kazała mu czekać na odpowiedź. Tego rodzaju wypadki zdarzały się często panu Godfreyowi jako powszechnie znanemu działaczowi na niwie dobroczynnej, zwolnił tedy chłopca i otworzył list.

Pismo było zupełnie mu nie znane. W liście proszono go, aby przybył nie później niż za godzinę na Northumberland Street do pewnego domu, w którym nigdy dotychczas nie był. Czcigodny filantrop miał udzielić tam informacji w sprawie Towarzystwa Przerabiania Ubrań pewnej starszej damie, która zamierzała przyczynić się hojnie do zwiększenia funduszków Towarzystwa, jeśli uzyska zadowalające odpowiedzi na swe pytania. Wymieniła swoje nazwisko i dodawała, że przybyła do Londynu na czas bardzo krótki i dlatego musi prosić wybitnego filantropa o taki pośpiech.

Człowiek zwykły zawahałby się może, zanimby odłożył własne sprawy, aby spełnić prośbę osoby nieznajomej. Ale chrześcijański bohater nigdy się nie waha, gdy chodzi o spełnienie dobrego uczynku. Pan Godfrey więc zawrócił od razu i udał się do domu przy Northumberland Street. Drzwi otworzył mu mężczyzna nieco może korpulentny, ale o wyglądzie bardzo solidnym, i słysząc nazwisko pana Godfrey, zaprowadził go niezwłocznie do pustego pokoju w tyle domu, na parterze. Pan Godfrey wchodząc zwrócił uwagę na dwie szczególne okoliczności: pierwszą był ledwie wyczuwalny zapach piżma i kamfory, drugą zaś leżący na stole stary rękopis wschodni, obficie iluminowany indyjskimi ozdobami i symbolami.

Patrzył właśnie na książkę, stojąc plecami do zamkniętych drzwi frontowego pokoju, gdy poczuł naraz, że ktoś chwycił go z tyłu za szyję. Zdażył tylko zauważyć, że ramię otaczające jego szyję jest nagie, a skóra na nim złotobrazowa, gdy już dwóch mężczyzn — jak mu się zdawało — związało mu oczy, zakneblowało usta i obaliło go na podłogę. Trzeci mężczyzna przetrząsnął mu kieszenie i — jeśli wolno mi jako damie używać takich wyrażen — obmacał go dokładnie aż do skóry.

Tutaj dodałabym chętnie kilka krzepiących słów o ufności i wierze, bo tylko wiara mogła wspierać pana Godfrey, w tak potwornej opresji. Być może jednak pozycja i wygląd mojego wspaniałego przyjaciela w kulminacyjnym punkcie wyżej opisanej napaści nie jest właściwym tematem dla damskiego pióra, pominię tedy następnych kilka chwil i powrócę do pana Godfrey, wówczas, gdy odrażająca rewizja osobista dobiegła już końca. Haniebny napad odbył się w całkowitym milczeniu. Po jego zakończeniu niewidzialni zbrodniarze zamienili między sobą kilka słów w języku, którego pan Godfrey nie rozumiał, tonem jednak zdradzającym wyraźnie zawód i wściekłość. Podniesiono go nagle z podłogi, usadowiono na fotelu i skrepowano mu ręce i nogi. Za chwilę poczuł prąd powietrza z otwartych drzwi, posłuchał i doszedł do wniosku, że jest znów sam w pokoju.

Po upływie pewnego czasu usłyszał na dole jak gdyby szelest kobiecej sukni, Szelest przybliżał się po schodach, po czym ucichł. Przenikliwy krzyk kobiecy przeciął powietrze. Głos męski na dole zawołał: „Halo!” Na schodach rozległy się kroki mężczyzny. Pan Godfrey poczuł, że chrześcijańskie palce zdejmują mu opaskę z oczu i wyciągają z ust knebel. Spojrzył ze zdumieniem na nieznajomą parę i zapytał z trudem:

— Co to ma znaczyć?

Nieznajomi, bardzo przyzwoicie zresztą wyglądający państwo, odwzajemnili spojrzenie i odrzekli: — Właśnie chcieliśmy pana o to zapytać.

Nastąpiły nieuniknione wyjaśnienia. Nie! Muszę być jak najdokładniejsza. Najpierw zastosowano sole trzeźwiące i wodę, aby uspokoić nerwy kochanego pana Godfrey'a. Potem dopiero nastąpiły wyjaśnienia.

Jak się okazało z oświadczenia właścicieli domu, cieszących się nieskazitelną opinią w sąsiedztwie, mieszkania na pierwszym i drugim piętrze zostały poprzedniego dnia wynajęte *na* tydzień przez dżentelmena o niezmiernie solidnym wyglądzie — tego samego, którego już opisywałam, a który otworzył panu Godfreyowi drzwi. Dżentelmen ów zapłacił z góry komorne i dołożył pewną sumę na pokrycie dodatkowych kosztów, twierdził przy tym, że wynajmuje mieszkanie dla trzech arystokratów wschodnich, jego przyjaciół, którzy przybyli do Anglii po raz pierwszy w życiu. Rankiem w dniu napadu dwaj przybysze ze wschodu w towarzystwie swego szacownego angielskiego przyjaciela zajęli mieszkania. Trzeci miał się do nich wkrótce przyłączyć, bagaże zaś — rzekomo bardzo okazałe — miały nadejść pod wieczór po załatwieniu formalności celnych. Mniej więcej na dziesięć minut przed wizytą pana Godfrey'a przybył trzeci cudzoziemiec. Gospodarze domu mieszkający na parterze nie zauważyli nic szczególnego, dopóki nie ujrżeli przed pięcioma minutami, że trzech cudzoziemcy oraz ich szacowny angielski przyjaciel opuszczają wszyscy razem dom i udają się spokojnie w kierunku Strandu. Gospodyni pamiętała, że do lokatorów przyszedł niedawno gość, który teraz nie wyszedł razem z nimi, i wydało jej się dziwne, że obcego dżentelmena zostawiono samego na górze. Po krótkiej naradzie z mężem postanowiła upewnić się, czy nie zaszło nic złego. Inspekcja ta dała wynik, który starałam się już opisać wyżej, i na tym właściwie wyczerpywały się wyjaśnienia gospodarzy domu.

Poddano następnie dokładnym oględzinom pokój. Rzeczy kochanego pana Godfrey'a poniewierały się tam i sam, rozrzucone we wszystkich kierunkach. Gdy jednak wszystkie przedmioty zebrano, okazało się, że nic nie brakuje — zegarek, dewizka, sakiewka, klucze, chustka do nosa. Portfel i wszystkie papiery zbadano najwidoczniej, a następnie porzucono w stanie nie uszkodzonym. Podobnie też nie brakowało najmniejszego przedmiotu należącego do gospodarzy domu. Arystokraci wschodni zabrali jedynie iluminowany manuskrypt stanowiący ich własność, lecz nic poza tym.

Co to wszystko mogło znaczyć? Ze świeckiego punktu widzenia wyglądało na to, że pan Godfrey padł ofiarą niepojętej omyłki, popełnionej przez jakichś nie znanych bliżej ludzi. Istniał widocznie jakiś posepny spisek i nasz umiłowany a niewinny przyjaciel dostał się w jego sieci. Gdy chrześcijański bohater, co odniósł setki zwycięstw na polu filantropii, wpada do pułapki zastawionej na niego przez omyłkę, jakimż ostrzeżeniem jest to dla nas wszystkich, abyśmy czuwali nieustannie! Jakże rychło własne nasze grzeszne namiętności mogą się upodobnić do arystokratów Wschodu, co atakują nas z nienacka!

Mogłabym zapisać całe strony tkliwymi ostrzeżeniami na ten jeden chociażby temat, lecz — niestety! — nie wolno mi pouczać; wolno mi tylko relacjonować fakty. Czek bogatego krewnego, który będzie odtąd odgrywał w moim życiu rolę inkubusa, ostrzega mnie, że nie zakończyłam jeszcze opisu owych aktów przemocy. Musimy pozostawić pana Godfreya przy Northumberland Street, aby odzyska! tam z wolna równowagę, i zająć się przygodami pana Lukera.

Wyszedłszy z banku pan Luker odwiedził w interesach różne dzielnice Londynu. Po powrocie do swej rezydencji zastał list, który, jak mu doniesiono, przyniósł niedawno jakiś chłopiec. Podobnie jak w wypadku pana Godfreya, pismo było panu Lukerowi nie znane, w liście jednak wymieniano nazwisko jednego z jego klientów Korespondent zawiadamiał (pisząc w trzeciej osobie, najwidoczniej za pośrednictwem sekretarza), że przybył niespodzianie do Londynu, wezwany pilnymi interesami. Zainstalował się właśnie w mieszkaniu przy Alfred Place, Tottenham Court Road i pragnie zobaczyć się niezwłocznie z panem Lukerem w sprawie pewnego zamierzonego kupna. Dżentelmen ów był zapalonym zbieraczem starożytności wschodnich i od wielu lat hojnym klientem antykwariatu w Lambeth. O, kiedyż zerwiemy wreszcie z uwielbieniem Mammona! Pan Luker kazał sprowadzić fiaker i natychmiast pojechał do hojnego klienta.

Dokładnie to samo, co zdarzyło się panu Godfreyowi przy Northumberland Street, zdarzyło się teraz panu Lukerowi przy Alfred Place. Znowu czcigodny z pozoru mężczyzna otworzył drzwi i zaprowadził gościa na pierwsze piętro do pokoju w głębi. Tam znowu leżał iluminowany manuskrypt. Piękne dzieło sztuki indyjskiej przykuło uwagę pana Lukera, podobnie jak przedtem przykuło uwagę pana Godfreya. Oglądał je z zachwytem, gdy wyrwały go nagle z kontemplacji obnażone ciemne ramię zaciskające się wokół jego szyi, przepaska, którą zawiązano mu oczy, i knebel, który mu wsadzono do ust. Jego również obalono na podłogę i zrewidowano dokładnie aż do skóry. Potem nastąpiła przerwa dłuższa, niż w wypadku pana Godfreya, ale koniec był taki sam — osoby obecne w domu domyśliły się, że coś jest nie w porządku i poszły na górę, żeby zobaczyć, co się stało. Gospodarz domu przy Alfred Place udzielił następnie panu Lukerowi ściśle takiego samego wyjaśnienia, co gospodarz domu przy Northumberland Street panu Godfreyowi. Obu zwiódł w identyczny sposób dobry adres i wypchany portfel czcigodnego nieznajomego, który twierdził, że występuje w imieniu swoich cudzoziemskich przyjaciół. Jedyne różniący obie sprawy stwierdzono wówczas, gdy zebrano z podłogi zawartość kieszeni pana Lukera. Zegarek jego i portfel były nietknięte, ale jeden z papierów, które miał przy sobie, zabrano. Rzeczony papier stanowił potwierdzenie odbioru pewnego niezmiernie cennego przedmiotu, który pan Luker zdeponował tego dnia u swoich bankierów. Dokument ten nie miał żadnej wartości dla celów oszukańczych, gdyż zastrzeżono w nim, że ów cenny przedmiot może być odebrany tylko osobiście przez właściciela. Powróciwszy do równowagi pan Luker pośpieszył do banku na wypadek, gdyby złodzieje,

którzy go obrabowali, nieświadomi zastrzeżenia, zgłosili się tam z pokwitowaniem. Do banku jednak nie zgłosił się nikt ani przedtem, ani też potem Zdaniem bankierów przyjaciel rabusiów, ów Anglik o szacownym wyglądzie, przejrzał zapewne dokument, zanim Hindusi spróbowali zrobić z niego użytek, i ostrzegł ich w porę.

O obydwóch napadach zawiadomiono policję, która wszczęła energicznie dochodzenie. Władze utrzymywały, że zaplanowano najwidoczniej rabunek, lecz złodzieje mieli zapewne nie dość ściśle informacje. Najwyraźniej nie byli pewni, czy pan Luker nie powierzył swego cennego klejnotu innej osobie do zdeponowania, i biedny, uprzejmy pan Godfrey ucierpiał za to, że widziano, jak przypadkiem zamienił kilka słów z panem Lukerem. Dodajmy jeszcze, że przyczyną nieobecności pana Godfreya na naszym poniedziałkowym zebraniu była konferencja z władzami policyjnymi, w której musiał brać udział — a po udzieleniu wszystkich niezbędnych wyjaśnień mogę teraz przystąpić do prostszej historii moich skromnych doświadczeń osobistych przy Montagu Square.

We wtorek stawiałam się punktualnie o drugiej na lunch. Z notatek w moim diariuszu wynika, że dzień wypadł bardzo urozmaicony — przy czym wiele wydarzeń godnych było pożałowania,, za inne zaś należało dziękować Najwyższemu.

Kochana ciotka Verinder przyjęła mnie ze zwykłą dobrocią i uprzejmością. Zauważyłam jednak wkrótce, że coś się tu dzieje niezwykłego. Pochwyciłam kilka razy zaniepokojone spojrzenia ciotki, które biegły stale w kierunku jej córki. Ilekroć widzę Rachelę, dziwię się zawsze, że tak niepozorna osoba może być dzieckiem tak imponujących rodziców jak sir John i lady Verinder. Tym razem jednak przy spotkaniu z Rachelą doznałam już nie tylko rozczarowania, lecz wprost wstrząsu. Zachowanie jej odznaczało się całkowitym a niezmiernie przykrym dla otoczenia brakiem opanowania, które powinno wszak cechować prawdziwą damę. Była rozgorączkowana i podniecona, mówiła i śmiała się zbyt głośno, przy jedzeniu zaś i piciu wybredzała i grymasiła w sposób wprost gorszący. Współczułam głęboko jej biednej matce, zanim jeszcze ta zwierzyła mi się w zaufaniu ze swej okropnej troski.

Po lunchu moja ciotka powiedziała:

— Rachelo, pamiętaj, co ci mówił doktor. Po każdym posiłku powinnaś dla uspokojenia trochę poleżeć i poczytać.

— Pójdę do swojej biblioteki, mam — odrzekła Rachelę. — Ale jeżeli przyjdzie Godfrey, musisz mnie koniecznie zawołać. Chcę usłyszeć dalsze nowiny o tej jego przygodzie na Northumberland Street. Umieram z ciekawości!

Ucałowała matkę w czoło i spojrzała na mnie.

— Do widzenia, Clack! — rzuciła niedbale.

Zuchwały jej ton nie obudził we mnie gniewu. Zanotowałam sobie tylko w pamięci, że muszę się za nią pomodlić.

Kiedyśmy zostały same, ciotka opowiedziała mi całą okropną historię

diamentu indyjskiego, której to historii, jak się z radością dowiedziałam, nie mam obowiązku tutaj przytaczać. Nie ukrywała przede mną, że wolałaby o tej sprawie nie mówić. Ponieważ jednak cała jej służba wiedziała o zaginięciu Kamienia Księżycowego, niektóre zaś szczegóły okropnej historii dostały się na łamy gazet i ludzie zupełnie obcy zastanawiali się już, czy jest jakiś związek między tym, co zaszło w domu wiejskim lady Verinder, a wypadkami przy Northumberland Street i Alfred Place — o ukrywaniu nie było co marzyć i całkowita szczerowość stawała się już nie tylko cnotą, ale wręcz koniecznością.

Niektóre osoby słysząc to, co ja przed chwilą usłyszałam, nie posiadałyby się zapewne ze zdumienia. Ja wszakże, wiedząc dobrze, jak bardzo niepodatna była Rachela od najmłodszych lat na słowo boże, gotowa byłam przyjąć bez zdziwienia wszystko, cokolwiek by ciotka powiedziała mi o swojej córce. Rachela mogłaby staczać się coraz niżej i niżej, aż wreszcie skończyć jako morderczyni, a ja wciąż mówiłabym sobie: „Zrozumiały wynik, ach mój Boże, zrozumiały wynik!” Przerazała mnie tylko i gorszyła linia postępowania, jaką ciotka obrała w tych warunkach. Sprawa przecież wymagała jak najszybszej interwencji duchownego, a tymczasem lady Verinder sądziła, że wskazana jest interwencja lekarza! Cóż, moja ciotka spędziła całe dzieciństwo i wczesną młodość w bezbożnym domu swego ojca— i oto znów naturalny wynik! Ach, Boże, Boże, całkiem naturalny wynik!

— Doktor zaleca Racheli jak najwięcej ruchu i rozrywek i nalega, abym starała się odwozдить ją od rozmyślań o przeszłości — rzekła lady Verinder.

O, cóż za pogańska rada! — pomyślałam w duchu. — W tym chrześcijańskim kraju taka pogańska rada!

— Robię, co mogę, aby wykonać zalecenia doktora — ciągnęła dalej ciotka. — Ale ta dziwna przygoda Godfrey'a zdarzyła się w bardzo niestosownej chwili. Odkąd Rachela się o niej dowiedziała, jest znów zaniepokojona i podniecona. Nie dawała mi spokoju, dopóki nie zaprosiłam listownie mojego siostrzeńca Ablewhite'a, żeby tu przyszedł. Interesuje się nawet tamtym drugim osobnikiem, który padł ofiarą brutalnej napaści, tym panem Lukerem czy jak mu tam, chociaż oczywiście jest on dla niej człowiekiem zupełnie obcym.

— Twoja znajomość życia, kochana ciociu, przewyższa znacznie moją — powiedziałam ostrożnie— ale musi przecież istnieć jakiś powód niezwykłego zachowania się Racheli. Ukrywa ona przed tobą i przed całym światem jakąś grzeszną tajemnicę. A może podczas tych ostatnich wypadków zdarzyło się coś takiego, co grozi ujawnieniem jej sekretu?

— Ujawnieniem? — powtórzyły moja ciotka. — Co chcesz przez to powiedzieć? Miałoby jej grozić ujawnienie za sprawą pana Lukera? Albo za sprawą mojego siostrzeńca?

W tej samej chwili jednak Opatrzność czuwająca nade mną wybawiła mnie z przykrew sytuacji. Służący otworzył drzwi i zaanonsował pana Godfrey'a Ablewhite'a.

ROZDZIAŁ II

Czas, który upłynął od zaanonsowania nazwiska pana Godfrey'a do jego ukazania się na progu salonu, był idealnie odmierzony, bo zresztą wszystko, co robi pan Godfrey, robione jest idealnie. Nie wszedł tuż za lokajem, aby nie zaskoczyć nas swym nagłym zjawieniem się, nie zwleka! też zbyt długo, aby nie powodować kłępującej przerwy w rozmowie i czekania przy otwartych drzwiach. Prawdziwego chrześcijanina poznać po nieskazitelności jego życia codziennego, a kochany mój przyjaciel był człowiekiem nieskazitelnym w najmniejszych drobiazgach

— Idź do panny Verinder - zwróciła się moja ciotka do służącego — i powiedz jej, że przybył pan Ablewhite.

Zapytałyśmy go obydwie o zdrowie. Zapytałyśmy go obydwie jednocześnie, czy czuje się już zupełnie dobrze po okropnych przejściach ubiegłego tygodnia. Z doskonałym taktem potrafił odpowiedzieć nam obydwóm w tej samej chwili. Lady Verinder otrzymała odpowiedź wyrażoną w słowach. Ja obdarzona zostałam uroczym uśmiechem.

— Czymże zasłużyłem sobie na tyle życzliwości? — zawołał z niewymownym rozrzewnieniem. — Kochana ciociu! Droga panno Clack! Przecież tylko wzięto mnie za kogoś innego. Zawiązano mi tylko oczy, duszono mnie tylko za gardło, ciśnięto mnie tylko na bardzo cienki dywan okrywający wyjątkowo twardą podłogę. Proszę pomyśleć, o ile by to wszystko mogło być gorsze! Napastnicy mogli mnie zamordować, mogli mnie chociażby okraść. Cóż straciłem? Nic prócz siły witalnej, której prawo nie uznaje za własność prywatną, ściśle więc biorąc nie straciłem zupełnie nic. Gdybym mógł przeprowadzić swoją wolę, zachowałbym tę przygodę w tajemnicy — wzdragam się przed tym zgielkiem i gazeciarską wrzawą. Ale pan Luker ogłosił publicznie o krzywdach, których doznał, w następstwie więc tego ujawniono również i moje krzywdy. Jestem własnością gazet aż do chwili, gdy kochanym czytelnikom znudzi się ten temat. Ja mam już tego wszystkiego po uszy. Oby kochani czytelnicy poszli jak najrychlej za moim przykładem! A jak się miewa droga Rachel? Nadal cieszy się rozrywkami wesołego Londynu? Jakże rad jestem, że to słyszę! Panno *Clack*, muszę prosić panią o wielką wyrozumiałość. Zaniedbałem okropnie moją pracę w Komitecie i moje drogie panie. Ale doprawdy mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu zajrzę do Towarzystwa Przerabiania Ubrań. Czy poczyniły panie wielkie postępy na poniedziałkowym zebraniu Komitetu? Czy prezydium patrzy z otuchą w przyszłość? I czy nie odczuwamy braku spodni?

Niebiańska łagodność jego uśmiechu sprawiała, że nie sposób mu było nie przebaczyć. Głęboki, melodyjny głos dodawał swoistego, nieopisanego czaru niezmiernie interesującym pytaniom, które mi zadawał. Jeśli bowiem chodziło o ścisłość, nie odczuwałyśmy wcale braku spodni, odczuwałyśmy raczej ich nadmiar. Miałam to właśnie powiedzieć, gdy drzwi otworzyły się znowu i do pokoju wdarł się żywioł świeckiego zamętu w osobie panny Verinder.

Zbliżyła się do kochanego pana Godfreyu krokiem tak szybkim, że aż niekobiecy, z włosami w nieładzie i z twarzą okrytą bardzo moim zdaniem szpecącym ją rumieńcem.

— Jestem zachwycona, że cię widzę, Godfreyu — powiedziała zwracając się do niego (muszę dodać to ze smutkiem) swobodnym, zdawkowym tonem, jakim jeden młodzieniec zwraca się do drugiego. — Szkoda, żeś nie przyprowadził ze sobą pana Lukera. Wy dwaj (dopóki trwa obecna sensacja) jesteście najbardziej interesującymi mężczyznami w całym Londynie. Wiem, że nie należy tak mówić, nie wypada — zdyscyplinowany umysł panny Clack wzdryga się instynktownie na taką herezję. Ale mniejsza o to. Opowiedz mi dokładnie całą historię o Northumberland Street. Wiem, że gazety coś niecoś z niej opuściły.

Nawet w kochanym panu Godfreyu drzemie coś z ułomnej natury, którą wszyscy odziedziczyliśmy po Adamie — jest to bardzo mała cząstka naszej ludzkiej schedy, lecz — niestety! — on ją posiada. Wyznaję, że z głębokim żalem patrzyłam, jak ujmując rękę Racheli w obie dłonie i przykładając ją delikatnym ruchem do lewej strony swej kamizelki. Wyglądało to wręcz, jak gdyby chwalił ją za nonszalancki ton i impertynencką uwagę pod moim adresem.

— Najdroższa Rachelo — powiedział tym samym głosem, którym tak mnie czarował mówiąc o naszych widokach na przyszłość i o naszych spodniach — gazety opowiedziały ci wszystko, i to opowiedziały znacznie lepiej, niż ja bym to potrafił.

— Godfrey uważa, że robimy z igły widły — zauważyła moja ciotka. — Wspominał właśnie, że nie chce o tym mówić.

— Dlaczego?

Rachela zadała to pytanie z nagłym błyskiem w źrenicach i podnosząc głowę spojrzała panu Godfreyowi prosto w oczy. On zaś patrzył na nią z pobłażliwością tak nierozsądną i tak jej nienależną, że doprawdy musiałam się wtrącić

— Kochana Rachelo — odezwałam się łagodnie — prawdziwą wielkość i prawdziwą odwagę cechuje zawsze skromność.

— Na swój sposób zacny z ciebie chłop, Godfreyu — powiedziała Rachela, nie zwracając na mnie wcale uwagi i wciąż mówiąc do kuzyna takim tonem, jak gdyby była młodym mężczyzną, a on jej kolegą. — Ale jestem zupełnie pewna, że nie jesteś wielki, nie sądzę, żebyś był obdarzony nadludzką odwagą i jestem święcie przekonana, że jeśliś nawet był kiedykolwiek skromny, twoje adoratorki od dawna już pozbawiły cię tej cnoty. Masz jakiś ukryty powód, żeby nie mówić o swojej przygodzie na Northumberland Street, i chcę go poznać.

— Powód jest najprostszy w świecie i wcale go nie ukrywam — odparł pan Godfrey, wciąż znosząc cierpliwie jej wulgarne ataki. — Znudził mi się ten temat.

— Znudził ci się ten temat? Kochany Godfreyu, coś ci muszę powiedzieć.

— Co mianowicie?

— Przebywasz o wiele za dużo w towarzystwie kobiet i nabrałeś skutkiem tego dwóch bardzo złych przyzwyczajzeń. Po pierwsze nauczyłeś się mówić głupstwa z poważną miną, po drugie wpadłeś w nałóg blagowania dla samej rozkoszy, jaką ci daje blaga. Nie potrafisz już zdobyć się na szczerłość wobec swoich adoraterek. Ale ja mam zamiar zmusić cię, żebyś był ze mną szczerzy. Chodź, usiądź tutaj. Ciśnie mi się na usta moc rzeczowych, prostolinijnych pytań i spodziewam się, że dasz mi na nie równie rzeczowe, prostolinijne odpowiedzi.

Zaciągnęła go dosłownie przemocą na fotel pod oknem, gdzie światło padało mu prosto w twarz. Jestem niepokieszona, że muszę przytaczać takie zwroty i opisywać podobne zachowanie — ale cóż mam począć, gdy swobodę ruchów krępuje mi z jednej strony czek pana Franklina Blake'a, z drugiej zaś moje święte umiłowanie prawdy? Spojrzałam na ciotkę. Siedziała bez ruchu, najwidoczniej nie zamierzając wcale interweniować. Nigdy jeszcze nie widziałam jej w stanie takiego odrętwienia, które być może stanowiło reakcję po ciężkich przejściach, jakie miała na wsi. Tak czy owak, nie był to pomyślny objaw zważywszy wiek kochanej lady Verinder i jesienną obfitość jej kształtów.

Rachela tymczasem usadowiła się przy oknie z naszym miłym i dobrotliwym — aż nazbyt dobrotliwym — panem Godfreyem. Nie zwracając uwagi na swoją matkę ani na mnie, jakby nas wcale nie było w pokoju, rozpoczęła serię owych pytań, którymi przed chwilą groziła kuzynowi.

— Czy policja zrobiła cokolwiek, Godfreyu?

— Nic a nic.

— Ale to chyba pewne, że trzech mężczyzn, którzy zwabili cię do pułapki, to ci sami trzech mężczyźni, którzy potem zwabili do pułapki pana Lukera?

— Najogólniej biorąc, moja droga Rachelo, nie może być co do tego żadnych wątpliwości.

— I nie wykryto najmniejszego ich śladu?

— Najmniejszego.

— Ale przypuszcza się, że ci trzech mężczyzn to ci sami trzech Hindusi, którzy byli u nas na wsi, nieprawdaż?

— Niektórzy tak przypuszczają.

— A co ty sądzisz?

— Najmilsza Rachelo, zawiązali mi oczy, zanim zdążyłem zobaczyć ich twarze. Nic nie wiem o tej sprawie. Jak mogę wydawać jakieś sądy?

Nawet anielska cierpliwość pana Godfreya zaczęła, jak państwo widzą, wyczerpywać się wreszcie wobec tych dokuczliwych indagacji. Co dyktowało pannie Verinder jej pytania — niepokoszona ciekawość czy też niepokoszony lęk — nie śmiem w to wnikać. Stwierdzam tylko, że kiedy pan Godfrey po udzieleniu przytoczonej wyżej odpowiedzi próbował wstać, Rachela ujęła go bezceremonialnie za ramiona i popchnęła z powrotem na fotel. O, proszę nie mówić, że zachowała się nieskromnie! Proszę nie napomykać nawet, że jedynie odwaga rozpaczy, strachu i poczucia winy mogła tłumaczyć opisane przeze mnie postępowanie! Nie wolno nam sądzić

bliźnich. Przyjaciele chrześcijańscy, zaprawdę, zaprawdę, zaprawdę nie wolno nam sądzić bliźnich!

Rachela nie stropiona kontynuowała swoje pytania. Poważnym badaczom Pisma świętego przywidzie to może na myśl zaślepione dzieci szatana, które bezwstydnie kontynuowały swoje orgie w przeddzień potopu.

— Chciałabym się czegoś dowiedzieć o panu Lukerze, Godfreyu.

— I znów pech, Rachelo. Nikt chyba nie zna pana Lukera mniej ode mnie.

— Nie widziałeś go nigdy, zanim spotkaliście się przypadkiem w banku?

— Nigdy.

— Ale widziałeś go potem?

— Owszem. Przesłuchiwano nas zarówno razem jak i oddzielnie, aby policja mogła ustalić potrzebne dane.

— Panu Lukerowi skradziono kwit, który dostał od swego bankiera, tak? Co to był za kwit?

— Kwit na cenny klejnot, który zdeponował w kasie pancерnej banku.

— Tak twierdzą gazety. Wystarczy to może przeciętnemu czytelnikowi, ale nie mnie. W kwicie bankowym musiało być chyba powiedziane co to za klejnot?

— W kwicie bankowym, Rachelo, o ile mi wiadomo, nic podobnego nie było powiedziane. Cenny klejnot, należący do pana Lukera, zdeponowany przez pana Lukera, zapieczętowany pieczęcią pana Lukera i do wydania jedynie za osobistym zgłoszeniem się pana Lukera. Taka była forma i tyle tylko o tym wiem.

Rachela umilkła na chwilę. Spojrzała na matkę i westchnęła. Potem spojrzała znów na pana Godfreya i przypuściła nowy atak.

— Podobno pewne nasze sprawy domowe dostały się do gazet? — spytała.

— Niestety tak.

— I zupełnie obcy nam ludzie, nie mający nic lepszego do roboty, usiłują odnaleźć związek między tym, co zaszło w naszym domu w Yorkshire, a tym, co stało się potem tutaj w Londynie?

— Obawiam się, że niektóre osoby, wiedzione ciekawością, wysuwają takie właśnie hipotezy.

— I te osoby, co twierdzą, że trzech nieznani mężczyźni, którzy napadli na ciebie i na pana Lukera, to owi trzech Hindusi, mówią też, że ów cenny klejnot...

Tu Rachela urwała. Przez ostatnich kilka chwil stawała się stopniowo coraz bledsza. W zestawieniu z jej niezwykle czarnymi włosami bladość ta sprawiała wrażenie tak upiorne, że kiedy urwała pytanie w połowie, sądziliśmy wszyscy, iż zaraz zemdleje. Kochany pan Godfrey po raz drugi próbował wstać z fotela. Moja ciotka poczęła błagać ją, żeby nic więcej nie mówiła. Ja podbiegłam za ciotką ofiarowując skromną pomoc lekarską w postaci flakonu soli trzeźwiących. Ale wszystko to nie odniosło najmniejszego skutku.

— Siedz, Godfreyu! — zawołała Rachela. — Mamo, nie ma żadnego

powodu do niepokoju. Clack, umierasz przecież z ciekawości, jak się to skończy, nie zemdleję więc, żeby ci nie sprawić zawodu.

Takich dokładnie słów użyła — zapisałam je w dzienniczku od razu po powrocie do domu. Ale nie sądzmy! Drodzy przyjaciele chrześcijańscy, nie sądzmy nikogo!

Rachela zwróciła się znów do pana Godfrey'a. Z przerażającym uporem powróciła do miejsca, w którym przerwała, i zakończyła pytanie tak oto:

— Mówiliśmy przed chwilą o tym, co insynuują niektóre osoby. Powiedz mi szczerze, Godfreyu, czy ktokolwiek z nich twierdzi, że cenny klejnot pana Lukera to Kamień Księżycowy?

Gdy z ust jej padła nazwa indyjskiego diamentu, mój znakomity przyjaciel zmienił się od razu. Twarz mu pociemniała, a ponadto stracił ową słodcz obejścia, która stanowi główny jego urok. Odparł tonem szlachetnego oburzenia:

— Owszem, tak mówią. Są ludzie, co nie wahają się oskarżać pana Lukera o to, że mija się z prawdą ze względu na jakieś swoje prywatne sprawy. Pan Luker wielokrotnie już stwierdzał uroczyście, że nigdy nie słyszał nawet o Kamieniu Księżycowym, ale owi niegodziwi ludzie, nie mając po temu żadnych podstaw, odpowiadają: „On ma powody, aby nie wyjawiać prawdy, nie wierzymy więc jego przysięgom”. Wstyd i hańba!

Podczas tej płomiennej przemowy pana Godfrey'a Rachela patrzyła na niego ze szczególną miną, której nie potrafię już teraz dokładnie opisać, gdy zaś skończył, rzekła:

— Zważywszy, że pan Luker jest dla ciebie tylko przygodnym znajomym, bronisz go bardzo gorąco, Godfreyu.

Utalentowany mój przyjaciel udzielił na to jednej z najbardziej ewangelicznych odpowiedzi, jakie zdarzyło mi się słyszeć w życiu.

— Spodziewam się, Rachelo, że dość gorąco bronię wszystkich uciśnionych — rzekł.

Kamień nawet wzruszyłby się słysząc ton, którym wypowiedziane zostały owe słowa. Ale czymże jest kamień w porównaniu z zatwardziałym sercem ludzkim? Rachela parsknęła wzgardliwym śmiechem — rumieniem się pisząc to, ale roześmiała się panu Godfreyowi prosto w twarz.

— Zachowaj te piękne zwroty dla swoich komitetów dobroczynnych, Godfreyu. Jestem pewna, że plotka, która zaatakowała pana Lukera, nie oszczędziła także i ciebie.

Nawet moją ciotkę słowa te wyrwały z odrętwienia.

— Ależ, droga Rachelo — napomniała córkę — doprawdy nie masz prawa tak mówić!

— Nie chcę nikogo krzywdzić, mamę, mam jak najlepsze zamiary. Trochę cierpliwości, a sama się o tym przekonasz.

Spojrzała znów na pana Godfrey'a jak gdyby zdjęta nagle współczuciem. Posunęła się nawet tak daleko — znacznie za daleko jak na to, co przystoi damie — że wzięła go za rękę.

Jestem pewna — rzekła — że trafiłam na właściwy powód twojej

niechęci do mówienia o tej sprawie z moją matką i ze mną. Niefortunny zbieg okoliczności skojarzy! w umysłach ludzkich twoją osobę z osobą pana Lukera. Powiedziałeś mi, co plotka głosi o nim. Cóż plotka powiada o tobie?

Jeszcze w tej ostatniej chwili kochany pan Godfrey — zawsze gotów płacić dobrym za zle — starał się ją oszczędzić.

— Nie pytaj mnie! — prosił. — Zapomnijmy lepiej o tym, Rachelo!

— Ja chcę wiedzieć! — krzyknęła w furii Rachela.

— Powiedz jej, Godfreyu! — odezwała się błagalnie moja ciotka. — Nic jej nie może w tej chwili bardziej zaszkodzić niż twoje milczenie!

Piękne oczy pana Godfreya napełniły się łzami. Rzucił jej ostatnie żalosne spojrzenie, a następnie wyrzekł fatalne słowa:

— Jeżeli przy tym obstajesz, Rachelo, plotka twierdzi, że Kamień Księżycowy znajduje się w zastawie u pana Lukera i że ja jestem tym, który oddał go w zastaw.

Rachela zerwała się z okrzykiem. Przenosiła wzrok z pana Godfreya na moją ciotkę i z mojej ciotki na pana Godfreya z taką rozpaczą i wzburzeniem, jak gdyby rzeczywiście postradła rozum.

— Nie mówcie do mnie! Nie dotykajcie mnie! — wołała cofając się przed nami w kąt pokoju niby zaszczute zwierzę. — To moja wina! Muszę to naprawić! Poświęciłam siebie — cóż, miałam do tego prawo. Ale pozwolić, żeby człowiek niewinny ucierpiał, żeby pozostał z taką plamą na honorze do końca życia — Boże Wielki! To zbyt potworne! Tego nie zniosę!

Moja ciotka powstała z krzeste, 'ecz naraz znów usiadła. Słabym głosem zawołała mnie i wskazała małą flaszeczkę, znajdującą się w jej koszyczku do robót.

— Prędko! — wyszeptwała. — Sześć kropli na wodzie. Ale niech Rachela nie widzi.

W innych warunkach wydałoby mi się to dziwne. Ale teraz nie miałam czasu do namysłu — musiałam czym prędzej podać lekarstwo. Kochany pan Godfrey nieświadomie dopomógł mi ukryć tę czynność przed Rachelą, począł bowiem właśnie przemawiać do niej uspokajająco w drugim końcu pokoju.

— Alez doprawdy, doprawdy przesadzasz — usłyszałam jego słowa. — Opinia moja zbyt jest ugruntowana, aby mogła ją zrujnować taka przelotna, nędzna plotka. Jeszcze tydzień, a wszystko pójdzie w zapomnienie. Nie mówmy o tym więcej.

Ale Rachela była nieczuła nawet na taką wielkoduszność. Szalała coraz bardziej.

— Muszę położyć temu kres i położyć! — wołała. — Mamo, słuchaj, co mówię! Panno Clack, proszę słuchać, co mówię! Znam rękę, która zabrała Kamień Księżycowy. Wiem — oznajmiła z naciskiem, tupiąc nogą w niepohamowanym wzburzeniu — wiem, że Godfrey Ablewhite jest niewinny! Zaprowadź mnie do sędziego, Godfreyu! Zaprowadź mnie do sędziego, a oświadczę to pod przysięgą!

Ciotka chwyciła mnie za rękę i szepnęła:

— Stan na chwilę tak, żeby mnie zasłonić. Niech mnie Rachela nie widzi. Twarz jej przybrała siny odcień, co mnie przeraziło.

Ciotka zauważyła mój niepokój.

— Krople zaraz mi pomogą — powiedziała, po czym przymknęła oczy i czekała chwilę.

Pan Godfrey tymczasem w dalszym ciągu próbował łagodnej perswazji,

— Nie wolno ci występować publicznie w takiej sprawie — rzekł. — Twoja reputacja, najdroższa Rachelo, jest czymś zbyt czystym i świętym, aby wolno było ją narażać.

— Moja reputacja! — Rachela wybuchnęła śmiechem. — Ależ jestem przecież oskarżona tak samo jak ty! Najlepszy detektyw w Anglii twierdzi, że skradłam mój własny diament. Zapytaj go, co myśli, a powie ci, że zastawiłam Kamień Księżykowy, żeby spłacić prywatne długi! — Rachela urwała,

przebiegła przez pokój i padła na kolana przed matką.....- O, mamó, mamó,

mamó! Jestem chyba szalona, że jeszcze teraz nie wyjawiam prawdy! — Była widocznie zbyt podniecona, aby zauważyć słabość matki, bo zerwała się znów na nogi i w mgnieniu oka znalazła się przy panu Godfreyu. — Nie pozwolę, żeby ciebie, żeby jakiegokolwiek niewinnego człowieka oskarżano i szkalowano z mojej winy. Jeżeli nie chcesz zaprowadzić mnie do sądu, napisz stwierdzenie swojej niewinności na papierze, a podpiszę je. Zrób, co ci mówię Godfreyu, bo sama napiszę o tym do gazet, bo sama wyjdę i będę wołać o tym na ulicach!

Trudno uznać to za przejawy skruchy — powiemy raczej, że były to przejawy hysterii. Pan Godfrey niewyczerpany w swej cierpliwości uspokoił ją biorąc arkusz papieru i wypisując na nim żądane przez nią oświadczenie. Rachela podpisała je z gorączkowym pośpiechem.

— Pokazuj je wszędzie i nie myśl o mnie — rzekła podając mu papier. — Obawiam się, że dotychczas krzywdziłam cię w myślach, Godfreyu. Jesteś zdolny do poświęceń, jesteś lepszym człowiekiem, niż przypuszczałam. Przychodź tu, ilekroć będziesz mógł, a postaram się naprawić krzywdę, którą ci wyrządziłam.

Podawała mu rękę. O, ułomności natury ludzkiej! O, biedny, słaby pan Godfrey! Nie tylko zapomniał się do tego stopnia, że tę rękę ucałował, lecz także odpowiadając Racheli przybrał ton tak łagodny, iż równało się to niemal przyzwalaniu na grzech.'

— Przyjdę, najdroższa — odparł — pod warunkiem, że nie będziemy więcej poruszali tego okropnego tematu.

Przyznam się, że nigdy jeszcze nie widziałam naszego bohatera chrześcijańskiego w bardziej niekorzystnej sytuacji.

Zanim ktokolwiek wyrzekł słowo, rozległo się gromkie pukanie do drzwi frontowych, które nappełniło nas lękiem. Wyrzłam przez okno i zobaczyłam Marność, Próżność i Pokusy tego świata, uosobione przez trzy najbardziej wyzywająco ubrane niewiasty, jakie zdarzyło mi się widzieć w życiu. Czekały one w powozie zaprzężonym w parę koni, a lokaj w pudrowanej peruce kołatał do drzwi.

Rachela drgnęła i opanowała się wreszcie. Podeszła do matki.

— Przyjechały, żeby mnie zabrać na wystawę kwiatów -powiedziała.— Jedno słówko, mamusiu, zanim odjadę. Chyba cię zbyt nie zmartwiłam?

Czy podobny zanik wszelkich uczuć ludzkich u istoty, która może zadać tego rodzaju pytanie po tym, co przed chwilą zaszło, należy potępiać, czy też litować się nad nim? Ja skłaniam się zawsze ku miłosierdziu. Litujmy się więc.

Krople poskutkowały wreszcie. Moja biedna ciotka odzyskała normalny kolor twarzy.

— Ależ nie, kochanie.....rzekła. — Jedź z naszymi przyjaciółkami i baw się dobrze.

Rachela nachyliła się i ucałowała matkę. Odeszłam od okna i stałam blisko drzwi, kiedy Rachela wychodziła. Dostrzegłam w niej nową zmianę — była we łzach. Chwilowe zmiękczenie skamieniałego serca zainteresowało mnie. Miałam ochotę powiedzieć jej kilka poważnych, głębokich słów. Niestety! Moje życzliwe współczucie rozgniewało tylko Rachelę.

— Jak śmiesz litować się nade mną? — rzuciła ironicznym szeptem, kierując się ku drzwiom. — Czy nie widzisz, jaka jestem szczęśliwa? Jadę na wystawę kwiatów, Clack, i mam najpiękniejszy kapeluszek w Londynie.

Podkreśliła jeszcze to czcze szyderstwo przesyłając mi pocałunek — i wyszła z pokoju.

Szkoda, że nie potrafię opisać współczucia, jakie żywiłam w owej chwili dla nieszczęśliwej, zbłąkanej dziewczyny. Ale jestem uboga, gdy chodzi nie tylko o pieniądze, ale i o słowa. Pozwolę sobie powiedzieć tylko tyle — serce mi krwawiło, gdy na nią patrzyłam.

Wróciwszy do fotela, na którym siedziała moja ciotka, zauważyłam, że pan Godfrey szuka czegoś rozglądając się dyskretnie po pokoju. Zanim zdążyłam ofiarować mu swoją pomoc, znalazł już to, czego pragnął. Wrócił do ciotki i do mnie trzymając w jednej ręce zaświadczenie o niewinności, w drugiej zaś pudełko zapalek.

— Kochana ciociu, planuję mały spisek! — rzekł. — Najmilsza panno Clack, chodzi o zbrojne oszustwo, które nawet pani nieskazitelna prawość bez wątpienia mi wybaczy! Czy zgodzicie się pozostawić Rachelę w przeświadczeniu, że przyjmuję ów szlachetny akt ofiary, jakim było podpisanie tego papieru? I czy zechcecie być świadkami tego, że zniszczę go w waszej obecności, zanim opuszczę ten dom?— Pan Godfrey potarł zapałkę, podpalił papier i rzucił go na tacę stojącą na stole. — Wszelkie drobne przykrości, jakie mogą mnie spotkać — zauważył — są niczym, najważniejsze jest, abyśmy uchronili owo nieskalane imię od brukającego dotknięcia świata. Gotowe! Obróciliśmy dokument w nieszkodliwą kupkę popiołu i nasza droga, porywczka Rachela nie dowie się nigdy, cośmy zrobili! Jak się czujecie? Najdroższe moje przyjaciółki, jak się czujecie? Bo mnie lekko jest na sercu, jakbym się na nowo urodził!

Uśmiechnął się do nas promiennie swoim pięknym uśmiechem i podał rękę najpierw ciotce, a potem mnie. Zbyt głęboko byłam wzruszona jego

szlachetnym postępkim, aby móc się odezwać. Zamknęłam oczy i w niebiańskim uniesieniu przycisnęłam jego rękę do ust. Pan Godfrey wyszeptał jakieś słowa protestu. O, ekstazo, czysta, nieziemska ekstazo owej chwili! Usiadłam — nie wiem już nawet na czym — zatopiona zupełnie w mych wzniosłych uczuciach. Kiedy znów otworzyłam oczy, zdawało mi się, że spadła z niebios na ziemię. W pokoju nie było nikogo prócz mojej ciotki. Pan Godfrey odszedł.

Chciałabym zatrzymać się w tym miejscu, chciałabym zakończyć opowiadanie opisem szlachetnego postępkim pana Godfreya. Niestety jest jeszcze bardzo wiele innych spraw, o których pod bezlitosną presją czeku pana Blake'a muszę napisać. Bolesne wydarzenia, jakie miały rozegrać się w mojej obecności podczas owej wtorkowej wizyty przy Montagu Square, bynajmniej nie dobiegły jeszcze kresu.

Znalazłszy się sam na sam z lady Verinder, naprowadziłam oczywiście rozmowę na temat jej zdrowia i zapytałam delikatnie, czemu tak jej zależy na tym, aby ukryć przed córką swą chorobę i stosowane przeciw tej chorobie lekarstwo.

Odpowiedź mojej ciotki wielce mnie zaskoczyła.

— Drusillo — rzekła (jeżeli nie nadmieniałam dotychczas, że na imię mi Drusilla, pozwolą państwo, że teraz to uczynię) — dotykasz, wiem, że bez złej myśli, bardzo bolesnej sprawy.

Wstałam natychmiast. Delikatność pozostawiała mi jedną tylko alternatywę: mianowicie przeprosić najpokorniej ciotkę i oddalić się. Lady Verinder wszakże zatrzymała mnie i prosiła, abym znów usiadła.

— Natrafiłaś na tajemnicę, którą zawierzyłam tylko mojej siostrze, pani Ablewhite, i mojemu radcy prawnemu, panu Bruffowi, nikomu poza tym. Ufam ich dyskrecji i jestem pewna, że gdy wyjaśnię ci okoliczności, będę mogła polegać w tym względzie również i na tobie. Czy masz jakieś pilne sprawy do załatwienia, Drusillo, czy też rozporządzasz dziś po południu wolnym czasem?

Nie potrzebuję chyba nadmieniać, że mój czas był całkowicie do dyspozycji mojej ciotki.

— A więc dotrzymaj mi towarzystwa jeszcze przez godzinę — rzekła. — Mam ci do powiedzenia coś, czego wysłuchasz zapewne ze smutkiem. Potem zaś, jeżeli zechcesz mi dopomóc, poproszę cię o pewną przysługę.

I znów nie potrzebuję chyba dodawać, że płonęłam chęcią udzielenia pomocy mojej ciotce.

— Zaczekaj tutaj, aż pan Bruff przyjdzie o piątej — ciągnęła dalej ciotka. — Mam podpisać testament i chcę, żebyś była jednym ze świadków, Drusillo.

Testament! Pomyślałam o kropkach, ukrytych w jej koszyczku do robót. Pomyślałam o sinym kolorze, jaki przybrała jej *twarz* w chwili słabości. Światło nie z tego świata, światło padające proroczko z nie wykopanego jeszcze grobu, zaświtało mi w mózgu. Tajemnica mojej ciotki nie była już dla mnie tajemnicą.

ROZDZIAŁ III

Przez wzgląd na biedną lady Verinder nie napomknęłam nawet o tym, że domyśliłam się smutnej prawdy, zanim jeszcze moja ciotka otworzyła usta. Czekałam w milczeniu, ułożywszy sobie kilka stosownych a pokrzepiających słów, które zamierzałam powiedzieć jej przy najbliższej sposobności. Byłam gotowa podjąć się każdego, choćby najboleśniejszego obowiązku.

— Od dłuższego czasu jestem ciężko *chora*, *Drusillo* — zaczęła moja ciotka. — Przy tym, rzecz dziwna, sama o tym nie wiedziałam.

Pomyślałam o setkach i tysiącach śmiertelnych istot ludzkich, które w owej chwili były chore duchowo, same o tym nie wiedząc. A lękałam się, dodać muszę, czy moja biedna ciotka nie należy do ich grona.

— Tak, droga ciociu — odpowiedziałam smutno — tak.

— Jak wiesz, przywiozłam Rachelę do Londynu, aby zasięgnąć porady lekarskiej — ciągnęła dalej ciotka. - Uważałam za stosowne zwrócić się do dwóch lekarzy.

Dwóch lekarzy! I — jakież to smutne, wzięwszy pod uwagę stan Racheli — ani jednego duchownego!

— Tak, kochana ciociu - powiedziałam raz jeszcze — tak.

— Jednego z tych doktorów — ciągnęła dalej moja ciotka — nie znałam dotychczas. Drugi natomiast był starym przyjacielem mojego męża i przez wzgląd na jego pamięć okazywał mi zawsze szczerą życzliwość. Po zbadaniu Racheli powiedział, że pragnie pomówić ze mną na osobności. Spodziewałam się oczywiście, że otrzymam jakieś szczegółowe lub specjalne wskazówki co do leczenia córki. Ku mojemu zdziwieniu, doktor ujął mnie z powagą za rękę i rzekł: „Patrzałem na panią, lady Verinder, okiem zarówno przyjaciela, jak i lekarza. Obawiam się, że pani trzeba pomocy lekarskiej znacznie bardziej niż pani córce”. Zadał mi kilka pytań, które w pierwszej chwili skłonna byłam potraktować dość lekko, dopóki nie dostrzegłam, że odpowiedzi moje zasmucają go niezmiernie. W końcu umówiliśmy się, że przyjdzie nazajutrz w towarzystwie przyjaciela-lekarza o takiej godzinie, kiedy Racheli nie będzie w domu. W wyniku tej wizyty obaj doktorzy ustalili — powiadamiając mnie o tym w sposób jak najbardziej oględny i delikatny — że straconego czasu nie da się już nadrobić i że sztuka ich jest wobec mojego wypadku bezsilna. Od przeszło dwóch lat cierpię na bardzo złośliwą formę choroby serca, która nie dając żadnych niepokojących objawów, zniszczyła mi stopniowo organizm. Mogę żyć jeszcze przez kilka miesięcy, a mogę też umrzeć, nim zaświta jutrzejszy dzień — lekarze nie są w stanie i nie śmią określić bliżej terminu. Na próżno twierdziłabym, moja droga, że od czasu, kiedy zdałam sobie sprawę z sytuacji, nie przeżyłam kilku bardzo ciężkich chwil. Ale pogodziłam się już do pewnego stopnia z tą myślą i dokładam tylko wysiłków, aby uporządkować swoje ziemskie sprawy. Największa moja troska to utrzymać Rachelę w nieświadomości tej choroby. Gdyby dowiedziała się prawdy, biedna moja córka powzięłaby natychmiast przekonanie, że utraciłam zdrowie z powodu przejść związanych z diamentem i robiłaby

sobie gorzkie wyrzuty o to, co w żadnej mierze nie jest jej winą. Obaj lekarze twierdzą zgodnie, że niedomaganie zaczęło się przed dwoma, a może nawet przed trzema laty. Jestem pewna, że nie zdradzisz mojego sekretu, Drusillo, bo czytam w twojej twarzy szczerą troskę i współczucie dla mnie.

Troska i współczucie! Jakże można spodziewać się tak pogańskich uczuć od Angielki i chrześcijanki, połączonej nierozzerwalnymi węzłami ze swoją wiarą.

Moja biedna ciotka nie wyobrażała sobie wcale, z jak pobożną wdzięcznością słuchałam zakończenia jej smutnej opowieści. Oto otwierało się przede mną pole działania! Nareszcie mogłam być użyteczna! Ukochana moja krewna i podobna mnie, śmiertelna istota znajdowała się w przededniu wielkiej przemiany całkowicie do niej nie przygotowana! To niechybnie Opatrzność nakazała jej odsłonić przede mną swoją tajemnicę! Czy zdołam opisać radość, z jaką uprzytomniłam sobie, że wśród moich nieocenionych przyjaciół mam co najmniej kilkunastu duchownych, na których mogę w zupełności polegać! Ujęłam moją ciotkę w ramiona — przepełniającej mnie tkliwości nie mogło teraz zaspokoić nic prócz uścisku.

— O! — zawołałam z zapalem — jakież ogromne zainteresowanie żywię dla cioci teraz! Ileż dobrego mam zamiar kochanej cioci zrobić, zanim się rozstaniemy!

Po kilku słowach poważnych ostrzeżeń wstępnych dałam jej do wyboru trzech moich nieocenionych przyjaciół. Wszyscy oni od świtu do nocy czynili miłosierdzie w pobliżu jej domu, wszyscy obdarzeni byli wspaniałą wymową, wszyscy gotowi byli do użycia swoich darów na jedno słówko z mojej strony. Niestety, rezultat był wcale nie zachęcający. Biedna lady Verinder patrzyła na mnie ze zdumieniem i przerażeniem i wszystko, co mówiłam, odpierała błahą i próżną obiekcją, że zbyt jest słaba, aby mieć do czynienia z ludźmi nieznanymi. Ustąpiłam — na razie, oczywiście. Moje rozległe doświadczenie (jako lektorki pozostającej pod kierunkiem nie mniej niż czterestu umiłowanych duszpasterzy) mówiło mi, że oto mam przed sobą jeszcze jeden wypadek, kiedy trzeba najpierw przygotować grunt odpowiednią lekturą. Posiadałam niewielką bibliotekę wyborowych dzieł, stosownych w obecnej sytuacji i obliczonych na obudzenie, przekonanie, oświecenie i pokrzepienie mojej ciotki.

— Będzie ciocia czytała, prawda? — pytałam najbardziej przymilnym tonem. — Będzie ciocia czytała, jeżeli przyniosę tu moje ukochane książki? Mają zakładki we wszystkich właściwych miejscach, droga ciociu. I znaczki ołówkiem w miejscach, w których ciocia powinna zatrzymać się i zadać sobie pytanie: „Czy to się stosuje do mnie?”

Ale nawet ta skromna prośba — taki jest niszczący wpływ świata — przestraszyła najwyraźniej moją ciotkę.

— Zrobię, co będę mogła, Drusillo, żeby ci sprawić przyjemność — powiedziała ze zdziwionym spojrzeniem, niezmiernie dla mnie wymownym a zarazem przykrym.

Nie było ni chwili do stracenia. Zegar na kominku mówił mi, że mam akurat tyle czasu, żeby pobiec do domu. zaopatrzyć się w pierwszą serię wybranych książek (powiedzmy na początek tylko tuzin) i powrócić na czas, aby być przy wizycie radcy prawnego i jako świadek złożyć podpis na testamencie lady Verinder. Obiecując solennie, że będę z powrotem na piątą, opuściłam dom mojej ciotki, aby spełnić miłosierny uczynek.

Kiedy chodzi tylko o własny mój interes, zadowolam się przenoszeniem z miejsca na miejsce za pośrednictwem omnibusu. Niechże więc miarą mojego oddania sprawom ciotki będzie fakt, że w tym wypadku pozwoliłam sobie na niesłychaną rozrzutność i wzięłam dorożkę.

Przyjechałam do domu, wybrałam i poznałam na marginesach pierwszą serię lektury i wróciłam na Montagu Square wioząc w torbie podróżnej tuzin dzieł, jakim równych — jestem o tym święcie przekonana — nie znajdzie się w literaturze żadnego innego kraju w Europie. Zapłaciłam dorożkarzowi ściśle za kurs. Odpowiedział mi przekleństwem, na co wręczyłam mu natychmiast broszurkę. Gdybym przyłożyła nieszczęśnikowi pistolet do głowy, nie byłby chyba bardziej skonsternowany. Podskoczył na końle i wydając bluźniercze okrzyki przerażenia, popędził wściekle konia. Nadaremnie jednak — stwierdzam to z zadowoleniem! Nie zważając na niego posiałam dobre ziarno: wrzuciłam drugą broszurę przez okno krytej dorożki.

Drzwi — ku mojej wielkiej uldze — zamiast osoby ze wstążkami otworzył mi lokaj, który poinformował mnie, że przyszedł doktor i dotychczas przebywa z lady Verinder w jej pokoju. Pan Bruff, radca prawny, również przybył przed chwilą i czeka w bibliotece. Mnie także wprowadzono do biblioteki.

Pan Bruff zdziwił się nieco na mój widok. Jest radcą prawnym rodziny Verinderów i spotykaliśmy się już nieraz w domu mojej ciotki. Jest to człowiek — muszę zaznaczyć ze smutkiem — który zestarzał się i osiwił w służbie marności tego świata. Człowiek, który w godzinach urzędowych jest wybranym prorokiem Prawa i Mammona, w godzinach zaś wolnych od pracy zdolny jest do czytania powieści, a nawet do podarcia na strzępy broszury religijnej.

— Czy pani przybywa tu na dłuższy pobyt, panno Clack? — zapytał spoglądając na moją torbę podróżną.

Ujawniając drogocenną zawartość torby takiemu osobnikowi, pobudziłabym go tylko do bluźnierczego wybuchu. Toteż zniżyłam się do jego poziomu i wyjaśniłam, co za sprawa mnie sprowadza.

— Moja ciotka powiedziała mi, że ma podpisać testament — rzekłam. — Była tak dobra, że poprosiła mnie na świadka.

— Oo? No cóż, panno Clack, owszem, nadaje się pani do tej funkcji. Ma pani skończone dwadzieścia jeden lat i nie czekają pani żadne korzyści materialne w związku z testamentem lady Verinder.

Nie czekają mnie żadne korzyści materialne w związku z testamentem lady Verinder. O, z jaką wdzięcznością dowiedziałam się o tym! Gdyby moja ciotka, posiadająca grube tysiące, pamiętała o ubogiej krewnej, dla której pięć funtów stanowi pokaźną sumę — gdyby nazwisko moje widniało w testamencie wraz z niewielkim, lecz krzepiącym legatem — wrogowie moi wątpiliby może o pobudkach, co kazały mi wyładować torbę największymi skarbami mojej biblioteki i nadwątlić szczupłą kiesę niesłychanym wydatkiem na dorożkę. Teraz wszakże najokrutniejszy szyderca nie mógłby żywić najmniejszych wątpliwości. Tak było znacznie lepiej! O, z pewnością tak było o wiele, o wiele lepiej!

Z tych pocieszających rozmyślań wyrwał mnie glos pana Bruffa. Moje milczące medytacje drażniły widać tę świecką duszę i kazały jej na przekór chęciom wszcząć ze mną rozmowę.

— No, panno Clack, jakie tam nowiny w kołach dobroczynnych? Jak się miewa pani przyjaciel, pan Godfrey Ablewhite, po tej łaźni, którą mu sprawiły lotry przy Northumberland Street? Na honor! Śliczne historyjki opowiadają w moim klubie o tym czcigodnym filantropie!

Pominęłam milczeniem zjadliwość, z jaką ten pan zauważył, że mam skończone dwadzieścia jeden lat i że nie czekają mnie żadne korzyści materialne w związku z testamentem mojej ciotki, tonu jednak, którym mówił o kochanym panu Godfreyu, nie mogłam znieść spokojnie. Po tym, co zaszło tego popołudnia w mojej obecności, obowiązkiem moim było oczywiście stawać w obronie niewinności mojego kochanego przyjaciela przy każdej okazji, a ponadto czułam, że spełniając ten szczytny obowiązek winnam również skarcić surowo pana Bruffa.

— Pędzę życie z daleka od świata — powiedziałam — i nie mam zaszczytu należeć do żadnego klubu. Znam jednak przypadkiem plotkę, o której pan wspomina, i wiem również, że nigdy jeszcze nie opowiadano nędzniejszego kłamstwa.

— Ależ tak, tak, panno Clack, pani ufa bez zastrzeżeń swemu przyjacielowi. Rzecz całkiem zrozumiała. Ale całego świata pan Ablewhite nie zdoła przekonać tak łatwo jak zacne panie z dobroczynności. Wszystkie pozory przemawiają przeciwko niemu. Był w domu, kiedy diament zginał, a potem pierwszy wyjechał z tego domu do Londynu. W świetle późniejszych wypadków okoliczności te wyglądają bardzo brzydko.

Wiem, że powinnam była skorygować go, nim posunął się dalej. Powinnam była powiedzieć mu, że błądzi, gdyż nie wie nic o stwierdzeniu niewinności pana Godfrey'a, dokonany przez osobę najbardziej w tej materii kompetentną. Niestety! Pokusa, by wyciągnąć adwokata na słówka, a następnie go zawstydzić, była zbyt wielka. Z najniewinniejszą tedy w świecie miną zapytałam go, co rozumie przez „późniejsze wypadki”.

— Mam na myśli, panno Clack, wypadki, w których brali udział trzej Hindusi — ciągnął dalej pan Bruff traktując moją skromną osobę coraz bardziej protekcyjnie. — Cóż zrobili Hindusi z chwilą, gdy ich wypuszczono z więzienia we Frizinghall? Udali się prosto do Londynu i skierowali

swą uwagę na pana Lukera. Cóż powiedział pan Luker zwracając się do sędziego pokoju o opiekę? Wyznał, że podejrzewa pracującego u niego obcokrajowca o porozumienie z Hindusami. Czyż podobna znaleźć bardziej ważne dowody moralne, że łotrzyki znalazły sobie współnika wśród personelu zatrudnionego u pana Lukera i dowiedziały się, iż Kamień Księżycowy znajduje się w jego domu? Pięknie. Cóż dalej? Pan Luker zaniepokojony (i to nie bez słusnych powodów) o bezpieczeństwo diamentu, który wziął w zastaw, oddaje klejnot na przechowanie do kasy pancernej swojego banku. Bardzo sprytnie pomyślane. Hindusi jednakże ze swej strony zdradzają nie mniejszy spryt. Podejrzewają, że diament ma być przeniesiony w inne miejsce i układają niezwykle śmiały i dokładny plan sprawdzenia tych podejrzeń. Kogóż chwytają i poddają rewizji? Nie tylko pana Lukera — co byłoby zupełnie zrozumiałe — lecz także pana Godfreya Ablewhite'a. Dlaczego? Pan Ablewhite twierdzi, że zaważył tu przypadek: mianowicie Hindusi widzieli, jak pan Ablewhite zamienił przelotnie kilka słów z panem Lukerem. Absurd! Pół tuzina innych osób rozmawiało tego ranka z panem Lukerem. Czemu więc ich również nie śledzono i nie zwabiono następnie do zasadzki? Nie, nie! Wniosek jest jasny: pan Ablewhite najwidoczniej zainteresowany był w sprawie diamentu w tym samym stopniu co pan Luker, Hindusi zaś nie byli pewni, który z nich ma diament w posiadaniu, musieli więc zrewidować obojdwóch. Tak twierdzi opinia publiczna, panno Clack. A opinię publiczną w tym wypadku niełatwo zagłuszyć.

Wypowiedział to wszystko z miną tak przemądrzałą, że doprawdy (wyznaję ze wstydem) nie mogłam się oprzeć, żeby nie pociągnąć go jeszcze trochę za język, zanim przytłoczę go wyjawieniem prawdy.

— Nie ośmielę się dyskutować z tak doświadczonego prawnikiem — rzekłam — ale czy to w porządku wobec pana Ablewhite a, że się nie bierze pod uwagę opinii sławnego londyńskiego wywiadowcy, który badał tę sprawę? Zdaniem sierżanta Cuffa nawet cień podejrzenia nie pada na nikogo prócz panny Verinder.

— Czy chce mi pani powiedzieć, że zgadza się pani z sierżantem, panno Clack?

— Nie sądzę nikogo, sir, i nie składam żadnych oświadczeń.

— Ja natomiast popełniam obydwie te zdrożności, proszę pani. Sądzę, że sierżant pomylił się w sposób zasadniczy, i oświadczam, że gdyby znał Rachelę tak jak ja, podejrzewałby raczej wszystkich obecnych w domu niż ją. Przyznaję, że Rachelę ma swoje wady — jest skryta, uparta, wybuchowa i niepodobna do innych dziewcząt w jej wieku. Ale przy tym lojalna, niezłomna jak stal, no i wspaniałomyślna poza granice rozsądku. Gdyby najwyraźniejsze dowody wskazywały w określonym kierunku, a jedynie tylko słowo Racheli w kierunku przeciwnym, to chociaż jestem prawnikiem, uwierzyłbym raczej słowu Racheli niż dowodom! Są to mocne słowa, panno Clack, ale wypowiadam je z całym przekonaniem.

— Czy nie zechciałby pan zilustrować swego twierdzenia, abym mogła

być pewna, że dobrze pana rozumiem? Gdyby się na przykład okazało, że panna Verinder z jakiegoś niewytłumaczonego powodu interesuje się ogromnie tym, co się przydarzyło panu Ablewhite'owi i panu Lukerowi?... Przypuśćmy, że zadawała bardzo dziwne pytania na temat tego okropnego skandalu i zdradzała niezwykle podniecenie, kiedy się dowiedziała, jaki obrót sprawa przybiera...

— Może pani przypuszczać, co się pani żywnie podoba, panno Clack, ale nie zachwieje to ani na włos moim zaufaniem do Racheli Verinder.

— Tak bezwzględnie można na niej polegać?

— Owszem, tak bezwzględnie można na niej polegać.

— A więc pozwoli pan sobie powiedzieć, panie Bruff, że pan Godfrey Ablewhite był tu niecałe dwie godziny temu i że jego całkowita niewinność w sprawie zaginięcia diamentu została stwierdzona osobiście przez pannę Verinder w słowach tak mocnych, jakich nigdy w życiu nie słyszałam z ust młodej damy.

Tryumf mój — niezbyt chwalebny, obawiam się — był kompletny. Te kilka słów oszołomiło zupełnie pana Bruffa i wprawilo go w niesłychane zmieszanie. Zerwał się na nogi i patrzył na mnie w milczeniu. Ja zaś najspokojniej w świecie opowiedziałam mu popołudniową scenę ze wszystkimi szczegółami.

— Cóż pan teraz powie o panu Ablewhicie? — spytałam ze słodyczą na zakończenie.

— Jeżeli Rachelą utrzymuje, że pan Godfrey jest niewinny, mogę tylko stwierdzić, iż wierzę w jego niewinność równie święcie jak pani, panno Clack. Podobnie jak reszta świata dałem się zwieść pozorom i postaram się okupić błąd zaprzeczając publicznie i przy każdej sposobności plotce szkalującej pani przyjaciela. Tymczasem pozwoli pani pogratulować sobie mistrzostwa, z jakim skierowała pani na mnie ogień swoich baterii w momencie, kiedy najmniej się tego spodziewałem. Gdyby pani była mężczyzną, zasłaby pani w moim zawodzie bardzo wysoko.

Z tymi słowy odwrócił się ode mnie i zaczął gniewnie przemierzać pokój tam i z powrotem.

Widziałam wyraźnie, że nowe światło, które rzuciłam na interesujący nas temat, ogromnie go zaskoczyło i wzburzyło. Coraz bardziej pogrążony we własnych myślach zaczął mamrotać półgłosem jakieś zdania pozornie bez związku, z których mogłam się wszakże zorientować, jak okropny miał dotychczas pogląd na zagadkę Kamienia Księżycowego. Śmiał mianowicie podejrzewać drogiego pana Godfrefa o haniebną kradzież diamentu, zachowanie się zaś Racheli przypisywał wspaniałomyślnemu postanowieniu ukrycia tego przestępstwa. Teraz na podstawie słów samej panny Verinder, będącej dla pana Bruffa najwyższym autorytetem, okazało się, że tego rodzaju tłumaczenie sprawy jest najzupełniej mylne. Wtrąciłam wielkiego prawnika w konsternację tak wielką, iż nie potrafił jej wcale ukryć.

— Co za sprawa! — mruknął w pewnej chwili do siebie, zatrzymując się

przy oknie i bębniąc palcami po szybie. — Nie tylko zagadkowa, ale wręcz niepojęta!

Słowa te nie wymagały właściwie odpowiedzi z mojej strony — a mimo to odpowiedziałam na nie! Wydaje się to niemal niewiarygodne, że jeszcze i teraz nie dałam panu Bruffowi spokoju. Wydaje się to wykraczać poza granice przeciętnej przewrotności ludzkiej, że udało mi się wykryć w jego ostatniej uwadze nową sposobność do tego, by mu dokuczyć. Ale — o, drodzy przyjaciele! — przewrotność ludzka nie zna granic i wszystko jest możliwe, gdy wrodzona słabość bierze nad nami górę!

— Przepraszam, że przerywam panu rozmyślenia — powiedziałam — ale dałoby się wysunąć jeszcze jedną hipotezę, która dotychczas nie przysłała nam do głowy.

— Być może, panno Clack. Przyznam się, że nie wiem, o co chodzi.

— Zanim miałam szczęście przekonać pana o niewinności pana Ablewhi-te'a, wymienił pan jako jeden z powodów swoich podejrzeń fakt, że pan Godfrey znajdował się w domu lady Verinder w chwili zniknięcia diamentu. Pozwoli pan sobie przypomnieć, że pan Franklin Blake także znajdował się tam w chwili zniknięcia diamentu.

Stary grzesznik odszedł od okna, usiadł na krześle naprzeciwko mnie i spojrzał mi w oczy ze zjadliwym uśmiechem.

— Nie jest pani tak dobrym adwokatem, jak sądziłem, panno Clack — oświadczył po namyśle. — Nie potrafi pani wycofać się w porę.

— Obawiam się, że nie rozumiem pana, panie Bruff — odparłam skromnie.

— Nie uda się, panno Clack, po raz drugi już się pani ta sztuczka nie uda. Franklin Blake, jak pani doskonale wiadomo, jest moim ulubieńcem, ale mniejsza o to. Tym razem przyjmę pani punkt widzenia, zanim mnie pani zaatakuje. Ma pani zupełną słuszność. Podejrzywałam pana Ablewhite'a w oparciu o fakty, na podstawie których teoretycznie rzecz biorąc można by również podejrzewać pana Blake'a. Doskonale — uznajmy podejrzenia te za wspólne. Załóżmy, że pan Franklin zdolny był do kradzieży Kamienia Księżycowego. Powstaje tylko pytanie, czy taka kradzież leżała w jego interesach.

— Długi pana Franklina głośne są w całej rodzinie — zauważyłam.

— Natomiast długi pana Godfreya Ablewhite'a nie osiągnęły jeszcze tego stadium rozwoju. To prawda. Ale teoria pani napotyka dwie przeszkody, panno Clack. Prowadzę sprawy majątkowe pana Franklina Blake'a i mam zaszczyt oznajmić pani, że olbrzymia większość jego wierzycieli (wiedząc, iż ojciec jego jest człowiekiem bogatym) zadowolona się doliczaniem procentów do sumy jego długów i czeka spokojnie na pieniądze. Oto pierwsza przeszkoda, i to dość znaczna. Druga, jak się pani przekona, jest jeszcze większa. Wiadomo mi od lady Verifider, że jej córka gotowa była poślubić pana Franklina, zanim ten przekłęty diament zniknął z domu. Była dla niego to łaskawa, to znów oziębła — ot, zwykła kokieteria młodych panien. Ale wyznała matce, że kocha Franklina, matka zaś z kolei zwierzyła się z tego sekretu kuzynowi Franklinowi. A więc, panno Clack, wierzyciele pana

Franklina zgodzili się poczekać na należność, on sam zaś miał w perspektywie małżeństwo z dziedziczką pokaźnej fortuny. Może go pani uważać za łajdaka, bardzo proszę, ale niechże mi pani powie, po co miałby kraść Kamień Księżycowy.

— Serce ludzkie jest niezbadane — odparłam łagodnie. — Któż zdoła je zgłębić?

— Innymi słowy, proszę pani, aczkolwiek nie miał nawet cienia powodu, by ukraść diament, mógł mimo wszystko przywłaszczyć go sobie z wrodzonej niegodziwości? Bardzo pięknie, powiedzmy, że to zrobił. Dlaczegoż u diabła...

— Przepraszam pana, panie Bruff. Jeżeli mam słuchać tego rodzaju wzmianek o diable, to muszę opuścić pokój.

— To ja panią przepraszam, panno Clack. Na przyszłość będę ostrożniej-szy w doborze wyrazów. Chciałem tylko zadać następujące pytanie: czemu Franklin Blake — zakładając nawet, że to on ukraść diament — miałby najbardziej ze wszystkich domowników zabiegać o jego odnalezienie? Powie pani: może chciał w ten sprytny sposób odwrócić od siebie podejrzania? Odpowiem, że nie miał potrzeby odwracać od siebie podejrzeń, bo nikt go nie podejrzewał. A więc najpierw (bez najmniejszego powodu) kradnie diament z wrodzonej niegodziwości, potem zaś bez najmniejszej potrzeby odgrywa w związku z kradzieżą taką rolę, że zraza sobie pannę, która chciała go poślubić. Do takiego absurdalnego twierdzenia musi pani dojść, próbując skojarzyć zniknięcie diamentu z osobą Franklina Blake'a. Nie, panno Clack! Po tym, co zaszło tu dzisiaj między nami, sprawa staje ostatecznie w martwym punkcie. Niewinność Racheli (jak to wiadomo jej matce i mnie) nie ulega żadnej wątpliwości. Niewinność pana Ablewhite'a jest rzeczą równie pewną, w przeciwnym bowiem razie Rachela nie ręczyłaby za niego. Niewinność zaś Franklina Blake'a, jak pani sama widzi, daje się udowodnić w sposób nieodparty. Z jednej strony jesteśmy o tym wszystkim moralnie przekonani, z drugiej wszakże strony jesteśmy równie pewni, że ktoś zawiózł Kamień Księżycowy do Londynu i że klejnot znajduje się obecnie w posiadaniu pana Lukera czy też jego banku. Na cóż się zda w tego rodzaju sprawie moje doświadczenie, na cóż się zda czyjekolwiek doświadczenie? I ja, i pani, i w ogóle my wszyscy stoimy wobec ślepego muru.

O, nie! — nie wszyscy. Sierżant Cuff rozwiązał bezbłędnie zagadkę. Miałam właśnie nadmienić o tym jak najogólniej, zastrzegając się, że nie zamierzam bynajmniej rzucać cienia na Rachelę — kiedy wszedł służący i oznajmił, iż doktor już odszedł i moja ciotka czeka na nas.

Przerwało to dyskusję. Pan Bruff zebrał swoje papiery, wyraźnie znużony naszą burzliwą rozmową. Ja wzięłam swoją torbę z cennymi wydawnictwami, czując, że mogłabym jeszcze rozmawiać o sprawie diamentu przez kilka godzin. Ruszyliśmy w milczeniu do pokoju lady Verinder.

Za pozwoleniem państwa dodam jeszcze, nim przejdę do dalszych wydarzeń, że opisując swoją rozmowę z adwokatem, miałam określony cel przed oczami. Polecono mi, abym w tej opowieści, będącej moim wkładem

do kroniki gorszących dziejów Kamienia Księżycowego, nie tylko opisała dokładnie fluktuacje podejrzeń, lecz także wymieniła nazwiska osób, na które padło podejrzenie w okresie, gdy indyjski diament miał znajdować się w Londynie. Dokładne sprawozdanie z konwersacji z panem Bruffem odpowiada chyba ściśle tym wymaganiom, jednocześnie zaś posiada tę wielką zaletę moralną, że zmusza mnie do złożenia ofiary z grzesznego zadufania w sobie. Zmuszona jestem przyznać się, że moja ułomna natura wzięła nade mną górę. Ale dokonując tego upokarzającego wyznania, ja z kofei biorę górę nad moją ułomną naturą. Równowaga moralna została przywrócona, atmosfera duchowa znów się oczyściła. Drodzy przyjaciele, możemy pójść dalej.

ROZDZIAŁ IV

Podpisanie testamentu trwało znacznie krócej, niż się spodziewałam. Ceremonię odbyto, moim zdaniem, z nieprzyzwoitym pośpiechem. Wezwano lokaja Samuela, aby był drugim świadkiem — i niezwłocznie włożono mojej ciotce pióro do ręki. Co do mnie, to czułam potrzebę powiedzenia przy tej uroczystej okazji kilku stosownych słów, ale z miny pana Bruffa wyczytałam, że najmądrzej będzie pohamować podobne odruchy, dopóki on jest w pokoju. W niecałe dwie minuty było już po wszystkim i Samuel (nie odniósłszy korzyści moralnych z tego, co mogłam była powiedzieć) odszedł z powrotem do sutereny.

Pan Bruff złożył testament, po czym spojrzął na mnie, zastanawiając się widocznie, czy zamierzam zostawić go samego z moją ciotką, czy też nie. Ale ja miałam do spełnienia swą zbożną misję; torba z książkami leżała przygotowana na moich kolanach, toteż adwokat swoimi spojrzzeniami prędzej poruszyłby z miejsca katedrę św. Pawła niż mnie. Miał on wszakże pewną zaletę, której nie mogę mu odmówić — mianowicie był bystry. Działałam na niego widocznie tak samo jak na dorozkarza, bo również użył bluźnierczego wyrażenia i wycofał się pośpiesznie, zostawiając mnie samą na placu.

Gdyśmy zostały same, ciotka moja położyła się na kanapie, po czym z niejakim zmieszaniem poczęła mówić o swoim testamencie.

— Mam nadzieję, że nie czujesz się pominięta, Drusillo — rzekła. — Zamierzam dać ci twój niewielki legat ciepłą ręką, moja droga.

Oto nastęczała się nieoceniona sposobność! Skorzystałam z niej natychmiast. Innymi słowy otworzyłam niezwłocznie torbę i na chybił trafił wyjęłam z niej książkę. Jak się okazało, było to wczesne wydanie — zaledwie dwudzieste piąte — słynnego anonimowego dzieła pod tytułem „Waż w twoim domu”. Książka — której zajęty sprawami doczesnymi czytelnik być może nie zna — ma na celu wykazanie, że Zły czyha na nas we wszystkich niewinnych na pozór sprawach życia codziennego. Dla kobiet przeznaczone są przede wszystkim następujące rozdziały; „Szatan w szczytce do włosów”,

„Szatan w zwierciadle”, „Szatan pod stołem jadalni”, „Szatan za oknem” oraz wiele innych.

— Kochana ciociu, proszę zwrócić uwagę na tę bezcenną książkę, a da mi ciocia wszystko, czego mogę sobie życzyć.

Z tymi słowy podałam jej otwarte dzieło z zaznaczonym ustępem stanowiącym wspaniały wybuch płomiennej wymowy. Tematem był „Szatan wśród poduszek na kanapie”.

Biedna lady Verinder (wsparta lekkomyślnie na własnych poduszkach) spojrzała przelotnie na książkę i zwróciła mi ją bardziej jeszcze zmieszana niż przedtem.

— Niestety, Drusillo — rzekła — muszę odłożyć przeczytanie tego do czasu, kiedy poczuję się nieco lepiej. Mój doktor...

Z chwilą, gdy wypowiedziała słowo „doktor”, wiedziałam już, co nastąpi. W pracy wśród moich nieszczęsnych bliźnich raz po raz napotykałam opór ze strony przedstawicieli zawodu lekarskiego — notorycznych niedowiarków. Uniemożliwiali mi oni spełnienie mojej zbożnej misji, twierdząc obłudnie, że pacjentowi potrzeba spokoju i że najbardziej szkodliwym dla niego wpływem będzie wpływ panny Clack i jej książek. Ten sam zaślepiony materializm (działając podstępnie za moimi plecami) usiłował teraz pozbawić mnie najcenniejszego skarbu, do jakiego mogłam pretendować w swym ubóstwie — skarbu zbawienia mojej grzesznej ciotki.

— Doktor powiedział mi — ciągnęła dalej moja zbląkana krewna — że jestem dziś w niezbyt dobrym stanie. Zabronił mi przyjmować kogokolwiek obcego i nakazał — jeśli zechcę koniecznie czytać — tylko najłżejszą i najzabawniejszą lekturę. „Proszę nie robić nic, co mogłoby panią znużyć albo przyspieszyć pani puls”, powiedział mi dziś na pożegnanie, Drusillo.

Nie było rady, musiałam ustąpić, ale tylko na chwilę, jak przedtem. Gdybym oświadczyła bez ogródek, że pomoc duchowa, jakiej chciałam udzielić ciotce, jest stokroć ważniejsza od pomocy medycznej, doktor zagrałby tylko na ludzkich słabostkach pacjentki i zagroziłby, że zrezygnuje z jej leczenia. Na szczęście istnieje wiele sposobów zasiewania dobrego ziarna, a mało kto zna te sposoby lepiej ode mnie.

— Za godzinę lub dwie może się kochana ciocia poczuć lepiej — rzekłam. — Albo obudzi się ciocia jutro rano z uczuciem, że jej czegoś brak, a wówczas być może ta bezpretensjonalna książeczka ową lukę wypełni. Pozwoli ciocia, że zostawię tutaj ten tomik, prawda? Temu chyba lekarz nie będzie się sprzeciwiał!

Wsunęłam książkę między poduszki kanapy, tuż obok chusteczki i flakonu soli trzeźwiących. Ilekroć ręka ciotki sięgnie po którąś z tych rzeczy, dotknie książki i — kto wie? — prędzej czy później być może zbląkana istota zainteresuje się nią. Po dokonaniu tego uznałam, że najrozsądniej będzie oddalić się.

— Nie chcę już zakłócać odpoczynku drogiej ciotki. Przyjdę znów jutro. Mówiąc to spojrzałam przypadkiem w kierunku okna. Było tam pełno

kwiatów w skrzynkach i doniczkach. Lady Verinder żywiła wielką słabość do

tych przemijających skarbów i miała zwyczaj wstawać co pewien czas, aby podejść do kwiatów, obejrzeć je i powąchać. Zaświtała mi nowa myśl.

— Czy mogę zerwać jeden kwiatek? — spytałam i w ten sposób nie budząc podejrzeń ciotki podeszłam do okna. Ale zamiast wziąć kwiat, dodałam tam jeszcze inny w postaci następnej książki. Zostawiłam ją wśród kwitnących pelargonii i róż jako niespodziankę dla ciotki. Wówczas znów olśniła mnie wyborna myśl: „Czemu nie miałabym zrobić tego dla mojej drogiej biedaczki i zostawić jej książkę w każdym pokoju, do którego zagląda?” Pożegnałam się od razu, przeszłam przez hall i wśliznęłam się do biblioteki. Samuel wszedł na górę, żeby mnie wypuścić, i pewien, że już sobie poszłam, wrócił na dół. Na stole w bibliotece dostrzegłam dwie „zabawne” książki, które polecił niedowiarek-doktor. Przykryłam je natychmiast dwiema spośród moich cennych publikacji. W pokoju śniadaniowym-ujrzałam ulubionego kanarka ciotki, który śpiewał wesoło w klatce. Wiedziałam, że ciotka zawsze własnoręcznie go karmi, położyłam więc książkę na stole stojącym tuż pod klatką. W salonie na fortepianie leżały nuty ulubionych utworów muzycznych ciotki — wsunęłam jeszcze dwie książki między nuty. Umieściłam następną w bawialni pod nie dokończoną robotą, którą, jak wiedziałam, haftowała właśnie lady Verinder. Za bawialnią był trzeci pokój, oddzielony od niej tylko kotarą. Na kominku leżał staroświecki wachlarz ciotki. Otworzyłam dziewiątą książkę na bardzo doniosłym ustępie i włożyłam do niej wachlarz niby zakładkę. Powstało wówczas pytanie, czy mam iść na górę i spróbować szczęścia w sypialni narażając się niewątpliwie na zniewagi, gdyby spotkała mnie tam osoba ze wstążkami. Ale cóż to mogło mieć za znaczenie? Marny to chrześcijanin, co boi się zniewag. Poszłam na górę, przygotowana na najgorsze. Było tam cicho i pusto — służba jadła zapewne podwieczorek. Pokój mojej ciotki był od frontu. Na ścianie naprzeciw łóżka wisiała miniatura mojego nieboszczyka wuja, sir Johna. Zdawało się, że wuj uśmiecha się do mnie i mówi: „Drusillo, podrzuć książkę!” Po obu stronach łóżka ciotki stały stoliki. Ciotka cierpiała na bezsenność i w nocy potrzeba jej było (albo też imaginowała sobie, że jej potrzeba) wielu rzeczy. Położyłam książkę obok zapalek z jednej strony i książkę pod pudelkiem czekoladek z drugiej. Ilekroć zechce zapalić świecę albo zjeść drażetkę, drogocenne dzieło napotka jej oczy albo rękę i zawoła milcząco, lecz wymownie: „Spróbuj mnie! Spróbuj mnie!” Tylko jedna książka pozostała mi w torbie i tylko jedno pomieszczenie pozostało do zbadania — łazienka. Zajrzałam tam i święty głos wewnętrzny, który nigdy nie zwodzi, szepnął mi: „Drusillo, przygotowałaś grunt wszędzie, zadbaj jeszcze o jej duszę, gdy wejdzie do kąpieli, a dzieło będzie zakończone”. Na krześle leżał szlafrok. Do kieszeni szlafrocka włożyłam ostatnią książkę. Czy jakiegokolwiek słowa zdołają wyrazić rozkosz spełnionego obowiązku, jaką odczuwałam wymykając się niepostrzeżenie z domu z pustą torbą pod pachą? O, moi zbląkami przyjaciele, goniący poprzez labirynt rozpusty za błędnym ognikiem przyjemności, jakże łatwo jest być szczęśliwym, jeśli się tylko jest dobrym!

Składając tego wieczora ubranie i zastanawiając się nad prawdziwymi bogactwami, które rozsiała hojną ręką po całym domu mojej ciotki, czułam się tak wolna od wszelkich trosk, jakbym znów była dzieckiem. Było mi tak lekko na sercu, że odśpiewałam na głos zwrotkę Hymnu Wieczornego. Było mi tak lekko na sercu, że usnęłam, nim zdążyłam rozpocząć drugą zwrotkę. Zupełnie jak dziecko! Zupełnie jak dziecko!

Tak spędziłam ową błogą noc. Jakże młodo się czułam nazajutrz rano! Mogłabym jeszcze dodać: jak młodo wyglądałam! — gdybym zdolna była do zwracania uwagi na swą doczesną powłokę. Ale nie jestem do tego zdolna, toteż nie dodam nic.

Gdy zbliżała się pora lunchu — nie dla rozkoszy podniebienia, lecz aby mieć pewność, że zastanę drogą ciotkę w domu — włożyłam kapelusz, żeby udać się na Montagu Square. Kiedy już byłam gotowa do wyjścia, pokojówka pensjonatu, w którym mieszkałam, wsunęła głowę przez drzwi i powiedziała:

— Służący lady Verinder do panny Clack.

W owym okresie mieszkałam na parterze, zajmowałam pokój od frontu. Był to bardzo mały i niski pokój, nędznie umeblowany, lecz jakże schludny! Wyrzuciłam na korytarz, aby przekonać się, który ze służących lady Verinder o mnie pyta. Był to młody lokaj, Samuel, rumiany chłopiec, bardzo grzeczny w obejściu. Od dawna budził on moje zainteresowanie duchowe i pragnęłam odbyć z nim poważniejszą rozmowę. Korzystając więc ze sposobności zaprosiłam go do swego pokoju.

Wszedł z wielką paczką pod pachą. Położył tę paczkę z miną dość wystraszoną.

— Milady kazała przekazać pani pozdrowienia i powiedzieć, że tam w środku znajdzie pani list.

Wykonawszy polecenie, rumiany lokaj spojrzał na mnie takim wzrokiem, jak gdyby miał ochotę uciec.

Zatrzymałam go, żeby zadać mu kilka uprzejmych pytań. Czy zastanę ciotkę, jeżeli zgłoszę się na Montagu Square? Nie, lady Verinder udała się na przejażdżkę w towarzystwie panny Racheli i pana Ablewhite'a. Wiedziałam, jakie zaległości ma kochany pan Godfrey w swej pracy dobroczynnej, wydało mi się więc dziwne, że jeździ sobie na spacerów niby pierwszy lepszy próżniak. Zatrzymałam tedy Samuela przy drzwiach i zadałam mu jeszcze kilka pytań. Panna Rachela wybierała się tego wieczora na bal i umówiła się z panem Ablewhite'em, że przyjdzie na kawę, a potem uda się na bal razem z nią. Nazajutrz rano miał się odbyć poranek muzyczny i Samuelowi kazano kupić bilety dla większego towarzystwa, w tym również bilet dla pana Ablewhite'a.

— I jeżeli nie pobiegnę zaraz po bilety, proszę pani — dodał ten niewinny młodzian — to może ich zabraknąć!

Z tymi słowy wybiegł, a ja zostałam znów sama, oblegana przez dość niespokojne myśli.

Miałyśmy tego wieczora nadzwyczajne zebranie Towarzystwa Przera-

biania Ubrań, zwołane specjalnie po to, by zasięgnąć rady pana Godfrey'a i uzyskać jego pomoc. Ale zamiast poprzeć nasze stowarzyszenie, tonące w zalewie spodni, pan Godfrey umówił się na kawę przy Montagu Square i wybierał się potem na bal! Nazajutrz po południu miał się odbyć festiwal Brytyjskiego Towarzystwa Czuwania IMad Odpoczynkiem Niedzielnym Panien Służących. Ale pan Godfrey, dusza i podpora tego stowarzyszenia, umówił się na koncert ze zgrają światowych próżniaków!

Co to może znaczyć? — pytałam siebie w duchu. Niestety! Oznaczało to, że nasz bohater chrześcijański miał mi się ukazać w zgoła nowym świetle i skojarzyć w moim umyśle z jednym z najstraszniejszych upadków moralnych w czasach nowożytnych.

Powróćmy jednak do dziejów owego dnia. Znalazłszy się sama w pokoju zwróciłam, rzecz naturalna, uwagę na paczkę, która zdawała się budzić taki lęk w rumianym młodym lokaju. Czyżby ciotka przysłała mi obiecany legat? I czy przybrał on postać znoszonych sukien, zniszczonych srebrnych łyżek, niemodnej biżuterii lub czegoś w tym rodzaju? Gotowa przyjąć wszystko i o nic nie mieć żalu, otworzyłam paczkę. Cóż się ukazało moim oczom? Dwanaście bezcennych dzieł, które poprzedniego dnia rozsiałam po domu mojej ciotki! Zwrócono mi je wszystkie na rozkaz lekarza! Nic dziwnego, że młody Samuel pełen był lęku wnosząc tę paczkę do .nojego pokoju! Nic dziwnego, że uciekł po wykonaniu tak haniebnego polecenia! Co się zaś tyczy listu mojej ciotki, to biedaczka pisała w nim tylko, że nie śmie postępować na przekór rozkazom swego medyka.

Co należało teraz uczynić? Miałam rozległe doświadczenie w takich sprawach oraz mocno wpojone zasady, toteż nie wahałam się ani chwili.

Prawdziwy chrześcijanin, wspierany przez własne sumienie, nie cofa się nigdy, gdy raz wkroczył na drogę niesienia pomocy bliźnim. Żadne wpływy, publiczne czy też prywatne, nie czynią na nas najmniejszego wrażenia, gdy mamy spełnić jakąś misję. Wynikiem takiej misji może być zwiększenie podatków, zamieszki, wojny — my kontynuujemy swoją pracę nie zważając na jakiegokolwiek ludzkie sprawy i względy. Wznosimy się ponad rozsądek, wznosimy się ponad śmieszność, nie patrzymy niczymi oczami, nie słuchamy niczymi uszami, nie czujemy niczym sercem, prócz własnego. Wspaniały, wspaniały przywilej! Jakże się go zdobywa? Ach, przyjaciele, oszczędźcie sobie bezcelowych pytań! Tylko my możemy zdobyć ten przywilej — bo tylko my mamy zawsze słuszność!

W wypadku mojej zbłąkanej ciotki, postać, jaką miała odtąd przybrać moja zbożna wytrwałość, objawiła mi się zupełnie wyraźnie.

Przygotowanie przez moich przyjaciół, należących do stanu duchownego, zawiodło z powodu oporu lady Verinder. Przygotowanie za pomocą lektury zawiodło z winy upartego lekarza-niedowiarka. Niechże i tak będzie! Czego teraz należy spróbować? Należy teraz spróbować przygotowania za pomocą krótkich liścików. Innymi słowy, ponieważ odesłano mi książki, należało wybrać z nich najcelniejsze ustępy, przepisać je różnymi charakterami pisma, włożyć do kopert adresowanych do mojej ciotki i część wysłać pocztą, resztę

zaś rozrzucić po domu według planu, który zastosowałam poprzedniego dnia. Jako listy nie wzbudzą podejrzeń, jako listy zostaną otwarte, a co za tym idzie, być może i przeczytane. Niektóre napisałam sama: „Kochana Ciociu, czy wolno mi prosić Ciocię o zwrócenie uwagi na następujących kilka wierszy?”... itd. „Kochana Ciociu, czytając wczoraj wieczorem książkę napotkałam następujący fragment”... itd. Inne listy napisały na moją prośbę moje nieocenione współpracownice z Towarzystwa Przerabiania Ubrań. „Droga Pani, zechce Pani wybaczyć ten objaw zainteresowania ze strony szczerzej, acz skromnej przyjaciółki”... „Droga Pani, czy wolno osobie poważnie myślącej przesiać Pani kilka słów otuchy?”... Używając takich i tym podobnych uprzejmych i pełnych szacunku zwrotów, przemyślałyśmy wszystkie moje umiłowane wyjątki z niezrównanych książek w postaci tak niewinnej, że nawet przyziemna czujność doktora nie zwęszyłaby tu nic podejrzanego. Nim zapadł zmierzch, miałam już dla ciotki zamiast tuzina uzdrawiających moralnie książek, tuzin uzdrawiających moralnie listów. Sześć wysłałam niezwłocznie pocztą, pozostałe zaś sześć schowałam do kieszeni, zamierzając dostarczyć je następnego dnia osobiście.

Kilka minut po drugiej znajdowałam się znów na polu mej zbożnej walki i pytałam Samuela o zdrowie lady Verinder.

Jak się dowiedziałam, moja ciotka spędziła noc bardzo niespokojnie. Była teraz znów w pokoju, w którym złożyłam podpis na jej testamencie, i starała się trochę przespać. Powiedziałam, że zaczekam w bibliotece, gdyż być może ciotka zechce się ze mną widzieć. Byłam tak pochłonięta sprawą listów, że zapomniałam zupełnie zapytać o Rachelę. W domu panowała cisza, godzina zaś rozpoczęcia koncertu już minęła. Byłam więc pewna, że ona i jej goniaący za przyjemnościami towarzysze (w ich liczbie niestety pan Godfrey!) są już na koncercie, i korzystając z pomyślnych okoliczności zabrałam się z zapalem do szczytnego dzieła.

Poranna korespondencja ciotki — nie wyłączając sześciu oświecających listów, które wysłałam poprzedniego wieczora — leżała nie otwarta na stole w bibliotece. Ciotka widocznie zbyt była słaba, aby przeczytać tak znaczną ilość listów. Położyłam tedy pierwszy z drugiego kompletu sześciu listów na gzymisie kominka, aby przyciągnął jej uwagę przez swe odosobnienie. Drugi list położyłam umyślnie na podłodze w pokoju śniadaniowym. Uczyłam, że pierwsza służąca, która wejdzie tam po mnie, pomyśli, że moja ciotka list upuściła i postara się zwrócić go jej czym prędzej. Obsiawszy w ten sposób grunt na parterze, pobiegłam lekkim krokiem na górę, aby następnie hojną garścią rozrzucić skarby na pierwszym piętrze.

Gdy wchodziłam do salonu, usłyszałam pukanie do drzwi frontowych — ciche, nieśmiałe, delikatne pukanie. Zanim zdążyłam umknąć z powrotem do biblioteki (w której miałam przecież czekać), ruchliwy miody lokaj był już w hallu i otwierał drzwi. Jak sądziłam, nie miało to większego znaczenia, gdyż ze względu na stan zdrowia ciotki gości na ogół nie przyjmowano. Ku mojemu przerażeniu i zdumieniu osoba stojąca za drzwiami okazała się wyjątkiem z ogólnej reguły. Głos Samuela, odpowiadający na pytanie.

którego nie dosłyszałam, rzekł wyraźnie: „Proszę na górę, sir”. Zaraz potem usłyszałam kroki — męskie kroki — zbliżające się do salonu. Kimże mógł być ów uprzywilejowany gość? I ledwie zadałam sobie to pytanie, odpowiedź nasunęła mi się sama. Któż to mógł być, jak nie doktor?

W każdym innym wypadku nie bałabym się, że mnie zastanie w salonie. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, że znudziło mi się tkwić w bibliotece i że poszłam wobec tego na górę. Ale godność osobista nie pozwalała mi na spotkanie z osobą, co mnie tak znieważyla każąc odesłać moje książki. Ukryłam się w trzecim, małym pokoiku za bawialnią i zaciągnęłam kotarę, zastępującą drzwi. Miałam zamiar przeczekać tam kilka minut, aż wszystko się uspokoi, czyli aż doktor pójdzie do pokoju pacjentki,

Czekałam kilka minut, potem następne i jeszcze następne kilka minut. Gość chodził niespokojnie tam i na powrót po salonie. Słyszałam, jak mówił coś do siebie. Zdawało mi się nawet, że poznaję ten głos. Czyżbym się pomyliła? Może nie jest to lekarz, ale kto inny? Na przykład pan Bruff? Nie! Instykt nieomylny podpowiadał mi, że to nie jest pan Bruff. Kimkolwiek był ów mężczyzna, mówił wciąż do siebie. Rozsunęłam odrobineczkę ciężkie kotary i nasłuchiwałam.

Doszły mnie słowa: „Zrobię to jeszcze dziś!” A głos, który je wypowiedział, był głosem pana Godfrey'a Ablewhite'a.

ROZDZIAŁ V

Ręka trzymająca kotarę opadła mi bezwładnie. Ale proszę nie sądzić — o, doprawdy proszę nie sądzić! — że myślałam przede wszystkim o okropnej sytuacji, w jakiej się znalazłam! Żywiłam dla pana Godfrey'a tak gorące siostrzane zainteresowanie, że nawet nie zastanawiałam się ani przez chwilę, czemu nie jest na koncercie. Nie! Myślałam tylko o tych słowach, dziwnych słowach, które padły z jego ust. Zrobi to jeszcze dzisiaj. Powiedział tonem rozpaczliwego postanowienia, że zrobi to jeszcze dzisiaj! Cóż, ach, cóż zamierza uczynić? Coś bardziej jeszcze niegodnego siebie, niż dotychczas już uczynił? Czy chce wyprzeć się wiary? Czy porzuci nasze szlachetne stowarzyszenie? Czy nie zobaczymy już nigdy w pokoju zebrań jego anielskiego uśmiechu? Czy nie będziemy już zachwycać się w Exeter Hall jego niezrównanym krasomówstwem? Tak mną wstrząsnęła sama myśl o tych potwornych możliwościach, że zdolna byłabym chyba wybiec ze swej kryjówki i w imieniu wszystkich komitetów dobroczynnych w Londynie błagać, aby wyjaśnił mi znaczenie owych słów—gdy naraz w salonie rozległ się inny głos. Głos ten przenikał przez zaciągnięte kotary, był donośny, zuchwały i odznaczał się brakiem wszelkiego kobiecego wdzięku — słowem był to głos Racheli Verinder.

— Dlaczegoś przyszedł tu na górę, Godfreyu? — spytała Rachel. — Czemuś nie poszedł do biblioteki?

Pan Godfrey roześmiał się cicho i odparł:

— W bibliotece jest panna Clack.

— Clack jest w bibliotece! — Rachelę od razu usadowiła się na otomanie w bawialni. — Masz rację, Godfreyu. Znacznie lepiej będzie, jeżeli zostaniemy tutaj.

Przed chwilą jeszcze płonęłam jak w gorączce i nie wiedziałam wcale, co począć. Teraz ściał mnie mróz, wszelkie zaś wątpliwości rozwiały się bez śladu. Po tym, co usłyszałam, pokazać się było niepodobieństwem. O wycofaniu się też nie mogło być mowy — chyba że do kominka. Czekano mnie tedy męczeństwo. Oddam sobie sprawiedliwość: bezszelestnie ułożyłam kotarę tak, żeby móc zarówno widzieć, jak i słyszeć. Następnie przyjął męczeństwo z odwagą pierwszej chrześcijanki, i — Nie siadaj na otomanie — ciągnęła dalej młoda panna. — Przysuń sobie

I fotel, Godfreyu. Lubię mieć naprzeciw siebie osobę, z którą rozmawiam.

Pan Godfrey zajął najbliższe miejsce. Był to niski fotel. Pan Godfrey był bardzo wysoki, toteż nigdy jeszcze nie widziałam go w tak niekorzystnej pozycji.

— No? — spytała Rachelę. — Coś im powiedział?

— To samo, coś powiedziała mi, droga Rachelę.

— Że mama niedobrze się dziś czuje? I że nie chcę zostawiać jej samej tylko po to, żeby pójść na koncert?

— Słowo w słowo. Żalowali ogromnie, że nie będziesz na koncercie, ale oczywiście rozumieli twoje pobudki. Wszyscy kazali pozdrowić cię najserdeczniej i wszyscy wyrazili nadzieję, że niedyspozycja lady Verinder wkrótce minie.

— A ty nie sądzisz, że to coś poważnego, Godfreyu?

— Jestem jak najdalszy od takich myśli! Za kilka dni z pewnością wszystko będzie znów w porządku.

— Ja też mam taką nadzieję. W pierwszej chwili przeraziłam się trochę, ale teraz też tak sądzę. Bardzo to było ładnie, że przeprosił w moim imieniu osoby niemal ci obce. Ale czemuś nie poszedł z nimi na koncert? Przykro mi,

i że cię ominęła taka przyjemność.

— Nie mów tak, Rachelę! Gdybyś tylko wiedziała, o ile milej mi tutaj, przy tobie!

Splótł dłonie i spojrzał na nią. Zajmował taką pozycję, że czyniąc to zwrócił się zarazem twarzą do mnie. Żadne słowa nie zdołają opisać, jak się poczułam widząc ten sam wzruszający wyraz twarzy, którym pan Godfrey urzekał mnie, błagając z mównicy Exeter Hall ó litość dla milionów swych nieszczęśliwych bliźnich!

— Trudno jest wyzybyć się złych przyzwyczajęń, Godfreyu, ale zrób to dla mnie i postaraj się na przyszłość nie prawić mi komplementów.

— Rachelę, nigdy w życiu nie powiedziałem ci komplementu. Owszem, szczęśliwa miłość może niekiedy przemawiać językiem pochlebstwa. Ale nieszczęśliwa miłość, najdroższa, wyznaje zawsze prawdę.

Mówiąc: „nieszczęśliwa miłość” przysunął bliżej swój fotel i ujął Rachelę za rękę. Nastąpiła chwila milczenia. On, co czarował wszystkich, bez

wątpienia oczarował też i Rachełę. Rozumiałam już, co pan Godfrey powiedział będąc sam w pokoju. „Zrobię to jeszcze dziś”. Niestety! — nawet ślepiec musiałby chyba zauważyć, że pan Godfrey wprowadza właśnie swój zamiar w czyn!

— Czyś zapomniał o umowie, którą zawarliśmy, kiedyś rozmawiał ze mną na wsi, Godfreyu? Umówiliśmy się, że będziemy dla siebie tylko kuzynostwem i niczym więcej.

— Rachelo, łamię tę umowę, ile razy cię widzę.

— A więc przestań się ze mną widywać.

— Daremnie! Łamię umowę, ilekroć myślę o tobie. O, Rachelo, zaledwie parę dni temu byłaś dla mnie taka dobra! Powiedziałaś mi, że cenisz mnie teraz wyżej niż kiedykolwiek dotychczas! Czy jestem szalony, że opieram pewne nadzieje na tych cudownych słowach? Czy jestem szalony, marząc

o tym, że nadejdzie dzień, kiedy twoje serce może zmięknie? Jeżeli tak, to nie mów mi tego! Pozostaw mi złudzenie, najdroższa! Niechże choć to mam na pociechę, skoro już nie zostało mi nic innego!

Głos zdrzął panu Godfreyowi. Czarujący mój przyjaciel przyłożył do oczu białą chusteczkę. Znowu Exeter Hall! Do uzupełnienia obrazu brakowało tylko publiczności, oklasków i szklanki wody.

Nawet twarde serce Racheli dało się nieco wzruszyć. Pochyliła się bliżej do pana Godfreya i posłyszałam nutki zainteresowania w jej następnych słowach:

— Czyś naprawdę pewien, Godfreyu, że tak bardzo mnie lubisz?

— Czy jestem pewien! Wiesz, czym byłem, Rachelo. Pozwól więc, że powiem ci, czym jestem teraz. Nic mnie już w życiu nie interesuje poza tobą. Zaszła we mnie zmiana, której sam nie umiem sobie wytłumaczyć. Czy uwierzysz? Moja działalność dobroczynna stała się dla mnie utrapieniem

i kiedy widzę teraz jakikolwiek komitet pań, chciałbym uciec na koniec świata!

Jeśli nawet w annałach apostazji dałoby się znaleźć coś równego powyższemu oświadczeniu, mogę tylko stwierdzić, że ja w swej lekturze nigdy na nic podobnego nie natrafiłam. Pomyślałam o Towarzystwie Przerabiania Ubrań. Pomyślałam o Towarzystwie Czuwania Nad Odpoczynkiem Niedzielnym Panien Służących. Pomyślałam o innych stowarzyszeniach, zbyt licznych, abym zdołała je wymenić, których ten człowiek był główną podporą. Pomyślałam o zmagających się z trudnościami komitetach pań, które, że tak powiem, wciągały ożywcze tchnienie płucami pana Godfreya — tego samego pana Godfreya, co przed chwilą nazwał naszą zbożną pracę utrapieniem i oświadczył, że chciałby uciec na koniec świata, ilekroć znajdzie się w naszym towarzystwie! Moje młode przyjaciółki niezawodnie zaczerpną z tego otuchy, jeśli przyznam się, że nawet moja dyscyplina wewnętrzna została wystawiona na ciężką próbę, gdy musiałam pohamować święte oburzenie i znieść to wszystko w milczeniu. Jednocześnie sprawiedliwość wobec siebie samej każe mi dodać, że nie straciłam ani sylaby z rozmowy toczącej się w bawialni. Następnie odezwała się Rachelo.

— Wyznałeś mi swoje uczucia — powiedziała. — Zastanawiam się teraz, czy nie ulecę cię z tej niefortunnej słabości, jeżeli ja z kolei uczynię ci pewne wyznanie.

Pan Godfrey drgnął. Przyznam się, że ja również drgnęłam. Zarówno on jak i ja myśleliśmy niewątpliwie, że Rachelą wyjawia za chwilę tajemnicę Kamienia Księżycowego.

— Czy patrząc na mnie — ciągnęła dalej Rachelą — domyśliłbyś się, że jestem najniezwyklejszą dziewczyną na świecie? A tak jest, Godfreyu. Czy może być straszniejsze nieszczęście, niż żyć mając pogardę dla samej siebie? Bo takie jest teraz moje życie.

— Kochana Rachelo! Nie możesz mieć powodów, aby mówić o sobie w ten sposób!

— Skąd wiesz, że nie mam powodów?

— Jak możesz mnie o to pytać? Wiem, bo znam ciebie. Twoje milczenie, najdroższa, nie pozbawiło cię nigdy szacunku prawdziwych przyjaciół. Zniknięcie owego cennego upominku może się wydawać dziwne, twój niewytłumaczony związek z tym wydarzeniem może się wydawać jeszcze dziwniejszy...

— Czy mówisz o Kamieniu Księżycowym, Godfreyu?

— Myślałem oczywiście, że nawiązujesz do...

— Wcale do tego nie nawiązywałam. Choćby nie wiem kto mówił o Kamieniu Księżycowym, mogę tego słuchać nie czując się bynajmniej poniżona we własnym mniemaniu. Jeżeli historia diamentu wyjdzie kiedykolwiek na światło dzienne, wiadomo będzie, że wzięłam na siebie potworną odpowiedzialność, wiadomo będzie, że podjęłam się zachowania okropnej tajemnicy — ale zarazem stanie się jasne jak słońce, że nie popełniłam nic zdrożnego! Żle mnie zrozumiałeś, Godfreyu. Moja to wina, bo widocznie mówiłam nie dość jasno. Choćby mnie to miało drogo kosztować, powiem teraz wszystko nie owijając w bawełnę. Gdybyś, powiedzmy, kochał się nie we mnie, lecz w jakiejś innej kobiecie...

— Tak?

— I gdybyś się przekonał, że ta kobieta nie jest ciebie godna... Że okryjesz się hańbą, poświęcając jej choćby jeszcze jedno wspomnienie... Gdyby na samą myśl o poślubieniu tej osoby rumieniec wstydu zalewał ci twarz...

— Tak?

— I gdybyś mimo wszystko nie mógł wyrwać jej z serca... Gdyby uczucie, które w tobie wznieciła w okresie, kiedy jeszcze jej wierzyłeś, nie dało się ukryć... Gdyby miłość twoja do tej nieszczęsnej istoty... O, gdzież znajdę słowa, żeby to wyrazić! Jak mogę wytłumaczyć mężczyźnie, że uczucie, które żywię, przeraża mnie, a jednocześnie fascynuje? Jest to powietrze, którym oddycham, Godfreyu, a zarazem trucizna, która mnie zabija! Odejdź! Musiałam chyba postradać rozum, że o tym z tobą mówię. Nie, nie odchodź — wyniosłbyś mylne wrażenie. Muszę dodać coś w swej obronie. Zapamiętaj to sobie — on nie wie i nie dowie się nigdy o tym, co ci mówiłam. Nie zobaczę go nigdy bez względu na to, co się zdarzy, nie zobaczę go już

nigdy, nigdy, nigdy, nigdy! Nie pytaj mnie o jego imię! Nie pytaj mnie o nic więcej! Zmieńmy temat. Czy zdołasz zastąpić lekarza, Godfreyu, i powiedzieć mi, czemu tak mi jest, jakbym się dusiła z braku powietrza? Czy istnieje taka forma hysterii, która wybucha słowami zamiast łez? Chyba tak! Zresztą co za różnica? Teraz na pewno bez trudu zapomnisz o przykrościach, które może ci sprawiłam. Spadłam na właściwe miejsce w twoich oczach, prawda? Nie zwracaj na mnie uwagi! Nie lituj się nade mną! Na miłość boską, odejdz stąd natychmiast!

Odwróciła się nagle i poczęła bić pięściami w oparcie otomany. Potem złożyła głowę na poduszkach i wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem. Zanim zdążyłam się tym zgorzzyć, zamarłam niby rażona piorunem na widok całkowicie nieoczekiwanego zachowania pana Godfrey'a. Czy dacie państwo wiarę, że padł na kolana u jej stóp? Na oba kolana, przysięgam na wszystko, co święte! Zadając gwałt swemu poczuciu skromności dodam, że otoczył Rachelę ramionami, a następnie — zaznaczam to mimo wszystko z pewnym podziwem — zelektryzował ją dwoma słowami;

— Szlachetna istota!

Tylko tyle! Wypowiedział wszakże te słowa z owym uniesieniem, dzięki któremu zyskał sławę jako mówca. Rachelę siedziała kamienna czy też zafascynowana — nie wiem dokładnie — nie próbując wcale odsunąć jego ramion na właściwe ich miejsce. Co do mnie, to straciłam zupełnie głowę. Nie wiedziałam, czy poczucie przyzwoitości nakazuje mi przede wszystkim zamknąć oczy, czy też zatkać uszy, toteż w końcu nie zrobiłam ani jednego, ani drugiego. Fakt, że nadal jednak trzymałam kotarę tak, by móc patrzeć i słuchać, przypisuję li tylko powstrzymanej hysterii. Albowiem nawet lekarze twierdzą, iż przy hamowaniu hysterii człowiek musi się czegoś trzymać.

— Tak — rzekł pan Godfrey swym czarownym ewangelicznym głosem — jesteś szlachetną istotą! Kobieta, która potrafi powiedzieć prawdę dla samej prawdy, kobieta, która woli złożyć w ofierze własną dumę, aniżeli poświęcić kochanego człowieka, jest najcenniejszym skarbem. Poślubić taką kobietę, zdobywając choćby tylko jej szacunek, wystarczy już za szczęście. Mówiłaś, najdroższa, żeś upadła w moich oczach. Osądź sama, jak wysoko cię cenię, skoro błagam cię na klęczkach, abyś pozwoliła mi zatroszczyć się o uleczenie twojego biednego, zranionego serca. Rachelo! Czy uczynisz mi ten wielki zaszczyt, czy uszczęśliwisz mnie zostając moją żoną?

W tym miejscu powinnam była bez wątpienia zatkać uszy, gdyby Rachelę nie zmusiła mnie do dalszego słuchania wypowiadając pierwsze rozsądne słowa, jakie słyszałam od niej w życiu:

— Godfreyu, chybaś oszaleł!

- Nigdy jeszcze nie przemawiałem dorzeczniej, najdroższa, i to zarówno w twoich interesach jak i w swoich. Spójrz na chwilę w przyszłość. Czy masz poświęcić własne szczęście dla mężczyzny, który nie wie wcale o twoich uczuciach i którego postanowiłaś nigdy więcej nie oglądać? Czy nie jest twoim obowiązkiem wobec samej siebie zapomnieć o tej niefortunnej

skłonności? A czyż znajdziesz zapomnienie w życiu, jakie pędzisz obecnie? Spróbowałaś tego życia i zaczyna cię już ono nużyć. Poświęć się zainteresowaniom szlachetniejszym aniżeli nędzne zainteresowania próżniaczego świata. Spróbuj pociechy, jaką może ci dać serce, co cię czci i miłuje, dom, którego spokojna atmosfera i przyjemne obowiązki będą pochłaniały cię z dnia na dzień coraz bardziej — spróbuj tej pociechy, Rachelo! Nie proszę cię o miłość, zadowolę się twoim przywiązaniem i życzliwością. O resztę niech się zatroszczy twój oddany bezgranicznie mąż oraz czas, który leczy rany nawet tak głębokie jak twoje.

Rachela zaczęła ulegać. O, cóż za okropne wychowanie musiała otrzymać? O, jakże inaczej ja bym postąpiła na jej miejscu!

— Nie kuś mnie, Godfreyu — rzekła. — Jestem i tak dość udręczona i nieszczęśliwa. Nie kuś mnie, aby nie przywieść mnie do jeszcze większej rozpacz!

— Jedno pytanie, Rachelo. Czy masz wobec mnie jakieś obiekcje natury osobistej?

— Ja? Ależ zawsze cię lubiłam. A po tym, coś mi teraz powiedział, musiałabym chyba być z kamienia, gdybym cię w dodatku nie zaczęła szanować i podziwiać.

— Czy wiele znasz żon, droga moja Rachelo, co szanują i podziwiają swoich mężów? A przecież żyją z tymi mężami względnie dobrze. Ile oblubienic idzie do ołtarza nie żywiąc górętszych uczuć do mężczyzn, co je do tego ołtarza prowadzą? A przecież nie kończy się to nieszczęśliwie; rydwan małżeński jakoś tam się wlecze. Rzecz w tym, że kobiety traktują małżeństwo jako bezpieczną przystań znacznie częściej, niż się do tego przyznają i, co więcej, przekonują się z czasem, że nie zawiodło ono tych nadziei. Rozpatrz raz jeszcze swój własny wypadek. Czyż podobna, abyś w twoim wieku, z twoimi powabami skazywała się na samotne życie? Zaufaj mojej znajomości świata — to istne niepodobieństwo. Jest to tylko kwestia czasu. Za kilka lat poślubisz kogo innego albo też, najdroższa, możesz poślubić od razu mężczyznę, który klęczy w tej chwili: u twoich stóp i który ceni sobie twój szacunek i podziw ponad miłość jakiegokolwiek kobiety na kuli ziemskiej.

— Powoli, Godfreyu! Podsuwasz mi myśli, które nigdy dotychczas nie przychodziły mi do głowy. Kusisz mnie nowymi perspektywami, gdy wszystkie dotychczasowe perspektywy zamknęły się przede mną. Powtarzam ci, jestem tak zrozpaczona i doprowadzona do ostateczności, że jeśli powiesz jeszcze choć słowo, gotowam przyjąć twoje oświadczyzny. Usłuchaj ostrzeżenia i odejź!

— Nie wstanę nawet z klęczek, dopóki nie powiesz „tak”!

— Jeżeli powiem „tak”, będziesz tego żałował i ja sama będę tego żałowała, ale poniewczasie!

— Ukochana, oboje będziemy błogosławili dzień, kiedym ja nalegał, a tyś mi ustąpiła.

— Czy twoje przekonanie wewnętrzne jest równie mocne jak pewność, z którą to mówisz?

— Sama osądzisz. Mówię na podstawie tego, co widziałem we własnej rodzinie. Powiedz mi, co myślisz o naszym domu we Frizinghall? Czy życie moich rodziców jest nieszczęśliwe?

— Bynajmniej, sądząc z tego, co widziałam.

— Kiedy moja matka była młodą panną, Rachelo (nie jest to sekretem w naszej rodzinie), kochała podobnie, jak ty kochasz — oddała serce człowiekowi, który nie był jej godzien. Poślubiła mojego ojca żywiąc do niego szacunek i podziw, lecz nic poza tym. Wynik widziałaś sama. Czy nie jest to zachęta dla ciebie i dla mnie?

— Ale nie będziesz mnie naglił, Godfreyu?

— Mój czas należy do ciebie.

— Nie będziesz żądał ode mnie więcej, niż mogę dać?

— Aniele! Błagam tylko, żebyś dała mi siebie.

— A więc jestem twoja!

W tych krótkich słowach przyjęła go!

Nastąpił nowy wybuch ze strony pana Godfrey'a — tym razem wybuch heretyckiego uniesienia. Nieszczęsny przyciągał ją do siebie coraz bliżej, aż twarze ich zetknęły się i... nie! Doprawdy nie mogę zadawać sobie dłużej takiego przymusu, aby opisywać tę gorszącą scenę. Powiem tylko, że starałam się zamknąć oczy, nim się ta okropna rzecz stanie, lecz spóźniłam się o sekundę. Liczyłam bowiem, że Rachelo stawi opór, lecz ona uległa. Każdej dobrze myślącej osobie mojej płci wystarczy to za całe tomy.

Mimo miernego rozeznania w tego rodzaju sprawach zorientowałam się, że rozmowa ma się ku końcowi! Pan Godfrey i Rachelo porozumieli się już tak doskonale, że spodziewałam się niemal, iż zaraz pomaszerują ramię w ramię prosto do ołtarza. Z następnych słów pana Godfrey'a wynikało wszakże, że pozostaje jeszcze do załatwienia pewna drobna formalność. Usiadł — nie napotykał tym razem żadnego sprzeciwu z jej strony — na otomanie przy boku Racheli.

— Czy mam pomówić z twoją kochaną matką? Czy chcesz sama to zrobić? Rachelo odrzuciła obydwie te ewentualności.

— Lepiej, żeby mama nie wiedziała o niczym, dopóki nie poczuje się lepiej. Niech to na razie pozostanie w tajemnicy, Godfreyu. Idź teraz i wróć wieczorem. Byliśmy tu sami aż nazbyt długo.

Wstała i spojrzała w kierunku pokoiku, w którym odbywało się moje męczeństwo.

— Któż to zaciągnął kotary? — zawołała. — Tu i bez tego jest dość duszno. Ruszyła ku zasłonom. Ale w chwili, gdy kładła już na nich rękę, w chwili

gdy zdawało się, że nieuchronnie wykryje moją tam obecność, katastrofie zapobiegł głos rumianego lokaja, dobiegający ze schodów. Był to najwyraźniej głos człowieka ogromnie przerażonego.

— Panno Rachelo! — wołał. — Gdzie par.i jest, panno Rachelo? Rachelo odskoczyła od kotary i pobiegła ku drzwiom.

Lokaj stanął na progu. Twarz jego, zwykle tak rumiana, była śmiertelnie biała.

— Proszę, niech panienka zejdzie na dół — powiedział. — Milady zemdląła i nie możemy jej docucić.

Za chwilę zostałam znów sama i mogłam niepostrzeżenie zejść na dół. Pan Godfrey minął mnie w hallu. Biegł po doktora.

— Niech pani tam wejdzie i pomoże im — rzekł wskazując drzwi pokoju mojej ciotki.

Rachela klęczała przy kanapie, podtrzymując głowę matki. Jedno spojrzenie na twarz mojej ciotki (zwłaszcza że znałam jej tajemnicę) wystarczyło mi, aby zrozumieć okropną prawdę. Zachowałam jednak dla siebie te domysły aż do przyjścia lekarza. Nadszedł on wkrótce. Przede wszystkim odesłał Rachelę z pokoju, a następnie oznajmił nam, że lady Verinder nie żyje. Osoby poważnie myślące, którym chodzi o przykłady zatwardziałego sceptycyzmu, zainteresuje być może wiadomość, że patrząc na mnie doktor nie zdradzał najmniejszych oznak skruchy lub wyrzutów sumienia.

Nieco później zajrzałam do pokoju śniadaniowego i do biblioteki. Moja ciotka umarła nie otworzywszy ani jednego spośród listów, które do niej zaadresowałam. Byłam tym tak wstrząśnięta, że dopiero w kilka dni później przypomniałam sobie, iż umarła także nie wręczwszy mi przyrzeczonego legatu.

ROZDZIAŁ VI

(1) Panna Clack pozdrawia pana Franklina Blakea i przesyłając mu piąty rozdział swojej skromnej relacji pragnie zaznaczyć, że nie czuje się na siłach opisać dokładniej wydarzenia tak okropnego — ze względu na towarzyszące mu okoliczności — jak zgon lady Verinder. Pozwala więc sobie dodać do swego manuskryptu obszernie wyjątki z posiadanych przez nią cennych wydawnictw, traktujących o tej pożałowania godnej materii. Oby wyjątki te (jak tego życzy mu gorąco panna Clack) zabrzmiały dla jej czcigodnego krewniaka, pana Franklina Blake'a, niby dźwięki trąb sądu ostatecznego.

(2) Pan Franklin B/ake pozdrawia pannę Clack i dziękuje jej za piąty rozdział jej relacji. Zwracając przesiane przy nim wyjątki powstrzymuje się od formułowania jakichkolwiek obiekcji natury osobistej, jakie może żywić wobec tego rodzaju literatury, stwierdza jedynie, że proponowane dodatki do rękopisu nie są niezbędne do osiągnięcia celu, który panu Blake'owi w tym przedsięwzięciu przyświeca.

(3) Panna Clack potwierdza odbiór swoich wyjątków. Przypomina jednocześnie panu Franklinowi Blake 'owi, iż jest szczerą chrześcijanką i wobec tego pan B/ake nie jest w stanie jej obrazić. Panna Clack nadal i mimo wszystko interesuje się najżyyczliwiej panem Blake'em i obowiązuje się przy pierwszej sposobności, gdy pan B/ake złożony będzie chorobą, ofiarować mu ponownie do użytku swoje wyjątki. Tymczasem zaś, nim zaczną końcowe rozdziały opowiadania, pragnęłaby wiedzieć.

czy wolno jej rozszerzyć i uzupełnić swoją skromną relację korzystając ze światła, które rzuciły na tajemnicę Kamienia Księżycowego ujawnione później fakty.

(4) Pan Franklin Blake żałuje bardzo, iż musi sprawić zawódpanie Clack, lecz może tylko powtórzyć instrukcje, których jej udzielił, gdy zaczynała swoje sprawozdanie. Panna Clack proszona jest mianowicie o ograniczenie się do wydarzeń zanotowanych w jej dzienniku, fakty zaś ujawnione później zechce łaskawie pozostawić piórom tych osób, które mogą opisać je jako naoczni świadkowie.

(5) Panna Clack przeprasza najmocniej, iż niepokoi pana Franklina Blakea jeszcze jednym listem. Zwrócono jej wyjątki z cennych publikacji i zabroniono jej wyrażenia swych ostatecznych poglądów na sprawę Kamienia Księżycowego. Panna Clack z bólem zdaje sobie sprawę, że powinna (podług świeckich pojęć) czuć się tym wszystkim przygnębiona. Ale nie — panna Clack w twardej szkole przeciwności życia nauczyła się sztuki wytrwania. Pisze ten list po to tylko, aby się dowiedzieć, czy pan Blake (który zabrania przecież wszystkiego innego) zabroni też umieszczenia w opowiadaniu panny Clack niniejszej korespondencji. Albowiem zwykła sprawiedliwość wymaga chyba jakiegoś wyjaśnienia sytuacji, w której ingerencja pana Blake'a stawia pannę Clack jako autorkę. Panna Clack zaznacza jednocześnie, że zależy jej bardzo na tym, aby listy te były opublikowane i mogły świadczyć same za siebie.

(6) Pan Franklin Blake zgadza się na propozycję Panny Clack tuszając, iż zechce ona łaskawie uważać te wyrazy jego zgody za ostateczne zakończenie korespondencji pomiędzy nimi.

(7) Panna Clack poczytuje sobie za obowiązek chrześcijański poinformować pana Blake'a, że ostatni jego list, pisany zapewne z obelżywą intencją, nie osiągnął zamierzonego celu. Z całą życzliwością prosi pana Blake'a, by udał się w zacisze swego pokoju i tam w samotności rozważył, czy szkoła charakteru, co potrafi wnieść biedną słabą kobietę ponad zniewagi, nie jest godna większego podziwu, aniżeli pan Blake skłonny jest na razie żywić. Panna Clack składa uroczyste przyrzeczenie, że po otrzymaniu od pana Franklina Blake'a odpowiedniej wiadomości w tej materii, natychmiast ponownie wyśle mu przygotowany przez nią komplet wyjątków

(Na ten Ust nie było odpowiedzi. Komentarze zbyteczne).

(—) Drusilla Clack

ROZDZIAŁ VII

Powyższa korespondencja tłumaczy chyba dość jasno, czemu nie pozostawało mi nic innego, jak poprzestać jedynie na stwierdzeniu faktu śmierci lady Verinder, czym też zakończyłam piąty rozdział.

Ponieważ mam na przyszłość trzymać się ściśle tych zdarzeń, których sama byłam świadkiem, muszę zaznaczyć teraz, że cały miesiąc upłynął od chwili zgonu mojej ciotki, zanim spotkałam się znowu z Rachelą Verinder. Spotkanie to nastąpiło z okazji kilkudniowego wspólnego z nią pobytu pod jednym dachem. Podczas mojej wizyty zaszedł pewien zwrot w sprawie jej zaręczyn z panem Godfreyem, zwrot dość istotny, aby poświęcić mu na tych kartach szczególną uwagę. Gdy ostatnie to spośród licznych a bolesnych wydarzeń w naszej rodzinie zostanie odsłonięte, zadanie moje dobiegnie końca, gdyż tym samym opowiem wszystko, co wiem jako naoczny, choć najzupełniej mimowolny i niechętny świadek.

Doczesne szczątki mojej ciotki przewieziono na wieś i pochowano na małym cmentarzu otaczającym kaplicę w jej własnym parku. Zaproszono mnie wraz z resztą rodziny na pogrzeb. Przy moich wszakże poglądach religijnych niepodobieństwem było, abym w ciągu kilku dni odzyskała równowagę po wstrząsie, jakim była dla mnie ta śmierć. Dowiedziałam się ponadto, że nabożeństwo żałobne ma odprawić proboszcz z Frizinghall. Ponieważ zdarzało mi się nieraz widzieć w domu lady Verinder, jak ten heretyk w stroju duchownego zasiadał jako czwarty do wista, wątpię, czy zdobyłabym się na uczestniczenie w obrzędzie pogrzebowym, gdybym nawet miała dość sił do odbycia uciążliwej podróży.

Po śmierci lady Verinder córka jej została pod opieką swego wuja, pana Ablewhite a starszego. Zgodnie z testamentem nieboszczki miał on być opiekunem Racheli aż do chwili jej zamążpójścia lub pełnoletności. W tych warunkach pan Godfrey, jak sądzę, poinformował ojca o nowych stosunkach łączących go z Rachelą. W każdym razie po upływie dziesięciu dni od śmierci mojej ciotki tajemnica owych zaręczyn nie była już w całej rodzinie tajemnicą i pan Ablewhite senior — jeszcze jeden zdeklarowany niedowiarek! — troszczył się tylko o to, jak by się przypodobać bogatej pannie, która miała poślubić jego syna

Rachela zaraz na początku sprawiła mu sporo kłopotu w związku z wyborem miejsca, w którym raczyłaby zamieszkać. Dom przy Montagu Square kojarzył się jej z bolesnym przeżyciem, jakim była dla niej śmierć matki. Dom w Yorkshire kojarzył się jej ze skandaliczną aferą zaginionego diamentu. Rezydencja opiekuna we Frizinghall nie nastęczała tego rodzaju przykrych skojarzeń, ale obecność w niej Racheli, noszącej żałobę po niedawnej stracie, uniemożliwiałaby jej kuzynkom, pannom Ablewhite, korzystanie ze zwykłych rozrywek, toteż sama Rachela postanowiła odłożyć swój przyjazd do bardziej sprzyjającej chwili. Wreszcie starszy pan Ablewhite wpadł na pomysł wynajęcia domu w Brighton. Proponował, aby jego żona, jedna z córek (słabego zdrowia) i Rachela zamieszkały tam wspólnie, on zaś przyjedzie do nich nieco później. Nie będą przyjmowały nikogo prócz kilku starych przyjaciół, syn zaś jego Godfrey dojeżdżając co dzień z Londynu będzie stale do ich dyspozycji.

Opisuję to bezcelowe przenoszenie się z miejsca na miejsce, ten nienasycony niepokój ciała i przerażającą stagnację duszy jedynie po to, aby tą drogą

dotrzeć do pewnego celu. Wydarzeniem bowiem, które z woli Opatrzności stało się przyczyną mojego ponownego spotkania z Rachelą, było właśnie wynajęcie domu w Brighton.

Moja ciotka Ablewhite, duża, małomówna kobieta o jasnej cerze, odznacza się pewną — jedyną zresztą — godną uwagi cechą charakteru. Mianowicie od chwili swego przyścia na świat nigdy jeszcze sama nic dla siebie nie zrobiła. Idzie przez życie korzystając z pomocy każdego i przyswajając sobie każde cudze zdanie. Nie zdarzyło mi się nigdy spotkać wypadku bardziej beznadziejnego pod względem duchowym, nieprzewyciężona bowiem trudność polega na zupełnym braku materiału, nad którym można by popracować. Ciotka Ablewhite mogłaby słuchać Wielkiego Lamy tybetańskiego równie uważnie jak mnie i powtarzałyby jego poglądy z równą gotowością co moje. Znalazła umeblowany dom w Brighton w sposób bardzo prosty — przyjechała do Londynu, zatrzymała się w hotelu, uplasowała się na kanapie i posłała po swego syna. Niezbędną służbę znalazła w podobny sposób — pewnego ranka jedząc w łóżku śniadanie (wciąż w tym samym hotelu) dała pokojówce wychodne pod warunkiem, że dziewczyna najpierw sprowadzi pannę Clack. Kiedy przyszłam, ciotka siedziała w szlafroku — o jedenastej rano! — i wachlowała się spokojnie.

— Kochana Drusillo, potrzeba mi kilku służących. Jesteś przecież taka mądra, postaraj mi się o nich.

Rozejrzałam się po nie sprzątniętym pokoju. Dzwony kościelne wzywały już na codzienne nabożeństwo i podsunęły mi słowa życzliwego napomnienia.

— Ciociu — powiedziałam ze smutkiem — czy to godne Angielki i chrześcijanki? Czy w takim stanie miałyby ciocia odbyć przejście do wieczności?

— Włożę suknię, Drusillo — odparła ciotka — jeżeli będziesz taka dobra i mi pomożesz.

Cóż mogłam na to odrzec? Dokazywałam cudów z morderczyniami, ale nigdy nic nie wskórałam u ciotki Ablewhite.

— Gdzie jest wykaz potrzebnej służby? — zapytałam.

Ciotka potrząsnęła głową; nie mogła się zdobyć choćby na tyle energii, żeby mieć przy sobie wykaz.

— Jest w sąsiednim pokoju u Racheli, kochanie.

Weszła do sąsiedniego pokoju i dzięki temu ujrzałam Rachelę po raz pierwszy od naszego rozstania przy Montagu Square.

Rachela była w ciężkiej żałobie i wydawała się w niej mizerna, drobna i szczupła. Mogłabym dodać, że ma ona niefortunną cerę, która traci zawsze, jeśli nie ożywia jej odrobina bieli. Ale czymże jest nasza cera i nasz wygląd? O, drogie dziewczęta, są to dla nas tylko zdradzieckie pułapki na drodze do wyższych celów! Ku mojemu wielkiemu zdumieniu Rachela na mój widok wstała i podeszła do mnie z wyciągniętą ręką.

— Cieszę się, że cię widzę — rzekła. — Drusillo, dawniej często

odzywałam się do ciebie bardzo niemądrze i niegrzecznie. Przepraszam cię. Mam nadzieję, że mi przebaczysz.

Twarz moja zdradziła przypuszczalnie zdumienie, w jakie wprawiły mnie te słowa, bo Rachela zarumieniła się, a następnie kontynuowała wyjaśnienia.

— Za życia mamy — ciągnęła dalej — przyjaciele jej nie zawsze byli moimi przyjaciółmi. Teraz, kiedy ją utraciłam, moje serce szuka pociechy u ludzi, których lubiła. Lubiała cię, Drusillo. Postaraj się zaprzyjaźnić ze mną, jeżeli możesz.

Każdą dobrze myślącą osobę zgorszyć by musiały pobudki wymienione przez Rachelę. Oto w chrześcijańskiej Anglii młoda niewiasta, odbywająca okres żałoby, tak mylnie miała pojęcie o tym, gdzie należy szukać prawdziwej pociechy, że spodziewała się znaleźć ją u przyjaciół zmarłej matki! Oto moja własna krewna uświadomiła sobie wreszcie swe przewiny wobec bliźnich nie z przekonania i z poczucia obowiązku, lecz wiedzona sentymentem i impulsem! Rzecz godna pożałowania — a jednak dla osoby o moim doświadczeniu w zbożnej pracy rokująca pewne nadzieje na przyszłość. Dobrze będzie, pomyślałam sobie, upewnić się, jak dalece utrata matki wpłynęła na zmianę charakteru Racheli. Postanowiłam tedy na próbę wy badać ją w sprawie jej zaręczyn z panem Godfreyem Ablewhite'em.

Odpowiedziawszy Racheli jak najserdeczniej, usiadłam na jej zaproszenie obok niej na kanapie. Zaczęłyśmy rozmawiać o sprawach rodzinnych i o planach na przyszłość — wciąż z pominięciem owego głównego planu, który miał się zakończyć jej ślubem. Staralam się tak i owak skierować rozmowę na ten temat, Rachela wszakże ignorowała moje aluzje. Nie mogłam poruszyć wymienionej sprawy wprost, gdyż w tym stadium naszych wzajemnych stosunków byłoby to przedwczesne. Ponadto dowiedziałam się właściwie wszystkiego, czego chciałam się dowiedzieć. Rachela nie przypominała już wcale owej zuchwałej, wyzywającej istoty, którą widziałam i słyszałam podczas swego męczeństwa przy Montagu Square. Oczywiście było to samo przez się wystarczającą zachętą, abym zajęła się jej nawróceniem, zaczynając od kilku słów ostrzeżenia przed zbyt pośpiesznym zawieraniem związków małżeńskich, a stąd przechodząc do spraw natury wyższej. Gdy patrzyłam na nią teraz z nowym zainteresowaniem i przypominałam sobie zarazem, jak nagle i bez zastanowienia przyjęła propozycję małżeńską pana Godfrefya — czułam, że interwencja w tej sprawie jest moim świętym obowiązkiem. Jednocześnie zapal rosnały w moim sercu upewniał mnie, iż osiągnę tu nie lada jakie wyniki. Szybkie działanie było w tym wypadku warunkiem zasadniczym. Powróciłam więc niezwłocznie do kwestii poszukiwanej służby.

— Gdzie masz listę, kochanie? Rachela podała mi ją.

— Kucharka, podkuchenna, pokojówka i lokaj — przeczytałam. — Droga Rachelo, służący ci potrzebni są tylko na pewien czas, to znaczy na okres, na który twój opiekun wynajął dom. W Londynie będzie z tym trudno, bo osoby z właściwymi świadectwami i kwalifikacjami nie zechcą

przypuszczalnie objąć tego rodzaju pracy. Czy znaleziono już odpowiedni dom w Brighton?

— Tak. Godfrey już go wynajął, a tamtejsi domownicy proponowali, aby zaangażował ich na służbę. Godfrey sądził jednak, że osoby te nas nie zadowolą i wrócił zostawiając sprawę otwartą.

— A ty sama nie masz żadnego doświadczenia w tych sprawach, Rachelo?

— Najmniejszego.

— A ciotka Ablewhite nie chce się wysilać?

— Kochana ciocia! Nie miej jej tego za złe, Drusillo. Myślę czasem, że to jedyna naprawdę szczęśliwa kobieta, jaką znam.

— Istnieją różne stopnie szczęścia, drogie dziecko. Musimy porozmawiać o tym kiedyś. Tymczasem wezmę na siebie sprawę służby. Twoja ciotka napisze list do mieszkańców owego domu...

— Podpisze list, jeżeli go za nią napiszę, co właściwie wychodzi na jedno.

— Oczywiście. Wezmę ten list i pojedę jutro do Brighton.

— Jaka jesteś dobra! Przyjedziemy natychmiast, kiedy dasz nam znać, że wszystko gotowe. I mam nadzieję, że zostaniesz jako mój gość. Brighton to taka ruchliwa miejscowość, jestem pewna, że będziesz się tam dobrze czuła.

Zostałam więc zaproszona i tym samym otwarły się przede mną wspaniałe perspektywy interwencji.

Było to w połowie tygodnia. W sobotę po południu dom gotów był na przyjęcie moich krewnych. Przez ten krótki okres czasu zbadalam dokładnie nie tylko referencje, ale także poglądy religijne wszystkich wolnych służących, którzy się do mnie zgłaszali, i dokonałam wyboru zgodnego ze swoim sumieniem. Odnalazłam również dwoje przyjaciół, mieszkających stale w tym mieście, i złożyłam im wizyty, wiedziałam bowiem, że mogę się im zwierzyć ze zbożnego celu, który przywiódł mnie do Brighton. Jeden z nich, duchowny, z całą serdecznością dopomógł mi w zarezerwowaniu miejsc dla całego naszego towarzystwa w kościele, w którym sam był kapłanem. Druga, samotna dama podobnie jak ja, oddała mi do dyspozycji cały swój księgozbiór złożony wyłącznie z cennych publikacji. Pożyczyłam od niej pół tuzina dzieł, dobranych z myślą o Racheli. Rozłożywszy je starannie w różnych pokojach, w których Racheli miała przebywać, uznałam, że przygotowania są zakończone. Zdrowa doktryna, wpojona służbie, co miała jej usługiwać, zdrowa doktryna z ust kapłana, którego kazań miała słuchać, zdrowa doktryna w książkach leżących na stole — oto jakie potrójne powitanie gorliwość moja zgotowała osieroconej dziewczynie! Boski spokój zstąpił na mnie owego sobotniego popołudnia, gdy zasiadłam przy oknie w oczekiwaniu przybycia krewnych. Spieniony potok ludzki przepływał wciąż przed moimi oczami. Niestety! Iluż spośród tych ludzi miało podobnie jak ja cudowne poczucie spełnionego obowiązku? Groźne pytanie! Nie wnikajmy w to.

Podróżni przybyli między szóstą a siódmą. Ku mojemu nieopisanemu

zdumieniu towarzyszy) im nie pan Godfrey, jak przewidywałam, lecz adwokat, pan Bruff.

— Dobry wieczór, panno Clack — przywitał mnie. — Tym razem mam zamiar zostać tu dłużej.

Była to aluzja do naszego ostatniego spotkania przy Montagu Square. Musiał mi wówczas ustąpić i odszedł nie załatwiwszy interesu, w którym przyszedł. Zrozumiałam w tej aluzji, że stary grzesznik przybył do Brighton w jakimś określonym zamiarze. Przygotowałam dla ukochanej mojej Racheli istny raj — i oto już do tego raj u zakradł się wąż, ,

— Godfrey ogromnie żałował, że nie może z nami przyjechać, Drusillo — rzekła ciotka Ablewhite. — Coś mu wypadło i musiał zostać w mieście. Pan Bruff ofiarował się zająć jego miejsce i zabawi tu do poniedziałku rano. Nawiasem mówiąc, panie Bruff, doktorzy zalecają mi spacer, a ja ich bardzo nie lubię. Oto forma spaceru, która mi odpowiada — dodała wskazując chorego w krzesło na kółkach, popychanym przez jakiegoś mężczyznę. — Jeżeli komuś potrzeba świeżego powietrza, może go zażywać jadąc w fotelu. A jeżeli chodzi o zmęczenie, to sam widok człowieka, co ten fotel popycha, byłby dla mnie dość męczący.

Rachela stała na uboczu przy oknie i w milczeniu patrzyła na morze.

— Zmęczona, kochanie? — spytałam.

— Nie. Jestem tylko trochę przygnębiona — odparła. — Często oglądałam morze przy tym oświetleniu z naszego wybrzeża w Yorkshire. I myślałam właśnie, Drusillo, o czasach, które nigdy już nie wrócą.

Pan Bruff został na obiedzie, a potem przez cały wieczór. Im dłużej mu się przyglądałam, tym większą czułam pewność, że przyjechał do Brighton nie bez kozery. Obserwowałam go uważnie. Zachowywał się na pozór ze zwykłą swobodą i opowiadał te same bezbożne plotki, dopóki nie nadeszła godzina pożegnania. Gdy ścisnął dłoń Racheli, pochwyciłam jego przenikliwe, chytre spojrzenie. Spoczęło ono na dziewczynie ze szczególną jakąś uwagą i zainteresowaniem. Najwidoczniej zamiary adwokata jej właśnie dotyczyły. Wychodząc nie powiedział zresztą nic godnego zanotowania. Oznajmił tylko, że przyjdzie nazajutrz na lunch i uda się do swego hotelu.

Nazajutrz rano nie sposób było namówić mojej ciotki Ablewhite, żeby zdjęła szlafrok i poszła do kościoła. Jej słabowita córka (której moim zdaniem nic nie dolegało oprócz nieuleczalnego lenistwa odziedziczonego po matce), oznajmiła, że zostanie przez cały dzień w łóżku. Rachela i ja więc udałyśmy się same do kościoła. Natchniony mój przyjaciel wygłosił wspaniałe kazanie na temat pogańskiej obojętności świata wobec drobnych grzechów. Przeszło godzinę krasomówstwo jego wspomagane przez cudowny głos grzmiało w murach świątyni.

— Czy słowa te dotarły do twego serca, kochanie? — spytałam Racheli po wyjściu.

— Nie — odpowiedziała — głowa mnie tylko od nich rozboleła. Podobna uwaga zniechęciłaby może niektóre osoby. Co do mnie jednak.

gdy raz wkroczę na drogę niesienia pożytku bliźnim, nic nie zdoła mnie zniechęcić.

Zastałyśmy ciotkę Ablewhite i pana Bruffa przy śniadaniu. Gdy Rachelą nie chciała nic jeść tłumacząc się bólem głowy, przebiegły adwokat skorzystał natychmiast ze sprzyjającej sposobności:

— Na ból głowy jest tylko jedno lekarstwo — oświadczył ten odrażający starzec. — Spacer niezawodnie panią uleczy, panno Rachelo. Jestem do usług, jeżeli zechce pani wyświadczyć mi ten zaszczyt j przyjąć moje ramię.

— Z największą przyjemnością. Marzyłam właśnie o spacerze.

— Jest już po drugiej, Rachelo — wtrąciłam delikatnie. — A nabożeństwo popołudniowe zaczyna się o trzeciej.

— Jak możesz żądać, żebym znów szła do kościoła — odrzekła z lekką irytacją — kiedy mam taki ból głowy?

Pan Bruff z galanterią otworzył przed nią drzwi i za chwilę obojga już nie było. Nigdy chyba nie odczuwałam tak silnie jak w owym momencie, że święty obowiązek nakazuje mi zainterweniować. Ale cóż miałam począć? Nic — postanowiłam tylko zainterweniować przy pierwszej sposobności jeszcze tego samego dnia.

Wróciwszy z nabożeństwa popołudniowego zastałam już Rachelę i pana Bruffa w domu. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby zorientować się, że adwokat powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Nigdy jeszcze nie widziałam Racheli tak milczącej i zamyślanej. Nigdy jeszcze pan Bruff nie otaczał jej taką troskliwością i nie spoglądał na nią z takim szacunkiem. Był tego dnia zaproszony gdzieś na obiad (czy może użył tylko tego pretekstu), pożegnał się więc z nami dość wcześnie, zapowiadając, że nazajutrz rano udaje się pierwszym pociągiem do Londynu.

— Czy jesteś pewna, że nie zmienisz postanowienia? — zwrócił się przy drzwiach do Racheli.

— Zupełnie pewna — odpowiedziała Rachelą. Na tym się rozstali.

Ledwie wyszedł, Rachelą oddaliła się do swojego pokoju. Nie przyszła też na obiad. Pokojówka jej (osoba ze wstążkami) oznajmiła, że Rachelę znów boli głowa. Pobiegnęłam do niej i ofiarowywałam przez drzwi rozliczne siostrzane usługi. Drzwi jednak były zamknięte i Rachelą ich nie otworzyła. Oto był oporny materiał, nad którym z satysfakcją można było popracować! To zamknięcie drzwi na klucz dodało mi otuchy i zapału.

Gdy nazajutrz rano zaniecono jej na górę herbatę, poszłam tam również. Usiadłam przy łóżku Racheli i zaczęłam przemawiać do niej z powagą. Słuchała z niedbałą uprzejmością. Zauważyłam, że cenne książki mojej pobożnej przyjaciółki leżą zebrane razem na stoliku w kącie. Czy zaglądała do nich? — spytałam. Owszem, ale jej nie zainteresowały. Czy pozwoli, że przeczytam jej kilka niezmiernie ciekawych ustępów, które prawdopodobnie uszły jej uwagi? Nie, nie teraz — ma teraz dużo do przemyślenia. Udzielała tych odpowiedzi, na pozór pochłonięta zwijaniem i rozwijaniem falbany przy nocnej koszuli. Nie ulegało wątpliwości, że trzeba zaciekawic ją wzmianką

o świeckich, próżnych zainteresowaniach, które wciąż jeszcze leżały jej na sercu.

— Czy wiesz, kochanie — powiedziałam — miałam wczoraj dziwne wrażenie w związku z panem Bruffem. Kiedy cię zobaczyłam po spacerze z nim, zdawało mi się, że musiał ci chyba przekazać jakieś złe nowiny.

Palce jej wypuściły falbanę koszuli nocnej, a czarne oczy zabłyśły.

— Wprost przeciwnie! — rzekła. — Były to nowiny bardzo dla mnie ciekawe i jestem bardzo wdzięczna panu Bruffowi, że mi je powiedział.

— Tak? — rzuciłam tonem delikatnego zainteresowania.

Rachela znów ujęła falbanę i odwróciła ode mnie głowę. Setki już razy w ciągu mojej zbożnej pracy spotykało mnie takie przyjęcie. Pobudzało mnie ono tylko do dalszych wysiłków. Pragnąc gorąco dobra Racheli ważyłam się na wielkie ryzyko — wspomniałam mianowicie wprost o jej zaręczynach.

— Ciekawe dla ciebie nowiny? — powtórzyłam. — Przypuszczam więc, kochana Rachelo, że nowiny te muszą dotyczyć pana Godfrey'a Ablewhite'a.

Rachela drgnęła i zbladła śmiertelnie. Miała już widocznie na końcu języka impertynencką odpowiedź z rodzaju tych, jakimi zamykała mi dawniej usta. Pohamowała się jednak, oparła głowę na poduszce, zastanowiła się chwilę, po czym wyrzekła te oto zdumiewające słowa:

— Nie wyjdę nigdy za mąż za pana Godfrey'a Ablewhite'a. Teraz ja z kolei drgnęłam.

— Co mówisz? — zawołałam. — Przecież cała rodzina uważa to małżeństwo za rzecz postanowioną!

— Pan Godfrey Ablewhite ma tu być dzisiaj — odparła nieustępliwie Rachela. — Poczekaj, aż przyjedzie, a zobaczysz,

Pociągnęła za dzwonek umieszczony u wezłowia. Ukazała się osoba ze wstążkami.

— Penelopo, kąpiel!

Muszę oddać jej sprawiedliwość — zważywszy moje wzburzenie trafiła ona na jeden jedyny sposób, który mógł mnie w owej chwili zmusić do opuszczenia pokoju.

Przyziemny umysł uznałby bez wątpienia, iż pozycja moja wobec Racheli nastęrczała teraz nie byle jakie trudności. Liczyłam, że skieruję jej myśli ku wyższym sprawom za pośrednictwem poważnej rozmowy na temat jej zamierzonego małżeństwa. A teraz, jeśli można było jej wierzyć, małżeństwo to wcale nie miało dojść do skutku. Ale, drodzy przyjaciele, czynna chrześcijanka o moim doświadczeniu (mając w perspektywie czyjeś nawrócenie) patrzy na sprawy szerzej. Przypuśćmy, że Rachela rzeczywiście zerwie zaręczyny, które obaj Ablewhite'owie, ojciec i syn, uważają za fakt dokonany, jaki będzie tego wynik? Jeżeli będzie obstawać przy swoim, zakończyć się to może tylko wymianą ostrych słów i bolesnych oskarżeń. A jaki skutek da taka burzliwa rozmowa, gdy chodzi o Rachelę? Skutkiem będzie zbawienna depresja moralna. Stawiając opór — co leży przecież w jej charakterze — Rachela wyczerpie niezawodnie zasoby dumy i hardości, po czym będzie szukała współczucia u pierwszej osoby, która jej to współczucie

ofiaruje. A tą pierwszą osobą będę ja — gotowa nieść pociechę i ukojenie, przepelniona po brzegi stosownymi, ożywczymi słowami. Perspektywa nawrócenia Racheli nigdy jeszcze nie wydawała mi się tak bliska.

Rachela zeszła na śniadanie, ale nic nie jadła i prawie się nie odzywała.

Po śniadaniu błąkała się apatycznie z pokoju do pokoju, potem otrząsnęła się naraz z apatii i otworzyła fortepian. Wybrała sobie do grania nuty najbardziej gorszącego rodzaju, związane z przedstawieniami scenicznymi, na samą myśl o których krew stygnie w żyłach. Przedwcześnie byłoby w takiej chwili próbować interwencji. Wywiedziałam się dyskretnie, o której ma przyjechać pan Godfrey Ablewhite, po czym wyszłam z domu, uciekając przed dźwiękami owej okropnej muzyki.

Skorzystałam z tego, że jestem na mieście sama, i złożyłam wizyty moim dwojgu przyjaciółom. Jakaż rozkoszą była dla mnie serdeczna rozmowa z poważnymi osobami. Pokrzepiona na duchu skierowałam znów kroki ku domowi, żeby być tam przed przyjazdem spodziewanego gościa. Weszłam do jadalni, pustej zawsze o tej godzinie — i znalazłam się twarzą w twarz z panem Godfreyem Ablewhite'em!

Pan Godfrey nie próbował wcale uciekać. Przeciwnie, powitał mnie bardzo gorąco.

— Droga panno Clack, czekałem właśnie na panią! Byłem dziś przypadkiem wolny wcześniej, niż się spodziewałem, no i przyjechałem tutaj przed oznaczoną godziną.

Mówił bez najmniejszej żenady, aczkolwiek było to pierwsze nasze spotkanie od pamiętnej sceny przy Montagu Square. Nie wiedział co prawda, że byłam świadkiem owej sceny, ale wiedział, że jako członkini Towarzystwa Przerabiania Ubrań, utrzymująca stosunki z przyjaciółkami z innych towarzystw dobroczynnych, muszę być poinformowana o tym, jak on haniebnie zaniedbuje swoje komitety pań i swoich ubogich. A mimo to stał w tej chwili przede mną operując jak dawniej swoim czarownym głosem i nieodpartym uśmiechem.

— Czy widział się pan już z Rachelą? — zapytałam.

Pan Godfrey westchnął cicho i ujął mnie za rękę. Wyrwałabym mu ją niewątpliwie, gdybym nie osłupiała ze zdumienia słysząc ton, jakim mi odpowiedział:

— Widziałem się z Rachelą — stwierdził z niezmaconym spokojem. — Wie pani zapewne, droga przyjaciółko, że była ona ze mną zaręczona? Otóż teraz postanowiła nagle zerwać zaręczyny. Po namyśle doszła do wniosku, że zarówno dla niej jak i dla mnie będzie najlepiej, jeśli cofnie swe nieopatrzne przyrzeczenie i zwróci mi wolność, abym mógł dokonać pomyślniejszego wyboru. Jest to jedyny powód, jaki podaje, i jedyna odpowiedź, jakiej udziela na wszystkie moje pytania.

— A co pan na to? — zapytałam. — Czy uległ pan jej woli?

— Tak — odrzekł z całą pogodą. — Uległem.

Zachowanie jego w tych warunkach było tak niepojęte, że stałam oszołomiona, wciąż nie cofając ręki. Niegrzecznie jest wpatrywać się

w kogoś uporczywie, a już zgoła nie wypada patrzeć uporczywie na mężczyznę, ja wszakże popełniłam obydwa te wykroczenia.

— Co to wszystko znaczy? — odezwałam się wreszcie jak we śnie.

— Pozwoli pani, że jej wytłumaczę — odrzekł. — Ale może usiądziemy? Poprowadził mnie do fotela. Pamiętam jak przez mgłę, że był dla mnie

bardzo czuły. Nie jestem pewna, czy otoczył ramieniem moją kibić, chcąc mnie wesprzeć, ale mam takie podejrzenia. Byłam całkiem bezradna, a pan Godfrey jest w stosunku do dam ogromnie miły i ujmujący. W każdym razie usiedliśmy. To jedno wiem na pewno.

— Utraciłem piękną dziewczynę, doskonałą pozycję społeczną i pokaźną intratę — zaczął pan Godfrey — a przecież pogodziłem się z tym bez walki. Jaki może być powód tak niezwykłego postępowania? Nieoceniona przyjaciółko, nie ma żadnego powodu.

— Nie ma powodu? — powtórzyłam.

— Pozwoli pani, panno Clack, że odwołam się do pani doświadczeń z dziećmi — ciągnął dalej pan Godfrey. — Dziecko na przykład postępuje w pewien określony sposób. Zdumiewa to panią i usiłuje pani zbadać powody tego postępowania. Kochane maleństwo nie potrafi pani udzielić odpowiedzi. Można by z równym powodzeniem pytać trawę, czemu rośnie albo ptaki, czemu śpiewają. Otóż jestem w tej sprawie jak owo kochane maleństwo, jak trawa, jak ptaki. Nie wiem, dlaczego oświadczyłem się pannie Verinder. Nie wiem, dlaczego tak haniebnie zaniedbałem moje drogie panie z komitetów dobroczynności. Nie wiem, czemu zdezerterowałem z Towarzystwa Przerabiania Ubrań. Pyta pani dziecko: „Czemu byłeś niegrzeczny?” A mały aniołek wkłada paluszek do buzi i sam nie wie. Ze mną jest kubek w kubek to samo, panno Clack! Nie zwierzyłbym się z tego nikomu innemu, ale czułem, że muszę wyznać pani prawdę.

Zacząłam powracać do przytomności. Miałam tu do czynienia z problemem moralnym, a problemy takie interesują mnie ogromnie i podobno mam niemałą wprawę w ich rozwiązywaniu.

— Najlepsza z przyjaciółek, zechciej pani wyteżyc swój intelekt i dopomóc mi — ciągnął dalej pan Godfrey. — Proszę mi powiedzieć, czemu nadszedł taki czas, że moje posunięcia matrymonialne zaczęły wydawać mi się czymś, co zrobiłem we śnie? Czemu przyszło mi nagle do głowy, że mogę być prawdziwie szczęśliwy tylko pomagając moim drogim paniom, odbywając swą codzienną skromną, pożyteczną pracę, wypowiadając płynące z serca słowa, gdy wzywa mnie do tego przewodnicząca? Po co mi pozycja towarzyska? Mam przecież ustaloną pozycję. Po co mi intrata? Wystarczy mi zupełnie na chleb, na moje małe mieszkanko i na moje dwa ubrania rocznie. Po co mi panna Verinder? Powiedziała mi sama (niech to zostanie między nami, droga pani), że kocha innego i chce wyjść za mnie tylko po to, żeby o tamtym zapomnieć. Cóż by to był za okropny związek! Boże, cóż za okropny związek! Takie refleksje przychodziły mi do głowy w drodze do Brighton, panno Clack! Jechałem do Racheli czując się jak przestępca, który ma za chwilę usłyszeć wyrok skazujący. Kiedy się przekonałem, że ona

również się rozmyśliła, kiedy dowiedziałem się, że chce zerwać zaręczyny, doznałem (nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości) uczucia niesłychanej ulgi. Przed miesiącem przyciskałem ją w uniesieniu do łona. Przed godziną świadomość, że nigdy więcej nie przycisnę jej do łona uszczęśliwiła mnie i upoiła niby mocny trunek. Wydaje się to niemożliwe, nieprawdopodobne nawet! A jednak fakty tak się mają, jak je przedstawiłem, gdyśmy zasiedli na tych fotelach. Utraciłem piękną dziewczynę, doskonałą pozycję towarzyską, pokaźną intratę i pogodziłem się z tym bez walki. Czy potrafi to pani wytłumaczyć, droga przyjaciółko? Bo ja ani rusz nie potrafię.

Opuścił na piersi swą wspaniałą głowę, rezygnując z rozwiązania tego problemu moralnego.

Byłam głęboko wzruszona. Przypadek (jeśli wolno mi przemawiać w charakterze lekarza) był teraz dla mnie zupełnie jasny. Wszystkim nam zdarza się często widzieć, jak jednostki wybitnie uzdolnione spadają naraz do poziomu ludzi najbardziej upośledzonych. Przemądra Opatrzność przypomina zapewne w ten sposób ludziom wielkim, że są śmiertelni i że siła, co ich wielkością obdarzyła, może ich jej również pozbawić. Otóż w godnych pozałowania uczynkach pana Godfrey'a, których byłam niewidzialnym świadkiem, dostrzegłam teraz takie właśnie dobroczynne ponizienie. Równie łatwo też było mi dojrzeć zwycięstwo jego lepszej natury w odrazie, jaką napełnia go myśl o małżeństwie z Rachelą, i w uroczym zapale, z jakim pragnął powrócić do swych komitetów pań i do swoich biednych.

Wyłożyłam mu to wszystko w krótkich, lecz życzliwych i siostrzanych słowach. Miło było patrzeć na jego radość. Gdy mówiłam dalej, począł porównywać siebie z człowiekiem, co zabłądził w ciemnościach, a teraz wychodzi ku światłu. Gdy ręczyłam, że dozna jak najgorętszego przyjęcia w Towarzystwie Przerabiania Ubrań, tkliwe serce naszego bohatera chrześcijańskiego przepełniła wdzięczność. Przyciskał do ust to jedną, to drugą moją rękę. Uszczęśliwiona tym, że udało mi się znów go dla nas pozyskać, pozwalałam mu robić z moimi rękami, co chce. Przymknęłam oczy. Czułam, że głowa moja w ekstazie duchowej mimo woli osuwa się na jego ramię. Jeszcze chwila, a z pewnością byłabym zemdlała w jego ramionach, gdyby nie ingerencja świata zewnętrznego, która przywróciła mnie do przytomności. Za drzwiami rozległ się ohydny szczeł noży i widelców i wszedł lokaj, żeby nakryć do stołu.

Pan Godfrey drgnął i spojrzał na zegar stojący nad kominkiem.

— Jakże z panią szybko czas mija! — zawołał. — Ledwie zdążę na pociąg. Ośmieliłam się zapytać, czemu tak mu pilno z powrotem do Londynu.

Odpowiedź jego przypomniła mi o powikłaniach rodzinnych, które należało jeszcze naprostować, i o rozdźwiękach, które miały dopiero nastąpić.

— Miałem wiadomość od ojca — rzekł. — Interesy wzywają go dziś z Frizinghall do Londynu i zamierza przyjechać tutaj albo dziś wieczorem, albo jutro rano. Muszę mu opowiedzieć, co zaszło między mną a Rachelą. Bardzo mu zależy na tym związku i lękam się, że będę miał wielkie trudności usiłując nakłonić go, by pogodził się z myślą o zerwaniu zaręczyn. Przez

wzgląd na nas wszystkich muszę powstrzymać go od przyjazdu tutaj, zanim się z tą myślą nie pogodzi. Najlepsza i najdroższa przyjaciółko, do rychłego zobaczenia!

Z tymi słowy wybiegł śpiesznie. Ja z równym pośpiechem pobiegłam do swego pokoju, aby ogarnąć się i uspokoić, nim spotkam się przy stole z ciotką Ablewhite i z Rachelą.

Wiem dobrze — powracając jeszcze na chwilę do pana Godfrey'a — że oszczercza opinia marnego świata oskarżała go o to, iż miał swoje powody, by przy pierwszej sposobności zwrócić Racheli słowo. Doszło też do moich uszu, że troskę jego o odzyskanie mojego szacunku przypisywano w pewnych kołach interesowności — mówiono mianowicie, że pragnął on za moim pośrednictwem odzyskać łaski pewnej czcigodnej członkini Towarzystwa Przerabiania Ubrań a mojej ukochanej i bliskiej przyjaciółki, wyposażonej obficie w dobra doczesne. Przytaczam tutaj te ohydne kalumnie tylko po to, by stwierdzić, że ani przez chwilę nie wywarły one na mnie najmniejszego wpływu. Posłuszna instrukcjom, odtworzyłam tutaj fluktuacje swego mniemania o naszym bohaterze chrześcijańskim ściśle według notatek w moim dzienniku. Aby oddać sobie sprawiedliwość, muszę nadmienić, że znakomity mój przyjaciel odzyskawszy mój szacunek, nigdy go już nie utracił. Piszę te słowa ze łzami w oczach, gorejąc pragnieniem powiedzenia na ten temat czegoś więcej. Ale nie — okrutne restrykcje pozwalają mi pisać jedynie

o tym, czego sama byłam świadkiem. Po upływie niecałego miesiąca od opisywanego obecnie okresu pewne wypadki na giełdzie (które zmniejszyły jeszcze moje i tak mizerne dochody) zmusiły mnie do wyjazdu na obczyznę

i pozostawiły mi jedynie pełne miłości wspomnienie o panu Godfreyu — wspomnienie, daremnie atakowane przez niegodziwych oszczerców.

Otrę teraz oczy i powrócę do swej opowieści.

Zesłam na lunch pragnąc oczywiście zobaczyć, jak też wpłynęło na Rachelę uwolnienie od więzów zaręczyn.

Wydało mi się — choć nie jestem autorytetem w tych sprawach — że odzyskanie wolności skierowało znów jej myśli ku owemu mężczyźnie, którego kochała, i że wściekła jest na siebie, bo nie może zabić w sobie uczucia przejmującego ją wstydem. Kim był ów mężczyzna? Miałam pewne podejrzenia, ale nie warto było tracić czasu na bezpłodne domysły. Wiedziałam, że kiedy nawrócę Rachelę na właściwą ścieżkę, nie będzie już miała przede mną tajemnic. Dowiem się wszystkiego o tym mężczyźnie, dowiem się też całej prawdy o Kamieniu Księżycowym. Gdyby nawet nie przyświecał mi wyższy cel, kiedy starałam się rozbudzić w niej zrozumienie dla spraw duchowych, już sama ta myśl, że uwolnię Rachelę od ciężaru grzesznych tajemnic i sprawię jej tym ulgę, byłaby dla mnie wystarczającą zachętą do wytrwania.

Ciotka Ablewhite odbyła po południu zwykły spacer w fotelu na kółkach. Rachelą jej towarzyszyła.

— Chciałabym sama pchać ten fotel — wybuchnęła w pewnej chwili. -Chciałabym tak się zmęczyć, żeby nie móc ustać na nogach!

Wieczorem była nadal w tym samym nastroju. Odkryłam w jednej z ksiązek mojej przyjaciółki — „Życie, listy i praca panny Jane Ann Stamper”, czterdzieste piąte wydanie — ustępy, które pasowały idealnie do obecnej sytuacji Racheli. Ale kiedy zaproponowałam, że jej poczytam, poszła od razu do fortepianu. Proszę sobie wyobrazić, jak niewiele wiedziała o ludziach poważnie myślących, skoro sądziła, że wyczerpie w ten sposób moją cierpliwość! Miałam wciąż przy sobie „Pannę Jane Ann Stamper” i z niezachwianą ufnością czekałam dalszych wydarzeń.

Starszy pan Ablewhite nie pokazał się wcale tego wieczora. Wiedziałam jednak, jaką wagę człowiek ten, wiedziony przyziemną chciwością, przywiązuje do małżeństwa syna z panną Verinder i byłam przekonana, że (mimo największych nawet wysiłków pana Godfrey'a) zobaczymy go nazajutrz w Brighton. Jego interwencja — myślałam sobie — wywoła niewątpliwie burzę, a w trakcie tej burzy siły Racheli się wyczerpią i nie będzie zdolna do dalszego oporu. Wiadomo mi, że starszy pan Ablewhite ma (zwłaszcza wśród niższego stanu) opinię człowieka niezwykle dobrotliwego. Ale z obserwacji moich wynika, że zasługuje on na tę opinię tak długo, dopóki wszystko dzieje się według jego woli, lecz ani chwili dłużej.

Nazajutrz, zgodnie z moimi przewidywaniami, ciotka Ablewhite była tak bliska zdziwienia, jak tylko pozwalał na to jej charakter mąż jej bowiem zjechał nagle do Brighton. Nie zabawił jeszcze i minuty w domu, gdy zjawiła się — tym razem ku mojemu zdumieniu — niespodziewana komplikacja w osobie pana Bruffa.

Nigdy jeszcze obecność tego człowieka nie wydawała mi się tak niepożądana jak w tej chwili. Miał taką minę, jak gdyby zdolny był do wszystkiego — nawet do utrzymania pokoju między walczącymi stronami, choć jedną z tych stron miała przecież być Rachel!

— Co za miła niespodzianka, sir — rzeki pan Ablewhite, zwracając się do pana Bruffa z właściwą sobie zwodniczą serdecznością. — Kiedy opuszczałem wczoraj pańską kancelarię, nie spodziewałem się, że będę miał zaszczyt oglądać pana dzisiaj w Brighton.

— Po pańskim wyjściu zastanowiłem się nad naszą rozmową — odparł pan Bruff — i doszedłem do wniosku, że mogę się tu przydać. Zdążyłem na pociąg w ostatniej chwili i nie udało mi się znaleźć wagonu, którym pan jechał.

Po tym wyjaśnieniu usiadł przy Racheli. Usunęłam się skromnie w kąt trzymając pod pachą na wszelki wypadek „Pannę Jane Ann Stamper”. Moja ciotka siedziała przy oknie, jak zwykle wachlując się najspokojniej. Pan Ablewhite stanął na środku pokoju i zwrócił się najczulszym tonem do Racheli. Łysa jego czaszka była jednak bardziej różowa niż kiedykolwiek.

— Kochana Rachelo — powiedział — dowiedziałem się od Godfrey'a rzeczy wręcz niezwykłych i przyjechałem tutaj, żeby w to wejrzeć. Masz w tym domu własny salonik. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zaprosisz mnie tam?

Rachela nie poruszyła się wcale. Nie potrafię stwierdzić, czy postanowiła doprowadzić sprawę do punktu krytycznego, czy też otrzymała jakiś potajemny znak od pana Bruffa. W każdym razie odmówiła panu Ablewhite'owi zaszczytu przyjęcia go w swoim saloniku.

— Cokolwiek wuj pragnie mi powiedzieć — odparła — może być powiedziane tutaj, w obecności moich krewnych i w obecności — tu spojrzała na pana Bruffa — starego i zaufanego przyjaciela mojej matki.

— Jak sobie życzysz, moja droga — rzekł uprzejmie pan Ablewhite. Usiadł na fotelu. Pozostali wpatrywali mu się w twarz, jak gdyby

spodziewali się, że po siedemdziesięciu latach obcowania z obłudnym światem powie nagle prawdę. Ja natomiast patrzyłam na czubek jego łysej głowy, ponieważ zauważyłam już dawniej, że prawdziwy jego nastrój w tym właśnie miejscu znajduje swe odbicie.

— Przed kilku tygodniami — zaczął starszy pan — syn mój oznajmił mi, że panna Verinder wyświadczyła mu zaszczyt zaręczając się z nim. Czy to możliwe, Rachelo, żeby źle rozumiał twoje słowa albo wyciągnął z nich zbyt pochopne wnioski?

— Nie — odparła Rachela. — Przyrzekłam mu, że go poślubię.

— Bardzo szczerą odpowiedź! — rzekł pan Ablewhite. — I jak dotychczas niezmiernie pocieszająca. A więc Godfrey nie pomylił się względem tego, co zaszło kilka tygodni temu. Błąd tkwi najwidoczniej w tym, co wczoraj mi powiedział. *Zaczynam* to rozumieć. Posprzeczaliście się jak to zakochani, a mój niemądry syn wziął tę sprzeczkę na serio. Ach! Ja bym w jego wieku był mądrzejszy!

Grzeszna natura, ukryta w Racheli — spadek, że tak powiem, po pramatce Ewie — zaczęła się na to burzyć.

— Wuju, chciałabym, żebyśmy się rozumieli — powiedziała. — Między synem wuja a mną nie zaszło nic, co by w najmniejszym nawet stopniu przypominało sprzeczkę. Jeżeli powiedział wujowi, że zaproponowałam mu unieważnienie zaręczyn, a on na to przystał — powiedział prawdę.

Automatyczny termometr na czubku głowy pana Ablewhitea zaczął pokazywać wzrost temperatury. Stary pan miał wyraz twarzy uprzejmiejszy niż kiedykolwiek, ale czerwień na czubku jego głowy nabrała mocniejszego odcienia!

— Ależ, kochanie — rzekł pojednawczo — nie gniewaj się i nie bądź zbyt surowa dla biednego Godfrey'a! Widocznie powiedział coś nietaktownego. Od dziecka był niezręczny, ale ma najlepsze zamiary, Rachelo, jak najlepsze zamiary!

— Wuju, albo musiałam źle się wyrazić, albo też wuj umyślnie nie chce mnie zrozumieć. Ustaliliśmy z Godfreyem raz na zawsze, że do końca życia będziemy dla siebie tylko kuzynostwem i niczym więcej. Czy to dość jasne?

Wypowiedziała te słowa takim tonem, że nawet stary pan Ablewhite nie mógł dłużej udawać, że jej nie rozumie. Termometr jego podskoczył jeszcze o jeden stopień w górę, a głos, gdy się starszy pan odezwał, nie pasował już wcale do człowieka znanego powszechnie z dobrotliwości.

— Mam więc rozumieć, że wasze zaręczyny są zerwane? — spytał.

— Tak to wuj ma rozumieć, jeśli łaska.

— Mam też przyjąć do wiadomości, że propozycja rozwiązania zaręczyn wyszła od ciebie?

— Propozycja wyszła ode mnie i, jak już mówiłam, spotkała się ze zgodą i aprobatą Godfrey'a.

Termometr podskoczył do górnej granicy skali. Chcę przez to powiedzieć, że czubek głowy z różowego stał się naraz szkarłatny.

— Godfrey jest tchórzliwym psem! — zawołał oszalały z wściekłości stary bezbożnik. — Przez wzgląd na siebie jako jego ojca, nie przez wzgląd na niego, mam zaszczyt zapytać cię, *panno Verinder*, co masz do *zarzucenia* panu Godfreyowi Ablewhite'owi?

Tu po raz pierwszy zabrał głos pan Bruff.

— Nie masz obowiązku odpowiadać na to pytanie — rzekł zwracając się do Racheli.

Pan Ablewhite zaatakował go z miejsca.

— Panie, proszę nie zapominać — oświadczył — że przybył pan tu bez zaproszenia. Wypadałoby, żeby poczekał pan z interwencją, dopóki ktoś

o nią nie poprosi.

Pan Bruff nie zwrócił na to uwagi. Żaden cień nie przebiegł po jego gładkiej twarzy, twarzy starego grzesznika. Rachela podziękowała mu za radę i zwróciła się do starszego pana Ablewhite'a ze spokojem, na który (zważywszy jej wiek i płeć) zgroza brała patrzeć.

— Godfrey zadał mi to samo pytanie, które wuj mi zadał przed chwilą — rzekła. — Mogłam mu udzielić jednej tylko odpowiedzi, i tej tylko odpowiedzi mogę udzielić wujowi. Zaproponowałam, żebyśmy unieważnili zaręczyny, gdyż po namyśle doszłam do wniosku, że zarówno dla niego jak

i dla mnie będzie najlepiej, jeśli cofnę swoje nieopatrzne przyrzeczenie i zwrócę mu wolność, aby mógł dokonać innego wyboru.

— Ale co mój syn zrobił złego? — nalegał pan Ablewhite. — Mam prawo wiedzieć. Co zrobił mój syn?

Rachela jednak była równie uparta.

— Podalam jedyne wytłumaczenie, jakie uważam za niezbędne podać wujowi czy też jemu — odrzekła.

— Krótko mówiąc, panie Verinder podobało się wodzić za nos mojego syna?

Rachela milczała przez chwilę. Siedziałam nie opodal i słyszałam, jak westchnęła. Pan Bruff ujął jej rękę i ścisnął lekko. Rachela odzyskała wówczas panowanie nad sobą i odpowiedziała panu Ablewhite'owi równie śmiało jak poprzednio:

— Naraziłam się już na gorsze zarzuty — rzekła — i zniosłam je cierpliwie. Minał czas, kiedy można było mnie zranić, nazywając mnie zwodnicą.

Mówiła z rozgoryczeniem, które podpowiedziało mi, że przypomniawszy sobie skandal związany z Kamieniem Księżycowym.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia — dodała znużona nie zwracając się bezpośrednio do nikogo, lecz patrząc w najbliższe okno.

Pan Ablewhite wstał i tak gwałtownie odepchnął krzesło, że przewróciło się na podłogę.

— Ale ja mam jeszcze coś do powiedzenia — rzekł uderzając dłonią w blat stołu. — Oświadczam, że jeśli nawet mój syn nie odczuwa tej zniewagi, ja ją odczuwam!

Rachela drgnęła i spojrzała na niego zaskoczona.

— Zniewaga? — powtórzyła. — Co wuj ma na myśli?

— Zniewaga! — zawołał pan Ablewhite. — Wiem, panno Verinder, jakie są powody zerwania z moim synem! Znam je tak dobrze, jak gdybyś mi je osobiście wyznała. To twoja przekłeta duma rodowa chce znieważyć mnie, podobnie jak mnie znieważono, kiedym żenił się z twoją ciotką. Jej rodzina — rodzina nędzarzy — odwróciła się od niej za to, że wyszła za uczciwego człowieka, który sam zdobył sobie miejsce w życiu i sam dorobił się majątku. Nie miałem przodków. Nie pochodziłem ze zgrai rzeźmieszków trudniących się rabunkiem i mordowaniem. Nie mogłem wyprowadzić rodowodu z okresu, kiedy Ablewhite'owie nie mieli koszuli na grzbiecie i nie umieli się podpisać. Ha, ha! Kiedy się żeniłem, byłem zbyt mizerną partią dla Herncastle'ów. A teraz okazuje się, że mój syn jest zbyt mizerną partią dla ciebie. Masz w żyłach krew Herncastle'ów, moja panno! Podejrzewałem to od dawna!

— Bardzo niskie podejrzenie — zauważył pan Bruff. — Dziwię się, że ma pan odwagę do niego się przyznawać.

Zanim pan Ablewhite znalazł właściwą odpowiedź, Rachela odezwała się tonem irytującej pogardy.

— Nie warto na to zważać — zwróciła się do adwokata. — Jeżeli wuj może tak myśleć, niechże myśli, co mu się podoba.

Pan Ablewhite ze szkarłatnego stał się teraz fioletowy. Chwytał z trudem oddech i ogarnięty wściekłością przenosił spojrzenie z Racheli na pana Bruffa, nie wiedząc kogo zaatakować najpierw. Jego żona, która aż do tej chwili wachlowała się z niewzruszonym spokojem, przestraszyła się teraz i całkiem bezowocnie próbowała go uspokoić. Co do mnie, to podczas całej tej przykrych rozmowy czułam kilkakrotnie potrzebę wtrącenia kilku ważkich, a zbawiennych słów, lecz powstrzymałam się w obawie przed ewentualnymi następstwami mogącymi obrazić godność Angielki i chrześcijanki, która nie kieruje się tchórzliwą ostrożnością, lecz czyni to, co uważa za wskazane z punktu widzenia moralnego. Sprawy wszakże doszły do takiego punktu, że musiałam wznieść się ponad wszelkie względy natury osobistej. Gdybym miała we własnym, skromnym zakresie sformułować napomnienie, być może wahałabym się nadal. Ale przykry konflikt rodzinny, rozgrywający się przed moimi oczami, był w sposób cudowny i proroczy przewidziany w korespondencji panny Jane Ann Stamper — list tysięczny, „0 zgodzie w rodzinie”. Wstałam więc w swoim kąci i otworzyłam ową cenną książkę.

— Drogi panie Ablewhite — rzekłam — jedno słowo!

Gdy wstając ściągnęłam na siebie uwagę towarzystwa, widziałam wyraźnie, że pan Ablewhite ma na końcu języka jakąś impertynencję pod moim adresem. Ale siostrzana forma, której użyłam, powstrzymała go. Patrzył na mnie w heretyckim osłupieniu.

— Jako osoba życzliwa i przyjazna — zaczęłam — a przy tym mająca wprawę w uświadamianiu, przygotowywaniu, oświecaniu i wspieraniu bliźnich, chciałabym pozwolić sobie na zuchwałstwo najbardziej godne wybaczenia i postarać się uśmierzyć pańskie wzburzenie.

Pan Ablewhite odzyskał tymczasem kontenans. Miał już wybuchnąć i byłby niezawodnie wybuchnął, gdyby miał do czynienia z kim innym. Ale mój głos (zazwyczaj bardzo łagodny) w potrzebie staje się donośny. W tym wypadku czułam nakaz z góry, aby mówić głośniejszym głosem.

Stając przed nim podniosłam w górę otwartą książkę i wskazałam palcem rzeczony ustęp.

— Nie są to moje słowa! — zawołałam z przejęciem. — O, proszę nie sądzić, że żądam uwagi dla własnych skromnych słów! Oto manna na pustyni, panie Ablewhite! Oto rosa na spieczoną ziemię! Słowa pociechy, słowa mądrości, słowa łaski — błogosławione, po trzykroć błogosławione słowa panny Jane Ann Stamper!

Musiałam urwać dla zaczerpnięcia tchu. Zanim wszakże zdążyłam to uczynić, ten potwór w ludzkim ciele wrzasnął z furją:

— Niech.....pannę Jane Ann Stamper!

Nie mogę napisać okropnych słów, reprezentowanych tutaj przez kropki. Gdy padły one z ust pana Ablewhite'a, wydałam głośny okrzyk, pobiegłam do swej torby leżącej na bocznym stoliku, wytrząsnęłam z niej wszystkie broszury, chwyciłam jedną z nich, traktującą o bluźnierczym przeklinaniu a zatytułowaną „Cicho, na miłość boską!”, i podałam mu ją z wyrazem bólu i błagania. Całe towarzystwo powstało z miejsc, lękając się, co teraz nastąpi. Ja niezwłocznie usiadłam w swoim kąci. Zdarzyło się ongi w dość zbliżonych okolicznościach, że pannę Jane Ann Stamper ujęto za ramiona i wyrzucono z pokoju. Czekałam więc, natchniona tym przykładem, na powtórzenie jej męczeństwa.

Ale nie — nic podobnego się nie zdarzyło. Następną osobą, do której zwrócił się pan Ablewhite, była jego żona.

— Kto... kto... kto... — wyjąkał zacinając się ze wściekłości — kto zaprosił tutaj tę bezczelną fanatyczkę? Ty?

Zanim ciotka Ablewhite zdołała wyrzec słowo, Rachelę odpowiedziała za nią:

— Panna Clack znajduje się tutaj jako mój gość.

Słowa te wywarły szczególniey skutek. Wściekłość pana Ablewhite'a ustąpiła nagle miejsca lodowatej pogardzie. Stało się dla wszystkich jasne, że Rachelę w tej tak zwięzłej odpowiedzi powiedziała coś, co dało mu wreszcie nad nią przewagę.

— O! Panna Clack znajduje się jako twój gość... w moim domu? — spytał.

Teraz z kolei Rachelę straciła równowagę. Oblała się rumieńcem, oczy jej zabłysły. Zwróciła się do prawnika i wskazując pana Ablewhite'a spytała wyniośle:

— Co on mówi?

Pan Bruff zainteresował się po raz trzeci.

— Zapomina pan zdaje się — zwrócił się do pana Ablewhite'a — że wynajął pan ten dom do użytku panny Verinder jako jej opiekun.

— Nie tak prędko — przerwał mu pan Ablewhite. — Ja tu mam ostatnie słowo i powiedziałbym je przedtem, gdyby ta... — Spojrzał na mnie zastanawiając się, jakim wyzwiskiem mnie określić —... gdyby ta zbzikowana stara panna nam nie przerwała. Mam honor oznajmić panu, sir, że jeśli mój syn nie jest godzien być mężem panny Verinder, to nie sądzę, aby jego ojciec godzien był pozostawać nadal jej opiekunem. Proszę więc przyjąć do wiadomości, że odrzucam stanowisko ofiarowane mi testamentem lady Verinder. Mówiąc językiem prawniczym, zrzekam się opieki. Dom ten z konieczności został wynajęty na moje nazwisko, ponoszę więc całą odpowiedzialność z tytułu tej transakcji. To mój dom. Mogę zatrzymać go albo wynająć według własnego życzenia. Nie chcę bynajmniej naglić panny Verinder. Przeciwnie, proszę, aby usunęła stąd swego gościa i swoje bagaże, kiedy sama uzna za stosowne.

Pan Ablewhite uklonił się nisko i wyszedł z pokoju.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, ciotka Ablewhite zademonstrowała fenomen, który kazał nam wszystkim umilknąć. Zdobyła się na dostateczną energię, aby przejść przez pokój!

— Moja droga — rzekła biorąc Rachelę za rękę — wstydziłabym się za swego męża, gdybym nie wiedziała, że to tylko popędliwość przemawiała do ciebie przez jego usta. To ty — ciągnęła dalej ciotka Ablewhite zwracając się do mnie z nowym przypiływem energii, tym razem przejawiającym się w spojrzeniu, nie w nogach — ty, wścibska istoto, zirytowałaś go. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę ani ciebie, ani twoich broszur. — Powróciła do Racheli i ucałowała ją. — Przepraszam cię w imieniu męża — rzekła. — Powiedz mi, co mogę dla ciebie zrobić?

Rachela, przewrotna i kapryśna jak zawsze i we wszystkim, na te banalne słowa rozplakała się i w milczeniu odwzajemniła ciotce pocałunek.

— Jeżeli wolno mi odpowiedzieć za pannę Verinder — rzekł pan Bruff — może poproszę panią, pani Ablewhite, o przysłanie na dół Penelopy z szalem i kapeluszem jej pani. Zechce pani zostawić nas na dziesięć minut samych — dodał ciszej — a może pani być pewna, że załatwię całą sprawę ku zadowoleniu zarówno pani jak Racheli.

Zaufanie wszystkich członków rodziny do pana Bruffa było zaiste czymś zdumiewającym. Ciotka Ablewhite bez dalszych słów wyszła z pokoju.

— Ach! — westchnął pan Bruff odprowadzając ją wzrokiem. — Krew Herncastle'ów ma swoje złe strony, przyznaję. Ale koniec końców da się też powiedzieć coś niecoś na korzyść dobrego wychowania!

Zrobiwszy tę zaiste przyziemną uwagę pan Bruff spojrział ostro w mój ką.

jak gdyby spodziewając się, że ja też wyjdę z pokoju. Ale dbałość o dobro Racheli — stokroć większa od jego dbałości — przykuła mnie do krzesła.

Pan Bruff dał za wygraną zupełnie tak samo, jak ongiś przy Montagu Square. Zaprowadził Rachelę na fotel pod oknem i tam zaczął z nią rozmowę.

— Droga pani — rzekł — zachowanie pana Ablewhite'a rzecz naturalna, zaskoczyło panią i przeraziło. Gdyby warto było spierać się z tego rodzaju człowiekiem, moglibyśmy mu bardzo szybko dowieść, że nie wszystko pójdzie tak, jak on chce. Ale nie warto. Miała pani zupełną słuszność mówiąc, że niegodzien jest naszej uwagi.

Urwał i spojrzał w mój kąt. Siedziałam bez ruchu z broszurami pod ręką i z „Panną Jane Ann Stamper” na kolanach.

— Pani wie — podjął znów zwracając się do Racheli — że matka jej z właściwą sobie szlachetnością widziała zawsze w otaczających ją osobach dobre cechy, a nie dostrzegała złych. Mianowała swego szwagra opiekunem pani dlatego, że mu ufała, i dlatego, że chciała sprawić tym przyjemność siostrze. Ja osobiście natomiast nie żywiłem nigdy sympatii do pana Ablewhite'a i nakłoniłem matkę pani, aby pozwoliła mi umieścić w testamencie klauzulę, która w pewnych wypadkach uprawnia wykonawców do naradzenia się ze mną w sprawie mianowania nowego opiekuna. Jeden z takich właśnie wypadków zdarzył się dzisiaj i teraz mogę zakończyć wszystkie te nużące szczegóły prawne, przekazując pani polecenie od mojej żony. Czy zechce pani wyświadczyć zaszczyt pani Bruff i przyjmą gościnę u niej? I czy pozostanie pani pod moim dachem i zechce być członkiem mojej rodziny, dopóki my, doświadczeni mężczyźni, nie zbierzemy się i nie ustalimy, co robić dalej?

Na te słowa wstałam, aby zabrać głos. Właśnie tego się obawiałam słysząc, że pan Bruff prosi panią Ablewhite o kapelusze i szal Racheli.

Ale zanim zdołałam wtrącić choć słówko, Rachelę z żywą wdzięcznością przyjęła już zaproszenie. Jeśli pozwolę, aby ten układ wprowadzono w życie — jeśli Rachelę przestąpi próg domu pana Bruffa — żegnaj najpiękniejsza nadziejo mojego życia, nadziejo sprowadzenia zbłąkanej owieczki z powrotem do stada! Na samą myśl o takim nieszczęściu serce mi zamarło. Odrzuciłam na bok wszelkie względy świeckiej ostrożności i dałam upust swemu wzburzeniu w słowach, które same cisnęły mi się na usta.

— Chwileczkę! — zawołałam. — Chwileczkę! Proszę'mnie wysłuchać! Panie Bruff, pan nie jest z nią spokrewniony, a ja jestem. Ja więc ją zapraszam i wzywam wykonawców testamentu, żeby mnie mianowali opiekunką! Rachelo, najdroższa Rachelo, oddaję ci do dyspozycji mój skromny dom, pojedziemy najbliższym pociągiem do Londynu, kochana moja, i zamieszkaś razem ze mną!

Pan Bruff nic nie odpowiedział, Rachelę zaś patrzyła na mnie z okrutnym zdumieniem, którego nie starała się wcale ukryć.

— Jesteś bardzo dobra, Drusillo — rzekła wreszcie. — Mam nadzieję, że pozwolisz, abym cię odwiedzała, ilekroć będę w Londynie. Ale przyjełam już

zaproszenie pana Bruffa i sędzę, że na razie będzie najlepiej, jeśli zostaną pod jego opieką.

— O, nie mów tak! — błagałam. — Nie mogę rozstać się z tobą, Rachelo, nie mogę się z tobą rozstać!

Próbowałam chwycić ją w ramiona, ale ona cofnęła się przede mną. Mój zapał nie udzielał jej się wcale, przerażał ją tylko.

— Gorączkujesz się chyba zupełnie niepotrzebnie i bez powodu — rzekła. Nie rozumiem tego.

— Ani ja — dodał pan Bruff.

Oziębłość ich — ohydna, światowa oziębłość — napełniła mnie oburzeniem.

— O, Rachelo! Rachelo! — wybuchnęłam. — Czy nie rozumiesz jeszcze, że z całego serca pragnę uczynić cię chrześcijanką? Czy żaden głos wewnętrzny nie podpowiedział ci, że usiłuję zrobić dla ciebie to, co starałam się zrobić dla twojej matki, kiedy śmierć wyrwała mi ją z rąk?

Rachela zbliżyła się o krok i spojrzała na mnie bardzo dziwnie.

— Nie rozumiem tych słów o mojej matce — rzekła. — Może pani zechce się wytłumaczyć, panno Clack?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, pan Bruff stanął między nami i podał Racheli ramię, chcąc wyprowadzić ją z pokoju.

— Niech się pani lepiej nie wdaje w rozmowę na ten temat, moja droga — powiedział do niej. — A panna Clack niech lepiej nic nie tłumaczy.

Choćbym nawet była z drzewa lub z kamienia, tego rodzaju wtrącenie się musiałyby pobudzić mnie do dania świadectwa prawdzie. Własną swą ręką odsunęłam na bok pana Bruffa i w słowach stosownych a uroczystych wyjaśniłam, jak okropnym nieszczęściem jest w świetle zdrowej doktryny śmierć bez należytego przygotowania.

Rachela cofnęła się przede mną z okrzykiem zgrozy — rumienię się, kiedy to piszę.

— Chodźmy stąd! — zwróciła się do pana Bruffa. — Chodźmy, na miłość boską, zanim ta kobieta powie choć jeszcze jedno słowo! O, gdy pomyślę o pięknym, dobrym, pożytecznym życiu mojej mamy! Był pan na pogrzebie, panie Bruff, widział pan, jak ją wszyscy kochali, widział pan, jak biedni, skromni ludzie oplakiwali nad jej grobem stratę swojej najlepszej przyjaciółki. A ta nieszczęsna chce podważyć moje przekonanie, że moja matka, która była aniołem na ziemi, jest teraz aniołem w niebie! Nie zatrzymujmy się tu dłużej! Chodźmy stąd! Duszę się, kiedy oddycham tym samym powietrzem co ona! Przeraża mnie świadomość, że jestem z nią w tym samym pokoju!

I głucha na wszelkie perswazyje pobiegła ku drzwiom. W tej samej chwili weszła jej pokojówka z kapeluszem i szalem. Rachela pośpiesznie je włożyła.

— Spakuj moje rzeczy — powiedziała — i przywieź je do pana Bruffa. Próbowałam jeszcze raz do niej podejść. Byłam wstrząśnięta i zmartwiona,

ale — zbyteczne chyba nadmieniać — bynajmniej nie obrażona. Chciałam jej tylko powiedzieć: „Oby twoje zatwardziałe serce zmiękło! Przebaczam ci

z całej duszy!" Ale Rachela opuściła woalkę, wyrwała mi z ręki swój szal i wybiegła zatraskując mi drzwi przed nosem. Zniosłam tę zniewagę z właściwym sobie męstwem. Wspominam to teraz, jak zwykle wyższa ponad uczucie urazy.

Pan Bruff nie oszczędził mi na pożegnanie szyderczej uwagi.

— Lepiej byłoby, gdyby nic pani nie tłumaczyła, panno Clack — rzekł z ukłonem i wyszedł z pokoju.

Osoba ze wstążkami również zabrała głos.

— Nietrudno zgadnąć, kto ich wszystkich tak zirytował— powiedziała. — Jestem tylko biedną służącą, ale dajlibóg, wstyd mi za panią!

Po czym wyszła również i trzasnęła za sobą drzwiami. Zostałam sama w pokoju. Znieważona przez wszystkich, opuszczona przez wszystkich, zostałam sama w pokoju.

Czy należy dodać coś jeszcze do tego zwięzłego opisu faktów — do tego wzruszającego obrazu chrześcijanki prześladowanej przez świat? Nie! Mój dziennik przypomina mi, że jeszcze jeden z wielu barwnych rozdziałów mojego życia tu się zakończył. Od owego dnia nie widziałam już nigdy więcej Racheli Verinder. Przebaczyłam jej od razu, gdy mnie znieważyla, i od tego czasu modłę się za nią niezmiennie i życzę jej jak najlepiej. Umierając zaś jeszcze raz zapłacę dobrem za złe: Rachela Verinder po mojej śmierci otrzyma „Życie, listy i pracę panny Jane Ann Stamper", zapisane jej przeze mnie w testamencie.

RELACJA DRUGA

spisana przez Mateusza Bruffa adwokata

ROZDZIAŁ I

Ponieważ moja nadobna przyjaciółka, panna Clack, złożyła już pióro, kolej teraz, abym ja je podjął, a to z dwóch wyłuszczonych niżej powodów.

Po pierwsze mogę rzucić światło na pewne interesujące punkty, które dotychczas okrywał mrok. Panna Verinder miała swoje powody do zerwania zaręczyn — i to ja tkwiłem u źródła sprawy. Pan Godfrey Ablewhite miał swoje powody, by zrzec się wszelkich pretensji do ręki uroczej kuzynki — i to ja owe powody wykryłem.

Po drugie tak się szczęśliwie czy nieszczęśliwie złożyło (sam nie jestem tego pewien), że w okresie, o którym piszę, zostałem osobiście wciągnięty do zagadkowej sprawy indyjskiego diamentu. Miałem zaszczyt rozmawiać we własnej kancelarii z wykwintnym i dystyngowanym przybyszem ze Wschodu, który to przybysz bez wątpienia był przywódcą owych znanych już państwu trzech Hindusów. Dodajmy do tego, że nazajutrz spotkałem się ze słynnym podróżnikiem, panem Murthwaite'em, i odbyłem z nim na temat Kamienia Księżycowego rozmowę, która ma ścisły i istotny związek z późniejszymi wypadkami — a wszystko to będzie chyba dostatecznym uzasadnieniem moich pretensji do pozycji, jaką zajmuję na tych kartach.

Sprawa zerwanych zaręczyn była pierwsza w czasie i wobec tego musi zająć pierwsze miejsce w mojej relacji. Przeglądając w myśli łańcuch wydarzeń od końca do początku, widzę, że — choć to się państwu może wydać dziwne — wypadnie mi zacząć przy łóżu śmierci mojego klienta i przyjaciela, nieboszczyka sir Johna Verindera.

Sir John Verinder miał swój zasób — może nawet dość duży zasób — nieszkodliwych i miłych słabostek właściwych rodzajowi ludzkiemu. Między innymi, zwłaszcza dopóki cieszył się dobrym zdrowiem, cechowała go nieprzewyciężona niechęć do odpowiedzialnego kroku, jakim jest sporządzenie testamentu. Lady Verinder próbowała użyć swego wpływu i uświa-

domić mu, że jest to jego obowiązkiem, ja również próbowałem użyć swego wpływu. Sir John przyznawał nam słuszność — ale na tym też poprzestawał, dopóki nie złożyła go choroba, która w rezultacie zaprowadziła go do grobu. Wówczas wezwano mnie wreszcie, abym przyjął od swego klienta instrukcje w sprawie testamentu. Były to najprostsze instrukcje, jakie otrzymałem kiedykolwiek w ciągu całej swej pracy zawodowej.

Sir John drzemał, gdy wszedłem do pokoju. Na moje wejście otworzył oczy.

— Dzień dobry, panie Bruff — rzekł. — Nie zajmę panu dużo czasu. A potem będę mógł znowu zasnąć.

Przyglądał się z wielkim zainteresowaniem, jak przygotowuję pióra, atrament i papier.

— Gotów pan? — spytał.

Ukloniłem się, umoczyłem pióro w kałamarzu i czekałem na instrukcje.

— Cały majątek żonie — powiedział sir John. — To wszystko. Przekreślił się na poduszce i ułożył znów do snu.

Musiałem go zaniepokoić.

— Czy mam rozumieć, że pozostawia pan cały swój majątek ruchomy i nieruchomy, jaki będzie pan posiadał w chwili śmierci, bez zastrzeżeń lady Verinder?

— Tak — odparł sir John.—Tylko ja ujmuję to krócej. Dlaczego pan też nie może ująć tego krócej, żeby pozwolić mi zasnąć? Wszystko żonie. Taka jest moja wola.

Majątek sir Johna nie miał obciążeń i był dwojakiego rodzaju: ruchomy i nieruchomy (powstrzymuję się tu od terminów technicznych). W większości wypadków byłbym niezawodnie poczytywał sobie za obowiązek wobec klienta prosić go o przemyślenie raz jeszcze treści testamentu. W wypadku jednak sir Johna wiedziałem, że lady Verinder jest nie tylko godna bezgranicznego zaufania pokładanego w niej przez małżonka (wszystkie dobre żony godne są takiego zaufania), lecz potrafi także administrować majątkiem (do czego, jak uczy mnie moje doświadczenie, nie jest zdolna nawet jedna kobieta na tysiąc). Po dziesięciu minutach testament sir Johna był spisany i poświadczony, a zacny sir John powrócił do przerwanej drzemki.

Lady Verinder usprawiedliwiła ufność, jaką pokładał w niej mąż. Już w pierwszych dniach wdowieństwa wezwała mnie i sporządziła testament. Zajmowała w tej sprawie stanowisko tak rozsądne i praktyczne, że nie potrzebowałem jej udzielać żadnych rad. Odpowiedzialność moja ograniczyła się jedynie do nadania jej instrukcjom właściwej formy prawnej. Nie minęło jeszcze dwa tygodnie od zejścia do grobu sir Johna, gdy przyszłość jego córki zabezpieczono w sposób jak najbardziej troskliwy i rozumny.

Testament pozostał w kasie ogniotrwałej mojej kancelarii przez bardzo długie lata, których wolę dokładnie nie liczyć. Dopiero latem 1848 roku miałem sposobność obejrzeć go znowu w bardzo smutnych okolicznościach.

W owym czasie lekarze postawili lady Verinder diagnozę równającą się właściwie wyrokowi śmierci. Byłem pierwszą osobą, którą lady Verinder poinformowała o swym stanie, nadmieniając przy tym, że chciałaby zrewidować wraz ze mną testament.

Niepodobna było zmienić na korzyść części dotyczącej córki lady Verinder. Ale z upływem czasu zmieniły się życzenia lady Verinder dotyczące mniejszych legatów pozostawionych niektórym krewnym, należało więc dodać do pierwotnego dokumentu trzy czy cztery kodycyle. Załatwiłem to na wszelki wypadek od razu, po czym na moją prośbę jej lordowska mość zezwoliła mi na sporządzenie nowego testamentu uwzględniającego jej ostatnie instrukcje. Chodziło mi oto, by uniknąć nieuchronnych powtórzeń i zawłości, które szpeciły teraz pierwotny dokument i — jeśli mam być szczery — *raziy* moje zawodowe poczucie ładu.

Podpisanie tego drugiego testamentu zostało już zrelacjonowane przez pannę Clack, która raczyła występować w charakterze świadka. Jeśli chodzi

o interesy majątkowe Racheli Verinder, drugi testament był dosłowną kopią pierwszego. Jedyne zmiany dotyczyły wyznaczenia opiekuna oraz pewnych zastrzeżeń związanych z tym wyznaczeniem a wprowadzonych za moją radą. Po śmierci lady Verinder testament przekazano mojemu proktorowi* w celu nadania mu zwykłą drogą mocy prawnej.

Mniej więcej w trzy tygodnie potem — o ile pamiętam — otrzymałem pierwsze ostrzeżenie, że dzieje się coś dziwnego. Wstąpiłem tego dnia do biura proktora, mojego przyjaciela, i zauważyłem, że powitał mnie z większym ożywieniem niż zazwyczaj.

— Mam dla pana ciekawą wiadomość — rzeki. — Czy pan wie, co słyszałem dzisiaj rano w DoctorsTommons"? Ktoś zażądał już testamentu lady Verinder do przejrzenia!

Była to rzeczywiście zdumiewająca wiadomość! Testament nie zawierał absolutnie nic, co można by podważyć, a poza tym nie mogłem sobie wyobrazić nikogo, kto by się nim mógł interesować. (Powiniennem może w tym miejscu zaznaczyć — do wiadomości tych, co mogą o tym nie wiedzieć — że zgodnie z prawem każdy za opłatą jednego szylinga może zapoznać się w Doctors'Commons z treścią dowolnego testamentu).

— Czy nie słyszał pan, kto pytał o testament?

— Owszem, pisarz od razu mi to powiedział. O testament pytał pan Smalley z firmy Skipp & Smalley. Testamentu nie przepisano jeszcze w wielkim rejestrze, nie było więc innego wyjścia, jak odstąpić od zwykłej procedury i dać petentowi do przejrzenia oryginał. Przeczytał go dokładnie

i wynotował sobie coś w notesie. Czy domyśla się pan, czego mógł chcieć?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Dowiem się — odparłem — zanim zestarzeję się choć o jeden dzień.

' P r o k t o r — w Anglii adwokat prowadzący sprawy spadkowe. (Przyp. red.) D o c t o r s ' C o m m o n s — do r 1867 siedziba urzędu rejestracji ślubów, rozwodów, testamentów itp. (Przyp. tłum).

Z tymi słowy udałem się z powrotem do swej kancelarii.

Gdyby chodziło o jakąkolwiek inną firmę prawniczą, byłoby mi dość trudno dociec, kto i dlaczego pragnął zapoznać się z testamentem mojej zmarłej klientki. Ale firma Skipp & Smalley była ode mnie w pewnym stopniu zależna i to znacznie ułatwiło mi sprawę. Mój urzędnik do spraw postępowania cywilnego (doskonały pracownik o wysokich kwalifikacjach) był bratem pana Smalleya i dzięki tym pośrednim stosunkom z moją kancelarią firma Skipp & Smalley od kilku lat zbierała okruchy naszej praktyki w postaci spraw, których z takich czy innych powodów nie chciałem się podjąć. W tych warunkach moja opieka zawodowa była dla firmy nie bez znaczenia. Postanowiłem, że w razie potrzeby przypomnę teraz panu Smalleyowi o tym fakcie.

Po powrocie zaprosiłem do siebie od razu swojego urzędnika, opowiedziałem mu, co zaszło, i posłałem go do kancelarii brata z następującym poleceniem: „Pan Bruff przesyła wyrazy uszanowania i pragnie się dowiedzieć, czemu panowie Skipp & Smalley uważali za stosowne zbadać testament lady Verinder”.

W odpowiedzi na to polecenie pan Smalley stawiał się w mojej kancelarii razem z bratem. Przyznał się, że działał zgodnie z instrukcjami otrzymanymi od pewnego klienta. Następnie wszakże wyraził wątpliwość, czy wyjawienie nazwiska tego klienta nie będzie zdradą tajemnicy zawodowej.

Wywiązała się między nami dość ostra dyskusja. Pan Smalley bez wątpienia miał rację, ja zaś racji nie miałem. Prawdę mówiąc byłem po prostu zły, rzecz wydawała mi się podejrzana i nalegałem, żeby powiedział mi wszystko. Co gorsza nie zgodziłem się na to, by uważać jakiegokolwiek dodatkowe informacje za powierzony mi sekret, lecz zapowiedziałem z góry, że będę rozporządzał tymi informacjami według własnego uznania.

— Proszę wybierać, sir — zwróciłem się w końcu do pana Smalleya — między niebezpieczeństwem utraty klienta, a niebezpieczeństwem utraty mojej życzliwości.

Był to akt tyranii, przyznaję, i podobnie jak inni tyrani postawiłem na swoim. Pan Smalley dokonał wyboru bez chwili namysłu. Uśmiechnął się z rezygnacją i podał mi nazwisko swego klienta.

Był *nim* pan Godfrey Ablewhite.

Wystarczyło mi to zupełnie — nie chciałem wiedzieć nic więcej.

Gdy już doszedłem do tej części sprawozdania, muszę teraz postarać się udzielić czytelnikowi w związku z testamentem lady Verinder wszelkich informacji, jakie sam posiadam, abyśmy stanęli na równej stopie.

Stwierdzam tedy możliwie jak najzwężlej, że Rachel Verinder miała jedynie otrzymywać dożywotnio dochody z majątku matki. Wybitny rozum lady Verinder i moje wieloletnie doświadczenie złożyły się na to, by uwolnić Rachelę od wszelkiej odpowiedzialności i strzec jej na przyszłość, żeby nie padła ofiarą jakiegoś mężczyzny pozbawionego skrupułów a potrzebującego pieniędzy. Ani ona, ani jej mąż (gdyby wyszła za mąż) nie mogli zrealizować nawet szylinga z majątku ruchomego lub nieruchomego. Mogli

jedynie mieszkać w domach w Londynie i w Yorkshire i rozporządzać pokaźną intratą — to wszystko.

Gdy się zastanowiłem nad usłyszaną wiadomością, byłem w wielkim kłopotcie, co teraz począć.

Zaledwie tydzień upłynął, odkąd dowiedziałem się (ze zdumieniem i przykrością) o zamierzonym małżeństwie panny Verinder. Miałem dla niej najszczerzy podziw i życzliwość, toteż byłem niewymownie zgnębiony, słysząc, że chce zmarnować życie wychodząc za pana Godfrey Ablewhite a. A teraz człowiek ten — którego zawsze miałem za gładkiego oszusta — usprawiedliwił najgorsze moje obawy i ponad wszelką wątpliwość zdradził się tym, że przy zawarciu małżeństwa kierują nim interesowne pobudki! Cóż z tego? — powie może czytelnik. To się codziennie zdarza. Zgoda, drogi panie. Ale czy traktowałby pan podobną rzecz równie lekko, gdyby miała zdarzyć się pańskiej siostrze?

Oczywiście przede wszystkim przyszło mi do głowy następujące pytanie: czy pan Godfrey Ablewhite będzie chciał dotrzymać zobowiązania po tym, czego się dowiedział od swego adwokata?

Zależało to wyłącznie od jego sytuacji majątkowej, o której nic mi nie było wiadomo. Jeżeli sytuacja ta nie była rozpaczliwa, to panu Godfreyowi warto było poślubić pannę Verinder li tylko dla jej intraty. Jeżeli zaś musiał pilnie zdobyć pokaźną sumę pieniędzy na określony termin, wówczas testament lady Verinder winien był spełnić swoje zadanie i ustrzec Rachelę przed dostaniem się w ręce łajdaka.

W tym drugim wypadku nie było potrzeby, abym ujawniając prawdę zadał nowy cios pannie Racheli, która nie otrząsnęła się jeszcze po niedawnej śmierci matki. W pierwszym natomiast wypadku, zachowując milczenie, przyczyniłbym się do zawarcia przez nią małżeństwa, które mogło unieszczęśliwić ją na całe życie.

Wątpliwości moje rozstrzygnęły się, gdy odwiedziłem hotel londyński, w którym, jak wiedziałem, zatrzymała się pani Ablewhite wraz z panną Verinder. Panie te oznajmiły mi, że wyjeżdżają nazajutrz do Brighton, pan Godfrey Ablewhite zaś nie może im towarzyszyć z powodu jakichś niespodziewanych przeszkód. Ofiarowałem się od razu, że zajmę jego miejsce. Dopóki myślałem tylko o Racheli Verinder, mogłem się jeszcze wahać. Gdy ją wszakże zobaczyłem, postanowiłem niezwłocznie bez względu na skutki powiedzieć jej prawdę.

Sposobność nadarzyła się nazajutrz po moim przyjeździe, kiedy poszedłem z nią na spacer.

— Czy wolno mi pomówić z panią o jej zaręczynach? — zapytałem.

— Tak — rzekła obojętnie — jeżeli nie ma pan ciekawszych tematów.

— Czy daruje pani staremu przyjacielowi i słudze pani rodziny, panno Rachelo, jeśli pozwoli sobie zapytać, czy bardzo pani zależy na tym małżeństwie?

— Wychodzę za mąż z rozpachy, panie Bruff, w nadziei, że być może zapadnę w stan jakiegoś otępienia, które pogodzi mnie z życiem.

Mocne słowa! Nasuwały one myśl o jakimś ukrytym romansie. Ale miałem wytyczony cel przed oczami, toteż (jak mówią prawnicy) nie dałem się odciągnąć od zasadniczego tematu.

— Pan Godfrey Ablewhite nie myśli zapewne tak jak pani — zauważyłem.— Jemu przynajmniej zależy na tym małżeństwie?

— Tak twierdzi i sędzę, że powinnam mu wierzyć. Po tym, co mu wyznałam, nie ożeniłby się chyba ze mną, gdyby mnie nie kochał;

Biedactwo! Nie przyszło jej wcale przez myśl, że mężczyzna może chcieć ją poślubić dla własnych interesownych i egoistycznych celów. Zadanie, które sobie postawiłem, okazało się w praktyce trudniejsze, niż przypuszczałem.

— Dla moich staroświeckich uszu brzmi to dość dziwnie... — ciągnąłem dalej.

— Co brzmi dziwnie? — spytała.

— Że mówi pani o swoim przyszłym mężu takim tonem, jak gdyby nie była pewna szczerości jego uczuć. Czy ma pani jakieś określone powody, aby mu nie ufać?

Rachela z właściwą sobie bystrością wyczuła zmianę w moim głosie czy w zachowaniu, gdy zadawałem to pytanie, i zmiana ta ostrzegła ją widocznie, że zaczął tę rozmowę nie bez kozery. Zatrzymała się, wysunęła rękę spod mojego ramienia i spojrzała na mnie badawczo.

— Panie Bruff — rzekła — pan ma mi coś do powiedzenia o Godfreyu Ablewhicie. Niech pan mówi.

Znałem ją dość dobrze, aby polegać na jej słowie. Powiedziałem wszystko.

Rachela znów wzięła mnie pod rękę i ruszyliśmy wolno naprzód. Czuję, że palce jej zaciskają się machinalnie na moim ramieniu, widziałem, że staje się coraz bledsza, ale dopóki mówiłem, ani jedno słowo nie padło z jej ust. Kiedy skończyłem, Rachela milczała nadal. Opuściła trochę głowę i szła przy mnie zapominając o całym świecie, pogrążona — zatracona, powiedziałbym nawet - we własnych myślach.

Nie przerywałem jej rozmyślań. Wiedziałem z doświadczenia, że należy dać jej czas do namysłu.

Kiedy przeciętna dziewczyna dowiaduje się o czymś, co ją interesuje, przede wszystkim zadaje na ten temat moc pytań, a potem biegnie do jakiejś przyjaciółki i omawia z nią wszystko. Pierwszym natomiast odruchem Racheli Verinder w podobnych okolicznościach było zamknąć się w sobie i wszystko przemyśleć. Taka samodzielność jest wielką zaletą u mężczyzny, u kobiety natomiast ma tę złą stronę, że oddziela ją moralnie od ogółu jej płci, a tym samym naraża na potępienie opinii publicznej. Podejrzewam zresztą, że sam żywię w tej sprawie zdanie podobne do reszty świata — wyjąwszy wypadek Racheli Verinder. Samodzielność jej była moim zdaniem jedną z zalet jej charakteru — po części dlatego, że ją szczerze podziwiałem i lubiłem, po części zaś dlatego, że pogląd mój na jej związek z zaginięciem Kamienia Księżycowego opierał się na dokładnej znajomości jej usposobienia. Pozory w sprawie diamentu przemawiały przeciwko niej, świadomość, że dziewczyna jest w jakiś sposób uwikłana w tajemnicę nie wykrytej

kradzieży, była bolesna, a mimo to żywiłem pewnością, że Rachelę nie popełniła nic zdrożnego, gdyż byłem także pewien, że przed jakimkolwiek krokiem w tej sprawie zamknęła się w sobie i wszystko przemyślała.

Uszliśmy prawie milę, zanim Rachelę otrząsnęła się z zadumy. Spojrzała na mnie z uśmiechem, który był słabym odbiciem jej uśmiechu za szczęśliwszych czasów — z najbardziej nieodpartym uśmiechem, jaki widziałem kiedykolwiek na twarzy kobiety.

— Bardzo wiele już zawdzięczam pańskiej dobroci — rzekła. — A teraz czuję się panu bardziej obowiązana niż kiedykolwiek. Jeżeli po powrocie do Londynu usłyszysz pan jakieś pogłoski o moim ślubie, zechce pan przeczyć im z mojego upoważnienia.

— Czy postanowiła pani zerwać zaręczyny? — spytałem.

— Jak może pan wątpić po tym, co mi pan powiedział? — odparła dumnie.

— Kochana panno Rachelo, jest pani bardzo młoda, być może trudniej pani będzie wycofać się z obecnej sytuacji, niż się pani spodziewa. Czy nie ma nikogo — mam na myśli jakąś niewiastę — kogo mogłaby się pani poradzić?

— Nikogo — odrzekła.

Słowa te sprawiły mi ból, dotkliwy ból. Była taka młoda, taka osamotniona, a tak doskonale to wszystko znosiła! Odruch niesienia jej pomocy wziął górę nad poczuciem własnej nieprzydatności w tym wypadku i wyłożyłem wszystko, co sądziłem na temat sprawy, możliwie jak najlepiej. Udzielałem w życiu porad olbrzymiej ilości klientów i miałem do czynienia z różnymi bardzo skomplikowanymi trudnościami. Ale tu po raz pierwszy w życiu miałem doradzić młodej panie, jak ma wycofać się z niepożądanych zaręczyn. Proponowany przeze mnie plan przedstawiał się w streszczeniu, jak następuje. Radziłem Racheli, aby powiedziała panu Godfreyowi Ablew-hite'owi — w rozmowie w cztery oczy naturalnie — że zdradził się on ze swymi interesownymi pobudkami i że ona wie o tym na pewno. Miała następnie dodać, że małżeństwo ich po tym odkryciu jest niepodobieństwem, i zapytać go, czy chce zapewnić sobie jej dyskrecję postępując zgodnie z jej życzeniem, czy też woli stawiając opór zmusić ją, aby podała powody zerwania do wiadomości ogółu. Gdyby próbował się bronić albo przeczyć wymienionym faktom, powinna była wówczas skierować go do mnie.

Panna Veinder słuchała uważnie, dopóki nie skończyłem. Wtedy podziękowała mi pięknie za radę, ale jednocześnie stwierdziła, że nie może się do niej zastosować.

— Czy wolno wiedzieć, jakie są pani obiekcje? — spytałem. Zawahała się, po czym odpowiedziała pytaniem na pytanie.

— Przypuśćmy, że miałby pan wyrazić zdanie o postępowaniu pana Godfrey'a Ablewhite'a?... — zaczęła.

— Tak?

— Co by pan powiedział?

— Powiedziałbym, że postąpił jak podły oszust.

— Panie Bruff! Wierzyłam temu człowiekowi. Przyrzekłam temu człowiekowi, że go poślubię. Jakże mogę powiedzieć mu, że jest podły, jak mogę powiedzieć mu, że mnie oszukał, jak mogę po tym wszystkim okryć go niesławą w oczach świata? Poniżyłam się myśląc choć przez chwilę o nim jako o swoim mężu. Jeżeli powiem mu to, co każe mi pan powiedzieć, przyznam się przed nim, że się poniżyłam. Nie mogę tego zrobić po tym, co między nami zaszło, nie mogę tego zrobić! Dla niego byłoby to niczym, ale dla mnie byłby to wstyd nie do zniesienia.

Odsłoniła się przede mną nowa osobliwość jej charakteru. Odraza przed zetknięciem się z jakąkolwiek podłością zaślepiała ją na wszelkie względy, jakie winna była sobie samej, stawiała ją w fałszywej pozycji i narażała na kompromitację w oczach znajomych. Do tej chwili nie miałem pewności, czy moja rada jest właściwa, ale po tym, co Rachelę teraz powiedziała, nie żywiłem już najmniejszych wątpliwości, że jest to rada najlepsza i bez dalszych wahań starałem się nakłonić ją, by jej usłuchała.

Ale Rachelę potrząsnęła tylko głową i powtórzyła swoje obiekcje w innych słowach.

— Godfrey był ze mną dość blisko, aby prosić mnie, żebym została jego żoną. Ceniłam go dość wysoko, aby udzielić mu swej zgody. Nie mogę po tym wszystkim powiedzieć mu w oczy, że jest najnędną istotą z żyjących istot!

— Ależ, droga panno Rachelo — perswadowałem — nie może pani jednak powiedzieć mu, że zrywa pani zaręczyny, nie podając po temu racji.

— Powiem, że zastanowiłam się nad tą sprawą i doszłam do wniosku, że najlepiej dla nas obojga będzie, jeśli się rozstaniemy.

— Nic więcej?

— Nic więcej,

— Czy zastanawiała się pani, co on może na to odpowiedzieć?

— Może mówić, co mu się podoba.

Trudno było nie podziwiać jej delikatności uczuć i stanowczości, ale jednocześnie trudno było nie wiedzieć, że stawia się tym samym w fałszywej sytuacji. Błagałem, żeby wzięła to pod uwagę. Tłumaczyłem, że narazi się na złośliwą obmowę, gdyż pobudki jej będą rozumiane całkiem opacznie.

— Nie może pani rzucać wyzwania opinii publicznej — mówiłem — powodując się jedynie własnym uczuciem.

— Owszem, mogę — odrzekła. — Już raz to zrobiłam.

— Co pani ma na myśli?

— Zapomina pan o sprawie Kamienia Księżycowego, panie Bruff. Czyż nie rzuciłam wówczas wyzwania opinii publicznej kierując się sobie tylko wiadomymi powodami?

Odpowiedź ta zamknęła mi na chwilę usta. Myśli moje pobiegły ku dziwnemu postępowaniu Racheli po zaginięciu diamentu. Staralem się wytłumaczyć je sobie w świetle zaskakującego wyznania, które jej się przed chwilą wymknęło. Być może udałoby mi się to, gdybym był młodszy, obecnie jednak łamałem sobie głowę na próżno.

Zanim wróciliśmy do domu, spróbowałem jeszcze raz wyperswadować

Racheli jej decyzję. Była jednak niewzruszona. Gdy się z nią tego dnia pożegnałem, w uczuciach moich panował przedziwny zamęt. Rachela jest uparta, nie ma słuszości — myślałem — ale zarazem jest osobą niezmiernie interesującą, godną podziwu i najwyższego współczucia. Wziąłem od niej przyrzeczenie, że napisze do mnie, skoro tylko będzie miała jakieś nowiny, po czym z ciężkim sercem wróciłem do Londynu.

W wieczór powrotu, zanim jeszcze mogłem dostać przyrzeczony list, miałem niespodziewaną wizytę pana Ablewhite'a starszego i dowiedziałem się, że Rachela zaproponowała tego dnia panu Godfreyowi zerwanie zaręczyn i że Godfrey się na to zgodził.

Wobec poglądu, który sobie wyrobiłem na sprawę, fakt zawarty w podkreślonych przeze mnie słowach odsłaniał powody potulności pana Godfreya równie wyraźnie, jakby on sam się do nich przyznał. Potrzeba mu było znacznej sumy pieniędzy i potrzeba mu jej było w określonym terminie. Dochody Racheli nic mu tu nie mogły pomóc, toteż Rachela zdołała unieważnić zaręczyny nie napotykając poważniejszego oporu z jego strony. Jeżeli mi ktoś powie, że to tylko czcze domysły, zapytam z kolei, jaką inną teorią da się wytłumaczyć fakt, że pan Godfrey zrezygnował z małżeństwa, które zapewniłoby mu wspaniałe utrzymanie do końca życia?

Radość moją z pomyślnego obrotu sprawy zniweczyła całkowicie rozmowa ze starszym panem Ablewhite'em.

Pan Ablewhite przyszedł oczywiście w tym celu, aby dowiedzieć się, czy mogę mu udzielić wyjaśnień na temat niezwyklego postępowania panny Verinder. Nie potrzeba chyba nadmieniać, że nie mogłem mu udzielić żądanych informacji. Rozdrażniło go to ogromnie, a że był już mocno poirytowany uprzednią rozmową z synem, zapomniał teraz o wszelkiej ostrożności. Zarówno z miny jego jak i ze słów wywnioskowałem ponad wszelką wątpliwość, że gdy przyjedzie do Brighton, panna Verinder znajdzie w nim bezlitosnego przeciwnika.

Spędziłem bezseną noc zastanawiając się, co mam przedsięwziąć. Jak się te moje rozmyślenia zakończyły i jak usprawiedliwione byty moje obawy co do pana Ablewhite'a starszego, wszystko to opisała ściśle i we właściwym miejscu panna Clack, ów wzór dokładności. Muszę tylko dodać — w uzupełnieniu jej relacji — że panna Verinder znalazła w moim domu w Hampstead spokój, który był biedactwu tak potrzebny. Zaszczyciła nas długim pobylem. Moja żona i córki były nią zachwycone, gdy zaś wykonawcy testamentu wyznaczili nowego opiekuna, mogę stwierdzić z dumą i przyjemnością, że rozstaliśmy się z naszym "gościem jak starzy przyjaciele.

ROZDZIAŁ II

Obecnie przystąpię do ujawnienia posiadanych przeze mnie dodatkowych informacji na temat Kamienia Księżycowego albo też mówiąc ściśle na temat spisku Hindusów mającego na celu kradzież diamentu. Nie jest tego zbyt

wiele, ale (jak już zdaje się wspominałem) wiadomości te są nie bez znaczenia wobec wydarzeń, które miały się dopiero rozegrać.

W jakiś tydzień czy dziesięć dni po tym, jak panna Verinder od nas wyjechała, jeden z urzędników wszedł do mojego gabinetu z biletem wizytowym w rękę i oznajmił, że na dole czeka pewien dżentelmen, który chciałby się ze mną widzieć.

Spojrzałem na bilet. Widniało na nim cudzoziemskie nazwisko, które wyleciało mi już z pamięci. Na dole biletu wypisane były po angielsku słowa, które pamiętam doskonale:

„Z polecenia pana Septimusa Lukera”.

Zuchwalstwo, z jakim człowiek w sytuacji pana Lukera ośmielał się polecać kogokolwiek, zaskoczyło mnie tak bardzo, że siedziałem przez chwilę w milczeniu zastanawiając się, czy mnie oczy nie mylą. Urzędnik widząc moje zdumienie podzielił się ze mną wrażeniem, jakie wywarł na nim cudzoziemiec czekający na dole.

— Jest to człowiek o dość uderzającym wyglądzie, proszę pana. Ma bardzo ciemną cerę, wszyscyśmy więc tam na dole doszli do wniosku, że to chyba Hindus.

Uwaga urzędnika w połączeniu z czelnymi słowami wypisanymi na bilecie, który miałem przed sobą, obudziła we mnie od razu podejrzenie, że rekomendacja pana Lukera i wizyta cudzoziemca pozostają w jakimś związku z Kamieniem Księżycowym. Toteż ku zdziwieniu urzędnika postanowiłem natychmiast przyjąć nieznanego.

Aby usprawiedliwić owo odstępstwo od zasad naszego zawodu uczynione na rzecz zwykłej ciekawości, chciałbym przypomnieć każdemu, kto będzie czytał te wiersze, że nikt z żyjących (przynajmniej w Anglii) nie był bardziej ode mnie związany z romantyczną historią indyjskiego diamentu. Mnie bowiem pułkownik Herncastle zwierzył się ongi ze swego planu, dzięki któremu uniknął śmierci z ręki skrytobójców. Ja otrzymywałem od pułkownika Herncastle'a listy, w których donosił mi regularnie, że nadal żyje. Ja spisałem jego testament, którym pozostawił Kamień Księżycowy panie Verinder. Ja namówiłem wykonawcę jego testamentu do działania, sądząc, że klejnot ten może być cennym nabytkiem dla rodziny Verinderów, i to ja wreszcie pokonałem opory pana Franklina Blake'a i nakłoniłem go, aby sam zawiózł diament do domu lady Verinder. Jeżeli ktokolwiek więc miał prawo interesować się Kamieniem Księżycowym i wszystkim, co pozostawało z nim w jakimś związku, nikt chyba nie zaprzeczy, że tym człowiekiem byłem ja.

Gdy wprowadzono do gabinetu tajemniczego klienta, jakiś głos wewnętrzny podpowiedział mi od razu, że mam przed sobą jednego z trzech Hindusów — prawdopodobnie przywódcę. Ubrany był bardzo starannie w strój europejski, ale smagła cera, smukła postać i poważne, pełne wdzięku maniery zdradziłyby jego wschodnie pochodzenie każdemu bystremu oku.

Wskazałem mu fotel i prosiłem, aby wyłuszczył sprawę, która go do mnie sprowadza.

Przeprósiwszy na wstępie — doskonałą a wykwinną angielszczyzną — za to, że ośmiela się mnie niepokoić. Hindus wyjął niewielką paczuszkę owiniętą w złotą tkaninę. Zdjął tę tkaninę, potem odwinął jakąś jedwabną materię i postawił na moim stole małe pudełko czy raczej szkatułkę hebanową, przepięknie inkrustowaną drogimi kamieniami.

— Przyszedłem prosić pana o pożyczanie mi pewnej sumy pieniędzy — rzekł. — I chciałbym zostawić tę rzecz jako gwarancję, że pożyczkę zwrócę.

Wskazałem jego bilet wizytowy.

— Przychodzi pan z polecenia pana Lukera? — spytałem. Hindus uklonił się.

— Czy wolno wiedzieć, czemu pan Luker sam nie wyasygnował panu potrzebnej sumy?

— Pan Luker poinformował mnie, sir, że nie rozporządza pieniędzmi, które mógłby mi pożyczyć.

— I wobec tego zalecił panu zwrócić się do mnie? Z kolei Hindus wskazał swój bilet wizytowy.

— Tam jest to napisane — rzekł.

Odpowiedź zwiędła, lecz jakże rzeczowa! Gdyby Kamień Księżycowy znajdował się w moim posiadaniu, ten przybysz ze Wschodu zabiłby mnie bez chwili wahania — zdaję sobie z tego doskonale sprawę. Ale muszę zarazem stwierdzić, że pomijając ten drobny szczegół, stanowił on wzór klienta. Być może nie szanował mojego życia, odznaczał się jednak za to pewną cechą, z którą nie spotkałem się nigdy u żadnego z rodaków — szanował mój czas.

— Przykro mi, że przychodząc do mnie zadał pan sobie zbędny trud — powiedziałem. — Pan Luker pomylił się kierując pana tutaj. Owszem, podobnie jak innym przedstawicielom mojego zawodu, klienci powierzają mi pieniądze, abym je pożyczał innym osobom. Nie pożyczam jednak nigdy ludziom mi nie znanym i nie pożyczam nigdy pod takie zabezpieczenie, jakie mi pan proponuje.

Nie próbując wcale nakłonić mnie do odstąpienia od moich zasad (jak by to niewątpliwie zrobił na jego miejscu kto inny), Hindus bez słowa protestu uklonił się i zawinął swoją szkatułkę. Wsta! — ten godny podziwu skrytobójca natychmiast po usłyszeniu mojej odpowiedzi wstał z zamiarem odejścia!

— Czy w wyrozumiałości swej dla cudzoziemca pozwoli pan, że zanim się pożegnám, zadam jeszcze jedno pytanie? — rzekł.

Ukloniłem się. Tylko jedno pytanie przed wyjściem! Według mojego doświadczenia przeciętna w takich wypadkach wynosiła pięćdziesiąt pytań.

— Przypuśćmy, że mógłby pan i raczył pożyczyć mi pieniądze, o które mi chodzi — spytał — po jakim czasie ja (zgodnie ze zwyczajem) mógłbym je panu zwrócić?

— Zgodnie ze zwyczajem stosowanym w Anglii — odparłem — miałby pan prawo zwrócić pieniądze (gdyby sobie pan tego życzył) po upływie roku od daty ich otrzymania.

Hindus złożył ostatni, najniższy ukłon i bez dalszych słów cicho wyszedł z pokoju.

Zniknął w mgnieniu oka, bezszelestnym, sprężystym, kocim krokiem. Nagłe to zniknięcie Hindusa — przyznam się — nieco mnie oszołomiło. Gdy po chwili opanowałem się i zebrałem myśli, doszedłem w związku z tą zagadkową wizytą do pewnego ważkiego wniosku.

Przybysz przez cały czas panował tak doskonale nad twarzą, głosem i ruchami, że nie sposób było nic z nich wyczytać. W pewnej chwili wszakże udało mi się zajrzeć pod tę gładką powierzchnię. Nic nie wskazywało na to, żeby Hindus starał się utrwalić sobie w pamięci cokolwiek z tego, co mówiłem, dopóki nie wymieniłem czasu, w jakim zgodnie ze zwyczajem, można najwcześniej spłacić zaciągniętą pożyczkę. Wówczas po raz pierwszy spojrzął mi prosto w oczy. Wywnioskowałem z tego, że zadał mi pytanie w jakimś określonym celu i że odpowiedź specjalnie go interesuje. Im dłużej zastanawiałem się nad tym, co między nami zaszło, tym bardziej umacniałem się w przekonaniu, iż prośba o pożyczkę pod zastaw szkatułki była jedynie pretekstem, mającym utorować dżentelmenowi z Indii drogę do ostatniego pytania.

Upewniwszy się o słuszności tego wniosku starałem się posunąć w swym rozumowaniu o krok dalej i zgłębić pobudki Hindusa, gdy wtem przyniesiono mi list. Pochodził on ni mniej, ni więcej tylko od pana Septimusa Lukera. Pan Luker w zwrotach obrzydliwie służalczych prosił mnie o przebaczenie i zapewniał, że jeśli tylko uczynię mu ten zaszczyt i zechcę porozmawiać z nim osobiście, wyjaśni ca/ą sprawę ku mojemu zadowoleniu.

Po raz drugi odstąpiłem od swych zasad i złożyłem ofiarę na ołtarzu własnej ciekawości. Uczyniłem zaszczyt panu Lukerowi *wyznaczając* nazajutrz spotkanie w swojej kancelarii.

Pan Luker stał pod każdym względem o tyle niżej od Hindusa — był tak wulgarny, ohydny i płaszczący się — że niegodzien jest bardziej szczegółowego opisu na tych kartach. To zaś, co mi opowiedział, da się streścić w następujących słowach:

W przeddzień wizyty u mnie wytworny Hindus odwiedził pana Lukera. Mimo stroju europejskiego pan Luker od razu rozpoznał w gościu przywódcę owych trzech Hindusów, którzy niedawno tak uprzykrzyli mu życie myszkując wokół jego domu, że musiał w końcu zwrócić się o radę do sędziego pokoju. Po tym zdumiewającym odkryciu doszedł natychmiast do wniosku (przyznać muszę, całkiem naturalnego), że ma przed sobą niewątpliwie jednego z owych trzech mężczyzn, którzy zawiązali mu oczy, zakneblowali usta i skradli pokwitowanie bankowe. Toteż sparaliżowany ze strachu pan Luker sądził, że wybiła niechybnie jego ostatnia godzina.

Hindus wszakże zachowywał się tak, jak gdyby nigdy dotychczas pana Lukera nie widział. Zaprezentował hebanową szkatułkę i wyłuszczył tę samą prośbę, z którą potem zwrócił się do mnie. Aby pozbyć się go jak najprędzej, pan Luker oświadczył z miejsca, że nie ma pieniędzy. Hindus poprosił na to

o wskazanie mu najodpowiedniejszej i najpewniejszej osoby, do której mógłby się zwrócić o pożyczkę. Pan Luker odparł, że najwłaściwszą i najpewniejszą osobą jest w takich wypadkach solidny radca prawny. Gdy

przybysz poprosił o nazwisko jakiegoś przedstawiciela tej profesji, cieszącego się dobrą opinią, pan Luker wymienił mnie — z tego prostego powodu, że było to pierwsze nazwisko, które w tym stanie najwyższego przerażenia przyszło mu na myśl.

— Pot lał się ze mnie strumieniami — zakończył nieszczęsny. — Nie wiem sam, co mówiłem. I mam nadzieję, że daruje mi pan to, panie Bruff, biorąc pod uwagę, że doprawdy od zmysłów odchodziłem ze strachu.

Oznajmiłem dość uprzejmie, że nie mam do niego żalu. Był to najszybszy sposób pozbycia się tego osobnika. Zanim wszakże odszedł, zatrzymałem go, aby zadać jedno pytanie. Czy Hindus powiedział coś godnego uwagi opuszczając dom pana Lukera?

Tak! Hindus przed wyjściem zadał panu Lukerowi dokładnie to samo pytanie co mnie i otrzymał — oczywiście—tę samą odpowiedź, jakiej ja mu udzieliłem.

Co to mogło znaczyć? Wyjaśnienie pana Lukera nie przyczyniło się do rozwiązania problemu. Własnych zasobów umysłowych nie wystarczyło mi, aby bez pomocy z zewnątrz uporać się z trudnym zagadnieniem. Byłem tego wieczora zaproszony na obiad i poszedłem na górę w niezbyt różowym humorze, nie domyślając się wcale, że droga do mojej ubieralni jest w tym wypadku także drogą do wyświecenia prawdy.

ROZDZIAŁ III

Wśród gości zebranych tego wieczora na przyjęciu znajdował się wybitny podróżnik, pan Murthwaite.

Gdy pan Murthwaite kilka miesięcy przedtem przybył do Anglii, wielki świat interesował się ogromnie podróżnikiem, jako tym, co doznał wielu niebezpiecznych przygód i wyszedł z nich cało, by móc o swych przejściach opowiedzieć. Ostatnio pan Murthwaite oznajmił, iż zamierza powrócić na miejsce swych poprzednich wypraw i przedostać się na tereny dotychczas jeszcze nie zbadane. Wspaniała obojętność, z jaką zamierzał po raz drugi narazić się na niebezpieczeństwo, rozbudziła ponownie przygasające już zainteresowanie wielbicieli osobą bohatera. Rachunek prawdopodobieństwa zdawał się tym razem nie rokować podróżnikowi nadziei powrotu. Nie co dzień zaś zdarza nam się spotkać przy obiedzie osobę wybitną, gdy na dodatek wszystko przemawia za tym, że kiedy następnym razem o niej usłyszymy, będą to nowiny o jej gwałtownej śmierci.

Kiedy po obiedzie panowie zostali sami w jadalni, znalazłem się przypadkiem obok pana Murthwaite'a. Ponieważ obecni byli sami Anglicy, nie potrzeba nadmieniać, że skoro znikły pożyteczne hamulce nakładane panom przez obecność pań, rozmowa nieuchronnie przeszła na politykę.

Gdy chodzi o ten pasjonujący wszystkich narodowy temat, jestem najbardziej nieangielskim spośród żyjących Anglików. Rozmowy o polityce są moim zdaniem najnudniejsze i najbardziej jałowe ze wszystkich rozmów.

Zerknąłem na pana Murthwaite'a, kiedy butelki po raz pierwszy okrążyły stół, i spostrzegłem, że najwidoczniej podziela on moje zdanie. Robił to bardzo zręcznie — aby nie urazić uczuć gospodarza — niemniej jednak nie ulegało wątpliwości, że sposobi się do drzemki. Przyszło mi do głowy, iż warto by spróbować, czy ostrożna wzmianka o Kamieniu Księżycowym rozbudzi go, a jeśli tak, to dowiedzieć się, co ten wielki podróżnik myśli o ostatniej komplikacji indyjskiego spisku, ujawnionej w prozaicznych murach mojej kancelarii.

— Jeśli się nie mylę, panie Murthwaite — zacząłem — znał pan nieboszczkę lady Verinder i interesował się pan dziwnymi wypadkami, które zakończyły się zniknięciem Kamienia Księżycowego?

Wybitny podróżnik uczynił mi ten zaszczyt, że obudził się natychmiast i zapytał mnie, kim jestem.

Poinformowałem go, w jakich stosunkach pozostaję z rodziną Hernca-stle'ow, nie omijając przy tym roli, jaką odgrywałem w swoim czasie w sprawie pułkownika i jego diamentu.

Pan Murthwaite usadowił się tak, aby odseparować się od reszty towarzystwa (zarówno od konserwatystów jak od liberałów) i skupił całą swą uwagę na niepozornym panu Bruffie z Gray's Inn Square*.

— Czy słyszał pan coś nowego o Hindusach? — zapytał.

— Mam wszelkie powody, aby przypuszczać, że jeden z nich rozmawiał wczoraj ze mną w mojej własnej kancelarii.

Pana Murthwaite'a niełatwo było zadziwić, lecz moja odpowiedź wprawiła go w istne osłupienie. Opowiedziałem, co zdarzyło się panu Lukerowi i mnie, dokładnie tak, jak opisałem to wszystko tutaj.

— Jasne jest, że pożegnalne pytanie Hindusa ma jakiś cel — dodałem. — Dlaczego tak mu na tym zależy, by wiedzieć, kiedy pożyczający pieniądze ma prawo zwrócić pożyczkę?

— Czyż podobna, aby nie rozumiał pan, o co mu chodzi, panie Bruff?

— Wstydzę się swojej głupoty, ale naprawdę nie mogę się domyślić. Wielki podróżnik zainteresował się widocznie ogromem mojej tępoty i postanowił zgłębić ją do dna.

— Pozwoli pan, że zadam mu pewne pytanie — rzekł. — Co wiadomo panu o spisku mającym na celu zawładnięcie Kamieniem Księżycowym?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć. Spisek indyjski jest dla mnie tajemnicą.

— Spisek indyjski, panie Bruff, może być dla pana tajemnicą tylko dlatego, że nie zastanowił się pan nad nim poważnie. Może przejrzymy całą sprawę od początku, od chwili, kiedy sporządził pan testament na zlecenie pułkownika Herncastle'a, aż do czasu, kiedy Hindus odwiedził pańską kancelarię? Ze względu na pańskie stanowisko może być rzeczą bardzo istotną dla interesów panny Verinder, aby miał pan jasny pogląd na całą historię. Proszę mi teraz powiedzieć, czy chce pan sam dojść pobudek

* Dzielnica prawnicza londyńskiego City (przyp. tłum.)

kierujących Hindusem, czy też chce pan, abym oszczędził panu trudu zgłębienia sprawy?

Nie potrzebuję nadmieniać, że oceniłem należycie praktyczny cel, który pan Murthwaite miał na oku, i że wybrałem pierwszą alternatywę.

— Doskonale—rzeki pan Murthwaite. — Weźmy najpierw sprawę wieku trzech Hindusów. Mogę stwierdzić, że wyglądają mniej więcej na rówieśników, a sam pan zechce ocenić, czy mężczyzna, którego pan widział, jest w rozkwicie lat. Zdaniem pana nie ma jeszcze czterdziestki. Ja też tak sądzę. Powiedzmy więc poniżej czterdziestki. Powróćmy teraz do czasów, kiedy pułkownik Herncastle przyjechał do Anglii i kiedy brał pan udział w planie, który pułkownik opracował, aby chronić swoje życie. Nie chcę, żeby pan liczył fata, powiem tylko, że znani nam Hindusi, biorąc pod uwagę ich wiek, muszą być następcami owych trzech Hindusów (w chwili opuszczenia ojczyzny braminów wysokiej kasty, panie Bruffl), którzy podążyli za pułkownikiem na nasze wyspy. Bardzo dobrze. A więc ci nasi Hindusi zajęli miejsce owych Hindusów, co byli tu przed nimi. Gdyby rzecz ograniczała się do tego, sprawy nie warto byłoby wcale badać. Ale tu idzie o coś większego. Obecni Hindusi odziedziczyli też organizację, którą ich poprzednicy założyli w Anglii. Niech się pan nie dziwi! Organizacja ta jest w naszym pojęciu bardzo mizerna, nie mam co do tego wątpliwości. Posługuje się zapewne płatnymi pomocnikami spośród owych ciemnych typów, Anglików żyjących z wszelkiego rodzaju usług świadczonych obcokrajowcom przyjeżdżającym do Londynu, korzysta też zapewne z potajemnej sympatii nielicznych Hindusów i współwyznawców (przynajmniej dawnych współwyznawców), którzy pracują w rozlicznych przedsiębiorstwach zaspokajających potrzeby naszego olbrzymiego miasta. Nic groźnego, jak pan widzi! Ale warto odnotować to na początku, gdyż być może w dalszym ciągu zetkniemy się jeszcze z tą skromną i szczupłą hinduską organizacją. Przygotowawszy teren, zadam panu teraz pytanie i mam nadzieję, że doświadczenie pańskie umożliwi panu odpowiedź. Jaki wypadek dał Hindusom pierwszą szansę zawładnięcia diamentem?

Zrozumiałem aluzję do, mojego doświadczenia.

— Pierwszą szansę stworzyła dla nich niewątpliwie śmierć pułkownika Herncastle'a — odparłem. — Sądzę, że musieli chyba wiedzieć o jego zgonie?

— Naturalnie. I śmierć jego, jak pan powiada, stworzyła dla nich pierwszą szansę. Aż do tej chwili Kamień Księżycowy spoczywał bezpiecznie w skrytce pancерnej banku. Pułkownik zapisał w testamencie klejnot swojej siostrzenicy i testament został uprawomocniony zwykłym trybem. Jako prawnik wie pan oczywiście, co musieli po tym zdarzeniu przedsięwziąć Hindusi (za poradą jakiegoś Anglika).

— Zamówili sobie odpis testamentu w Doctors' Commons — rzekłem.

— Otóż to właśnie. Jakiś Anglik, jeden z owych ciemnych typów, o których wspomniałem, dostał dla nich na pewno taki odpis. Z odpisu tego dowiedzieli się, że Kamień Księżycowy zapisany został córce lady Verinder

i że pan Blake starszy albo też jakaś wyznaczona przez niego osoba ma jej klejnot doręczyć. Zgodzi się pan ze mną, że o niezbędne informacje dotyczące osób tej pozycji co lady Verinder i pan Blake było bardzo łatwo. Jedyną trudność dla Hindusów stanowiła decyzja, czy mają sięgnąć po diament w chwili, gdy się go będzie odbierało z banku, czy też czekać, aż znajdzie się on w Yorkshire, w domu lady Verinder. Drugi sposób był bez wątpienia pewniejszy — i to nam wyjaśnia, czemu Hindusi przebrani za kuglarzy zjawili się we Frizinghall. Czekali po prostu na sprzyjającą okazję. W Londynie oczywiście mieli tymczasem do dyspozycji swoją organizację, która informowała ich o rozwoju wydarzeń. Wystarczyły dwie osoby. Jedna miała śledzić każdego, kto by poszedł z domu pana Blake'a do banku. Druga miała traktować piwem służbę męską i wywiadywać się o domowe nowiny. Dzięki tym prostym środkom ostrożności dowiedzieli się, że pan Franklin Blake był w banku i że pan Franklin Blake jest jedyną osobą spośród domowników, która ma odwiedzić lady Verinder. Co nastąpiło potem, pamięta pan bez wątpienia równie dokładnie jak ja.

Pamiętam, że Franklin Blake spostrzegł jednego ze szpiegów na ulicy, że w rezultacie przyspieszył o kilka godzin wyjazd do Yorkshire oraz że (dzięki doskonałej radzie starego Betteredge'a) zanim jeszcze Hindusi zobaczyli go w okolicy, umieścił diament w banku we Frizingha'!. Jak dotychczas wszystko było więc jasne. Ale skoro Hindusi nie wiedzieli wcale o tych środkach ostrożności, czemu nie próbowali żadnego napadu na dom lady Verinder (w którym podług ich mniemania powinien być znajdować się diament) przez cały czas aż do urodzin Racheli?

Przedstawiając tę wątpliwość panu Murthwaite'owi uważałem za stosowne dodać, że słyszałem o chłopcu, o kropli atramentu i pozostałych dziwnych sprawach, ale nie mogę traktować poważnie jakichkolwiek wyjaśnień, opartych na teorii jasnowidzenia.

— Ani ja — odparł pan Murthwaite. — Jasnowidzenie w tym wypadku jest tylko fikcją wynikającą z romantycznego charakteru Hindusów. Ludzie ci przybyli do Anglii w żmudnej i niebezpiecznej misji, stwarzają więc wokół niej atmosferę cudów i spraw nadprzyrodzonych, bo czerpią stąd otuchę i pokrzepienie. Dla Anglika jest to oczywiście niepojęte. Chłopiec ich jest bez wątpienia podatny na wpływy hipnotyczne i będąc pod takim wpływem przejmuje zapewne myśli osoby, która go hipnotyzuje. Badałem teorię jasnowidzenia, lecz nigdy nie stwierdziłem, aby objawy sięgały poza ten punkt. Hindusi nie traktują sprawy w ten sposób; Hindusi uważają, że ten ich chłopiec widzi rzeczy ukryte dla ich oczu i, pgwtarzam, cud ten staje się dla nich nową zachętą w dążeniu do wytkniętego i jednoczącego ich celu. Podkreślam tę okoliczność tylko dlatego, że odsłania ona szczególne cechy charakteru ludzkiego, dla pana zapewne całkiem nowe. My się wszakże nie będziemy zajmowali ani jasnowidzeniem, ani mesmeryzmem, ani niczym innym, w co przeciętnemu realicznie trudno uwierzyć. Zamierzam jedynie, posuwając się krok za krokiem wstecz, dotrzeć drogą logicznego rozumowania do źródeł spisku Hindusów. Czy jak dotychczas rozumowanie to pana zadowala?

— Najzupełniej, panie Murthwaite! Czekam jednak z pewnym niepokojem na racjonalne rozstrzygnięcie owej wątpliwości, którą miałem zaszczyt panu przedstawić.

Pan Murthwaite uśmiechnął się.

— Nic łatwiejszego—rzekł. — Pozwoli pan na początku stwierdzić, iż ujął pan sprawę całkiem słusznie. Hindusi bez wątpienia nie wiedzieli, co pan Franklin Blake zrobił z diamentem, gdyż wieczorem tego dnia, kiedy pan Blake przyjechał do domu swej ciotki, popełnili pierwszy błąd.

— Pierwszy błąd? — powtórzyłem.

— A tak! Błąd polegający na tym, że myszkowali w nocy koło tarasu i dali się zaskoczyć Gabrielowi Betteredge'owi. Należy im oddać sprawiedliwość — zorientowali się sami, że było to fałszywe posunięcie, jak bowiem sam pan mówi, przez kilka tygodni potem nie zbliżali się do domu, choć mieli przecież na to dość czasu.

— Ale dlaczego, panie Murthwaite? Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć — dlaczego?

— Bo żaden Hindus, panie Bruff, nie naraża się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Klauzula wstawiona przez pana do testamentu pułkownika Herncastle'a poinformowała ich, że Kamień Księżycowy ma przejść na własność panny Verinder w dniu jej urodzin, nieprawdaż? Doskonale. Proszę mi teraz powiedzieć, jaki był najbezpieczniejszy tryb postępowania dla ludzi w ich sytuacji? Uczynić próbę zdobycia diamentu, kiedy znajdował się on jeszcze u pana Franklina Blake'a, który dowiódł już, że ich podejrzewa i potrafi ich wyprowadzić w pole? Czy też czekać, aż diament znajdzie się w posiadaniu młodej panny, która z niewinną radością będzie nosiła ten wspaniały klejnot przy każdej okazji? Chce pan dowodów słuszności mojej teorii? Za dowód może służyć zachowanie się Hindusów. Przeczekawszy kilka tygodni zjawili się znów w dniu urodzin panny Verinder i w nagrodę za dokładną kalkulację i cierpliwość ujrzeli Kamień Księżycowy przypięty do stanika panny! Kiedy później tego wieczora usłyszałem historię o pułkowniku i o diamencie, byłem tak pewien niebezpieczeństwa, które groziło panu Franklinowi Blake'owi (Hindusi niewątpliwie napadliby go, gdyby przypadkiem nie wracał do lady Verinder w towarzystwie) i byłem tak przeświadczony o gorszym jeszcze niebezpieczeństwie grożącym od tej chwili pannie Verinder, że zalecałem gospodarzom, aby jak najrychlej wprowadzili w życie plan pułkownika i zniweczyli identyczność klejnotu każąc pociąć go na drobniejsze kamienie. Zagadkowe zniknięcie klejnotu tej samej nocy pozbawiło moją radę wartości i całkowicie pokrzyżowało plany Hindusów, dalsze zaś ich posunięcia zostały uniemożliwione, gdyż nazajutrz uwięziono ich pod zarzutem włóczęgostwa — ale o tym wszystkim już wie pan równie dobrze jak ja. Pierwszy akt sprzysiężenia na tym się kończy. Zanim przejdziemy do drugiego, pragnę zapytać pana, czy rozwiązałem pańskie wątpliwości wyjaśnieniem zadowalającym dla realistycznego umysłu?

Trudno było zaprzeczyć, że pan Murthwaite uporał się z moimi wątpliwościami dzięki gruntownej znajomości charakteru Hindusów — no i dzięki

temu, że nie miał przecież do czynienia z setkami innych testamentów od czasu śmierci pułkownika Herncastle'a!

— Jak dotychczas więc wszystko pięknie — podjął znów pan Murth-waite. — W dniu, w którym ich uwięziono we Frizinghall, Hindusi stracili pierwszą szansę na zdobycie diamentu. Kiedy nadarzyła się druga sposobność? Druga okazja nadarzyła się — mogę tego dowieść — kiedy Hindusi znajdowali się jeszcze w więzieniu.

Wyjął notes i otworzył go na pewnej kartce.

— Przebywałem w owym czasie u znajomych we Frizinghall — mówił dalej. — Na dzień czy dwa przed uwolnieniem Hindusów (było to zdaje się w poniedziałek) naczelnik więzienia przyszedł do mnie z listem. List ten przyniosła Hindusom niejaka pani Macann, u której wynajęli pokoje, a doręczono go do mieszkania pani Macann poprzedniego ranka pocztą. Władze więzienne zwróciły uwagę, że stempel pocztowy jest z Lambeth, adres zaś, choć napisany poprawną angielszczyzną, różni się od przyjętej formy adresowania listów. Po otwarciu przekonali się, że list jest w obcym języku — jak słusznie się domyślili po hindusku. Zwrócili się do mnie oczywiście po to, abym im ten list przetłumaczył. Przepisałem sobie oryginał i swoje tłumaczenie — oto one do pańskich usług.

Podał mi otwarty notes. Przed wszystkim spojrzałem na adres. Wypisany był jednym ciągiem, bez znaków przestankowych i wyglądał następująco: „Do trzech Hindusów mieszkających u pani nazwiskiem Macann we Frizinghall Yorkshire”. Potem następował tekst pisany alfabetem hinduskim, na końcu zaś tłumaczenie angielskie zawierające zagadkowe zwroty:

„W imieniu Władcy Nocy, którego miejsce jest na Antylopie, którego ramiona ogarniają cztery strony świata.

Bracia, zwróćcie twarze na południe i przyjdźcie do mnie na ulicę Wielu Hałasów, która prowadzi ku błotnistej rzece.

Powód jest taki:

Widziałem go na własne oczy”.

Na tym kończył się list, bez daty i bez podpisu. Zwróciłem panu Murthwaite'owi notes, wyznając, że szczególny ten okaz korespondencji hinduskiej jest dla mnie niezrozumiały.

— Mogę wytłumaczyć panu pierwsze zdanie — rzekł pan Murthwaite — a zachowanie Hindusów wyjaśni panu resztę. Bóg Księżyca reprezentowany jest w mitologii hinduskiej jako czwororękie bóstwo siedzące na antylopie, „Władca Nocy” zaś to jeden z jego tytułów. Tu więc przede wszystkim mamy coś, co wygląda na pośrednią aluzję do Kamienia Księżycowego. Teraz zbadajmy, co zrobili Hindusi po doręczeniu im listu przez władze więzienne. Tego *samego dnia, kiedy ich uwolniono, udali się od razu* na dworzec i wsiedli do pierwszego pociągu jadącego do Londynu. Wszyscyśmy we Frizinghall żalowali, że nie śledzono ukradkiem ich dalszych posunięć. Ale kiedy lady Verinder odprawiła detektywa i przerwała wszelkie dochodzenia w sprawie zaginionego diamentu, nikt inny nie miał już prawa do tej sprawy się wtrącać. Hindusi mogli bez przeszkód pojechać do

Londynu i tam też pojechali. Jakie byty następne wiadomości o nich, panie Bruff?

— Naprzykrzali się panu Lukerowi — odparłem — krążąc wokół jego domu w Lambeth.

— Czytał pan meldunek o zgłoszeniu się pana Lukera do sędziego pokoju?

— Tak.

— Pan Luker, jeśli pan pamięta, w oświadczeniu swoim wspomniał o pracującym u niego cudzoziemcu, którego właśnie zwolnił podejrzewając go o usiłowanie kradzieży i któremu nie ufał, uważał bowiem za możliwe, iż działa on w porozumieniu z natrętnymi Hindusami. Nietrudno więc wywnioskować, kto napisał ten niezrozumiały dla pana list i który ze skarbów wschodnich pana Lukera pracownik ten usiłował ukraść.

Wniosek — jak przyznałem skwapliwie — był aż nazbyt wyraźny. Nie wątpiłem zresztą nigdy, że Kamień Księżycowy trafił do rąk pana Lukera właśnie w tym czasie, o którym wspominał pan Murthwaite. Pytałem tylko, w jaki sposób Hindusi o tym się dowiedzieli. Na pytanie to (najtrudniejsze, jak sądziłem) otrzymałem teraz odpowiedź. Aczkolwiek jestem prawnikiem, zacząłem nabierać przekonania, że mogę teraz z zamkniętymi oczyma oddać się ufnie w ręce pana Murthwaite'a, aby poprowadził mnie przez ostatnie kręte ścieżki labiryntu. Oznajmiłem mu to na dowód szacunku, on zaś przyjął komplement z podziękowaniem.

— Zanim pójdziemy dalej, chciałbym z kolei uzyskać od pana pewne informacje — rzeki. — Ktoś przecież musiał zawieźć diament z Yorkshire do Londynu. I ktoś musiał wziąć pieniądze pod zastaw diamentu, w przeciwnym bowiem razie klejnot nie znalazłby się u pana Lukera. Czy wykryto, kto to był?

— O ile mi wiadomo, to nie.

— Krążyły pogłoski (nieprawdaż?) o panu Godfreyu Ablewhicie. Jest to podobno wybitny filantrop, co stanowczo przemawia na jego niekorzyść.

W tym względzie zgadzałem się całkowicie z panem Murthwaite'em. Jednocześnie uważałem za swój obowiązek powiadomić go (nie wymieniając oczywiście nazwiska panny Verinder), że pana Godfrey'a Ablewhite'a oczyszczono z wszelkich podejrzeń na podstawie dowodów, które — mogę za to ręczyć — nie podlegają dyskusji.

— Dobrze — odparł spokojnie pan Murthwaite — pozostawmy to, niech czas wyjaśni sprawę. Na razie, panie Bruff, przez wzgląd na pana musimy powrócić do Hindusów. Podróż ich do Londynu zakończyła się nową porażką. Fakt, że nie zdołali wyzyskać drugiej sposobności zawładnięcia diamentem, przypisuję sprytowi i przezorności pana Lukera, który nie na próżno przecież jest jednym z filarów starodawnego a zyskowego procederu lichwiarskiego! Zwalniając z miejsca podejrzanego pracownika pozbawił Hindusów pomocy, której rodak mógł im udzielić, gdyby chodziło na przykład o dostanie się do domu. Oddając Kamień Księżycowy na przechowanie do banku zaskoczył spiskowców, zanim zdążyli opracować nowy plan napadu. Jak się Hindusi domyślili, co zrobił, i jak zdołali zawładnąć kwitem

bankiera, wszystko to należy do wydarzeń zbyt bliskich, aby trzeba się było nad nimi rozwodzić. Hindusi w każdym razie wiedzą już, że Kamień Księżycowy znajduje się w miejscu dla nich niedostępnym, zdeponowany (pod ogólnikowym określeniem „cennego klejnotu”) w kasie pancерnej banku. Jakąż mogą mieć następną okazję zawładnięcia diamentem, panie Bruff, i kiedy ta okazja nastąpi?

Ledwie pan Murthwaite wypowiedział to pytanie, uświadomiłem sobie wreszcie cel wizyty Hindusa!

— Rozumiem! — zawołałem. — Hindusi podobnie jak i my zakładają, że Kamień Księżycowy zastawiono i chcą wiedzieć, kiedy można najwcześniej wycofać zastaw, bo to będzie właśnie chwila, gdy ktoś może odebrać diament z banku!

— Powiedziałem, że sam pan do tego dojdzie, panie Bruff, jeśli tylko podam panu przesłanki. Za rok od chwili oddania Kamienia Księżycowego w zastaw Hindusi zaczną wypatrywać następnej sposobności. Pan Luker osobiście powiedział im, jak długo mają czekać, pański zaś autorytet upewnił ich, że pan Luker mówił prawdę. Kiedy mniej więcej diament mógł trafić do rąk lichwiarza?

— Pod koniec czerwca, o ile się orientuję — odparłem.

— A mamy teraz rok tysiąc osiemset czterdziesty ósmy. Doskonale. Jeżeli nieznana osoba, która zastawiła Kamień Księżycowy, będzie mogła odebrać go po roku, diament znajdzie się znów w jej posiadaniu pod koniec czerwca roku tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego. Będę wówczas w odległości tysięcy mil od Anglii i angielskich nowin. Ale panu warto może zanotować sobie tę datę i postarać się być w tym czasie w Londynie.

— Sądzi pan, że zajdzie coś poważniejszego? — spytałem.

— Sądzę, że będę się . czuł bezpieczniej wśród najbardziej zajadłych fanatyków Azji Środkowej, niż gdybym miał przekroczyć próg banku z Kamieniem Księżycowym w kieszeni. Hindusi dwa razy z rzędu doznali porażki, panie Bruff. Jestem przekonany, że nie doznają jej po raz trzeci.

Były to ostatnie jego słowa na ten temat. Podano kawę, goście wstali i rozproszyli się po pokoju, po czym przeszliśmy na górę do pań.

Zanotowałem sobie ową datę i być może będzie to stosownym zakończeniem mojej relacji, jeśli przytoczę tę notatkę:

„Czerwiec 1849 r. Oczekiwać pod koniec miesiąca nowin o Hindusach”.

Dokonawszy tego, przekazuję pióro — do którego dalszego użytku nie mogę już pretendować — kolejnemu narratorowi,

RELACJA TRZECIA spisana przez Franklina Blake'a

ROZDZIAŁ I

Na wiosnę roku tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego podczas wólczy po krainach Wschodu zmieniłem właśnie plan podróży, który ułożyłem sobie przed kilkoma miesiącami i który zakomunikowałem swemu radcy prawnemu i swemu bankierowi w Londynie.

Zmiana ta sprawiła, że musiałem wysłać jednego ze służących po listy i pieniądze do konsula angielskiego w pewnym mieście, w którym zgodnie z nowym planem nie zamierzałem się już zatrzymać. Służący miał spotkać się ze mną po pewnym czasie w oznaczonym miejscu. Przypadek, za który nie był odpowiedzialny, opóźnił jego przybycie. Przez tydzień czekałem ze swoimi ludźmi, rozbiwszy obóz na skraju pustyni. Pod koniec owego okresu sługa, wiozący pieniądze i listy, zjawił się przed wejściem do mego namiotu.

— Obawiam się, że przywożę panu złe nowiny, sir — rzekł wskazując na jeden z listów, okolony żalobną obwódką i zaadresowany ręką pana Bruffa.

W podobnych wypadkach nie ma nic gorszego od niepewności. Otworzyłem więc przede wszystkim list z żalobną obwódką.

Pan Bruff zawiadamiał mnie, że ojciec mój nie żyje i że jestem dziedzicem jego wielkiej fortuny. Bogactwo, które trafiło w ten sposób do moich rąk, pociągało też za sobą znaczne obowiązki, toteż pan Bruff prosił, abym nie zwlekając powrócił do Anglii.

Nazajutrz o świcie byłem już w drodze do ojczyzny.

Mój stary przyjaciel Betteredge, opisując moje zachowanie w okresie przed opuszczeniem Anglii, nieco chyba przesadził. Wziął on mianowicie na serio satyryczne uwagi swej ukochanej pani na temat mojej cudzoziemskiej edukacji i wmówił sobie, że widział rzeczywiście owe różne strony -mojego charakteru: francuską, niemiecką i włoską, o których kuzynka mówiła żartem i które poza fantazją zacnego Betteredge'a nigdy nie istniały. Nie przesadził jednak wcale pisząc, że sposób, w jaki potraktowała mnie Rachela, zranił mnie w samo serce i że wyjechałem z Anglii cierpiąc nieznośnie z powodu tego najbardziej gorzkiego zawodu w życiu.

Wyjechałem za granicę postanawiając sobie zapomnieć o niej, jeśli tylko czas i rozstanie zdołają mi w tym dopomóc. Mylą się bowiem ci znawcy duszy ludzkiej, którzy twierdzą, że czas i rozstanie nic człowiekowi w podobnych okolicznościach nie pomagają — owszem, odwracają one przemocą uwagę człowieka od kontemplacji własnego cierpienia. Nie zapomniałem Racheli ale wspomnienie o niej poczęło stopniowo tracić swą gorycz, gdy czas, odległość i nowe otoczenie coraz skuteczniej mnie od niej oddzielały.

Z drugiej jednak strony jest rzeczą nie mniej pewną, że wraz z rozpoczęciem drogi powrotnej, środek, który tak kojąco na mnie wpływał, działał z dnia na dzień coraz słabiej. Im bliżej byłem kraju, w którym Racheli mieszkała, im bliższa była perspektywa rychłego jej ujrzania, tym mocniej działał znów na mnie jej urok. Kiedy wyjeżdżałem z Anglii, Racheli była ostatnią osobą, której imię przeszłoby mi przez usta. Kiedy wróciłem do Anglii, była pierwszą osobą, o którą zapytałem przy spotkaniu z panem Bruffem.

Dowiedziałem się oczywiście o wszystkim, co zaszło pod moją nieobecność, innymi słowy o wszystkim, co opisano tu w dalszym ciągu relacji Betteredge'a — z wyjątkiem jednej tylko okoliczności. Pan Bruff w owym czasie nie czuł się upoważniony do wyjawienia mi pobudek, którymi kierowali się Racheli i Godfrey Ablewhite zwracając sobie słowo. Ja nie zadawałem w tej drażliwej sprawie żadnych pytań. Wiadomość, że Racheli kiedykolwiek zamierzała zostać żoną Godfreya, rozpałała piekącą zazdrość w moim sercu, toteż było to dla mnie wystarczającą ulgą, gdy usłyszałem, że po namyśle pożałowała nieopatrznej decyzji i sama postarała się unieważnić zaręczyny.

Gdy się dowiedział, co zdarzyło się dawniej, pytania moje (wciąż dotyczące Racheli!) naturalną rzeczą kolejną przesunęły się na chwilę bieżącą. Pod czyją opiekę przeszła po opuszczeniu domu pana Bruffa? I gdzie mieszka teraz?

Mieszkała u siostry nieboszczyka sir Johna Verindera — u niejakiej pani Merridew, wdowy — której wykonawcy testamentu lady Verinder zaproponowali opiekę nad Rachelą i która propozycję tę przyjęła. Jak mówił pan Bruff, obie panie żyły się ze sobą bardzo i zainstalowały się na bieżący sezon w domu pani Merridew przy Portland Place.

W pół godziny po uzyskaniu tych informacji byłem już w drodze na Portland Place, choć nie miałem odwagi przyznać się do tego panu Bruffowi!

Służący, który otworzył mi drzwi, nie był pewien, czy panna Verinder jest w domu. Posłałem go na górę ze swoim biletem wizytowym, uważając, że jest to najszybszy sposób rozstrzygnięcia wątpliwości. Służący wrócił z kamienną twarzą i zawiadomił mnie, że panny Verinder nie ma. Mógłbym podejrzewać każdą inną osobę oto, że rozmyślnie nie chce mnie przyjąć, ale Racheli podejrzewać o to nie mogłem. Zostawiłem więc wiadomość, że przyjdę znowu o szóstej po południu.

O szóstej oznajmiono mi po raz drugi, że panny Verinder nie ma w domu. Czy zostawiła dla mnie jakąś wiadomość? Nie, nie ma dla mnie żadnej

wiadomości. Czyżby panna Verinder nie dostała mojego biletu? Służący przeprosił mnie — owszem, panna Verinder otrzymała mój bilet.

Wniosek był tak jasny, że trudno było go nie zrozumieć — Rachelą nie chciała mnie widzieć.

Nie mogłem jednak zgodzić się na podobne traktowanie nie próbując chociażby poznać jego powodów. Posłałem bilet pani Merridew i prosiłem, aby zechciała poświęcić mi chwilę rozmowy o takiej porze, jaką uzna za najdogodniejszą dla siebie.

Pani Merridew nie czyniąc żadnych trudności przyjęła mnie od razu. Wprowadzono mnie do miłego saloniku i znalazłem się przed obliczem miłej starszej damy. Wyraziła wielki żal i wielkie współczucie, nie mogła jednak udzielić mi żadnych wyjaśnień, ani żądać ich od Racheli w sprawie tak bardzo osobistej. Powtarzała to raz po raz z uprzejmą a niezmordowaną cierpliwością i to było wszystko, co wskórałem u pani Merridew.

Spróbowałem ostatniej szansy — napisałem do Racheli. List zaniósł jej nazajutrz mój służący, któremu kazałem czekać na odpowiedź.

Odpowiedź zawierała dosłownie jedno zdanie:

„Panna Verinder nie życzy sobie nawiązywać żadnej korespondencji z panem Franklinem Blake'em”.

Kochałem ją szczerze, ale zniewaga ta oburzyła mnie do głębi. Pan Bruff przyszedł na rozmowę o interesach, zanim zdołałem odzyskać panowanie nad sobą. Odłożyłem interesy na potem i opowiedziałem mu o wszystkim. Podobnie jak pani Merridew nie mogłem udzielić mi żadnych wyjaśnień. Zapytałem go, czy ktoś nie oczernił mnie przed Rachelą. Pan Bruff odparł, że o niczym podobnym nie słyszał. Czy mieszkając u pana Bruffa, wspominała o mnie kiedykolwiek? Nigdy. Czy podczas mojej długiej nieobecności ani razu nawet nie zapytała, czy żyję? Nie, takie pytanie nigdy nie padło z jej ust.

Wyjąłem z portfela list, który lady Verinder napisała do mnie z Frizinghall w dniu, w którym opuściłem jej dom w Yorkshire. Następnie zwróciłem panu Bruffowi uwagę na dwa zawarte w tym liście zdania:

„Rachelą w obecnym swoim okropnym stanie ducha nie może Ci wciąż przebaczyć, żeś po zaginięciu diamentu pomagał przy dochodzeniu w tej sprawie. Działając w najlepszej wierze, nieświadomie przysporzyłeś niepokoję Racheli, która lękała się, że zabiegi Twoje doprowadzić mogą do ujawnienia jej sekretu”.

— Czy możliwe — zapytałem — aby ta niechęć do mnie była wciąż jeszcze równie żywa?

Pan Bruff był szczerze zrozpaczony.

— Jeżeli żąda pan szczerzej odpowiedzi — rzekł — wyznam, że nie potrafię inaczej wytłumaczyć postępowania panny Racheli.

Zadzwoń i kazałem służącemu spakować moją walizkę i przynieść rozkład jazdy. Zdumiony pan Bruff zapytał, co zamierzam zrobić.

— Jadę najbliższym pociągiem do Yorkshire — odparłem.

— Czy wolno wiedzieć, w jakim celu?

— Proszę pana, pomoc, którą najniewinniej w świecie świadczyłem

w dochodzeniu po zaginięciu diamentu, była dla Racheli niewybaczalnym przestępstwem przed rokiem i jest dla niej niewybaczalnym przestępstwem nadal. Nie zniosę tej sytuacji. Nie spocznę, dopóki nie zgłębię sekretu jej milczenia wobec matki i jej niechęci wobec mnie. Jeżeli czas, starania i pieniądze mogą coś zdziałać, dostanę w swe ręce złodzieja, który skradł Kamień Księżycowy!

Zacny stary pan próbował odwieść mnie od tego zamiaru, starał się przemówić mi do rozumu — słowem usiłował spełnić w stosunku do mnie swój obowiązek. Byłem jednak głuchy na wszelkie perswazje. Nic nie zdołałoby w tej chwili zachwiać moim postanowieniem.

— Podejmę znów dochodzenie — oświadczyłem — w miejscu, w którym je przerwałem i krok za krokiem postępując naprzód dojdę do chwili obecnej. Historia ta ma dla mnie pewne luki, które może wypełnić tylko Gabriel Betteredge. Jadę więc do Betteredge'a!

O zachodzie słońca stałem znów na pamiętnym tarasie i patrzyłem na cichy stary dom. Pierwszą osobą, którą spotkałem w pustym parku, był ogrodnik. Kiedy przed godziną opuścił Betteredge'a — powiedział mi — ochmistrz wygrzewał się na słońcu w zwykłym swoim kącie na podwórzu. Znałem dobrze jego ulubione miejsce, powiedziałem więc, że sam go znajdę.

Znajomymi ścieżkami i przejściami poszedłem naokoło i przez otwartą bramę zajrzałem na podwórze.

Oto on — kochany, stary przyjaciel szczęśliwych a minionych bezpowrotnie dni! Siedział w swoim dawnym zakątku, na starym wyplatanym fotelu, z fajką w zębach i z „Robinsonem Kruzoe” na kolanach. Dwa psy — jego wierni przyjaciele — drzemały po obu jego bokach. Stałem tak, że ostatnie, ukośne promienie słońca rzucały przede mną długi mój cień. Psy musiały go zauważyć albo też zwęszyły moją obecność, bo zerwały się warczać. Starzec drgnął, uspokoił je jakimś słowem i, ocieniając ręką słabe swe oczy, spojrział pytająco na postać przy bramie.

Moje oczy pełne były łez. Musiałem odczekać chwilę, zanim poczułem się na siłach, by do niego przemówić.

ROZDZIAŁ II

— Betteredge — powiedziałem wskazując pamiętną książkę leżącą na jego kolanach — czy Robinson Kruzoe poinformował cię, że zobaczysz dzisiaj Franklina Blake'a?

— Jak mi Bóg miły, panie Franklinie — zawołał starzec — żeby pan wiedział, że Robinson Kruzoe właśnie mnie o tym uprzedził!

Dźwignął się z moją pomocą na nogi i stał przez chwilę spoglądając to na „Robinsona Kruzoe”, to znów na mnie, i nie mogąc najwidoczniej zdecydować, który z nas bardziej go zadziwił. Werdykt zapadł w końcu na korzyść

książki. Trzymając ją przed sobą w obu rękach, Betteredge wpatrywał się w cudowne dzieło z wyrazem napięcia i oczekiwania — jak gdyby spodziewał się, że Robinson Kruzoe zstąpi lada chwila z kart i zaszczyci nas osobistą rozmową.

— Tu jest ten kawałek, panie Franklinie! — powiedział odzyskawszy w końcu mowę. — Jakem Gabriel Betteredge, sir, oto kawałek, który czytałem na minutę przed pańskim przyjściem! Strona sto pięćdziesiąta szósta, proszę: „Stanałem jak piorunem rażony albo jak gdybym ujrzał zjawę”. Jeżeli to nie znaczy to samo, co nagłe zjawienie się pana Franklina Blake'a, to język angielski nie ma żadnego sensu! — stwierdził Betteredge, zamykając z trzaskiem książkę i uwalniając wreszcie jedną rękę, aby uściśnąć dłoń, którą do niego wyciągałem.

Spodziewałem się oczywiście, że od razu zasypie mnie pytaniami. Ale nie — gdy członek rodziny Fłerncastle'ów i Yerinderów zjawił się (obojętne, w jaki sposób) jako gość w tym domu, pierwszym odruchem starego sługi był odruch gościnności.

— Proszę wejść, panie Franklinie — rzekł otwierając drzwi z uprzejmym, staroświeckim ukłonem. — Potem zapytam, co pana tu sprowadza, przede wszystkim zaś muszę zatroszczyć się o pańską wygodę. Od czasu pańskiego wyjazdu dużo tu zaszło smutnych zmian. Dom jest zamknięty, służby nie ma. Mniejsza o to! Ugotuję panu obiad, a żona ogrodnika pościeli panu łóżko i jeżeli w piwnicy została jeszcze butelka naszego znakomitego, starego burgunda, zawartość jej spłynie do pańskiego gardła, panie Franklinie! Witam pana w tych progach, sir, witam pana serdecznie! — mówił biedny stary, zmagając się dzielnie z posępną atmosferą opuszczonego domu i przyjmując mnie z dworną troskliwością jak za dawnych, minionych czasów.

Przykro mi było sprawić mu zawód, ale dom należał teraz do Racheli. Czyż mogłem jeść w nim lub spać po tym, co zaszło w Londynie? Elementarna miłość własna zabraniała mi — surowo mi zabraniała — przekroczyć jego próg.

Ująłem Betteredge'a pod ramię i zaprowadziłem go do ogrodu. Nie było rady — musiałem powiedzieć mu prawdę. Przywiązany w równym stopniu do Racheli, jak i do mnie, zmartwił się ogromnie obrotem, jaki przybrały sprawy. Gdy wreszcie wypowiedział swe zdanie, uczynił to jak zwykle bez ogródek. Owiała mnie od razu miła aura najpozytywniejszej filozofii w świecie — filozofii szkoły Betteredge'a.

— Panna Racheli ma swoje wady, nie da się zaprzeczyć — zaczął. — Lubi się czasem ostro postawić. W tej sprawie chciała pana pognębić, a pan poddał się potulnie. Jak można było, panie Franklinie?! Czy pan nie zna kobiet? Czy nie opowiadałem panu o nieboszczce pani Betteredge?

Owszem, zacny Betteredge opowiadał mi bardzo nawet często o swojej nieboszczce żonie, prezentując ją niezmiennie jako niezbitą przykład wrodzonej przewrotności, cechującej płęć słabszą. W ten też sposób przedstawił ją teraz.

— Więc niech mnie pan posłucha, panie Franklinie. Każda kobieta ma

swoje fochy, i to każda inne. Nieboszczka pani Betteredge stawiała zwykle dęba, ile razy odmówiłem jej czegoś, na co miała chętkę. No i kiedy po takim wypadku wracałem z pracy do domu, to już moja żoneczka zawsze a zawsze wołała do mnie z kuchni, że po tym, jak ją tak brutalnie potraktowałem, nie miała sił ugotować dla mnie obiadu. Przez jakiś czas znosiłem to potulnie — tak samo, jak pan znosi teraz fanaberie panny Racheli. Ale pewnego pięknego dnia wyczerpała się moja cierpliwość. Zszedłem na dół do kuchni, objąłem panią Betteredge — z całą czułością, uważa pan — i zaniósłem ją do salonu, którego używała tylko do przyjmowania gości. „Tu jest twoje miejsce, kochanie moje” — powiedziałem. Posadziłem ją, a sam wróciłem do kuchni. Zamknąłem się tam na klucz, zdjąłem surdut i ugotowałem sobie obiad. Jak był gotów, sam go sobie jak najpiękniej podałem i zjadłem z wielkim apetytem. Potem zapaliłem fajeczkę, wypilem swoją kropelkę grogu, a następnie sprzątnąłem ze stołu, pozmywałem naczynia, oczyściłem noże i widelce i zamiotłem płytę. Kiedy w kuchni znowu było czystutko jak w pudełeczku, otworzyłem drzwi i wpuściłem panią Betteredge do środka. „Zjadłem już obiad, miłości moja — powiedziałem — i mam nadzieję, że znajdziesz kuchnię w najlepszym porządku”. No i do końca życia mojej żony, panie Franklinie, nigdy już nie potrzebowałem sam sobie gotować obiadu! Morał jest taki: ulegał pan kaprysom panny Racheli w Londynie, niechże im pan nie ulega w Yorkshire. Niech pan wróci do domu.

Nie sposób było znaleźć na to odpowiedź! Mogłem tylko zapewnić mojego zacnego przyjaciela, że w tym wypadku nawet jego nieodparte perswazje nic u mnie nie wskórają.

— Wieczór jest piękny — powiedziałem. — Pójdę piechotą do Frizinghall i zatrzymam się w hotelu, a ty musisz przyjechać jutro rano do mnie na śniadanie. Mam ci coś do powiedzenia.

Betteredge ze smutkiem potrząsnął głową.

— Bardzo mnie to martwi — rzekł. — Miałem nadzieję, że między panem a panną Rachelą wszystko idzie już gładko i pięknie. Jeżeli musi pan koniecznie postawić na swoim, sir — ciągnął dalej po namyśle — to nie trzeba szukać noclegu aż we Frizinghall. Można go znaleźć znacznie bliżej. Niecałe dwie mile stąd jest farma Hotherstone'a. Tu już nie może pan mieć obiekcji przez wzgląd na pannę Rachelę — doda! przebiegły stary mój przyjaciel. — Hotherstone nie jest nawet jej dzierżawcą, siedzi na własnym gruncie.

Przypomniałem sobie od razu tę farmę. Dom stał w osłoniętej kotlinie, nad brzegiem najpiękniejszego strumienia w owej części Yorkshire, farmer zaś miał dwa wolne pokoje, sypialnię i salonik, które wynajmował zwykle malarzom, wędkarzom i w ogóle turystom. Przyjemniejszego lokum nie mogłem sobie wymarzyć.

— Czy pokoje są do wynajęcia? — spytałem.

— Nie dalej jak wczoraj, sir, pani Hotherstone prosiła mnie, żebym do niej kogoś skierował.

— A więc zajmę je z przyjemnością, Betteredge.

Wróciliśmy na podwórze, gdzie zostawiłem walizkę. Betteredge przesunął łaskę przez rączkę, zarzucił sobie walizkę na plecy, po czym znów popadł w stan oszołomienia, w jakie wprawilo go moje nieoczekiwane przybycie. Spojrzał z niedowierzaniem na dom, potem odwrócił się i z większym jeszcze niedowierzaniem spojrzął na mnie.

— Kawał czasu już żyję na świecie — rzekł ten najlepszy i najmiłszy ze starych służących — ale nie spodziewałem się, że coś podobnego zobaczę. Tu stoi dom, a tu stoi pan Franklin Blake i niech mnie diabli porwą, jeśli jeden z nich nie odwraca się plecami do drugiego i nie idzie spać do obcych!

Ruszył naprzód potrząsając głową i mrużąc coś pod nosem.

— Może się zdarzyć jeszcze tylko jeden cud — rzucił mi przez ramię. — Gotów pan, panie Franklinie, zwrócić mi za chwilę te siedem szylingów i sześć pensów, które pożyczył pan ode mnie jako mały chłopiec.

Sarkastyczna ta uwaga przywróciła humor zarówno jemu, jak i mnie. Wyszliśmy z parku przez bramę koło domku odźwiernego. Znalazłszy się na obcym terytorium, Betteredge uznał, że skończył z obowiązkami gościnności i może dopuścić do głosu ciekawość.

Przystanął, aby zrównać się ze mną.

— Śliczny wieczór, panie Franklinie — rzekł jakbyśmy się właśnie przypadkiem spotkali. — W taki wieczór przyjemnie jest się przejść. A gdyby udał się pan do hotelu we Frizinghall...

— To co by było?

— Miałbym jutro zaszczyt jeść z panem śniadanie!

— Więc zamiast tego przyjdź na śniadanie do farmy Hotherstone'a.

— Dziękuję bardzo za łaskawe zaproszenie, panie Franklinie. Ale mnie właściwie nie chodziło o śniadanie. Wspomniał pan, zdaje się, że ma mi coś do powiedzenia? Jeżeli to nie jest sekret, sir — rzeki Betteredge porzucając naraz okólną drogę i przystępując wprost do rzeczy — to bardzo chciałbym się dowiedzieć, co pana sprowadziło tutaj tak nagle. Muszę się przyznać, że umieram z ciekawości.

— A co sprowadziło mnie tu poprzednim razem? — spytałem.

— Kamień Księżycowy, panie Franklinie. Ale co teraz pana sprowadza?

— Znowu Kamień Księżycowy, Betteredge.

Staruszek stanął jak wryty i w zapadającym zmierzchu patrzył na mnie, jak gdyby nie wierzył własnym uszom.

— Jeżeli to dowcip, sir — rzekł wreszcie — to zgłupiałem chyba na starość, bo go nie rozumiem.

— To wcale nie dowcip — odparłem. — Przyjechałem tu, żeby podjąć na nowo dochodzenie przerwane przed moim wyjazdem z Anglii. Przyjechałem, żeby dokonać tego, co nikomu się dotychczas nie udało, żeby znaleźć złodzieja, który skradł diament.

— Niech pan da pokój diamentowi, panie Franklinie! Proszę usłuchać mojej rady i dać pokój diamentowi! Ten przeklęty indyjski klejnot ściąga nieszczęście na każdego, kto ma z nim do czynienia. Straci pan tylko pieniądze i nerwy — w wiosnie życia, sir, zajmując się Kamieniem Księżycowym. Jaka

może pan mieć nadzieje powodzenia (daruje mi pan śmiałość), skoro sam sierżant Cuff pokpił sprawę? Sierżant Cuff! — powtórzył Betteredge grożąc mi surowo palcem. — Największy detektyw w Anglii!

— Trudno, kochany przyjacielu, moje postanowienie jest niezłomne. Nawet przykład sierżanta Cuffa mnie nie odstraszy. Nawiasem mówiąc, będę chyba chciał się z nim prędzej czy później zobaczyć. Miałeś może od niego w ostatnich czasach jakieś wiadomości?

— U sierżanta nie znajdzie pan pomocy, panie Franklinie.

— A to czemu?

— W kołach policyjnych, sir, po pańskim wyjeździe zaszło pewne ważne wydarzenie. Wielki Cuff wycofał się ze służby. Kupił sobie mały domek w Dorking i zajmuje się tylko i wyłącznie hodowlą róż. Doniósł mi o tym odręcznym pismem, panie Franklinie. Wyhodował białą różę omszoną, nie szczepiąc jej uprzednio na róży dzikiej. A pan Begbie, nasz ogrodnik, ma pojechać niedługo do Dorking, żeby przyznać, że sierżant go w końcu pokonał.

— Cóż, to nie ma wielkiego znaczenia — odrzekłem. — Będę musiał obejść się bez pomocy sierżanta Cuffa. Ale przede wszystkim chcę zdać się na ciebie i dopuścić cię do konfidencji.

Wypowiedziałem zapewne te słowa tonem trochę niedbałym, dotknęły one bowiem Betteredge'a.

Ręczę, że mógłby pan trafić na kogoś mniej godnego zaufania ode mnie — powiedział urażony.

Z tonu jego i z lekkiego zaniepokojenia, jakie wyczułem u niego po tej uwadze, wywnioskowałem, że Betteredge ma jakieś informacje, lecz waha się, czy mi ich udzielić.

— Chciałbym, żebyś pomógł mi zebrać te fragmentaryczne poszlaki i dowody, które zostały po sierżancie — powiedziałem. — Wiem, że w tym na pewno możesz mi pomóc. A może jeszcze w czymś więcej?

— Czegóż więcej może się pan po mnie spodziewać? — spytał Betteredge, robiąc niesłychanie skromną minę.

— Wnosząc z tego, coś przed chwilą powiedział, spodziewam się dużo więcej.

— Przechwałki, panie Franklinie — odparł z uporem starzec. — Niektórzy ludzie od urodzenia aż do śmierci lubią przechwałki i nie mogą się z tego wyleczyć. Ja do nich należę.

Na upór Betteredge a był jeden tylko sposób — zaapelowałem do życzliwości, jaką darzył Rachelę i mnie.

— Betteredge, czy ucieszyłbyś się na wiadomość, że między Rachelą a mną znów jest zgoda?

— Widocznie na próżno przez tyle lat służyłem pańskiej rodzinie, sir, skoro może pan o tym wątpić!

— Pamiętasz, jak mnie Rachelę potraktowała przed moim wyjazdem z Anglii?

— Pamiętam, jakby to było wczoraj! Przecież *moja* pani pisała do pana

o tym i pan był łaskaw mi ten list pokazać. Lady Verinder pisała, że panna Rachel jest pana śmiertelnie obrażona o to, że brał pan udział w poszukiwaniach diamentu, i ani moja pani, ani pan, ani nikt inny nie mógł się domyślić powodu tego gniewu.

— Święta prawda, Betteredge! Otóż po powrocie z podróży przekonałem się, że nadal jest na mnie śmiertelnie obrażona. Wiedziałem, że diament był przyczyną wszystkiego w zeszłym roku, i wiem, że jest przyczyną wszystkiego teraz. Staralem się zobaczyć z Rachelą, ale nie chce mnie widzieć. Próbowałem do niej pisać, ale mi nie odpowiada. Na miłość boską, jakże mam wyjaśnić tę sprawę? Rachela pozostawiła mi jedną jedyną możliwość — rozwiązać zagadkę Kamienia Księżycowego!

Słowa te ukazały widocznie Betteredgeowi problem w nowym świetle. Zadał mi pytanie, które dowodziło, że zdołałem przełamać jego upór.

— Ale pan nie żywi do niej złości, panie Franklinie?

— Byłem rozgniewany wyjeżdżając z Londynu — odparłem — ale to już minęło. Chcę tylko dojść do porozumienia z Rachelą, nic więcej nie pragnę.

— A nie lęka się pan, że może się pan dowiedzieć o pannie Racheli czegoś nieoczekiwanego?

Zrozumiałem, że tylko niezłomna wiara Betteredge'a w niewinność jego młodej pani podyktowała mu te słowa.

— Jestem pewien Racheli tak samo jak ty — odrzekłem. — Jeśli nawet wyświelimy całkowicie jej tajemnicę, nie dowiemy się nic takiego, co by mogło wpłynąć na nasz dla niej szacunek.

Ostatnie skrupuły Betteredge'a rozwiały się.

— Jeżeli źle robię pomagając panu — zawołał — to powiem tylko tyle, że jestem niewinny jak nie narodzone dziecko, bo naprawdę nie widzę w tym nic złego! Otóż mogę wskazać panu drogę do wykrycia tajemnicy, jeżeli tylko dalej sam pan już nią pójdzie. Pamiętaj pan tę naszą biedną Rosannę Spearman?

— Oczywiście!

— Miał pan swego czasu wrażenie, że ona chce panu coś wyznać w sprawie Kamienia Księżycowego...

— W każdym razie nie umiałem sobie inaczej wytłumaczyć jej dziwnego zachowania.

— Może pan teraz rozstrzygnąć swe wątpliwości, panie Franklinie, jeśli tylko pan zechce.

Teraz ja z kolei stanąłem jak wryty. W gęstniejących ciemnościach na próżno starałem się dojrzeć wyraz twarzy Betteredge'a. Zapytałem więc niecierpliwie, co ma na myśli.

— Spokojnie, sir! — odparł Betteredge. — Myślę dokładnie to, co mówię. Rosanna Spearman zostawiła zapieczętowany list, list adresowany do pana.

— Gdzież on jest?

— U jej przyjaciółki w Cobb's Hole. Kiedy był pan tu ostatnim razem, musiał pan słyszeć chyba o Kulawej Lucy, o ułomnej dziewczynie, która chodzi o kuli.

— To ta córka rybaka?
— Ta sama, panie Franklinie.
— Czemu więc nie przesiano mi tego listu?
— Kulawa Lucy to osóbką bardzo stanowcza, sir. Uparta się, że odda go tylko panu do własnych rąk. A pan wyjechał z Anglii, zanim zdążyłem do pana napisać.
— Betteredge, wracajmy po niego zaraz!
— Dziś już za późno, proszę pana. Na naszym wybrzeżu ludzie oszczędzają świec i w Cobb's Hole wszyscy kładą się wcześniej spać.
— Głupstwa! Zajdziemy tam w pół godziny.
— Pan może i zajdzie, sir. Ale kiedy pan tam dotrze, zastanie pan drzwi zamknięte.
Betteredge wskazał migocące przed nami światelko. Jednocześnie w ciszy wieczornej usłyszałem szmer strumienia.
— Oto farma, panie Franklinie! Niechże się pan dziś rozlokuje wygodnie, a jutro rano będzie łaskaw przyjść do mnie.
— Pójdiesz ze mną do domku rybaka?
— Tak jest, proszę pana.
— Wcześniej?
— O której tylko pan zechce.
Zeszliśmy na dół ścieżką wiodącą do farmy.

ROZDZIAŁ III

O tym, co było na farmie Hotherstone'a, zachowałem jedynie bardzo mgliste wspomnienie.

Pamiętam serdeczne przyjęcie; kolację, którą w każdym z krajów Wschodu można by nakarmić całą wioskę, cudownie czystą sypialnię, gdzie wszystko było idealne prócz owego potwornego owocu szaleństwa naszych przodków — puchowej pierzyny; niespokojną noc z wielokrotnym zapalaniem i gaszeniem jedynej małej świeczki; i wreszcie uczucie niesłychanej ulgi, kiedy słońce weszło i można było zacząć wstawać.

Umówiliśmy się poprzedniego wieczora z Betteredge'em, że wstąpię po niego, żeby pójść razem z nim do Cobb's Hole, o której zechce — co wobec pożerającej mnie niecierpliwości oznaczało możliwie jak najwcześniej. Nie czekając więc na śniadanie, wziąłem do ręki kromkę chleba i ruszyłem w drogę, niepewien, czy nie zastanę kochanego Betteredge'a w łóżku. Jak się ku mojej radości okazało, zacny starzec równie podniecony zamierzoną wyprawą co i ja, był już ubrany i czekał na mnie z łaską w ręku.

— Jak się dzisiaj czujesz, Betteredge?
— Bardzo kiepsko, proszę pana.
— A to przykre. Cóż ci dolega?
— Trawi mnie nowa choroba, panie Franklinie, i to choroba mojego

własnego wynalazku. Nie chcę pana straszyć, ale na pewniaka zarazi się nią pan, nim nastąpi południe.

— Tam do licha!

— Czy nie odczuwa pan niemiłego ucisku w dołku, sir? I przykrego pulsowania w skroniach? Ach, jeszcze nie? No, to choroba chwyci pana w Cobb's Hole, panie Franklinie. Ja nazywam ją gorączką detektywistyczną, a po raz pierwszy zapadłem na nią w towarzystwie sierżanta Cuffa.

— Oo! A lekarstwem w tym wypadku będzie przeczytanie listu Rosanny Spearman? Chodźmy więc po to lekarstwo!

Mimo tak wczesnej pory rybak i jego żona krzżeli się już po kuchni. Betteredge przedstawił mnie, po czym zacna pani Yolland przystąpiła do ceremonii towarzyskiej, zarezerwowanej, jak się potem dowiedziałem, wyłącznie dla osób wybitnych. Postawiła mianowicie na stole butelkę holenderskiego dżinu, położyła dwie czyste fajki i rozpoczęła konwersację od słów:

— Co nowego w Londynie, sir?

Zanim zdołałem znaleźć odpowiedź na tak ogólne pytanie, ujrzałem, że z kąta kuchni sunie ku mnie niesamowita zjawa. Wymizerowana, chuda dziewczyna o przepięknych włosach i niezwykle przenikliwym spojrzeniu, utykając i wspierając się na kuli podeszła do stołu, przy którym siedziałem, i patrzyła na mnie, jak gdybym był obiektem budzącym w niej odrazę, a jednocześnie nieodparcie ją przyciągającym.

— Panie Betteredge — rzekła nie odrywając ode mnie oczu — proszę jeszcze raz powiedzieć, jak on się nazywa.

— Ten dżentelmen — odparł Betteredge, kładąc nacisk na słowo dżentelmen — nazywa się pan Franklin Blake.

Dziewczyna odwróciła się do mnie plecami i raptownie wyszła z pokoju. Pocziwa pani Yolland, jeśli się nie mylę, przeprosiła za dziwne zachowanie córki, Betteredge zaś przełożył jej przeprosiny na normalną angielszczyznę. Ale nie mam co do tego wszystkiego najmniejszej pewności. Uwagę moją pochłaniał całkowicie stukot kuli dziewczyny. Bum, bum, bum — na górę po drewnianych schodach; bum, bum — przez pokój nad naszymi głowami; bum, bum — znów na dół po schodach — i zjawa z listem w ręce stanęła w otwartych drzwiach, wzywając mnie znakiem do siebie!

Puściłem mimo uszu będące właśnie w toku dalsze przeprosiny i poszedłem za tą dziwną istotą, która kuśtykała przede mną coraz prędzej w dół po spadzistym wybrzeżu. Gdyśmy się znaleźli za grupą łodzi, gdzie nikt z nielicznych mieszkańców osady nie mógł nas widzieć ani słyszeć, dziewczyna zatrzymała się i po raz pierwszy przemówiła do mnie.

— Niech pan tam stanie — rzekła. — Chcę się panu przyjrzeć.

Wyraz jej twarzy nie nastęczał żadnych wątpliwości. Budziłem w niej potworny niesmak i odrazę. Nie chcę być tak próżny, aby twierdzić, że żadna kobieta dotychczas nie żywiła do mnie podobnych uczuć, zaryzykuję tylko skromniejsze twierdzenie, że żadna kobieta dotychczas nie dała mi tego poznać. Jest też pewna granica czasu, przez który mężczyzna może

spokojnie wytrzymywać podobną inspekcję, próbowałem więc skierować uwagę Lucy na jakiś obiekt mniej odrażający niż moja twarz.

— Zdaje się, że ma pani dla mnie list — zacząłem. — Czy to ten, który pani trzyma?

— Niech pan to jeszcze raz powtórzy — usłyszałem tylko w odpowiedzi. Powtórzyłem swoje słowa, niby grzeczne dziecko uczące się lekcji.

— Nie — oznajmiła dziewczyna mówiąc jakby do siebie, ale wciąż lustrując mnie bezlitośnie. — Nie mogę zrozumieć, co ona widziała w jego twarzy. Nie mam pojęcia, co słyszała w jego głosie! — Odwróciła się raptownie i oparła czoło na kuli. — O, moje biedactwo! — powiedziała, a w głosie jej po raz pierwszy zabrzmiała łagodniejsza nuta. — O, moje utracone kochanie, cóżeś widziała w tym mężczyźnie? — Podniosła znów głowę i spojrzała na mnie gniewnie. — Czy pan może jeść i pić? - spytała.

— Tak — odpowiedziałem dokładając wysiłków, żeby zachować powagę. Sypia pan dobrze?

— Tak.

— Kiedy widzi pan jakąś biedną służącą, nie odczuwa pan wyrzutów sumienia?

— Oczywiście, że nie. Czemu miałbym je odczuwać? Gwałtownym ruchem podsunęła mi list — jak to się mówi — pod nos.

— Ma pan — zawołała z furją. — Nigdy pana dotychczas nie widziałam i niech Bóg Wszchemogący broni, żebym miała pana jeszcze kiedyś zobaczyć!

Po tych słowach pokuśtykała najszybciej, jak mogła. Wszyscy się zapewne domyślają, jak sobie tłumaczyłem przedziwne zachowanie dziewczyny — sądziłem oczywiście, że jest obłąkana.

Doszedłszy do tego nieuchronnego wniosku, zająłem się ciekawszym obiektem, jaki stanowił dla mnie list Rosanny Spearman. Adres brzmiał jak następuje: „Do Pana Franklina Blake'a. Doręczyć ma do rąk własnych {nie powierzając nikomu innemu) panna Lucy Yolland”.

Złamałem pieczęć. Koperta zawierała list, w nim zaś tkwiła jeszcze mała kartka papieru. Przeczytałem najpierw list:

Panie!

Jeżeli ciekaw Pan jest, co oznacza moje zachowanie wobec Pana, proszę wykonać zalecenia spisane na załączonej kartce — ale zrobić to tak, aby nikt tego nie widział

Pańska uniżona służąca Hosanna Spearman

Przeniosłem oczy na kartkę. Oto jej dosłowny odpis:

Dla pamięci:

Pójść na Drżące Piaski w porze rozpoczęcia przyływu. Iść Południowym Cyplem, dopóki latarnia morska Południowego Cypla i drzewce flagowe posterunku straży nadbrzeżnej nie znajdą się przed moimi

oczami na jednej linii. Dla orientacji położyć na skale kij albo jakikolwiek długi, prosty przedmiot dokładnie na Unii między latarnią a drzewcem. Uważać przy tym, żeby jeden koniec kija znalazł się na krawędzi skały od strony ruchomych piasków. Szukać wzdłuż kija (zaczynając od końca wskazującego latarnię) wśród wodorostów, dopóki nie namacam łańcucha. Po znalezieniu łańcucha mam przesunąć po nim ręką, dopóki nie trafię na tę część, która prowadzi nad krawędzią skały w dół, ku ruchomym piaskom. Wtedy pociągnąć za łańcuch.

Przeczytałem właśnie ostatnie słowa podkreślone w oryginale, kiedy usłyszałem za sobą głos Betteredge'a. Odkrywca gorączki detektywistycznej miał najwidoczniej ostry atak tej groźnej choroby.

— Nie mogę już wytrzymać, panie Franklinie. Co tam jest w liście? Na miłość boską, niech mi pan powie, co jest w tym liście?

Podał mi zawartość koperty. List przeczytał bez oznak szczególnego zainteresowania, kartka natomiast wywarła na nim piorunujące wrażenie.

— Sierżant mówił to! — zawołał. — Od początku do końca twierdził, że Rosanna zanotowała sobie, jak ma trafić do skrytki! I proszę, oto notatka! Boże Miłosierny! Panie Franklinie, oto zagadka, nad którą łamali sobie głowę wszyscy, poczynając od wielkiego Cuffa; czeka tylko na to, żeby ją pan rozwiązał! Teraz jest odpływ, jak każdy się może przekonać. Ile czasu wypadnie czekać na przypływ?

Betteredge rozejrzał się i dostrzegł w pewnej odległości od nas młodego chłopaka, który reperował sieci.

— Tammie Bright! — krzyknął na cały głos.

— Słucham! — wrzasnął w odpowiedzi Tammie.

— Kiedy się zacznie przypływ?

— Za godzinę. Spojrzeliśmy obaj na zegarki.

— Może pójść wybrzeżem, panie Franklinie — rzekł Betteredge — i zdążyć na ruchome piaski jeszcze na długo przed przypływem. Co pan na to?

— Chodźmy.

W drodze na Drżące Piaski prosiłem Betteredge'a, żeby przypomnieli mi dokładnie wszystkie wypadki dotyczące Rosanny Spearman z okresu działalności sierżanta Cuffa. Z pomocą mojego drogiego przyjaciela szybko uporządkowałem sobie w pamięci kolejność wydarzeń. Wyprawa Rosanny do Frizinghall, kiedy wszyscy domownicy sądzili, że leży chora w swoim pokoju — całonocne, tajemnicze przygotowania Rosanny przy świeczce — podejrzanе nabycie od pani Yolland puszki blaszanej i dwóch łańcuchów — przeświadczenie sierżanta, że Rosanna ukryła coś w Drżących Piaskach i bezowocne domysły na temat tego, co to mogło być — wszystkie te dziwne wyniki przedwcześnie poniechanego dochodzenia stały mi żywo przed oczami, kiedy dotarliśmy do ruchomych piasków i wkroczyliśmy razem na niski występ skalny, zwany Południowym Cyplem.

Z pomocą Betteredge'a stanąłem wkrótce we właściwej pozycji, aby ujrzeć na jednej linii latarnię morską i drzewce flagowe straży nadbrzeżnej. Posługując się notatką ułożyliśmy łaskę we wskazanym kierunku na nierównej powierzchni skały. Następnie spojrzeliśmy jeszcze raz na zegarki.

Brakowało dwudziestu minut do rozpoczęcia przyływu. Zaproponowałem, abyśmy przeczekali te dwadzieścia minut na plaży, skały bowiem były wilgotne i śliskie. Znalazszy się na suchym piasku, miałem już usiąść, gdy ujrzałem ze zdziwieniem, że Betteredge zabiera się do odejścia.

— Czemu odchodzisz? — spytałem.

— Proszę zajrzeć jeszcze raz do listu, a zrozumie pan.

Rzut oka na list przypomniał mi, że w chwili odkrycia mam być sam.

— Przykro mi bardzo opuszczać pana w takiej chwili — rzekł Betteredge. — Ale Rosanna zginęła okropną śmiercią i czuję, że powinienem uszanować jej wolę. Poza tym — dodał poufnym tonem — w liście nie ma mowy o tym, że ma pan zachować swoje odkrycie w tajemnicy. Poczekam przy szkółce sosenek, aż pan po mnie przyjdzie. Proszę tylko nie marudzić zbyt długo. Gorączkę detektywistyczną niełatwo jest znosić, zwłaszcza w takich warunkach.

Po tym pożegnalnym napomnieniu oddalił się.

Chwile oczekiwania, dość krótkie, jeśli mierzyć je miarą czasu, dłużyły mi się okropnie wskutek wzrastającego napięcia nerwów. Był to jeden z owych wypadków, gdy nieoceniony nałóg palenia przynosi szczególną ulgę i uspokojenie. Zapaliłem cygaro i usiadłem na piasku.

Słońce świecące na pogodnym niebie zalewało wszystko dokoła potokami cudownego światła. Powietrze było tak świeże i czyste, że sam akt oddychania stawał się rozkoszą. Nawet samotna zatoczka wydawała się tego poranka niemal wesoła, naga zaś, wilgotna powierzchnia ruchomych piasków połyskiwała złotym odbłaskiem, przystrajając swe ohydne, zdradzieckie oblicze w przelotny uśmiech. Był to najpiękniejszy dzień, jaki wypadło mi oglądać od chwili powrotu do Anglii.

Przyływ rozpoczął się, zanim dopaliłem cygaro. Dostrzegłem wstępne kołysanie piasku, potem okropne drżenie, które przebiegło po jego powierzchni — jak gdyby jakiś potworny duch żył, poruszał się i dygotał w kryjących się pod nim bezdennych głębinach. Odrzuciłem cygaro i wróciłem na skały.

Instrukcje zawarte w kartce nakazywały mi szukać wzdłuż linii kija, poczynając od tego końca, który wskazywał na latarnię morską.

Doszedłem w ten sposób mniej więcej do środka kija, nie napotykając nic prócz ostrych występów skalnych. Ale jeszcze po kilku calach ciepłowość moja została nagrodzona. W ciasnej szczelince tuż pod moim palcem wskazującym namacałem łańcuch. Usiłowałem przesunąć po nim ręką w kierunku ruchomych piasków, ale napotkałem gąszcz wodorostów, które bez wątpienia obrosły szczelinę już po tym, kiedy Rosanna obrała sobie to miejsce na skrytkę.

Nie sposób było oderwać wodorosty ani przepchnąć przez nie rękę. Zaznaczyłem sobie miejsce wskazane końcem kija skierowanym na ruchome

piaski i postanowiłem poszukać łańcucha inaczej. Zamierzałem „zapuścić sondę” tuż pod skałą w nadziei, że natrafię na łańcuch w tym miejscu, w którym zanurzał się w ruchomych piaskach. Podniosłem laskę i ukląknęłam na krawędzi Południowego Cypla.

W tej pozycji twarz moją dzieliło zaledwie kilka stóp od powierzchni ruchomych piasków, po której wciąż jeszcze przebiegało co pewien czas okropne drżenie. Widok ten z tak bliska przyprawił mnie o wstrząs nerwowy. Uroiłem sobie nagle, że zmarła dziewczyna może ukazać się na miejscu swego zgonu, aby dopomóc mi w poszukiwaniach; imaginowałem już sobie, jak wyłania się z rozkołysanego piasku i wskazuje właściwe miejsce. Natrętna ta, chorobliwa myśl przejęła mnie lękiem, który mimo przygrzewającego słońca zmroził mi krew w żyłach. Przyznam się, że w chwili, gdy laska moja dotknęła piasku, przymknąłem oczy.

W sekundę potem, zanim jeszcze laska zdołała zanurzyć się na głębokość kilku cali, pozbyłem się zabobonnego strachu, zadrzałem natomiast z radosnego podniecenia. Dźgnąłem na oślep — i zaraz przy pierwszej próbie trafiłem! Laska uderzyła o łańcuch.

Lewą ręką ujmując mocno korzenie wodorostów, położyłem się na krawędzi, a prawą począłem szukać pod nawisłymi zrębami skalnymi. Namacałem łańcuch.

Wyciągnąłem go bez najmniejszej trudności. Na końcu przymocowana była blaszana puszka.

Od leżenia w wodzie *łańcuch* tak zardzewiał, że nie sposób było zdjąć go ze skobła, który łączył go z puszką. Ująłem tedy puszkę między kolana i wyteżywszy wszystkie siły zerwałem pokrywkę. Ujrzałem, że puszkę wypełnia coś białego. Wsadziłem rękę i przekonałem się, że jest to płótno.

Wyciągnąłem materiał, wraz z którym wypadł zmięty list. Zaadresowany był na moje nazwisko, schowałem więc list do kieszeni i zająłem się płótnem. Zwinięte było ciasno i w hermetycznym schowku oparło się doskonale działaniu wody.

Zaniósłem wszystko na suchą plażę. Tam rozwinąłem i wyprostowałem materiał. Miałem przed sobą nocną koszulę.

Była oczywiście bardzo pognieciona, lecz w górnej części nie wykryłem nic godnego uwagi. Obejrzałem następnie dół i dostrzegłem natychmiast smugę farby z drzwi buduaru Rachelil

Nie mogłem oderwać oczu od tej plamy, myśl moja zaś pomknęła od razu w przeszłość. W uszach zabrzmiały mi słowa sierżanta Cuffa, jak gdyby detektyw stał przy mnie: „Po pierwsze przekonać się, czy w domu znajduje się jakaś część ubrania mająca na sobie ślady farby. Po drugie stwierdzić, czyją własnością jest owa część ubrania. Po trzecie dowiedzieć się, czym osoba ta tłumaczy fakt, że była tu w pokoju między dwunastą w nocy a trzecią nad ranem i starła farbę. Jeżeli osoba ta nie będzie miała zadowalającego wytłumaczenia, nie trzeba daleko szukać ręki, która zabrała diament”.

Słowa te jedno po drugim przepływały w mojej pamięci, nużącym, natrętnym refrenem. Z transu, który, jak mi się zdawało, trwał kilka godzin, a który w rzeczywistości nie mógł przeciągnąć się ponad kilka sekund, wyrwał mnie jakiś głos. Podniosłem głowę i stwierdziłem, że cierpliwość Betteredge'a wyczerpała się w końcu. Ukazał się właśnie między piaszczystymi wzgórzami, zmierzając ku plaży.

Pojawienie się mojego starego przyjaciela przywróciło mi od razu poczucie rzeczywistości i przypomniało mi, że dotychczas jeszcze nie osiągnąłem zamierzonego celu. Owszem, odkryłem smugi farby na koszuli nocnej — ale do kogo należy ta koszula?

Wiedziony pierwszym odruchem sięgnąłem do kieszeni po list — ów list, który znalazłem w puszcze.

Ale sięgając po niego przypomniałem sobie, że istnieje krótsza droga do rozwiązania tajemnicy. Koszula nocna sama musi wyjawić mi prawdę, podług bowiem wszelkiego prawdopodobieństwa winna nosić nazwisko lub przynajmniej monogram swego właściciela.

Podniosłem koszulę z ziemi i zacząłem szukać znaków. Po chwili znalazłem je i przeczytałem... s w o j e w ł a s n e n a z w i s k o !

Dobrze znany monogram powiedział mi ponad wszelką wątpliwość, że koszula nocna należy do mnie. Podniosłem głowę. Słońce świeciło; wody zatoki połyskiwały złotem, stary Betteredge zbliżał się do mnie. Spojrzałem znowu na litery. Moje nazwisko. Z rąbka koszuli nocnej spoglądało na mnie moje własne nazwisko.

„Jeżeli czas, starania i pieniądze mogą coś zdziałać, dostanę w swe ręce złodzieja, który skradł Kamień Księżycowy”. Z tymi słowy wyjechałem z Londynu. Teraz zgłębiłem wreszcie tajemnicę, którą ruchome piaski ukryły przed żywymi. A na podstawie nieodpartego świadectwa smugi farby wykryłem, że złodziejem jestem ja sam.

ROZDZIAŁ IV

O moich doznaniach nie mogę powiedzieć ani słowa.

Przypuszczam, że pod wpływem wstrząsu straciłem zupełnie zdolność rozumowania i odczuwania. W każdym razie byłem chyba nieprzytomny, ze słów bowiem Betteredge'a wiem, że gdy podszedł do mnie i zapytał, co się stało, roześmiałem się tylko i podałem mu koszulę, żeby sam odczytał rozwiązanie zagadki.

Nie przypominam sobie zupełnie, o czym rozmawialiśmy na plaży. Pierwszym miejscem, które pamiętam wyraźnie, jest szkółka sosenek. Szedłem tamtędy z Betteredge'em do domu i Betteredge mówi! mi, że zastanowimy się nad tym wszystkim po wypiciu szklaneczki grogu.

Miejsce akcji przenosi się następnie w moich wspomnieniach do saloniku Betteredge'a. Zapomniałem zupełnie o swym postanowieniu, że noga moja nie postanie w domu Racheli. Chłonałem tylko z rozkoszą chłód i ciszę tego

pokoju. Piłem grog (będący dla mnie o tak wczesnej porze przyjemnością całkiem nie znaną), który mój zacny przyjaciel przyrządził z lodowatą wodą ze studni. W innych warunkach trunk oszołomiłby mnie tylko, w tym jednak stanie rzeczy wzmocnił mi nerwy. Zgodnie z przepowiednią Betteredge'a zacząłem zastanawiać się nad tym, co zaszło. Betteredge ze swej strony również zaczął posługiwać się swą zdolnością rozumowania.

Podejrzewam, że przedstawiam się teraz czytelnikom w świetle co najmniej dziwnym. Znalazłszy się w sytuacji, którą można określić tylko jako wyjątkową, cóż przede wszystkim przedsięwziąłem? Czym się odseparowałem od jakiegokolwiek towarzystwa? Czym się postarałem zanalizować potworne niepodobieństwo, które miało wszystkie pozory niezaprzeczonego faktu? Czym pośpieszyłem pierwszym pociągiem do Londynu, aby naradzić się z władzami i wyekspediować niezwłocznie na miejsce brygadę śledczą? — Nie. Poszukałem schronienia pod dachem domu, którego progu przysiągłem sobie nigdy nie przestąpić i siedziałem tam o godzinie dziesiątej rano w towarzystwie starego sługi popijając alkohol z wodą. Czyż mógłby kto oczekiwać podobnego postępowania od człowieka, który znalazł się w tak potwornej sytuacji? Mogę na to odpowiedzieć tylko, że widok kochanej twarzy starego Betteredge'a stanowił dla mnie niewypowiedzianą pociechę i że w owym stanie prostracji duchowej i cielesnej, w jakim się znalazłem, nie wyobrażam sobie skuteczniejszego środka pocrzepiającego aniżeli grog starego Betteredge'a. Tyle tylko mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, poza tym zaś mogę jedynie podziwiać wszystkich moich czytelników, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, za to, że zawsze zachowują godność osobistą i we wszystkich najbardziej nawet niezwykłych wydarzeniach swego życia nie odступują ani na krok od ściśle logicznej i konsekwentnej linii postępowania.

— Cóż, panie Franklinie, jedno jest w każdym razie pewne — rzekł Betteredge rzucając na stół koszulę nocną i wskazując ją palcem, jak gdyby była żywą istotą, która może nas słyszeć. — Ona kłamie.

Niestety, pocieszający ten pogląd nie zgadzał się bynajmniej z moim zdaniem o sprawie.

— Jeśli chodzi o kradzież diamentu, sumienie moje jest równie czyste jak twoje — rzekłem. — Ale wszystko przemawia przeciwko mnie! Farba na koszuli nocnej i nazwisko na niej wyhaftowane — oto niezaprzeczone fakty.

Betteredge ujął mój kieliszek i wsunął mi go do ręki.

— Fakty? — powtórzył. — Proszę wypić jeszcze kropelkę grogu, panie Franklinie, a wyzbędzie się pan tej słabości i przestanie wierzyć faktom! To jakiś podstęp, sir! — ciągnął dalej poufnym tonem. — Tak ja rozumiem tę zagadkę. Gdzieś tu tkwi podstęp, musimy go wykryć. Czy w puszczy nie było nic więcej?

Pytanie to przypomniało mi od razu list znajdujący się w mojej kieszeni. Wyjąłem go i odpieczętowałem. Pisany był drobnym maczkiem na wielu stronach. Poszukałem niecierpliwie podpisu. „Rosanna Spearman”.

Gdy przeczytałem to nazwisko, olśniła mnie nagle myśl, budząc we mnie nowe podejrzenia.

— Chwileczkę! — zawołałem. — Rosanna Spearman przybyła do mojej ciotki z domu dla byłych więźniarek? Rosanna Spearman była ongiś złodziejką?

— Niestety tak, panie Franklinie. Ale co z tego, jeśli łaska?

— Co z tego? A skąd wiemy, czy koniec końców nie skradła diamentu? Skąd wiemy, czy nie posmarowała umyślnie farbą mojej koszuli nocnej?

Betteredge położył mi rękę na ramieniu i powstrzymał mnie, zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej.

— Oczyszczi się pan ze wszystkich zarzutów, panie Franklinie, co do tego nie ma wątpliwości. Ale spodziewam się, że nie w taki sposób. Niech pan przeczyta list. Aby oddać sprawiedliwość pamięci tej dziewczyny, niech pan przeczyta list.

Powiedział to tonem bardzo poważnym, jak gdyby chciał mnie skarcić.

— Proszę bardzo, sam wyrobisz sobie zdanie na podstawie tego listu — odparłem. — Przeczytam ci cjo na głos.

Zacząłem czytać i przeczytałem następujące wiersze:

Panie!

Muszę Panu coś wyznać. Wyznanie, które sprawia niewymowny ból, da się czasem zawrzeć w niewielu słowach. Moje wyznanie można zawrzeć w dwóch słowach. Kocham Pana.

List wypadł mi z ręki. Spojrzałem na Betteredgea.

— Na miłość Boską, co to ma znaczyć? — spytałem.

Betteredge najwyraźniej nie chciał odpowiedzieć wprost na moje pytanie.

— Dzisiaj rano był pan sam na sam z Kulawą Lucy — rzeki. — Czy nie mówiła panu nic o Rosannie Spearman?

— Nie wymieniła nawet jej imienia.

— Proszę więc czytać dalej, panie Franklinie. Powiem panu szczerze: po tym, co pan już dzisiaj przeszedł, nie chcę przyczyniać panu zmartwień. Niech list mówi sam za siebie. I proszę napić się jeszcze grogu. Dla własnego dobra niech się pan napije jeszcze grogu.

Powróciłem do czytania listu,

Okryłabym się hańbą, czyniąc Panu takie wyznanie, gdybym w chwili kiedy będzie Pan czytał ten list, znajdowała się wśród żyjących. Ale gdy znajdzie Pan mój Ust, już mnie nie będzie. To właśnie dodaje mi odwagi. Nie zostanie po mnie śladu, nikt nawet nie zdoła odnaleźć mojego grobu. Mogę mówić prawdę — ruchome piaski bowiem czekają już, aby skryć mnie, gdy zakończę pisanie tych słów.

Poza tym znajdzie Pan w mojej skrytce swoją własną koszulę nocną ze smugą farby i zapewne będzie Pan chciał się dowiedzieć, jak to się stało, że ją ukryłam, i czemu nic Panu o tym nie powiedziałam za życia.

Mogę podać tylko jeden powód mojego dziwnego postępowania — kochałam Pana.

Nie będę nużyła Pana opowiadaniem o sobie i o swoim życiu do chwili, kiedy przyjechał Pan do domu lady Verinder. Wzięła mnie ona z domu d/a byłych więźniarek. Trafiłam tam z więzienia. Do więzienia wsadzono mnie, ponieważ byłam złodziejką. Zostałam złodziejką dlatego, że moja matka poszła na ulicę, kiedy byłam jeszcze małym dzieckiem. Moja matka poszła na ulicę dlatego, że dżentelmen, który był moim ojcem, porzucił ją. Nie warto się rozwodzić dłużej nad tą pospolitą historią. Gazety ją przytaczają aż nazbyt często.

Lady Verinder była dla mnie bardzo dobra i pan Betteredge był dla mnie bardzo dobry. Ci dwoje i przelożona domu poprawczego to jedyni dobrzy ludzie, jakich zdarzyło mi się spotkać w ciągu całego mojego życia. Przypuszczalnie radziłabym sobie jakoś na miejscu pokojówki — nie byłabym szczęśliwa, ale jakoś bym sobie radziła — gdyby nie Pańska niespodziewana wizyta. Nic Panu nie zarzucam, sir. Wszystko stało się z mojej winy — wyłącznie z mojej winy.

Czy pamięta Pan, jak Pan stanął nagle przed nami owego ranka na diunach, szukając pana Betteredge 'a? Wyglądał Pan jak księżę z bajki. Wygląda! Pan jak wyśniony kochanek. Był Pan najbardziej uroczym mężczyzną, jakiego widziałam w życiu. Kiedy spojrzenie moje padło na Pana, zrozumiałam naraz, czym jest szczęście, które nigdy nie przypadło mi w udziale. Proszę, niech się Pan ze mnie nie śmieje, jeżeli tylko może się Pan powstrzymać. Ach, gdybym mogła dać Panu odczuć, jak ogromną wagę wszystko to ma dla mnie!

Wróciłam do domu, wypisa/am na odwrocie pokrywki swojego pudełka do robót nasze imiona, moje i Pańskie, i wyrysowałam pod nimi dwa złączone serca. Potem jakiś szatan — nie, powinnam raczej rzec: jakiś anioł opiekuńczy — szepnął do mnie: „Spójrz w lustro”. Lustro zaś powiedziało mi... Zresztą mniejsza o to. Byłam zbyt lekkomyślna, aby usłuchać ostrzeżenia. Pozwalałam, by uczucie moje do Pana rozpalalo się coraz bardziej — zupełnie jak gdybym była wielką damą równą Panu stanem i najpiękniejszą istotą, na jakiej spoczął kiedykolwiek Pański wzrok. Staralam się—mój Boże, jakże się starałam — żeby Pan chociażby na mnie spojrział. Gdyby Pan wiedział, jak płakałam po nocach z bólu i upokorzenia, być może obdarzyłby mnie Pan od czasu do czasu spojrzeniem, abym miała czym żyć.

Nie by/o by to zapewne zbyt życzliwe spojrzenie, gdyby zdawał Pan sobie sprawę z tego, jak bardzo nienawidziłam panny Racheli. Bo ja poznałam, że Pan ją kocha, chyba zanim jeszcze sam Pan to sobie uświadomił. Dawala ona Panu róże do butonierki. Ach, panie Franklinie, ani Pan, ani ona nie przypuszczaliście wcale, jak często nosił Pan w butonierce moje róże! Gdyż to była w owym czasie jedyna moja pociecha — wkładałam po kryjomu do szklanki swoją róże, jej zaś róże wyrzucałam.

Gdyby była tak ładna, za jaką pan ją miał, być może łatwiej by/oby mi to wszystko znieść. Ale nie — żywiłabym chyba wówczas do niej jeszcze większą nienawiść. Przypuśćmy, że przebrano by pannę Rachelę w uniform pokojówki i odebrano by jej wszystkie ozdoby... Ach, doprawdy nie wiem, po co to wszystko wypisuję! W każdym razie trudno zaprzeczyć, że ma brzydką figurę — jest za chuda. Ale któż odgadnie, co się podoba mężczyznom? Przy tym pannom z dobrych domów wolno zachowywać się w taki sposób, za który służąca straciłaby od razu miejsce. Oczywiście to nie moja rzecz i jeżeli będę dalej pisała w tym tonie, nie zechce Pan z pewnością doczytać mojego listu do końca. Ale wszystko się we mnie burzy, kiedy słyszę zachwyty nad urodą panny Racheli, a jednocześnie wiem, że to tylko sprawa pięknych strojów i zuchwałej pewności siebie.

Proszę, niech się Pan na mnie nie gniewa. Postaram się teraz przejść jak najprędzej do okresu, który z pewnością Pana interesuje — do okresu zaginięcia diamentu.

Ale przedtem muszę coś jeszcze Panu powiedzieć.

Dopóki byłam złodziejką, życie nie było dla mnie zbyt wielkim ciężarem. Dopiero wówczas, kiedy w domu poprawczym otwarto mi oczy na moje pohańbienie i nauczono mnie, abyri dążyła do rzeczy bardziej wzniosłych, dni stały się nieznośnie długie i nużące. Opadały mnie wciąż myśli o przyszłości. Odczuwałam dotkliwie, jak wielkim wyrzutem jest dla mnie istnienie ludzi uczciwych — nawet najlepszych i dla mnie najżyczliwszych. Gdziekolwiek się znajdowałam, cokolwiek robiłam, z kimkolwiek się widywałam, nie odstępowało mnie poczucie straszliwego osamotnienia. Wiem, że powinnam była starać się

o pozyskanie sobie względów koleżanek i kolegów na owym miejscu. Alenie mogłam się jakoś z nimi zaprzyjaźnić. Zdawało mi się wciąż, że domyślają się, kim byłam przedtem. Nie żałuję wcale, że powzięłam postanowienie poprawy, na pewno tego nie żałuję, ale—mój Boże!— jakże smutne było moje życie. Wtargnął Pan do niego niby promień słońca, ale potem Pan także sprawił mi zawód. Byłam dość szalona, by Pana pokochać, ale nie potrafiłam nawet zwrócić na siebie Pańskiej uwagi. Było to dla mnie źródłem wielkiej udręki— nieustannej udręki.

Przechodzę teraz wreszcie do tego, co chcę Panu powiedzieć. W tym okresie, kiedy byłam tak rozgoryczona, chodziłam w wolne dni na swoje ulubione miejsce — na plażę nad Drżącymi Piaskami,

i mówiłam sobie: „Tu się chyba to skończy. Kiedy nie zdołam tego dłużej znieść, sądzę, że tu się zakończą moje cierpienia”. Musi Pan wiedzieć, sir, że miejsce to jeszcze przed Pana przyjazdem wywierało na mnie dziwny urok. Zawsze miałam przeczucie, że tam, na ruchomych piaskach, spotka mnie kiedyś coś złego. Nigdy jednakże aż do okresu, o którym obecnie piszę, nie przeszło, mi przez myśl, że tu właśnie jest sposób na pozbawienie się życia. Wówczas pomyślałam sobie po raz pierwszy, że mam przecież miejsce, gdzie mogę w ciągu

paru chwil skończyć ze wszystkimi niepowodzeniami — / które skryje mnie na zawsze w swych głębinach.

To wszystko, co mam do powiedzenia o sobie, począwszy od poranka, kiedy pierwszy raz Pana ujrzałam, aż do poranka, kiedy dom obiegła groźna wieść o zaginięciu diamentu.

Drażniło mnie okropnie niemądre gadanie wszystkich służących, które zastanawiały się tylko, kogo należy przede wszystkim podejrzewać, i zła byłam na Pana (bo przecież o niczym jeszcze wtedy nie wiedziałam), że tak się Pan stara odnaleźć diament i że wezwał Pan policję, toteż trzymałam się na uboczu aż do chwili, kiedy przyjechał urzędnik policji z Frizinghall.

Pan Seegrave, jak Pan zapewne pamięta, zaczął od tego, że ustawił straż przed pokojami pańien służących, wszystkie więc niewiasty oburzone pobiegły za nim na górę, żądając, aby wyjaśnił, co ma znaczyć ta zniewaga. Poszłam wraz z nimi, gdybym bowiem postąpiła inaczej, pan Seegrave od razu zacząłby mnie podejrzewać, bo taki to już człowiek. Zastaliśmy go w pokoju panny Racheli. Oznajmił nam, że nie będzie tolerował obecności tylu kobiet, wskazał startą farbę na drzwiach mówiąc, że to spódnica którejś z nas wyrządziła tę szkodę, po czym kazał nam wszystkim iść na dół.

Po wyjściu z pokoju panny Racheli zatrzymałam się przez chwilę na półpiętrze, żeby zobaczyć, czy to nie ja przypadkiem starłam farbę, plamiąc spódnicę. Penelopa Betteredge (jedyna niewiasta, z którą byłam w przyjaznych stosunkach) mijając mnie zauważyła, co robię.

— Nie trudź się, Rosanno — rzekła — farba na drzwiach panny Racheli jest już od kilku godzin sucha. Powiedziałabym o tym panu Seegrave'owi, gdyby nie ustawił strażnika przed drzwiami naszych pokoi. Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale mnie w życiu jeszcze nikt tak nie znieważył!

Penelopa ma zapalczywe usposobienie. Uspokoiliam ją i powróciłam do tego, co mówiła o farbie.

— Skąd wiesz, że jest od kilku godzin sucha? — spytałam.

— Byłam wczoraj przez cały ranek z panną Rachelą i panem Franklinem — odparła Penelopa. — Mieszałam farby, gdy oni kończyli malować drzwi. Słyszałam, jak panna Rachela pyta/a, czy drzwi wyschną na wieczór, żeby goście, co przyjadą na przyjęcie, mogli je obejrzeć. Pan Franklin potrząsnął głową i powiedział, że wyschną dopiero za dwanaście godzin. Kiedy skończy/i, dochodziła trzecia. Co na to twoja arytmetyka, Rosanno? Bo podług mojej arytmetyki drzwi musiały być suche dzisiaj o trzeciej nad ranem.

— Czy jakieś panie chodzi/y wczoraj wieczorem na górę, żeby je obejrzeć? — spytałam. — Słyszałam, zdaje się, jak panna Rachela ostrzega/a gości, żeby trzyma/i się z dala od drzwi.

— W każdym razie żadna z pań nie starła farby — oświadczyła

Penelopa.—Zostaw/łam o północy pannę Rachelę włożku. I pamiętam, że na drzwiach nie było żadnej smugi.

— Czyś nie powinna wspomnieć o tym panu Seegrave'owi?

— Za skarby świata nie powiem panu Seegrave'owiniec, co może mu się przydać!

Poszła do swojej roboty, a ja do swojej.

Do obowiązków moich, proszę Pana, należało pościła Pańskie łóżko i sprzątnąć Pański pokój. Była to dla mnie zwykle najmilsza godzina dnia. Całowałam poduszkę, na której głowa Pańska spoczywała przez całą noc. Nigdy chyba nikt nie składał Panu ubrań tak starannie i dokładnie jak ja. Na żadnym z bibelotów stojących na Pańskiej toalecie nie znalazłby Pan ani odrobiny kurzu. Nie zwracał pan na to uwagi, podobnie jak nie zwracał Pan uwagi na mnie. Ale przepraszam bardzo, znów się zapominam. Postaram się teraz opowiedzieć wszystko jak najzwięźlelej.

Otóż poszłam owego ranka do Pańskiego pokoju. Na łóżku leżała Pańska nocna koszula — tak jak ją Pan rzucił przy ubieraniu. Wzięłam ją, żeby złożyć, i ujrzalam smugę farby z drzwi panny Racheli!

Byłam tak zaskoczona tym odkryciem, że z koszulą w ręku wypadłam na korytarz, pobiegłam na kuchenne schody i zamknęłam się w swoim pokoju, żeby obejrzeć ją dokładnie, spokojna, że nikt nie wejdzie i mi w tym nie przeszkodzi.

Gdy mogłam już oddychać swobodniej, przypomniałam sobie rozmowę z Penelopą i powiedziałam w duchu: „Oto dowód, że on był w buduarze panny Racheli między dwunastą w nocy a trzecią nad ranem!”

Nie powiem Panu wprost, jakie podejrzenie przemknęło mi przez myśl, kiedy dokonałam tego odkrycia. Rozgniewałby się Pan tylko i w gniewie- mógłby podrzeć mój list nie czytając go do końca.

Wystarczy, gdy powiem, co następuje: po dokładnym przemyśleniu sprawy, doszłam do wniosku, że taka rzecz jest mało prawdopodobna z powodów, które za chwilę wyluszczę. Gdyby Pan był o tej porze nocy w buduarze panny Racheli z jej wiedzą i gdyby Pan był tak lekkomyślny, aby nie pamiętać o świeżo malowanych drzwiach, ona przypomniałaby Panu o tym — ona nie pozwoliłaby nigdy, żeby zabrał Pan ze sobą taki dowód rzeczowy przeciwko niej, jaki trzymałam w tej chwili w ręku! Jednocześnie przyznam się jednak, że nie byłam zupełnie pewna, czy podejrzenia moje są całkowicie bezpodstawne. Proszę nie zapominać, że nienawidziłam panny Racheli. Jeśli więc Pan zdoła, proszę wziąć pod uwagę, że na dzień mojego rozumowania kryła się odrobina owej nienawiści. Postanowiłam więc w końcu zatrzymać u siebie Pańską koszulę nocną i zobaczyć z czasem, jaki mogę z niej zrobić użytek. Nie miałam jeszcze wtedy, zechce Pan pamiętać, najmniejszego pojęcia, że to Pan skradł diament.

W tym miejscu po raz drugi przerwałem czytanie listu.

Owe partie dotyczące wyznania nieszczęśliwej dziewczyny w związku z moją osobą czytałem z niefałszowanym zdumieniem i — mogę to dodać uczciwie — ze szczerym przejęciem. Żałowałem, naprawdę żałowałem uwłaczającego oskarżenia, które lekkomyślnie rzuciłem na jej pamięć, zanim jeszcze zajrzałem do listu. Ale kiedy doszedłem do cytowanego wyżej ustępu, ogarnęło mnie znów rozgoryczenie.

— Resztę przeczytaj sobie sam — powiedziałem, podając Betteredge'owi list. — Jeżeli jest tam coś, co powinienem przeczytać, powiesz mi w toku lektury.

— Rozumiem pana, panie Franklinie — odrzekł. — To całkiem naturalne z pana strony. I niechaj Pan Bóg ma nas w swojej opiece — dodał ciszej — wszystko to jest niemniej naturalne z jej strony!

Dalszy ciąg listu przepisuję z oryginału, który znajduje się obecnie w moim posiadaniu.

Skoro postano wiałam już zatrzymać u siebie Pańską koszulę nocną, aby zobaczyć, jaki użytek zdoła z niej zrobić moja miłość albo też moja zemsta (dotychczas nie wiem, które z tych uczuć), należało z kolei zastanowić się, jak ją schować, żeby nikt się w tym nie zorientował.

Był na to jeden tylko sposób — zrobić drugą identyczną koszulę nocną, zanim nadejdzie sobota i praczka zgłosi się do domu ze swoim rejestrem.

Lękałam się odkładać to przedsięwzięcie do następnego dnia (czyli do piątku), nie byłam bowiem pewna, czy tymczasem nie zdarzy się coś nieprzewidzianego. Postanowiłam uszyć koszulę nocną jeszcze tego samego dnia (w czwartek), mogłam bowiem liczyć na to, że jeśli zręcznie rozegram partię, będę miała dość czasu. Przynajmniej więc schowałam koszulę do swojej komody, po czym udałam się do Pańskiego pokoju — nie tyle po to, aby w nim posprzątać (Penelopa zrobiłaby to za mnie, gdybym ją poprosiła), ile po to, aby się przekonać, czy nie zostawił Pan śladów farby na łóżku albo na innym jakimś meblu.

Obejrzałam wszystko dokładnie i w końcu znalazłam kilka nikłych śladów farby na wewnętrznej stronie Pańskiego szlafroka — nie na płóciennym szlafroku, który nosił Pan zazwyczaj w lecie, lecz na flanelowym, który również miał Pan ze sobą. Przypuszczam, że zimno się Panu zrobiło po tych wędrówkach w samej koszuli i włożył Pan najcieplejszą rzecz, jaką mógł znaleźć. W każdym razie na wewnętrznej stronie szlafroka znalazłam ledwie dostrzegalne ślady farby. Usunęłam je bez trudu, zdrapując zaschniętą farbę z flaneli. Został więc już tylko jeden dowód — dowód, zamknięty w mojej szufladzie.

Skończyłam właśnie sprzątanie Pańskiego pokoju, kiedy wezwał mnie do siebie pan Seegrave, aby przesłuchać mnie wraz z resztą służby. Potem nastąpiła rewizja wszystkich naszych kuferków. A po-

tem najdziwniejsze wydarzenie dnia — przynajmniej dla mnie — od chwili, gdy znalazłam smugę farby na Pańskiej koszuli nocnej. Wynikło ono z drugiego przesłuchania, któremu inspektor Seegrave poddał Penelopę Betteredge.

Penelopa wróciła nie posiadając się z oburzenia na sposób, w jaki pan Seegrave ją potraktował. Bez wielkich ceregieli dał jej mianowicie do zrozumienia, że podejrzewa ją o kradzież diamentu. Wiadomość ta wszystkie nas wprawi/a w zdumienie, wszystkie też zapytałyśmy: „dlaczego?”

— Bo diament znajdował się w buduarze panny Racheli — odparła Penelopa — a ja byłam ostatnią osobą, która tamtędy przechodziła!

Zanim jeszcze słowa te padły z jej ust, przypomniałam sobie, że ktoś był jeszcze przecież w buduarze po Penelopie. Osobą tą był Pan. W głowie mi zawirowało, w myślach miałam zamęt. Jednocześnie coś podszeptało mi nagle, że smuga na Pańskiej koszuli może mieć znaczenie zgoła odmienne od tego, jakie ja jej dotychczas nadawałam. „Jeżeli podejrzana jest ostatnia osoba, która była w buduarze, to nie Penelopa skradła diament, lecz pan Franklin Biake!”

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, zawstydzilibym się chyba natychmiast tego podejrzenia. Ale sama myśl o tym, że PAN zniżył się do mojego poziomu, i że ja mając u siebie Pańską koszulę mogę tym samym uchronić Pana przed zdemaskowaniem i hańbą — jak powiadam, sama ta myśl otworzyła przede mną takie perspektywy pozyskania Pańskiej życzliwości, że od podejrzenia przeszłam, że tak powiem, na oślep do przeświadczenia. Wyrozumowałam sobie od razu, że Pan od początku był najbardziej czynny w tej sprawie i sprowadził niezwłocznie policję tylko w tym celu, aby wszystkich zmylić, i że ręka, która porwała klejnot panny Racheli może być tylko i wyłącznie Pańską ręką.

To moje nowe niespodziane odkrycie musiało mnie chyba przyprawić o zawrót głowy. Poczułam nieprzepartą ochotę zobaczenia się z Panem, zacementowania Pana zręcznym słówkiem na temat diamentu, zmuszając Pana w ten sposób, aby na mnie spojrzął i do mnie przemówił. Przyglądałam więc włosy, ogarnęłam się jak najschludniej i śmiało posz/am do biblioteki, gdzie, jak wiedziałam, zajęty był Pan pisaniem.

Zostawił Pan na górze jeden ze swoich pierścieni, co stanowiło dla mnie doskonały pretekst. Ale drogi Panie! Jeżeli kochał Pan kiedykolwiek, zrozumie Pan, że opuściła mnie od razu cała odwaga, kiedy weszłam do pokoju i znalazłam się przed Pańskim obliczem. Przy tym spojrzął Pan na mnie tak oziębło i podziękował mi za zwrot pierścienia tonem tak obojętnym, że kolana ugięły się przede mną i zdawało mi się, że padnę zemdlona u Jego stóp. Wypowiedziawszy zdawkowe podziękowanie wnie znó w skierował Pan wzrok na leżący przed Nim papier. Powiedziałam: „Dziwna jest ta historia z diamentem, proszę pana.

prawda?" Podniósł Pan znów oczy i odpad: „A tak!" Mówi! Pan uprzejmiem (nie mogę temu zaprzeczyć), ale wciąż zachowywał Pan między nami dystans — okrutny dystans. Byłam przeświadczona, że mówiąc to ma Pan gdzieś przy sobie skradziony diament, poczułam więc nowy przyływ odwagi i w zapale chwili postanowiłam dać Panu do zrozumienia, że wiem coś o tym. Powiedziałam: „Oni nigdy nie znajdą diamentu, prawda? Na pewno go nie znajdą! Nie znajdą tej osoby, która go wzięła — rękę za to". Pokiwałam przy tym głową i uśmiechnęłam się do Pana znacząco, jakby mówiąc: „Już ja to wiem!" Tym razem spojrział Pan na mnie z odcieniem zainteresowania, ja zaś poczułam, że dalsza, chociażby krótka wymiana s/ów może doprowadzić do tego, że wyznamy sobie prawdę. Niestety w tej właśnie chwili pan Betteredge popsuł wszystko, zbliżając się do drzwi. Poznałam jego kroki, a wiedziałam, że nie wolno mi o tej porze dnia być w bibliotece — nie mówiąc o tym, że nie wolno mi być w niej sam na sam z Panem. Zdażyłam więc tylko wybiec czym prędzej, aby nie narazić się na to, iż pan Betteredge wejdzie i kaze mi opuścić pokój. Byłam zła i zawiedziona, ale mimo wszystko nie traciłam jeszcze nadziei. Lody zosta/y między nami przelamane — / postanowiłam sobie, że następnym razem zatroszczę się już o to, aby pan Betteredge mi nie przeszkodził.

Kiedy wróciłam do sali służby, dzwon wzywał nas na obiad. Było już późno, a ja musiałam jeszcze zdobyć materiał na nocną koszulę! Pozostawało mi jedno tylko wyjście. Przy obiedzie udałam chorą i dzięki temu aż do kolacji mogłam rozporządzać swoim czasem.

Nie potrzebuję opowiadać Panu, co robiłam, gdy wszyscy domownicy sądzili, że leżę w swoim pokoju. Nie potrzebuję mówić, jak spędziłam noc po tym, kiedy przy kolacji udałam znów chorą i kazano mi pójść do łóżka. Sierżant Cuff wykrył to wszystko, choć być może nie wykrył wielu innych rzeczy. Domyślałam się zresztą, w jaki sposób — widziano mnie zapewne w sklepie we Frizinghall (choć byłam w gęstej woalce). Nad ladą, przy której kupowałam płótno, wisiało lustro i w tym lustrze ujrzałam, jak jeden ze subiektów szepnął coś drugiemu wskazując moje ramię. Wieczorem zaś, kiedy szłam po kryjomu, słyszałam za drzwiami oddechy moich koleżanek, które żywiły w stosunku do mnie podejrzeń.

Nie miało to znaczenia wówczas i nie ma teraz. W piątek rano, na kilka godzin przedtem, nim sierżant Cuff wkroczył do domu lady Verinder, nowa koszu/a nocna — która miała zająć miejsce tej schowanej u mnie — była już gotowa, uprana, wysuszona, uprasowana, oznaczona, należycie złożona i spoczywa/a najspokojniej w Pańskiej szufladzie. Nie miałam nawet obaw, że wygląd koszuli zdradzi mnie w wypadku, gdyby ktoś zechciał uważnie oglądać Pańską bieliznę. Cała Pańska bielizna bowiem była mało noszona, gdyż zapewne sprawił Pan sobie nowy jej komplet po powrocie zza granicy.

Potem przyjechał sierżant Cuff, następną zaś wielką niespodzianką było jego zdanie o smudze na drzwiach.

Jak już wyznałam, skłonna byłam wierzyć w Pańską winę przede wszystkim dlatego, że chciałam, aby to Pan właśnie był winowajcą. A teraz sierżant inną zgoła drogą doszedł do tego samego wniosku co ja! I to ja miałam u siebie koszulę, stanowiącą jedyny dowód przeciwko Panu! I o tym nie wiedział nikt — nie wyłączając Pana samego! Lękam się opowiedzieć Panu, co czułam, zastanawiając się nad tym wszystkim — znienawidzi/by Pan moją pamięć na wieki.

W tym miejscu Betteredge podniósł wzrok znad listu.

— Jak dotychczas ani promyczka światła, panie Franklinie — rzekł, zdejmując swoje ciężkie okulary w rogowej oprawie i odsuwając wyznanie Rosanny. — Czy doszedł pan tymczasem do jakichś wniosków?

— Skończ najpierw list Betteredge. Może na końcu będzie coś, co nas oświeci. Kiedy skończysz, powiem ci kilka Słów.

— Słucham, sir. Dam tylko odpocząć chwilę oczom, potem będę czytał dalej. A tymczasem, panie Franklinie, nie chcę pana przynaglać, ale może powie mi pan jak najkrócej, czy widzi pan jakieś wyjście z tej okropnej gmatwaniny?

— Widzę tylko, że muszę pojechać do Londynu i zobaczyć się z panem Bruffem — rzekłem.

— Jeżeli on mi nie pomoże...

— Co wtedy, sir?

— I jeżeli sierżant nie zechce opuścić swojego ustronia w Dorking...

— Nie zechce, panie Franklinie!

— Wówczas, Betteredge, o ile się teraz mogę zorientować, możliwości moje będą wyczerpane. Poza panem Bruffem i sierżantem nie znam innej duszy, która mogłaby mi w jakikolwiek sposób pomóc.

Ledwie wypowiedziałem te słowa, gdy jakaś ręka zapukała do drzwi. Widać było, że Betteredge jest zdziwiony i mocno niezadowolony z nadejścia intruza.

— Proszę! — zawołał z irytacją. — Ktokolwiek tam jest!

Drzwi się otworzyły i wszedł cicho najdziwniejszy człowiek, jakiego zdarzyło mi się widzieć w życiu. Sądząc z postaci i ruchów, musiał być jeszcze młody. Sądząc jednak z twarzy, przypuszczałem, że musi być starszy od Betteredge'a. Cerę miał smagłą jak Cygan, chude policzki tak wpadnięte, że sterczały kości. Zarysy pięknego, kształtnego nosa były takie, jakie spotyka się często wśród starctw narodów Wschodu i widuje tak rzadko wśród młodszych plemion zachodnich. Czoło wznosiło się nad brwiami, szlachetne, wysokie i proste. Twarz jednak okrywała się niezliczonych fałd i zmarszczek. Z dziwnej tej twarzy spoglądały dziwniejsze jeszcze, niezwykle łagodne, ciemne oczy — marzące i smutne, głęboko osadzone w oczodołach. Oczy te (przynajmniej jeśli chodzi o moje wrażenie) musiały przykuwać do siebie uwagę. Dodajmy do tego gęste, kędzierzawe włosy, które przez jakiś kaprys natury utraciły częściowo kolor w sposób wręcz zdumiewający.

Na czubku głowy połyskiwały nadal głęboką czernią, która stanowiła ich kolor naturalny, po bokach zaś — bez najmniejszego przejścia od czerni do siwizny, które złagodziłoby niezwykle kontrast — były białe jak u gołębia. Linia pomiędzy dwiema barwami nie miała nic wspólnego z regularnością. W jednym miejscu siwe włosy wrzynały się trójkątem w czarne, w innym znów czarne zachodziły na siwe. Patrzyłem na przybysza z zaciekawieniem, którego - przyznaję się ze wstydem — najzupełniej nie mogłem pohamować. Jego łagodne, ciemne oczy odwzajemniły mi dobrotliwie spojrzenie, na mój zaś brak manier, z jakim gapiłem się na niego, odpowiedział grzecznym zwrotem, na który z pewnością nie zasłużyłem.

— Najmocniej przepraszam — rzekł. — Nie wiedziałem, że pan Betteredge jest zajęty.

Wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał ją Betteredge'owi.

— Lista na przyszły tydzień — wyjaśnił.

Oczy jego znów przez chwilę spoczęły na mnie, po czym nieznajomy wyszedł z pokoju równie cicho, jak wszedł.

— Kto to jest? — zapytałem.

— Pomocnik pana Candy'ego — odrzekł Betteredge. — Nawiasem mówiąc, panie Franklinie, zmartwi pana pewnie wiadomość, że z naszym doktorem nie jest dobrze od czasu tego przeziębienia, którego się nabawił wracając z przyjęcia urodzinowego panny Racheli. Fizycznie jest zdrow, ale na skutek wysokiej gorączki stracił pamięć i jak dotychczas, prawie jej nie odzyskał. Cała praca teraz spada na jego pomocnika. Nie jest jej zresztą tak wiele, jeśli nie liczyć biedoty. Biedacy nie mają wyboru, uważa pan. Muszą prosić tego jegomościa z pstrokatymi włosami i cygańską cerą, boby wcale się nie mieli u kogo leczyć.

— Nie lubisz go, Betteredge?

— Nikt go nie lubi, sir.

— Dlaczego taki jest niepopularny?

— Widzi pan, po pierwsze samym już wyglądem zraża sobie ludzi. A poza tym powiadają, że pan Candy przyjął go z bardzo wątpliwymi rekomendacjami. Nikt nie wie, co to za jeden, i nie ma on w tych stronach żadnych przyjaciół. Trudno go po tym wszystkim lubić!

— Wręcz niepodobna! Czy wolno wiedzieć, czego chciał do ciebie, wręczając ci tę kartkę?

— Przyniósł mi tylko listę chorych z okolicy, którym potrzeba wzmacniającego wina. Moja pani zawsze rozdawała chorym dobry portwajn i xeres i panna Racheli życzy sobie, aby ten zwyczaj zachowano. Ach, jakże się wszystko zmieniło, jakże się zmieniło! Pamiętam, jak sam pan Candy przynosił listę miłady. Teraz pomocnik pana Candy'ego przynosi listę mnie. No, za pozwoleniem pańskim, będę czytał dalej, sir — rzeki Betteredge, przysuwając sobie wyznanie Rosanny Spearman. - Nie jest to wesoła lektura, zapewniam pana. Ale co tam! Ma w każdym razie tę dobrą stronę, że nie pozwala mi roztkliwiać się nad tym, co było. — Betteredge włożył okulary i potrzęsął ze smutkiem głową. — Jest spora doza rozsądku w zachowaniu

naszym wobec naszych matek, kiedy te wyprawiają nas w drogę życiową, panie Franklinie. Wszyscy przychodzimy na ten świat mniej lub bardziej niechętnie. I wszyscy mamy słuszość.

Pomocnik pana Candy'ego wywarł na mnie zbyt silne wrażenie, abym mógł od razu przestać o nim myśleć. Pomiąłem milczeniem ostatnią sentencję ze skarbicy mądrości Betteredge'a i powróciłem do tematu człowieka

o „pstrokatych” włosach.

— Jak on się nazywa? — spytałem.

— Równie brzydko jak wygląda — odparł mrukliwie Betteredge. — Ezra Jennings.

ROZDZIAŁ V

Zakomunikowawszy mi nazwisko pomocnika pana Candy'ego, Betteredge uzna! widocznie, że dość zmarnowaliśmy czasu na ten nieistotny temat

i powrócił do lektury listu Rosanny Spearman.

Siedziałem przy oknie, czekając, aż skończy. Wrażenie, jakie wywarł na mnie Ezra Jennings — a było rzeczą niepojętą, że w moim stanie ducha jakikolwiek człowiek zdołał w ogóle wyrzucić na mnie jakiegokolwiek wrażenie! — poczęło się stopniowo zacierać. Myśli moje wróciły na utarte ścieżki. Jeszcze raz zmusiłem się do tego, by spojrzeć w oczy swej niewiarygodnej sytuacji i jeszcze raz przejrzałem w myśli plan działania, który przywołując na pomoc całe opanowanie, zdołałem w końcu ułożyć.

Muszę jeszcze dziś wrócić do Londynu, opowiedzieć o wszystkim panu Bruffowi i wreszcie — rzecz najważniejsza! — uzyskać (za wszelką cenę i kosztem największych ofiar) widzenie z Rachelą — tak wyglądał ów plan. Do odjazdu pociągu pozostawała jeszcze godzina czasu. Istniała też możliwość, że Betteredge znajdzie w dalszej części listu Rosanny coś, co powinienem wiedzieć, zanim opuszczę dom, w którym diament zaginął. Czekałem więc ze względu na tę możliwość.

List kończył się następująco:

Nie powinien się Pan gniewać na mnie. Panie Franklinie, jeśli nawet odczuwałam pewien tryumf na myśl, że mam w ręku całą Pańską przyszłość- Wkrótce bowiem opadły mnie znów troski i niepokoje. Wobec poglądu, jaki sierżant Cuff wyrobił sobie na sprawę zaginięcia diamentu, było rzeczą pewną, że zechce on w końcu zrewidować naszą bieliznę i nasze suknie. W moim pokoju — podobnie zresztą jak

w całym domu.....- nie było takiego miejsca, które uważałabym za

zupełnie bezpieczne. Jak więc ukryć koszulę nocną, żeby nawet sierżant nie zdołał jej odnaleźć? I jak zrobić to nie tracąc ani chwili cennego czasu? Nie były to łatwe pytania. Wybrnęłam na razie z sytuacji obierając drogę, która być może Pana rozśmieszy. Rozebrałam się i włożyłam nocną koszulę na siebie. Pan ją nosił — świadomość więc, że noszę ją po Panu dostarczyła mi znów odrobiny radości.

Następna wiadomość, która dotarła do hali służby, dowiodła, że załatwiłam sprawę koszuli w samą porę. Sierżant Cuff zażądał rejestru prania.

Znalazłam rejestr i zaniósłam go sierżantowi do pokoju m/lady. Za dawnych czasów nieraz już spotykałam na swej drodze sierżanta. Pewna byłam, że mnie pozna — nie byłam jednak pewna, co zrobi widząc, że pracuję jako służąca w domu, w którym zginął cenny klejnot. Wolałam więc położyć kres tej niepewności, nasuwając mu się czym prędzej na oczy, aby od razu dowiedzieć się najgorszego.

Gdy podałam sierżantowi książkę, spojrzął na mnie, jak gdyby mnie widział po raz pierwszy w życiu, i z wyszukaną uprzejmością podziękował mi za przyniesienie rejestru. Uznałam, że to bardzo zły znak. Niepodobna było przewidzieć, co powie o mnie za moimi plecami, niepodobna było przewidzieć, kiedy każe wziąć mnie pod straż i zrewidować. Wrócił Pan wtedy właśnie po odwiezieniu pana Godfrey'a Ablewhite'a na kolej, poszłam więc do Pańskiej ulubionej alei licząc, że nadarzy mi się sposobność — być może ostatnia — rozmowy z Panem.

W alei nie znalazłam Pana, a na domiar złego pan Betteredge i sierżant Cuff przeszli obok miejsca, w którym się ukryłam — i sierżant mnie zauważył.

Nie miałam innego wyjścia, jak powrócić do swojej pracy, zanim spotka mnie nowe niepowodzenie. Zamierzałam właśnie odejść, gdy Pan wrócił z kolei. Szedł Pan prosto do swego ulubionego miejsca spacerów, gdy ujrzał Pan mnie — jestem pewna, sir, że mnie Pan widział — zawrócił Pan na pięcie, jakbym była zadżumiona, i wszedł do domu.*

Postarałam się wśliznąć niepostrzeżenie do domu przez kuchenne wejście. W pralni nie było o tej porze nikogo, usiadłam więc w samotności. Opowiadałam już Panu, jakie myśli budziły we mnie Drżące Piaski. Myśli te powróciły teraz do mnie ze zdwojoną siłą. Rozważałam, co będzie dla mnie trudniejsze, jeśli sprawy pójdą dalej tym trybem — znosić obojętność pana Franklina Blake'a czy też skoczyć w otchłań ruchomych piasków i w ten sposób położyć kres udrepcę?

Nie warto pytać mnie o powody moich postępków w owym czasie. Sama staram się je sobie uświadomić — lecz nie mogę.

Czemu nie zatrzymałam Pana, kiedy cofnął się Pan przede mną w sposób tak okrutny? Czemu nie zawołałam: „Panie Franklinie, mam Panu coś do powiedzenia, dotyczy to Pana i musi mnie Pan wysłuchać!” Był Pan na mojej łasce i nielasce — miałam Pana, jak to się mówi, w ręku. Powiem więcej, mogłam być Panu użyteczna, gdyby

** Uwaga Franklina Blake'a: — Biedna dziewczyna była w błędzie. Nie zauważyłem jej wcale. Owszem, zamierzałem udać się do ogrodu i do swojej ulubionej alei, przypomniałem sobie jednak, że moja ciotka zechce być może zobaczyć się ze mną po moim powrocie ze stacji, zmieniłem więc zamiar i poszedłem do domu.*

tylko udało mi się Go skłonić, by mi zaufał. Oczywiście nie przypuszczałam ani przez chwilę, że skradł Pan diament dla samej przyjemności kradzieży. Nie. Penelopa słyszała, jak panna Rachela mówiła o Pańskiej rozrzutności i długach, ja zaś słyszałam, jak o tym samym mówił pan Betteredge. Nie ulegało więc dla mnie wątpliwości, że zabrał Pan diament, żeby go sprzedać lub zastawić i zdobyć w ten sposób pieniądze. Doskonale! Mogłam skierować Pana do pewnego człowieka w Londynie, Człowiek ten pożyczylby Panu pokazną sumę pod zastaw diamentu i nie zadawałby na ten temat kłopotliwych pytań.

Dlaczego się do Pana nie odezwałam? Czemu się nie odezwałam?!

Sama się zastanawiam, czy nie miałam już dość kłopotów i niebezpieczeństw z ukryciem nocnej koszu/i, aby ponosić dalsze ryzyko. Owszem, tak by się rzecz miała z 'inną kobietą, ale nie ze mną! W czasach kiedy byłam jeszcze złodziejką, narażałam się na stokroć gorsze niebezpieczeństwa i znajdowałam wyjście z kłopotów, wobec których te trudności były dziecinną igraszką. Przeszłam gruntowną szkołę przestępstwa t oszustwa, a niektóre przedsięwzięcia zakrojone były na tak szeroką skalę i przeprowadzone tak zręcznie, że zyskały rozgłos i pisano o nich w gazetach. Czyż więc taka drobnostka jak ukrycie koszu/i mogła gnębić mnie tak bardzo, ab',n nie zdobyła się na dostateczną odwagę w chwili, gdy miałam się do Pana zwrócić? Cóż za niemądre pytanie! Było to istne niepodobieństwo.

Ale na co się zda rozwozić dłużej nad własnym szaleństwem? Prawda jest chyba dość wyraźna — kochałam Pana z całego serca, z całej duszy. Ale gdy znajdowałam się w Pańskiej obecności — niepodobna tego ukryć — bałam się Pana, drżałam na myśl, że się pan na mnie rozgniewa, obawiałam się tego, co może mi Pan powiedzieć (choć ukradł Pan przecież diament), jeśli ośmielę się wyznać Panu, że to wykryłam. Byłam już bliska tego wyznania, kiedy zwróciłam się do Pana w bibliotece. Wtedy nie odwrócił się Pan do mnie plecami. Nie zaczął Pan uciekać ode mnie jak od zadżumionej. Próbowałam obudzić w sobie gniew na Pana i w ten sposób zdobyć się na odwagę. Ale nie! Czułam jedynie ból i upokorzenie! „Jesteś brzydka, masz krzywe ramię, jesteś tylko pokojówką — co sobie myślisz, jak śmiesz się do mnie odzywać?” Nie wyrzekł Pan tych s/ów, Panie Franklinie, ale powiedział mi Pan to swoim zachowaniem! Czy można wytłumaczyć podobne szaleństwo? Nie ma innej rady, jak przyznać się do niego i postawić na tym kropkę.

Przepraszam Pana raz jeszcze za te dygresje. Nie powtórzą się one więcej. Zbliżam się już do zakończenia.

Rozmyślenia moje w pustym pokoju przerwało wejście Penelopy. Przejrzała ona już od dawna moją tajemnicę i robiła, co mogła, aby przywieść mnie do opamiętania — okazując mi przy tym wiele serca i życzliwości.

— Ach! — rzekła — wiem, czemu siedzisz tutaj i gryziesz się

w samotności. Najlepiej będzie dla ciebie, Rosanno, jeżeli pan Franklin stąd wyjedzie. A jestem pewna, że teraz wkrótce to już nastąpi.

Nie przeszło mi dotychczas wcale przez myśl, że Pan może wyjechać. Nie mogłam odpowiedzieć Penelopie, mogłam tylko patrzeć na nią w osłupieniu.

— Wracam właśnie od panny Racheli— ciągnęła dalej Penelopa. — Jest w takiej furii, że doprawdy trudno mi to już znieść. Powiada, żenię może wytrzymać dłużej w domu, bo wciąż tu pełno policji, i dziś wieczorem porozmawia z milady, a jutro wyjedzie do swojej ciotki Ablewhite. Jeżeli to robi, możesz być pewna, że pan Franklin w krótkim czasie znajdzie jakiś pretekst do wyjazdu!

Odzyskałam na to mowę.

— Chcesz powiedzieć, że pan Franklin pojedzie z nią razem? — spytałam.

— O, pojechałby z miłą chęcią, gdyby mu pozwoliła, ale nie pozwoli. On też odczuł na własnej skórze jej złość, on też jest u niej teraz na czarnej liście, chociaż tak się biedak starał jej dopomóc! Nie, nie! Jeżeli się do jutra nie pogodzą, zobaczysz, że panna Rachela i pan Franklin rozjadą się w różne strony. Dokąd on się uda, tego nie wiem, ale po wyjeździe panny Racheli z pewnością nie zostanie tutaj, Rosanno.

Całym wysiłkiem woli ukryłam rozpacz, jaką napelniała mnie perspektywa Pańskiego wyjazdu. Prawdę mówiąc, możliwość poważniejszych rozdzwień między Panem a panną Rachelą była dla mnie promyczkiem nadziei.

— Czy wiesz, o co się pokłócili? — spytałam.

— To tylko panna Rachela gniewa się na niego — odparła Penelopa. — A o ile się orientuję, przyczyną są jej humory, nic więcej. Nie chcę cię martwić, Rosanno, ale nie wyobrażaj sobie, że pan Franklin mógłby się z nią kiedykolwiek pokłócić. Zbyt jest w niej zakochany!

Ledwie wyrzekła te okrutne słowa, gdy nas zawezwał Pan Bettered-ge. Cała służba miała zebrać się w sali. Następnie mieliśmy wchodzić kolejno do pokoju Betteredge'a, gdzie czekał na nas sierżant Cuff.

Na mnie wypadła kolej po pokojowej milady i po starszej pokojówce. Pytania sierżanta Cuffa — choć formułował je bardzo zręcznie — przekonały mnie wkrótce, że owe dwie niewiasty (najzacieklejsze moje nieprzyjaciółki) wykryły to i owo myszkując pod drzwiami mojego pokoju w czwartek po południu i w nocy z czwartku na piątek. Opowiedziały sierżantowi dość faktów, aby odsonić przed nim część prawdy. Słusznie przypuszczał, że uszyłam po kryjomu nową koszulę nocną, mylił się jednak sądząc, że koszu/a z plamą należała do mnie. Z tego, co mówił, wywnioskowałam coś jeszcze, co trudno mi było pojąć. Podejrzewał oczywiście, że zamieszana jestem w sprawę zniknięcia diamentu, jednocześnie wszakże dał mi do zrozumienia —

jak sądziłam, rozmyślnie — że nie uważa mnie za główną winowajczynię. Był najwyraźniej zdania, że działałam na rozkaz innej osoby. Kim miała być ta osoba, nie mogłam się domyślić i dotychczas się nie domyślałam.

Jedno nie u/ega/o dla mnie wątpliwości: sierżant Cuff daleki był od poznania całej prawdy. Był Pan bezpieczny, dopóki nie znaleziono koszuli nocnej' — ani chwili jednak dłużej.

Nie będę się stara/a opisać Panu rozterki i przerażenia, jakie mnie ogarne/o. Nie mogłam nosić dłużej Pańskiej koszuli. W każdej chwili mogli mnie jako podejrzaną zabrać na posterunek policji we Frizinghall i tam dokładnie zrewidować. Dopóki sierżant Cuff pozostawiał mi wolność, musiałam zdecydować — / to niezwłocznie — czy mam zniszczyć koszulę, czy też ukryć ją gdzieś w bezpiecznej odległości od domu.

Gdybym mniej Pana kochała, zniszczyłabym ją chyba. Ale jakże mogłam zniszczyć jedyną rzecz, która stanowiła dowód, że uratowałam Pana przed wykryciem? Gdyby doszło między nami do wyjaśnień i gdyby Pan, podejrzewając mnie o jakieś nieczne pobudki, wyparł się wszystkiego, koszula stanowiła jedyny argument, za pomocą którego mogłabym pozyskać Jego zaufanie. Czy krzywdziłam Pana sądząc, że nie zechce Pan może powierzyć swej tajemnicy ubogiej dziewczynie i pozwolić, by została współniczką kradzieży, do której popchnęły Pana kłopoty pieniężne? Proszę przypomnieć sobie, jak mnie Pan ozięble traktował, a nie będzie się Pan dziwił, iż nie zechciałam zniszczyć jedyne go przedmiotu, dającego mi prawo do Pańskiego zaufania i wdzięczności.

Postanowiłam więc ukryć koszulę i wybrałam w tym celu miejsce, które najlepiej znalazłam — Drżące Piaski.

Zaraz po przesłuchaniu użyłam pierwszej wymówki, jaka mi przyszła do głowy, poprosiłam mianowicie, aby wolno mi było wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem. Udałam się prosto do Cobb's Hole, do domku pana Yollanda. Jego żona i córka są moimi najlepszymi przyjaciółkami. Proszę nie przypuszczać jednak, że powierzyłam im Pańską tajemnicę — nie ufałam nikomu. Chciałam tylko napisać do Pana ten list i mieć sposobność do zdjęcia koszuli. Jako osoba podejrzana, nie mogłam zrobić tego w domu.

Dochodzę teraz do kresu mojego długiego listu, który piszę w samotności pokoju Lucy Yolland. Kiedy go fakończę, zejść na dół z koszulą zwiniętą i ukrytą pod peleryną. Poszukam wśród rupieci w kuchni pani Yolland odpowiedniego naczynia, w którym będę mogła przechować koszulę w upatrzonym miejscu. Następnie pójdę na Drżące Piaski — niech się Pan nie lęka, że ślady stóp mnie zdradzą! — i ukryję koszulę w piasku, gdzie nie odnajdzie jej nikt z żyjących, jeśli go sama nie wtajemniczę.

A gdy to wszystko wykonam — co wtedy? Wtedy, Panie Franklinie,

będę miała dwa powody, aby jeszcze raz próbować powiedzieć Panu owe słowa, których dotychczas nie powiedziałam. Jeżeli wyjedzie Pan, jak przewiduje Penelopa, i jeżeli przedtem się z Panem nie porozumiem, sposobność będzie utracona na zawsze. Oto pierwszy powód. Ponadto — jeżeli śmiałość moja wprawi Pana w gniew — mam pokrzepiającą świadomość, że koszu/a gotowa jest przemówić za mnie, gdy sama nie zdołam Pana przekonać. To jest powód drugi. Jeżeli obydwaj powody nie natchną mnie dostatecznym hartem, aby znieść Pańską oziębłość, na tym będzie koniec moich wysiłków — /' koniec mojego życia.

Tak, jeżeli nie uda mi się skorzystać z następnej sposobności — jeżeli będzie Pan równie okrutny jak dotychczas, a ja równie dotkliwie jak dotychczas to odczuję — żegnaj świecie, któryś mi odmawia/ szczęścia, rozdawanego hojnie innym. Żegnaj, życie, które jedynie odrobina Pańskiej dobroci może znów uczynić dla mnie znośnym. Niech Pan sobie nie robi wyrzutów, jeżeli tak się to wszystko skończy. Ale proszę, proszę, niech Pan poczuje dla mnie odrobinę wyrozumienia i współczucia! Postaram się, żeby się Pan dowiedział, co dla Niego zrobiłam, kiedy sama już nie będę mogła Mu o tym donieść. Czy powie Pan wówczas o mnie coś dobrego — tym samym serdecznym tonem, jakim zwraca się Pan do panny Racheli? Jeżeli tak i jeżeli duchy istnieją, sądzę, że duch mój usłyszy te słowa i zadrży z radosnego uniesienia.

Czas już kończyć. Doprowadziłam się tym listem do płaczu. Jakże trafię do upatrzonego miejsca, jeżeli/ pozwolę, aby te próżne Izy mnie osłepiły?

Zresztą, czemu mam patrzeć tak czarno na rzeczy? Czemu nie mam wierzyć, dopóki jestem do tego zdolna, że wszystko jeszcze skończy się dobrze? Może tralię dziś wieczorem na Pański dobry humor — a jeśli nie, to może jutro powiedzie mi się lepiej? Nie przysporzę sobie urody, jeżeli będę się zamartwiała, nieprawdaż? Kto wie, może niepotrzebnie zapisałam te niezliczone karty papieru? Gwoli bezpieczeństwa (mniejsza już teraz o inne powody) ukryję je w schowku wraz z koszulą. Napisanie tego listu było ciężką, bardzo ciężką pracą. O, z jaką radością podrę go na strzępy, jeśli tytko w końcu dojdzie między nami do porozumienia!

Mam zaszczyt pozostać Pańską szczerze kochającą i uniożoną służką

Hosanna Spearman

Betteredge w milczeniu zakończył czytanie listu. Włożył go starannie, schował do koperty i siedział z pochyloną głową wpatrując się w podłogę.

— Betteredge — spytałem — czy na końcu listu jest jakaś wskazówka, którą moglibyśmy się kierować?

Podniósł wolno oczy i westchnął ciężko.

— Nic tam nie ma, panie Franklinie — odparł. — Jeżeli zechce pan usłuchać

mojej rady, zachowa pan ten list gdzieś pod kluczem, dopóki kłopoty pańskie nie dobiegną końca. Kiedykolwiek go pan przeczyta, będzie to dla pana ciężkim przejściem. Proszę go teraz nie czytać. Schowałem list do portfela.

Rzut oka na szesnasty i siedemnasty rozdział relacji Betteredge'a przekona czytelnika, że istniały rzeczywiście powody, abym się oszczędzał w owej chwili, gdy mój hart ducha był i tak już wystawiony na bardzo ciężką próbę. Biedna kobieta dwukrotnie czyniła ostatecznie próby porozmawiania ze mną, nieszczęście zaś chciało, że ja (Bóg widzi, jak bardzo niewinnie) próby te odtrącałem. W piątek wieczorem, jak zgodnie z prawdą opisuje Betteredge, zastała mnie samego przy bilardzie. Zachowanie jej i słowa nasunęły mi myśl — jak zresztą nasunęłyby każdemu w tych warunkach — że chce mi coś wyznać w związku z zaginięciem diamentu. Dla jej własnego dobra postarałem się nie zdradzać zainteresowania tym, co mam usłyszeć, dla jej własnego dobra patrzyłem rozmyślnie na kule bilardowe zamiast na nią — i jakież byt tego wynik? Odepchnąłem ją, raniąc w samo serce! W sobotę — w dniu, gdy po tym, co jej powiedziała Penelopa, musiała domyślać się, że chwila mojego odjazdu jest bliska, prześladowała nas ta sama fatalność. Rosanna jeszcze raz próbowała znaleźć mnie w moim ulubionym miejscu spacerów i zastała mnie tam w towarzystwie Betteredge'a i sierżanta Cuffa. Słyszała, jak sierżant — mając w tym swój cel — zaapelował do mojego zainteresowania Rosanną. I znów dla dobra nieszczęsnej dziewczyny oparłem się zakusom sierżanta i oświadczyłem — głośno, tak aby ona również to słyszała — że „Rosanna Spearman nie interesuje mnie ani trochę”. Na te słowa, którymi chciałem ją tylko ostrzec, by nie próbowała teraz ze mną mówić, Rosanna odwróciła się i odeszła zrozumiawszy ostrzeżenie — jak sądziłem wówczas, a skazując się dobrowolnie na zagładę — jak to wiem teraz. Opisałem już następne wypadki, które doprowadziły mnie do zdumiewającego odkrycia, dokonanego na ruchomych piaskach. Retrospektywne odtworzenie faktów jest już zupełne. Pozostawiam teraz tragiczną historię Rosanny Spearman — o której nawet po tak długim czasie nie mogę myśleć bez bólu — aby czytelnicy dopowiedzieli sobie sami to wszystko, co tu umyślnie pominęto. Przejdę od jej samobójstwa w Drżących Piaskach, które w sposób tak niesamowity i posępny odbiło się na mojej ówczesnej pozycji i na moich przyszłych perspektywach, do spraw ludzi żyjących i do wydarzeń, które w owej chwili torowały mi już drogę w mej powolnej i uciążliwej wędrówce od ciemności ku światłu.

ROZDZIAŁ VI

Poszedłem na stację kolejową, odprowadzany — zbyteczne chyba nadmieniać — przez Gabriela Betteredge'a. W kieszeni miałem list, w podręcznej torbie koszulę nocną, aby jeszcze tego samego wieczora poddać obydwie te rzeczy inspekcji pana Bruffa.

Opuściliśmy dom w milczeniu. Stary Betteredge po raz pierwszy, odkąd go znałem, nie miał mi nic do powiedzenia. Ja wszakże rozpocząłem rozmowę, ledwie wyszliśmy za bramę parku.

— Zanim wyjadę do Londynu — zacząłem — chcę ci zadać dwa pytania. Dotyczą mnie osobiście i pewnie cię nieco zdziwią.

— Jeżeli tylko sprawią, że zapomnę o liście nieszczęśliwej dziewczyny, panie Franklinie, nie mi poza tym nie potrzeba. Proszę, niech pan czym prędzej zacznie mnie zadziwiać.

— Pierwsze pytanie jest takie: czy byłem pijany w wieczór urodzin Racheli?

— Pan pijany?! — zawołał mój stary przyjaciel. — Ależ to właśnie wielki pański feler, panie Franklinie, że pije pan tylko trochę wina przy obiedzie, a potem nie bierze do ust ani kropli mocniejszego trunku!

— Ale urodziny były szczególną okazją. Być może, zrobiłem tego wieczora wyjątek i odstąpiłem od zwykłych zasad.

Betteredge zastanowił się chwilę.

— Owszem, odstąpił pan od zwykłych zasad — rzekł. — i powiem panu, jak to było. Wyglądał pan bardzo mizernie i namówiliśmy pana, żeby wypił odrobinę koniaku z wodą na pokrzepienie.

— Nie jestem przyzwyczajony do koniaku z wodą. Być może więc...

— Chwileczkę, panie Franklinie. Ja też wiedziałem, że pan jest nie przyzwyczajony do koniaku. Nalałem panu pół kieliszka od wina naszego starego, pięćdziesięcioletniego koniaku i (do dziś się tego wstydzę) rozprowadziłem ten szlachetny trunek całą szklanką zimnej wody. Nawet dziecko nie mogłoby się tym upić, a co dopiero dorosły mężczyzna!

Wiedziałem, że w sprawach tego rodzaju mogę w zupełności polegać na jego pamięci. Niepodobna, abym był wówczas w stanie zamroczenia alkoholem. Przystąpiłem do drugiego pytania.

— Kiedy byłem małym chłopcem, Betteredge, przed moim wyjazdem za granicę, widywałeś mnie dość często, prawda? Powiedz mi teraz szczerze, czy nie pamiętasz, abym miał jakieś dziwne objawy? Czy nie zauważyłeś nigdy, żebym chodził we śnie?

Betteredge przystanął, przyglądał mi się przez chwilę, potem skinął głową i ruszył dalej.

— Widzę, do czego pan zmierza! — rzekł.— Chce pan sobie wytłumaczyć, w jaki sposób powalał pan farbą koszulę, sam o tym nie wiedząc. Ale nie tędy droga, sir. Jest pan równie daleki od prawdy, jak kiedykolwiek. Chodzić we śnie? Ależ nigdy w życiu to się panu nie zdarzyło!

Znów poczułem, że Betteredge ma rację. Ani w kraju, ani za granicą nie pędziłem nigdy samotniczego życia. Gdybym był lunatykiem, setki ludzi musiałyby to zauważyć i dla mojego dobra, i bezpieczeństwa uprzedziłyby mnie o tym.

Biorąc jednakże to wszystko pod uwagę, czepiałem się z uporem całkiem w tych warunkach zrozumiałym i wybaczalnym jednego lub drugiego z tych dwóch wyjaśnień, które mogły tłumaczyć moją nieznośną sytuację. Widząc,

ze wciąż jeszcze trwam w niepewności, Betteredge nawiązał zreżcznie do pewnych późniejszych wydarzeń dotyczących Kamienia Księżycowego, i raz na zawsze obalił obydwie moje teorie.

— Spróbujmy spojrzeć na rzecz z innej strony — rzekł. — Niech pan pozostanie przy swoim zdaniu i sam się przekona, dokąd ono pana zaprowadzi. Jeżeli mamy wierzyć koszuli nocnej, której ja na przykład nie wierzę, nie tylko powalał ją pan, sam o tym nie wiedząc, ale też sam o tym nie wiedząc zabrał pan diament. Słusznie mówię?

— Najzupełniej słusznie. Mów dalej.

— Bardzo dobrze, sir. Powiedzmy więc, że zabierając diament był pan pijany albo znajdował się pan we śnie lunatycznym. Mogłoby to tłumaczyć noc i poranek po urodzinach panny Racheli. Ale jakie wytłumaczenie znajdziemy na to, co zaszło potem? Diament zawieziono potem do Londynu. Następnie zastawiono go u pana Lukera. Czy to wszystko zrobił pan również sam o tym nie wiedząc? Czy był pan pijany, kiedy odprowadziłem pana do bryczki w ową sobotę po południu? I czy po przyjeździe do Londynu udał się pan we śnie lunatycznym do pana Lukera? Daruje mi pan te słowa, panie Franklinie, ale cała sprawa tak na pana podziałała, że sam jeden jej pan nie sprostą. Im prędzej naradzi się pan z panem Bruffem, tym prędzej znajdzie pan wyjście z tej matni.

Kiedy przyszliśmy na stację, do odjazdu pociągu zostało zaledwie kilka minut.

Podąłem naprędce Betteredge'owi swój adres w Londynie, żeby w razie potrzeby mógł do mnie napisać, i ze swej strony obiecałem, że będę go informował o wszelkich nowinach. W chwili gdy się już z nim, żegnałem, spojrzałem przypadkiem w kierunku kiosku z gazetami i książkami. Przed kioskiem stał niesamowity pomocnik pana Candy'ego i rozmawiał z właścicielem! Oczy nasze spotkały się. Ezra Jennings zdjął kapelusz i złożył mi ukłon. Odpowiedziałem ukłonem i wsiałem do wagonu, gdyż pociąg już ruszał. Rozmyślania na temat nie dotyczący mnie osobiście stanowiły dla mnie zapewne swego rodzaju odprężenie, w każdym bowiem razie rozpocząłem pamiętną drogę powrotną do pana Bruffa, zastanawiając się z dość niemądrym zresztą zdziwieniem nad tym, że oto zdarzyło mi się dwukrotnie w ciągu jednego dnia spotkać człowieka o pstrokatych włosach!

Przyjechałem do Londynu dość późnym wieczorem, nie miałem więc nadziei, że zastanę pana Bruffa w biurze. Udałem się tedy prosto z dworca do jego prywatnej rezydencji w Hampstead i przerwałem staremu prawnikowi drzemkę, którą odbywał samotnie w jadalni, mając ulubionego buldożka na kolanach i butelkę wina w zasięgu ręki.

Najlepiej opiszę wrażenie, jakie opowieść moja wywarła na panu Bruffie, jeśli zreferuję, co zrobił wysłuchawszy jej do końca. Kazał wnieść do gabinetu światło, podać mocną herbatę i powiadomić panie, że pod żadnym pozorem nie wolno nam przeszkadzać. Załatwiwszy się z tym wszystkim, obejrzał najpierw dokładnie przywiezioną przeze mnie koszulę nocną, a następnie przystąpił do czytania listu Rosanny Spearman.

Gdy go skończył, zwrócił się do mnie po raz pierwszy od chwili, gdy zamknęliśmy się w gabinecie.

— Franklinie Blakeu — powiedział — sprawa jest bardzo poważna, i to z kilku powodów. Dotyczy ona moim zdaniem Racheli niemal w równym stopniu, co ciebie. Przyczyna jej dziwnego zachowania nie jest już dla mnie tajemnicą. Rachela jest przekonana, żeś to ty skradł diament.

Rozważając dotychczas rzecz całą na własną rękę, wzdragałem się przed tym potwornym wnioskiem, niemniej jednak nasuwał mi się on wbrew mojej woli. Uświadomiłem sobie teraz, że ten właśnie wniosek umocnił mnie w postanowieniu, iż muszę za wszelką cenę zobaczyć się z Rachelą osobiście.

— Pierwszym krokiem w kierunku rozwiązania tej zagadki—ciągnął dalej prawnik— będzie zaapelowanie do Racheli. Milczała ona przez cały ten czas z pobudek, które znając jej charakter rozumiem doskonale. Po tym jednak, co zaszło, niepodobna godzić się dłużej z jej milczeniem. Należy nakłonić ją, lub nawet zmusić, aby powiedziała nam, na jakich podstawach opiera przekonanie o twojej winie. Być może, cała ta sprawa, choć na pozór tak poważna, okaże się zwykłym nieporozumieniem, jeśli tylko uda nam się przełamać opór Racheli i skłonić ją do mówienia.

— Jest to zdanie bardzo dla mnie pocieszające — rzekłem. — Przyznam się jednak, że chciałbym się dowiedzieć...

— Chciałbyś się dowiedzieć, czym je mogę uzasadnić — przerwał mi pan Bruff. — Owszem, powiem ci to w dwóch słowach. Przede wszystkim zrozumiem, że patrzę na rzeczy z prawniczego punktu widzenia. Dla mnie to kwestia dowodów. Doskonale. Otóż całe oskarżenie wysunięte przeciwko tobie załamuje się w pewnym bardzo istotnym punkcie.

— W jakim?

— Usłyszysz za chwilę. Przyznaję, że imię wyhaftowane na koszuli świadczy o tym, iż jest to twoja koszula. Przyznaję, że ślady farby świadczą o tym, iż ta właśnie koszula starła farbę z drzwi pokoju Racheli. Ale jaki mamy dowód na to, żeś to ty był właśnie ową osobą, która tę koszulę miała wówczas na sobie?

Argument ten zelektryzował mnie. Nie wpadło mi to wcale na myśl.

— Co się tyczy tego listu — mówił dalej pan Bruff biorąc wyznanie Rosanny — rozumiem, że musiał on wyrzucić na tobie wstrząsające wrażenie. Rozumiem też, że wzdrygasz się zapewne przed analizowaniem go w sposób ściśle bezstronny. Ale ja nie jestem w twojej sytuacji. Ja mogę rozpatrywać ten list w świetle swego zawodowego doświadczenia, podobnie jak rozpatrywałbym każdy inny dokument. Nie wspominając wcale o przestępczej przeszłości tej dziewczyny, stwierdzam tylko na podstawie własnych jej słów zawartych w tym liście, iż była ona mistrzynią w sztuce kłamstwa i oszukiwania, a wobec tego mam prawo podejrzewać, że nie opowiedziała ona tu całej prawdy. Nie będę na razie wysnuwał żadnych teorii na temat tego, co zrobiła lub czego nie zrobiła. Powiem tylko, że jeśli Rachela podejrzewa cię jedynie na podstawie tej koszuli, to dziewięćdziesiąt

dziewięć szans na sto przemawia za tym, że osobą, która jej tę koszulę pokazała, była Rosanna Spearman. W takim zaś wypadku mamy list tej dziewczyny, w którym wyznaje, że była zazdrosna o Rachelę, że zamieniała róże, że perspektywa kłótni między tobą a Rachelą stanowiła dla niej promień nadziei. Nie pytam na razie, kto skradł Kamień Księżycowy (choć dla osiągnięcia swego celu Rosanna Spearman byłaby gotowa skraść pięćdziesiąt Kamieni Księżycowych), stwierdzam tylko, że zniknięcie diamentu dało tej zdeklarowanej a zakochanej w tobie złodziejce sposobność poróżnienia ciebie z Rachelą raz na zawsze. Nie myślała ona jeszcze wtedy o pozbawieniu się życia, pamiętaj o tym, i twierdzę z całą stanowczością, że wyzyskanie tego rodzaju okazji było najzupełniej zgodne z jej charakterem. Co ty na to?

— Podobne podejrzenie przemknęło mi przez myśl, gdy tylko otworzyłem list — przyznałem.

— Otóż to właśnie! Ale kiedyś ten list przeczytał, ogarnęła cię litość dla nieszczęsnej dziewczyny i nie mogłeś się już zdobyć na podejrzenia. Przynosi ci to zaszczyt, mój panie, prawdziwy zaszczyt!

— A jeśli się jednak okaże, iż to ja miałem na sobie tę koszulę? Co wtedy?

— Nie widzę sposobu, w jaki można by tego dowieść — odparł pan Bruff. — Jednakże gdy założymy, że podobny fakt dar by się stwierdzić, wówczas dowiedzenie twojej niewinności byłoby sprawą niełatwą. Ale nie będziemy się tym na razie zajmowali. Poczekajmy i zobaczymy, czy Rachelę podejrzewa cię jedynie na podstawie świadectwa, jakim jest *nocna* koszula.

— Wielki Boże, jakże spokojnie mówi pan o tym, że Rachelę podejrzewa! — wybuchnąłem. — Jakim prawem podejrzewa mnie o to, że złodziej, choćby miała na to nie wiadomo ile dowodów i świadectw?

— Bardzo rozsądne pytanie, mój drogi. Wypowiedziane może z nieco nadmiernym przejęciem, warte jednak rozważenia. Otóż to, co ciebie dziwi, dziwi i mnie również. Poszukaj dobrze w pamięci i powiedz mi, co następuje: czy podczas twojego pobytu w domu lady Verinder zdarzyło się coś, co mogło zachwiać wiarę Racheli — nie powiem w twoje poczucie honoru, ale (choćby powód był jak najblahszy) w stałość twoich zasad?

Zerwałem się na nogi z wielkim wzburzeniem. Pytanie prawnika przypomniało mi po raz pierwszy od wyjazdu z Anglii, że coś przecież istotnie się zdarzyło.

W rozdziale ósmym relacji Betteredgea czytelnik znajdzie wzmiankę o przybyciu cudzoziemca, który pragnął widzieć się ze mną w pewnej sprawie. Otóż sprawa ta przedstawiała się następująco:

W swoim czasie, odczuwając jak zwykle brak pieniędzy, przyjąłem lekkomyślnie pożyczkę od pewnego właściciela małej restauracji paryskiej, której byłem stałym bywalcem. Ustaliliśmy termin spłaty pożyczki, gdy jednak termin ten nadszedł, okazało się (jak to się zdarza tysiącom innych uczciwych ludzi), że nie mogę go dotrzymać. Posłałem restauratorowi weksel. Podpis mój niestety ukazywał się dość często na tego rodzaju dokumentach, toteż restaurator nie chciał Veksła przyjąć. Od czasu gdy

zaciągnąłem u niego pożyczkę, jego sprawy finansowe pogorszyły się znacznie, groziło mu bankructwo, pewien więc jego krewny, adwokat francuski, przyjechał do mnie do Anglii, aby domagać się niezwłocznej spłaty długu. Adwokat odznaczał się porywczym usposobieniem i obrał ze mną niewłaściwą drogę. Padły między nami gniewne słowa, pech zaś chciał, że moja ciotka i Rachela były akurat w sąsiednim pokoju i wszystko słyszały. Lady Verinder weszła i zażądała wyjaśnień. Francuz przedstawił dokumenty uwierzytelniające i oświadczył, że jestem winien ruiny nieszczęśliwego człowieka, który mi zaufał. Moja ciotka z miejsca zapłaciła adwokatowi należność i odprawiła go. Oczywiście знаła mnie zbyt dobrze, aby podzielać zdanie Francuza o moim postępowaniu w tej sprawie, była jednak zgorzona moją lekkomyślnością i słusznie miała mi za złe, że dopuściłem do sytuacji, która, gdyby nie jej interwencja, mogła stać się dla mnie bardzo kłopotliwa. Nie wiem, czy Rachela sama słyszała, co mówiono w sąsiednim pokoju, czy też dowiedziała się wszystkiego od matki, w każdym razie potraktowała rzecz całą we właściwy sobie, romantyczny, egzaltowany sposób. Oznajmiła, że jestem „bez serca”, „bez honoru”, że jestem „pozbawiony zasad”, że „nie wiadomo, co jeszcze mogę zrobić” — słowem palnęła mi tak surowe kazanie, jakiego nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się słyszeć z ust młodej panny. Przez cały następny dzień nie odzywaliśmy się do siebie, ale po upływie tego dnia poprosiłem o przebaczenie, uzyskałem je i więcej już o całej sprawie nie myślałem. Czy w krytycznej chwili, gdy zaufanie Racheli do mnie zostało wystawione ponownie, i to na znacznie cięższą próbę, powróciła ona myślą do owego niefortunnego zajścia? Gdy opowiedziałem o tym wszystkim panu Bruffowi, od razu odpowiedział na moje pytanie twierdząco.

— Owszem, sprawa mogła wywrzeć na nią taki właśnie wpływ — rzekł z powagą — i ze względu na ciebie żałuję bardzo, że tak się stało. W każdym razie jednak ustaliliśmy, że Rachela mogła żywić do ciebie pewne uprzedzenie w tej materii, i wyjaśniliśmy przynajmniej jedną z wątpliwości. Teraz nie pozostaje nam chyba nic innego, jak zwrócić się bezpośrednio do Racheli.

Wstał i w zamyśleniu zaczął przechadzać się po pokoju. Dwukrotnie chciałem mu już powiedzieć, że postanowiłem zobaczyć się z Rachelą osobiście, i oba razy powstrzymałem się, mając wzgląd na jego wiek i nie chcąc zaskoczyć go w niestosownej chwili.

— Największa trudność tkwi w tym — podjął znowu pan Bruff — żeby nakłonić ją do całkowitej szczerości. Czy masz może jakiś pomysł?

— Postanowiłem porozmawiać z Rachelą sam, panie Bruff.

— Ty! — Pan Bruff stanął jak wryty i spojrzał na mnie tak, jak gdybym nagle postradał zmysły. — Ależ jesteś ostatnim chyba człowiekiem na świecie, który... — Tu pan Bruff urwał i znów przeszedł się po pokoju. — Zresztą, zaczekaj chwilę — rzekł. — W takich niezwykłych sprawach działanie na oślep daje czasem najlepsze rezultaty. — Zastanowił się nad sprawą w tym nowym świetle, po czym rozstrzygnął ją na moją korzyść. — Kto nie ryzykuje, ten nie ma — zakonkludował. — Masz tu pewną szansę, której ja nie posiadam, wobec tego ty pierwszy dokonasz próby.

— Ja mam szansę? — powtórzyłem z najwyższym zdumieniem. Twarz pana Bruffa po raz pierwszy złagodził uśmiech.

— Tak jest — rzekł. — Powiem ci szczerze: nie ufam twojemu rozsądkowi i nie ufam twojemu opanowaniu. Stawiam jednak na to, że Rachela wciąż jeszcze w najdalszym kąciku serca żywi do ciebie słabość. Jeśli uda ci się dotrzeć do tego kącika, bez wątpienia wyzna ci wszystko! Pytanie tylko, w jaki sposób masz się z nią zobaczyć.

— Była przez jakiś czas gościem w pańskim domu — odparłem. — Jeśli wolno mi zaproponować, gdyby nic jej o tym z góry nie było wiadomo, może udałoby mi się zobaczyć ją tutaj?

— Spokojnie! — ostrzegł pan Bruff, po czym przeszedł się jeszcze raz po gabinecie.

— Mówiąc po prostu — rzekł po chwili — mam zamienić swój dom w sidła na Rachelę z przynętą w postaci zaproszenia od mojej żony i córek. Gdyby na twoim miejscu był ktokolwiek inny i gdyby sprawa była choć

o włos mniej poważna, odmówiłbym kategorycznie. Ale tak jak sprawy stoją, jestem głęboko przekonany, że Rachela z czasem wdzięczna mi będzie za to, że na stare lata postąpiłem wobec niej jak zdrajca. Możesz mnie uważać za swego współnika. Rachela otrzyma zaproszenie do tego domu na cały dzień, ty zaś zostaniesz o tym w odpowiednim czasie powiadrmiony.

— Kiedy? Jutro?

— Do *jutra* jest za mało czasu, aby uzyskać od niej odpowiedź. Powiedzmy pojutrze.

— Jak mnie pan zawiadomi?

— Zostań rano w domu i czekaj na moją wizytę.

Podziękowałem mu ze wzruszeniem za nieocenioną pomoc i nie przyjmując uprzejmego zaproszenia, abym został na noc w Hampstead, powróciłem do swoich pokoi w Londynie.

O następnym dniu mogę powiedzieć tylko tyle, że był najdłuższym chyba dniem w moim życiu. Wiedziałem, że jestem niewinny, byłem pewien, że prędzej czy później odeprę rzucone na mnie potworne oskarżenie, a przecież czułem się tak zbrukany i upokorzony, że instynktownie unikałem spotkań z przyjaciółmi i znajomymi. Słyszymy częstokroć (wprawdzie zawsze niemal od osób powierzchownych i niezbyt spostrzegawczych), że wina potrafi przybierać pozór niewinności. Moim zdaniem nieporównanie słuszniejsze jest twierdzenie, że niewinność przybiera niekiedy pozór winy. Przez cały ów dzień kazałem odprawiać wszelkich gości, którzy pragnęli mnie widzieć,

i wyszedłem z domu dopiero pod osłoną nocy.

Nazajutrz rano pan Bruff zastał mnie przy śniadaniu. Wręczył mi wielki klucz i oznajmił przy tym, że po raz pierwszy w życiu wstydzi się własnego postępowania.

— Czy ona będzie?...

— Przyjedzie dzisiaj na lunch i zostanie potem do wieczora z moją żoną i córkami.

— Czy pani Bruff i córki pańskie są wtajemniczone w sprawę?

— Oczywiście, innego wyjścia nie było. Ale kobiety, jak mogłeś zapewne zaobserwować, pozbawione są zasad. Moje panie nie czują takich wyrzutów sumienia jak ja. Ponieważ chodzi tu o pogodzenie ciebie z Rachelą, żona moja i córki z istic jezuićkim spokojem traktują niezbyt godziwe środki prowadzące do tego celu.

— Jestem im niewymownie wdzięczny. Co to za klucz?

— To klucz od furtki do mego ogrodu za domem. Bądź tam dziś o trzeciej. Wejdiesz do ogrodu, a stamtąd przez drzwi cieplarni do domu. Miniesz mały salonik i otworzysz drzwi, które prowadzą do pokoju muzycznego. Tam zastaniesz Rachelę — będzie sama.

— Jak mam panu dzięćkować?

— Powiem ci jak: nie miej do mnie żalu o to, co się stanie potem. Z tymi słowy pan Bruff oddalił się.

Miałem jeszcze przed sobą kilka ciężkich godzin oczekiwania. Aby zabić jakoś czas, zacząłem przeglądać pocztę. Znalazłem w niej między innymi list od Betteredge'a.

Otworzyłem go szybko. Ku mojemu zdziwieniu i rozczarowaniu, zaczynał się od słów przeproszenia i ostrzegał mnie, abym się nie spodziewał żadnych ciekawszych nowin. Następne jednak zdanie dotyczyło zagadkowego Ezry Jenningsa! Zatrzymał on Betteredge'a w powrotnej drodze i pytał, kim jestem. Uzyskawszy informacje na ten temat, wspomniął panu Candy'emu, swemu patronowi, że mnie widział. Pan Candy dowiedziawszy się o tym przyjechał osobiście do Betteredge'a, aby wyrazić żal, żeśmy się nie zobaczyli. Miał szczególne powody do rozmowy ze mną i prosił bardzo, abym go zawiadomił, jeśli będę znów w okolicy Frizinghall. Poza kilkoma charakterystycznymi perełkami filozofii Betteredge'a do tego właściwie sprowadzała się treść jego listu. Zaczny, wierny stary przyznawał się, że napisał list przede wszystkim dla przyjemności, jaką sprawia mu pisanie do mnie!

Wsadziłem list do kieszeni i już po chwili zapomniałem o nim zupełnie, pochłonięty jedynie myślą o rychłym spotkaniu z Rachelą.

Zegar na kościele w Hampstead wybił trzecią, gdy wsadziłem klucz pana Bruffa do zamka furtki. Wchodząc do ogrodu i przekradając się stamtąd do drzwi domu odczuwałem pewne skrupuły i wątpliwości co do dalszego rozwoju wydarzeń. Rozglądałem się ukradkiem wokoło lękając się, że w jakimś kącie ogrodu kryje się być może niepożądany świadek. Nic jednak nie usprawiedliwiało moich obaw. Na ścieżkach było pusto, jedynymi zaś świadkami włamania były ptaki i pszczoły...

Wszedłem do domu i minąłem mały salonik. Gdy ująłem klamkę przeciwległych drzwi, posłyszałem kilka smętnych akordów. Rachelę częstokroć zabawiała się w ten sposób przy fortepianie, gdy gościłem w domu jej matki. Musiałem odczekać chwilę, aby odzyskać równowagę. Przeszłość i terażniejszość stanęły mi naraz przed oczami — i kontrast wstrząsnął mną do głębi.

Po upływie kilku sekund przywołałem na pomoc całe swe męstwo i otworzyłem drzwi.

ROZDZIAŁ VII

Gdy stanąłem na progu, Rachela wstawała właśnie od fortepianu.

Zamknąłem za sobą drzwi. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, oddzieleni całą długością pokoju. Rachela zastygła w miejscu, jak gdyby niezdolna uczynić kroku. Zdawało się, że wszystkie jej władze umysłowe i fizyczne skupiły się jedynie w skierowanym na mnie spojrzeniu.

Przeszył mnie lęk, że ukazałem się zbyt nagle. Postąpiłem krok naprzód. Powiedziałem cicho: — Rachelo!

Dźwięk mojego głosu przywrócił życie jej kończynom i rumieniec jej twarzy. Poruszyła się, wciąż jednak bez słowa. Wolno, jak gdyby działając pod wpływem jakiegoś nakazu niezależnego od jej woli, podchodziła do mnie coraz bliżej i bliżej, policzki jej nabierały coraz żywszej barwy, światło powracającej świadomości igrało coraz wyraźniej w jej oczach. Zapomniałem, co mnie tu sprowadziło, zapomniałem o ciężącym na mnie okropnym podejrzeniu, zapomniałem o wszystkich względach minionych, obecnych i przyszłych, o których winienem być pamiętać. Widziałem tylko ukochaną kobietę podchodzącą do mnie coraz bliżej! Rachela zadrżała i stanęła w niepewności. Nie zdołałem dłużej nad sobą panować — chwyciłem ją w ramiona i okryłem jej twarz pocałunkami.

Była chwila, gdy zdawało mi się, że Rachela odwzajemnia mi pocałunki, chwila, gdy zdawało się, że być może ona także zapomniała o wszystkim. Zanim jednak myśl ta zdołała przybrać w umyśle moim określony kształt, pierwszy świadomy ruch Racheli przywrócił mnie rzeczywistości. Z okrzykiem jak gdyby odrazy — z mocą, której wątpię, czy zdołałbym się oprzeć, gdybym nawet próbował — Rachela odepchnęła mnie od siebie. Wyczytałem bezlitosny gniew, w jej oczach, dostrzegłem bezlitosny gniew w linii jej ust. Zmierzyła mnie spojrzeniem niby obcego, który ją znieważył.

— Tchórze! — powiedziała. — Nędzny, podły tchórze!

Takie były pierwsze jej słowa! Rzuciła mi najgorszą obelgę, jaką kobieta może rzucić mężczyźnie.

— Pamiętam czasy, Rachelo — rzekłem — kiedy potrafiłabyś w sposób bardziej godny powiedzieć mi, że cię obraziłem. Proszę o przebaczenie.

W głosie moim zapewne odbiło się rozgoryczenie, jakie odczuwałem w owej chwili. Na pierwsze moje słowa oczy jej, odwrócone ode mnie, spojrzwały na mnie mimo woli. Odpowiedziała cicho, z posępną pokorą, której nigdy u niej nie znałem.

— Może trudno mi się dziwić — rzekła. — Po tym, coś uczynił, jest chyba podłością z twojej strony, że starasz się dotrzeć do mnie w sposób tak podstępny. Próba zagrania na moim sentymencie do ciebie wydaje mi się próbą tchórzliwą. Zaskoczenie mnie znienacka, abym ci się pozwoliła pocałować, wydaje mi się czynem tchórzliwym. Ale jest to tylko zdanie kobiety. Powinnam była wiedzieć z rjóry, że nie możesz podzielać tego

zdania. Postąpiłabym mądrzej, gdybym zapanowała nad sobą i nie powie działa nic.

Przeprosiny te gorsze były jeszcze niż uprzednia zniewaga. Najnędnieszy z żyjących poczułby się nimi upokorzony.

— Gdyby honor mój nie spoczywał w twoich rękach — rzekłem — odszedłbym stąd natychmiast, aby nigdy cię już więcej nie widzieć. Wspomniałaś o tym, com uczynił. Cóż uczyniłem?

— Coś uczynił! Ty mnie o to pytasz?

— Ja cię pytam.

— Trzymałam w tajemnicy twoją hańbę — odparła. — Poniosłam też wszystkie konsekwencje swego milczenia. Czy nie mam prawa żądać, abyś oszczędził mi tej zniewagi i nie pytał mnie przynajmniej o to, coś uczynił? Czyś zatracił już wszelkie poczucie wdzięczności? Byłeś niegdyś dżentelmenem. Byłeś niegdyś drogi mojej matce i jeszcze droższy mnie...

Głos odmówił jej posłuszeństwa. Padła na fotel, odwróciła się do mnie plecami i zasłoniła twarz...

Odczekałem chwilę, nie ufałem bowiem własnemu głosowi. W owej chwili milczenia nie wiem już, co odczuwałem boleśniej — jej palącą wzgardę czy też dumną zaciętość, z jaką broniła mi dostępu do swej rozpacz.

— Jeżeli ty nie chcesz mówić pierwsza — rzekłem wreszcie — ja mówić muszę. Przybyłem tutaj, mając ci do powiedzenia coś ważnego. Czy zdobędziesz się na zwykłą choćby sprawiedliwość i mnie wysłuchasz?

Rachela nie poruszyła się ani nie odpowiedziała. Nie zaapelowałem do niej po raz drugi, nie przysunąłem się ani o cal do jej fotela. Z dumą równie zaciętą jak jej duma opowiedziałem o swoim odkryciu w Drżących Piaskach i o wszystkim, co do tego odkrycia doprowadziło. Opowiadanie siłą rzeczy zajęło sporo czasu. Rachela od początku do końca ani razu nie obejrzała się na mnie i nie wyrzekła ani jednego słowa.

Panowałem nad sobą ogromnym wysiłkiem woli. Cała moja przyszłość zależała od tego, abym nie stracił w tej chwili panowania. Nadszedł czas wypróbowania teorii pana Bruffa. Postanowiłem dokonać tej próby i oczekując z zapartym tchem jej wyniku, obszedłem, fotel, aby stanąć przed Rachelą.

— Chcę cię o coś zapytać — powiedziałem. — W tym celu muszę niestety powrócić znowu do bolesnego tematu. Czy Rosanna Spearman pokazywała ci koszulę nocną? Tak czy nie?

Rachela zerwała się na nogi i sama zbliżyła się ku mnie. Oczy jej wpatrywały się badawczo w moje oczy, jak gdyby pragnęły wyczytać z nich coś niezwykle ważnego.

— Czyś oszalał? — spytała. Hamowałem się nadal.

— Rachelo, czy odpowiesz na moje pytanie? — rzekłem siłą się na spokój.

Rachela wszakże ciągnęła dalej, nie zwracając uwagi na moje słowa.

— Czy zmierzasz do jakiegoś celu, którego nie rozumiem? Czy żywisz jakieś obawy o przyszłość, które pozostają w związku ze mną? Podobno po śmierci ojca zostałeś człowiekiem bogatym. Czyś przyszedł tutaj wynagrodzić mi utratę mojego diamentu? I czy zostało ci jeszcze tyle uczuć ludzkich, że się teraz tego wstydzisz? Czy tu tkwi tajemnica twoich zapewnień

o niewinności i twojej bajeczki o Rosannie Spearman? Czy na dnie wszystkich tych kłamstw kryje się tym razem po prostu wstyd?

Przerwałem jej. Nie mogłem dłużej nad sobą panować.

— Skrzywdziłaś mnie haniebnie! — wybuchnąłem nie posiadając się z oburzenia. — Podejrzewasz mnie o kradzież twojego diamentu. Mam prawo wiedzieć i dowiem się, jakie masz do tego podstawy!

— Podejrzewam cię?! — zawołała Rachela płonąć gniewem równym mojemu. — Łotrze, widziałam na własne oczy, jak zabrałaś diament!

Przerazające te słowa, które w okamgnieniu obaliły całą teorię wysnutą przez pana Bruffa, odebrały mi mowę. Aczkolwiek całkowicie niewinny, stałem przed Rachelą bez słowa. Dla jej oczu, jak zresztą dla każdego oczu, musiałem wyglądać jak człowiek zdemaskowany i przytłoczony poczuciem własnej winy.

Rachela wzdrygnęła się przed tym widokiem mojego upokorzenia a swego tryumfu. Nagle moje milczenie zdawało się mpełniać ją przerażeniem.

— Oszczędziłam cię w owym czasie — rzekła. — Oszczędziłabym cię i teraz, gdybyś nie zmusił mnie do mówienia.

Zrobiła kilka kroków, jakby zmierzając do wyjścia, ale zawahała się i przystanąła.

— Po co przychodzisz tu, aby ściągać na siebie upokorzenie? — spytała. — Po co przychodzisz tu, aby ściągać upokorzenie na mnie? — Postąpiła jeszcze kilka kroków i znów przystanąła. — Na miłość boską, powiedz coś! — zawołała porywczo. — Jeżeli masz w sobie jeszcze choć odrobinę miłosierdzia, nie pozwól mi poniżyć się w ten sposób! Powiedz coś — i wypędź mnie z pokoju.

Podszedłem do niej sam nie wiedząc, co czynię. Chciałem przypuszczalnie zatrzymać ją i prosić, żeby powiedziała coś więcej. Od chwili gdy dowiedziałem się, że Rachela potępiła mnie na podstawie świadectwa własnych swych oczu, nic już — nawet moje przeświadczenie o własnej niewinności — nie było dla mnie jasne. Ująłem ją za rękę. Starłem się mówić stanowczo i rzeczowo. Ale zdołałem wyrzec tylko:

— Rachelo, kochałaś mnie niegdyś.

Zaćrzała i odwróciła ode mnie wzrok. Ręka jej spoczywała w mojej dłoni bezsilna i drżąca.

— Puść mnie — wyszeptała.

Dotknięcie moje działało na nią podobnie jak dźwięk mojego głosu, kiedy wszedłem do pokoju. Po tym, jak nazwała mnie tchórzem, po tym, jak "uczyniła wyznanie, które napiętnowało mnie jako złodzieja — dopóki dłoń jej spoczywała w mojej dłoni, byłem mimo wszystko jej panem!

Pociągnąłem ją delikatnie z powrotem na środek pokoju i posadziłem obok siebie.

— Rachelo — rzekłem — nie mogę wyjaśnić sprzeczności tego, co ci powiem. Mogę tylko mówić prawdę, podobnie, jak tyś mówiła prawdę. Widziałaś, na własne oczy widziałaś, jak zabrałem diament? Otóż stwierdzam przed Bogiem, który nas słyszy, że po raz pierwszy się o tym dowiaduję! Czy nadal mi nie wierzysz?

Rachela nie słuchała mnie wcale.

— Puść moją rękę — powtórzyła słabo. Była to jej jedyna odpowiedź. Głowa jej opadła mi na ramię, ręka zaś zacisnęła się bezwiednie na mojej dłoni — w tej samej chwili, gdy Rachela kazała mi ją puścić.

Nie nalegałem dłużej, by mi odpowiedziała, ale na tym kończyła się moja wyrozumiałość. Cała moja przyszłość, jedyna szansa, że będę mógł kiedykolwiek podnieść głowę wśród uczciwych ludzi, zależała od tego, czy zdołam nakłonić Rachelę do wyjawienia mi wszystkiego, co wiedziała. Mogłem jeszcze liczyć tylko na to, że Rachela przeoczyła coś w łańcuchu dowodów — jakąś drobnostkę, która mimo wszystko przy starannym zbadaniu doprowadzi w końcu do ustalenia mej niewinności. Przyznam się, że świadomie nie puszczałem jej ręki, przyznam się, że mówiłem do niej tonem serdecznym i ciepłym starając się obudzić w niej współczucie i ufność minionych dni.

— Chcę cię o coś prosić — powiedziałem. — Chcę, żebyś opowiedziała mi wszystko, co zaszło od chwili, gdyśmy życzyli sobie dobrej nocy, aż do chwili, kiedyś widziała, jak zabrałem diament.

Rachela podniosła głowę z mojego ramienia i spróbowała uwolnić rękę.

— Ach, po cóż do tego wracać! — wyszeptała. — Po co do tego wracać?

— Powiem ci, po co, Rachelo. Zarówno ty, jak i ja jesteśmy ofiarami jakiegoś potwornego złudzenia paradującego pod maską prawdy. Jeżeli zbadamy wspólnie wszystko, co zaszło w noc po twoich urodzinach, być może w końcu jakoś się zrozumiemy.

Głowa jej opadła znów na moje ramię. Łzy wezbrały w jej oczach i popłynęły wolno po policzkach.

— Och! — zawołała — czyż nie żywiłam nigdy tej nadziei? Czyż nie próbowałam badać sprawy tak, jak ty chcesz ją teraz zbadać?

— Próbowałaś badać ją samotnie — odparłem. — Nie próbowałaś zbadać jej z moją pomocą.

Słowa te obudziły w niej widocznie odrobinę owej nadziei, jaką wypowiadając je sam odczuwałem. Poczęła odpowiadać na moje pytania nie tylko potulnie, lecz wyciążając całą swą inteligencję.

— Zacznijmy — rzekłem — od tego, co zaszło po tym, jak życzyliśmy sobie dobrej nocy. Czyś się od razu położyła, czy też siedziałaś jeszcze trochę?

— Położyłam się od razu.

— Pamiętasz może, która to była godzina? Czy późna?

— Nie bardzo. Chyba około dwunastej.

— Czyś szybko zasnęła?

- Nie. Nie mogłam spać tej nocy.
- Niepokoił ci się o coś?
- Myślałam o tobie.

Odpowiedź ta omal nie pozbawiła mnie odwagi. Było coś raczej w tonie niż w słowach, coś dźgnęło mnie prosto w serce. Dopiero po pewnej pauzie zdołałam mówić dalej.

- Czy w twoim pokoju *palilo* się *światło*? — spytałam.
- Nie. Dopiero potem wstałam znowu i zapaliłam świeczkę.
- Czy to było długo po tym, jak się położyłaś?
- W jakąś godzinę później. Około pierwszej.
- Czyś wyszła z pokoju?
- Miałam zamiar. Włożyłam szlafrok i chciałam iść do saloniku po książkę...
- Otworzyłaś drzwi sypialni?
- Uchyliłam je właśnie.
- Ale nie weszłaś do salonu?
- Nie, coś mi w tym przeszkodziło.
- Co ci przeszkodziło?
- Ujrzałam światło pod drzwiami i usłyszałam kroki.
- Czyś się przeraziła?

— Wtedy jeszcze nie. Wiedziałam, że mama źle sypia, i przypomniałam sobie, że starała się tego wieczora namówić mnie, abym oddała jej diament do schowania. Niepokoila się tą sprawą, jak mi się zdawało, nadmiernie, myślałam więc, że idzie do mnie zobaczyć, czy już jestem w łóżku, i jeśli nie śpię, spróbować jeszcze raz mnie przekonać, bym oddała jej diament.

— Coś zrobiła?

— Zgasiałam świeczkę, żeby pomyślała, że już śpię. Uparłam się niedorzecznie — postanowiłam, że diament zostanie w miejscu, które sama wybrałam.

— A po zgaszeniu świeczki wróciłaś do łóżka.

— Nie zdążyłam. W chwili kiedy zgasiałam świeczkę, drzwi saloniku otworzyły się i zobaczyłam...

— Zobaczyłaś...

— CIEBIE.

— Ubranego jak zazwyczaj?

— Nie.

— W koszuli nocnej?

— W koszuli nocnej, ze świeczką w ręce.

— Byłem sam? — Sam.

— Widziałaś moją twarz?

— Tak.

— Wyraźnie?

— Zupełnie wyraźnie. Oświetlała ją świeca, którą trzymałeś w ręce.

— Czy miałem otwarte oczy?

— Tak.

— Czyś zauważyła w nich coś dziwnego? Czy nie były nieprzytomne albo wpatrzone w jeden punkt?

— Nic podobnego. Oczy miałeś błyszczące, bardziej błyszczące niż zwykle. Rozejrzałeś się po pokoju, jakbyś wiedział, że nie powinieneś się tu znajdować, i jakbyś lękał się, że cię ktoś zobaczy.

— Czy zaobserwowałaś coś, kiedy wszedłem do pokoju, czyś zaobserwowała mój chód?

— Szedłeś zwykłym swoim krokiem. Dotarłeś do środka pokoju, potem przystanąłeś i rozejrzałeś się wokoło.

— Coś zrobiła na mój widok?

— Nie mogłam nic zrobić. Skamieniałam. Nie mogłam wydać głosu, krzyknąć. Nie mogłam nawet zamknąć drzwi.

— Czy stałaś tak, że mogłem cię widzieć?

— Bez wątpienia mogłeś mnie widzieć, aleś ani razu nie spojrział w moim kierunku. Pytanie jest bezcelowe. Jestem pewna, żeś mnie nie widział.

— Skąd masz tę pewność?

— Czyżbyś zabrał diament? Czyżbyś postąpił tak, jak potem postąpiłeś? Czyż byłbyś tutaj w tej chwili, gdybyś wiedział, że nie spałam wtedy i patrzyłam na ciebie? Nie każ mi o tym mówić! Chcę odpowiadać ci spokojnie. Pomóż mi zachować spokój. Przejdź do czegoś innego.

Miała słuszość — miała słuszość pod każdym względem. Przeszedłem do innych spraw.

— Co zrobiłem po tym, jak się zatrzymałem na środku pokoju?

— Odwróciłeś się i poszedłeś prosto do kąta pod oknem, gdzie była moja indyjska szafeczka.

— Kiedy stałem przed szafką, musiałem być odwrócony do ciebie plecami. W jaki sposób widziałaś, co robię?

— Poruszałam się wraz z tobą.

— Żeby zobaczyć, co robią moje ręce?

— W moim saloniku są trzy lustra. Kiedyś stał tam, widziałam w jednym z nich wszystko, co robisz.

— Coś widziała?

— Postawiłeś świecę na szafce. Otwierałeś i zamykałeś jedną szufladkę po drugiej, dopóki nie trafiłeś na tę, do której włożyłam diament. Patrzyłeś na nią przez chwilę. Potem wyciągnąłeś rękę i wyjąłeś diament.

— Skąd wiedziałaś, że wyjąłem diament?

— Widziałam, jak wsadziłeś rękę do szufladki. I widziałam błysk kamienia, kiedyś rękę wyjmował.

— Czy moja ręka zbliżyła się znów do szufladki, żeby ją na przykład zamknąć?

— Nie. Trzymałeś diament w prawej ręce, zdjąłeś zaś świecę z szafki lewą.

— Czy potem rozejrzałem się jeszcze raz wokoło? - Nie.

— Czy natychmiast wszedłem z pokoju?

— Nie. Stałeś bez ruchu przez czas, który wydał mi się nieskończenie długi. Widziałam twój profil w lustrze. Wyglądałeś jak człowiek pogrążony w rozmyślaniach i niezadowolony z własnych myśli.

— Co było dalej?

— Ocknąłeś się nagle z zamyślenia i wyszedłeś z pokoju.

— Czy zamknąłem za sobą drzwi?

— Nie. Wyszedłeś szybko na korytarz zostawiając drzwi otwarte.

— A potem?

— Potem światło twojej świecy znikło, odgłos kroków zamarł w oddali i zostałam sama w ciemnościach.

— Czy od tego momentu aż do chwili, gdy cały dom dowiedział się o zaginięciu diamentu, nic się nie zdarzyło?

— Nic.

— Jesteś tego pewna? Czy nie zasnęłaś na jakiś czas?

— Nie spałam wcale. Nie wróciłam w ogóle do łóżka. Nie zdarzyło się nic aż do przyścia Penelopy o zwykłej porze.

Wypuściłem rękę Racheli, wstałem i przeszedłem się po pokoju. Otrzymałem odpowiedź na każde moje pytanie. Miałem przed sobą wszystkie szczegóły, których chciałem się dowiedzieć. Powróciłem nawet do teorii lunatyizmu i do teorii pijaństwa, lecz obie te teorie znów zostały obalone — tym razem przez naocznego świadka. Cóż pozostawało do powiedzenia? Cóż pozostawało rio zrobienia? Wśród otaczających mnie nieprzeniknionych ciemności rysował się jedyny wyraźny, konkretny fakt kradzieży! Nie ujrzałem ani promyczka światła po zapoznaniu się z listem Rosanny. Nie ujrzałem też ani promyczka światła teraz, kiedy zwróciłem się wprost do Racheli i usłyszałem potworną historię owej nocy z jej własnych ust.

Rachela pierwsza tym razem przerwała milczenie.

— I cóż? — rzekła. - Pytałeś mnie i odpowiedziałam ci na wszystko. Obudziłeś we mnie nadzieję, że to, do czegoś doprowadzi, bo sam tiiką nadzieję żywiłeś. Cóż teraz masz mi do powiedzenia?

Z tonu jej wywnioskowałem, że znów straciłem na nią wpływ.

— Mielіśmy zbadać razem wszystko, co zaszło w noc po moich urodzinach — ciągnęła dalej Rachela — i miało to doprowadzić do naszego wzajemnego zrozumienia. Czy się to udało?

Czekała bezlitośnie na moją odpowiedź. Popełniłem fatalny błąd pozwoliłem, aby irytacja płynąca z mojej bezradności wzięła górę nad opanowaniem. Zarzuciłem jej lekkomyślnie i niepotrzebnie, że przez swe milczenie aż do chwili obecnej pozostawiła mnie w nieświadomości prawdy.

— Gdybyś przemówiła wtedy, kiedyś powinna była przemówić — zacząłem — gdybyś wiedziała elementarnymjDoczuciem sprawiedliwości wyjaśniła...

Przerwała mi z okrzykiem najwyższego gniewu. Słowa moje wprawiły ją od razu w furję.

— Miałam wyjaśnić?! — powtórzyła. — O, czyż jest na świecie drugi taki człowiek? Oszczędzam go, gdy serce mi pęka, osłaniam go, gdy własna moja

cześć narażona jest na szwank, a on — właśnie on — obraca się teraz przeciwko *mnie* i mówi, że *powinnam* była *wszystko wyjaśnić*! *A ja* tak mu wierzyłam, tak go kochałam, tak myślałam o nim we dnie i śniłam w nocy — i po tym wszystkim on się dziwi, że nie zarzuciłam mu haniebnego czynu zaraz przy pierwszym spotkaniu: „Ukochany mój, jesteś złodziejem! Mój bohaterze, którego czczę i miłuję, zakradłeś się pod osłoną nocy do mojego pokoju i zabrałeś mój diament!” To *powinnam* była powiedzieć. Łotrze, podły, nędzny, najnędzniejszy z łotrów! Ależ wolałabym stracić pięćdziesiąt diamentów, aniżeli słuchać twoich kłamstw, jak słucham ich w tej chwili.

Ująłem za kapelusz. Z litości dla niej — tak! mogę to stwierdzić z całą uczciwością — z litości dla niej. Odwróciłem się bez słowa i otworzyłem drzwi, przez które wszedłem do pokoju.

Pobiegła za mną, odepchnęła mnie od drzwi, zatrzasnęła je i wskazała miejsce, które opuściłem.

— Nie! — zawołała. — Jeszcze nie! Widzę, że winna ci jestem wytłumaczenie swego postępowania. Zostaniesz i wysłuchasz mnie. Albo też spadniesz na dno hańby i wyjdiesz stąd przemocą.

Serce mi się ścisnęło, gdy na nią patrzyłem, serce mi się ścisnęło, gdy słuchałem jej słów. Odpowiedziałem znakiem — na nic więcej nie mogłem się zdobyć — że ulegam jej woli.

Rumieniec gniewu począł spęzać z jej twarzy, gdy wróciłem i w milczeniu zająłem znów miejsce na fotelu. Czekala chwilę, by się uspokoić. Gdy zaczęła mówić, można już było dostrzec w niej jedną tylko oznakę wzburzenia — mówiła nie patrząc na mnie. Ręce zacisnęła przed sobą, oczy wbiła w ziemię.

— *Powinnam* była *wszystko wyjaśnić* wiedziona elementarnym poczuciem sprawiedliwości — rzekła powtarzając moje słowa. — Przekonasz się, czy starałam się być sprawiedliwa, czy też nie. Opowiedziałam ci przed chwilą, że owej nocy nie spałam już i nie wróciłam nawet do łóżka po tym, jak opuściłeś mój salonik. Nie warto rozwodzić się nad tym, co myślałam — nie rozumiałbyś moich myśli — powiem ci tylko, co zrobiłam, kiedy upłynęło dość czasu, abym zdołała jako tako odzyskać równowagę. Powstrzymałam się od tego, by zaalarmować cały dom i opowiedzieć wszystkim, co się stało, jak to *powinnam* była uczynić. Mimo *wszystko* kochałam cię tak bardzo, że raczej gotowa byłam wierzyć w każde niepodobieństwo, aniżeli przyznać choćby wobec samej siebie, iż jesteś złodziejem. Myślałam i myślałam — aż w końcu napisałam do ciebie.

— Nie dostałem tego listu.

— Wiem, żeś go nie dostał. Miej cierpliwość, a dowiesz się dlaczego. W liście nic nie było powiedziane wprost. Nie zniszczyłby on ciebie raz na zawsze, gdyby trafił do rąk osób postronnych. Napisałam ci tylko — w sposób, który dla ciebie musiał być przejrzysty — że mam powody, aby przypuszczać, iż jesteś w długach, a na podstawie doświadczenia zarówno swojego, jak i mojej matki wiem, że nie zwykłeś przebierać w środkach, gdy chodzi o zdobycie pieniędzy, jeśli ci ich potrzeba. Przypomniałbyś sobie wizytę francuskiego adwokata i wiedziałbyś, do czego nawiązuję. Czytając

list dalej, doszedłbyś do pewnej propozycji, którą ci czyniłam — proponowałam ci mianowicie w ścisłej dyskrecji (przy czym nie padłoby między nami otwarcie ani jedno słowo!) pożyczkę tak wielkiej sumy pieniędzy, jaką tylko udałoby mi się zdobyć. I zdobyłabym ją! — zawołała Rachela, rumieniąc się znowu i spoglądając mi tym razem prosto w oczy. — Gdybym nie mogła inaczej zdobyć pieniędzy, sama zastawiłabym, diament! O tym wszystkim do ciebie napisałam. Poczekaj! Zrobiłam coś więcej. Ułożyłam z Penelopą, że ma ci oddać list, kiedy nikogo przy tym nie będzie. Zamierzałam zamknąć się w swojej sypialni, salon natomiast zostawić przez całe rano otwarty. I miałam nadzieję — żywiłam tę nadzieję z całego serca i z całej duszy! — że skorzystasz ze sposobności i po kryjomu odłożysz diament do szuflady.

Próbowałam się odezwać. Rachela powstrzymała mnie niecierpliwym ruchem ręki. Gniew znowu w niej narastał. Wstała z fotela i zbliżyła się do mnie.

— Wiem, co mi powiesz — rzekła. — Chcesz mi przypomnieć raz jeszcze, że nie dostałeś wcale mojego listu. Mogę ci wyjaśnić dlaczego. Podarłam go.

— Z jakiego powodu? — spytałem.

— Z powodu najbardziej istotnego. Wolalam podrzeć list, anizeli posłać go takiemu człowiekowi jak ty! Jakaż była pierwsza wiadomość, która dotarła do mnie rankiem? Cóż usłyszałam, kiedy mój plan był już opracowany we wszystkich szczegółach? Usłyszałam, że ty! — ty pierwszy zażądałeś wezwania policji. Tyś był najczynniejszy, tyś objął kierownictwo, tyś dokładał największych wysiłków, aby odnaleźć diament! Posunąłeś się nawet w swym zuchwalstwie do tego, że chciałeś mówić ze mną o zaginięciu diamentu — tego diamentu, któryś sam ukradł, diamentu, który przez cały czas znajdował się w twoich rękach! Po tym dowodzie tak potwornej dwulicowości i obłudy podarłam swój list. Ale jeszcze wtedy — jeszcze wtedy, kiedy do szafu doprowadzały mnie indagacje i rewizje policjanta, którego tyś sam do mnie przysłał — jeszcze wtedy żywiłam do ciebie jakieś uczucie, które nie pozwoliło mi cię zdradzić. Mówiłam sobie. „Odegrał ohydną farsę przed wszystkimi innymi domownikami. Zobaczę, czy zdoła odegrać ją przede mną”. Ktoś powiedział mi, że jesteś na tarasie. Zeszłam na taras. Zmusiłam się do tego, by na ciebie spojrzeć. Zmusiłam się do tego, żeby do ciebie przemówić. Czyż zapomniał, co powiedziałam?

Mogłem odpowiedzieć, że pamiętam każde jej słowo. Ale cóż by to dało?

Jak mogłem jej wytłumaczyć, że jej słowa wprawiły mnie w osłupienie i rozpacz, nasunęły mi myśl, że jest ona w stanie groźnego podniecenia nerwowego, i obudziły nawet we mnie na chwilę wątpliwość, czy zaginięcie diamentu jest dla niej taką samą tajemnicą jak dla nas wszystkich — nie odsłaniając jednak przede mną ani rąbka prawdy? Bez cienia nawet dowodu na stwierdzenie swej niewinności, jak mogłem ją przekonać, że wtenczas na tarasie miałem tyleż pojęcia o tym, co ma na myśli, ile miałby człowiek, który 'widziałby ją pierwszy raz w życiu?

— Być może, wolisz nie pamiętać — ciągnęła dalej Rachela — ja jednak wolę pamiętać. Wiem, co powiedziałam, dobrze się bowiem nad tym

uprzednio zastanowiłam. Dawałam ci jedną sposobność po drugiej, abys wyznał prawdę. Nie pominęłam niczego, co mogłabym powiedzieć — nie powiedziałam ci tylko wprost, że wiem, iż to ty jesteś sprawcą kradzieży. Tyś jednak patrzył na mnie udając zdumienie i przybierając minę obrażonej niewinności — tak samo, jak patrzałeś na mnie przed chwilą, tak samo, jak patrzysz na mnie teraz! Rozstałam się z tobą owego ranka przejrzawszy cię wreszcie na wylot — znając cię dokładnie, ciebie, najgorszego nędznika, jaki stapał kiedykolwiek po ziemi!

— Gdybyś wtedy powiedziała wszystko wyraźnie, Rachelo, być może rozstałabys się ze mną wiedząc, żeś okrutnie skrzywdziła człowieka niewinnego.

— Gdybym powiedziała wszystko w obecności innych — odparła z nowym wybuchem oburzenia — byłbyś pohańbiony na zawsze! Gdybym zaś powiedziała ci o tym na osobności, wyparłbyś się wszystkiego, jak wypierasz się teraz! Czy sądzisz, że byłabym ci uwierzyła? Czyż człowiek, który zrobił to, co ty, a następnie zachował się tak jak ty, zawahałby się przed kłamstwem? Powtarzam ci raz jeszcze: nie mogłam się zdobyć na to, by słuchać twoich okropnych kłamstw, po tym, jak widziałam na własne oczy twój potworny czyn. Mówisz tak, jak gdyby chodziło o nieporozumienie, które można naprawić w kilku słowach! Dobrze więc! Nieporozumienie zostało wyjaśnione. Czy coś się przez to naprawiło? Nie, wszystko pozostaje bez zmiany. Nie wierzę ci nada! Nie wierzę, żeś znalazł koszulę nocną, nie wierzę w list Rosanny Spearman, nie wierzę ani słowu z tego, co mówiłeś. Ukradłeś diament — i widziałam to! Udawałeś, że pomagasz policji — i widziałam to! Zastawiłeś diament u lichwiarza w Londynie — jestem tego pewna! Pozwoliłeś, aby podejrzenie o ten haniebny czyn padło (dzięki mojemu niegodziwemu milczeniu) na człowieka niewinnego! Nazajutrz rano uciekłeś ze swym łupem na kontynent! I po tylu podłościach mogłeś jeszcze zrobić tylko jedno — mogłeś przyjść tutaj z kłamstwem na ustach, mogłeś przyjść tutaj i powiedzieć mi, że cię skrzywdziłam!

Gdybym został jeszcze przez chwilę dłużej, mogłyby mi się wymknąć słowa, które wspominałbym potem z daremnym żalem i skrucą. Wstałem, podszedłem do drzwi i otworzyłem je po raz drugi. Po raz drugi — z przewrotnością rozwścieczonej kobiety — Rachelo chwyciła mnie za ramię i zagroziła mi drogę.

— Pozwól mi odejść, Rachelo — rzekłem. — Będzie to lepiej dla nas obojga. Pozwól mi odejść.

Łono jej wezbrało histerycznym łkaniem — czułem niemal na twarzy jej szybki, konwulsyjny oddech.

— Dlaczego przyszedłeś tutaj? — pytała, trzymając mnie rozpaczliwie. — Pytam cię raz jeszcze, dlaczegoś tu przyszedł? Czy boisz się, że cię zdradzę? Jesteś teraz bogatym człowiekiem, masz pozycję w świecie, możesz teraz zrobić najświetniejszą partię — czy boisz się, że wypowiem słowa, których nigdy dotychczas nie wypowiedziałam przed nikim prócz ciebie? Nie mogę ich wypowiedzieć? Nie mogę cię zdradzić! Jeśli to w ogóle możliwe, jestem

gorsza jeszcze od ciebie! — Łzy przerywały jej mowę. Walczyła z nimi dzielnie trzymając mnie za ramię coraz mocniej. — Nie mogę cię wyrwać z serca! — wyszlochala — nawet teraz! Możesz liczyć na tę haniebną słabość, która potrafi walczyć z tobą tylko w ten sposób! — Puściła nagle moje ramię, podniosła dłonie i załamała je z rozpaczą. — Każda inna kobieta wzdrygnęłaby się na samą myśl o tym, że może go dotknąć! — zawołała. — O, Boże! Gardzę sobą jeszcze bardziej, niż gardzę nim!

Łzy cisnęły mi się do oczu wbrew mej woli — nie mogłem dłużej znieść tej tortury.

— Przekonasz się jeszcze, żeś mnie skrzywdziła — powiedziałem. — Albo nigdy mnie już nie zobaczysz!

Z tymi słowy wyszedłem. Porwała się z krzesła, na które opadła przed chwilą — porwała się, szlachetna istota! — i wyszła za mną do pierwszego pokoju z ostatnim litościwym, pożegnającym słowem.

— Franklinie! — rzekła — przebaczam ci! O, Franklinie, Franklinie! Nie zobaczymy się już nigdy. Powiedz, że i ty mi przebaczasz!

Obejrzałem się, aby poznała po mojej twarzy, że nie mogę mówić — obejrzałem się, skinąłem ręką i poprzez łzy, które mnie w końcu pokonały, ujrzałem ją niby mgliste widziadło.

Po sekundzie najdotkliwsza gorycz już minęła. Znajdowałem się znów w ogrodzie. Nie widziałem już Racheli i nie słyszałem jej głosu.

ROZDZIAŁ VIII

Wieczorem tego samego dnia odwiedził mnie niespodziewanie pan Bruff.

W zachowaniu starego prawnika nastąpiła wyraźna zmiana. Stracił on zwykłą pewność siebie i humor. Po raz pierwszy w życiu bez słowa uściśnął mi dłoń.

— Wraca pan dziś do Hampstead? — zapytałem, byleby coś powiedzieć.

— Przyjechałem właśnie z Hampstead — odparł. — Wiem, mój drogi, żeś się w końcu dowiedział prawdy. Ale powiem ci szczerze, gdybym przewidział, jaką cenę wypadnie za to zapłacić, wolałbym pozostawić cię w niewiedzy.

— Widział się pan z Rachelą?

— Odwiozłem ją właśnie na Portland Place, a potem przyjechałem tutaj. Nie sposób było pozwolić, aby jechała sama. Zważywszy, że widziałeś się z nią w moim domu i za moją zgodą, nie mogę czynić cię odpowiedzialnym za wstrząs, jakim niefortunna ta rozmowa była dla niej. Mogę tylko w przyszłości dokładać starań, aby się to więcej nie powtórzyło. Rachela jest młoda, silna duchem, odzyska z czasem równowagę, jeśli stworzy się jej odpowiednie warunki. Pragnę jednak mieć pewność, że nie zrobisz nic, co mogłoby opóźnić jej powrót do zdrowia. Czy mogę liczyć na to, że nie będziesz już próbował się z nią widzieć — chyba że z moją sankcją i aprobatą?

— Po tym, co ona wycierpiała, i po tym, co ja wycierpiałem — odparłem — może pan na to liczyć.

— Przyrzekasz mi?

— Przyrzekam.

Na twarzy pana Bruffa odmalowała się ulga. Położył kapelusz i przysunął fotel bliżej do mnie.

— A więc ta sprawa załatwiona! — stwierdził. — Teraz co się tyczy przyszłości, twojej przyszłości. Moim zdaniem rezultat niezwykłego obrotu, jaki przybrała sprawa, jest pokrótce taki. Po pierwsze, jesteśmy pewni, że Rachela powiedziała ci całą prawdę nie owijając nic w bawełnę. Po drugie, aczkolwiek wiemy, że musi tu gdzieś tkwić okropna pomyłka, nie możemy mieć Racheli za złe, że przekonana jest o twojej winie na podstawie świadectwa własnych zmysłów, popartego okolicznościami, które z pozoru przemawiają przeciwko tobie.

Przerwałem mu.

— Nie mam żalu do Racheli — powiedziałem. — Żałuję tylko, że w swoim czasie nie zmusiła się do tego, żeby otwarcie mi wszystko powiedzieć.

— Równie dobrze mógłbyś żałować, że Rachela nie jest kim innym — odparł pan Bruff. — A nawet w takim wypadku wątpię, czy dziewczyna obdarzona delikatnością uczuć, a mająca cię poślubić, zdobyłaby się na to, aby rzucić ci w twarz oskarżenie o kradzież. W każdym razie nie leżało to w charakterze Racheli. Wiadomo mi przypadkiem, że w sprawie zgoła odmiennej od twojej — która jednakże postawiła ją w sytuacji bardzo zbliżonej — kierowała się podobnymi pobudkami do tych, jakie kierowały jej postępowaniem względem ciebie. Ponadto dzisiaj w drodze do miasta powiedziała mi, że gdyby nawet wyznała wszystko otwarcie, nie wierzyłaby twoim zaprzeczeniom tak samo, jak nie wierzy im obecnie. Cóż możesz na to odpowiedzieć? Nic. Daj pokój, Franklinie, przyznaję, że mój pogląd na sprawę, jak się okazało, był zupełnie błędny, w obecnym jednak stanie rzeczy moja rada jest mimo wszystko nie do pogardzenia. Powiem ci bez ogródek — będziemy tylko tracili czas i łamali sobie głowę nadaremnie, usiłując rozwikłać tę plątaninę od początku. Przestańmy tedy myśleć o wszystkim, co się wydarzyło zeszłego roku w domu lady Verinder, i zajmijmy się przyszłością.

— Zapomina pan chyba — powiedziałem — że cała sprawa, o ile chodzi o mnie, jest wyłącznie sprawą przeszłości.

— Odpowiedz mi — rzekł na to pan Bruff — czy przyczyną całego zamieszania jest Kamień Księżycowy?

— Tak, niewątpliwie.

— Bardzo dobrze. Co podług naszego mniemania zrobiono z Kamieniem Księżycowym, kiedy go zawieziono do Londynu?

— Zastawiono go u pana Lukera.

— Wiemy, że nie jesteś osobą, która go zastawiła. Czy wiemy, kto to zrobił?

— Nie.

— Gdzie podług naszych przypuszczeń znajduje się teraz Kamień Księżycowy?

— W depozycie u bankierów pana Lukera.

— Otóż właśnie. Teraz uważaj. Mamy już czerwiec. W końcu miesiąca (nie mogę określić co do dnia) upłynie rok od chwili, gdy, jak sądzimy. Kamień Księżycowy zastawiono. Istnieje prawdopodobieństwo, ujmując to najostrożniej, że osoba, która diament zastawiła, zechce go po upływie roku wykupić. Jeżeli tak, wówczas pan Luker musi osobiście — zgodnie z warunkami, które sam postawił — odebrać diament od bankiera. Proponuję wobec tego obserwować pod koniec miesiąca bank i ustalić, komu pan Luker zwróci Kamień Księżycowy. Czy już rozumiesz, o co mi chodzi?

Przyznałem (acz z pewnym ociąganiem), że pomysł jest w każdym razie nowy.

— Jest to właściwie pomysł pana Murthwaite'a — rzekł pan Bruff. — Nie przyszedłby mi on wcale do głowy, gdyby nie rozmowa, którą z panem Murthwaite'em miałem w swoim czasie. Jeżeli podróżnik ma słuszość, Hindusi będą prawdopodobnie pod koniec czerwca również mieli na oku bank — i może wyniknąć z tego coś poważniejszego. Wynik ten nie obchodzi ani ciebie, ani mnie — poza tym, że może dopomóc nam w ustaleniu tożsamości osoby, która zastawiła diament. Osoba owa, możesz być tego pewien, winna jest (choć nie wiem dokładnie, w jaki sposób) twojej obecnej sytuacji i tylko ona jest w stanie przywrócić ci szacunek Racheli.

— Nie przeczę — rzekłem — że ten plan może rozwiązać moje kłopoty w sposób bardzo śmiały, pomysłowy i nowy. Ale...

— Masz jednak obiekcje?

— Tak. Chodzi o to, że plan ten każe nam czekać.

— To prawda. Podług moich obliczeń kaze ci czekać mniej więcej dwa tygodnie. Czy to bardzo długo?

— W mojej sytuacji, panie Bruff, to wieczność cała. Życie stanie się dla mnie nie do zniesienia, jeżeli nie będę mógł od razu przedsięwziąć czegoś, aby odzyskać dobre imię.

— Cóż, mogę to oczywiście zrozumieć. Ale czyś zastanowił się nad tym, co chcesz przedsięwziąć?

— Chciałbym zasięgnąć porady u sierżanta Cuffa.

— Sierżant wycofał się ze służby. Nic ci teraz nie pomoże.

— Wiem, gdzie go znaleźć, i mogę przynajmniej spróbować z nim się porozumieć.

— Spróbuj — oświadczył pan Bruff po chwili namysłu. — Sprawa od czasu, jak się nią sierżant Cuff zajmował, przybrała tak fantastyczny obrót, że być może obudzisz jego zainteresowanie. Spróbuj i zawiadom mnie o wynikach. Tymczasem — ciągnął dalej, wstając — jeżeli do końca miesiąca nie dokonasz żadnego nowego odkrycia, może ja ze swej strony zobaczę, co się da zrobić, stawiając obserwatorów przed bankiem.

— Oczywiście — odparłem — chyba że zwolnię pana do tego czasu z konieczności dokonania tej próby.

Pan Bruff uśmiechnął się i wziął kapelusz.

— Powiedz sierżantowi — rzeki — iż moim zdaniem ustalenie prawdy zależy od wykrycia osoby, która zastawiła diament. I zawiadom mnie, co na to odpowie wytrawny detektyw.

Na tym się rozstaliśmy tego wieczora.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyłem do miasteczka Dorking — obecnego miejsca zamieszkania sierżanta, jak mnie poinformował Betteredge.

Zapytałem w hotelu i otrzymałem wskazówki, jak znaleźć domek sierżanta. Stał nieco za miastem w sporym ogrodzie, otoczony murem z tyłu i wysokim, gęstym żywopłotem z przodu. Furtka była zamknięta. Zadzwoiłem, a potem zajrzałem przez otwory w drewnianej kratce nad furtką i ujrzałem wszędzie umiłowane kwiaty wielkiego Cuffa, kwitnące w ogrodzie, zwisające nad drzwiami, zaglądale do okien. Z dala od zbrodni i tajemnic wielkiego miasta słynny detektyw spędzał ostatnie lata życia wśród ukochanych róż!

Solidnie wyglądająca starsza kobieta otworzyła mi furtkę i od razu zniweczyła nadzieje, jakie pokładałem w ewentualnej pomocy sierżanta. Sierżant, jak się okazało, właśnie poprzedniego dnia wyjechał do Irlandii.

— Czy pojechał tam w interesach? — spytałem. Kobieta uśmiechnęła się.

— Pan Cuff ma teraz interesy jednego tylko rodzaju, sir — rzekła — róże. Jakiś wielki ogrodnik irlandzki odkrył coś nowego z zakresu hodowli róż, więc pan Cuff pojechał, żeby zasięgnąć u niego w tej sprawie informacji.

— Czy wiadomo pani, kiedy wróci?

— Niestety, proszę pana. Pan Cuff powiedział, że wróci wkrótce albo zabawi tam dłuższy czas, zależnie od tego, czy nowe odkrycie jest coś warte, czy też nie. Jeżeli zostawi pan dla niego jakąś wiadomość, powtórzę mu ją zaraz po jego powrocie.

Dałem jej swój bilet wizytowy, na którym napisałem ołówkiem: „Mam Panu coś do powiedzenia w sprawie Kamienia Księżycowego. Zechce Pan porozumieć się ze mną natychmiast po powrocie”. Gdy to zrobiłem, nie pozostawało mi nic innego, jak ulec nie sprzyjającym okolicznościom i powrócić do Londynu.

Byłem w stanie takiej rozterki, że nieudana podróż do domku sierżanta podsycała jeszcze dręczące mnie pragnienie, aby niezwłocznie coś przedsięwziąć. W dniu przyjazdu z Dorking postanowiłem, że już następnego ranka rozpocznę jakieś kroki, na przekór wszelkim przeszkodom torując sobie przemocą drogę z ciemności do światła.

Jaką formę miał przybrać mój następny eksperyment?

Gdyby przezacny Betteredge był ze mną, kiedy zastanawiałem się nad tym pytaniem, i gdyby mógł wejrzeć w moje myśli, stwierdziłby bez wątplenia, że tym razem niemiecka strona charakteru wzięła we mnie górę. Mówiąc poważnie, niewykluczone, że niemiecka moja edukacja była w pewnym stopniu odpowiedzialna za labirynt bezużytecznych rozważań, w które się

wdałem. Do rana nie miał przesiedziałem paląc cygara i snując teorie, jedną bardziej nieprawdopodobną od drugiej. Kiedy się wreszcie położyłem, obrazy ułożone przeze mnie na jawie, prześladowały mnie we śnie. Wstałem nazajutrz mając w głowie płataninę dowodzeń obiektywno-subiektywnych i subiektywno-obiektywnych, toteż dzień, który miał być świadkiem mojego następnego realnego i energicznego posunięcia, rozpocząłem od wątpliwości, czy z punktu widzenia filozofii mam prawo uważać, że jakakolwiek rzecz (nie wyłączając diamentu) w ogóle istnieje.

Trudno mi określić, jak długo pozostawałbym w oparach własnej metafizyki, gdybym sam miał się z nich wyrwać. Jednakże wyzwolił mnie szczęśliwy przypadek. Mianowicie włożyłem tego ranka ten sam surdut, który miałem na sobie w dniu spotkania z Rachelą. Szukając czegoś w kieszeni, natrafiłem na pogniecioną kartkę, wyjąłem ją i ujrzałem zapomniany list od Betteredge'a.

Przykro mi było pozostawiać bez odpowiedzi korespondencję zacnego przyjaciela. Usiadłem tedy przy biurku i odczytałem ją ponownie.

Najtrudniej zawsze odpowiedzieć na list nie zawierający żadnych ważniejszych wiadomości. Epistoła Betteredge'a należała do tej właśnie kategorii. Pomocnik pana Candy'ego, czyli Ezra Jennings, powiedział swemu chlebodawcy, że mnie widział, pan Candy zaś z kolei zapragnął się ze mną zobaczyć i prosił, abym się z nim skomunikował, jeśli będę znów w okolicach Frizinghall. Czy można było na to odpowiedzieć coś, co warte byłoby kartki papieru? Siedziałem i na arkusiku przeznaczonym dla Betteredge'a rysowałem z pamięci podobiznę niesamowitego pomocnika pana Candy'ego. Naraz przyszło mi do głowy, że nieposkromiony Ezra znów staje natrętnie na mojej drodze! Wrzuciłem co najmniej tuzin portretów człowieka o pstrokatej włosach (włosy w każdym razie były ogromnie podobne do oryginału) do kosza i niezwłocznie napisałem odpowiedź Betteredge'owi. Był to list absolutnie banalny, ale podziałał na mnie dobroczynnie. Wysilek, jakiego wymagało napisanie kilku prostych zdań, oczyścił zupełnie mój umysł z mglistych bzdur, które zaśmiecały go od poprzedniego dnia.

Pragnąc poświęcić się znów wyświetleń niепrzeniknionej tajemnicy, jaką stanowiła dla mnie ówczesna moja sytuacja, spróbowałem tym razem podejść do problemu od strony ściśle praktycznej. Wydarzenia pamiętnej nocy były dla mnie wciąż niezrozumiałe, sięgnąłem tedy dalej w przeszłość i odtworzyłem w pamięci dzień urodzin Racheli od rana, aby przekonać się, czy nie zdarzył się wówczas jakiś incydent, który dostarczyłby mi klucza do zagadki.

Czy nie zdarzyło się nic, kiedy kończyliśmy z Rachelą malowanie drzwi? Albo później, kiedy pojechałem do Frizinghall? Albo potem, kiedy wracałem z Godfreyem Ablewhite'em i z jego siostrami? Albo jeszcze później, kiedy wręczyłem Racheli Kamień Księżycowy? Lub jeszcze później, kiedy zaczęli, się zjeżdżać goście i zebraliśmy się wszyscy przy stole? Pamięć moja odpowiadała bez trudu na ten szereg pytań, dopóki nie doszedłem do ostatniego. Kiedy usiłowałem przypomnieć sobie zebranie towarzyskie

i uroczysty obiad, okazało się, że pamięć odmawia mi posłuszeństwa. Nie mogłem nawet przypomnieć sobie dokładnie liczby gości, którzy siedzieli ze mną przy jednym stole.

Od tego odkrycia był już tylko jeden krok do wniosku, że wobec tego wypadki, które rozegrały się przy obiedzie, mogłyby mieć dla mnie szczególne znaczenie, gdyby tylko udało mi się je zbadać. Sądzę, że inni w podobnej sytuacji rozumowaliby tak samo jak ja. Postanowiłem tedy ustalić nazwiska osób obecnych na obiedzie, a następnie — aby uzupełnić luki w mojej własnej pamięci — zwrócić się do nich z prośbą o spisanie wszystkiego, co pamiętają z tego obiadu, i rozpatrzyć uzyskane stąd wyniki w świetle wydarzeń, które zaszły po odjeździe gości.

Ostatni ten i najnowszy z licznych planowanych przeze mnie eksperymentów w sztuce dociekania prawdy — który Betteredge przypisałby zapewne temu, że w owej chwili wzięła we mnie górę trzeźwa, czyli francuska strona charakteru — wart jest odnotowania ze względu na jego późniejsze znaczenie. Może się to wydać nieprawdopodobne, ale natrafiłem tu bezwiednie na drogę do sedna całej sprawy. Potrzeba mi było tylko jeszcze wskazówki, która pchnęłaby mnie we właściwym kierunku. Zanim wszakże upłynął jeszcze jeden dzień, uzyskałem taką wskazówkę od kogoś, kto był obecny na przyjęciu urodzinowym.

Mając już opracowany plan działania, musiałem jeszcze zdobyć kompletną listę gości. Mogłem ją otrzymać bez trudu od Gabriela Betteredge'a. Postanowiłem tego samego dnia powrócić do Yorkshire i rozpocząć zamierzone badania następnego ranka.

Na pociąg odchodzący w południe z Londynu nie mogłem już zdążyć. Nie pozostawało nic innego, jak czekać blisko trzy godziny na następny. Zastanawiałem się, czym mogę się na razie zająć w Londynie, aby skrócić czas oczekiwania.

Myśli moje powracały uparcie do przyjęcia urodzinowego.

Zapomniałem wprawdzie liczbę, a w wielu wypadkach i nazwiska gości, pamiętałem jednak dość dobrze, iż większość obecnych przybyła z Frizing-hall albo z okolicy. Ale nie wyczerpywało to sprawy. Kilka osób w ogóle nie było stałymi mieszkańcami hrabstwa. Ja sam należałem do tych osób, pan Murthwaite był drugi, Godfrey Ablewhite trzeci. Pan Bruff?... Nie. Przypomniałem sobie, że interesy nie pozwoliły panu Bruffowi przybyć na uroczystość. Czy były jeszcze jakieś panie mieszkające stale w Londynie? Pamiętałem jedynie pannę Clack. W każdym więc razie były trzy osoby, z którymi powinienem był się porozumieć przed wyjazdem z Londynu. Pojechałem od razu do kancelarii pana Bruffa. nie znałem bowiem adresów poszukiwanych przeze mnie osób, a miałem nadzieję, że potrafi mi on podać te adresy albo wskazać sposób ich znalezienia.

Pan Bruff był bardzo zajęty i mógł mi udzielić tylko chwili swego Gennego czasu. Podczas tej minuty wszakże zdołał odpowiedzieć — i to w sposób jak najbardziej zniechęcający — na wszystkie pytania, jakie mu zadałem.

Po pierwsze uznał, że moja nowo odkryta metoda szukania klucza do zagadki zbyt jest chimeryczna, aby można było o niej poważnie dyskutować. Po drugie, po trzecie i po czwarte, pan IVturtherwaite powrócił już na tereny swych dawnych przygód, panna Clack poniosła straty finansowe i ze względów oszczędności osiedliła się we Francji, pan Godfrey Ablewhite zaś, o ile nie wyjechał, jest zapewne gdzieś w Londynie. Może zapytam w jego klubie? I może daruję panu Bruffowi, jeśli pożegna mnie i powróci do przerwanych zajęć?

Pole działania w Londynie zacieśniło się więc bardzo, pozostawiając mi tylko możliwość znalezienia adresu Godfreya. Zgodnie z radą prawnika pojechałem do klubu mojego kuzyna.

W hallu spotkałem jednego z członków, starego przyjaciela Godfreya, a zarazem mojego znajomego. Dżentelmen ów podawszy mi adres Godfreya opowiedział mi o dwóch wypadkach z jego życia, które zdarzyły się ostatnio, a o których ja nic nie wiedziałem.

Otóż Godfrey, nie zniechęcony bynajmniej zerwaniem zaręczyn przez Rachełę, oświadczył się wkrótce potem o rękę innej panny, uchodzącej za dziedziczkę wielkiej fortuny. Oświadczyzny zostały przyjęte i małżeństwo uważano powszechnie za rzecz postanowioną. Ale i tym razem zaręczyny w sposób nagły i nieoczekiwany zerwano — rzekomo z powodu poważnej różnicy zdań między przyszłymi małżonkami w sprawie intercyzy.

Niejaką rekompensatą za tę drugą klęskę matrymonialną był dla Godfreya fakt, że w niedługim czasie, jak się okazało, został on przedmiotem tkliwej a hojnej pamięci jednej ze swoich adoraterek. Bogata stara dama — szanowana ogromnie w Towarzystwie Przerabiania Ubrań i wielka przyjaciółka panny Clack (której nie zapisała nic prócz żałobnego pierścionka) — pozostawiła nieocenionemu i uroczemu Godfreyowi legat w wysokości pięciu tysięcy funtów. Po otrzymaniu tak okazałego dodatku do swych wątych zasobów finansowych Godfrey oświadczył podobno, że musi trochę odpocząć po wyczerpującej pracy dobroczynnej i że lekarz zalecił mu „wycieczkę na kontynent, która może być zbawienna dla jego zdrowia”. Jeżeli więc chcę go zobaczyć, powinienem nie zwlekając złożyć mu wizytę.

Pojechałem tedy z punktu do Godfreya.

Ten sam pech, który sprawił, że spóźniłem się o jeden dzień z wyjazdem do sierżanta Cuffa, sprawił też, że spóźniłem się o jeden dzień do Godfreya. Kuzyn mój poprzedniego ranka wyjechał z Londynu udając się pociągiem do Dover. Miał przejechać przez Kanał do Ostendy, a stamtąd, jak sądził jego służący, udać się dalej do Brukseli. Data powrotu nie była ustalona, w każdym jednak razie Godfrey miał spędzić za granicą co najmniej trzy miesiące.

Wróciłem do domu nieco przygnębiony. Trzy osoby spośród tych, co brali udział w obiedzie urodzinowym — przy czym wszystkie trzy odznaczające się wyjątkową inteligencją — stały się nieuchwytnie właśnie teraz, kiedy skomunikowanie się z nimi stanowiło dla mnie rzecz ogromnej wagi. Ostatnią nadzieją był dla mnie Betteredge i ci spośród przyjaciół mojej

drogiej ciotki, którzy mieszkali nadal w sąsiedztwie domu wiejskiego Racheli.

Udałem się tym razem wprost do Frizinghall, gdyż miasteczko miało być obecnie centralnym punktem moich badań. Przyjechałem zbyt późnym wieczorem, aby móc porozumieć się z Betteredge'em. Nazajutrz rano wysłałem umyślnego z listem, prosząc Gabriela, aby możliwie jak najprędzej przybył do mojego hotelu. Byłem na tyle przezorny — częściowo gwoli oszczędności czasu, częściowo zaś, aby nie męczyć zbytnio Betteredge'a — że wysłałem chłopca bryczką, miałem tedy nadzieję, że jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, zobaczę mojego starego przyjaciela po upływie jakichś dwóch godzin. Tymczasem zamierzałem rozpocząć zbieranie informacji od tych osób spośród gości obecnych na obiedzie, które znałem osobiście i które mieszkały w pobliżu. Byli to przede wszystkim moi krewni, państwo Ablewhite, oraz pan Candy. Doktor wyraził specjalną chęć *zobaczenia* się ze mną, mieszkał zaś na sąsiedniej ulicy. Poszedłem więc najpierw do doktora Candy'ego.

Po tym, co mi opowiadał Betteredge, spodziewałem się oczywiście zobaczyć na twarzy doktora ślady przebytej ciężkiej choroby, byłem jednak całkowicie nie przygotowany na taką zmianę, jaką ujrzałem, gdy wszedł do pokoju i uściśnął mi dłoń. Oczy miał przysłone, włosy zupełnie siwe, twarz pomarszczoną, postać wychudłą. Patrzałem na żwawego ongi, gadatliwego doktora — który kojarzył mi się w pamięci z niezliczonymi towarzyskimi gafami i dziecinnymi wręcz psikusami — lecz nie dostrzegałem w nim nic z dawnego charakteru prócz skłonności do krzykliwej nieco elegancji stroju. Człowiek ten był ruiną, ale ubranie jego i ozdoby — które podkreślały tylko szyderczo i okrutnie zaszłą w nim zmianę — pozostały równie jaskrawe i barwne jak dawniej.

— Często myślałem o panu, panie Blake — rzekł doktor — i cieszę się ogromnie, że znów pana wreszcie widzę. Jeżeli mogę panu w czymś pomóc, proszę, jestem do usług, jestem do usług...

Wypowiedział te zdawkowe słowa ze zbędnym pośpiechem i ożywieniem. Widać było, że pochłania go ciekawość, co też sprowadza mnie do Yorkshire, ciekawość wręcz dziecinna, której najzupełniej nie umiał ukryć.

Wobec przyświecającego mi celu byłem oczywiście przygotowany na to, że wypadnie mi udzielić pewnych wyjaśnień natury osobistej, zanim zdołam dostatecznie zainteresować ludzi przeważnie całkiem mi obcych, aby okazali mi pomoc w miarę swych możliwości. W drodze do Frizinghall ułożyłem sobie z góry takie wyjaśnienie i skorzystałem teraz ze sposobności, aby wypróbować jego działanie na doktorze Candy.

— Byłem już niedawno w Yorkshire i przyjechałem teraz znowu w sprawie dość romantycznej — powiedziałem. — Jest to sprawa, która interesowała w swoim czasie wszystkich przyjaciół lady Verinder. Przypomina pan sobie tajemnicze zniknięcie indyjskiego diamentu blisko rok temu? Otóż zaszły

niedawno pewne okoliczności, które budzą w nas nadzieję, że diament uda się może odnaleźć — i ja, jako członek rodziny, zajmuję się tą sprawą. Mam jeszcze liczne przeszkody do pokonania i w tym celu muszę zebrać znów wszystkie informacje, które w swoim czasie już na ten temat zebrano, a jeśli się uda, to i więcej. Sprawa ma pewne osobliwe aspekty, w związku z czym pożądanym byłoby odświeżyć w pamięci wszystko, co zaszło w wieczór urodzin panny Verinder. Ośmielam się więc zwrócić do dawnych przyjaciół jej matki, którzy obecni byli wówczas na uroczystości, aby wsparli mnie swoją pamięcią...

Dotarłem do tego miejsca próbnej recytacji ułożonego przeze mnie wyjaśnienia, gdy powstrzymał mnie nagle wyraz twarzy doktora Candy'ego, wyraz, który świadczył, że próba najzupełniej się nie powiodła.

Przez cały czas mojej przemowy doktor siedział skubiąc niespokojnie palce. Wodniste, przymglone oczy wpatrywały się we mnie spojrzeniem pytającym i smutnym. Niepodobna było odgadnąć, o czym doktor myśli. Widziałem tylko wyraźnie, że po pierwszych dwóch czy trzech słowach nie udało mi się zatrzymać dłużej jego uwagi. Jedyнным sposobem na przywołanie go do rzeczywistości była zmiana tematu. Spróbowałem natychmiast zacząć z innej beczki.

— Tyle o tym, co sprowadza mnie do Frizinghall—powiedziałem wesoło. — A teraz, panie doktorze, kolej na pana. Pisał mi Gabriel Betteredge, że pan życzył sobie...

Pan Candy przestał skubać palce i ożywił się nagle.

— Tak, tak, tak! — zawołał skwapliwie. — Prosiłem, żeby przekazał panu ode mnie wiadomość!

— Betteredge zakomunikował mi ją listownie — ciągnąłem dalej. — Zamierzał mi pan coś powiedzieć, kiedy będę następnym razem tu w okolicy. A więc jestem, panie doktorze!

— Jest pan! — powtórzył jak echo doktor. — I Betteredge się nie mylił. Miałem panu coś do powiedzenia. Prosiłem, żeby pana o tym zawiadomił. Betteredge to cudowny człowiek. Co za pamięć! W jego wieku — co za pamięć!

Umilkł i znów zaczął skubać palce. Przypominając sobie, co słyszałem od Betteredge'a o wpływie, jaki wywarła choroba na pamięć doktora, mówiłem dalej w nadziei, że naprowadzę go jakoś na pożądaną temat.

— Dawno się już nie widzieliśmy — powiedziałem. — Ostatni raz spotkaliśmy się na proszonym obiedzie, jaki wydała moja ciotka.

— Otóż właśnie! — zawołał doktor Candy. — Obiad proszony! Zerwał się na nogi i patrzył na mnie. Ciemny rumieniec zalał nagle jego

zwiądnę policzki, po czym doktor usiadł znowu, jak gdyby świadom, że zdradził się ze słabością, którą wolałby ukryć. Jasne było, że zdaje sobie sprawę z defektów swojej pamięci i że zależy mu bardzo na tym, aby nie ujawniać ich przed znajomymi.

Jak dotychczas budził we mnie jedynie współczucie, ale ostatnie jego słowa, choć tak nieliczne, rozpały natychmiast moją ciekawość. Uroczysty

obiad urodzinowy stał się już dla mnie jedynym wydarzeniem z przeszłości, które traktowałem ze szczególną mieszaniną nadziei i nieufności. I jak się okazało, pan Candy miał mi coś ważnego do powiedzenia, właśnie w sprawie tego obiadu!

Próbowałem znów mu dopomóc. Ale tym razem w grę wchodziły moje własne interesy, toteż być może zbyt pośpiesznie dążyłem do upragnionego celu.

— Blisko to już rok od chwili, gdy siedzieliśmy w tak miłym towarzystwie przy owym stole — rzekłem. — Czy zanotował pan sobie w dzienniku czy może gdzie indziej, co pragnął mi pan powiedzieć?

Pan Candy zrozumiał aluzję i dał mi poznać, że jest nią dotknięty.

— Nie potrzeba mi żadnych notatek, panie Blake — oświadczył oziębło. — Nie jestem jeszcze zgrzybiałym starcem i Bogu dzięki, mogę w zupełności polegać na swojej pamięci!

Udałem oczywiście, że nie zauważyłem wcale jego obrażonego tonu.

— Chciałbym móc powiedzieć to samo o swojej pamięci — odparłem. — Ilekroć próbuję przypomnieć sobie różne sprawy sprzed roku, przekonuję się zwykle, że wspomnienia moje nie są tak plastyczne i wyraźne, jak bym tego pragnął. Weźmy na przykład ten obiad u lady Verinder...

Pan Candy ożywił się znowu.

— Ach, obiad, obiad u lady Verinder! — zawołał z nowym przyływem energii. — Mam panu o nim coś do powiedzenia!

Oczy jego patrzyły na mnie znów pytająco, smutno, bezradnie. Był to bolesny widok. Pan Candy dokładał wszelkich wysiłków, aby pochwycić umykające wspomnienie.

— Niezwykle przyjemny obiad — wybuchnął nagle z taką miną, jak gdyby mówił właśnie to, co chciał powiedzieć. — Bardzo miły obiad, panie Blake, nieprawdaż?

Biedaczysko kiwał głową i uśmiechał się, przekonany widocznie, że udało mu się dzięki przytomności umysłu ukryć, jak bardzo zawodzi go pamięć.

Było to tak przykre, że — choć zależało mi na owym zagubionym wspomnieniu — zmieniłem natychmiast temat i zacząłem mówić o sprawach miejscowych.

' Tu doktor radził sobie zupełnie dobrze. Drobne skandaliki i plotki miasteczkowe, niektóre miesięcznej nawet dawności, ożywały mu w pamięci bez trudu. Trajkotał ochoczo i potoczyście jak ongiś. Ale w tym przyływie gadulstwa zdarzały się chwile, gdy zatrzymywał się nagle, patrzył na mnie pytająco, odzyskiwał z wysiłkiem panowanie nad sobą i ciągnął dalej. Znosiłem cierpliwie te tortury (boć niczym innym jak torturą jest dla człowieka o zamiłowaniach kosmopolitycznych słuchanie plotek małomiasteczkowych), dopóki zegar nad kominkiem nie powiedział mi, że wizyta moja trwa już przeszło pół godziny. Uważając tedy, że dość wycierpiałem, wstałem, aby się pożegnać. Gdyśmy ściskali sobie dłonie, doktor Candy z własnej woli powrócił do obiadu urodzinowego.

— Tak się cieszę, żeśmy się znowu spotkali — rzekł. — Bardzo mi zależało, doprawdy ogromnie mi zależało na tym, panie Blake, aby z panem pomówić. W sprawie tego obiadu u lady Verinder, wie pan., Bardzo to był przyjemny obiad, niezwykle przyjemny, prawda?

Powtarzając to zdanie, nie był już tak pewien jak przedtem, że zatuszował braki swej pamięci. Twarz jego znów powlokła się obłokiem smutku i choć najwyraźniej zamierzał odprowadzić mnie do drzwi frontowych, rozmyślił się nagle, zadzwonił na służącego i pozostał w salonie.

Schodziłem wolno ze schodów w posepnym przeświadczeniu, że doktor rzeczywiście miał mi do powiedzenia coś niezwykle ważnego, lecz nie potrafił zebrać myśli. Osłabiona pamięć podpowiadała mu jedynie, że chciał ze mną pomówić, ponadto jednak niezdolna była do żadnego wysiłku.

Gdy zszedłem na dół i skręciłem do hallu, posłyszałem naraz odgłos otwieranych drzwi i łagodny głos:

— Pan Candy bardzo jest zmieniony, nieprawdaż? Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z Ezrą Jenningsem.

ROZDZIAŁ IX

Ładniutka pokojówka doktora czekała już na mnie przy otwartych drzwiach. Jaskrawe światło poranka padało wprost na twarz pomocnika pana Candy'ego.

Nie sposób było zaprzeczyć twierdzeniu Betteredge'a, że powierzchowność Ezry Jenningsa z pewnością nie przysparza mu popularności. Smągła, cygańska cera, chude, wpadnięte policzki, uderzające, czarno-białe włosy, przedziwna sprzeczność między twarzą a postacią, nadająca mu wygląd młodzieńczy i starczy zarazem — wszystko to musiało wywierać na ludziach, którzy nie znali go bliżej, wrażenie jak najbardziej niekorzystne. A jednak — mimo tego niekorzystnego wrażenia, z którego zdawałem sobie dokładnie sprawę — odczuwałem do Ezry Jenningsa niewytłumaczoną i nieodpartą sympatię. Aczkolwiek moja znajomość świata szeptała mi, że powinienem odpowiedzieć na jego pytanie zdawkowym potwierdzeniem i czym prędzej opuścić dom doktora, zainteresowanie, jakie budził we mnie Ezra Jennings, przykuło mnie do miejsca i dało mu sposobność do rozmowy w cztery oczy o jego chlebodawcy, na którą to sposobność najwidoczniej czekał.

— Czy idzie pan w moją stronę, panie Jennings? — zapytałem widząc, że trzyma w ręce kapelusz. — Chcę złożyć wizytę mojej ciotce, pani Ablewhite.

Ezra Jennings odparł, że musi odwiedzić chorego i że idzie właśnie w tą samą stronę.

Wyszliśmy razem z domu pana Candy'ego. Zauważyłem, że ładniutka służąca — która w odpowiedzi na moje pożegnanie rozplynęła się w najuprzejmiejszym uśmiechu — zacisnęła usta i odwróciła oczy, gdy Ezra Jennings mówił jej przed wyjściem, o której godzinie należy się spodziewać jego powrotu.

Biedaczysko najwyraźniej nie był lubiany w tym domu, a jak wiedziałem od Betteredge'a, nie był też lubiany nigdzie indziej. „Co za życie!”, pomyślałem sobie, kiedyśmy schodzili z ganku.

Raz poruszywszy sprawę choroby pana Candy'ego, Ezra Jennings postanowił widocznie pozostawić mnie dalsze podjęcie tego tematu. Milczenie jego mówiło niedwuznacznie: „Teraz kolej na pana”. Nie starałem się bynajmniej uchylić od tego obowiązku, gdyż stan zdrowia doktora żywo mnie obchodził.

— Sądząc ze zmian, jakie dostrzegam w panu Candym — zacząłem — choroba jego musiała być znacznie poważniejsza, niż przypuszczałem?

— To cud prawdziwy, że ostał się przy życiu — odparł Ezra Jennings.

— Czy pamięć zawsze go tak zawodzi, jak to dzisiaj obserwowałem? Może miewa lepsze dni? Usiłował bowiem coś mi powiedzieć...

— Coś, co miało miejsce, nim zachorował? — spytał Ezra Jennings dostrzegając moje wahanie.

— Tak.

— Wydarzenia z owego okresu zatarły mu się w pamięci niemal bezpowrotnie — rzekł Ezra Jennings. — Należy tylko żałować, że pozostały z nich jakieś strzępki. Pamięta coś niecoś jak przez mgłę — to i owo, co zamierzał zrobić lub powiedzieć — ale nie może sobie wcale przypomnieć, na czym te plany polegały, co właściwie miał powiedzieć czy zrobić. Zdaje sobie sprawę z tego defektu pamięci, odczuwa go boleśnie i — jak pan zapewne zauważył — dokłada wszelkich starań, aby ukryć go przed otoczeniem. Gdyby po powrocie do zdrowia stracił pamięć doszczętnie, byłby znacznie szczęśliwszy. Być może wszyscy bylibyśmy szczęśliwsi — dodał ze smutnym uśmiechem — gdyby nam dana była całkowita niepamięć przeszłości!

— A przecież każdy człowiek ma chyba wspomnienia, których nie chciałby się wyzbyć? — odparłem.

— Da się to, mam nadzieję, powiedzieć o większości ludzi, panie Blake, wątpię jednak, czy się stosuje do wszystkich. Czy ma pan powody, aby przypuszczać, że owo utracone wspomnienie, które pan Candy w rozmowie z panem na próżno starał się odtworzyć, może mieć dla pana jakąś wagę?

Wypowiadając te słowa dotknął właśnie owego punktu, o który chciałem go zapytać. Zainteresowanie, jakie budził we mnie ten dziwny pan, skłoniło mnie do tego, aby dać mu sposobność rozmowy ze mną, upewnić się, czy jest człowiekiem, na którego delikatności uczuć i dyskrecji mogę polegać, i dopiero wtedy wyłuszczyć, co miałem do powiedzenia o jego patronie. Ale kilka zdań wypowiedzianych przez pana Jenningsa wystarczyło, by przekonać mnie, że mam do czynienia z dżentelmenem. Odznaczał się ową nieprzymuszoną swobodą i opanowaniem stanowiącym niezawodną oznakę dobrego wychowania, nie tylko zresztą w Anglii, lecz w całym świecie cywilizowanym. Czułem, iż bez względu na to, jakie pobudki kierowały nim, gdy zadawał mi owo pytanie, mogę odpowiedzieć na nie z całą szczerością.

— Sądzę, że to, co pan Candy chciał mi powiedzieć, mogłoby mieć dla mnie wielkie znaczenie — odparłem. — Jeśli wolno, pragnąłbym zapytać

pana, czy nie zechciałby podsunąć mi jakiegoś sposobu na wspomnienie jego pamięci.

— Pamięci pana Candy'ego nie można pomóc — odrzekł Ezra Jennings. — Od czasu jego powrotu do zdrowia próbowałem tego bezskutecznie tyle razy, że mogę wypowiedzieć się na ten temat z całą pewnością.

Wiadomość ta sprawiła mi zawód, którego nie ukrywałem.

— Wyznam, że spodziewałem się od pana bardziej pocieszającej odpowiedzi — rzekłem.

Ezra Jennings uśmiechnął się.

— Nie twierdę, że odpowiedź ta jest ostateczna, panie Blake. Być może uda się jeszcze odtworzyć zatarte wspomnienia pana Candy'ego nie zwracając się do niego osobiście.

— Doprawdy? Czy nie będę niedyskretny, jeśli zapytam, w jaki sposób?

— Ależ bynajmniej. Trudność polega jedynie na wyjaśnieniu panu, co mam na myśli. Czy wolno mi liczyć na pańską cierpliwość, jeśli powrócę jeszcze raz do choroby doktora i będę mówił o niej tym razem z punktu widzenia medycznego nie lękając się, iż znudzę pana szczegółowym opisem?

— Proszę, zechce pan mówić! Obudził pan moją ciekawość. Gotowość moja ubawiła Ezrę Jenningsa — czy może raczej sprawiła mu

przyjemność. Uśmiechnął się znowu. Wyszliśmy już tymczasem z miasta. Ezra Jennings przystanął na chwilę i zerwał jakieś kwiaty rosnące dziko przy drodze.

— Jakie są piękne! — rzekł z prostotą, pokazując mi bukiet. — I jak mato jest ludzi w Anglii, którzy podziwiają je tak, jak one na to zasługują!

— Pan nie zawsze mieszkał w Anglii? — spytałem.

— Nie. Urodziłem się i do pewnego wieku wychowywałem w jednej z naszych kolonii. Ojciec mój był Anglikiem, matka zaś... Ale odbiegamy od tematu, panie Blake, i to z mojej winy. Przyznam się, że te skromne kwiatki przypominają mi... Mniejsza o to, mówiliśmy o panu Candym, powróćmy więc do niego.

Kojarząc te kilka słów o nim samym, jakie wymknęły mu się mimo woli, z melancholijnym poglądem na życie, który kazał mu uważać zapomnienie za warunek ludzkiego szczęścia, doszedłem do wniosku, że historia, którą wyczytałem z jego twarzy, w dwóch przynajmniej punktach odpowiada rzeczywistości — musiał zaznać w życiu cierpień znacznie ponad zwykłą miarę i miał w żyłach domieszkę obcej krwi.

— Słyszał pan zapewne o przyczynie choroby pana Candy'ego? — podjął znowu. — Owego wieczora po obiedzie proszonym u lady Verinder spadł ulewny deszcz. Patron mój pojechał do domu swoim koczem i w drodze zmókł do nitki. W domu zastał pilne wezwanie do chorego i udał się tam nie zmieniając ubrania. Ja owej nocy bawiłem u pacjenta w pewnej odległości od Frizinghall. Gdy nazajutrz rano wróciłem, zastałem służącego doktora, który czekał już, aby zaprowadzić mnie czym prędzej do pokoju swego pana. Ale złe tymczasem już się stało, choroba opanowała organizm.

— Mówiono mi tylko ogólnie, że była to jakaś gorączka — wtrąciłem.

— Nie mogę dodać nic, co by określało ją bliżej — odparł Ezra Jennings. — Gorączka owa od początku do końca nie przybrała bardziej specyficznej postaci. Wezwałem zaraz z miasta dwóch lekarzy, przyjaciół pana Candy'ego, aby przyjechali i postawili diagnozę. Zgodzili się ze mną, że sprawa wygląda poważnie, obaj wszakże byli odmiennego niż ja zdania, gdy chodziło o metody leczenia. Różnił się diametralnie we wnioskach wysnuwanych z pulsu pacjenta. Obaj lekarze opierając się na przyspieszonym tętnie twierdzili, że należy zastosować jedynie środki, które by je zwolniły. Ja natomiast przyznając, iż puls jest nadmiernie przyspieszony, podkreślałem jednak, że jest też bardzo słaby, co dowodziło wielkiego wyczerpania organizmu i wskazywało na konieczność zastosowania środków pobudzających. Jak pan widzi, poważna różnica zdań! W dodatku był to spór pomiędzy dwoma lekarzami o ustalonej w okolicy renomie a nieznanym przybyszem, pełniącym w domu pana Candy'ego jedynie funkcje pomocnika! Przez pierwsze więc kilka dni nie miałem innego wyjścia, jak usłuchać zdania osób ode mnie starszych i bardziej zasłużonych. Stan zdrowia pacjenta przez ten czas pogarszał się stale. Zaapelowałem ponownie do owych doktorów, powołując się na wyraźne świadectwo pulsu. Puls bowiem był nadal równie przyspieszony, a zarazem stawał się coraz słabszy. Doktorzy poczuli się dotknięci moimi naleganiami. „Panie Jennings — oświadczyli — albo my leczymy chorego, albo pan. Kto więc z nas?” Odrzekłem: „Panowie, proszę o pięć minut do namysłu, a udzielę na to zadane wprost pytanie jasnej odpowiedzi”. Gdy pięć minut upłynęło, byłem już zdecydowany. „Odmawiają panowie stanowczo spróbowania kuracji środkami pobudzającymi?” — spytałem. Odmówili wręcz. „A więc spróbuję jej niezwłocznie, panowie”. „Niech pan próbuje, panie Jennings, my zaś zrzekamy się leczenia”. Posiałem do piwnicy po butelkę szampana i własnoręcznie zaaplikowałem choremu pełny kieliszek. Lekarze ujęli w milczeniu kapelusze i opuścili dom.

— Wziął pan na swoje barki poważną odpowiedzialność — zauważyłem. — Na pańskim miejscu nie odważyłbym się chyba na to.

— Gdyby pan był na moim miejscu, panie Blake, pamiętałby pan, że doktor Candy dał panu u siebie pracę w takich okolicznościach, że uczyniło to pana jego dłużnikiem na całe życie. Na moim miejscu widziałby pan, jak doktor Candy gaśnie z godziny na godzinę i byłby się pan raczej poważał na wszystko, aniżeli pozwolił, aby ten jedyny przyjaciel zmarł na pańskich oczach. Sądzi pan, że nie zdawałem sobie sprawy z grozy sytuacji, w jakiej się postawiłem? Były chwile, kiedy odczuwałem cały ciężar swego osamotnienia, całe niebezpieczeństwo tej potwornej odpowiedzialności. Gdybym był do owego czasu człowiekiem szczęśliwym, gdybym pędził beztroskie życie, załamałbym się pewnie pod ciężarem zadania, którego się podjąłem. Ale nie miałem za sobą szczęśliwych "ni, do których z żalem powracałbym myślą, nie mogłem porównywać dotychczasowego spokoju i beztroski z obecnym niepokojem i napięciem — toteż trwałem w powziętym postanowieniu. Około południa, kiedy stan chorego budził najmniej obaw, kładłem się na parę godzin, żeby trochę odpocząć. Przez resztę czasu, dopóki życia jego

groziło niebezpieczeństwo, nie odchodziłem na krok od jego łoża. O zachodzie słońca, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, chory zaczynał majaczyć. Trwało to zazwyczaj przez większą część nocy, po czym następowała owa okropna pora — od drugiej do piątej rano — kiedy energia witalna najzdrowszego nawet człowieka znajduje się w najniższym swoim punkcie. O tej właśnie porze śmierć zbiera zwykle najobfitsze żniwo. I w tych godzinach właśnie odbywały się moje zmagania ze śmiercią o człowieka leżącego bezwładnie na łożku. Nadal stosowałem bez wahania kurację, na którą postawiłem wszystko niby na jedną kartę. Kiedy wino zawodziło, stosowałem koniak. Gdy inne środki pobudzające przestawały działać, potrajałem dawkę. Po okresie ustawicznej niepewności — jakiej oby nie wypadło mi przeżyć po raz drugi — nadszedł dzień, kiedy puls zaczął się stopniowo, lecz wyraźnie uspokajać, a co jeszcze ważniejsze, stał się zdecydowanie mocniejszy i równiejszy. Zrozumiałem, że go uratowałem i — przyznam się — opuściła mnie wówczas siła ducha. Położyłem wychudłą rękę biedaka na kołdrze i wybuchnąłem Izami. Histeria wynikająca z uczucia nagłej ulgi, panie Blake— nic innego! Fizjologia powiada, słusznie zresztą, że niektórzy mężczyźni rodzą się z kobiecym usposobieniem — i ja do nich należę!

Dał to fachowe, acz pełne gorzkości wyjaśnienie swoich lez spokojnie i bez wszelkiej afektacji, jak zresztą mówił przez cały czas. Ton jego i zachowanie od początku do końca zdradzały, że odczuwa chorobliwy wprost lęk by nie wydać mi się obiektem godnym zainteresowania.

— Może pan słusznie zapytać, czemu nużę pana tymi szczegółami — ciągnął dalej. — Otóż tylko w ten chyba sposób mogę przygotować pana na to, co powiem dalej. Wie pan teraz dokładnie, w jakiej sytuacji znajdowałem się podczas choroby doktora i łatwiej przyjdzie panu zrozumieć, jak bardzo potrzeba mi było jakiegokolwiek zajęcia, aby choć od czasu do czasu oderwać myśli od przygniatającego je ciężaru. Od kilku lat poświęcam cały swój wolny czas na pisanie książki przeznaczonej dla moich kolegów po fachu, a traktującej o skomplikowanym i trudnym przedmiocie, mianowicie o mózgu i o układzie nerwowym. Pracy tej nigdy zapewne nie skończę i nie ukaże się ona nigdy w druku. Niemniej była mi wiernym przyjacielem wielu samotnych godzin i pomogła mi przetrwać trudne chwile — chwile, gdy mogłem jedynie czekać i nic ponadto — przy łożu pana Candy'ego. Powiedziałem, zdaje się, że majaczył? I wspomniałem, kiedy się te majaczenia zaczęły?

— Tak.

— Otóż w owym czasie doszedłem do tej części książki, w której poruszałem właśnie sprawę majaczenia w gorączce. Nie będę nudził pana dłuższym wykładem swojej teorii na ten temat, poprzestanę tylko na powiedzeniu tego, co w danej chwili może pana interesować. W trakcie mojej praktyki medycznej ogarniały mnie częstokroć wątpliwości, czy w wypadkach nieprzytomnych majaczeń słusznie wnosimy, że utrata zdolności logicznego mówienia świadczy też-nieuchronnie o utracie zdolności logicznego myślenia. Choroba biednego pana Candy'ego dała mi sposobność dokonania eksperymentu w tym względzie. Znam sztukę stenografii,

mogłem tedy notować majaczenia pacjenta dosłownie tak, jak padały z jego ust. Czy orientuje się pan wreszcie, do czego zmierzam, panie Blake?

Orientowałem się dokładnie i z zapartym tchem czekałem, co będzie dalej.

— W wolniejszych chwilach — mówi) Ezra Jennings — przepisywałem swoje notatki normalnym pismem, pozostawiając duże odstępy między urywanymi zdaniami, a nawet poszczególnymi słowami, które pan Candy wypowiadał pozornie bez związku. Następnie stosowałem do tych notatek tę samą zasadę, jaką stosuje się przy łamigłówkach dzieciennych. Z początku jest chaos, można jednak ułożyć rozrzucone kawałki w określony wzór, jeżeli tylko trafi się na właściwy sposób. Zgodnie z tym planem wypełniałem wolne miejsca na papierze tak, jak mi to nasuwały sąsiednie słowa lub zdania, przerabiając wszystko po wielokroć, dopóki moje wtręty nie utworzyły logicznej całości z wypowiedzianymi przez pana Candy'ego słowami. W rezultacie miałem nie tylko zajęcie na wiele długich i pełnych troski godzin, ale uzyskałem (jak mi się zdaje) potwierdzenie swojej teorii. Innymi słowy, po zestawieniu urywanych zdań stwierdziłem, że nadrzędna funkcja logicznego myślenia trwała nadal w mózgu mojego pacjenta, gdy podrzędna funkcja mowy znajdowała się w stanie całkowitego niemal rozprzężenia.

— Jedno słowo! — przerwałem rozgorączkowany. Czy w majaczeniach tych padło kiedy moje nazwisko?

— Dowie się pan za chwilę, panie Blake. Wśród spisanych dowodów na wypowiedziane przeze mnie przed chwilą twierdzenie — a raczej wśród opisanych eksperymentów mających wystawić moje twierdzenie na próbę, jest jeden, w którym figuruje pańskie nazwisko. Przez pewną noc myśli pana Candy'ego zaprzątnięte były czymś, co zaszło między nim a panem. Mam tutaj na jednej kartce urywane słowa, tak jak je chory wypowiadał. Na innej znów kartce mam odkryte przeze mnie ogniwa łączące te słowa. Wynikiem (jak by powiedział arytmetyk) jest dość zrozumiała opowieść. Po pierwsze, o czymś, co pan Candy zrobił w przeszłości, po drugie, o czymś, co zamierzał zrobić, gdyby nie przeszkodziła mu w tym choroba. Pytanie polega na tym, czy wynik ten istotnie stanowi rekonstrukcję owego zatartego wspomnienia, które pan Candy nadaremnie usiłował odtworzyć, kiedy go pan dziś odwiedził?

— Bez wątpienia! — odparłem. — Powróćmy od razu i zajrzyjmy do tych papierów.

— Niestety, to niemożliwe, proszę pana.

— Dlaczego?

— Proszę postawić się na chwilę w mojej sytuacji — rzekł Ezra Jennings. — Czy wtajemniczyłby pan osobę trzecią w to, co padło bezwiednie z ust pańskiego pacjenta i przyjaciela, nie upewniwszy się uprzednio, że tego rodzaju wtajemniczenie usprawiedliwione jest rzeczywistą koniecznością?

Czułem, że Jennings ma nieodpartą słusność, próbowałem jednak uzasadnić własne stanowisko.

— Postępowanie moje w tak drażliwej sprawie — odrzekłem — zależa-

łoby w znacznej mierze od tego, czy ujawnione wiadomości kompromitowa łyby mojego przyjaciela, czy też nie.

— Usunąłem z góry potrzebę zastanawiania się nad tego rodzaju pytaniem — rzekł Ezra Jennings. — Ilekroć notatki moje zawierały cokolwiek, co pan Candy, jak sądziłem, wolałby zachować w tajemnicy, niszczyłem je od razu. Rękopis mój nie zawiera obecnie nic takiego, czego doktor nie chciałby zakomunikować innym, gdyby odzyskał pamięć. W pańskim wypadku mam nawet powody do przypuszczeń, że notatki moje zawierają coś, co chory sam zamierzał panu powiedzieć...

— A mimo to waha się pan?

— A mimo to się waham. Zechce pan wziąć pod uwagę okoliczności, w jakich uzyskałem posiadane przeze mnie informacje! Choć są zupełnie nieszkodliwe, nie mogę zdobyć się na to, aby je panu wręczyć, dopóki się nie upewnię, że istnieją po temu ważne powody. Pan Candy był tak ciężko chory, panie Blake! I był ode mnie tak całkowicie zależny! Czyż to za wiele, gdy proszę pana, aby zechciał wyjaśnić mi choćby w ogólnych zarysach, czemu zależy panu na tym zagubionym wspomnieniu — i czego owo wspomnienie podług pana winno dotyczyć?

Gdybym odpowiedział z taką szczerością, jakiej słowa jego i zachowanie ode mnie żądały, równałoby się to przyznaniu, że podejrzany jestem o kradzież Kamienia Księżycowego. Aczkolwiek zainteresowanie moje osobą Ezry Jenningsa wzmoгло się jeszcze w trakcie tej rozmowy trudno mi było jednak przełamać opory wewnętrzne i wyjawić mu, w jak hańbiącej jestem sytuacji. Uciekłem się raz jeszcze do owego wyjaśnienia, które ułożyłem sobie, aby zaspokajać ciekawość ludzi obcych.

Tym razem nie mogłem się uskarżać na brak uwagi ze strony osoby, do której się zwracałem. Ezra Jennings słuchał cierpliwie, a nawet w skupieniu, dopóki nie skończyłem.

— Przykro mi, że obudziłem pańskie nadzieje, panie Blake, po to tylko, by je teraz zawieść — rzekł. — Przez cały czas choroby, od jej początku do końca, pan Candy nie uronił ani słowa na temat diamentu. Sprawa, z którą kojarzył pańskie nazwisko, nie pozostawała w żadnym związku z utratą lub odzyskaniem klejnotu panny Verinder, mogę pana o tym zapewnić.

W chwili gdy wypowiadał te słowa, zbliżyliśmy się do miejsca, w którym gościniec rozdwajał się. Jedna odnoga prowadziła do domu pana Ablewhi-te'a, druga do wioski odległej o dwie lub trzy mile. Ezra Jennings zatrzymał się przy drodze wiodącej do wioski.

— Ja idę w tym kierunku — oświadczył. — Doprawdy, ogromnie mi przykro, że nie mogę się panu na nic przydać.

W głosie jego brzmiała szczerość. Łagodne, ciemne oczy spoczęły na mnie przez moment z wyrazem melancholijnego zainteresowania. Ukłonił się i nic już nie mówiąc ruszył drogą do wioski.

Stałem przez chwilę i ściagałem spojrzeniem oddalającego się lekarza, który unosił ze sobą — byłem już teraz o tym przekonany — klucz do tajemnicy, którego szukałem. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków Ezra Jennings obejrzał się.

Widząc, że nadal nie ruszam się z miejsca, przystanął jak gdyby niepewien, czy nie chce czegoś jeszcze mu powiedzieć. Nie miałem czasu na rozważania — na uświadomienie sobie, że w tym być może zwrotnym punkcie swego życia tracę bezcenną sposobność składając ją w ofierze li tylko miłości własnej! Miałem jedynie tyle czasu, aby najpierw zawołać go z powrotem, a potem się zastanawiać. Podejrzewam, że należę do najbardziej impulsywnych ludzi w świecie. Zawołałem, a potem powiedziałem sobie: „Teraz nie ma rady. Muszę wyznać mu prawdę!”

Ezra Jennings zawrócił od razu. Ruszyłem na jego spotkanie.

— Panie Jennings — zacząłem — nie byłem z panem zupełnie szczerzy. Gdy staram się odtworzyć zatarte wspomnienie pana Candy'ego, nie chodzi mi wcale o odzyskanie Kamienia Księżykowego. U źródeł mojego przyjazdu do Yorkshire tkwi bardzo poważna sprawa osobista. Mam jedno tylko usprawiedliwienie na to, że nie powiedziałem panu wszystkiego z całą otwartością, wyjawienie bowiem komukolwiek, w jakiej sytuacji się znajduję, jest dla mnie rzeczą nieopisanie bolesną.

Ezra Jennings spojrział na mnie, a po twarzy jego pierwszy raz przemknął wyraz zakłopotania.

— Nie mam prawa ani chęci wtrącać się do pańskich prywatnych spraw, panie Blake — rzekł. — Proszę pana ze swej strony o przebaczenie, że {nieświadomie zresztą} wystawiłem go na bolesną próbę.

— Ma pan bezwzględnie prawo — odparłem — ustalić warunki, w jakich skłonny byłby pan wyjawić mi to, co pan słyszał przy łożu pana Candy'ego. Rozumiem i szanuję delikatność uczuć, która panem w tej materii kieruje. Jak mogę wymagać, aby obdarzył mnie pan zaufaniem, skoro ja go panu odmawiam? Powinien się pan dowiedzieć i dowie się pan, czemu tak mi zależy na tym, co chciał mi powiedzieć pan Candy. Jeżeli się okaże, iż pomyliłem się w swoich przewidywaniach, pan zaś dowiedziawszy się dokładnie, o co mi chodzi, nie będzie mógł mi pomóc, będę polegał na pańskim honorze — a coś mi mówi, że się na nim nie zawiodę.

— Niech pan się zatrzyma, panie Blake. Mam do powiedzenia coś, co należy powiedzieć, zanim posunie się pan choć o krok dalej.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Sprawiał wrażenie człowieka pozostającego we władzy potężnego, wstrząsającego wzburzenia. Cygańska jego cera powlokła się popielatą bladością, oczy błyszczały dziko, głos nabrał niskiego, stanowczego brzmienia, które słyszałem u niego po raz pierwszy. Niby w świetle błyskawicy ujrzałem nagle, jak wielkie są zasoby uczuć tego człowieka — dobrych czy też złych, tego nie potrafiłem na razie określić.

— Zanim obdarzy mnie pan zaufaniem — ciągnął dalej Ezra Jennings — winien się pan dowiedzieć i musi się pan dowiedzieć, w jakich okolicznościach przyjęty zostałem do domu pana Candy'ego. Nie zabierze to wiele czasu. Nie zamierzam bynajmniej opowiadać nikomu swoich dziejów. Historia moja umrze wraz ze mną. Proszę tylko, aby wolno mi było opowiedzieć panu to, co opowiedziałem panu Candy'emu. Jeżeli wówczas nadal będzie pan

skłonny wyznać mi to, co zamierzał, zechce pan rozporządzać moją uwagą i moją osobą. Czy pójdziemy teraz dalej?

Na twarzy jego malowała się udręka tłumiona wprawdzie, lecz tak silna, że nie zdołałem przerwać milczenia. Odpowiedziałem skinieniem na jego pytanie. Ruszyliśmy dalej.

Uszedłszy kilkaset jardów Ezra Jennings zatrzymał się przed wyłomem w kamiennym murze oddzielającym w tym miejscu drogę od bagnisk.

— Może odpoczniemy chwilę, panie Blake? — zapytał. — Nie mam już tych sił co dawniej i ulegam czasem wzruszeniu.

Zgodziłem się oczywiście. Poprowadził mnie przez wyłom na skrawek zieleni, osłonięty od strony drogi krzakami i drzewami karłowatymi. Po stronie przeciwnej roztaczał się wspaniały choć posępny widok na rozległe, dzikie bagniska. Przez ostatnie pół godziny na niebie zebrały się chmury. Światło słońca przygasło, dal otulała mgła. Piękne oblicze natury, łagodne w tej chwili, spokojne i stonowane w barwach, powitało nas bez uśmiechu.

Usiedliśmy w milczeniu. Ezra Jennings odłożył kapelusz i ruchem znużenia przesunął ręką po czole i po swoich niezwykłych, czarno-białych włosach. Odrzucił zerwany przedtem bukietik kwiatów polnych, jak gdyby związane z nim wspomnienia sprawiały mu w tej chwili ból.

— Panie Blake! — odezwał się nagle. — Znajduję się pan w złym towarzystwie. Od lat już ciąży na mnie potworne oskarżenie. Jestem człowiekiem, którego życie zostało rozbite i który stracił dobre imię.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale powstrzymał mnie.

— Nie — powiedział. — Wybacz pan, ale jeszcze nie. Proszę nie składać mi wyrazów współczucia, które być może będzie pan potem miał ochotę cofnąć. Wspomniałem o oskarżeniu, które ciąży na mnie od wielu lat. Otóż pewne związane ze sprawą okoliczności przemawiają przeciwko mnie. Nie mogę się zdobyć na to, aby wyjawić, na czym polega owo oskarżenie, a jednocześnie nie mam żadnego sposobu, aby je odeprzeć. Mogę jedynie zapewnić o swej niewinności. I zapewniam o niej, proszę pana, jako chrześcijanin przysięgam na mą duszę, że jestem niewinny. Jeśli bowiem zaręczę honorem jako człowiek, nikt mi niestety nie uwierzy.

Urwał znowu. Spojrzałem na niego, on jednak nie odwzajemnił mi spojrzenia. Całe jego jestestwo pochłonięte było bez reszty męką wspomnienia i wysiłkiem, jaki stanowiło dla niego mówienie.

— Mógłbym wiele powiedzieć — ciągnął dalej — o tym, jak bezlitośnie potraktowała mnie własna moja rodzina i jak bezlitosnej wrogości padłem ofiarą. Ale zło już się stało i nikt nie zdoła naprawić wyrządzonej mi krzywdy. Nie chciałbym nużyć pana ani nękać zbędnymi szczegółami. W zaraniu mojej kariery tu w Anglii niegodziwe oszczerstwo, o którym już wspominałem, poraziło mnie niwecząc raz na zawsze wszelkie widoki na przyszłość. Zrezygnowałem z nadziei osiągnięcia jakiejś pozycji w swoim zawodzie — jedyną nadzieją dla mnie było żyć tak, aby nikt mnie nie znał i nic o mnie nie wiedział. Rozstałem się z kobietą, którą kochałem — jakże mogłem skazywać ją na to, by dzieliła ze mną hańbę? Nadarzało mi się właśnie miejsce

pomocnika medycznego w jednym z odległych zakątków Anglii. Dostałem tę posadę. Obiecywałem sobie, że znajdę tu spokój i bezpieczną przystań z dala od oczu moich prześladowców. Myliłem się. Obmowa, wspomagana przez czas i sprzyjające okoliczności, potrafi zawędrować bardzo daleko. Oskarżenie, przed którym uciekłem, dosięgło mnie i tutaj. Ostrzeżono mnie o tym. Dano mi też możliwość opuszczenia posady na własne żądanie i zaopatrzone mnie w dobre świadectwa, na które sobie zresztą zasłużyłem. Postarano mi się ponadto o podobną posadę w innym okręgu. Znowu upłynął pewien czas i znowu oszczerstwo, niosące śmierć mojemu dobremu imieniu, wytropiło mnie i tutaj. Tym razem nikt mnie nie ostrzegł. Chlebowadca mój oświadczył: „Panie Jennings, nie mam panu nic do zarzucenia, ale musi pan dowieść swej niewinności albo też mnie opuścić”. Nie miałem wyboru — odszedłem. Nie warto rozwodzić się nad tym, co potem wycierpiałem. Mam w tej chwili dopiero lat czterdzieści. Niech pan spojrzy na moją twarz i sam wyczyta z niej dzieje kilku okropnych lat. Wreszcie zawędrowałem tutaj i spotkałem się z panem doktorem Candy. Pan Candy szukał pomocnika. Skierowałem go do mojego ostatniego chlebowadcy, aby ten wypowiedział się o moich kwalifikacjach. Pozostawała sprawa opinii personalnej. Opowiedziałem panu Candy'emu wszystko to, co powiedziałem panu — a nawet więcej. Ostrzegłem go, że jeśli nawet mi uwierzy, nie wyczerpie to jeszcze wszystkich trudności. „Tutaj, podobnie zresztą jak i gdzie indziej — rzekłem — nie chcę żyć jak zbrodniarz pod przybranym nazwiskiem, toteż gdy chodzi o potworny cień, który mnie ściga, Frizinghall nie jest dla mnie bezpieczniejszą kryjówką od jakiegokolwiek innej miejscowości”. „Nie zwykłem robić nic połowicznie — odparł pan Candy. — Wierzę panu i głęboko panu współczuję. Jeżeli pan zgadza się podjąć ryzyko tego, co się może zdarzyć, ja również gotów jestem zaryzykować”. Niechże go Bóg Wszechmogący błogosławi! Udzielił mi schronienia, dał mi pracę, dzięki niemu zyskałem spokój ducha — i jestem obecnie przeświadczony (żywię to przeświadczenie od kilku miesięcy), że nie zdarzy się już nic takiego, aby miał żałować swej dobroci.

— Oszczercze głosy umilkły?

— Oszczercze głosy pracują równie gorliwie jak dawniej. Ale kiedy kalumnie tutaj dotrą, będzie już za późno.

— Opuści pan tę miejscowość?

— Nie, panie Blake, nie będzie mnie już wśród żyjących. Od dziesięciu lat cierpię na nieuleczalną chorobę. Nie będę przed panem ukrywał, że pozwoliłbym, aby nieznośne te cierpienia dawno mnie już zabiły, gdyby nie jedna jedyna sprawa, która mnie jeszcze w życiu obchodzi. Pragnę mianowicie zabezpieczyć pewną bardzo mi drogą osobę, której nigdy już nie ujrzę. Niewielka moja scheda po ojcu nie wystarczy, aby dać jej niezależność. Nadzieja więc, że jeśli pożyję jeszcze jakiś czas, uda mi się powiększyć tę schedę do pewnej określonej sumy, kazała mi walczyć z niedomaganiem za pomocą przeze mnie samego obmyślanych paliatywów. Najskuteczniejszym paliatywem w tym wypadku okazało się opium. Temu to właśnie potężnemu i miłosiernemu narkotykowi zawdzięczam wieloletnią zwłokę w wykonaniu

wyroku śmierci, który dawno już na mnie zapadł. Ale nawet potęga opium ma swoje granice. Rozwój choroby zmusił mnie stopniowo, abym od zażywania opium przeszedł do jego nadużywania. Obecnie odczuwam już fatalne skutki tej praktyki. System nerwowy mam zrujnowany, każda noc jest dla mnie otchłanią nieopisanej zgrozy. Koniec już niedaleko. Niechaj nastąpi — życie moje i praca nie przeminęły nadaremnie. Suma, do której dążę, jest już prawie osiągnięta, a ponadto mam środki uzupełnienia jej, jeżeli resztką sił życiowych zawiedzie mnie prędzej, niż się spodziewam. Sam nie wiem, jak się stało, że panu to wszystko opowiadam. Nie jestem chyba człowiekiem tak niegodziwym, by apelować do pańskiej litości. Być może raczej żywię podświadomą nadzieję, iż prędzej mi pan uwierzy wiedząc, że mówię to wszystko świadom swej rychłej śmierci. Nie będę ukrywał, panie Blake, że osoba pańska bardzo mnie interesuje. Przyznam się nawet, że utrata pamięci mojego biednego przyjaciela stała się dla mnie środkiem do nawiązania z panem bliższej znajomości. Liczyłem na to, że będzie pan ciekaw, co też doktor chciał panu powiedzieć, ja zaś zdołam tę ciekawość zaspokoić. Czy mam jakieś usprawiedliwienie na to, że się panu narzucam? Być może mam. Człowiek, który pędzi takie życie jak ja, miewa chwile rozgoryczenia, kiedy zastanawia się nad ludzkim przeznaczeniem. Pan jest młody, zdrowy, bogaty, ma pan pozycję w świecie i widoki na przyszłość — pan i tacy jak pan ukazują mi słoneczną stronę życia ludzkiego i godzą mnie ze światem, który opuszczam. Bez względu na to, jak się zakończy nasza rozmowa, nie zapomnę, że oddał mi pan wielką przysługę jednając mnie z życiem. Od pana teraz zależy, czy powie pan, co zamierzał mi powiedzieć, czy też pożegna się ze mną na zawsze.

Miałem na jego słowa jedną tylko odpowiedź. Bez chwili wahania opowiedziałem mu wszystko równie szczerze jak na niniejszych kartach.

Kiedy zbliżałem się do kulminacyjnego punktu swej historii, Ezra Jennings zerwał się na równe nogi i patrzył na mnie wstrzymując oddech z przejęcia.

— Jest rzeczą pewną, że wszedłem do saloniku panny Verinder — rzekłem. — Jest rzeczą pewną, że wzięłem diament. Mogę w odpowiedzi na te dwa bezsprzeczne fakty stwierdzić jedynie, że cokolwiek uczyniłem, uczyniłem sam o tym nie wiedząc. Pan uwierzy być może, iż mówię prawdę...

Ezra Jennings w najwyższym podnieceniu chwycił mnie za ramię.

— Stój pan! — zawołał. — Powiedział mi pan więcej, niż sam przypuszcza. Czy był pan kiedykolwiek przyzwyczajony do zażywania opium?

— Nie kosztowałem go nigdy w życiu.

— Czy cierpiał pan w tym okresie na nerwy? Czy odczuwał pan niewytłumaczony niepokój i skłonność do irytacji?

— Tak.

— Czy źle pan sypiał?

— Fatalnie. Zdarzały się noce, kiedy w ogóle nie mogłem oka zmrużyć.

— Czy noc po urodzinach panny Verinder była wyjątkiem? Niech się pan postara sobie przypomnieć. Czy tej jednej nocy spał pan dobrze?

— Ależ pamiętam! Spałem doskonale.

Ezra Jennings puścił moje ramię równie nagle, jak je chwycił, i spojrzał na mnie z miną człowieka, który rozstrzygnął ostatnią dręczącą go wątpliwość.

— Dzisiejszy dzień jest znamieny zarówno dla pana jak i dla mnie — oświadczył z powagą. — Jestem absolutnie pewien jednej rzeczy — mam to, co pan Candy chciał powiedzieć panu dziś rano, w notatkach, które robiłem przy łożu mojego pacjenta. Proszę zaczekać, to jeszcze nie wszystko! Jestem święcie przekonany, że mogę dowieść panu, iż nie zdawał pan sobie zupełnie sprawy z tego, co robi, kiedy wszedł pan do saloniku panny Verinder i zabrał stamtąd diament. Niech mi pan da trochę czasu, bym się zastanowił nad sprawą i mógł zadać panu kilka pytań. Sądzę, że mam w ręku dowód pańskiej niewinności!

— Na miłość Boską, niechże pan powie wyraźnie, co ma na myśli! Podnieceni rozmową odeszliśmy kilka kroków od kępy karłowatych

drzew, które dotychczas zasłaniały nas przed oczami ludzkimi. Zanim Ezra Jennings zdołał mi odpowiedzieć, zawołał go z szosy jakiś wielce wzburzony mężczyzna, który widocznie szukał go od dłuższej chwili.

— Idę! — odpowiedział na wołanie Ezra Jennings. — Biegnę czym prędzej! — Następnie zwrócił się do mnie. — W wiosce czeka na mnie chory. Miałem tam być już przed pół godziną, muszę się więc spieszyć. Zechce pan zdobyć się na cierpliwość i za dwie godziny przyjść jeszcze raz do domu pana Candy'ego, będę już gotów na pańskie przyjęcie.

— Jakże się doczekam tej chwili! — zawołałem zrozpaczony. — Czy zanim się rozstaniemy, nie może pan uspokoić mojej rozterki choć słówkiem wyjaśnienia?

— Sprawa jest zbyt poważna, aby dało się ją wyjaśnić w pośpiechu, panie Blake. Proszę nie sądzić, że złośliwie wystawiam pańską cierpliwość na próbę. Chcąc ulżyć w tej chwili pańskiej rozterce powiększyłbym ją tylko. Do zobaczenia za dwie godziny we Frizinghall, sir!

Mężczyzna stojący na szosie zawołał go jeszcze raz i Ezra Jennings oddalił się pośpiesznie.

ROZDZIAŁ X

Nie potrafię stwierdzić, jak owo przymusowe napięcie nerwowe, na które byłem teraz skazany, podziałałoby na kogoś innego w mojej sytuacji. Na mnie ta dwugodzinna próba charakteru wpłynęła po prostu w sposób następujący: czułem, że dopóki nie usłyszę tego, co Ezra Jennings chce mi powiedzieć, jestem fizycznie niezdolny do pozostawania na jednym miejscu, moralnie zaś niezdolny do zamienienia choć kilku słów z jakąkolwiek ludzką istotą.

W tym stanie ducha nie tylko zrezygnowałem z zamierzonej wizyty u pani Ablewhite, lecz wzdragałem się nawet przed spotkaniem z Gabrielem Betteredgeem.

Po powrocie więc do Frizinghall zostawiłem kartkę do Betteredge'a zawiadamiając go, że wezwano mnie niespodzianie na kilka godzin, ale

wrócę na pewno o trzeciej po południu. Prosiłem go, aby o zwykłej godzinie zamówił dla siebie obiad i zabawiał się, jak mu się będzie podobało. Wiedziałem dobrze, że ma on we Frizinghall tłumy przyjaciół i bez trudu wypełni sobie czas do mojego powrotu.

Załatwiwszy tę sprawę wyszedłem znów za miasto i błąkałem się po bezludnych bagniskach aż do chwili, gdy zegarek powiedział mi, że czas wreszcie powrócić do domu pana Candy'ego.

Ezra Jennings czekał już na mnie.

Siedział sam w niewielkim pokoju połączonym oszklonymi drzwiami z gabinetem lekarskim. Ohydne barwne tablice, przedstawiające spustoszenia czynione w organizmie ludzkim przez różne wstrętne choroby, zdobiły nagie, żółtobrazowe ściany. Etażerka pełna sfatygowanych dzieł medycznych i mająca na szczycie trupią czaszkę zamiast zwykłego popiersia; duże biurko obficie poplamione atramentem; drewniane krzesła tego rodzaju, jakie się widuje w kuchniach; wytarty dywanik na środku podłogi; wielki zlew z rurą wpuszczoną w ścianę i miednica, nasuwająca przykre skojarzenia z operacjami chirurgicznymi — oto było całe urządzenie pokoju. Pszczoły brzęczały wśród kilku kwiatów rosnących w doniczkach za oknem; ptaki śpiewały w ogrodzie; z któregoś z sąsiednich domów dolatywało od czasu do czasu brzdąkanie na niezmiernie rozstrojonym pianinie. W każdym innym miejscu te powszednie dźwięki mówiłyby mile o powszednim świecie otaczającym dom, tu jednak zakłócały ciszę, której nie miało prawa zakłócać nic prócz cierpienia ludzkiego. Spojrzałem na mahoniową skrzynkę z narzędziami chirurgicznymi, na wielki zwój szarpia leżący na etażerce i dreszcz mnie przebiegł na myśl o dźwiękach, jakie musiały rozlegać się zazwyczaj w pokoju Ezry Jenningsa.

— Nie będę przeproszał pana za to, że przyjmuję go tutaj — rzekł. — Jest to jedyny pokój, w którym o tej porze możemy być pewni, że nikt nam nie przeszkodzi. Oto przygotowane dla pana notatki, a oto dwie książki, do których zapewne wypadnie nam kilka razy zajrzeć. Zechce pan przysunąć swoje krzesło do biurka, a będziemy mogli wspólnie to wszystko zbadać.

Przysunąłem się i Ezra Jennings podał mi swoje notatki. Składały się one z dwóch okazałych arkuszy papieru. Na jednym widniały słowa i zdania pisane z dużymi odstępami, drugi zapisany był czerwonym i czarnym atramentem od góry do dołu. Znajdowałem się już w stanie takiego zniecierpliwienia, że odłożyłem na bok drugi arkusz.

— Niechże pan ma nade mną odrobinę litości! — powiedziałem. — Nim spróbuję to odcyfrować, proszę mi powiedzieć, czego się mam spodziewać.

— Z największą chęcią, proszę pana. Czy wolno mi zadać panu jeszcze parę pytań?

— Niech mnie pan pyta, o co tylko chce!

Ezra Jennings spojrzał na mnie ze smutnym uśmiechem na ustach i z wyrazem życzliwego zainteresowania w łagodnych, ciemnych oczach.

— Powiedział mi pan już — zaczął — że o ile panu wiadomo, nigdy pan nie kosztował nawet opium.

— O ile mi wiadomo? — powtórzyłem.

— Zrozumie pan zaraz, skąd to zastrzeżenie. Pójdźmy dalej. O ile panu wiadomo, nie zażywał pan nigdy opium. Przed rokiem cierpiał pan na podrażnienie nerwów i źle pan sypiał po nocach. Ale noc po urodzinach stanowiła wyjątek od tej reguły — spał pan dobrze. Jak dotychczas wszystko się zgadza?

— Najzupełniej.

— Czy może pan wskazać powód swoich zaburzeń nerwowych i bezsenności?

— Nie mogę wskazać żadnego powodu. Stary Betteredge wypowiadał na ten temat pewne przypuszczenia, ale nie warto ich chyba przytaczać.

— Najmocniej pana przepraszam, w takiej sprawie warto brać pod uwagę wszystko. Betteredge przypisywał czemuś pańską bezsenność. Czemu mianowicie?

— Temu, że przestałem palić.

— Czy był pan nałogowym palaczem?

— Tak.

— Czy porzucił pan palenie nagle?

— Tak.

— Betteredge miał zupełną słuszność, proszę pana. Jeżeli palenie weszło już u kogoś w nałóg, osoba ta musi się odznaczać nieprzeciętnie mocną konstytucją, aby nagle porzucenie nałogu nie spowodowało chwilowych zaburzeń systemu nerwowego. Moim zdaniem znaleźliśmy powód pańskich bezsennych nocy. Następne moje pytanie dotyczy pana Candy'ego. Czy przypomina pan sobie jakiś spór lub też dyskusję — podczas obiadu urodzinowego lub po tym obiedzie — na temat jego zawodu?

Pytanie to obudziło we mnie od razu uśpione wspomnienia związane z urodzinami Racheli. Nierozsądna sprzeczka, która miała podówczas miejsce pomiędzy panem Candy'm a mną, została opisana znacznie obszerniej, niż na to zasługuje, w dziesiątym rozdziale relacji Betteredge'a. Przytoczone przezeń szczegóły sprzeczki — o której wcale potem nie myślałem — zatarły mi się w pamięci bezpowrotnie. Pamiętałem jedynie i tylko tyle mogłem powiedzieć panu Jenningsowi, zem zaatakował przy obiedzie sztukę medyczną z dostatecznym impetem i zacietrzewieniem, aby wyprowadzić na chwilę z równowagi łagodnego pana Candy'ego. Pamiętałem również, że lady Verinder interweniowała, aby przerwać sprzeczkę, oraz że pogodziliśmy się z doktorem i rozstając się tego wieczora byliśmy znów w najlepszej przyjaźni.

— Jest coś jeszcze — rzekł Ezra Jennings — co koniecznie chciałbym wiedzieć. Czy miał pan w owym czasie jakieś powody, aby niepokoić się o diament?

— Miałem jak najbardziej ważne powody. Wiedziałem, że diament jest przedmiotem przysiężenia, i ostrzeżono mnie, że winienem chronić pannę Verinder jako jego posiadaczkę.

— Czy diament i jego bezpieczeństwo był tematem rozmowy między panem a jakąś inną osobą na krótko, nim udał się pan na spoczynek?

— Był tematem rozmowy między lady Verinder a jej córką...

— Rozmowa ta miała miejsce w pańskiej obecności?

— Tak.

Ezra Jennings wziął ze stołu swoje notatki i wręczył mi je.

— Panie Blake — rzekł — jeśli przeczyta pan teraz te notatki pamiętając

o tym, co zostało ustalone na podstawie moich pytań i pańskich odpowiedzi, dokona pan dwóch ważnych, zdumiewających odkryć. Przekona się pan po pierwsze, że wszedł pan do saloniku panny Verinder i zabrał diament w transie wywołanym przez zażycie opium. Po drugie, że opium podał panu bez pańskiej wiedzy doktor Candy, aby w ten pogłądowy sposób odeprzeć zarzuty wysunięte przez pana pod jego adresem podczas obiadu.

Siedziałem z kartkami w ręku, najzupełniej oszołomiony.

— Niech się pan postara przebaczyć panu Candy'emu — powiedział miękko Ezra Jennings.

— Narobił moc złego, przyznaję, ale uczynił to bez złej intencji. Jeżeli zajrzy pan do notatek, przekona się pan, że gdyby nie jego choroba, byłby wrócił do domu lady Verinder nazajutrz po przyjęciu

i przyznał się do figla, który panu splotał. Panna Verinder dowiedziałaaby się o tym, mogłaby sama go o wszystko wypytać — i prawda, która przez cały rok pozostawała w ukryciu, wyszłaby na jaw po upływie jednego dnia.

Odzyskałem wreszcie panowanie nad sobą.

— Pan Candy znajduje się poza zasięgiem mojego gniewu — rzekłem zimno. — Ale figiel, który mi splotał, jest mimo wszystko aktem zdrady. Mogę mu przebaczyć, lecz nigdy tego nie zapomnę.

— Każdy lekarz w toku swej praktyki popełnia podobne akty zdrady, panie Blake. Wynikające z ignorancji uprzedzenie do opium nie ogranicza się w Anglii bynajmniej do klas niższych i mniej oświeconych. Każdy lekarz

o dużej praktyce musi co pewien czas oszukiwać swych pacjentów podobnie jak pan Candy pana. Nie przeczę, że splotanie panu figla było w danych warunkach szczytem lekkomyślności. Proszę pana tylko o dokładniejsze i bardziej wyrozumiałe rozważenie jego pobudek.

— Jak on to zrobił? — spytałem. — Kto podał mi laudanum w taki sposób, że się na tym nie poznałem?

— Niestety nie potrafię panu odpowiedzieć. Na ten temat przez cały czas choroby pana Candy'ego nie padło z jego ust ani jedno słowo, Być może pańska własna pamięć podsunie panu osobę, którą należałoby podejrzewać.

— Nie.

— Nie warto w takim razie łamać sobie nad tym głowy. Laudanum podano panu uciekając się do jakiegoś podstępu. Pozostawmy to na razie

i przejdźmy do rzeczy ważniejszych. Niech pan przeczyta moje notatki, jeśli zdoła je pan odcyfrować. Niech się pan zapozna z tym, co miało miejsce w przeszłości. Jeśli chodzi bowiem o przyszłość, chcę panu zaproponować pewien bardzo śmiały i niezwykły plan.

. Ostatnie te słowa dodały mi bodźca.

Spojrzałem na kartki w tej kolejności, w jakiej Ezra Jennings mi je podał. Kartka, która zawierała mniej tekstu, była pierwsza. Widniały na niej nie

powiązane ze sobą słowa i urywki zdań, wypowiedziane przez pana Candy'ego w gorączce.

... Pan Franklin Biake... i bardzo miły... o medycynie... utrzyć nosa... przyzna! się... sypia w nocy... powiedziałem... nie w porządku... lekarstwo... odpowiedział... błądzenie po omacku to jedno i to samo... przy stole wobec całego towarzystwa... mówię mu... szukając snu... tylko lekarstwo... znaleźć... powiada... prowadzi ślepego... wiem, co to znaczy... dowcipniś... całonocny sen mimo bólu zębów... potrzeba... snu... apteczka lady Yerinder... bez jego wiedzy... dwadzieścia pięć kropel... jutro rano... z wizy tą...cóż. panie Blake... dzisiaj zażyć lekarstwo... bez niego nie będzie pan... pan się myli, panie Candy... doskonale... żadnych lekarstw... zaskoczę go... prawdę... pan się myli... dostał... przed pójściem spać... dawkę laudanum... cóż...

0 sztuce medycznej...

Na tym kończył się tekst pierwszej kartki. Oddałem ją Jenningsowi.

— To właśnie usłyszał pan przy łożu chorego? — spytałem.

— Dosłownie to — odparł — poza tym, że nie ma tu powtórzeń, które są w zapisie stenograficznym. Nie przeniosłem ich tutaj. Pan Candy powtarzał niektóre słowa i zdania dziesiątki, a nawet setki razy, zależnie od tego, jaką wagę przywiązywał do myśli, którą miały wyrażać. W tym sensie powtórzenia dopomogły mi w powiązaniu tych fragmentów. Nie twierdzę bynajmniej — dodał wskazując drugą kartkę — że odtworzyłem ściśle wyrażenia, których użyłby pan Candy, gdyby mógł sam formułować całe zdania. Mówię tylko, że udało mi się przebić poprzez tę gmatwaninę urywanych słów do myśli, która je przez cały czas łączyła w mózgu chorego. Zechce pan sam osądzić.

Zabrałem się do drugiej kartki, o której wiedziałem już, że jest kluczem do pierwszej.

Ujrzałem znów majaczenia pana Candy'ego, przepisane czarnym atramentem, tutaj jednak odstępy między zdaniami i słowami wypełnione były czerwonym atramentem przez Ezrę Jenningsa. Podaję tutaj cały ustęp jednym ciągiem, gdyż pierwotny tekst i jego interpretacja znajdują się na tych kartkach dość blisko siebie, aby czytelnik mógł je bez trudu porównać.

...Pan Franklin Blake jest mądry i bardzo miły, a/e kiedy zaczyna rozprawiać o medycynie, warto by mu utrzyć nosa. Przyznał się, że źle sypia w nocy. Powiedziałem mu, że ma nerwy nie w porządku

1 powinien zażywać lekarstwo. Odparł, iż zażywanie lekarstw i błądzenie po omacku to jedno i to samo. Stwierdził to przy stole wobec całego towarzystwa. Mówię mu: „Błądzi pan szukając snu i tylko lekarstwo może pomóc panu go znaleźć”. Powiada do mnie: „Słyszałem o tym, że czasem ślepy prowadzi ślepego, i teraz już wiem, co to znaczy”. Dowcipniś — ale potrafię zapewnić mu całonocny sen mimo bólu zębów. Rzeczywiście potrzeba mu bardzo snu, apteczka zaś lady

Verinder jest do mojej dyspozycji. Dam mu dziś bez jego wiedzy dwadzieścia pięć kropel laudanum, a jutro rano przyjadę z wizytą. „Cóż, panie Blake, czy spróbuje pan dzisiaj zażyć lekarstwo? Bez niego nie będzie pan spał”. „Bardzo się pan myli, panie Candy! Spałem dzisiaj doskonale przez całą noc bez żadnych lekarstw”. Wtedy zaskoczę go wyjawiając prawdę! „To pan się myli, panie Blake! Dosta! pan przed pójściem spać dawkę laudanum. Cóż pan teraz powie o sztuce medycznej?”

Pierwszym uczuciem, jakiego doznałem zwracając rękopis Jenningsowi, był podziw dla zręczności i pomysłowości, która utkała z poszarpanych strzępków zdań tę zamkniętą i zrozumiałą całość. Gdy usiłowałem wyrazić mu ten podziw w słowach, przerwał mi pytając skromnie, czy wnioski, które wysnuł ze swoich notatek, zgadzają się z wnioskami, do których doszedłem sam.

— Czy jest pan również tego zdania, że robiąc to, co zrobił pan w noc po urodzinach panny Verinder, znajdował się pan pod wpływem laudanum?

— Zbyt mało wiem o działaniu laudanum, aby wyrobić sobie na ten temat własne zdanie — odparłem. — Mogę tylko iść za pańską opinią i żywić przekonanie, że ma pan słusność.

— Doskonale. Następne pytanie: pan jest już przekonany i ja jestem przekonany, ale jak mamy wpoić to nasze przeświadczenie innym osobom?

Wskazałem zapisane kartki leżące między nami na stole. Ezra Jennings jednak potrząsnął przecząco głową.

— Bezużyteczne, panie Blake! W obecnym stanie rzeczy całkowicie bezużyteczne, a to z trzech nieodpartych powodów. Po pierwsze, notatki te sporządzone były w okolicznościach pozostających poza obrębem normalnego doświadczenia większości ludzi. Powiem więcej, sporządzone zostały wbrew panującym ogólnie poglądom! Po drugie, notatki te reprezentują teorię medyczną. Znów wbrew powszechnie przyjętym poglądom! Po trzecie, notatki te sporządziłem ja i tylko moje słowo stanowi rękojmię ich autentyczności. Niech pan sobie przypomni, co mówiłem panu tam na bagniskach, i zapyta siebie, co warte jest moje słowo. Nie! Z punktu widzenia otaczającego świata notatki moje przedstawiają jedną tylko wartość. Należy stwierdzić pańską niewinność i te notatki pokazują nam, jak można tego dokonać. Musimy poddać nasze przeświadczenie próbie — i tylko pan może dowieść jego słusności.

— Jak? — spytałem.

Ezra Jennings przechylił się ku mnie poprzez dzielący nas stół.

— Czy zgodziłby się pan poddać bardzo śmiałemu eksperymentowi?

— Zrobię wszystko, byleby tylko uwolnić się od ciężącego na mnie podejrzenia.

— Czy zgodzi się pan ponosić przez jakiś czas pewne wyrzeczenia?

— Każde, bez względu na to, jakie będą.

— Czy będzie się pan ściśle stosował do moich rad? Być może narażą one

pana na szyderstwa głupców, być może ściągną na pana upomnienia przyjaciół, których zdanie z pewnością pan ceni...

— Proszę mi tylko powiedzieć, co mam robić! — przerwałem mu niecierpliwie. — I niech się dzieje, co chce, zrobię wszystko.

— Zrobi pan, co następuje, panie Blake — odparł. — Skradnie pan diament po raz drugi, sam o tym nie wiedząc, lecz tym razem w obecności świadków, których słowa nikt nie zdoła zakwestionować.

Zerwałem się na nogi. Usiłowałem coś powiedzieć, lecz mogłem tylko patrzeć na Ezrę Jenningsa.

— Sądzę, że to można zrobić — ciągnął dalej Ezra Jennings. — I to się zrobi, jeżeli tylko mi pan dopomoże. Niech się pan uspokoi, niech pan usiądzie i wysłucha, co mam panu do powiedzenia. Jak zauważyłem, powrócił pan do palenia tytoniu. Od jak dawna?

— Blisko od roku.

— Czy pali pan mniej, czy też więcej niż dawniej?

— Więcej.

— Czy wyrzeknie się pan ponownie tego nałogu? I to nagle, podobnie jak poprzednim razem. Zaczęło mi świtać, do czego zmierza.

— Gotów jestem przestać palić od tej chwili — odparłem.

— Jeżeli spowoduje to takie same skutki jak w czerwcu ubiegłego roku — rzekł Ezra Jennings — to znaczy jeżeli zacznie pan znowu cierpieć na bezsenność, będzie to pierwszy krok do naszego celu. Wprawimy pana znów w podobny stan, w jakim był pan w dniu urodzin panny Verinder. Jeżeli uda się nam następnie stworzyć warunki jak najbardziej zbliżone do tych, w których się pan wówczas znajdował, i jeżeli zdołamy zaprzątnąć znów pański umysł różnymi sprawami, dotyczącymi diamentu, które pana wtedy nękały, znajdzie się pan w podobnej kondycji fizycznej i moralnej, w jakiej otrzymał pan w zeszłym roku dawkę opium. W takim wypadku możemy żywić nadzieję, że powtórzenie tej dawki doprowadzi do powtórzenia jej skutku. Oto moja propozycja ujęta naprędce w kilku słowach. Przekona się pan teraz, co mogę przytoczyć na jej uzasadnienie.

Wziął jedną z leżących na stole książek i otworzył ją w miejscu założonym skrawkiem papieru.

— Proszę się nie lękać, że chcę pana znudzić wykładem z zakresu fizjologii — rzekł. — Aby jednak być w porządku wobec nas obu, pragnę dowieść panu, że nie proszę pana o dokonanie tego eksperymentu w imię jakiejś mojej własnej i przeze mnie tylko wykoncypowanej teorii. Mam w tym względzie poparcie znanych i uznanych uczonych. Zechce pan poświęcić mi pięć minut swej uwagi, a podejmuję się udowodnić panu, że propozycję moją, aczkolwiek może się ona wydać fantastyczna, sankcjonuje poważna nauka. Oto przede wszystkim podstawowa zasada fizjologii, sformułowana przez uczonego tej miary co doktor Carpenter. Niech ją pan sam przeczyta.

Podał mi skrawek papieru, którym założone było miejsce w książce. Widniało na nim kilka następujących wierszy:

„Istnieje wiele dowodów potwierdzających hipotezę, że każde wrażenie zmysłowe, które zostało raz odebrane przez świadomość, jest, że się tak wyrażę, zarejestrowane przez mózg i może być odtworzone w późniejszym czasie, mimo że w okresie między jednym a drugim świadomość tego wrażenia wygasa”.

— Czy jak dotychczas jest to dla pana zrozumiałe? — spytał Ezra Jennings.

— Najzupełniej.

Popchnął ku mnie otwartą książkę i wskazał ustęp zakreślony ołówkiem.

— Teraz proszę przeczytać opis wypadku, który, jak sędzę, pokrewny jest pańskiemu wypadkowi i kojarzy się z eksperymentem, do jakiego pragnę pana nakłonić. Niech pan zauważy, że odsyłam pana do jednego z największych angielskich fizjologów. Książka, którą ma pan w ręku, jest to „Fizjologia człowieka” doktora Elliotsona, przytoczony zaś wypadek zapożyczono z dzieła nie mniej znanego doktora Combę.

Zakreślony ustęp głosił, co następuje;

„Doktor Abel opowiadał mi— pisze pan Combę— o pewnym Irlandczyku, który pracował w domu towarowym jako posłaniec. Irlandczyk ten będąc trzeźwy nie pamiętał, co robi! po pijanemu, gdy jednak się upił, odzyskiwał na nowo pamięć swych uczynków popełnionych w p przednich stanach zamroczenia alkoholem. Pewnego dnia, będąc pijany, zgubił dość cenną paczkę i na trzeźwo nie miał pojęcia, co się z nią stało. Gdy jednak upił się ponownie, przypomniał sobie, że zostawił tę paczkę w pewnym domu. Paczka nie miała adresu, przeleżała więc przez ten czas w owym domu i posłaniec otrzymał ją, gdy się po nią zgłosił”.

— Nadal wszystko jasne? — spytał Ezra Jennings.

— Jak najbardziej.

Odłożył skrawek papieru na miejsce i zamknął książkę.

— Upewnił się pan, że mam na swe poparcie autorytet poważnych uczonych? — spytał.— Jeżeli nie, wystarczy, abym sięgnął do tych książek stojących na etażerce, a będzie pan mógł sam odczytać fragmenty, które panu wskażę.

— Jestem całkowicie przekonany — odparłem.

— Wtakim razie możemy powrócić do pańskich spraw osobistych. Muszę pana uprzedzić, że choć wiele przemawia za eksperymentem, coś niecoś przemawia też przeciwko niemu. Gdybyśmy mogli w pana wypadku odtworzyć dokładnie warunki z poprzedniego roku, jest rzeczą fizjologicznie pewną, że uzyskalibyśmy dokładnie taki sam rezultat. Ale musimy na wstępie stwierdzić, że jest to po prostu niepodobieństwem. Możemy tylko mieć nadzieję na uzyskanie warunków zbliżonych, jeśli zaś nie uda nam się wprowadzić pana w stan dostatecznie zbliżony do pańskiego stanu sprzed roku, przedsięwzięcie nasze zakończy się fiaskiem. Jeżeli natomiast uda nam się — a ja osobiście liczę na powodzenie — być może powtórzy pan choć w części to, co robił owej fatalnej nocy, dość jednak wyraźnie, by przekonać każdą rozsądną osobę, że moralnie biorąc nie jest pan winien kradzieży diamentu.

Jak sądzę, przedstawiłem teraz wszystkie pro i contra lojalnie i uczciwie. Jeżeli jest jeszcze coś, czego nie wyjaśniłem, zechce pan mi o tym powiedzieć, a postaram się oświecić go, jeśli tylko zdołam.

— Wszystko, co mi pan wytłumaczył, rozumiem doskonale — odrzekłem.— Przyznaję jednak, że niepokoi mnie pewien punkt, codo którego nie udzielił mi pan jeszcze wyjaśnienia.

— /lianowicie?

— Nie orientuję się, jaki wpływ wywarło na mnie laudanum. Nie rozumiem, w jaki sposób zszedłem na dół, przemierzyłem długi korytarz, otwierałem i zamykałem szuflady szafki, a potem wróciłem do swego pokoju. Wszystko to są czynności, wymagające znacznej energii. Myślałem, że laudanum najpierw człowieka oszalałmia, a potem sprowadza na niego sen.

— Jest to powszechne, lecz błędne mniemanie, panie Blake! Ja w tej chwili, aby przysłużyć się panu, wyciężam całą swą inteligencję (jakakolwiek ona jest), znajdując się pod działaniem dawki laudanum dziesięciokrotnie większej niż owa dawka, którą zaaplikował panu doktor Candy. Ale niech pan nie polega na moim autorytecie — nawet w sprawie dotyczącej moich osobistych doświadczeń. Przewidywałem, że może pan mieć tego rodzaju wątpliwości, toteż zaopatrzyłem się w dowody, które zapewne zarówno pan jak i jego przyjaciele uznają za dość ważkie.

Podał mi drugą książkę, spośród leżących przy nim na biurku.

— Oto słynne „Wyznania angielskiego zjadacza opium"! Niech pan weźmie tę książkę ze sobą i przeczyta ją. W zakreślonym przeze mnie ustępie znajdzie pan, że De Guincy po każdej „orgii opiumowej", jak je nazywał, udawał się zazwyczaj do opery, aby rozkoszować się muzyką, albo też wałęsał się w popołudnia sobotnie po rynkach londyńskich obserwując, jak biedota targuje się przy zakupach na obiad niedzielny. Tyle o tym, że człowiek będący pod działaniem opium może być w pełni władz fizycznych i swobodnie się poruszać.

— Zgoda, nie dostałem jednak odpowiedzi na to, jaki wpływ wywarło opium na mnie.

— Postaram się odpowiedzieć panu w kilku słowach — rzekł Ezra Jennings. — Opium w większości wypadków działa dwojako: najpierw pobudzająco, a następnie uspokajająco. Pod wpływem działania pobudzającego ostatnie i najżywsze wrażenia, jakie pan odebrał — mianowicie wrażenia dotyczące diamentu — spotęgowały się zapewne, zwłaszcza w owym stanie chorobliwej wrażliwości nerwowej, w jakim się pan znajdował. Wrażenia te następnie podporządkowały sobie pańską wolę — podobnie jak podporządkowuje sobie wolę śpiącego zwykły sen. Obawy o diament odczuwane przez pana w ciągu dnia mogły stopniowo zamienić się w pewność nieuchronnego nieszczęścia, i stając się bodźcem do działania, skierowały pańskie kroki do owego pokoju, do którego pan wszedł, oraz kazały panu sięgnąć do szufladek komódki i otwierać je aż do skutku. Pod wpływem opium mógł pan wszystko to wykonać. Później, kiedy działanie pobudzające ustąpiło miejsca działaniu uspokajającemu, winno

było nastąpić oszołomienie, a następnie odrętwienie i głęboki sen. Z nastaniem ranka po wielu godzinach snu mógł się pan obudzić nie mając najmniejszego pojęcia o tym, co robił w nocy. Czy wyłożyłem to wszystko w sposób dość przejrzysty?

— Tak przejrzysty — odrzekłem — że prosiłbym, aby posunął się pan dalej. Wyjaśnił mi pan, jak wszedłem do pokoju i jak zabrałem diament. Ale panna Verinder widziała, że wyszedłem z klejnotem w ręce. Czy zdoła pan odtworzyć moje poczynania od tej chwili? Czy potrafi pan odgadnąć, co następnie zrobiłem?

— Do tego właśnie zmierzam — odparł. — Chodzi mi o to, czy za pomocą eksperymentu, który ma ewentualnie udowodnić pańską niewinność, nie da się też odnaleźć zaginionego diamentu. Kiedy wyszedł pan z diamentem w ręce z saloniku panny Verinder, udał się pan podług wszelkiego prawdopodobieństwa do swojego pokoju...

— Tak. I cóż potem?

— Jest rzeczą możliwą, panie Blake — nie śmiem powiedzieć nic więcej — że troska o uchronienie diamentu przed niebezpieczeństwem mogła w naturalnej konsekwencji naprowadzić pana na pomysł ukrycia diamentu i że ukrył go pan gdzieś w swoim pokoju. W takim wypadku sprawa może będzie się miała podobnie jak z owym irlandzkim posłańcem. Być może pod wpływem drugiej dawki opium przypomniał pan sobie, gdzie schował pan diament.

Na mnie przyszła teraz kolej oświecenia Ezry Jenningsa. Powstrzymałem go, zanim zdążył powiedzieć coś więcej.

— Liczy pan na wynik, który nie może mieć miejsca — rzekłem. — Diament znajduje się w tej chwili w Londynie.

Ezra Jennings drgnął i spojrzał na mnie z wielkim zdumieniem.

— W Londynie? — powtórzył. — Jakże się dostał z domu lady Verinder do Londynu?

— Nikt tego nie wie.

— Zabrał go pan własnoręcznie z pokoju panny Verinder. Któż go panu odebrał?

— Nie mam pojęcia, kto mi go odebrał.

— Czy rano po obudzeniu się widział pan diament?

— Nie.

— Czy panna Verinder odzyskała go?

— Nie.

— Panie Blake! Wydaje mi się, że coś tu wymaga dokładniejszego wyjaśnienia. Czy wolno zapytać, skąd pan wie, że diament znajduje się w tej chwili w Londynie?

To samo pytanie zadałem panu Bruffowi, kiedy po powrocie do Anglii pytałem go o sprawę Kamienia Księżycowego. Powtórzyłem więc Jenningsowi to, co usłyszałem od adwokata i to, co czytelnikowi tych kart jest już znane.

Odpowiedź moja najwyraźniej nie zadowoliła Ezry Jenningsa.

— Mimo całego szacunku dla pana i dla pańskiego radcy prawnego —

rzekł — pozostaję przy zdaniu, które przedtem wyraziłem. Opiera się ono, rzecz jasna, jedynie na supozycji. Ale daruje mi pan, gdy mu przypomnę, że pańskie zdanie opiera się również tylko na supozycji.

Taki pogląd był dla mnie czymś zupełnie nowym. Czekałem niecierpliwie, aby usłyszeć, jak go Jennings uzasadni.

— Ja zakładałam — ciągnął dalej Ezra Jennings — że opium, pod którego wpływem zabrał pan diament, aby zapewnić mu bezpieczeństwo, mogło również skłonić pana, aby wciąż z tych samych pobudek ukrył pan diament w swoim pokoju. Pan natomiast zakłada, że spiskowcy indyjscy nie mogli popełnić omyłki. Hindusi udali się po diament do domu pana Lukera — przeto diament musi się znajdować w posiadaniu pana Lukera! Czy ma pan jakieś dowody na to, że Kamień Księżykowy zawieziono kiedykolwiek do Londynu? Nie orientuje się pan nawet w tym, kto i jak zabrał go z domu lady Verinder! Czy ma pan jakieś dowody na to, że diament zastawiono u pana Lukera? Twierdzi on, że nie słyszał nigdy o istnieniu Kamienia Księżykowego, a kwit jego bankiera nie stwierdza nic poza tym, że zdeponowano u niego klejnot wielkiej wartości. Hindusi zakładają, że pan Luker kłamie — wobec czego pan zakłada znów, że Hindusi mają słusność. Powiem w obronie swojej hipotezy tylko tyle, że jest ona możliwa. Co więcej, panie Blake, czy to z punktu widzenia prawa, czy też logiki da się powiedzieć o pańskiej?

Były to mocne słowa i niepodobna było odmówić im słusności.

— Przyznam się, że zachwiał pan moim przekonaniem — odparłem. — Czy nie ma pan nic przeciwko temu, abym napisał do pana Bruffa i powtórzył mu to, co mi pan powiedział?

— Ależ będę tylko bardzo rad, jeśli napisze pan do pana Bruffa. Z jego pomocą ujrzymy być może sprawę w nowym świetle. Postanowiliśmy, że od tej chwili przestaje pan palić?

— Tak jest, od tej chwili.

— Oto pierwszy krok. Następnym będzie możliwie dokładne odtworzenie okoliczności, w jakich znajdował się pan ubiegłego roku.

Jak mieliśmy tego dokonać? Lady Verinder nie żyła, Rachelę i mnie, dopóki ciążyło na mnie podejrzenie o kradzież, dzieliła przepaść nie do przebycia, Godfrey Ablewhite podróżował gdzieś po kontynencie. Niepodobna było zebrać znów razem ludzi, którzy zamieszkiwali dom, kiedy ostatni raz w nim nocowałem. Obiekcje te jednak nie przerażały Ezry Jenningsa. Oświadczył, iż nie przywiązuje wagi do zgromadzenia tych samych ludzi, zwłaszcza że trudno by się spodziewać, aby zachowywali się względem mnie zupełnie tak samo jak w owym czasie. Dla powodzenia eksperymentu jest jednak konieczne, aby otaczały mnie te same przedmioty, które widziałem wokół siebie bawiąc przed rokiem w domu lady Verinder.

— Przede wszystkim — rzekł — musi pan spać w tym samym pokoju, w którym spał pan po urodzinach panny Verinder, i musi on być identycznie umeblowany. Schodom, korytarzom i salonikowi panny Verinder należy również przywrócić dawny ich wygląd. Jest rzeczą bezwzględnie konieczną, panie Blake, aby ustawiono na dawnych miejscach wszystkie przedmioty,

które teraz stamtąd zabrano. Ofiara, złożona przez pana z cygar, będzie daremna, dopóki nie uzyskamy zezwolenia panny Verinder na to, aby wszystko przeprowadzić.

— Któż ma się zwrócić do niej o zezwolenie? — spytałem.

— Czy pan nie mógłby tego zrobić?

— Niestety nie. Po tym, co zaszło między nami w związku z zaginięciem diamentu, nie mogę się z nią widzieć, ani do niej pisać.

Ezra Jennings zastanawiał się chwilę.

— Czy wolno zadać panu niedyskretne pytanie? — zapytał. Dałem mu znak, że się zgadzam.

— Czy słusznie przypuszczam, panie Blake (wnosząc z kilku rzuconych przez pana mimochodem uwag), że zainteresowanie pana osobą panny Verinder przekraczało ongi zwykłą miarę?

— Zupełnie słusznie.

— Czy uczucie to było odwzajemnione?

— Tak.

— Czy sądzi pan, że pannie Verinder może zależeć na udowodnieniu pańskiej niewinności?

— Jestem tego pewien.

— W takim razie, jeśli mi pan pozwoli, ja napiszę dr panny Verinder.

— Komunikując jej o propozycji, jaką mi pan przeałożył?

— Komunikując jej o wszystkim, co między nami dziś zaszło.

Nie trzeba chyba dodawać, że z radością przystałem na tę ofiarowaną mi usługę.

— Zdążę jeszcze wysłać list dzisiejszą pocztą — rzeki spoglądając na zegarek. — A po powrocie do hotelu proszę nie zapomnieć o zamknięciu cygar na klucz! Wstąpię do pana jutro rano i dowiem się, jak pan spędził noc.

Wstałem, aby się pożegnać, i próbowałem wyrazić mu, jak jestem wdzięczny za jego dobroć. Uścisnął mi serdecznie dłoń.

— Niech pan pamięta, co mówiłem panu na bagniskach — odrzekł. — Jeżeli uda mi się oddać panu tę małą przysługę, panie Blake, będę miał wrażenie, że błysnął mi ostatni promień słońca przed wieczorem długiego i pochmurnego dnia.

Rozstaliśmy się. Było to piętnastego czerwca. Wydarzenia następnych dziesięciu dni — związane mniej lub bardziej ściśle z eksperymentem, którego bytem biernym przedmiotem — opisane są dokładnie w dzienniku, który zwykł regularnie prowadzić pomocnik pana Candy ego. W opisie tym Ezra Jennings nic nie ukrył i nic nie pominął. Niechaj więc teraz Ezra Jennings opowie, jaki przebieg miał ów eksperyment i jak się on zakończył.

RELACJA CZWARTA

Wyjątki z dziennika Ezry Jenningsa

1849 r., 15 czerwca. ...Chociaż przerywali mi pacjenci i kilka razy przerywał mi pisanie ból, skończyłem wszakże list do panny Verinder na czas, aby wysłać go dzisiaj pocztą. Nie udało mi się napisać tak krótko, jak bym pragnął. Sądzę jednak, że przedstawiłem wszystko wyraźnie. Teraz decyzja należy wyłącznie do niej. Jeżeli panna Verinder zechce poprzeć eksperyment, uczyni to z własnej woli, nie zaś po to, by oddać przysługę panu Franklinowi Blake'owi lub mnie,

16 czerwca. Wstałem późno, po okropnej nocy. Skutki wczorajszego zażywania opium dały się odczuć w serii potwornych snów. W pewnej chwili pędziłem przez nieskończoną pustkę wraz z widziadłami zmarłych — przyjaciół i wrogów zarówno. W innej znów ukochana twarz, której nigdy już nie zobaczę, ukazała się przy moim wezglowiu, fosforyzująca niesamowicie na tle ciemności. Patrzała na mnie z wściekłością i uśmiechała się złowieszczo. Powitałem *£* ulgą niewielki nawrót bólów, który nastąpił jak zwykle o świcie. Nawrót ten rozpędził zmyły i już przez to samo łatwiej go było znieść.

Po tej złej nocy nie mogłem zbyt wcześnie stawić się u pana Franklina Blake'a. Kiedy do niego wreszcie przyszedłem, zastałem go wyciągniętego na kanapie. Spożywał śniadanie składające się z koniaku z wodą sodową i kawałka suchego biszkoptu.

— Początek doskonały, nie wymarzyłby pan sobie lepszego — oznajmił. — Męcząca, niespokojna noc i dziś rano całkowity brak apetytu. Zupełnie tak samo, jak w zeszłym roku, kiedy przestałem palić. Im prędzej będę gotów do przyjęcia następnej dawki laudanum, tym bardziej będę się cieszył.

— Dostanie ją pan możliwie jak najprędzej — odparłem. — Tymczasem jednak musimy dbać o pańskie zdrowie. Jeżeli dopuścimy do wyczerpania organizmu, nic się nam nie uda. Musi pan nabrać apetytu. Innymi słowy musi pan udać się na przejażdżkę albo na przechadzkę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

— Przejadę się, jeżeli znajdą mi tu gdzieś konia. A propos, napisałem wczoraj do pana Bruffa. Czy pan napisał do panny Verinder?

— Tak. Wysłałem list wieczorną pocztą.

— Doskonale. Jutro rano będziemy mieli więc sobie do zakomunikowania nowiny. Niech pan nie odchodzi. Chciałbym powiedzieć panu jeszcze słówko, żeby pana zabawić. Wyraził pan wczoraj przypuszczenie, że przyjaciele moi zapewne nie będą zbyt chętnym okiem patrzyli na eksperyment z opium. Miał pan zupełną słuszość. Zaliczam starego Gabriela Betteredge'a do swoich najserdeczniejszych przyjaciół i trzeba panu wiedzieć, że protestował wczoraj przeciwko eksperymentowi bardzo stanowczo. „Zrobił pan w życiu kupę głupstw, panie Franklinie, ale to przewyższa wszystkie!” Oto zdanie Betteredge'a! Oczywiście będzie pan chyba wyrozumiały dla przesądów starego, jeśli wypadnie się panu z nim spotkać.

Opuściłem pana Blake'a, aby obejść swoich pacjentów, ale nawet po tej krótkiej z nim rozmowie czułem się jakoś lepiej i raźniej.

Czym ten człowiek tak mnie przyciąga? Jaki jest tego sekret? Czy chodzi tylko o to, że odczuwam kontrast między szczerością i dobrocią, z jaką pozwolił mi, bym zapoznał się z nim bliżej, a niechęcią i nieufnością, jaką napotykam u innych ludzi? Czy też ma on rzeczywiście w sobie coś, co zaspokaja moją tęsknotę za odrobiną ludzkiego współczucia — tęsknotę, która przetrwała wieloletnie prześladowania i osamotnienie, a która staje się coraz dotkliwsza w miarę, jak zbliża się czas, gdy nie będę już nic musiał znosić i odczuwać? Ale po cóż te pytania! Pan Blake na nowo obudził we mnie zainteresowanie życiem. Niechaj to wystarczy i nie trzeba dociekać, skąd się to zainteresowanie bierze.

17 czerwca. — Dziś przed śniadaniem pan Candy zakomunikował mi, że wyjeżdża na dwa tygodnie do przyjaciela mieszkającego na południu Anglii. Biedak udzielił mi na temat pacjentów tak szczegółowych wskazówek, jak gdyby nadal miał rozległą praktykę, jaką posiadał przed chorobą. Praktyka jego niewiele już jest warta! Inni lekarze zajęli jego miejsce, ale nikt z pewnością nie zechce zatrudnić mnie, chyba że będzie do tego zmuszony koniecznością.

Możę to się i dobrze składa, że pana Candy'ego teraz nie będzie w domu. Byłby ogromnie dotknięty, gdybym nie opowiedział mu o eksperymencie, który zamierzam przeprowadzić z panem Blake'em. Ale gdybym go wtajemniczył, mogłoby to mieć bardzo niepożądane następstwa. Lepiej więc, że jest tak. Stanowczo lepiej.

Po odjeździe pana Candy'ego listonosz przyniósł mi odpowiedź panny Verinder.

Czarujący list. Po jego przeczytaniu jestem bardzo wysokiego mniemania o pannie Verinder. Nie próbuje ona wcale ukryć, jak bardzo ją interesują nasze poczynania. Zawiadamia mnie natomiast w sposób niezwykle ujmujący, że list mój upewnił ją całkowicie w niewinności pana Blake'a, i jeśli chodzi o nią, nie ma najmniejszej potrzeby wystawiać mojego twierdzenia na

dalsze próby. Wyrzuca sobie nawet — jakże niesłusznie! — że nie domyśliła się w swoim czasie, jakie może być prawdziwe rozwiązanie zagadki. Z całego listu bije coś więcej aniżeli gorące pragnienie wyrównania krzywdy, którą nieumyślnie wyrządziła innej osobie. Wynika z niego jasno, że przez cały okres poróżnienia z panem Blake'em ani na chwilę nie przestała go kochać. W kilku miejscach uniesienie radości z powodu odkrycia, że zasługuje on na jej miłość, przedziera się naiwnie poprzez oficjalny ton listu pisanego bądź co bądź do człowieka nieznanego. Czy to możliwe (pytam siebie, czytając ten uroczy list), abym właśnie ja spośród wszystkich ludzi świata miał być narzędziem, za którego sprawą tych dwoje młodych znów się połączy? Własne moje szczęście stratowano nogami, osobę najbardziej przeze mnie umiłowaną rozdzielono ze mną na zawsze. Czyż więc dożyję takiej chwili, że ujrzę szczęście innych, przywrócone za moim pośrednictwem — ponowny rozkwit miłości, do którego ja się przyczyniłem? O, litościwa śmierci, pozwól mi to zobaczyć, zanim otoczą mnie twoje ramiona, zanim głos twój szepnie mi: „Odpocznij wreszcie!”

List zawiera dwie prośby. Po pierwsze panna Verinder prosi mnie, abym nie pokazywał jej listu panu Franklinowi Blake'owi. Upoważnia mnie jedynie, żebym powiedział mu, iż panna Verinder chętnie oddaje nam do dyspozycji swój dom wiejski, i nic więcej do tej wiadomości nie dodawał.

Prośba ta jest łatwa do wykonania. Druga jednak wprawia mnie w poważne zakłopotanie.

Nie poprzestając na napisaniu do pana Betteredge'a listu zalecającego mu wykonywanie wszelkich moich zarządzeń, panna Verinder prosi, żebym pozwolił jej pomagać mi osobiście. Pragnie mianowicie sama doglądać ustawiania mebli w swoim salonie. Czeka tylko na moją odpowiedź, aby przyjechać do Yorkshire i jako jeden ze świadków być obecna tej nocy, kiedy spróbujemy zastosować opium po raz drugi.

Otóż za propozycją tą kryje się coś więcej, a mam wrażenie, że i tym razem domyślam się, na czym rzecz polega.

Panna Verinder (jak to sobie tłumaczę) pragnie sama powiedzieć panu Franklinowi Blake'owi to, co zabroniła mi przekazać, przy tym pragnie powiedzieć mu to przed próbą, która ma zrehabilitować go w oczach innych osób. Rozumiem i podziwiam szlachetną troskę o oczyszczenie ukochanego z podejrzeń nie czekając, aż niewinność jego zostanie stwierdzona. Biedna dziewczyna pragnie choć w ten sposób wynagrodzić mu krzywdę, jaką mu bez swej winy wyrządziła. Ale nie mogę do tego dopuścić. Nie ulega dla mnie bowiem wątpliwości, że wstrząs, jakim będzie dla obu stron podobne spotkanie — ożywiające dawne uczucia i budzące nowe nadzieje — okaże się w skutkach swych fatalny dla powodzenia eksperymentu. Odbije się on niezawodnie na stanie ducha pana Blake'a, którego i tak dość trudno wprowadzić w nastrój taki sam lub zbliżony do tego, w jakim znajdował się przed rokiem. Jeśli w dodatku będzie on podniecony nowymi gwałtownymi przeżyciami, próba okaże się po prostu *daremna*.

A jednak, zdając sobie z tego wszystkiego sprawę, nie mogę zdobyć się na

to, aby sprawić panie Verinder zawód. Muszę się dobrze zastanowić, czy jeszcze przed odejściem dzisiejszej poczty nie uda mi się znaleźć jakiegoś wyjścia, które pozwoli mi wyrazić zgodę na prośbę panny Verinder nie niwecząc zarazem przysługi, którą przyrzekłem oddać panu Franklinowi Blake'owi.

Druga po południu. — Wróciłem właśnie z obchodu chorych, który zacząłem oczywiście od wizyty w hotelu.

Raport pana Blake'a o minionej nocy brzmiał tak samo jak poprzedni. Pan Blake zapada! na krótkie tylko chwile w niespokojny sen. Mimo wszystko mniej to dziś odczuwa, ponieważ przespał się wczoraj po obiedzie. Poobiedni ten sen jest bez wątpienia wynikiem przejażdżki, którą mu doradziłem. Obawiam się, że będę musiał zabronić mu ruchu na świeżym powietrzu. Nie powinien się on czuć ani zbyt dobrze, ani zbyt źle. Trzeba tu — jak powiadają marynarze — żeglować bardzo ostrożnie.

Pan Blake nie miał jeszcze żadnych wiadomości od pana Bruffa, był natomiast ogromnie ciekaw, czy dostałem odpowiedź od panny Verinder.

Powiedziałem mu dokładnie to, co pozwolono mi powtórzyć, i nic więcej. Nie potrzebowałem zresztą zmyślać żadnych wymówek na to, że nie pokazuję mu listu. Pan Blake zauważył z goryczą — hiedaczysko! — że rozumie, iż nie pokazuję mu go przez delikatność. „Rachela zgadza się oczywiście, powodowana zwykłą uprzejmością i elementarnym poczuciem sprawiedliwości — rzekł. — Ale zachowuje nadal swoje zdanie o mnie i czeka na wyniki eksperymentu”. Miałem wielką ochotę dać mu do zrozumienia, że krzywdzi ją teraz, podobnie jak ona go dotychczas krzywdziła. Po namyśle jednak postanowiłem nie odbierać jej rozkoszy sprawienia mu tak cudownej niespodzianki.

Wizyta moja trwała bardzo krótko. Po przejściach ubiegłej nocy musiałem znów zrezygnować ze swej zwykłej dawki opium, w następstwie czego nękająca mnie choroba poczęła coraz dotkliwiej dawać o sobie znać. Czując zbliżający się atak pożegnałem się szybko, aby nie przerażać ani nie martwić pana Franklina. Atak trwał tym razem tylko kwadrans, pozostało mi więc dość sił, aby powrócić po nim do pracy.

Piąta po południu. — Odpisałem panie Verinder.

Zaproponowałem jej plan, który — jeżeli tylko na niego przystanie — pogodzi interesy obu stron. Wyłuszczyłem względy przemawiające przeciwko jej spotkaniu z panem Franklinem Blake'em przed eksperymentem, a następnie prosiłem, aby przybyła po kryjomu dopiero w wieczór zamierzonej próby. Jeśli wyjedzie z Londynu pociągiem, dotrze do domu dopiero o dziewiątej wieczorem. O tej porze podejmuję się już zaprowadzić pana Blake'a do jego pokoju, panna Verinder będzie więc mogła bez przeszkód zająć swój apartament i pozostawać tam, dopóki nie nadejdzie chwila zaaplikowania laudanum. Potem już będzie mogła wraz z nami wszystkimi obserwować rezultaty. Nazajutrz rano (jeśli zechce) pokaże panu Blake'owi swoją

korespondencję ze mną i dowiedzie mu w ten sposób, że uniewinniła go w swych myślach, zanim jeszcze poddano go próbie.

W tym sensie napisałem do panny Verinder. To wszystko, co dziś mogę zrobić. Jutro muszę się zobaczyć z panem Betteredge'em i udzielić mu niezbędnych wskazówek co do przygotowania domu.

18 czerwca. — Znow dość późno złożyłem wizytę panu Franklinowi Blake'owi. I znowu wczesnym rankiem potworne bóle, po których tym razem nastąpiła kilkugodzinna depresja. Przewiduję, że mimo okropnych skutków opium wypadnie mi po raz setny chyba do niego powrócić. Gdyby chodziło teraz tylko o mnie, wołałbym ostre bóle od dręczących sennych widziadeł. Ale cierpienie fizyczne wyczerpuje mnie. Jeżeli dopuszczę do nadmiernego osłabienia, może się zdarzyć, że sprawię zawód panu Blake'owi w okresie, gdy mnie najbardziej potrzebuje.

Była już blisko dziewiąta, kiedy dotarłem do hotelu. Mimo że ledwie się trzymałem na nogach, wizyta — dzięki obecności Gabriela Betteredge'a — miała przebieg bardzo zabawny.

Gdy wszedłem, znajdował się właśnie w pokoju pana Blake'a. Zbliżył się do okna i wyglądał przez nie, dopóki zadawałem pacjentowi zwykłe pytania. Pan Blake znow spał bardzo źle i brak snu dawał mu się dziś rano we znaki bardziej niż kiedykolwiek dotychczas.

Zapytałem następnie, czy nie miał wiadomości od pana Bruffa.

Owszem, dostał dziś list, Pan Bruff w sposób jak najbardziej stanowczy wyraża swą dezaprobatę dla eksperymentu, któremu jego przyjaciel i klient zamierza się za moją radą poddać. Jest to zdradliwe przedsięwzięcie, budzi bowiem nadzieje, które być może wcale się nie urzeczywistnią. W ogóle pan Bruff nie rozumie zupełnie całej sprawy, dla niego bowiem pachnie ona kuglarstwem podobnym do mesmeryzmu, jasnowidzenia i tak dalej. Wprowadzi ona zamęt do domu panny Verinder i w końcu znow wytrąci z równowagi ją samą. Adwokat (nie wymieniając nazwisk) opowiedział ozamierzonym przedsięwzięciu pewnemu znakomitemu lekarzowi, a znakomity lekarz uśmiechnął się, potrząsnął głową i nic nie odpowiedział. Pan Bruff zgłasza więc na powyższej podstawie swój protest i uważa rzecz za wyczerpaną.

Następne moje pytanie dotyczyło diamentu. Czy adwokat zdobył jakieś dowody na to, że Kamień Księżycowy znajduje się w Londynie?

Nie, adwokat nie chce w ogóle wypowiadać się na ten temat. Jest przeświadczony o tym, że Kamień Księżycowy zastawiono u pana Lukera. Nieobecny jego przyjaciel, pan Murthwaite (któremu nikt chyba nie odmówi gruntownej znajomości Hindusów), podziela to przeświadczenie. W tych warunkach pan Bruff nie może wdawać się w żadne dyskusje na temat dowodów. Czas pokaże, a pan Bruff gotów jest czekać.

Jasne było — gdyby nawet pan Blake nie uczynił sprawy jeszcze bardziej przejrzystą, referując mi treść listu zamiast mi go po prostu odczytać — że na dzień wszystkich tkwi nieufność do mnie. Ponieważ przewidywałem

podobne wyniki, nie byłem nimi ani dotknięty, ani też zaskoczony. Zapytałem tylko pana Blake'a, czy protest przyjaciela zachwiał jego postanowieniem. Odparł z naciskiem, że protest nie wpłynął na niego w najmniejszym stopniu. Mogłem więc z całym spokojem przestać myśleć o panu Bruffie — co też uczyniłem.

W rozmowie naszej nastąpiła pauza — i Gabriel Betteredge korzystając z tego powrócił spod okna.

— Czy zechce mnie pan zaszczyścić chwilą uwagi, sir? — zwrócił się do mnie.

— Jestem do usług — odparłem.

Betteredge przysunął sobie krzesło, usiadł przy stole i wydobył z kieszeni olbrzymi staroświecki notes z odpowiedniej wielkości ołówkiem. Potem wsadził na nos okulary, otworzył notes na czystej stronie i zwrócił się do mnie znowu.

— Spędziłem blisko pięćdziesiąt lat w służbie mojej nieboszczki pani — oznajmił spoglądając na mnie surowo. — Byłem przedtem pacholikiem u starego lorda, jej ojca. Teraz, jeśli chodzi o wiek, znajduję się gdzieś między siedemdziesiątką a osiemdziesiątką — mniejsza o to gdzie! Uchodzę za człowieka, który zna świat nie gorzej od innych ludzi. I na czym się to wszystko kończy? Kończy się, panie Ezro Jennings, na sztuczce magicznej, którą jakiś felczer ma wykonać na panu Franklinie Blake'u, i — dalipan! — ja na stare lata mam zostać pomocnikiem magika!

Pan Blake wybuchnął śmiechem. Chciałem odpowiedzieć, ale Betteredge podniósł rękę na znak, że jeszcze nie skończył.

— Ani słowa, panie Jennings! — rzekł. — Nie chcę słyszeć od pana ani słowa, sir. Mam chwałę Bogu swoje zasady. Jeżeli dostaję rozkaz, który jest rodzonym bratem rozkazu pochodzącego z domu wariatów, nie ma to dla mnie znaczenia. Skoro dostaję ten rozkaz od swojego pana albo od swojej pani, wykonuję go ślepo. Mogę mieć własne zdanie, które zresztą jest również — proszę o tym pamiętać — zdaniem pana Bruffa, wielkiego pana Bruffa! — oświadczył Betteredge podnosząc głos i kiwając uroczyście głową. — Ale to nie ma znaczenia, nie wypowiadam swojego zdania. Moja młoda pani mówi mi: „Zrób to a to”, a ja odpowiadam: „Panienko, wszystko będzie zrobione”. Oto więc jestem tu z notesem i z ołówkiem, choć ołówek jest może nie najlepiej zatemperowany; ale kiedy uczciwi chrześcijanie tracą rozum, trudno wymagać, żeby ołówki były ostre. Proszę mi wydać rozkazy, panie Jennings. Spiszę je dokładnie, sir. Postanowiłem, że nie odstąpię od nich ani o włos w jedną czy w drugą stronę. Jestem ślepym narzędziem, proszę pana! Ślepym narzędziem! — powtórzył Betteredge niezmiernie zadowolony z tego określenia.

— Przykro mi bardzo — zacząłem — że pan i ja nie zgadzamy się co do...

— Proszę mnie w to nie mieszać! — przerwał mi Betteredge. — Zgoda nie . wchodzi w grę, w grę wchodzi posłuszeństwo. Proszę wydać rozkazy, sir,

proszę wydać rozkazy! Pan Blake dał mi znak, żebym wziął Betteredge'a za słowo. „Wydałem”

więc „rozkazy” możliwie jasno, starając się przy tym zachować jak największą powagę,
— Pragnę, aby pewne części domu otwarto — rzekłem — i umeblowano dokładnie tak samo,
jak były umeblowane przed rokiem.

Betteredge poślinił swój niedoskonale zatemperowany ołówek.

— Proszę wymienić, które części, panie Jennings! — powiedział wyniośle.

— Przede wszystkim hall wewnętrzny, prowadzący ku głównej klatce schodowej.

— Przede wszystkim hall wewnętrzny... — zapisał Betteredge. — Niestety, sir, hallu nie
można umeblować tak samo, jak był umeblowany w zeszłym roku.

— Dlaczego?

— Bo w zeszłym roku w hallu stał wypchany sępa, panie Jennings. Kiedy państwo wyjechali,
sępa schowano razem z innymi rzeczami. A kiedy go pakowano, pękł.

— W takim razie pominiemy sępa. Betteredge odnotował sobie ten wyjątek.

— Wewnętrzny hall ma być umeblowany tak samo, jak był umeblowany w zeszłym roku, z
pominięciem tylko wypchanego sępa. Proszę mówić dalej, panie Jennings.

— Schody należy pokryć znów dywanem jak przedtem.

— Schody pokryć znów dywanem jak przedtem... Przykro mi, że muszę pana rozczarować,
sir, ale tego też nie da się wykonać.

— Czemu?

— Bo człowiek, który układał ten dywan na schodach, umarł, a drugiego fachowca, który by
tak umiał układać dywany, nie znajdzie się w całej Anglii.

— Spróbujemy więc następnego z kolei fachowca.

Betteredge zanotował to sobie, ja zaś kontynuowałem swoje instrukcje.

— Salon panny Verinder ma być urządony dokładnie tak samo jak przed rokiem. A także
korytarz prowadzący z salonu na schody. Również i korytarz, prowadzący do pokoi gościnnych na
drugim piętrze. Podobnie też pokój, który w czerwcu ubiegłego roku zajmował pan Franklin
Blake.

Tępy ołówek Betteredge'a notował sumiennie każde moje słowo.

— Proszę mówić dalej, sir — powiedział z ironiczną powagą. — Tym ołówkiem, choć jest
niezbyt ostry, można jeszcze dużo napisać.

Odparłem, że nie mam już więcej życzeń.

— Sir — rzekł Betteredge — w takim razie chciałbym ze swej strony dodać kilka słów.

Otworzy) notes na nowej stronie i znów poślinił ołówek.

— Pragnę wiedzieć — zaczął — czy mogę umyć ręce...

— Możesz, oczywiście — rzekł pan Blake. — Zadzwoń na chłopca hotelowego.

— ... Od odpowiedzialności za niektóre rzeczy — cignął Betteredge z taką miną, jak gdyby
nie dostrzegął w pokoju nikogo oprócz mnie. — Przede

wszystkim co się tyczy saloniku panny Verinder. Kiedyśmy w zeszłym roku zdjęli tam dywan z podłogi, panie Jennings, znaleźliśmy pod nim zdumiewającą ilość szpilek. Czy odpowiadam za ponowne rozsypanie tych szpilek?

— Oczywiście, że nie.

Betteredge odnotował sobie to moje ustępstwo.

— Teraz co się tyczy pierwszego korytarza — podjął dalej. — Kiedyśmy usuwali z tej części domu ozdoby, usunęliśmy też posąg tłustego nagiego chłopca, bluźnierczo określonego w katalogu domowym jako „Kupido, bóg miłości”. Miał on w zeszłym roku dwa skrzydła. Ponieważ spuściłem go na chwilę z oka, jedno z tych skrzydeł stracił. Czy odpowiadam za skrzydło Kupida?

Poszedłem jeszcze i na to ustępstwo, a Betteredge zrobił jeszcze jedną notatkę.

— Teraz co się tyczy drugiego korytarza — ciągnął dalej. — Ponieważ w zeszłym roku nie było w nim nic prócz drzwi do pokoi (które są na miejscu, mogę na to przysiąc), o tę część domu jestem spokojny. Ale jeśli chodzi o pokój pana Franklina (skoro ten pokój też ma wyglądać *dokładnie tak* samo jak przedtem), chciałbym wiedzieć, kto odpowiada za utrzymywanie w nim ustawicznego nieładu, choćby się tam nie wiem ile razy sprzątało — tu spodnie, tam ręcznik, a wszędzie francuskie powieści — pytam więc, kto odpowiada za robienie nieporządku w pokoju pana Franklina — on czy ja?

Pan Blake oświadczył, że z największą przyjemnością weźmie całą odpowiedzialność na siebie. Jednakże Betteredge nie chciał przystać na żadne rozwiązanie powyższych trudności, zanim ja nie udzielię mu swej sankcji i aprobaty. Przyjąłem więc propozycję pana Blake a i Betteredge zrobił odpowiednią, ostatnią już notatkę w swoim notesie.

— Niech pan wstąpi, kiedy pan zechce, panie Jennings, już od jutra — rzekł wstając. Zastanie pan przy pracy zarówno mnie jak i osoby, które będą mi pomagać. Dziękuję panu uniżenie, sir, za łaskawą wyrozumiałość w sprawie wypchanego sępa oraz w sprawie skrzydła Kupidyna, jako też za to, że pozwolił mi pan umyć ręce od wszelkiej odpowiedzialności względem szpilek na dywanie i nieporządku w pokoju pana Franklina. Jako służący jestem panu niezmiernie obowiązany. Jako człowiek natomiast uważam, że ma pan zajaczki w głowie i twierdzę nadal, że pański eksperyment to nic innego jak niebezpieczny omam i diabelska pułapka. Niech się pan zresztą nie lęka, że moje uczucia jako człowieka wejdą w kolizję z moimi obowiązkami służącego! Pańskie rozkazy będą wykonane, sir, bez względu na zajaczki, pańskie rozkazy będą wykonane. Ale jeżeli na tym się skończy, że podpali pan dom, to niech mnie diabli porwą, jeśli wezwę straż ogniową, chyba że zadzwoni pan na mnie i wyda mi odpowiedni rozkaz!

Z tym pożegnalnym zapewnieniem złożył mi ukłon i wyszedł z pokoju

— Sądzi pan, że możemy na nim polegać? — spytałem.

— Bez zastrzeżeń — odparł pan Blake. — Kiedy przyjedziemy do domu, okaże się, że niczego nie zaniedbał i o niczym nie zapomniał.

19 czerwca. — Nowy protest przeciwko naszemu zamierzonemu przedsięwzięciu! Tym razem ze strony niewiasty.

Poczta poranna przyniosła mi dwa listy. Jeden od panny Verinder, która w przemiłych słowach wyraża zgodę na proponowany przeze mnie plan. Drugi od damy, pod której opieką panna Verinder się znajduje — od niejakiej pani Merridew.

Pani Merridew komunikuje uprzejmie, że nie chce wcale udawać, iż rozumie sprawę, w której koresponduję z panną Verinder, od jej strony naukowej. Patrząc wszakże na rzeczy od strony towarzyskiej, czuje się upoważniona do wypowiedzenia swojego zdania. Nie zdaję sobie zapewne sprawy, jak sądzi pani Merridew, że panna Verinder ma zaledwie dziewiętnaście lat. Obecność młodej panny w tym wieku (bez „należytej opieki”) w domu pełnym mężczyzn, którzy mają dokonać medycznego eksperymentu, byłaby pogwałceniem przyjętych zwyczajów, na co pani Merridew w żadnym wypadku nie może przystać. Jeżeli tedy plany nie ulegną zmianie, pani Merridew będzie sobie poczytywała za obowiązek (choć wcale jej to nie dogadza) towarzyszyć panie Verinder do Yorkshire. W tych warunkach pozwala sobie prosić, abym łaskawie rozważył całą sprawę raz jeszcze, ponieważ panna Verinder oświadczyła, że będzie się kierować jedynie moim zdaniem. Obecność jej przy eksperymencie z pewnością nie musi być konieczna i wystarczy jedno moje słowo, aby uwolnić zarówno panią Merridew jak i mnie od bardzo niemiłej odpowiedzialności.

Gdy się przełoży te uprzejme komunały na zwykłą angielszczyznę, oznacza to, że pani Merridew umiera ze strachu przed opinią świata. Niestety zwróciła się do ostatniego człowieka na kuli ziemskiej, który ma powody do szanowania tej opinii. Nie sprawię zawodu panie Verinder i nie będę odwlekał pojednania dwojga młodych, którzy się kochają i którzy dość długo już byli rozdzieleni. W przekładzie ze zwykłej angielszczyzny na uprzejme komunały brzmi to następująco: pan Jennings ma zaszczyt potwierdzić odbiór listu pani Merridew, żałuje jednak niezmiernie, iż nie czuje się upoważniony dojdalszej interwencji w wymienionej sprawie.

Raport pana Blake'a brzmiał dzisiaj tak samo jak poprzednio. Postanowiliśmy, że nie będziemy niepokoić dziś Betteredge'a oględzinami domu. Jutro dość będzie czasu na pierwszą inspekcję.

20 czerwca. — Pan Blake odczuwa skutki bezsenności coraz dotkliwiej. Im prędzej pokoje będą gotowe, tym lepiej.

W drodze do domu panny Verinder zdradzając nerwowe zniecierpliwienie i niezdecydowanie, radził się mnie w sprawie przekazanego mu z Londynu listu od sierżanta Cuffa.

Sierżant pisze z Irlandii. Potwierdza odbiór zostawionej u jego gospodyni w Dorking kartki pana Blake'a i zawiadamia, że jego powrót do Anglii nastąpi przypuszczalnie za tydzień lub nieco wcześniej. Tymczasem prosi, aby pan Blake wyłuszczył piśmiennie powody, dla których pragnął mówić z nim o Kamieniu Księżycowym. Jeżeli pan Blake zdoła przekonać sierżanta, iż

popęłnił on jakiś poważny błąd w toku prowadzonego przed rokiem dochodzenia w sprawie Kamienia Księżycowego, sierżant Cuff będzie sobie poczytywał za obowiązek (zważywszy wspaniałość i hojność, jaką okazała mu nieboszczka lady Verinder) stawić się do dyspozycji pana Blake'a. W przeciwnym razie będzie prosił, aby pozwolono mu nie opuszczać ustronia, w którym pędzi spokojne życie, oddając się hodowli kwiatów.

Po przeczytaniu listu doradziłem bez wahania panu Blake'owi, aby w odpowiedzi poinformował sierżanta Cuffa o wszystkim, co zaszło od czasu przerwania dochodzeń w ubiegłym roku, i niechaj sierżant sam wyciągnie z tych faktów wnioski.

Po namyśle zaproponowałem też, aby pan Blake zaprosił sierżanta na eksperyment, jeśli sierżant na czas wróci do Anglii. Będzie w każdym razie cennym świadkiem, jeżeli zaś okaże się, że się mylę przypuszczając, iż diament ukryty jest w pokoju pana Blake'a, rady sierżanta mogą mieć wielką wagę w dalszych stadiach sprawy, na które nie będę już miał wpływu. Ostatni ten wzgląd przemówił panu Blake'owi do przekonania. Przyrzekł, że pójdzie za moją radą.

Gdyśmy się zbliżyli do domu, stukot młotka poinformował nas, że prace nad meblowaniem są w pełnym toku.

Betteredge, wystrojony na tę okazję w czerwoną czapkę rybacką i fartuch z zielonej białej, przywitał nas w hallu. Zaledwie mnie ujrzał, wyciągnął z kieszeni notes i ołówek i obstawał przy tym, aby notować wszystko, co mu mówiłem. Stwierdziliśmy zresztą, zgodnie z przepowiednią pana Blake'a, że praca posuwa się naprzód tak szybko i zorganizowana jest tak inteligentnie, że trudno by sobie życzyć czegoś lepszego. Pozostało wszakże wiele jeszcze do zrobienia w hallu wewnętrznym i w pokoju panny Verinder. Wątpię, czy dom będzie gotów przed końcem tygodnia.

Pogratulowawszy Betteredge'owi postępów (robił on uparcie notatki, ilekroć otworzyłem usta, równocześnie zaś nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co mówił pan Blake) i przyrzekłszy, że za dzień lub dwa powrócimy na ponowną inspekcję, zamierzaliśmy opuścić dom tylnym wyjściem. Zanim jednak wyszliśmy z korytarza na parterze, Betteredge zatrzymał mnie, kiedy mijałem drzwi wiodące do pokoju.

— Czy mógłbym zamienić z panem dwa słowa na osobności? — spytał tajemniczym szeptem.

Zgodziłem się naturalnie. Pan Blake poszedł dalej, mówiąc, że zacieka na mnie w ogrodzie, ja zaś wszedłem z Betteredge'em do jego pokoju. Spodziewałem się żądania jakichś nowych ustępstw, mając w pamięci precedens z wypchanym sępem i skrzydłem Kupidyna. Ale ku mojemu wielkiemu zdziwieniu Betteredge poufnym gestem położył mi rękę na ramieniu i zadał mi następujące przedziwne pytanie;

— Panie Jennings, czy pan zna „Robinsona Kruzoa”? Odpowiedziałem, że czytałem „Robinsona Kruzoa”, kiedy jeszcze byłem dzieckiem.

— A od tego czasu już go pan nie czytał? — spytał Betteredge.

— Nie.

Cofnął się o krok i patrzył na mnie z mieszaniną zaciekawienia, współczucia i zabobonnego lęku.

— Ten człowiek nie czytał „Robinsona Kruzoa” od czasu, kiedy był dzieckiem — rzekł jakby nie do mnie, lecz do siebie. — Zobaczmy więc, jakie wrażenie wywrze na nim „Robinson Kruzoa” teraz!

Otworzył szafkę stojącą w kącie i wyjął brudną, sfatygowaną książkę, z której, gdy zaczął przewracać kartki, rozszedł się mocny zapach tytoniu. Znalazłszy poszukiwany ustęp, poprosił wciąż tym samym tajemniczym, poufnym szeptem, żebym się zbliżył.

— Wracam znów do tych pańskich sztuczek z laudanum i z panem Franklinem Blake'em — zaczął. — Otóż dopóki robotnicy są w domu, moje obowiązki jako służącego biorą górę nad moimi uczuciami jako człowieka, ale kiedy robotnicy odchodzą, moje uczucia jako człowieka biorą górę nad obowiązkami służącego. I tak wczoraj w nocy, panie Jennings, poczułem wyraźnie, że to pańskie nowe przedsięwzięcie medyczne źle się skończy. Gdybym uległ owemu wewnętrznemu nakazowi, byłbym własnoręcznie odstawił wszystkie meble z powrotem do składu i dziś rano zwolnił robotników.

— Z tego, co widziałem na górze — odrzekłem — wnoszę z radością, że oparł się pan tajemniczemu nakazowi.

— „Oparłem się” to nie jest właściwe słowo — stwierdził Betteredge. — „Zmagalem się” — oto właściwe określenie. Bezgłośny nakaz wewnętrzny popychał mnie w jednym kierunku, pańskie zaś rozkazy zapisane w moim notesie popychały mnie w stronę przeciwną, aż w końcu (przepraszam za wyrażenie) oblałem się zimnym potem. W tej okropnej rozterce duszy i w tym osłabieniu ciała do jakiegoż lekarstwa się uciekłem? Do lekarstwa, które nie zawiodło mnie jeszcze nigdy przez ostatnie trzydzieści lat, a może nawet i dłużej — do tej oto książki!

Otwartą dłońią uderzył mocno w książkę, wyzwalając z niej silniejszy jeszcze zapach tytoniu niż przedtem.

— I cóż znalazłem zaraz na pierwszej stronie, na której otworzyłem „Robinsona”? — ciągnął dalej Betteredge. — Ten okropny kawałek, sir, strona sto siedemdziesiąta ósma: „Przyjąłem więc teraz zasadę, że jeżeli odnajdę kiedy w sobie taki tajemny nakaz przymuszający mnie, bym to lub owo czynił albo czegoś nie uczynił, szedł tą drogą, a inną omijał, tedy nigdy nie omieszkam posłuchać owego głosu”. Jakiem Betteredge, panie Jennings, to były pierwsze słowa, które rzuciły mi się w oczy właśnie w tym czasie, kiedy ja sam sprzeciwiałem się tajemnemu nakazowi! Czy nie widzi pan w tym nic niezwykłego, sir?

— Widzę zbieg okoliczności, nic więcej.

— Nie zachwiało to pańskim postanowieniem względem owego medycznego przedsięwzięcia?

— Ani trochę.

Betteredge spojrział na mnie bez słowa. Zamknął wolno książkę, schował ją

troskliwie do szafki, odwrócił się do mnie i znów na mnie spojrział. Potem przemówił.

— Sir — rzekł z wielką powagą — należy być wyrozumiałym dla człowieka, który nie czytał „Robinsona Kruzoa” od czasu, kiedy był dzieckiem. Mam zaszczyt pana pożegnać.

Uklonił się nisko, otworzył przede mną drzwi i pozostawił mnie własnemu losowi. Musiałem sam szukać drogi do ogrodu. Spotkałem pana Blake'a, który powracał właśnie do domu.

— Nie potrzebuje mi pan mówić, co tam było — rzekł. — Betteredge zagrał ostatnim atutem: dokonał nowego proroczego odkrycia w „Robinsonie Kruzoa”. Czy potraktował pan pobłażliwie jego fantazje? Nie? Dal mu pan poznać, że nie wierzy pan w „Robinsona Kruzoa”? Panie Jennings! Jakże nisko pan upadł w mniemaniu Betteredge'a! Na przyszłość może pan mówić i robić, co chce, wszystko będzie na nic. Przekona się pan, że nie zamieni już z panem ani słowa.

21 czerwca. — Dzisiaj muszę poprzestać na krótkiej notatce.

Pan Blake miał dziś najgorszą noc. Musiałem, acz bardzo niechętnie, zapisać mu lekarstwo. Na szczęście ludzie o tak wrażliwej konstytucji szybko reagują na wszelkie środki lecznicze. W przeciwnym razie obawiałbym się, że kiedy nadejdzie czas, będzie zupełnie niezdatny do eksperymentu.

Co do mnie, po przerwie w bólach, trwającej ostatnie dwa dni, miałem dziś rano atak, o którym powiem tylko tyle, że postanowiłem po nim wrócić do opium. Zamknę teraz dziennik i wezmę pełną dawkę — pięćset kropli.

22 czerwca. — Widoki na przyszłość przedstawiają się dziś pomyślniej. Lekarstwo przyniosło panu Blake'owi znaczną ulgę w jego nerwowych dolegliwościach. Ubiegłej nocy spał trochę. Ja zaś dzięki opium spędziłem noc w kompletnym odrętwieniu. Nie mogę powiedzieć, że się dziś rano obudziłem, właściwszym określeniem byłoby, że odzyskałem zmysły.

Pojechaliśmy do domu, żeby zobaczyć, czy meblowanie już dobiegło końca. Będzie ono zakończone jutro — w sobotę. Jak przepowiadał pan Blake, Betteredge nie zgłaszał dalszych sprzeciwów. Od początku do końca był lodowato uprzejmy i zachowywał złowieszcze milczenie.

Moje przedsięwzięcie medyczne (jak je nazywa Betteredge) wypadnie teraz odłożyć do poniedziałku. Robotnicy będą jutro pracowali w domu do późnego wieczora. Pojutrze uświęcona tyrania niedzielna, która jest jedną z najbardziej niepodważalnych instytucji w naszym wolnym kraju, narzuca pociągom taki rozkład, że niepodobna od kogokolwiek żądać, by przyjechał tu z Londynu. Aż do poniedziałku więc nie pozostaje nic innego, jak doglądać pana Blake'a i w miarę możliwości utrzymywać go w takim samym stanie, w jakim go dziś zastałem.

Nakłoniłem go tymczasem, żeby napisał do pana Bruffa, prosząc go na jednego ze świadków eksperymentu. Wybrałem adwokata specjalnie dlate-

go, że żywi do eksperymentu tak silne uprzedzenie. Jeżeli uda nam się go przekonać, zwycięstwo nasze nie będzie już ulegało dyskusji.

Pan Blake napisał też do sierżanta Cuffa, ja zaś wysłałem krótki list do panny Verinder. Zapewniwszy sobie obecność tych osób oraz Betteredge'a (który jest w rodzinie tej osobą rzeczywiście bardzo szanowaną) będziemy mieli dostateczną ilość świadków — nie licząc nawet pani Merridew, jeżeli zamierza ona obstawać przy tym, by poświęcić się dla opinii świata.

23 czerwca. — Zemsta opium znów dosięgła mnie ubiegłej nocy. Trudno, muszę teraz zażywać je nadal aż do poniedziałku.

Pan Blake dzisiaj również czuje się niezbyt dobrze. Przyznał się, że o drugiej w nocy otworzył szufladę, w której trzyma cygara. Tylko z najwyższym wysiłkiem woli zdołał zamknąć ją z powrotem na klucz. Żeby uchronić się od wypadku, wyrzucił następnie klucz przez okno. Chłopak hotelowy przyniósł go dzisiaj rano. Znalazł klucz na dnie pustego zbiornika — takie jest przeznaczenie! Aż do wtorku klucz pozostanie u mnie.

24 czerwca. — Odbyliśmy dzisiaj z panem Blake'em długą przejażdżkę otwartym powozem. Na obu nas łagodne powietrze letnie podziało dobroczynnie. Jadłem obiad razem z panem Franklinem w hotelu. Ku mojej wielkiej uldze — dziś rano bowiem zastałem go w stanie rozstroju i podniecenia — po obiedzie zasnął na kanapie i spał mocno przez dwie godziny. Jeżeli nawet będzie miał teraz jeszcze jedną złą noc, nie lękam się już o skutki.

25 czerwca, poniedziałek. — Dzień eksperymentu! Jest piąta po południu. Przybyliśmy właśnie do domu.

Najważniejsza sprawa w tej chwili to stan zdrowia pana Blake'a.

O ile mogę sądzić, wszystko zapowiada, że będzie on (pod względem fizycznym) równie podatny na działanie opium jak przed rokiem. Znajduje się obecnie w stanie zaostrej wrażliwości nerwowej, graniczącej ze stanem nadmiernego podniecenia. Łatwo rumieni się i blednie, ręce drżą mu lekko, ponadto wzdryga się na każdy hałas lub na niespodziewane wejście jakiegokolwiek osoby.

Wszystko to jest wynikiem braku snu, który to brak jest z kolei konsekwencją nagłego zerwania z nałogiem palenia. Działają więc teraz te same przyczyny co w zeszłym roku, i dają one sądząc z pozorów te same skutki. Czy analogia ta wytrzyma ostateczną próbę? O tym rozstrzygną wydarzenia dzisiejszej nocy.

W chwili gdy piszę te słowa, pan Blake zabawia się w hallu wewnętrznym przy bilardzie. Ćwiczy trudne uderzenia, jak przed rokiem podczas swego pobytu w tym domu. Przyniosłem tu dziennik, aby skrócić godziny bezczynności, których niewątpliwie będę miał do jutrzejszego ranka sporo, a ponadto w nadziei, że zdarzy się może coś, co warto będzie od razu zapisać.

Czy jak dotychczas nic nie pominąłem? Przejrzałem notatki z dnia wczorajszego i stwierdziłem, że zapomniałem odnotować przybycie poczty

porannej. Muszę wypełnić tę lukę, nim zamknę na razie dziennik i udam się do pana Blake'a.

Otrzymałem więc wczoraj kilka słów od panny Verinder. Przyjedzie popołudniowym pociągiem, jak jej zalecałem. Pani Merridew uparła się, że będzie jej towarzyszyć. Panna Verinder napomyka liście, że stara dama, odznaczająca się zazwyczaj wielką pogodą ducha, jest nieco wytrącona z równowagi, panna Rachelą prosi więc o wyrozumiałość dla niej, zważywszy jej wiek i zamiłowanie do regularnego trybu życia. Postaram się tedy w stosunkach z panią Merridew naśladować powściągliwość, jaką Bet-teredge wykazuje w stosunkach ze mną. Przyjął nas dzisiaj wystrojony uroczyście w swój najpiękniejszy czarny garnitur i najsztowniejszy biały krawat. Ile razy spogląda na mnie, przypomina sobie, że od dziecka nie czytałem „Robinsona Kruzoa” i przybiera minę pełnego szacunku politowania.

Pan Blake dostał też wczoraj odpowiedź od adwokata. Pan Bruff przyjmuje zaproszenie — nie cofając swego protestu. Sądzi jednak, że jest rzeczą konieczną, aby jakiś dżentelmen obdarzony przeciętną dozą zdrowego rozsądku towarzyszył pannie Verinder na zamierzone — pozwoli sobie tak je nazwać — błazeńskie widowisko. W braku lepszej eskorty dżentelmenem tym będzie on sam. A więc biedna panna Verinder będzie miała aż dwoje „opiekunów”. Jakąż ulgą jest myśl, że opinia świata będzie tym bez wątpienia całkowicie zaspokojona!

Od sierżanta Cuffa nie było wiadomości. Zapewne pozostaje nadal w Irlandii. Nie możemy więc liczyć dziś na jego obecność.

Betteredge wszedł właśnie i oznajmił, że pan Blake prosi mnie do siebie. Muszę na razie odłożyć pióro.

Siódma po południu. — Obeszliśmy wszystkie umeblowane na nowo pokoje i klatki schodowe, następnie odbyliśmy miły spacer po alei, która była przed rokiem ulubionym miejscem przechadzek pana Blake'a. W ten sposób mam nadzieję obudzić w nim dawne wspomnienia możliwie jak najżywiej.

Wkrótce zasiądziemy do obiadu, który podany będzie dokładnie o tej samej godzinie co obiad urodzinowy w zeszłym roku. Kierują mną oczywiście w tym wypadku jedynie względy medyczne. Laudanum musi natrafić na proces trawienia możliwie jak najbardziej zbliżony do stanu, w którym zaaplikowano narkotyk przed rokiem.

Po obiedzie zamierzam znów naprowadzić rozmowę — w sposób możliwie naturalny i swobodny — na temat diamentu i spisku Hindusów. Gdy skieruję należycie jego myśli w tym kierunku, będzie to już wszystko, co mogę zrobić, zanim nadejdzie czas, aby dać mu drugą dawkę opium.

Pół do ósmej. — Dopiero teraz znalazłem chwilę czasu, aby zająć się sprawą najważniejszą — mianowicie aby wziąć z apteczki domowej laudanum, którego pan Candy użył w zeszłym roku.

Przed dziesięcioma minutami odszukałem Betteredge'a i powiedziałem

mu, o co mi chodzi. Bez słowa sprzeciwu — nie próbował nawet wyciągnąć z kieszeni notesu — zaprowadził mnie (traktując mnie wciąż wyrozumiale i pobłażliwie) do składu, w którym znajduje się apteczka.

Znalazłem flaszeczkę, szczelnie zamkniętą szklanym korkiem i owiązaną skórką zamszową. Zawiera ona, jak przewidywałem, zwykłą *tinctura laudanum*. Ponieważ flaszeczka jest prawie pełna, postanowiłem użyć raczej jej zawartości, aniżeli jednej z dwóch mieszanek, które na wszelki wypadek przygotowałem.

Sprawa dawki, jaką mam zaaplikować, nastęrcza pewne trudności. Przemyslałem to dokładnie i postanowiłem zwiększyć dawkę.

Z notatek moich wynika, że pan Candy zaaplikował tylko dwadzieścia pięć kropli. Jest to bardzo mała dawka jak na skutki, które wywołała — nawet gdy się miało do czynienia z osobnikiem tak wrażliwym jak pan Blake. Wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że pan Candy dał więcej, niż sam przypuszczał, bo wiem, że ceni on sobie wysoko rozkosze podniebienia, a odmierzał laudanum będąc po obiedzie urodzinowym. W każdym razie zaryzykuję i zwiększę dawkę do czterdziestu kropli. Pan Blake wie z góry, że ma zażyć laudanum, co fizjologicznie rzecz biorąc równa się pewnej zdolności do — bezwiednego zresztą — opierania się jego skutkom. Jeśli się więc nie mylę, tym razem potrzebna jest większa dawka, aby powtórzyć rezultaty wywołane w zeszłym roku przez dawkę mniejszą.

Dziesiąta. — Świadkowie czy też goście (nie wiem, jak ich nazywać) przed godziną przybyli do domu.

Nieco przed dziewiątą namówiłem pana Blake'a, aby udał się ze mną do swego pokoju. Upozorowałem swoją prośbę pragnieniem, by się rozejrzał tam po raz ostatni i upewnił, że przy meblowaniu nic nie pominięto. Ułożyłem się przedtem z Betterege'em, że pan Bruff dostanie pokój sąsiedni i że Betteredge pukaniem do drzwi da mi znać o przybyciu adwokata. W pięć minut po tym, jak zegar w hallu wybił dziewiątą, usłyszałem pukanie. Wszedłem natychmiast i spotkałem pana Bruffa na korytarzu.

Powierzchność moja (jak zwykle) wywarła na nim niekorzystne wrażenie. Z oczu pana Bruffa wyzierała nieufność. Ponieważ przyzwyczajony jestem do podobnej reakcji osób nieznanym, tedy zanim jeszcze adwokat wszedł do pokoju pana Blake'a, powiedziałem bez wahania wszystko, co miałem mu do powiedzenia.

— Przyjechał pan zapewne wraz z panią Merridew i panną Verinder? '

— Tak jest — odrzekł pan Bruff tonem bardzo a bardzo osłchym.

— Panna Verinder powiedziała panu przypuszczalnie, że pragnę, aby przed wykonaniem eksperymentu obecność jej (jak również obecność pani Merridew) była trzymana przed panem Blake'em w tajemnicy?

— Wiem, że mam trzymać język za zębami, mój panie! — rzeki niecierpliwie pan Bruff. — Ponieważ zwykłem zachowywać milczenie na temat szaleństw ludzkich, tym łatwiej mi to przyjdzie tym razem. Czy to panu wystarcza?

Ukloniłem się i odsunąłem na bok, aby Betteredge mógł zaprowadzić pana Bruffa do przeznaczonego dlań pokoju. Odchodząc Betteredge rzucił mi spojrzenie, które mówiło wyraźnie: „Złapał Kozak Tatarzyna, panie Jennings!”

Następnie musiałem zobaczyć się z paniami. Zszedłem po schodach — odczuwając, przyznam się, wyraźną treść — i udałem się do saloniku panny Verinder.

Na korytarzu pierwszego piętra spotkałem żonę ogrodnika, której powierzono opiekę nad paniami. Zaczyna ta niewiasta traktuje mnie z uprzedzającą grzecznością, która najwyraźniej ma swe źródło w niekłamanym strachu. Ilekroć się do niej zwrócę, drży cała i dyga. Kiedy spytałem o pannę Verinder, zadrżała i byłaby niezawodnie dygnęła, gdyby ceremonii tej nie przerwała sama panna Verinder otwierając nagle drzwi swego pokoju.

— Czy to pan Jennings? — zapytała.

Nim zdołałem odpowiedzieć, wybiegła na korytarz, żeby ze mną porozmawiać. Spotkaliśmy się pod kinkietem. Widząc mnie panna Verinder w pierwszej chwili przystanęła i zwahała się. Ale opanowała się natychmiast, poczerwieniała lekko, a potem z uroczą otwartością podała mi rękę.

— Nie mogę traktować pana jak człowieka nieznanego, panie Jennings — rzekła. — Gdyby pan wiedział, jak mnie uszczęśliwiły pańskie listy!

Patrzyła na moją brzydką, pomarszczoną twarz z wyrazem promiennej wdzięczności, stanowiącym dla mnie po wszystkich moich doświadczeniach z bliźnimi taką nowością, że nie wiedziałem doprawdy, co mam odpowiedzieć. Nie byłem przygotowany na tyle dobroci i piękna. Ale wieloletnie nieszczęścia nie znieczuliły, Bogu dzięki, mojego serca. Stałem tak onieśmielony i zakłopotany, jak gdybym był młodzieńcem chłopcem.

— Gdzie on jest teraz? — spytała panna Verinder dając wyraz swemu naczelnemu zainteresowaniu: zainteresowaniu osobą pana Blake'a. — Co robi? Czy mówił coś o mnie? Czy jest w dobrym humorze? Jak na niego działa widok domu po tym, co tu zaszło przed rokiem? Kiedy mu pan da to laudanum? Czy mogę być przy tym, kiedy będzie je pan odmierzał? Jestem okropnie podniecona, mam panu do powiedzenia tysiące rzeczy i tak mi się wszystkie cisną na usta, że nie wiem, od czego zacząć. Nie dziwi pana chyba moje zainteresowanie tą sprawą?

— Nie — odparłem. — Sądzę, że rozumiem je doskonale.

Panna Verinder nie zniżyła się do tego, by udąć zmieszanie. Odpowiedziała mi tak, jak mogłaby odpowiedzieć ojcu lub bratu.

— Uwolnił mnie pan od dręczącej zmyślonej, tchnął pan we mnie nowe życie. Czy mogę być tak niewdzięczna, aby po tym wszystkim cokolwiek przed panem ukrywać? Kocham go — powiedziała z prostotą. — Kochałam go przez cały czas, nawet wtedy, gdy krzywdziłam go w swoich myślach, nawet wtedy, kiedy mówiłam mu najgorsze, najokrutniejsze słowa. Czy to mnie w jakiś sposób usprawiedliwia? Oby tak było, bo innego usprawiedliwienia nie mam. Kiedy nadejdzie jutrzejszy dzień i on dowie się, że jestem w domu, jak pan sądzi?...

Urwała znowu i spojrzała na mnie z wielkim przejęciem.

— Kiedy nadejdzie jutrzejszy ranek — odparłem — sądzę, że wystarczy, aby powiedziała mi pani tylko to, co mnie przed chwilą.

Panna Verinder rozpromieniła się i postąpiła o krok bliżej. Palce jej bawiły się nerwowo kwiatem, który zerwałem w ogrodzie i włożyłem sobie do butonierki.

— Pan go w ostatnich czasach często widywał — rzekła. — Czy jest pan naprawdę i szczerze tego zdania?

— Naprawdę i szczerze — odparłem. — Jestem zupełnie pewien tego, co zdarzy się jutro. Chciałbym być równie pewien tego, co zdarzy się dziś.

W tej chwili rozmowę przerwało nam ukazanie się Betteredge'a z tacą w rękach. Wchodząc do salonu znów rzucił mi znaczące spojrzenie. „Tak, tak, panie Jennings, niech pan kuje żelazo póki gorące. Tatarzyn jest na górze, panie Jennings, Tatarzyn jest na górze!”

Weszliśmy za nim do pokoju. Siedząca w kącie drobna stara dama, bardzo wykwiśnięta ubrana i całkowicie pochłonięta pracą nad jakimś haftem, na widok mojej cygańskiej cery i czarno-białych włosów upuściła robótkę i wydała lekki okrzyk.

— Pani Merridew — rzekła panna Verinder — pozwoli pani przedstawić sobie pana Jenningsa.

— Bardzo przepraszam pana Jenningsa — rzekła stara dama patrząc na pannę Verinder, ale zwracając się bez wątpienia do mnie. — Po jeździe koleją jestem zawsze bardzo zdenerwowana. Staram się uspokoić zwykłym swoim zajęciem. Lękam się tylko, że moja robótką jest może w obecnej sytuacji nie na miejscu. Jeżeli w jakiś sposób przeszkadza panu Jenningsowi w jego planach medycznych, natychmiast ją schowam.

Usankcjonowałem czym prędzej obecność robótki, podobnie jak usankcjonowałem nieobecność pękniętego sępa i skrzydła Kupidyna. Pani Merridew — z wdzięczności — dokonała wysiłku, aby spojrzeć na moje włosy. Nie! Było to niewykonalne. Pani Merridew przeniosła szybko spojrzenie z powrotem na pannę Verinder.

— Jeżeli pan Jennings mi pozwoli — ciągnęła dalej stara dama — chciałabym go prosić o pewną grzeczność. Pan Jennings ma dziś w nocy dokonać eksperymentu naukowego. Jako mała dziewczynka w szkole bywałam obecna przy eksperymentach naukowych. Otóż jeśli pan Jennings łaskaw, chciałabym, aby tym razem uprzedził mnie, kiedy będzie miał nastąpić wybuch. Prosiłabym też, jeśli to możliwe, żeby wybuch odbył się, zanim pójdę spać.

Próbowałem zapewnić panią Merridew, że wybuch nie jest przewidziany w programie.

— Nie — odparła stara dama. — Jestem bardzo obowiązana panu Jenningsowi, rozumiem, że oszukuje mnie wyłącznie dla mojego dobra. Ale wolę znać całą prawdę. Pogodziłam się już z myślą o wybuchu, ale bardzo bym prosiła, jeśli to możliwe, żeby się wszystko skończyło, zanim się położę spać.

W tej chwili drzwi się otworzyły i pani Merridew znów wydała okrzyk. Czyżby nastąpił wybuch? Nie, to tylko wszedł Betteredge.

— Przepraszam pana, panie Jennings — rzekł Betteredge swoim najbardziej poufnym tonem — ale pan Franklin pragnie się dowiedzieć, gdzie pan jest. Ponieważ z rozkazu pańskiego mam oszukiwać go w sprawie obecności w domu mojej młodej pani, powiedziałem, że nie wiem. Jest to, jak zechce pan zauważyć, wierutne kłamstwo. A że stoję już jedną nogą w grobie, sir, więc im mniej kłamstw będzie pan ode mnie wymagał, tym bardziej będę panu obowiązany, kiedy wybije moja godzina i sumienie zacznie mnie dręczyć.

Niestety, nie mogłem tracić ani chwili na czysto teoretyczne rozważania o sumieniu Betteredgea. Musiałem udać się natychmiast do pana Blake'a, bo gotów był jeszcze zacząć mnie szukać i przyjść tutaj. Panna Verinder odprowadziła mnie na korytarz.

— Oni wszyscy jakby się zmówili, żeby panu dokuczać — powiedziała. — Co to znaczy?

— To tylko protest świata, na bardzo małą zresztą skalę, przeciwko wszystkiemu, co nowe.

— Co zrobimy z panią Merridew?

— Proszę jej powiedzieć, że wybuch nastąpi jutro o dziewiątej rano.

— Żeby wyprawić ją do łóżka?

— Tak, żeby ją wyprawić do łóżka.

Panna Verinder wróciła do salonu, ja zaś poszedłem na górę do pana Blake'a.

Ku mojemu zdumieniu zastałem go samego. Biegał nerwowo po pokoju i był trochę poirytowany, że go zostawiłem na tak długą chwilę.

— Gdzież jest pan Bruff? — spytałem.

Wskazał mi zamknięte drzwi łączące obydwa pokoje. Jak się okazało, pan Bruff wstąpił na chwilę, próbował ponowić protesty przeciwko naszemu zamierzeniu i raz jeszcze nie zdołał wyrzucić najmniejszego nawet wrażenia na panu Blake'u. Wobec czego zasłonił się przed dalszymi rozmowami swoją czarną tęgą wypchaną aktami. Poważne sprawy życiowe — zaznaczył — są co prawda w dniu dzisiejszym i przy takiej okazji wcale nie na miejscu, ale trudno, mimo wszystko trzeba się nimi zajmować. Pan Blake zechce zapewne wybaczyć staremu realności jego staroświeckie nawyki. Czas to pieniądz — pan Jennings zaś może być pewien, że pan Bruff zjawi się, skoro tylko się go zawoła. Złożywszy to oświadczenie adwokat wycofał się do swojego pokoju i poświęcił całą uwagę czarnej tece.

Pomyślałem o pani Merridew z jej robótką i o Betteredge'u z jego sumieniem. Zaiste, przedziwne podobieństwo łączy wszystkich Anglików, gdy chodzi o solidne strony ich charakteru, tak samo jak łączy ich przedziwne podobieństwo, gdy chodzi o solidny wyraz ich twarzy. — Kiedy mi pan da laudanum? — spytał niecierpliwie pan Blake.

— Musi pan jeszcze trochę poczekać — powiedziałem. — Zostanę i dotrzymam panu towarzystwa, dopóki nie nadejdzie właściwa pora.

Dochodziła wtedy dziesiąta. Na podstawie informacji, których zasięgnąłem w swoim czasie u Betteredge'a i u pana Blake'a, doszedłem do wniosku, że pan Blake nie mógł przed godziną jedenastą zażyć dawki zaaplikowanej mu przez doktora Candy'ego. Postanowiłem więc wstrzymać się i tym razem do tej godziny.

Rozmawialiśmy trochę, ale myśli nasze zaprzątnięte były czekającym nas eksperymentem. Rozmowa wkrótce zaczęła się rwać, aż ustała zupełnie. Pan Blake od niechcienia przerzucał książki leżące na nocnym stoliku. Kiedyśmy po raz pierwszy weszli do pokoju, byłem na tyle przezorny, aby je obejrzeć. Znalazłem wyłącznie dzieła klasyczne — Richardson, Mackenzie, Roscoe, Robertson — nieporównanie bardziej wartościowe oczywiście od wszystkiego, co napisano w czasach późniejszych, a zarazem (z mojego obecnego punktu widzenia) posiadające tę wielką zaletę, że nie mogą przykuć niczyjej uwagi i nie wprowadzą niczyjego umysłu w podniecenie. Pozostawiłem więc pana Blake'a kojącemu działaniu znakomitej literatury i zająłem się niniejszymi zapiskami.

Zegarek informuje mnie, że zbliża się jedenasta. Muszę znów odłożyć dziennik.

Druga w nocy. — Eksperyment odbył się, a z jakim wynikiem, zaraz to opiszę.

O godzinie jedenastej zadzwoniłem na Betteredge'a i powiedziałem panu Blake'owi, że może się już wreszcie przygotować do pójścia spać.

Wyjrzałem przez okno. Noc była ciepła i dżdżysta, podobna do nocy po urodzinach panny Verinder — dwudziestego pierwszego czerwca ubiegłego roku. Nie wierzę co prawda w znaki na niebie i ziemi, lecz z zadowoleniem stwierdziłem, że w atmosferze nie zachodzą żadne gwałtowne zjawiska, które mogłyby wpłynąć na pana Blake'a denerwująco. Gdy tak stałem przy oknie, Betteredge przysunął się do mnie i z wielce tajemniczą miną włożył mi do ręki karteczkę. Zawierała ona następujące słowa:

Pani Merridew poszła spać zastrzegając stanowczo, że wybuch ma nastąpić nie wcześniej niż o dziewiątej rano, ja zaś mam nie ruszać się na krok z tej części domu, dopóki ona nie przyjdzie i nie da mi na to przyzwolenia. Nie podejrzewa wcale, że główną sceną eksperymentu ma być mój salonik — w przeciwnym razie zostałaby tutaj przez całą noc! Jestem sama i bardzo się niepokoję. Proszę, niech mi pan pozwoli być przy odmierzaniu laudanum. Chcę w tym brać udział, chociażby tylko jako widz.

R. V.

Wyszedłem za Betteredge'em z pokoju i kazałem mu przynieść apteczkę do salonu panny Verinder.

Polecenie to zaskoczyło go ogromnie. Spojrzał na mnie tak, jakby podejrzewał mnie o jakieś niecne zakusy na zdrowie i życie panny Verinder!

— Czy wolno zapytać — rzekł — co moja młoda pani i apteczka mają ze sobą wspólnego?

— Niech pan zostanie w salonie, a sam się pan przekona.

Ale Betteredge wątpił widocznie, czy sam jeden bez postronnej pomocy zdota skontrolować mnie skutecznie, gdy w grę wchodzi przedmiot tak niebezpieczny jak apteczka.

— Czy sprzeciwiałby się pan, sir — spytał — gdybym wtajemniczył! pana Bruffa w to stadium sprawy?

— Bynajmniej! Zaraz go właśnie poproszę, aby zszedł ze mną *na dół*. Betteredge bez dalszych słów poszedł po apteczkę. Ja wróciłem do pokoju

pana Blake'a i zapukałem do drzwi prowadzących do pokoju sąsiedniego. Pan Bruff otworzył mi z aktami w rękę — pogrążony w prawie i najzupełniej niedostępny dla medycyny.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam — powiedziałem — ale chcę przygotować laudanum dla pana Blake'a i muszę prosić pana, aby zechciał być przy tym obecny.

— Dobrze — odparł pan Bruff poświęcając dziewięć dziesiątych uwagi aktom, a tylko jedną, i to niechętnie, mnie. — Co więcej?

— Muszę prosić pana, aby powrócił potem ze mną tutaj i patrzył, jak zaaplikuję laudanum.

— Co więcej?

— Jeszcze jedno. Muszę *prosić*, aby zadał pan sobie trud pozostania w pokoju pana Blake'a i obserwował, co ewentualnie nastąpi.

— Cóż, niech i tak będzie! — odrzekł pan Bruff. — Mój pokój czy pokój pana Blake'a, nie robi mi to wielkiej różnicy, mogę pracować nad aktami zarówno tu jak i tam. Chyba że zaprotestuje pan, panie Jennings, przeciwko temu, bym przyniósł tu aż taką ilość zdrowego rozsądku.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, pan Blake leżący już w łóżku, zwrócił się do adwokata:

— Czy chce pan naprawdę powiedzieć, że nie czuje pan najmniejszego zainteresowania tym, co mamy zrobić? Panie Bruff, ma pan akurat tyle wyobraźni co krowa!

— Krowa to bardzo pożyteczne zwierzę, panie Blake — odparł pan Bruff. Po tej replice wyszedł za mną z pokoju, wciąż trzymając w rękę akta,

Panna Verinder, blada i wzburzona, przemierzała niespokojnie swój salon, W rogu obok stołu Betteredge stał na warcie przy apteczce. Pan Bruff usiadł na pierwszym lepszym fotelu i (naśladując pożyteczność krowy) zagłębił się z miejsca w swoich aktach.

Panna Verinder odciągnęła mnie na bok i powróciła od razu do jedyne go tematu, jaki ją w tej chwili interesował — do osoby pana Blake'a.

— Jak on się teraz czuje? — pytała. — Czy się denerwuje? Czy może się złości? Jak pan sądzi, uda się? Jest pan pewien, że mu to nie zaszkodzi?

— Najzupełniej pewien. Chodźmy, zobaczy pani, jak będę odmierzał laudanum.

— Jeszcze chwilka! Jest już po jedenastej. Jak długo to potrwa, zanim się zacznie coś dziać?

— Trudno powiedzieć. Może godzinę.

— W pokoju musi pewnie być ciemno, jak w zeszłym roku?

— Oczywiście.

— Będę czekała w swojej sypialni jak wtedy. Zostawię drzwi lekko uchylone. Były lekko uchylone w zeszłym roku. Będę obserwowała drzwi salonu i ledwie się poruszą, zdmuchnę świecę. Tak właśnie było w wieczór moich urodzin. A wszystko musi się odbyć zupełnie tak Samo, prawda?

— Czy jest pani pewna, że zdoła się pani opanować, panno Verinder?

— Dla niego gotowa jestem zrobić wszystko! — zawołała gorąco. Jedno spojrzenie na jej twarz powiedziało mi, że mogę jej ufać. Zwróciłem

się znowu do pana Bruffa.

— Prosiłbym pana o odłożenie na chwilę akt — powiedziałem.

— Alez oczywiście!

Pan Bruff drgnął, jak gdybym przerwał mu w szczególnie ciekawym miejscu, wstał i poszedł za mną do apteczki. Tutaj, pozbawiony pasjonującego zajęcia, jakim było dla niego wykonywanie jego zawodu, spojrzał na Betteredge'a i ziewnął ze znudzoną miną.

Panna Verinder podeszła z dzbankiem zimnej wody, którą wzięła z bocznego stolika.

— Niech mi pan pozwoli nalać wody — szepnęła. — Muszę w jakiś sposób przyłożyć do tego ręki.

Odmierzyłem z flaszeczki czterdzieści kropel i wlałem laudanum do szklanki.

— Niech pani doleje do trzech czwartych — powiedziałem podając szklankę pannie Verinder.

Następnie poleciłem Betteredge'owi zamknąć apteczkę informując go, że już mi nie będzie potrzebna. Na twarzy starego sługi odmalowała się niesłychana ulga. Niezawodnie podejrzewał mnie o jakieś szatańskie zakusy na jego młodą panią!

Dolawszy zgodnie z moimi wskazówkami wody, panna Verinder skorzystała z chwili, gdy Betteredge zamykał apteczkę, pan Bruff zaś powrócił do swoich akt — i pocałowała ukradkiem brzeg szklanki.

— Kiedy mu pan będzie ją podawał — szepnęła ta uroczą dziewczyna — niech pan ją odwróci tą stroną!

Wyjąłem z kieszeni kawałek kryształu, który miał reprezentować diament, i podałem jej.

—: Do tego musi pani też przyłożyć ręki — rzekłem. — Musi pani schować kryształ tam, gdzie w zeszłym roku schowała pani diament.

Panna Verinder podeszła do szafeczki indyjskiej i włożyła kryształ do szuflady, w której w wieczór urodzinowy znajdował się prawdziwy diament. Pan Bruff podobnie jak przedtem, z oznakami najwyższej niechęci, zgodził się obserwować tę manipulację. Ale napięcie dramatyczne, jakiego zaczął

nabierać eksperyment, przemogło w końcu (ku mojemu rozbawieniu) powściągliwość Betteredge'a.

Ręka jego, w której trzymał świeczkę, zadrżała i wyszeptał z niepokojem:

— Czy panienka jest pewna, że to ta sama szuflada?

Ruszyłem znów pierwszy ze szklanką w ręce. Przy drzwiach zatrzymałem się, żeby powiedzieć jeszcze słówko panie Verinder.

— Niech pani nie zwleka zbyt długo ze zgaszeniem światła — przestrzegłem.

— Zgaszę je zaraz — odpowiedziała. — I będę czekała w sypialni tylko przy jednej świeczce.

Zamknęła za nami drzwi salonu. Udałem się do pokoju pana Blake'a. Pan Bruff i Betteredge szli za mną.

Gdyśmy weszli, pan Blake przewracał się niespokojnie na łóżku i zapytał z irytacją, czy dostanie kiedyś wreszcie to laudanum. W obecności moich dwóch świadków dałem mu przygotowaną dawkę, poprawiłem poduszki, kazałem mu położyć się i spokojnie czekać.

Łóżko jego, opatrzone w lekkie kretonowe zasłony, zwrócone było wezglowiem do ściany, po obu bokach więc zostawała wolna przestrzeń. Z jednej strony zaciągnąłem zupełnie kotarę i w tej części pokoju zasłoniętej przed jego wzrokiem umieściłem pana Bruffa i Betteredge'a, aby czekali na rezultaty. W nogach łóżka zaciągnąłem firanki tylko częściowo i ustawiłem w pewnej odległości swoje krzesło, aby pan Blake mógł widzieć mnie albo mnie nie widzieć, mówić do mnie albo nie mówić — zależnie od okoliczności. Ponieważ dowiedziałem się uprzednio, że sypia zawsze przy świetle, postawiłem jedną z dwóch zapalonych świec przy wezglowiu, aby blask nie raził go w oczy. Drugą świeczkę dałem panu Bruffowi. Światło jej tuszowały kretonowe zasłony. Okno otwarte było u góry, żeby zapewnić w pokoju przewiew. Deszcz pluśkał leciutko, w domu panowała cisza. Na moim zegarku było dwadzieścia po jedenastej, gdy przygotowania zostały zakończone i zająłem miejsce na fotelu ustawionym w nogach łóżka.

Pan Bruff powrócił do swoich papierów i wydawał się zainteresowany nimi bardziej niż kiedykolwiek. Ale zerkając na niego dostrzegłem pewne oznaki świadczące o tym, że prawo przestało już pochłaniać całą jego uwagę. Napięcie sytuacji, w której się teraz znajdowaliśmy, poczęło z wolna wywierać wpływ nawet na jego pozbawiony wyobraźni umysł. Co do Betteredge'a, konsekwencja w postępowaniu i zachowaniu godności osobistej stała się w jego wypadku jedynie czczym słowem. Zapomniał już, że chcę dokonać na panu Franklinie Blake'u sztuczki magicznej, zapomniał, że wywróciłem cały dom do góry nogami, zapomniał, że od dziecka nie czytałem „Robinsona Kruzoa”.

— Na miłość boską, sir— szepnął do mnie— niech pan nam powie, kiedy to zacznie działać.

— Nie przed północą — odpowiedziałem również szeptem. — Niech pan nic nie mówi i siedzi cicho.

Wówczas Betteredge nie próbując już wcale ratować pozorów stoczył się na dno spoufalenia ze mną — odpowiedział mi mrugnięciem!

Spojrzałem na pana Blake'a i stwierdziłem, że wciąż się rzuca niecierpliwie na łóżku. Zapyta! mnie rozgrymaszonym tonem, czemu nie odczuwa jeszcze działania laudanum. Dopóki był w takim nastroju, na nic by się i tak nie zdały perswazje, że im dłużej będzie się wiercił i zastanawiał, tym dalej odsunie rezultat, na który czekamy. Mądrzej było niepostrzeżenie skierować jego myśli na inny przedmiot, aby zapomniał o opium.

W tym celu zachęciłem go do rozmowy starając się naprowadzić ją na temat, który zaprzętał naszą uwagę przedtem — na temat diamentu. Powróciłem do tych fragmentów historii Kamienia Księżycowego, które dotyczyły przewiezienia go z Londynu do Yorkshire, niebezpieczeństwa, na jakie naraził się pan Blake zabierając diament z banku we Frizinghall, i niespodziewanego zjawienia się Hindusów w wieczór urodzinowy. Wspominając o tych wydarzeniach udałem celowo, że nie zrozumiałem wiele z tego, co pan Blake opowiadał mi przed paroma godzinami. W ten sposób nakłoniłem go do mówienia o przedmiocie, który powinien był teraz zaprzętać jego myśli — nie dając mu zarazem poznać, że robię to świadomie. Pan Franklin stopniowo tak się zapalił do tego, żeby mi wszystko dokładnie wytłumaczyć, iż przestał się wiercić. Nie pamiętał już wcale o opium, gdy nadeszła najważniejsza chwila, i po oczach jego poznałem, że narkotyk zaczyna wywierać wpływ na jego mózg.

Spojrzałem na zegarek. Była za pięć dwunasta, kiedy stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość pierwsze oznaki działania laudanum.

Niewprawne oko nie dostrzegłoby jeszcze w panu Blake'u żadnej zmiany. Ale z upływem minut oznaki stawały się coraz wyraźniejsze. Oczy pana Blake'a zabłyśły, pot zrosił mu twarz. Po pięciu minutach wypowiedane przez niego słowa poczęły tracić ze sobą związek. Mówił wciąż o diamencie, ale nie kończył już zdań. Nieco później zdania skurczyły się do pojedynczych słów. Potem zapadło milczenie. Po chwili pan Blake usiadł na łóżku.

Wreszcie-.....nadal zajęty sprawą diamentu — zaczął mówić znowu, ale już nie do mnie, lecz do siebie. Zmiana ta świadczyła, że osiągnęliśmy pierwsze stadium eksperymentu. Pobudzające działanie opium doszło do szczytu.

Było teraz dwadzieścia trzy minuty po dwunastej. Następne pół godziny miało rozstrzygnąć, czy pan Blake wstanie i wyjdzie z pokoju, czy też nie.

Obserwując go z zapartym tchem — a zarazem przejęty tryumfem, że pierwsze wyniki eksperymentu ujawniają się w taki właśnie sposób i w tym mniej więcej czasie, jaki przewidziałem — zapomniałem zupełnie o dwóch towarzyszach mojego czuwania. Gdy na nich spojrzałem, stwierdziłem, że prawo reprezentowane przez akta pana Bruffa leży porzucone na podłodze, pan Bruff przywarł okiem do szparki między niezbyt szczelnie zaciągniętymi firankami łóżka, Betteredge zaś, nie zważając już wcale na względy hierarchii społecznej, zagląda mu przez ramię.

Widząc, że ich obserwuję, cofnęli się obaj szybko niby uczniacy przyłapani na psocie. Dałem im znak, żeby podobnie jak ja zdjęli cicho obuwie.

Gdybyśmy mieli iść za panem Blake'em, było rzeczą istotną, żeby posuwać się bezszelestnie. Upłynęło dziesięć minut — i nic się nie zdarzyło. Naraz pan Blake odrzucił kołdrę. Spuścił nogi z łóżka. Znieruchomiał znowu.

— Żałuję, że zabrałem go z banku — powiedział do siebie. — W banku był bezpieczny.

Serce mi zabiło, puls w skroniach walił jak mioty. A więc niepokój

O diament jest w tej chwili dominującym w nim uczuciem! Od tego przecież zależy powodzenie eksperymentu. Roztrzęsione moje nerwy nie zdołały znieść spokojnie perspektywy, która nagle się przede mną ukazała. Musiałem odwrócić oczy, bo straciłbym panowanie nad sobą.

Zapadła znów cisza.

Kiedy odzyskałem równowagę na tyle, aby móc ponownie spojrzeć na pana Blakea, stał on już wyprostowany przy łóżku. Żrenice miał teraz zwężone, oczy jego lśniły w świetle świecy, gdy wolno kręcił głową. Zastanawiał się nad czymś, miał jakieś wątpliwości — bo odezwał się znowu.

— Kto wie? — powiedział. — Hindusi mogli ukryć się gdzieś w domu. Poszedł wolno na drugi koniec pokoju. Tam zawrócił, postać chwilę

1 zbliżył się znów do łóżka.

— Nie jest nawet pod kluczem — ciągnął dalej. — Leży u niej w komódce. A szuflady nie mają zamków.

Usiadł na brzegu łóżka.

— Każdy może go zabrać — powiedział. Wstał, powtórzył znów pierwsze słowa:

— Kto wie? Hindusi mogli ukryć się gdzieś w domu.

Zastygł w bezruchu. Ukryłem się za firanką łóżka. Pan Blake rozejrzał się po pokoju niewidzącymi oczami. Była to chwila dech zapierająca w piersiach. Nastąpiła jakaś przerwa. Przerwa w działaniu opium? A może przerwa w działaniu mózgu? Któż to odgadnie? Wszystko zależało teraz od tego, co pan Blake zrobi dalej.

Położył się znów na łóżku.

Okropne podejrzenie zakradło się do mojej duszy. Czyżby następowało już uspokajające działanie opium? Na podstawie własnego doświadczenia trudno mi było w to uwierzyć. Ale czymże jest doświadczenie, kiedy w grę wchodzi opium? Nie ma chyba na świecie dwóch ludzi, na których narkotyki działałby identycznie. Czyżby jakaś osobliwość organizmu sprawiała, że tym razem opium działało na niego w jakiś odmienny sposób? Czyżbyśmy na progu powodzenia mieli ponieść klęskę?

Nie! Pan Blake znów wstał nagle.

— Jak u diabła mam spać — powiedział — kiedy ta myśl nie daje mi spokoju?

Spojrzał na świecę palącą się na stoliku przy wezglowiu łóżka. Wziął ją do ręki.

Zgasił drugą świecę. Wraz z panem Bruffem i Betteredge'em cofną-

łem się w najdalszy kąt za łóżkiem. Dałem im znak, że mają zachowywać milczenie, jak gdyby życie ich od tego zawisło.

Czekaliśmy — nic nie widząc ani nie słysząc. Czekaliśmy oddzieleni od pana Blake'a zasłonami.

Świeca, którą trzymał w ręce, poruszyła się naraz gwałtownie. Pan Blake minął nas szybko i bezszelestnie, otworzył drzwi i wyszedł.

Poszliśmy za nim korytarzem. Zeszliśmy za nim po schodach. Poszliśmy za nim korytarzem pierwszego piętra. Pan Blake nie odwrócił się ani się nie zawahał.

Otworzył drzwi saloniku i wszedł pozostawiając je otwarte.

Drzwi, podobnie jak wszystkie inne w tym domu, zawieszono były na wielkich, staroświeckich zawiasach. Gdy były otwarte, wzdłuż futryny tworzyła się szeroka szpara. Dałem znak swoim towarzyszom, aby patrzyli przez tę szparę nie pokazując się. Ja stanąłem również za drzwiami, z przeciwnej strony. Po lewej ręce miałem niszę w ścianie, w której mógłbym się bez trudu ukryć, gdyby pan Blake miał wyrzeć na korytarz.

Pan Blake wciąż trzymając w ręce świeczkę doszedł do środka pokoju. Rozejrzał się wokół, ale się nie obejrzał.

Widziałem, że drzwi sypialni panny Verinder są uchylone. Panna Verinder zgasiła światło. Panowała nad sobą wspaniale. Rozróżniłem tylko jak przez mgłę biały rąbek jej letniej sukni. Nikt, kto nie wiedział o tym z góry, nie podejrzewałby, że w sypialni znajduje się żywa istota. Trzymała się w cieniu, nie wymknęło się jej żadne słowo, nie uczyniła żadnego mimowolnego ruchu.

Było teraz dziesięć po pierwszej. W martwej ciszy słyszałem miękkie plusk deszczu i westchnienia wietrzyka nocnego wśród drzew.

Pan Blake przez minutę lub dwie stał niezdecydowany na środku pokoju, po czym ruszył do kąta pod oknem, gdzie stała indyjska komódka.

Postawił świecę na komódce. Otwierał i zamykał jedną szufladę po drugiej, aż dotarł do tej, w której znajdował się rzekomy diament. Patrzył na niego przez chwilę. Potem prawą ręką wyjął kryształ. Lewą zdjął świecę z komódki.

Postąpił kilka kroków i znów przystanął.

Jak dotychczas, powtórzył dokładnie wszystko, co robił w noc po urodzinach. Czy dalej również powtórzy swe poruszenia sprzed roku? Czy wyjdzie z pokoju? Czy wróci do swojej sypialni, jak według mojej hipotezy wrócił podówczas? Czy pokaże nam, co zrobił z diamentem?

Pierwszy jego ruch wszakże był ruchem, którego z pewnością nie wykonał, kiedy znajdował się pod działaniem opium rok temu. Pan Blake postawił świeczkę na stole i odszedł w dalszy kąt pokoju. Stała tam kanapa. Wsparł się ciężko lewą ręką na jej poręcz — potem otrząsnął się z wysiłkiem i powrócił na środek pokoju. Widziałem teraz jego oczy. Były otepiałe, blask ich szybko przygasł.

Napięcie tej chwili zbyt było wielkie dla panny Verinder. Postąpiła kilka kroków naprzód — i zatrzymała się. Pan Bruff i Betteredge po raz, pierwszy

spojrzeli na mnie. Oni również domyślali się, że teraz spotka nas zawód. Ale dopóki pan Franklin stał na środku pokoju, istniała jeszcze pewna nadzieja. W nieopisanym napięciu czekaliśmy, co będzie dalej.

Następna chwila rozstrzygnęła o wszystkim. Pan Blake wypuścił z ręki rzekomy diament.

Kryształ upadł na podłogę przed drzwiami. Pan Blake nie próbował go wcale podnieść. Spojrzał tępo i w tej samej chwili głowa opadła mu na piersi. Zatoczył się, ocknął się na chwilę, wrócił niepewnym krokiem do kanapy i usiadł na niej. Zdobył się jeszcze na ostatni wysiłek — próbował wstać, lecz usiadł ciężko z powrotem. Potem wolno złożył głowę na poduszkach. Było wtedy dwadzieścia pięć po pierwszej. Zanim zdążyłem schować zegarek do kieszeni, pan Blake już spał.

Niepodobna było się już niczego spodziewać. Nastąpiło oszałamiające działanie opium. Eksperyment był skończony.

Wszedłem do pokoju skinąwszy na pana Bruffa i na Betteredge'a, Nie było obawy, że obudzimy pana Blake'a. Mogliśmy swobodnie poruszać się i rozmawiać.

— Przede wszystkim musimy ustalić, co mamy teraz z nim zrobić — powiedziałem. — Będzie prawdopodobnie spał co najmniej sześć lub siedem godzin. Do jego pokoju jest dość daleko. Za młodu zaniósłbym go bez trudu sam, ale nie mam już tego zdrowia i sił co dawniej, muszę więc niestety prosić panów, żeby mi pomogli.

Zanim zdolałi odpowiedzieć, panna Verinder zawołała mnie cichutko. Wyszła na moje spotkanie trzymając w ręku lekki pled i kapę ze swego łóżka.

— Czy zamierza pan czuwać przy nim, dopóki będzie spał? — zapytała.

— Tak. Nie jestem pewien, jak dalej podziała na niego opium, nie chciałbym więc zostawiać go samego.

Podawała mi pled i kapę.

— Po co go niepokoić? — szepnęła. — Niech mu pan pościele na kanapie. Mogę zamknąć drzwi i nie wychodzić ze swojego pokoju.

Było to bez wątpienia najprostsze i najbezpieczniejsze wyjście. Powtórzyłem propozycję panny Verinder swoim towarzyszom. Obaj przyklasnęli jej. Ułożyłem pana Blakea wygodnie na kanapie i przykryłem go ostrożnie kapą i pledem. Panna Verinder życzyła nam dobrej nocy i zamknęła drzwi. Na moją prośbę wszyscy trzej podeszliśmy do stołu stojącego pośrodku pokoju. Palila się tam świeca i leżały przybory do pisania.

— Zanim się rozstaniemy — zacząłem — chciałbym powiedzieć kilka słów o eksperymencie, któregośmy dzisiaj próbowali. Miał on na celu dwie rzeczy. Po pierwsze należało dowieść, że pan Blake w roku ubiegłym wszedł do tego pokoju i zabrał diament w stanie niepoczytalności spowodowanej działaniem opium. To, co panowie obaj widzieli, upewniło ich chyba o tym?

— Obaj bez chwili wahania odpowiedzieli twierdząco.

— Po drugie — ciągnąłem dalej — chodziło o to, by wykryć, co pan Blake zrobił z diamentem po wyjściu z salonu panny Verinder. Osiągnięcie drugiego celu zależało oczywiście od tego, czy pan Blake dokładnie

powtórzy wszystkie swe posunięcia z ubiegłego roku. Niestety pan Blake nie zrobił tego, od tej więc strony eksperyment się nie udał. Rezultat zawiódł wprawdzie moje oczekiwania, ale mogę stwierdzić uczciwie, że nie jestem tym zaskoczony. Mówiłem panu Blake owi od początku, że całkowite powodzenie w tej sprawie zależy od dokładnego odtworzenia jego stanu fizycznego i moralnego sprzed roku, i ostrzegałem go, iż jest to prawie niepodobieństwem. Odtworzyliśmy tylko częściowo ów stan, toteż eksperyment w konsekwencji tylko częściowo się udał. Jest też możliwe, że zaaplikowałem zbyt dużą dawkę laudanum. Moim zdaniem jednak pierwszy powód zdecydował o tym, że musimy dziś martwić się porażką, choć możemy się też cieszyć z sukcesu.

Po tych słowach położyłem przed panem Bruffem papier i pióro i spytałem, czy zechciałby — zanim rozstaniemy się na noc — opisać wszystko, co dziś widział, i opatrzyć to oświadczenie swoim podpisem. Pan Bruff ujął niezwłocznie pióro i z szybkością i wprawą starego adwokata napisał oświadczenie.

— Winien to panu jestem — rzekł podpisując dokument -jako częściowe choćby wyrównanie tego, co zaszło między nami dziś wieczorem. Niech mi pan przebaczy, że wątpiłem w pana, panie Jennings. Wyświadczy! pan Franklinowi Blake'owi nieocenioną przysługę. Mówiąc językiem prawniczym, wygrał pan sprawę.

Betteredge również przeprosił mnie w sposób niezmiernie dla siebie charakterystyczny.

— Panie Jennings - rzeki — kiedy przeczyta pan na nowo „Robinsona Kruzoe" (co gorąco panu polecam), przekona się pan, że gdy nie miał on słuszności, nie wahał się nigdy do tego przyznać. Zechce pan uważać, że zrobiłem to, co zrobiłby w tym wypadku Robinson Kruzoc.

Z tymi słowy podpisał także dokument.

Gdyśmy wstali od stołu, pan Bruff odciągnął mnie na bok.

— Jeszcze stówko na temat diamentu — rzeki. - - Pan wysuwa teorię, że Franklin Blake schował Kamień Księżycowy w swoim pokoju. Ja jestem zwolennikiem teorii, że Kamień Księżycowy znajduje się na przechowaniu u bankierów pana Lukera w Londynie. Nie będziemy się spierali, kto z nas ma rację. Zapytajmy tylko, który z nas pierwszy zdoła poddać swoją teorię próbie

— Jeśli chodzi o mnie - odparłem — próba odbyła się dzisiaj, lecz zakończyła się niepowodzeniem.

— Jeśli chodzi o mnie, próba nadal trwa — podjął znów pan Bruff. — Przez ostatnie dwa dni kazałem obserwować ów bank w nadziei, że pan Luker się tam zgłosi. Obserwacja ta będzie trwała do ostatniego dnia bieżącego miesiąca. Wiem, że pan Luker musi osobiście odebrać diament z rąk swego bankiera, i liczę na to, że osoba, która zastawiła diament, zmusi do tego pana Lukera zwracając mu zastaw. W takim wypadku uda mi się być może ustalić tożsamość tej osoby. Istnieje więc szansa wyświeatlenia tajemnicy właśnie w tym punkcie, który nadal pozostaje dla nas zagadką! Czy przyznaje mi pan słuszność?

Przyznałem bez namysłu.

— Jutro o dziesiątej rano wracam do Londynu ciągnął dalej adwokat. -Dowiem się może po powrocie, że owego odkrycia już dokonano, a wówczas będzie sprawą wielkiej wagi, abym miał Franklina Blake'a w pobliżu i mógł się z nim w każdej chwili porozumieć. Chcę więc powiedzieć mu, gdy się tylko obudzi, że musi powrócić ze mną do Londynu. Po tym, co zaszło, mogę chyba liczyć na to, że poprze mnie pan swoim wpływem?

— Oczywiście — stwierdziłem.

Pan *Btuff* uścisnął mi dłoń i wyszedł. Betteredge oddalił się za nim.

Podszedłem do kanapy, aby spojrzeć na pana Blake'a. Nie poruszył się jeszcze od chwili, gdy go ułożyłem i przykryłem — pogrążony był w głębokim, spokojnym śnie.

Gdy tak na niego patrzałem, usłyszałem, że drzwi sypialni otwierają się cicho. Panna Verinder w swej ślicznej, letniej sukni znów stanęła na progu.

— Niech mi pan wyświadczy ostatnią łaskę — szepnęła. — Niech mi pan pozwoli czuwać przy nim razem z panem.

Zawahałem się — nie przez wzgląd na konwenanse, lecz jedynie przez wzgląd na potrzebny jej wypoczynek. Ale panna Verinder podeszła do mnie i ujęła mnie za rękę.

— Nie mogę spać. Nie mogę nawet usiedzieć spokojnie w swoim pokoju — powiedziała, — Ach, panie Jennings, gdyby pan był na moim miejscu, niech pan tylko pomyśli, jak pragnąłby pan siedzieć przy nim i patrzeć na niego! Proszę się zgodzić! Błagam!

Czy trzeba nadmieniać, że uległem? Chyba nie!

Panna Verinder przysunęła fotel do stóp kanapy. W niemej ekstazie patrzała na młodzieńca, aż wreszcie łzy zabłysły w jej oczach. Otarła je i powiedziała, że przyniesie swoją robótkę. Przyniosła, ale nie zrobiła ani jednego ściegu. Robota leżała na jej kolanach, ale dziewczyna nie mogła oderwać od ukochanego oczu na chwilę dość długą, aby nawlec igłę. Pomyślałem o własnej młodości. Pomyślałem o łagodnych oczach, które niegdyś spoglądały z miłością na mnie. Z ciężkim sercem zwróciłem się do swego dziennika, aby w nim szukać pociechy, i począłem notować to, co tu napisałem.

I tak czuwaliśmy razem w ciszy — jedno z nas pochłonięte pisaniem, drugie miłością.

Pan Franklin trwał w uśpieniu. Świt nowego dnia zabłysnął już w pokoju, a on wciąż się jeszcze nie poruszył.

Okolo szóstej rano poczułem, że atak bólów się zbliża. Musiałem zostawić pannę Verinder na chwilę samą ze śpiącym. Powiedziałem, że idę tylko na górę po drugą poduszkę dla niego. Atak tym razem nie trwał długo. Po chwili mogłem już się jej znów pokazać.

Gdy wróciłem, zastałem ją przy wezgielciu. Dotykała właśnie ustami czoła ukochanego. Potrząsnąłem głową z całą surowością, na jaką mogłem się

zdobyć, i wskazałem jej fotel. Odpowiedziała mi wesołym uśmiechem i uroczym rumieńcem. — Na moim miejscu zrobiłby pan to samo! — szepnęła.

Jest już ósma rano. Pan Blake zaczyna się poruszać. Panna Verinder klęczy przy kanapie. Wybrała takie miejsce, że gdy pan Blake otworzy oczy, spojrzenie jego musi paść na nią. Czy mam zostawić ich samych? Tak!

Jedenasta rano. — Panna Verinder i pan Blake, pojednani, wyjechali wraz z resztą towarzystwa pociągiem o dziesiątej. Mój krótki sen o szczęściu już się prześnił. Ocknąłem się znów do rzeczywistości — do mojej samotniczej, pozbawionej przyjaciół egzystencji.

Wzruszenie nie pozwala mi przytoczyć tu życzliwych słów, jakie usłyszałem, zwłaszcza od panny Verinder i od pana Blake'a. Słowa te będą brzmiały mi w uszach podczas samotnych godzin i pomogą przetrwać jakoś tę resztkę życia, która mi jeszcze pozostała. Pan Blake ma napisać mi o wszystkim, co się zdarzy w Londynie. Panna Verinder ma powrócić jesienią do Yorkshire (zapewne na ślub), a ja mam wziąć wtedy urlop i być gościem w jej domu. Boże, jakie to było cudowne, kiedy z oczu jej wyzierała ku mnie wdzięczność pełna uszczęśliwienia, a ciepły uścisk dłoni mówił mi: „To twoje dzieło!”

Moi biedni pacjenci czekają na mnie. Wracam dziś do dawnego trybu życia! Wracam dziś do okropnej konieczności wyboru między opium a cierpieniem!

Niechaj Bogu będą dzięki za Jego miłosierdzie! Widziałem odrobinę słońca — przeżyłem kilka szczęśliwych dni,

RELACJA PIĄTA

Dalszy ciąg relacji Franklina Blake'a

ROZDZIAŁ I

Potrzeba jeszcze kilku tylko słów, aby uzupełnić relację zawartą w dzienniku Ezry Jenningsa.

O sobie mogę powiedzieć tylko tyle, że obudziłem się rankiem dwudziestego szóstego czerwca najzupełniej nieświadom wszystkiego, co mówiłem i robiłem pozostając pod wpływem opium — od chwili, gdy narkotyk zaczął na mnie działać, aż do chwili, kiedy ocknąłem się na kanapie w salonie Racheli.

Nie będę tu zdawał szczegółowo sprawy z tego, co było po moim obudzeniu. Poprzestając jedynie na wynikach, muszę stwierdzić, że Racheli i ja porozumieliśmy się całkowicie i bez reszty, zanim jeszcze którekolwiek z nas wypowiedziało choć słowo wyjaśnienia. Ani ja, ani Racheli nie będziemy też tłumaczyć, czemu pojednanie było tak błyskawiczne. Szanowna Pani i Szanowny Panie! Zechciejcie przypomnieć sobie owe czasy, kiedy łączyło was gorące uczucie, a domyślicie się sami, co zaszło po tym, kiedy Ezra Jennings zamknął za sobą drzwi pokoju.

Mogę wszakże bez oporów wewnętrznych dodać, że gdyby nie przytomność umysłu Racheli, pani Merridew byłyby nas niezawodnie przyłapała. Racheli jednak usłyszała szelest sukien starej damy zbliżającej się korytarzem i natychmiast wybiegła na jej spotkanie. Usłyszałem głos pani Merridew: „Co się stało?” i odpowiedź Racheli: „Wybuch!” Wobec powyższego pani Merridew pozwoliła się niezwłocznie ująć za ramię i wyprowadzić do ogrodu, poza zasięg mającego nastąpić wstrząsu. Po powrocie do domu spotkała mnie w hallu i wyznała mi, że imponuje jej wielki postęp nauki, jaki dokonał się od czasu, kiedy była w szkole.

— Wybuchy, panie Blake, są znacznie łagodniejsze niż dawniej. Zapewniam pana, ledwie słyszałam z ogrodu wybuch pana Jenningsa. A teraz, po powrocie do domu, nie czuję żadnego przykrego zapachu! Muszę doprawdy przeprosić pańskiego przyjaciela! Należy mu oddać sprawiedliwość, że załatwił wszystko znakomicie!

A więc podbiwszy uprzednio serca Betteredge'a i pana Bruffa, Ezra Jennings podbił w końcu nawet serce pani Merridew. Jak się okazuje, na świecie mimo wszystko jest wiele liberalizmu, trzeba go tylko umieć wydobyć!

Przy śniadaniu pan Bruff wyłuszczył powody, dla których pragnie, abym towarzyszył mu do Londynu. Fakt, że ludzie pana Bruffa obserwują bank oraz mogące stąd wyniknąć rewelacje, niezmiernie zainteresowała Rachelę, postanowiła więc od razu, że jeśli tylko pani Merridew na to się zgodzi, pojedzie razem z nami do Londynu, aby mieć stale najświeższe informację o naszych posunięciach.

Pani Merridew po tak łagodnym przebiegu eksplozji była uosobieniem wyrozumiałości, poinformowaliśmy tedy Betteredge'a, że wszyscy czworo wyjeżdżamy porannym pociągiem. Byłem pewien, że Betteredge zechce nam towarzyszyć, ale mądra Rachelę dostarczyła wiernemu, staremu przyjacielowi zajęcia, które było dla niego pasjonujące. Zleciła mu mianowicie całkowite odnowienie i umeblowanie domu, zbyt więc był pochłonięty obowiązkami domowymi, aby odczuwać gorączkę detektywistyczną w takim stopniu, w jakim odczuwałby ją w innych okolicznościach.

Żałowaliśmy tylko, że konieczność zmusza nas do tak szybkiego rozstania z Ezrą Jenningsem. Nie sposób było namówić go, aby jechał z nami. Obiecałem mu tylko, że będę do niego pisał, Rachelę zaś nalegała, aby po jej powrocie do Yorkshire spędził dłuższy czas w jej domu. Wszystko przemawiało za tym, że zobaczymy się za parę miesięcy, a jednak jakiś nieokreślony smutek ścisnął nam serca, kiedy pociąg ruszył i nasz najlepszy i najdroższy przyjaciel pozostał sam na peronie.

Gdyśmy przybyli do Londynu, na dworcu do pana Bruffa podszedł mały chłopiec ubrany w spodnie i kurtkę z czarnego, mocno wyświeconego sukna. Chłopiec ten odznaczał się niezwykle wylupiastymi oczami. Były one tak wypukłe i obracały się tak szybko, że budziło to obawę, czy nie wypadną za chwilę z oczodołów. Pan Bruff wysłuchał chłopca, a potem zapytał panie, czy darują nam, że nie będziemy im towarzyszyli na Portland Place. Zdążyłem tylko przyrzec Racheli, że wrócę i opowiem jej wszystko, co się zdarzyło — gdy pan Bruff chwycił mnie za ramię i z najwyższym pośpiechem pociągnął do dorożki. Chłopiec o źle umocowanych oczach usiadł na koźle przy dorożkarzu, któremu pan Bruff kazał jechać na Lombard Street.

— Jakież nowiny z banku? — spytałem, kiedyśmy ruszyli.

— Nowinyopanu Lukerze — odparł pan Bruff. — Przed godziną wyjechał dorożką ze swego domu w Lambeth. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn, w których moi ludzie rozpoznali policjantów w cywilnym przebraniu. Jeżeli przyczyną tej ostrożności pana Lukera jest lęk przed Hindusami, sprawa jest jasna. Jedzie do banku, żeby odebrać diament.

— A my jedziemy do banku, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie?

— Tak, albo dowiedzieć się, co z tego wynikło, jeżeli jest już po wszystkim. Czyś zwrócił uwagę na mojego chłopca — tego, co siedzi na koźle?

— Zwróciłem uwagę na jego oczy. Pan Bruff roześmiał się.

— W kancelarii nazywają biedaczną „Agrest” — rzekł. — Jest u mnie na posyłki, ale chciałbym, żeby moi dependenci, którzy dali mu to przezwisko, byli równie bystrzy i sumienni jak on. Agrest jest jednym z najsprytniejszych chłopców w Londynie, panie Blake!

Była za dwadzieścia piątą, kiedy zajechaliśmy przed bank przy Lombard Street. Agrest otworzył drzwiczki powozu i spojrzął z niemą prośbą na swego pana.

— Chcesz także wejść? — spytał dobrotliwie pan Bruff. — No to chodź i trzymaj się mnie aż do dalszych rozkazów. Jest szybki jak błyskawica — szepnął mi pan Bruff. — Wystarczą mu dwa słowa, kiedy innemu trzeba byłoby dwudziestu.

Weszliśmy do banku. Przed długim kontuarem, za którym siedzieli kasjerzy, pełno było ludzi — czekali na swoją kolej, aby wpłacić lub podjąć pieniądze, zanim bank o piątej zamknie.

Na widok pana Bruffa dwóch mężczyzn wyłoniło się z tłumu i zbliżyło do adwokata.

— Czyście go widzieli? — spytał prawnik.

— Przed pół godziną przeszedł tędy do wewnętrznego pokoju.

— Czy jeszcze nie wyszedł?

— Nie, proszę pana.

Pan Bruff zwrócił się do mnie.

— Poczekajmy — rzekł.

Rozejrzałem się po sali szukając trzech Hindusów. Ale nie było ich nigdzie ani śladu. Jedynym osobnikiem o wyraźnie ciemnej cerze był wysoki mężczyzna w okrągłym kapeluszu. Mężczyzna ten wyglądał na marynarza. Czyżby to był jeden z Hindusów w przebraniu? Niepodobna! Ciemny mężczyzna był wyższy od któregokolwiek z trzech Hindusów i twarz jego, której dół pokrywała gęsta, czarna broda, była dwa razy szersza od twarzy któregokolwiek z nich.

— Muszą tu gdzieś mieć swojego szpiega — rzeki pan Bruff patrząc również na ciemnoskórego marynarza. — Może to właśnie ten.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, jego chochlik przyboczny o agrestowych oczach pociągnął go ostrożnie za poję. Pan Bruff spojrzął w kierunku wskazanym przez chłopca.

— Cicho! — szepnął. — Idzie pan Luker!

Lichwiarz wyszedł z wewnętrznej części banku, za nim kroczyli dwaj policjanci w cywilnych ubraniach.

— Nie spuszczać go z oka — szepnął pan Bruff — Jeżeli ma oddać komuś diament, zrobi to na pewno tutaj.

Nie dostrzegając nas pan Luker szedł wolno ku drzwiom — przechodził kolejno przez miejsca, w których tłum był najgęstszy lub najrzadszy. Widziałem wyraźnie ruch jego ręki, gdy mijał niskiego, grubego, solidnie wyglądającego mężczyznę w szarym ubraniu. Mężczyzna drgnął jakby

zaskoczony i obejrzał się za panem Lukerem. Pan Luker dalej posuwał się wolno przez tłum. Przy drzwiach strażnicy uplasowali się po obu jego bokach. Za nimi wyszedł jeden z ludzi pana Bruffa i cała czwórka znikła mi z oczu.

Spojrzałem na adwokata, a potem wymownie przeniosłem spojrzenie na mężczyznę w szarym ubraniu.

— Tak! — szepnął pan Bruff. — Ja też to widziałem!

Odwrócił się szukając wzrokiem swego drugiego agenta. Nie było go nigdzie widać. Obejrzał się za swym chochlikiem przybocznym. Agrest zniknął bez śladu.

— Co to wszystko u diabła ma znaczyć! — zawołał gniewnie pan Bruff. — Opuścili nas obaj w momencie, kiedy są nam najbardziej potrzebni!

Przy kontuarze wypadła właśnie kolej na mężczyznę w szarym ubraniu. Złożył czek, dostał pokwitowanie i skierował się ku wyjściu.

— Co tu robić? — spytał pan Bruff. — Nie możemy poniżyć się do tego, żeby iść za nim.

— Ja mogę! — odparłem. — Za dziesięć tysięcy funtów nie straciłbym tego człowieka z oczu!

— W takim razie — odparł pan Bruff — ja za dwakroć większą sumę nie straciłbym z oczu ciebie. Ładne zajęcie dla człowieka na moim stanowisku! — mruczał pod wąsem, kiedyśmy wyszli za nieznanym. — Na miłość boską, nie mów tylko nikomu! Gdyby się to rozeszło, byłbym człowiekiem skończonym.

Mężczyzna w szarym ubraniu wszedł do omnibusu jadącego w kierunku zachodnim. Wsiadliśmy za nim. Pan Bruff, jak się okazało, miał w sobie resztki młodzieńczej wstydlivosti. Stwierdzam to z całą powagą — gdy bowiem wsiadliśmy do omnibusu, adwokat zarumienił się!

Mężczyzna w szarym ubraniu zatrzymał omnibus i wysiadł przy Oxford Street. Poszliśmy znów za jego przykładem. Wszedł do apteki.

Pan Bruff drgnął zaskoczony.

— Apteka, w której stale kupuję! — zawołał. — Obawiam się, żeśmy się pomylili.

Weszliśmy do apteki. Pan Bruff i właściciel zamienili kilka słów na osobności. Adwokat wrócił do mnie z miną mocno zawiedzioną.

— Jedyna pociecha, że to dobrze o nas świadczy! — powiedział biorąc mnie pod ramię i wyprowadzając z apteki.

— Co dobrze o nas świadczy? — spytałem.

— Mój drogi! Ty i ja jesteśmy najgorszymi amatorami-detektywami, jacy kiedykolwiek próbowali swych sił w tej dziedzinie. Mężczyzna w szarym ubraniu od trzydziestu lat pracuje w tej aptece. Posłano go do banku, żeby wpłacił pieniądze na rachunek swego patrona — i tyle wie o Kamieniu Księżycowym co nowo narodzone dziecko.

Zapytałem, co teraz mamy robić.

— Pojedziemy do mojej kancelarii — rzekł pan Bruff. — Agrest i mój drugi człowiek najwidoczniej śledzą kogoś innego. Miejmy nadzieję, że przynajmniej oni nie zasypiali gruszek w popiele!

Kiedyśmy przybyli na Gray's Inn Square, drugi pracownik pana Bruffa czekał na nas już od przeszło kwadransa.

— No! — zawołał pan Bruff. — Masz jakieś wiadomości?

— Muszę się z przykrością przyznać, sir — odrzekł pracownik — że popełniłem omyłkę. Mógłbym przysiąc, że widziałem, jak pan Luker podał coś starszemu dżentelmenowi w jasnym palcie. Ale jak się okazało, sir, starszy dżentelmen jest jednym z najsolidniejszych kupców żelaznych w Eastcheap.

— Gdzie jest Agrest? — spytał z rezygnacją pan Bruff. Pracownik spojrział na niego ze zdumieniem.

— Nie wiem, sir. Nie widziałem go od chwili wyjścia z banku. Pan Bruff dał pracownikowi znak, że może odejść.

— Jedno z dwojga — rzekł do mnie. — Albo Agrest uciekł, albo poluje na własną rękę. Co ty na to, żebyśmy zjedli tu obiad? Może chłopiec wróci za godzinkę lub dwie. Mam w piwnicy niezłe wino i możemy kazać sobie przynieść z restauracji dwa befsztyki.

Zjedliśmy obiad w kancelarii pana Bruffa. Zanim jeszcze sprzątnięto ze stołu, zameldowano, że „pewna osoba” pragnie widzieć się z adwokatem. Czyżby to był Agrest? Nie, był to jedynie ów pracownik, który wyszedł z banku za panem Lukerem.

Raport w tym wypadku również nie przyniósł nic interesującego. Pan Luker wrócił do domu i tam odprawił swą straż przyboczną. Więcej już nie wychodził. O zmroku zapuszczono żaluzje i zaryglowano drzwi. Ulica w pobliżu domu i zaułek na tyłach znajdował się pod nieustanną i bacznią obserwacją. Hindusów nie zauważono. Nikt w ogóle nie wałęsał się wokół domu. Złożywszy to sprawozdanie, pracownik zapytał, czy będą jakieś dalsze rozkazy. Pan Bruff odprawił go na noc.

— Czy sądzi pan, że pan Luker zabrał Kamień Księżycowy do domu? — spytałem.

— Jestem pewien, że nie — odparł pan Bruff. — Nie zwolniłby nigdy policjantów, gdyby się zdecydował na trzymanie diamentu w domu.

Czekaliśmy na chłopca jeszcze półgodziny, ale bezskutecznie. Czas już był najwyższy, żeby pan Bruff wracał do Hampstead, a ja do Racheli na Portland Place. Zostawiłem u portiera swój bilet wizytowy, na którym napisałem, że będę u siebie o pół do jedenastej wieczór. Portier miał wręczyć bilet chłopcu w razie jego powrotu.

Niektórzy ludzie mają dar punktualności, inni zaś są tego daru pozbawieni. Ja należę do tej drugiej kategorii.—Dodajmy jeszcze, że spędziłem wieczór przy Portland Place siedząc z Rachelą na jednej kozetce w pokoju długości czterdziestu stóp, przy czym pani Merridew siedziała na przeciwległym jego końcu. Czy się ktoś zdziwi, że wróciłem do domu o pół do pierwszej zamiast o pół do jedenastej? Osoba taka musiałaby chyba nie mieć wcale serca i nie chciałbym nigdy zetknąć się z nią osobiście!

Służący otwierając drzwi wręczył mi karteczkę.

Na karteczce widniały następujące słowa wypisane pięknym kaligraficznym pismem:
„Przepraszam, sir, ale jestem już bardzo śpiący. Przyjdę jutro rano między dziewiątą a dziesiątą”.

Z przeprowadzonych indagacji wynikało, że był u mnie jakiś chłopiec o bardzo dziwnych oczach. Przedstawił on mój bilet, czekał przez godzinę, zaczął kiwać nosem, potem obudził się, napisał do mnie powyższą kartkę i poszedł do domu poinformowawszy uprzednio służącego, że „jak się nie wyśpi w nocy, jest całkiem do niczego”.

O dziewiątej rano czekałem już na mojego gościa. O pół do dziesiątej posłyszałem kroki za drzwiami.

— Wejdz, Agrest! — zawołałem.

— Dziękuję za zaproszenie, sir — odparł poważny, melancholijny głos. Drzwi się otworzyły. Zerwałem się na nogi — przede mną stał sierżant Cuff!

— Postanowiłem przed napisaniem do Yorkshire wstąpić tutaj i sprawdzić, czy nie ma pana w mieście — rzekł sierżant.

Był równie chudy i posepny jak dawniej. Jak dawniej też patrzył na rozmówcę tak, „jak gdyby wiedział o nim różne rzeczy, których ten wcale się sam nie domyśla” (jak to trafnie określił Betteredge). Ale jeśli ubiór może zmienić człowieka, sierżant Cuff zmieniony był nie do poznania. Miał na sobie biały kapelusz z szerokim rondem, lekką kurtkę myśliwską, białe spodnie i jasnobrązowe getry. W ręce trzymał grubą, dębową laskę. Sądziłby ktoś, że głównym i jedynym celem jego życia jest wyglądać tak, jak gdyby od urodzenia mieszkał na wsi. Kiedy pogratulowałem mu tej metamorfozy, nie raczył potraktować tego żartobliwie. Z całą powagą począł się uskarżać na hałas i przykre odory Londynu. Nie jestem wcale pewien, czy nie mówił z lekkim wiejskim akcentem, przysięgam! Zaproponowałem mu wspólne spożycie śniadania. Nie zepsuty mieszkaniac wsi zgorszył się niewymownie. Cóż znowu! Zwykł śniadać o pół do siódmej rano, a kładzie się spać z kurami!

— Wróciłem z Irlandii dopiero wczoraj wieczorem — rzekł sierżant przystępując do właściwego celu swej wizyty. — Przed pójściem spać przeczytałem pański list, w którym opisywał mi pan wszystko, co zdarzyło się od czasu, gdy dochodzenie w sprawie diamentu zostało w zeszłym roku przerwane. Ze swej strony mogę powiedzieć tylko jedno: pogląd mój na całą historię był zupełnie mylny. W jaki sposób ktokolwiek z żyjących będąc w mojej ówczesnej sytuacji miał zobaczyć rzeczy we właściwym świetle, tego dotychczas nie wiem. Nie zmienia to jednak faktu, że pokpiłem sprawę. Nie była to zresztą pierwsza gafa w mojej karierze zawodowej, panie Blake! Tylko w książkach detektywi policji śledczej bywają nieomylni.

— Przybył pan w sam czas, aby uratować swoją opinię — odparłem.

— Za pozwoleniem pańskim, panie Blake — podjął znów sierżant — teraz, kiedy wycofałem się ze służby, nie dbam już ani trochę o swoją opinię. Skończyłem z nią chwałą Bogu! Jestem tutaj, sir, przez wdzięczną pamięć o szlachetności i hojności nieboszczki lady Verinder. Z tego jedynie i z żadnego innego względu gotów jestem powrócić do dawnego zajęcia,

jeśli pan sobie tego życzy *i* jeśli obdarza mnie pan dostatecznym zaufaniem. Nie przyjmę też od pana ani farthinga. Rzecz będzie ściśle honorowa. Teraz proszę mi powiedzieć, panie Blake, co nowego zaszło w sprawie od czasu, kiedy pan do mnie pisał.

Opowiedziałem mu o eksperymencie z opium i o tym, co zdarzyło się później w banku przy Lombard Street. Eksperyment wywarł na sierżancie wielkie wrażenie — było to dla niego coś najzupełniej nowego. Zainteresował się też bardzo teorią Ezry Jenningsa na temat tego, co zrobiłem z diamentem po opuszczeniu pokoju Racheli w noc po jej urodzinach.

— Nie zgadzam się z panem Jenningsem, że schował pan Kamień Księżycowy — rzekł sierżant Cuff. — Przyznaję jednak, że musiał pan bez wątpienia zanieść go do swego pokoju.

— I cóż się stało potem? — spytałem.

— Czy pan sam nie domyśla się wcale, co się stało, sir?

— Nie.

— A pan Bruff?

— Nie ma o tym pojęcia, tak samo jak i ja.

Sierżant Cuff wstał i podszedł do mojego biurka. Wrócił z zapieczętowaną kopertą. Zaadresowana była do mnie i nosiła napis: „Osobiste”, w rogu zaś widniał podpis sierżanta.

— Podejrzałem w zeszłym roku niewłaściwą osobę — rzekł — być może teraz również podejrzewam osobę niewinną. Niech więc pan zaczeka z otwarciem koperty, dopóki nie dojdzie pan prawdy. Wówczas porówna pan nazwisko osoby winnej z nazwiskiem, które napisałem na kartce znajdującej się w tej kopercie.

Schowałem kopertę do kieszeni, po czym zapytałem sierżanta, co sądzi o naszej akcji w związku z bankiem.

— Bardzo dobrze pomyślane, sir — rzeki — i bardzo trafnie. Ale jest jeszcze jedna osoba, którą poza panem Lukerem należało śledzić.

— Osoba wymieniona w liście, który mi pan przed chwilą Wręczył?

— Tak, panie Blake, osoba wymieniona w liście. Teraz nic się już na to nie poradzi. Ale kiedy nadejdzie czas, zaproponuję coś panu Bruffowi i panu, sir. Na razie jednak poczekajmy. Może ten chłopiec ma nam do powiedzenia coś godnego uwagi.

Była już blisko dziesiąta, a chłopiec wciąż jeszcze nie nadchodził. Sierżant Cuff zaczął mówić o innych sprawach. Pyta! o swego przyjaciela Bettered-ge'a i o swego nieprzyjaciela, ogrodnika. Za minutę przeszedłby bez wątpienia do tematu swoich umiłowanych róż, gdyby służący nie przerwał nam, meldując, że chłopiec jest już na dole.

Gdy Agresta wprowadzono do pokoju, zatrzymał się na progu i spojrzał nieufnie na nieznanego znajdującego się w moim towarzystwie. Przywołałem do siebie chłopca.

— Możesz mówić swobodnie — powiedziałem. — Ten oto dżentelmen przyjechał, aby mi pomóc, i wie o wszystkim. Panie sierżancie Cuff — rzekłem — to właśnie jest chłopiec z kancelarii pana Bruffa,

W naszej współczesnej cywilizacji rozgłos (bez względu na to, jakie ma źródło) jest dźwignią, która może poruszyć wszystko. Sława wielkiego Cuffa dotarła nawet do uszu małego Agresta. Gdy wymieniłem słynne nazwisko, dziwne oczy chłopca wywróciły się ukazując białka, aż przeląknęłam się nie na żarty, iż za chwilę wypadną na dywan.

— Chodź tu, mój chłopcze — rzekł sierżant — i opowiedz nam wszystko, co masz do powiedzenia.

Uwaga, jaką obdarzył go wielki człowiek, bohater wielu historii opowiadanych w każdej kancelarii adwokackiej Londynu, wręcz zafascynowała chłopca. Stanął przed sierżantem Cuffem i złożył ręce za plecami niby neofita, który ma złożyć egzamin z katechizmu.

— Jak się nazywasz? — zadał sierżant pierwsze pytanie katechizmu.

— Oktawiusz Guy — odrzekł chłopiec. — W kancelarii nazywają mnie Agrest ze względu na moje oczy.

— Oktawiuszu Guy alias Agreście — ciągnął dalej z największą powagą sierżant — zniknąłeś wczoraj z banku. Gdzieś się podziewał?

— Za pozwoleniem szanownego pana, śledziłem kogoś.

— Kogo?

— Wysokiego mężczyznę, sir, z wielką czarną brodą, ubranego jak marynarz.

— Pamiętam tego człowieka! — wtrąciłem, — Pan Bruff i ja sądziliśmy, że to szpieg nasłany przez Hindusów.

Przypuszczenia pana Bruffa i moje nie wywarły zbyt wielkiego wrażenia na sierżancie Cuffie. W dalszym ciągu indagował Agresta.

— Czemuż poszedłeś za tym marynarzem? — spytał.

— Za pozwoleniem szanownego pana, pan Bruff pragnął wiedzieć, czy pan Luker wychodząc z banku coś komuś oddał. Otóż widziałem, jak pan Luker podał coś brodatemu marynarzowi.

— Czemu nie powiedziałeś o tym panu Bruffowi?

— Nie zdążyłem nic nikomu powiedzieć, bo marynarz wyszedł z wielkim pośpiechem.

— A tyś wybiegł za nim, co?

— Tak, sir.

— Chłopcze — rzekł sierżant głaszcząc go po głowie — ty masz coś w tej swojej łepetynie, i to z pewnością nie trociny. Jak dotychczas jestem z ciebie bardzo kontent.

Chłopiec zarumienił się z radości. Sierżant Cuff ciągnął dalej:

— A cóż zrobił marynarz po wyjściu na ulicę?

— Zawołał dorożkę, sir.

— A coś ty zrobił?

— Pobiegnęłam za nią.

Zanim sierżant zdążył zadać następne pytanie, zaanonsowano nowego przybysza. Był to główny urzędnik z kancelarii pana Bruffa.

Nie chcąc przeszkadzać sierżantowi w wypytywaniu chłopca, przyjąłem urzędnika w przyległym pokoju. Przyniósł mi złe nowiny o swym patronie.

Podniecenie ostatnich dwóch dni nadwreżyło zdrowie pana Bruffa. Obudził go tego ranka atak podagry, który przykuł go do łóżka. Stary adwokat martwił się bardzo, że w tym krytycznym stadium naszych spraw musi pozostawić mnie bez rady i pomocy osoby doświadczonej, nakazał przeto swemu pomocnikowi, aby stawił się do mojej dyspozycji i w miarę sił i możliwości zastępował chorego patrona.

Napisałem od ręki do pana Bruffa, aby go uspokoić. Zakomunikowałem

o przybyciu sierżanta Cuffa, nadmienilem, że sierżant przesłuchuje właśnie w tej chwili Agresta i przyrzekłem, że będę informował starego prawnika osobiście albo też listownie o ewentualnych dalszych wydarzeniach. Wręczywszy list urzędnikowi i wyprawiwszy go z powrotem do Hampstead wróciłem do pierwszego pokoju właśnie w chwili, gdy sierżant Cuff stał przy kominku i sięgał po dzwonek.

— Przepraszam pana, panie Blake—rzekł sierżant — *aięchciaiem* właśnie przez służącego prosić pana o rozmowę. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że ten chłopiec, godny zresztą najwyższej pochwały — dodał sierżant głaszcząc Agresta po głowie — śledził właściwego człowieka. Niestety, przez to, iż nie było pana wczoraj o pół do dziesiątej wieczór w domu, straciło się sporo cennego czasu. Teraz więc nie pozostaje nic innego, jak niezwłocznie posiąć po dorożkę.

Po upływie pięciu minut sierżant Cuff, ja i Agrest (który usiadł przy stangrecie, żeby wskazywać mu drogę) jechaliśmy już w kierunku City.

— Ten chłopiec — rzeki sierżant wskazując przez okno powozu — zajdzie z czasem bardzo daleko w moim dawnym zawodzie. Jest to najbystrze/szy

i najbardziej zmyślny chłopaczek, jakiego spotkałem w ciągu wielu lat. Powtórzę panu, co mi opowiedział, kiedy pan wyszedł z pokoju. Był pan jeszcze przy tym, kiedy wspomniał, że pobiegł za dorożką trzymając się jej z tyłu?

— Tak.

— Otóż dorożka skręciła z Lombard Street na przystań Tower. Czarnobrody marynarz wysiadł i podszedł do stewarda rotterdamskiego parowca, który miał nazajutrz odpłynąć. Marynarz spytał, czy może od razu wejść na pokład i spędzić noc w kabinie. Steward odpowiedział, że nie. Kabiny, koje i pościel mają być wieczorem dokładnie przewietrzone i przed nadejściem ranka pasażerów nie wpuszcza się na pokład. Marynarz wykręcił się na pięcie i opuścił przystań. Kiedy znów znalazł się na ulicy, chłopiec zauważył idącego po drugiej stronie mężczyznę, który ubrany był jak solidny mechanik. Mężczyzna ten miał najwidoczniej marynarza na oku. Marynarz zatrzymał się przed garkuchnią i wszedł do środka. Chłopiec — nie mogąc się na razie zdecydować, co robić — pozostał na zewnątrz wśród innych chłopców patrzących chciwie na smakołyki wystawione w oknie garkuchni. Zauważył, że mechanik czeka podobnie jak i on, lecz wciąż po przeciwległej stronie ulicy. Po minucie zajechała wolno kryta dorożka i zatrzymała

się przed mechanikiem. Chłopiec dostrzegł wyraźnie jednego tylko osobnika, który wychylił się z okna, aby zamienić kilka słów z mechanikiem.

Opisał tego osobnika, panie Blake, jako człowieka o twarzy ciemnej jak u Hindusa.

Stało się więc jasne, że pan Bruff i ja popełniliśmy jeszcze jedną omyłkę. Czarnobrody marynarz najwyraźniej nie był szpiegiem na usługach Hindusów. Czyżby był właśnie tym, kto odebrał diament?

— Po chwili — ciągnął dalej sierżant — dorożka ruszyła wolno ulicą, mechanik zaś przeszedł na drugą stronę i wstąpił do garkuchni. Chłopiec czekał na zewnątrz, aż wreszcie głodny i zmęczony wszedł również do garkuchni. Miał przy sobie szylinga i spożył, jak powiada, królewski posiłek złożony z czarnego puddingu, pasztecika z węgorzem i butelki piwa imbirowego. Czegóż nie stawi żołądek chłopca w tym wieku? Substancji takiej jeszcze nie wykryto.

— Cóż on widział w garkuchni? — spytałem.

— Otóż ujrzał marynarza czytającego gazetę przy jednym stoliku, a mechanika czytającego gazetę przy drugim. Zapadł już zmierzch, gdy marynarz wstał i wyszedł z jadłodajni. Znalazszy się na ulicy rozejrzał się podejrzliwie dokoła. Chłopiec — jak to chłopiec — wymknął się nie zauważony przez nikogo. Mechanik jeszcze nie wyszedł. Marynarz szedł rozglądając się, najwidoczniej nie wiedział dokładnie, dokąd się udać. Mechanik znów ukazał się na przeciwległej stronie ulicy. Marynarz doszedł wreszcie do Shore Lane wiodącej na Lower Thames Street. Tam zatrzymał się przed gospodą „Kolo Fortuny” i obejrzawszy ją dokładnie z zewnątrz wszedł do środka. Agrest podążył za nim. W gospodzie stało przy ladzie dużo ludzi, na ogół biorąc porządnie ubranych. „Kolo Fortuny” to bardzo przyzwoita gospoda, panie Blake, słynie z dobrego porteru i pasztecików z wieprzowiną.

Dygresje sierżanta drażniły mnie. Zauważył to i w dalszym ciągu trzymał się już ściślej granic relacji Agresta.

— Marynarz — podjął — spytał, czy może dostać nocleg. „Nie, wszystkie miejsca zajęte” — odpowiedział oberżysta. Bufetowa skorygowała go, mówiąc, że numer dziesiąty jest wolny. Wezwano więc służącego, aby zaprowadził marynarza do pokoju numer dziesięć. Na chwilę przedtem Agrest zauważył mechanika wśród mężczyzn stojących przy barze. Zanim nadszedł służący, mechanik się ulotnił. Marynarza zaprowadzono do wyznaczonego pokoju. Agrest nie wiedział, co robić dalej, miał wszakże tyle rozsądku, że czekał, żeby zobaczyć, czy nic się nie zdarzy. Coś się rzeczywiście zdarzyło. Na górnym piętrze rozległy się gniewne glosy, zawołano oberżystę. Ukazał się znów mechanik prowadzony za kołnierz przez oberżystę, i to ku wielkiemu zdumieniu Agresta podług wszelkich oznak pijany w sztok. Oberżysta wyrzucił go za drzwi i zagroził mu policją, jeśli ośmieli się wrócić. Ze sprzeczki, jaka toczyła się między nimi, Agrest zorientował się, że mechanika zastano pod numerem dziesiątym i że twierdził on z pijackim uporem, iż pokój ten wynajął. Agrest tak był zadziwiony tym nagłym upiciem się człowieka przed chwilą jeszcze najzupełniej trzeźwego, że wybiegi za nim na ulicę. Po wyjściu z gospody mechanik zataczał się w sposób wręcz haniebnym, gdy jednak skręcił za róg następnej ulicy,

odzyskał natychmiast równowagę i stał się znów najtrzeźwiejszym członkiem społeczeństwa. Agrest powrócił pod „Kołło Fortuny” wielce stropiony. Czekał przez pewien czas na wypadek, gdyby się coś jeszcze zdarzyło. Nic się jednak nie zdarzyło i marynarz więcej się już nie pokazał, toteż Agrest postanowił wrócić do kancelarii. Ledwie jednak powziął to postanowienie, gdy ktoś się pojawił jak zwykle po przeciwnej stronie ulicy? Ten sam mechanik! Patrzył w okno na górnym piętrze gospody, jedyne, w którym paliło się światło. Światło to widocznie go uspokoiło, bo zaraz się oddalił. Chłopiec udał się na Gray's Inn Square, dostał pański bilet, zgłosił się tutaj i nie zastał pana, Tak więc w chwili obecnej przedstawia się sprawa, panie Blake.

— Co pan o niej sądzi?

— Sądzę, że sprawa jest poważna, sir. Przede wszystkim wnosząc z tego, co widział chłopiec. Hindusi znów przystąpili do działania.

— Tak. A marynarz jest widocznie tym, któremu pan Luker oddał diament. Wydaje się to dziwne, że zarówno pan Bruff, jak ja i pracownik pana Bruffa pomyliliśmy się wszyscy w tym względzie.

— Nic tu nie ma dziwnego, panie Blake. Zważywszy niebezpieczeństwo, na jakie się ten osobnik narażał, wydaje się bardziej niż prawdopodobne, że pan Luker rozmyślnie wprowadził panów w błąd zgodnie z istniejącą między nimi umową.

— Czy rozumie pan, co miało miejsce w gospodzie? — spytałem. — Mężczyzna przebrany za mechanika jest oczywiście na usługach Hindusów. Ale fakt, że nagle zaczął udawać pijanego, dziwi mnie tak samo, jak zdziwił Agresta.

— Domyślam się chyba, co to oznacza, sir — odparł sierżant. — Jeśli się pan zastanowi, zrozumie pan, że mężczyzna musiał otrzymać od Hindusów dość ściśle instrukcje. Sami oni zbyt rzucają się w oczy, aby móc się pokazać w banku lub w gospodzie, musieli więc polegać na swoim wysłanniku. Otóż wysłannik ten słyszy, jak bufetowa wymienia numer pokoju, w którym marynarz ma nocować — jest to wobec tego (jeśli się nie mylimy) pokój, w którym będzie się także przez tę noc znajdował diament. W tych warunkach Hindusi oczywiście zażądają dokładnego opisu pokoju: gdzie jest położony, jak się do niego można dostać i tak dalej. Cóż miał zrobić ów człowiek otrzymawszy takie rozkazy? Właśnie to, co zrobił! Pobiegł na górę, aby obejrzeć pokój, zanim jeszcze marynarz go zajął. Zastano go tam — udał więc pijanego, był to bowiem najprostszy sposób wybrnięcia z kłopotliwej sytuacji. Tak ja odczytuję tę zagadkę. Kiedy wyrzucono go z gospody, udał się zapewne z raportem tam, gdzie czekali na niego rozkazodawcy, którzy bez wątplenia wysłali go z powrotem, aby się upewnił, że marynarz rzeczywiście rozlokował się w gospodzie i zostanie w niej aż do następnego ranka. Co zaszło pod „Kołłem Fortuny” po odejściu chłopca, powinniśmy byli wykryć jeszcze wczoraj wieczorem. Jest teraz godzina jedenasta rano. Nie traćmy nadziei i postarajmy się dowiedzieć wszystkiego, co się da.

Po upływie kwadransa dorożka zatrzymała się przy Shore Lane i Agrest otworzył przed nami drzwiczki.

— Wszystko w porządku? — spytał sierżant.

— Tak jest — odparł chłopiec.

Ale gdyśmy weszli do godpody pod „Kołem Fortuny”, nawet moje niedoświadczone oko dostrzegło od razu, że coś tu jest barczjo nie w porządku.

Jedyną osobą za ladą, przy której podawano trunki, była oszołomiona służąca, najzupełniej nie zorientowana, jak i co ma robić. Kilku gości czekających na swój poranny kieliszek niecierpliwie pukało w ladę monetami. Bufetowa nadeszła z głębi domu podniecona i roztargniona. Na pytanie sierżanta o szefa odpowiedziała ostrym tonem, że szef jest na górze i nie wolno go niepokoić.

— Chodźmy, sir — rzekł do mnie najspokojniej sierżant kierując się na piętro i dając znak chłopcu, by szedł za nami.

Bufetowa zawołała do oberżysty, że jacyś nieznajomi wdzierają się do domu. Na pierwszym piętrze spotkaliśmy niezmiernie zirytowanego oberżystę. Spieszył na dół, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Kto jesteście, u diaska? I czego tu szukacie? — spytał.

— Niech się pan pohamuje — rzekł spokojnie sierżant. — Na początek powiem, kto ja jestem. Jestem sierżant Cuff.

Głośne nazwisko natychmiast wywarło odpowiedni skutek. Zagniewany oberżysta otworzył przed nami drzwi jakiegoś salonu i poprosił sierżanta o przebaczenie.

— Rzecz w tym, że jestem strapiiony i wytracony z równowagi — rzekł. — Zdarzyło się tu dzisiaj coś bardzo przykrego. A w moim fachu niełatwo jest zachować spokój ducha, panie sierżancie.

— Nie wątpię — odparł sierżant. — Jeśli pan pozwoli, przystąpię od razu do sprawy, która nas tu sprowadza. Ten oto dżentelmen i ja pragnęlibyśmy zadać panu kilka pytań w interesującej nas obu materii.

— O co chodzi, sir? — spytał oberżysta.

— Chodzi o opalonego mężczyznę, z wyglądu marynarza, który zatrzymał się tu wczoraj na nocleg.

— Wielki Boże! To właśnie ten, przez którego cały dom wywrócony jest w tej chwili do góry nogami! — zawołał oberżysta. — Czy pan albo ten dżentelmen wiedzą coś o nim?

— Nie możemy nic powiedzieć na pewno, dopóki go nie zobaczymy — odpowiedział sierżant.

— Dopóki go panowie nie zobaczą? - powtórzył oberżysta. — Ależ właśnie w tym rzecz! Od siódmej rano nikt go nie może zobaczyć! Bo właśnie o tej godzinie kazał się obudzić. Budzono go, ale nie odpowiedział. Próbowano znowu o ósmej, a potem znów o dziewiątej. Wszystko na nic! Drzwi wciąż zamknięte i żadnego odgłosu! Wychodziłem dziś rano i wróciłem dopiero przed kwadransem. Sam dobijałem się do drzwi, ale bez żadnego skutku. Posłałem chłopca po cieślę. Jeżeli zaczekają panowie kilka minut, każemy otworzyć drzwi i zobaczymy, co to znaczy.

— Czy ten człowiek był wczoraj wieczorem pijany? — spytał sierżant Cuff.

— Najzupełniej trzeźwy, sir — w przeciwnym razie nie pozwoliłbym mu tutaj nocować.

— Czy zapłacił za nocleg z góry? - Nie.

— Czy mógł w jakiś sposób opuścić pokój nie wychodząc przez drzwi?

— Pokój znajduje się na poddaszu — odparł oberżysta. — Ale w suficie jest kłapa prowadząca na dach, nieco dalej zaś na tej samej ulicy stoi pusty dom będący właśnie w remoncie. Czy sądzi pan, panie sierżancie, że łajdak mógł wydostać się tamtędy nie płacąc za nocleg?

— Marynarz mógłby to zrobić — rzekł sierżant — zwłaszcza wczesnym rankiem, zanim zaczyna się ruch uliczny. Jest chyba przyzwyczajony do wspinania się na maszty, nie powinno mu się więc zakrećić w głowie przy chodzeniu po dachach.

Gdy to mówił, oznajmiono o nadejściu cieśli. Poszliśmy wszyscy na najwyższe piętro. Zauważyłem, że sierżant nawet jak na siebie niezwykle jest poważny. Zdziwiło mnie też, że polecił chłopcu (któremu przecież kazał przedtem iść z nami) czekać na nas w pokoju na dole.

Młotek i dłuto cieśli W jednej chwili pokonały opór drzwi, które jednak od wewnątrz zastawione były jakimś meblami, niby barykadą. Napierając na drzwi odsunęliśmy przeszkodę i dostaliśmy się do pokoju. Oberżysta wszedł pierwszy, sierżant drugi, ja trzeci. Pozostałe osoby postępowały za nami.

Spojrzeliliśmy w kierunku łóżka i wszyscy stanęliśmy jak wryci.

Mężczyzna nie opuścił pokoju. Leżał w ubraniu na łóżku. Twarz przykrywała mu biała poduszka.

— Co to znaczy? — zawołał oberżysta wskazując poduszkę. Sierżant Cuff bez słowa podszedł i zdjął poduszkę.

Smągła twarz mężczyzny miała wyraz spokoju, czarna broda i włosy były lekko, bardzo lekko zwichrzone. Szeroko otwarte oczy, szklane i puste, wpatrywały się w sufit. Oczy te przejęły mnie grozą. Odwróciłem się i podszedłem do otwartego okna. Reszta pozostała obok sierżanta przy łóżku.

— On jest nieprzytomny! — usłyszałem głos oberżysty.

— On nie żyje — odrzekł sierżant. — Niech pan pośle po najbliższego doktora i wezwie policję.

Pchnięto od razu służącego, aby wykonał obydwie te polecenia. Sierżant Cuff wciąż trwał przy łóżku jak urzeczony. Reszta ogarnięta chorobliwą ciekawością czekała, żeby zobaczyć, co sierżant teraz zrobi.

Odwróciłem się znów do okna. W chwilę później poczułem, że ktoś ciągnie mnie delikatnie za poję. Cichy głos szepnął:

— Proszę spojrzeć, sir!

Agrest przywędrował za nami do pokoju. Przewracał nieustannie swymi dziwnymi oczami — nie z przerażenia jednak, lecz z zachwyty. Dokonał na własną rękę nowego odkrycia.

— Proszę spojrzeć, sir — powtórzył i zaprowadził mnie do stołu w kącie pokoju.

Na stole stało małe drewniane pudełeczko, otwarte i puste. Obok pudełka leżała wata, jakiej używają jubilerzy. Po drugiej stronie znajdowała się rozdarta kartka papieru z uszkodzoną częściowo pieczęcią i wypisanym ręcznie tekstem, najzupełniej czytelnym. Tekst brzmiał, jak następuje:

„Zdeponowane u panów Bushe, Lysaught i Bushe przez pana Septimusa Lukera z Middlesex Place, Lambeth, drewniane pudełeczko, zapieczętowane w niniejszej kopercie, a zawierające przedmiot wielkiej wartości. Pudełko może być wydane przez pp. Bushe i Ska jedynie panu Lukerowi do rąk własnych”.

Słowa te rozproszyły wszelkie wątpliwości co do jednego przynajmniej punktu. Marynarz wychodząc poprzedniego dnia z banku miał przy sobie Kamień Księżycowy.

Poczułem, że ktoś znów ciągnie mnie za poję. Agrest nie chciał jeszcze pozostawić mnie w spokoju.

— Rabunek! — szepnął w uniesieniu radości wskazując puste pudełko.

— Kazano ci czekać na dole — powiedziałem. — Wynoś się!

— I morderstwo! — dodał Agrest wskazując z większą jeszcze uciechą człowieka na łóżku.

Zachwyt, z jakim chłopiec napawał się tą potworną sceną, miał w sobie coś tak odrażającego, że ująłem go za ramiona i wyprowadziłem z pokoju.

Gdy wychodziłem, usłyszałem głos sierżanta, który pytał właśnie o mnie. Wróciłem więc, a wówczas zmusił mnie, żebym podszedł z nim do łóżka.

— Panie Blake! — powiedział. — Niech pan spojrzy na twarz tego człowieka. Jest ona ucharakteryzowana, a oto dowód!

Wskazał palcem cienką białą linię biegnącą przez czoło zmarłego, a oddzielającą ciemną skórę od lekko zwichrzonych włosów.

— Zobaczymy, co jest pod tym — rzeki sierżant chwytając nagle garścią czarne włosy.

Nerwy moje nie mogły znieść tego widoku. Odwróciłem się znów tyłem do łóżka.

Pierwszą osobą, na którą padło moje spojrzenie, był nieposkromiony Agrest. Stał na krześle i z zapartym tchem patrzył ponad głowami starszych na to, co robi sierżant.

— Zrywa mu perukę! — szepnął do mnie, gdyż byłem jedyną osobą w pokoju, która tego nie widziała.

Nastąpiła pauza — a potem z ust widzów otaczających łóżko wyrwał się okrzyk zdumienia.

— Zerwał mu brodę! — zawołał Agrest.

Znów pauza. Sierżant Cuff poprosił o coś. Oberżysta podszedł do umywalni i wrócił z miednicą wody i ręcznikiem. Agrest podskakiwał niecierpliwie na krześle.

— Niech pan tu stanie obok mnie, sir! Na krześle! On mu zmywa szminkę! Sierżant przecisnął się naraz przez otaczających go ludzi i z wyrazem zgrozy podszedł prosto do mnie.

— Niech pan podejdzie do łóżka, sir! — zaczął, ale urwał widząc z bliska

moją twarz. — Nie! — powiedział. — Niech pan najpierw otworzy list, który dałem panu dziś rano. Rozdarłem kopertę.

— Niech pan przeczyta, co wypisałem na kartce. Przeczytałem. Było to imię i nazwisko: Godfrey Ablewhite.

— A teraz — rzekł sierżant — proszę pójść ze mną i spojrzeć na człowieka na łóżku.

Poszedłem z nim i spojrzałem na człowieka leżącego na łóżku. Był to Godfrey Ablewhite!

RELACJA SZÓSTA **spisana przez sierżanta Cuffa**

I

Dorking, Surrey, 30 lipca 1849 roku. — Wielmożny Pan Franklin Blake. Szanowny Panie! Zechce Pan darować mi zwłokę, jaka powstała w sporządzeniu raportu, który obowiązałem się Panu dostarczyć. Pragnąłem, aby raport ten był możliwie wyczerpujący, napotkałem wszakże trudności, których usunięcie wymagało pewnego nakładu cierpliwości i czasu.

Tuszę, iż cel, jaki sobie wytknąłem, został już teraz osiągnięty. Znajdzie Pan na tych kartkach odpowiedź jeśli nie na wszystkie, to w każdym razie na większość pytań dotyczących pana Godfrey'a Ablewhite'a, które to pytania nasunęły się Panu, kiedy ostatni raz miałem zaszczyt się z Nim widzieć.

Opowiem Panu najpierw wszystko, co wiadomo o tym, w jaki sposób kuzyn Pana znalazł śmierć, włączając do opisu przypuszczenia i wnioski, jakie moim zdaniem wolno nam wyciągnąć z faktów.

Postaram się następnie zapoznać Pana z tym, co udało mi się ustalić odnośnie poczynań pana Godfrey'a Ablewhite'a w okresie, gdy obaj Panowie przebywali w domu wiejskim lady Verinder oraz w czasie poprzedzającym ten okres i po nim następującym.

II

Przede wszystkim więc co się tyczy śmierci Pańskiego kuzyna.

Zdaniem moim ustalono ponad wszelką wątpliwość, że zadano mu śmierć (w czasie snu albo też zaraz po obudzeniu) przez uduszenie za pomocą poduszki z jego własnego posłania, że winni tego zabójstwa są trzej Hindusi i że zamierzonym (i osiągniętym) celem zbrodni było zdobycie diamentu zwanego Kamieniem Księżycowym.

Fakty, z których wysnuwam powyższe wnioski, ustalono częściowo pod

czas dokładnych oględzin pokoju w tawernie, częściowo zaś podczas zeznań złożonych przez świadków w trakcie śledztwa szczegółowego.

Po wyważeniu drzwi pokoju ujrzano, że pan Ablewhite leży martwy na łóżku z twarzą przykrytą poduszką. Medyk, który go następnie badał, poinformowany o powyższych okolicznościach, uznał, że wyniki oględzin zwłok zgadzają się z hipotezą zabójstwa przez uduszenie — innymi słowy, zabójstwo popełniła jedna lub kilka osób przyciskając poduszkę do nosa i ust zmarłego tak długo, aż wskutek kongestii płuc nastąpił zgon.

Następnie co się tyczy pobudek zbrodni.

Na stole w pokoju znaleziono otwarte i puste pudzderko oraz zerwany z niego papier opatrzony pieczęciami i napisem. Pan Luker osobiście zidentyfikował pudzderko, pieczęć i napis. Stwierdził, że pudzderko istotnie zawierało diament zwany Kamieniem Księżycowym i przyznał, że wręczył je w stanie zapieczętowanym panu Godfreyowi Ablewhite'owi (występującemu podówczas w przebraniu) dwudziestego szóstego czerwca po południu. Wynika stąd niewątpliwie, że motywem zbrodni była kradzież Kamienia Księżycowego.

Po obejrzeniu pokoju (który mierzy zaledwie siedem stóp wysokości), stwierdzono, że kłapa w suficie prowadząca na dach domu, jest otwarta. Krótka drabinka leżąca zazwyczaj pod łóżkiem stała pod otworem, osoba więc czy też osoby przebywające w pokoju mogły go bez trudu opuścić. W kłapie tuż pod rygłem wykryto czworokątny otwór wycięty w drzewie jakimś niezwykle ostrym narzędziem. W ten sposób każdy mógł z zewnątrz odsunąć rygiel, otworzyć kłapę i zeskoczyć (czy też zostać bezszelestnie spuszczonej przez towarzyszy) do wnętrza pokoju — albowiem, jak już nadmieniliśmy, wysokość jego wynosiła zaledwie siedem stóp. Że owa osoba lub osoby musiały dostać się do pokoju właśnie tą drogą, wydaje się niewątpliwie w związku z faktem znalezienia wspomnianego otworu. Co do sposobu, w jaki osoba ta czy też osoby dostały się na dach tawerny, należy zaznaczyć, że trzeci z kolei dom przy tej samej ulicy znajdował się w remoncie i stał pustkami, że robotnicy zostawili przy nim długą drabinę wiodącą na dach i że po powrocie do pracy w dniu dwudziestym siódmym czerwca stwierdzili, iż deska, którą przywiązali do drabiny, aby nikt jej pod ich nieobecność nie używał, jest odwiązana i leży na ziemi. Co do możliwości tego, aby ktoś nie zauważony wspiął się po drabinie, przeszedł po dachach domów i wrócił tą samą drogą na dół — z zeznań nocnego policjanta wynika, że przechodzi on przez Shore Lane tylko dwa razy na godzinę. Zeznania mieszkańców stwierdzają również, że Shore Lane po północy należy do najspokojniejszych i najbardziej bezлюдnych ulic w Londynie. Mamy więc znów prawo wnosić, że każdy mężczyzna, zachowując zwykłą ostrożność i przytomność umysłu, mógł wejść po drabinie i zejść po niej przez nikogo nie zauważony. Dowiedziono też na podstawie eksperymentu, że skoro już znalazł się na dachu, mógł leżąc wyciąć otwór w kłapie, tym bardziej że przed oczami ewentualnych przechodniów zasłaniał go parapet na szczycie domu.

Wreszcie co do osoby lub osób, które zbrodnię popełniły.

Wiadomo nam, że po pierwsze. Hindusom zależało na zdobyciu diamentu. Po drugie, jest rzeczą co najmniej prawdopodobną, że opisany przez Oktawiusza Guya mężczyzna wyglądający na Hindusa, który z okna dorożki rozmawiał z mężczyzną przebrany za mechanika, był jednym z trzech hinduskich spiskowców. Po trzecie, jest rzeczą pewną, że ten sam mężczyzna, przebrany za mechanika, śledził pana Godfreya Ablewhite'a prężąc całe popołudnie i wieczór dwudziestego szóstego czerwca i że zastano go potem w pokoju hotelowym (zanim zainstalował się tam pan Ablewhite) w okolicznościach, które budzą podejrzenia, iż poddał on ten pokój dokładnym oględzinom. Po czwarte, w pokoju znaleziono strzępek złotej nitki, która zdaniem ekspertów jest wyrobu indyjskiego, w Anglii zaś złote nici tego rodzaju nie są znane. Po piąte, rankiem dwudziestego siódmego czerwca trzech mężczyzn odpowiadających rysopisowi trzech Hindusów widziano na Lower Thames Street, następnie na przystani Tower i wreszcie na parowcu, którym odjechali z Londynu do Rotterdamu.

Oto więc moralne — jeśli nie prawne — dowody, że zabójstwo popełnili Hindusi.

Czy mężczyzna przebrany za mechanika był współnikiem zbrodni, tego stwierdzić nie sposób. Wydaje się wszakże nieprawdopodobne, aby miał popełnić zbrodnię sam. Gdyby działał w pojedynkę, nie zdołałby chyba udusić pana Ablewhite'a — który był od niego wyższy i silniejszy — a w każdym razie wynikłaby walka i byłoby słychać krzyki. Jednakże posługaczka śpiąca w sąsiednim pokoju nie słyszała nic. Oberżysta śpiący w pokoju o piętro niżej nie słyszał nic. Wszystko wskazuje na to, że w zbrodni brało udział więcej osób, a okoliczności — powtarzam — usprawiedliwiają moralnie wniosek, że popełnili ją Hindusi.

Mogę jeszcze tylko dodać, że zgodnie z werdyktem śledztwa szczegółowego miało tu miejsce zabójstwo z premedytacją popełnione przez nie znaną osobę lub osoby. Rodzina pana Ablewhite'a wyznaczyła nagrodę, nie szczędzono też wysiłków w kierunku wykrycia winnych. Mężczyzna przebrany za mechanika znikł bez śladu. Hindusów wysledzono. Do perspektyw ich ujęcia powrócę jeszcze w zakończeniu niniejszego raportu.

Tymczasem ponieważ napisałem już wszystko, co niezbędne, o śmierci pana Godfreya Ablewhite'a, mogę przejść do opisu jego posunięć w owym czasie, gdy spotkał się Pan z nim w domu nieboszczki lady Verinder, jako też bezpośrednio przedtem i potem.

III

Co się tyczy niniejszego przedmiotu, pragnę zaznaczyć na wstępie, że życie pana Godfreya Ablewhite'a miało dwie strony.

Z jednej strony, wystawionej na widok publiczny, widziało się dżentelmena cieszącego się opinią doskonałego mówcy na zebraniach dobroczynnych

i obdarzonego zdolnościami administracyjnymi, które oddawał na usługi rozlicznych stowarzyszeń filantropijnych składających się przeważnie z przedstawicielek pici pięknej. Strona zaś ukryta przed widokiem publicznym ukazywała tego samego dżentelmena w zgoła innym świetle — jako człowieka rozmiłowanego w uciechach cielesnych, z willą podmiejską wynajętą pod przybranym nazwiskiem oraz z damą w tej willi, wobec której to damy również występował pod przybranym nazwiskiem.

Badania owej willi ukazały mi kilka pięknych malowideł i posągów, gustownie dobrane i doskonale wykonane meble oraz oranżerię z kolekcją rzadkich kwiatów, której równą trudno by znaleźć w całym Londynie. Przesłuchania mieszkającej tam damy doprowadziły do ujawnienia klejnotów godnych zająć miejsce w jednym szeregu z kwiatami, oraz do ujawnienia powozów i koni, które (zupełnie zasłużenie) budziły niejednokrotnie w Hyde Parku sensację wśród osób bez wątpienia powołanych do wydawania sądów o budowie pierwszych i o rasie drugich.

Wszystko to zresztą należy do rzeczy dość pospolitych. Tego rodzaju wille i tego rodzaju damy są w życiu londyńskim obiektami tak dobrze znanymi, iż powinienem prosić o przebaczenie, że ośmielam się w ogóle o nich wspominać. Zjawiskiem natomiast niepospolitym i nieznanym (jak mnie uczy moje doświadczenie) jest fakt, że wszystkie te zbytkowne rzeczy nie tylko zamówiono, lecz nawet zapłacono za nie gotówką. Gdy chodzi

o obrazy, posągi, kwiaty, klejnoty, powozy i konie — dochodzenie ku mojemu nieopisanemu zdumieniu wykazało, że nie ciąży na nich ani szyling długu. Codo willi, została kupiona za gotówkę i zapisana na nazwisko damy.

Byłbym zapewne dotychczas jeszcze nadaremnie usiłował znaleźć odpowiedź na tę zagadkę, gdyby nie śmierć pana Godfrey'a Ablewhite'a, której skutkiem wejrzano w jego sprawy finansowe.

Kontrola ujawniła następujące fakty:

Pan Godfrey Ablewhite miał w swej pieczy dwadzieścia tysięcy funtów jako jeden z opiekunów młodego dżentelmena, który w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym był jeszcze niepełnoletni. Opieka miała, wygasnąć

I młody dżentelmen miał wejść w posiadanie owych dwudziestu tysięcy funtów szterlingów w miesiącu lutym tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku. w dniu dojścia do pełnoletności. Az do tej chwili opiekunowie mieli mu wypłacać roczny dochód w wysokości sześciuset funtów w dwóch ratach — na Boże Narodzenie i w dniu 24 czerwca. Dochód ten był regularnie wypłacany przez czynnego opiekuna, pana Godfrey'a Ablewhite'a. Natomiast papiery wartościowe reprezentujące ową sumę dwudziestu tysięcy funtów (z których rzekomo pochodzi ów dochód) zostały w różnym czasie sprzedane co do grosza, przy czym ostatnia sprzedaż nastąpiła w roku tysiąc osiemset czterdziestym siódmym. Pełnomocnictwo upoważniające bankierów do sprzedaży papierów wartościowych praż rozmaite pisemne polecenia informujące ich, na jaką sumę mają te papiery sprzedać, zaopatrzone były w podpisy obu opiekunów. Jednakże podpis drugiego opiekuna (emerytowanego wojskowego mieszkającego na wsi) był w każdym z po-

wyższych wypadków sfalszowany przez opiekuna czynnego — inaczej mówiąc przez pana Godfrey'a Ablewhite'a.

Fakty powyższe wyjaśniają honorowe postępowanie pana Godfrey'a w związku ze spłatą długów zaciągniętych na damę i na willę — wyjaśniają też (jak się Pan za chwilę przekona) wiele innych spraw.

Mozemy przejść teraz do daty urodzin panny Verinder — a mianowicie do dnia dwudziestego pierwszego czerwca tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku.

Poprzedniego dnia pan Godfrey Ablewhite przybył do swego ojca i prosił go (jak się dowiedziałem od samego pana Ablewhite'a-seniora) o pożyczanie trzystu funtów. Proszę zwrócić uwagę na sumę i pamiętać zarazem, że półroczna rata należna nieletniemu dżentelmenowi przypadała na dwudziesty czwarty czerwca. Proszę też mieć na względzie, że reszta fortuny nieletniego dżentelmena została roztrwoniona przez jego opiekuna pod koniec roku tysiąc osiemset czterdziestego siódmego.

Pan Ablewhite-senior oświadczył, że nie pożyczy synowi ani grosza.

Nazajutrz pan Godfrey Ablewhite pojechał wraz z Panem do domu lady Verinder. W kilka godzin potem pan Godfrey (jak mi Pan sam opowiadał) oświadczył się o rękę panny Verinder. Spodziewał się bez wątpienia, że jeśli będzie przyjęty, położy raz na zawsze kres swoim kłopotom finansowym. Ale sprawy przybrały niepomyślny obrót — panna Verinder odrzuciła jego oświadczenia.

W wieczór tedy urodzin sytuacja pieniężna pana Godfrey'a Ablewhite'a przedstawiała się, jak następuje: musiał znaleźć trzysta funtów na dzień dwudziesty czwarty czerwca bieżącego roku i dwadzieścia tysięcy funtów na luty roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego. Gdyby nie udało mu się zdobyć tych sum w powyższych terminach, czekała go ruina moralna i materialna.

W tych warunkach cóż się następnie dzieje?

Pan rozpoczyna z doktorem Candym sprzeczkę na drażliwy dla niego temat medycyny i doktor Candy w odpowiedzi płata Panu figla za pomocą dawki laudanum. Zaaplikowanie tej dawki (przygotowanej w małym flakoniku) powierza panu Godfreyowi Ablewhite'owi, który sam przyznał się do udziału w tej sprawie w okolicznościach, które za chwilę Panu zreferuję. Pan Godfrey tym chętniej przyłącza się do spisku, że sam w toku wieczora poczuł na własnej skórze działanie Pańskiego ostrego języka. Popiera więc Bettere-dge'a, kiedy ten namawia Pana, aby przed pójściem spać napił się Pan koniaku z wodą. Ukradkiem wlewa laudanum do przygotowanego napoju. Pan zaś ową mieszaninę wypija.

Przenieśmy się teraz, za pozwoleniem Pańskim, do domu pana Lukera w Lambeth. Pragnąłbym też zaznaczyć na wstępie, że pan Bruff i ja wspólnymi siłami znaleźliśmy sposób na to, aby zmusić lichwiarza, by nam wszystko szczerze opowiedział. Zbadaliśmy bardzo dokładnie jego zeznanie i oto ono do Pańskiej dyspozycji.

IV

Późnym wieczorem w piątek, dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku zdziwionego pana Lukera odwiedził niespodziewanie pan Godfrey Ablewhite. Pan Luker zdumiał się jeszcze bardziej, kiedy pan Godfrey zademonstrował mu Kamień Księżycowy. Takiego diamentu, o ile panu Lukerowi było wiadomo, nie posiadała w Europie żadna osoba prywatna.

Pan Godfrey Ablewhite uczynił w związku z tym wspaniałym klejnotem dwie skromne propozycje. Po pierwsze, czy pan Luker będzie łaskaw nabyć diament? Po drugie, czy pan Luker (jeśli nie będzie mógł sam kupić diamentu) zechce podjąć się jego sprzedaży na prowizję i wpłaci pewną zaliczkę a conto przewidywanych wpływów?

Pan Luker zbadał diament, zważył diament i oszacował diament, zanim odpowiedział choć słowo. Podług jego szacunku (uwzględniając skazę w kamieniu) wartość diamentu wynosiła trzydzieści tysięcy funtów szterlingów.

Doszedłszy do tego wniosku pan Luker otworzył wreszcie usta i zadał pytanie:

— Skąd pan go ma?

Tylko cztery słowa, ale jakże znaczące!

Pan Godfrey Ablewhite zaczął opowiadać jakąś bajeczkę. Pan Luker znów otworzył usta i tym razem wypowiedział tylko trzy słowa:

— To na nic!

Pan Godfrey Ablewhite zaczął inną bajeczkę. Pan Luker nie tracił już słów. Wstał i zadzwonił na służącego, żeby ten wyprowadził gościa.

Będąc w sytuacji przymusowej pan Godfrey zdobył się na wysiłek i przedstawił nową, skorygowaną wersję, brzmiącą jak następuje:

Wlawszy ukradkiem laudanum do Pańskiego kieliszka koniaku z wodą, pan Godfrey życzył Panu dobrej nocy i udał się do swego pokoju. Był to pokój sąsiadujący z Pańskim i połączony z nim wewnętrznymi drzwiami. Po wejściu do swego pokoju pan Godfrey (jak mu się zdawało) zamknął te drzwi na klucz. Kłopoty finansowe spędzały mu sen z powiek. Blisko godzinę siedział w szlafroku i miękkich pantoflach zastanawiając się nad sytuacją. Miał się już właśnie położyć, kiedy usłyszał, że mówi Pan coś do siebie. Podszedł do drzwi i przekonał się, że ich wbrew swemu przeświadczeniu nie zamknął.

Zajrzał do Pańskiego pokoju, aby zobaczyć, co się dzieje. Stwierdził, że wychodzi Pan właśnie z sypialni trzymając świeczkę w ręce. Usłyszał, że mówi pan jakimś dziwnym, obcym głosem: „Kto wie? Hindusi być może ukryli się tu w domu?”

Az do tej chwili sądził po prostu, że dając Panu laudanum pomaga tylko doktorowi spłatać Panu nieszkodliwego figla. Teraz wszakże przyszło mu na myśl, że laudanum widocznie podziałało na Pana w sposób nieprzewidywany. Lękając się jakiegoś wypadku podążył cicho za Panem, aby zobaczyć, co Pan robi.

Doszedł za Panem do saloniku panny Verinder i ujrzał, jak wchodzi Pan do środka. Zostawił Pan drzwi otwarte. Pan Godfrey postanowił więc, zanim wejdzie, zajrzeć przez szparę między drzwiami a framugą.

Z tego miejsca nie tylko widział, jak wyjął Pan diament z szufladki, lecz dostrzegł też pannę Verinder obserwującą Pana w milczeniu przez uchylone drzwi swej sypialni. Zorientował się, że ona również widziała, jak wyjął Pan diament.

Zanim wyszedł Pan z saloniku, zatrzymał się Pan na chwilę. Pan Godfrey skorzystał z tego wahania, aby nie zauważony przez Pana wrócić do swej sypialni. Ledwie się tam znalazł, gdy Pan wrócił także. Dostrzegł go Pan (jak przypuszcza) przechodząc przed otwartymi drzwiami łączącymi oba pokoje. W każdym razie zawołał go Pan dziwnym, sennym głosem.

Pan Godfrey wszedł. Spojrzał Pan na niego tępo, sennie. Włożył mu Pan diament do ręki. Powiedział Pan: „Godfreyu, zabierz go z powrotem do banku twojego ojca. Tam jest bezpieczny — tu nie”. Potem odwrócił się Pan chwiejnie i włożył szlafrok. Powiedział Pan: „Ja nie mogę zawieźć go do banku. Głowę mam jak z ołowiu i nogi się podę mną uginają”. Głowa opadła Panu na oparcie fotela, westchnął Pan ciężko i zapadł w sen.

Pan Godfrey Ablewhite wrócił z diamentem do swego pokoju. Twierdzi, że nie powziął jeszcze wówczas żadnego postanowienia poza tym, że zaczeka i zobaczy, co będzie rano.

Kiedy nadszedł ranek, zachowanie Pańskie i słowa dowodziły, że nie pamięta Pan zupełnie, co mówił i robił poprzedniej nocy. Jednocześnie słowa i zachowanie panny Verinder zdradzały, że postanowiła ona przez wzgląd na Pana nie wspominać wcale o wypadkach ubiegłej nocy. Pan Godfrey Ablewhite mógł tedy zatrzymać diament będąc zupełnie pewien bezkarności. Kamień Księżycowy oznaczał dla niego ratunek przed ruiną. Pan Godfrey Ablewhite schował klejnot do kieszeni.

V

Oto historia, którą kuzyn Pański zmuszony okolicznościami opowiedział panu Lukerowi.

Pan Luker uwierzył, że historia jest w zasadniczych szczegółach prawdziwa, był bowiem zdania, iż pan Godfrey Ablewhite zbyt jest głupi, aby coś podobnego zmyślić. Pan Bruff i ja zgadzamy się w tym względzie z panem Lukerem.

Powstało następnie pytanie, co pan Luker przedsięwzięmie w sprawie Kamienia Księżycowego. Pan Luker zaproponował następujące warunki zawarcia transakcji, która nawet dla niego była ryzykowna i niepewna:

Pan Luker zgodzi się pożyczyć panu Godfreyowi Ablewhite'owi sumę dwóch tysięcy funtów pod zastaw Kamienia Księżycowego. Jeżeli po upływie roku od owej daty pan Godfrey Ablewhite zapłaci panu Lukerowi trzy tysiące funtów szterlingów, otrzyma diament z powrotem. Jeżeli po

upływie roku nie wpłaci powyższej sumy zastaw, czyli Kamień Księżycowy ulegnie przepadkowi na rzecz pana Lukera, który wówczas uczyni panu Godfreyowi prezent z pewnego obligu pochodzącego z dawniejszych transakcji, a znajdującego się w posiadaniu lichwiarza.

Rozumie się samo przez się, iż pan Godfrey z oburzeniem odrzucił te potworne warunki. Pan Luker na to oddał diament panu Godfreyowi i życzył mu dobrej nocy.

Kuzyn Pański ruszył ku wyjściu, ale zawrócił od drzwi. Nie miał przecież najmniejszej gwarancji, że powyższa rozmowa zachowana zostanie wtajem-nicy!

Pan Luker żadnej gwarancji mu nie przyrzekał. Gdyby pan Godfrey przystał na jego warunki, uczyniłby tym samym pana Lukera *swoim wspólnikiem* i mógłby liczyć na jego dyskrecję. W obecnym jednak stanie rzeczy pan Luker musi się kierować przede wszystkim własnym interesem. Jeżeli ktoś będzie mu zadawał kłopotliwe pytania, trudno wymagać, aby kompromitował się przez wzgląd na człowieka, który nie chce z nim mieć do czynienia!

Po tej odpowiedzi pan Godfrey Ablewhite postąpił jak każde zwierzę schwytane w potrzask. Zrozpaczony rozejrzał się bezradnie wokoło. Data na kalendarzu przykuła jego uwagę. Był dwudziesty trzeci czerwca. Dwudziestego czwartego pan Godfrey powinien był zapłacić trzys⁺a funtów młodemu dżentelmenowi, którego był opiekunem, a poza propozycją pana Lukera nie widział możliwości zdobycia pieniędzy. Gdyby nie ta niefortunna data, mógłby zawieźć diament do Amsterdamu i kazać pociąć go na mniejsze kamienie, które łatwiej byłoby spieniężyć. W tym stanie rzeczy wszakże nie miał wyboru — musiał przyjąć warunki pana Lukera. Ostatecznie miał do dyspozycji rok na zdobycie pieniędzy, a rok to długi okres czasu.

Pan Luker sporządził od razu potrzebne dokumenty. Gdy je podpisano, wręczył panu Godfreyowi dwa czeki. Jeden, datowany dwudziestego trzeciego czerwca, na trzysta funtów szterlingów. Drugi, datowany o tydzień później, na pozostałą sumę — tysiąc siedemset funtów.

W jaki sposób Kamień Księżycowy oddano na przechowanie bankierom pana Lukera i jak potem Hindusi obeszlą się z panem Lukerem i z panem Godfreyem, o tym Pan już wie dokładnie.

Następne znaczniejsze wydarzenie w życiu Pańskiego kuzyna pozostaje znów w związku z panną Verinder. Oświadczył się on po raz drugi, wkrótce zaś po tym, gdy został przyjęty, zgodził się na prośbę panny uważać zaręczyny za niebyłe. Jeden z powodów tej ustępliwości wykrył już pan Bruff. Panna Verinder mogła tylko dożywotnio korzystać z dochodów od majątku zmarłej matki, a to nie dawało możliwości podjęcia jednorazowo sumy dwudziestu tysięcy funtów.

Powie Pan zapewne, że gdyby się pan Godfrey ożenił z panną Verinder, mógłby uskładać sobie z jej dochodów trzy tysiące funtów na wykupienie diamentu. Owszem, było to możliwe, jeśli założymy, że ani jego żona, ani jej opiekunowie nie protestowaliby przeciw temu, żeby zaraz w pierwszym roku po ślubie zabrał przeszło połowę dochodu na niewiadomy cel. Gdyby zaś

ominął jakoś tę przeszkodę, czyhała na niego jeszcze inna. Dama mieszkająca w willi dowiedziała się o jego zamiarach matrymonialnych. Trzeba Panu wiedzieć, panie Blake, że jest to wspaniała kobieta, odznaczająca się mlecznobiałą cerą i rzymskim nosem — a z taką osobą nie ma żartów. Żywiła ona najwyższą pogardę dla pana Godfreya Ablewhite'a. Gdyby pan Godfrey zabezpieczył jej odpowiednio przyszłość, pogarda ta pozostałaby milcząca, w przeciwnym jednak razie znalazłaby wyraz w bardzo głośnych słowach. Dożycie panny Verinder wszakże nie dawało nadziei na wykrojenie podobnego „zabezpieczenia”, podobnie jak nie dawało nadziei na uzyskanie dwudziestu tysięcy funtów. Pan Godfrey więc nie mógł się ożenić — wzięwszy pod uwagę wszystkie powyższe okoliczności ślub był dla niego istnym niepodobieństwem.

Wie Pan również, jak pan Godfrey próbował szczęścia z inną panną i jak nowe te plany matrymonialne załamały się z kolei, gdy doszło do sprawy pieniędzy. Wie Pan również o legacie w wysokości pięciu tysięcy funtów, który wkrótce potem zostawiła mu jedna z licznych wielbicielek, ujęta wdziękami tego fascynującego mężczyzny. Legat ten — jak wykazały dalsze wypadki — stał się pośrednio przyczyną przedwczesnej śmierci pana Godfreya.

Ustaliłem, że po otrzymaniu owych pięciu tysięcy funtów szterlingów pan Godfrey udał się do Amsterdamu, Omówił tam sprawę pocięcia diamentu na mniejsze kamienie. Powrócił w przebraniu i w oznaczonym terminie wykupił Kamień Księżycowy. Oczekano kilka dni (był to środek ostrożności, na który zgodziły się obie strony), zanim klejnot odebrano z banku. Gdyby pan Godfrey dotarł z nim bezpiecznie do Amsterdamu, miałyby dość czasu od lipca tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku do lutego roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego (kiedy to młody dzentelmen miał osiągnąć pełnoletność), aby pociąć diament i spieniężyć uzyskane stąd mniejsze kamienie. Zechce Pan sam osądzić, jak ważkie pobudki skłoniły pana Godfreya do podjęcia tego ryzyka. Była to dla niego wprost sprawa życia lub śmierci.

Zanim skończę niniejsze sprawozdanie, chcę jeszcze przypomnieć Panu, że istnieje pewna nadzieja schwywania Hindusów i odzyskania Kamienia Księżycowego. Hindusi znajdują się obecnie według wszelkiego prawdopodobieństwa w drodze do Indii Wschodnich. O ile nie zajdą nieprzewidziane wypadki, statek nie zawinie w drodze do żadnego innego portu, w Bombaju zaś władze uprzedzone już listownie wkroczą na pokład natychmiast, skoro statek znajdzie się w przystani.

Mam zaszczyt pozostać Pańskim uniżonym sługą

Ryszard Cuff

(były sierżant Policji Śledczej, Scotland Yard, Londyn1)

1Uwaga. — Ustępy dotyczące wydarzeń, które rozegrały się w dniu urodzin panny Verinder oraz w ciągu następnych trzech dni, należy porównać z relacją Betteredge'a — rozdziały VIII-XIII.

RELACJA SIÓDMA

zawarta w liście doktora Candy'ego

Frizinghall, środa, 26 września 1849 roku.

Drogi Panie Blake!

Domyśli się Pan zapewne smutnej wieści, którą muszę Panu zakomunikować, gdy znajdzie Pan w załączeniu swój zapieczętowany i nie otwarty list do Ezry Jenningsa. Ezra umarł w moich ramionach w ubiegłą środę o świcie.

Proszę nie mieć do mnie żalu, iż nie powiadomiłem Pana o jego zbliżającym się zgonie. Ezra Jennings zabronił mi pisać do Pana. „Zawdzięczam Panu Franklinowi Blakeowi kilka szczęśliwych dni — rzekł. — Proszę go nie zasmucać, panie doktorze, proszę go nie zasmucać”.

Aż do ostatnich sześciu godzin życia cierpiał straszliwie. W krótkich chwilach ulgi, gdy odyskiwał pełną przytomność umysłu, błagałem go, aby wymienił mi jakichś krewnych, do których mógłbym napisać. Prosił o przebaczenie, że musi odmówić moim prośbom. Potem dodał — bez rozgoryczenia — że chce umrzeć tak jak żył, nieznanym i zapomnianym. Wytrwał w tym postanowieniu do końca. Nie ma już teraz nadziei, że uda się dokonać jakichś odkryć w związku z jego osobą. Dzieje Ezry Jenningsa pozostaną białą kartą.

W przeddzień zgonu powiedział mi, gdzie mam poszukać jego papierów. Przyniosłem mu je do łóżka. Była tam paczuszka starych listów, którą odłożył na bok. Była jego nie dokończona książka. Był ponadto pamiętnik w kilku tomach zamkniętych na kluczyki. Otworzyłem tom z bieżącego roku i wyrwał jedną po drugiej strony dotyczące okresu, który spędził razem z Panem. „Niech pan to odda panu Franklinowi Blake'owi — powiedział. — Może będzie miał kiedyś ochotę rzucić okiem na to, co tu pisałem”. Potem złożył ręce i modlił się gorąco, aby Bóg pobłogosławił Panu i wszystkim, którzy są Panu drodzy. Oznajmił, że chciałby jeszcze Pana zobaczyć, ale zaraz się z tego wycofał. „Nie — odparł, gdy zaproponowałem, że do Pana napiszę. — Nie chcę go martwić! Nie chcę go martwić!”

Na jego prośbę zebrałem następnie pozostałe papiery — plik listów, nie dokończoną książkę oraz wszystkie tomy pamiętnika — i zrobiłem z nich jedną paczkę, którą zapieczętowałem własną pieczęcią. „Niech mi pan

przrzeknie — rzekł Ezra Jennings — że włoży mi pan tę paczkę własnoręcznie do trumny i dopilnuje, aby nikt inny jej nie tknął". Przrzekłem mu i dotrzymałem przrzeczenia.

Miał do mnie jeszcze jedną prośbę, której spełnienie przyszło mi z wielkim trudem. Rzekł: „Niechaj mój grób będzie zapomniany. Proszę mi dać słowo, że nie pozwoli pan, aby jakikolwiek pomnik — choćby nawet najprostszy kamień nagrobkowy — znaczył miejsce, w którym mnie pochowano. Pragnę spoczywać bezimienny i nieznany". Gdy go zaklinałem, by zmienił postanowienie, po raz pierwszy i jedyny począł zdradzać oznaki wielkiego wzburzenia. Nie mogłem na to patrzeć, ustąpiłem więc w końcu. Jedyne niewielki wzgórek pokryty trawą oznacza miejsce jego spoczynku. Z czasem otoczą go wokoło nagrobki. A ludzie, którzy przyjdą po nas, będą patrzyli ze zdziwieniem na bezimienny grób.

Jak już wspominałem, na sześć godzin przed śmiercią cierpienia jego ustały. Zapadł w drzemkę. Mam wrażenie, że śnił, bo uśmiechnął się parę razy. Powtórzył też kilkakrotnie imię kobiece — Ella. Na kilka minut przed końcem prosił, żebym podniósł go na poduszkach, bo chce widzieć przez okno wschód słońca. Był bardzo słaby. Głowa opadła mu na moje ramię. Szepnął: „To już!" Potem powiedział: „Pocałuj mnie!" Ucałowałem go w czoło. Ezra podniósł nagle głowę. Promień słońca dotknął jego twarzy. Odbił się na niej piękny, anielski wyraz. Zawołał trzykrotnie; „Pokój! Pokój! Pokój!" Złożył znów głowę na moim ramieniu i udreka jego żywota dobiegła kresu.

Tak odszedł od nas. Był to zdaniem moim człowiek wielki — aczkolwiek świat nic o nim nie wiedział. Znosił dzielnie trudy i męki życia. Miał najłagodniejsze usposobienie, jakie zdarzyło mi się spotkać. Po stracie tej czuję się bardzo osamotniony. Być może zresztą od czasu choroby nie powróciłem do zupełnej równowagi. Myślę niekiedy o tym, żeby zrezygnować z praktyki lekarskiej, wyjechać za granicę i tam spróbować kuracji u cudzoziemskich wód.

Krążą tu pogłoski, że Pan i panna Verinder mają się w przyszłym miesiącu pobrać. Jeśli to prawda, proszę przyjąć najserdeczniejsze powinszowania.

Karty z pamiętnika mojego zmarłego przyjaciela czekają na Pana w moim domu — zapieczętowane, z Pańskim nazwiskiem wypisanym na kopercie. Lękałem się powierzyć je poczcie.

Łączę wyrazy najwyższego szacunku oraz najlepsze życzenia dla Panny Verinder i pozostaje,
Drogi Panie,

Zawsze szczerze oddany
Tomasz Candy

RELACJA ÓSMA

spisana przez Gabriela Betteredge'a

Jak państwo niewątpliwie pamiętają, jestem tym, który niniejszą opowieść rozpoczął. Jestem również tym, któremu przypada w udziale zakończenie tej powieści.

Proszę jednak nie sądzić, że powiem tu jakieś ostatnie słowo w sprawie indyjskiego diamentu. Ten feralny klejnot budzi we mnie tylko odrazę i jeśli spodziewają się państwo wiadomości o Kamieniu Księżycowym, muszę ich skierować do innych osób. Ja mam tu jedynie stwierdzić pewien fakt z dziejów obchodzącej mnie rodziny, fakt, na którego dalsze pomijanie i przemilczanie nie mogę pozwolić. Faktem tym był ślub panny Racheli i pana Franklina Blake'a. Wydarzenie owo miało miejsce w naszym domu w Yorkshire, we wtorek, dziewiątego października tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku. Dostałem na tę okazję nowy garnitur, młoda para zaś udała się w podróż poślubną do Szwajcarii.

Ponieważ uroczystości rodzinne są w naszym domu od czasu śmierci mojej nieboszczki pani dość rzadkie, przyznam się, że z okazji ślubu (pod koniec dnia oczywiście) wypilem o kropelkę za dużo.

Jeżeli się państwu zdarzyło kiedy coś podobnego, zrozumieją mnie na pewno i będą mi współczuli. Jeżeli nie, powiedzą prawdopodobnie: „Wstrętny staruchu! Po co nam o tym opowiada?” Zaraz się okaże, po co.

Otóż po owej kropelce (ależ, kochani państwo! Z pewnością m?cie też jakieś swoje słabostki, tyle że być może nie pokrywają się one akurat z moimi!) uciekłem się do niezawodnego środka uzdrawiającego, którym to środkiem, jak wiadomo, jest „Robinson Kruzoe”. Nie potrafię już powiedzieć, w jakim miejscu otworzyłem tę nieporównaną książkę. Wiem jednak doskonale, w którym miejscu druk przestał mi się wreszcie zlewać w nieczytelną mieszaninę. Było to na stronie trzysta osiemnastej, gdy przeczytałem ustęp dotyczący małżeństwa Robinsona Kruzoe: „Miałem żonę...” (Proszę zwrócić uwagę! Zupełnie tak samo jak pan Franklin!) „i dziecię, a żona moja w owym czasie...” Ale nic mnie to nie obchodziło, co działo się z żoną

Robinsona Kruzoe „w owym czasie”. Podkreśliłem tylko ten kawałek o dziecku i założyłem stronę skrawkiem papieru.

— Leż sobie tutaj — powiedziałem — dopóki od ślubu panny Racheli z panem Franklinem nie upłynie kilka miesięcy, a wtedy zobaczymy.

Miesiące upływały (minęło ich nawet znacznie więcej, niż przewidywałem), lecz wciąż nie nastęczała się sposobność wyjęcia z książki owej zakładki, I dopiero w bieżącym miesiącu listopadzie roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego pan Franklin wszedł rozpromieniony do mojego pokoju i powiedział:

— Betteredge! Mam dla ciebie dobrą nowinę! W niezbyt długim czasie coś się zdarzy w naszym domu.

— Czy to dotyczy rodziny, proszę pana? — spytałem.

— Owszem, z całą pewnością dotyczy to rodziny — odparł pan Franklin.

— Czy małżonka pańska ma z tym coś wspólnego, jeśli wolno zapytać?

— Ma z tym bardzo dużo wspólnego — odrzekł pan Franklin z pewnym zdziwieniem.

— Może pan nie mówić ani słowa więcej — powiedziałem. — Niech Bóg błogosławi wam obojgu! Jestem serdecznie rad.

Pan Franklin osłupiał.

— Czy wolno wiedzieć, skąd masz te informacje? — spytał. — Bo ja sam dowiedziałem się dopiero przed pięcioma minutami i to w najściślejszej dyskrekcji.

Teraz wreszcie miałem sposobność zaprezentować mojego „Robinsona Kruzoe”! Teraz wreszcie mogłem przeczytać słowa o dziecku, które podkreśliłem w dniu ślubu pana Franklina! Przebrałem ów proroczy ustęp z należyty naciskiem, a potem spojrzałem panu Franklinowi w oczy.

— Cóż, sir, czy wierzy pan teraz w „Robinsona Kruzoe”? — spytałem uroczyście.

— Betteredge! — odparł pan Franklin tonem równie uroczyście. — Przekonałeś mnie wreszcie.

Uściskał mi dłoń i poczułem, że go w końcu nawrócił.

Gdy więc doniosłem państwu o tych niezwykłych wydarzeniach, rola moja na tych kartach dobiega końca. Niechaj nikt nie waży się wyśmiewać z przytoczonej tu nadprzyrodzonej historii. Mogą się państwo śmiać do woli ze wszystkiego innego, co tu napisałem, ale kiedy piszę o „Robinsonie Kruzoe” — na Boga, sprawa jest poważna i proszę odpowiednio ją traktować!

Powiedziałem już wszystko i nie mam nic więcej do dodania. Panie i panowie, kłaniam się nisko i kończę niniejszą opowieść.

EPILOG

ODNALEZIENIE DIAMENTU

I

Sprawozdanie wywiadowcy sierżanta Cuffa (1849)

Dwudziestego siódmego czerwca bieżącego roku sierżant Cuff polecił mi, abym śledził trzech mężczyzn. Hindusów, podejrzanych o zabójstwo. Widziano ich tego ranka na przystani w Tower, gdy wsiadali na pokład parowca udającego się do Rotterdamu.

Wyjechałem z Londynu parowcem należącym do innej kompanii, który odpływał rankiem we czwartek dwudziestego ósmego czerwca.

Po przybyciu do Rotterdamu udało mi się odnaleźć kapitana tamtego parowca. Powiadomił mnie, że Hindusi istotnie wsiadli na jego statek jako pasażerowie, lecz dojechali tylko do Gravesend. W pobliżu Gravesend jeden z nich zapytał, o której przybędą do Calais. Dowiedziawszy się, że statek zmierza do Rotterdamu, Hindus wyraził najwyższe zdumienie i rozpacz, gdyż jak twierdził, on i jego towarzysze popełnili omyłkę. Oznajmił, że nie będą żądali zwrotu pieniędzy na przejazd, byleby kapitan parowca wysadził ich na ląd. Kapitan ulitował się nad cudzoziemcami orientującymi się z trudem w obcym kraju, nie miał w dodatku powodów, aby ich zatrzymać, wezwał więc z lądu szalupę i trzech Hindusi opuścili statek.

Nie ulegało wątpliwości, że Hindusi działali podług ułożonego z góry planu, aby zatrzeć za sobą ślady; powróciłem tedy nie tracąc czasu do Anglii. Wsiadłem na ląd w Gravesend i ustaliłem, że Hindusi udali się stąd do Londynu. Tam znów wykryłem, że wyjechali z kolei do Plymouth. Przeprowadziłem wywiad w Plymouth i ustaliłem, że Hindusi przed czterdziestu ośmioma godzinami odjechali indyjskim parowcem „Bewley Castle”, udającym się bezpośrednio do Bombaju.

Po otrzymaniu tych wiadomości sierżant Cuff postarał się, aby powiadomiono władze w Bombaju i aby policja wkroczyła na pokład statku, skoro tylko zawinie do portu. Na tym urwał się mój związek ze sprawą i od tego C/HSU więcej nic o niej nie słyszałem.

II

Oświadczenie kapitana (1849)

Na prośbę sierżanta Cuffa spisuję pewne fakty dotyczące trzech mężczyzn, przypuszczalnie Hindusów, którzy ubiegłego lata byli pasażerami statku „Bewley Castle”, pozostającego pod moim dowództwem, a udającego się bezpośrednio do Bombaju.

Hindusi wsiedli na statek w Plymouth. W drodze nikt nie uskarżał się na ich zachowanie, ja zaś osobiście nie miałem sposobności zwrócić na nich uwagi.

W dalszej części podróży mieliśmy nieszczęście trafić na ciszę morską, która zatrzymała nas na trzy dni i trzy noce nie opodal wybrzeży Indii. Nie mam przy sobie dziennika okrętowego i nie przypominam sobie teraz dokładnie szerokości i długości. Co do pozycji więc mogę tylko stwierdzić ogólnie, że dryfowaliśmy z prądami wodnymi ku lądowi i że dotarliśmy do portu przeznaczenia w dwadzieścia cztery godziny po zerwaniu się wiatru.

Podczas długotrwałej ciszy dyscyplina na statku zazwyczaj się rozluźnia. Tak się też stało na moim statku. Kilku dżentelmenów spośród pasażerów kazało spuścić małe szalupy i zabawiało się wiosłowaniem i pływaniem, kiedy chłód przedwieczorny pozwalał na takie rozrywki. Oczywiście szalupy powinno się było na noc wciągać na pokład, zamiast tego jednak pozostawiano je przycumowane do trapów. Nieznośny upał i irytująca cisza morska sprawiły, że zarówno oficerowie jak i marynarze nie przykładali się należycie do swoich obowiązków.

Trzeciej nocy wartownik na pokładzie nie widział ani nie słyszał nic podejrzanego. Z nastaniem jednak poranka spostrzeżono brak najmniejszej szalupy — nieco później zaś zameldowano, że brak również na pokładzie trzech Hindusów.

Jeżeli Hindusi skradli szalupę wkrótce po zapadnięciu zmroku (o czym nie wątpię), wysłanie pościgu dopiero rankiem po odkryciu kradzieży było bezcelowe, gdyż znajdowaliśmy się blisko lądu. Jestem pewien, że przy tak spokojnej wodzie musieli dopłynąć do brzegu na długo przed świtaniem.

Po przybyciu do portu dowiedziałem się, czemu moi trzej pasażerowie skorzystali ze sposobności i ulotnili się ze statku. Złożyłem władzom to samo oświadczenie, które niniejszym spisuję. Władze czyniły mi wyrzuty o rozluźnienie dyscypliny na statku. Wyraziłem z tego powodu żal zarówno wobec władz jak i wobec moich armatorów. Od tego czasu, o ile mi wiadomo, nie było już żadnych dalszych wiadomości o trzech Hindusach, nie mogę też nic dodać do powyższego oświadczenia.

III

Relacja pana Murthwaite'a (1850), zawarta w liście do pana Brutta

Wielce Szanowny Panie!

Czy przypomina Pan sobie półdzikiego osobnika, którego poznał Pan z okazji pewnego obiadu w Londynie jesienią roku tysiąc osiemset czterdzie-

stego ósmego? Osobnik ów nazywał się Murthwaite. Odbył Pan z nim po obiedzie długą rozmowę na temat indyjskiego diamentu zwanego Kamieniem Księżycowym oraz spisku mającego na celu zawładnięcie tym klejnotem.

Od tego czasu wałęsałem się długo po Azji Środkowej, a stamtąd powróciłem na miejsce niektórych swoich dawnych przygód na północy i na północnym zachodzie Indii. Mniej więcej dwa tygodnie temu znalazłem się w pewnym okręgu czy też prowincji Kattiawar znanej Europejczykom tylko z nazwy.

Tu zdarzyła mi się przygoda, która — choć wyda się to Panu nieprawdopodobne— bez wątplenia osobiście Pana zainteresuje.

W dzikich rejonach Kattiawaru (a jak są dzikie, zrozumie Pan, gdy powiem, że nawet rolnicy orzą tam ziemię uzbrojeni po zęby) ludność przywiązana jest fanatycznie do starodawnego kultu Bramy i Wisznu. Nieliczne rodziny mahometańskie rozsiane tu i ówdzie po wioskach w puszczy lękają się pokosztować jakiegokolwiek mięsa. Mahometanin podejrzany o zabicie świętego zwierzęcia, jakim jest krowa, zostaje natychmiast i bez litości uśmiercony przez pobożnych sąsiadów wyznających braminizm. Na wzmocnienie entuzjazmu religijnego ludności wpływa również fakt, że w granicach Kattiawaru znajdują się dwa święte miejsca - cel pielgrzymek Hindusów. Jednym z nich jest Dwarka, miejsce uroczenia boga Kriszny, drugim święte miasto Somnauth, zburzone jeszcze w jedenastym stuleciu przez najeźdźcę mahometańskiego Mahmuda z Ghizni.

Znalazłszy się po raz drugi w tych romantycznych okolicach postanowiłem sobie, że nie opuszczę Kattiawaru, zanim nie spojrzę raz jeszcze na wspaniałe ruiny Somnauth. Dzieliło mnie w owej chwili od świętego miasta jakieś trzy dni marszu.

Wyruszyłem w drogę i zauważyłem wkrótce, że inni ludzie zdążają parami i trójkami w tym samym kierunku co ja.

Tym, z którymi rozmawiałem, podawałem się za Hindusa-buddystę odbywającego pielgrzymkę z odległej prowincji. Byłem oczywiście odpowiednio ubrany. Dodajmy jeszcze, że znam miejscowy język równie dobrze, jak język ojczysty i że jestem dość chudy i opalony, aby niełatwo było domyślić się mojego europejskiego pochodzenia — a zrozumie Pan, że ludzie nie żywi li w stosunku do mnie podejrzeń i traktowali mnie wprawdzie nie jak swego, lecz jak przybysza z odległej części tegoż kraju.

Nazajutrz liczba Hindusów wędrujących w tym samym kierunku zwiększyła się do pięćdziesiątek i setek. Na trzeci dzień potok ludzki liczył już tysiące, a wszyscy zmierzali do tego samego punktu — do świętego miasta Somnauth.

Drobna przysługa, którą trzeciego dnia wędrowki oddałem przypadkiem ludnemu z towarzyszy-pielgrzymów, sprawiła, iż przedstawiono mnie kilku Hindusom wyższej kasty. Dowiedziałem się od nich, że tłumy podążają na wielką uroczystość religijną, która odprawiona będzie na wzgórzu nieopodal Somnauth. Jest to uroczystość na cześć Boga Księżyca i ma się odbyć w nocy.

W miarę zbliżania się do celu nieprzebrane tłumy utrudniały nam posuwać się naprzód. Kiedy dotarliśmy na wzgórze, księżyc był już wysoko na niebie. Moi nowi przyjaciele posiadali jakieś specjalne przywileje, które umożliwiły im dostęp do ołtarza. Zaprosili mnie uprzejmie, bym im towarzyszył. Znalazłszy się na miejscu ujrzeliśmy, że ołtarz zasłonięty jest kotarą zawieszoną między dwoma wspaniałymi drzewami. Spod kotary wystawała część wielkiego płaskiego głazu, tworzącego naturalną platformę. Stałem przy niej wraz z Hindusami.

Patrzącemu ze szczytu w dół ukazywał się najwspanialszy widok, jaki zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać. Zbocze wzgórza przechodziło niepostrzeżenie w porośniętą trawą równinę, miejsce spotkania trzech rzek. Z jednej strony wijące się wstęgi biegły w dal — to widoczne, to znów ukryte między drzewami. Z drugiej ciągnął się ocean uśpiony w ciszy nocnej. Proszę zaludnić tę piękną scenerię dziesiątkami tysięcy biało ubranych ludzi pokrywających stoki wzgórza, rozsiansych po równinie i okalających brzegi krętych rzek. Proszę oświetlić to zbiorowisko pielgrzymów niesfornymi płomieniami pochodni błyskających tu i ówdzie wśród nieprzebranej rzeszy ludzkiej. Proszę sobie jeszcze wyobrazić poświatę księżycową lejącą się na to wszystko z czystego nieba — a wyrobi Pan sobie w przybliżeniu pojęcie

o widoku, który roztaczał mi się przed oczami.

Dźwięki tęsknej melodii granej na instrumentach strunowych i fletach ściągnęły znów moją uwagę na zasłonięty ołtarz.

Odwróciłem się i ujrzałem na skalistym podejściu trzech mężczyzn. W mężczyźnie stojącym pośrodku poznałem kuglarza-Hindusa, z którym rozmawiałem na tarasie domu lady Verinder. Pozostali dwaj, którzy towarzyszyli mu podówczas, bez wątpienia towarzyszyli mu i teraz.

Jeden z Hindusów, ten przy którym stałem, dostrzegł, że drgnąłem ze zdumienia. Szeptem wyjaśnił mi ukazanie się tych trzech postaci na skalnej platformie.

Są to bramini, rzekł, którzy utracili kastę służąc swemu bogu. Bóg nakazał, aby oczyszczenie ich nastąpiło poprzez pielgrzymkę. Tej nocy trzech mężczyzn mają się rozstać. Wyruszą w trzech różnych kierunkach do świętych miejsc Indii. Nigdy już żadnemu z nich nie wolno ujrzeć twarzy pozostałych dwóch towarzyszy. Nigdy już nie wolno im zaznać spoczynku w wędrówce od dnia, który będzie świadkiem ich rozstania, do dnia, który będzie świadkiem ich śmierci.

Gdy słuchałem tych wypowiedzianych szeptem słów, tęskna muzyka umilkła. Trzej mężczyźni padli na twarz przed kurtyną osłaniającą ołtarz. Potem wstali — spojrzeli na siebie — uściskali się — i zeszli każdy oddzielnie między ludzi. Zebrani w głuchym milczeniu rozstępowali się przed nimi. Dostrzegłem, że tłum rozstał się jednocześnie w trzy różne strony. Powoli wielka biała cizba ludzka zwarła się znowu. Po przejściu skazańców nie pozostało śladu. Nie ujrzeliśmy ich więcej.

Spoza ołtarza buchnęła znów muzyka, głośnie i tryumfująca. Tłum zadrżał i zwarł się szczelniej.

Kurtyna zawieszona między drzwiami rozsunęła się i oczom pielgrzymów ukazał się ołtarz.

Ponad nami, wysoko na tronie, siedzący na antylopie i wskazujący czterema ramionami na cztery strony świata, posepny i przerażający w tajemniczej poświacie, wznosił się Bóg Księżyca. A pośrodku czoła bóstwa lśnił żółty diament, którego blask olśniewał mnie ongi w Anglii, gdzie podziwiałem ten klejnot na staniku damskiej sukni!

Tak jest, po ośmiowiekowej przerwie Kamień Księżycowy spogląda znów sponad murów świętego miasta, w którym wzięły początek jego dzieje. W jaki sposób trafił z powrotem do swej dzikiej ojczyzny — za sprawą jakiego przypadku czy też jakiej zbrodni Hindusi odzyskali swój święty klejnot — o tym wiadomo być może Panu, lecz mnie nie wiadomo nic. Stracił go Pan z oczu w Anglii i, o ile znam Hindusów, stracił go Pan z oczu na zawsze.

Tak to mijają lata powtarzając te same wydarzenia w cyklach czasu. Jakie będą dalsze przygody Kamienia Księżycowego? Któż to odgadnie?

KONIEC